

ANDY McDERMOTT
ŁOWCY ATLANTYDY
Przekład JAN HENSEL



Mojej rodzinie i przyjaciołom

Prolog
Tybet

Słońce nie wzeszło jeszcze nad szczytami Himalajów, lecz Henry Wilde był już na nogach. Nie spał od przeszło dwóch godzin, czekając na moment, gdy światło jutrenki przedrze się przez góry.

Ponad dwie godziny, pomyślał. A właściwie całe lata, większość życia. To, co zaczęło się jako chłopięca fascynacja, przerodziło się w... zawahał się przed użyciem słowa „obsesja”, ale przecież pasowało jak ulał. W obsesję, która przyniosła mu kpiny i drwiny akademickiego świata - obsesję, która pochłonęła ogromną większość pieniędzy, jakie kiedykolwiek zarobił.

Ale, przypomniał sobie, dzięki tej obsesji jego żona jest cudowna kobieta.

- Ile do świtu? - Laura Wilde, żona Henry'ego od prawie dwudziestu lat, przytuliła się do niego w swojej grubej parce. Poznali się jako studenci nowojorskiego Uniwersytetu Columbia. Choć już wcześniej zwrócili na siebie uwagę - trudno, żeby było inaczej: Henry, platynowy blondyn, mierzył metr osiemdziesiąt, a Laura miała kasztanowe włosy o tak głębokim czerwonym odcieniu, że wydawał się niemal nienaturalny - to pierwszy raz rozmawiali dopiero po tym, jak profesor wykpił esej Henry'ego w obecności całej grupy studentów. Henry napisał o swojej obsesji. Trzy słowa wypowiedziane wtedy przez Laurę sprawiły, że natychmiast się w niej zakochał: „Ja ci wierzę”.

- Jeszcze tylko parę chwil - powiedział Henry, zerknął na zegarek i z czułością objął żonę ramieniem. - Żałuję, że nie ma z nami Niny. - Nina, ich córka, była drugą cudowną kobietą, jaką znał.

- Nie mogło być inaczej, skoro zaplanowałaś ekspedycję w czasie, w którym zdaje egzaminy - wypomniała mu Laura.

- To nie moja wina, to przez chiński rząd! Planowałem przyjechać w przyszłym miesiącu, ale nie chcieli o tym słyszeć, powiedzieli, że albo teraz, albo nigdy...

- Kochanie?

- Tak?

- Żartowałam. Wcale cię nie obwiniam. Ja też nie chciałam przepuścić tej okazji. Po prostu żałuję, że nie ma z nami Niny.

- Pocztówka z Xulaodang raczej nie wydaje się sprawiedliwą rekompensatą, prawda? - westchnął Henry. - Ciągaliśmy ją po świecie i za każdym razem tropy okazywały się fałszywe, a teraz, gdy wreszcie trafiliśmy na właściwy ślad, nie mogła z nami pojechać!

- Myślmy, że trafiliśmy na właściwy ślad - sprostowała Laura.

- Za chwilę się przekonamy, prawda? - Wskazał na góry przed nimi. Trzy ośnieżone szczyty mniej więcej równej wysokości wznosiły się nad kamienistym płaskowyżem, na

którym rozbili obozowisko. W tej chwili były ocienione, zasłonięte wyższym łańcuchem gór na wschodzie, lecz gdy słońce znajdzie się wyżej na niebie, widok się zmieni. I jeśli informacje, które zebrali, okażą się prawdziwe, zmiana będzie spektakularna...

Henry podniósł się, podając Laurze rękę. Wydychając chmurkę pary wodnej, podźwignęła się na nogi. Płaskowyż znajdował się ponad trzy tysiące metrów nad poziomem morza, a powietrze było rozrzedzone i zimne, w jakiś sposób wydawało się inne niż to, którym oddychali przez całe dotychczasowe życie. Ale było też niesamowicie czyste.

Henry czuł, że znajdują to, czego szukają.

Pierwsze światło dnia sięgnęło trzech szczytów.

A raczej sięgnęło jednego z nich: blask ozłocił śnieg na wierzchołku środkowej góry. Światło spływało powoli ze szczytu. Dwie góry po bokach pozostawały w cieniu, słońce wciąż zasłaniał większy masyw na wschodzie.

- To prawda... - wyszeptał Henry z zachwytem. Laura zareagowała z mniejszym entuzjazmem.

- Rzeczywiście wygląda mi to na Złoty Szczyt.

Uśmiechnął się do niej i znów spojrzał na górę. Zdawała się niemal jarzyć od słonecznego światła.

- Mieli rację. Niech mnie diabli, mieli rację!

- To prawie przygnębiające - powiedziała Laura. - Banda nazistów ponad pięćdziesiąt lat temu dowiedziała się o tym pierwsza i była tak blisko odkrycia.

- Ale im się nie udało. - Henry wysunął do przodu podbródek. - Uda się dopiero nam.

Złoty Szczyt - do tej pory tylko legenda - był ostatnim kawałkiem układanki, którą Henry układał całe życie. Co dokładnie tam znajdzie, nie był pewien. Ale jedno nie ulegało dla niego wątpliwości: będzie to coś, co pozwoli mu odkryć legendę legend.

Atlantyde.

Olśniewające widowisko na wierzchołku Złotego Szczytu trwało ledwie minutę, zanim słońce podniosło się na tyle, że oświetliło dwie sąsiednie góry. Ekspedycja zaczęła się wspinać po wschodnim zboczu, mając słońce nad głowami. Teraz, gdy góry po bokach wyłoniły się z cienia, w jasnym świetle dnia, szczyt nie różnił się niczym od pozostałych.

Ekspedycja składała się z siedmiu osób - trójki Amerykanów i czterech Tybetańczyków. Ci ostatni, wynajęci jako tragarze i przewodnicy, byli tak samo jak cudzoziemcy zachwyceni widokiem legendarnego szczytu. Nawet dla nich okolica była mało znana, a Henry przypuszczał, że on i jego żona mogą być pierwszymi ludźmi z Zachodu, którzy stali się świadkami tego widowiska.

Może z wyjątkiem ludzi, dzięki którym w ogóle zdecydowali się tu przyjechać.

Henry zarządził postój. Kiedy pozostali z wdzięcznością odgarnęli śnieg z pobliskich skał i usiedli, zdjął plecak i z jednej z kieszeni ostrożnie wyjął cienki segregator. Laura podeszła do niego, gdy przewracał kartki w plastikowych koszulkach.

- Znowu sprawdzasz? - spytała, drocząc się z nim. - Myślałam, że już wszystko zapamiętałeś.

- Nie znam niemieckiego najlepiej - przypomniał jej, gdy znalazł odpowiednią stronę. Kartka była przebarwiona, poplamiona od wilgoci i ze starości.

Tajne dokumenty Ahnenerbe - Niemieckiego Towarzystwa Dziedzictwa Przodków, sekcji SS podlegającej bezpośrednio Heinrichowi Himmlerowi - zostały znalezione w zamurowanej skrytce w piwnicy zamku Wewelsberg w północnych Niemczech. Wawelsberg był główną siedzibą SS i centrum nazistowskiego mistycyzmu i okultyzmu. Pod koniec wojny wydano rozkaz zniszczenia zamku i znajdujących się w nim archiwów. Ktoś jednak postanowił zlekceważyć rozkaz i ukrył dokumenty.

A teraz mieli je Wilde'owie.

W zeszłym roku Bernd Rust, stary znajomy i kolega ze studiów Henry'ego, skontaktował się z nim w sprawie odkrycia. Większość odnalezionych dokumentów SS została przekazana rządowi Niemiec, lecz znając zainteresowania Wilde'ów, Rust, wiele ryzykując, zatrzymał kilka kartek, na których wspomniano o Atlantydzie. Odprzedał je Wilde'om za sporą sumkę, lecz Henry wiedział, że są warte każdego wydanego grosza.

Chociaż odczuwał dyskomfort, że w poszukiwaniach posługuje się materiałami zebranymi przez nazistów - do tego stopnia, że nie powiedział o nich swojej córce i podzielił się tą wiedzą tylko z Laurą i trzecim amerykańskim członkiem ekspedycji - miał świadomość, że bez nich nigdy nie udałoby mu się znaleźć Atlantydy.

Ahnenerbe organizowało wyprawy do Tybetu w latach trzydziestych, a nawet w następnym dziesięcioleciu, gdy w Europie szalała wojna. Na rozkaz wysoko postawionych nazistów, którzy byli członkami niesławnego Towarzystwa Thüle, między innymi Himmlera, do Azji wysłano trzy ekspedycje. Towarzystwo Thüle wierzyło, że pod Himalajami znajdują się podziemne miasta wybudowane przez potomków Atlantydw. Aryjska rasa panów też miała pochodzić od Atlantydw. Badacze dokonali wielu odkryć z historii Tybetu, ale nie znaleźli żadnych śladów zaginionej cywilizacji i wrócili do Niemiec z pustymi rękami.

Lecz dokumenty, które miał teraz Henry, świadczyły, że była też czwarta ekspedycja, którą zachowano w tajemnicy nawet przed samym Hitlerem.

Führer nie wierzył w mity tak mocno jak niektórzy jego podwładni. Gdy wojna rozpętała się na dobre, wiedziony pragmatyzmem uznał, że środki państwowe lepiej przeznaczyć na prowadzenie wojny niż na wyprawy na drugi koniec świata w poszukiwaniu legendarnego kontynentu.

Himmler jednak był zafascynowany tym mitem. A odkrycia Ahnenerbe przekonały go, że Atlantyda jest na wyciągnięcie ręki.

Henry z zaskoczeniem stwierdził, że on i Laura podążali tym samym tropem... tylko że pół wieku za późno. Zebrałszy poszlaki z dziesiątków, ba! setek, źródeł historycznych, strzępy informacji, które układały się w niepełny obraz jakby z łamigłówek, Wilde'owie dziesięć lat wcześniej wybrali się z Niną na wybrzeże Maroka. Ku radości Henry'ego, pod piaskami Afryki znaleźli ślady starożytnej osady, lecz radość szybko zmieniła się w rozczarowanie, gdy zdali sobie sprawę, że ktoś ich uprzedził. Wykopalisko zostało obrabowane ze wszystkiego z wyjątkiem kilku bezwartościowych przedmiotów. Teraz Henry wiedział przez kogo.

Naziści zebrali te same fragmenty informacji i wysłali ekspedycję do Maroka. Kilka kartek z dokumentów Ahnenerbe, które trzymał teraz w rękach, zawierało tylko mgliste odniesienia do tego, co tam znaleziono, ale na podstawie tych odkryć wysłano następną ekspedycję do Ameryki Południowej. Dokumenty milczały o znaleziskach tamtej wyprawy, ale ujawniały ostateczny wynik misji. Doprowadziła ona nazistów do Tybetu, do Złotego Szczytu.

Tutaj.

- Szkoda, że nie mamy więcej informacji - pożałował Henry. - Bardzo chciałbym wiedzieć, co znaleźli w Ameryce Południowej.

Laura otworzyła dokumenty na odpowiedniej stronie.

- Informacje, które mamy, są wystarczające. Dzięki nim dotarliśmy aż tutaj. - Przeczytała jedno zdanie ze zbutwiełej kartki: - „Złoty Szczyt, który podobno lśni od światła jutrzienki między dwiema ciemnymi górami”. Powiedziałaabym... - spojrzała na wznoszącą się przed nimi górę - że opis pasuje jak ulał.

- Na razie. - Henry skupił uwagę na tekście. Mimo że czytał go setki, tysiące razy, jeszcze raz sprawdził, czy się nie pomylił.

Nie. To było to miejsce.

- Wejście powinno się znajdować na końcu Księżycowego Szlaku... cokolwiek to jest. - Z lornetką przy oczach popatrzył na wznoszący się teren. Nie widział niczego prócz skał i śniegu. - Dlaczego w starych podaniach zawsze występują takie zagadkowe nazwy? Czy ten szlak zdaje się prowadzić do Księżyca, czy jest zgodny z ruchem Księżyca po niebie, czy co?

- Myślę, że po prostu wygląda jak Księżyc - powiedziała Laura znacząco. - A właściwie jak półksiężyc.

- Dlaczego tak sądzisz? - Przyglądając się zboczowi góry, wciąż nie widział niczego, co nawet w przybliżeniu przypominałoby kształtem Księżyc.

- Ponieważ - odparła, kładąc rękę na lornetce i delikatnym ruchem odrywając ją od jego oczu - widzę go tuż przed sobą. Henry zamrugał, zastanawiając się, co żona ma na myśli, aż wreszcie sam to zobaczył.

Miał półksiężyc tuż przed sobą ale za bardzo przejął się poszukiwaniem jakiegoś konkretnego szczegółu, by dostrzec coś tak dużego.

Długi, zakrzywiony szlak biegł w lewo, wznosząc się prawie do szczytu góry, po czym zawracał w prawo, kończąc się szeroką półką trochę powyżej. W przeciwieństwie do bezładnej mieszaniny ciemnych skał i białych plam śniegu szlak tworzył prawie półksiężyc bieli, co świadczyło o tym, że teren jest tam gładszy i prawie płaski. Henry nie mógł uwierzyć, że nie zauważył go wcześniej.

- Lauro?

- Tak?

- To jedna z tych chwil, kiedy bardzo się cieszę, że się z tobą ożeniłem.

- Tak, wiem. - Uśmiechnęli się i pocałowali. - No więc - powiedziała, gdy się od siebie odsunęli. - Jak myślisz, jak to daleko?

- Jakieś półtora kilometra... ponad kilometr pod górę. No i jest dość stromo.

- Jeśli starożytni Atlantydzcy mogli tam wejść w sandałach, to myślę, że nam powinno się udać w traperkach.

- Też tak sądzę. - Henry schował segregator z powrotem do plecaka, a potem zamachał do pozostałych członków ekspedycji. - Dobra! To tu! W drogę!

Szlak okazał się trudniejszy, niż się spodziewali. Śnieg skrywał kamienie po lawinach, trzeba było ostrożnie stawiać każdy krok.

Kiedy dotarli na skalną półkę, słońce zdążyło schować się za szczytem góry, tak że cała wschodnia ściana znalazła się w cieniu. Henry odwrócił się i powiódł wzrokiem po horyzoncie, pomagając Laurze pokonać ostatnie metry drogi. Z północy napływały ciężkie chmury. Nie zauważył ich podczas forsownej wspinaczki, ale temperatura z pewnością spadła.

- Pogoda się psuje? - spytała Laura, podążywszy za jego spojrzeniem.

- Chyba zanoszą się na burzę śnieżną.

- Świetnie. Dobrze, że dotarliśmy tutaj, zanim się zaczęła. - Laura zerknęła przez ramię na półkę skalną która nawet w najwęższym miejscu miała koło piętnastu metrów szerokości. - Nie powinniśmy mieć problemów z rozbiciem obozowiska.

- Poproś przewodników, żeby rozstawili namioty, zanim pogoda się pogorszy - powiedział Henry.

Szlak kończył się tutaj, ściana nad półką skalną była tak stroma, że pokonanie jej wymagałoby sprzętu do wspinaczki. To nie stanowiło problemu, bo mieli odpowiednie wyposażenie. Ale jeśli dokumenty Ahnenerbe mówiły prawdę, nie powinno być takiej potrzeby...

Laura przekazała polecenie męża Tybetańczykom i wróciła do Henry'ego.

- Co zamierzasz zrobić?

- Pójdę się rozejrzeć. Jeśli są tu jakieś wejścia do jaskiń, powinniśmy je znaleźć bez trudu.

Laura uniosła brew, w jej intensywnie zielonych oczach błysnęło rozbawienie.

- Byle tylko nie rozbijać namiotów, co?

- W końcu za to płacimy Tybetańczykom! - Odwrócił się do mężczyzny siedzącego samotnie na pobliskim głazie. - A ty, Jack? Idziesz?

Trzeci Amerykanin w ekspedycji spojrzął na nich spod kaptura parki. - Potrzebuję trochę wytchnienia, Henry! Poczekał tutaj i zagotuję wodę na kawę.

- Nie możesz żyć bez kofeiny nawet w Tybecie, co? - Wilde'owie przewrócili oczami, a potem ruszyli pod górę, zostawiając Jacka samego. - Przez lata powtarzał nam, że szukanie Atlantydy to szaleństwo, potem, gdy wreszcie natrafiliśmy na dobry trop, prawie błagał, żebyśmy go ze sobą zabrali... a teraz, gdy jesteśmy prawie u celu, postanawia zrobić sobie przerwę na kawę! - powiedział Henry. - Dziwak.

- Racja. A my nie jesteśmy dziwakami, którzy przez ostatnie dwadzieścia lat uganiają się po świecie za legendami?

- Cóż. Nie będziemy nimi, kiedy znajdziemy Atlantyde, prawda? Będziemy najślawniejszymi archeologami od czasów...

- Indiany Jonesa? Henry się uśmiechnął.

- Miałem zamiar powiedzieć „od czasów Heinricha Schliemanna”, ale Indiana Jones też może być. Myślisz, że dobrze wyglądałbym w fedorze?

Laura ostentacyjnie obejrzała go od stóp do głów.

- Myślę, że we wszystkim wyglądałbyś dobrze. Albo w niczym.

- Zachowuj się, kokietko. Poczekał, aż znajdziemy się gdzieś, gdzie będzie centralne ogrzewanie. Albo przynajmniej ogień w kominku.

- Trzymam cię za słowo. A ogień w kominku brzmi o wiele bardziej romantycznie.

Szli dalej wzdłuż skalnej półki, śnieg skrzypiał im pod butami. Po paru minutach Henry przystanął, wpatrując się w kamienną ścianę.

- Masz coś? - spytała Laura.

- Te warstwy skalne... - powiedział, wskazując na nie. Tysiące lat temu olbrzymie siły doprowadziły do spiętrzenia się Himalajów, tam gdzie zderzyły się indyjska i azjatycka płyta tektoniczna. Warstwy skalne powyginały się tak, że biegły prawie pionowo zamiast poziomo.

- Co w nich dziwnego?

- Gdyby pozbyć się tych kamieni - powiedział Henry, podchodząc do stosu gruzu - chyba mielibyśmy wejście.

Laura spojrziała mu przez ramię i zobaczyła ciemną szparę.

- Na tyle duże, żeby można się było przez nie przecisnąć?

- Przekonajmy się! - Chwycił kawał skały na samej górze. Posypał się śnieg i kamyki. Dziura się powiększyła. - Pomóż mi.

- Więc to tak. Płacisz tubylcom za rozbijanie namiotów, ale kiedy trzeba przenosić ciężkie głazy, zatrudniasz do tego żonę...

- Ziemia musiała się osunąć. Widać tylko górną część wejścia. - Z pomocą Laury odepchnął na bok jeszcze kilka kamieni. - Zaświeć do środka latarką, zobacz, gdzie kończy się wnęka.

Laura zdjęła plecak i wyciągnęła latarkę Maglite, świecąc nią w głąb dziury.

- Nie widzę tylnej ściany. - Umilkła, a potem krzyknęła: - Echo! - Z głębi ciemnej komory dobiegło słabe odbicie jej głosu. - Hm. Przepraszam.

- W każdym razie jest tam sporo miejsca. - Laura zdzieliła go lekko w tył głowy. - Myślę, że gdyby się nam udało odsunąć ten głaz, moglibyśmy się przecisnąć.

- Chciałeś powiedzieć, że ja mogłabym się precyzyjnie.

- No oczywiście! Kobiety mają pierwszeństwo.

- Głupia rycerskość - poskarżyła się żartobliwie Laura.

Oboje chwycili za głaz, zaparli się i pociągnęli. Przez moment nic się nie działo, a potem skała ustąpiła z głośniejszym chrzęstem. Otwór miał teraz około metra wysokości i nieco ponad trzydzieści centymetrów w najszerszym miejscu.

- Myślisz, że się zmieścisz? - spytał Henry.

Laura wsunęła rękę do środka i obmacała wewnętrzne ściany.

- Dalej tunel się rozszerza. Kiedy się już precyzyjnie, powinno być w porządku. - Pochyliła się bliżej i poświeciła latarką w dół. - Miałeś rację, że to osuwisko. Jest dość stromo.

- Przypnę cię do liny - powiedział Henry, zdejmując swój plecak. - W razie jakichkolwiek problemów wciągnę cię z powrotem.

Kiedy zamocował linę na uprząży żony, Laura związała włosy w kucyk i powoli wsunęła się do otworu nogami do przodu. Kiedy znalazła się w środku, ostrożnie wstała, czując, jak kamyczki przemieszczają się pod jej ciężarem.

- Co widzisz? - spytał Henry.

- Na razie tylko skały. - Kiedy oczy przyzwyczyły się trochę do ciemności, znów zapaliła latarkę. - Na dole chodnik jest równiejszy. Wygląda jak... - Znów poświeciła wyżej. Snop światła padł na skalne ściany, a potem w głęboką czarną dziurę. - Jest tu korytarz, dosyć szeroki, nie mam pojęcia, jak daleko prowadzi. Ale daleko. - W jej głosie dał się słyszeć entuzjazm. - Myślę, że został wykuty przez człowieka!

- Możesz tam zejść?

- Postaram się. - Unosząc ramiona, żeby zachować równowagę, ostrożnie zrobiła krok. Z przyzmy posypały się kamyczki. - Podłóżę się osuwa, możliwe, że będę musiała...

Pod jej prawą stopą obluźował się z chrzęstem większy odłamek skalny. Zaskoczona, upadła na plecy i zjechała po zboczu. Latarka potoczyła się ze stukotem przed nią.

- Lauro! Lauro!!!

- Nic mi się nie stało! Po prostu się poślizgnęłam. - Podźwignęła się na nogi. Grube ubranie uchroniło ją przed stłuczeniami i sińcami.

- Chcesz, żebyśmy wciągnęli cię z powrotem na górę?

- Nie, nic mi nie jest. Równie dobrze mogę się tu trochę rozejrzeć. - Pochyliła się, żeby podnieść solidną latarkę w metalowej obudowie...

I zdała sobie sprawę, że nie jest sama.

Znieruchomiała na moment, bardziej z szoku niż ze strachu. Potem ciekawość wzięła górę i poświeciła latarką dookoła.

- Kochanie? - zawołała do Henry'ego.

- No?

- Pamiętasz tę ekspedycję, którą naziści wysłali do Tybetu i o której słuch zaginął?

- Tak, no wiesz, zupełnie o niej zapomniałem - odkrzyknął z sarkazmem. - A co?

- Myślę, że właśnie ją znalazłam - zawołała triumfalnie.

W jaskini było pięć trupów. Szybko stało się jasne, że ludzie ci nie zginęli od lawiny, która zasypała wejście. Sądząc po wyglądzie prawie zmumifikowanych ciał, najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci było wyziębienie: lodowate himalajskie powietrze wysuszyło i zakonserwowało ciała. Podczas gdy pozostali członkowie ekspedycji przeszukiwali jaskinię, Wilde'owie skupili uwagę na zwłokach.

- Pogoda musiała się załamać - stwierdził Henry, kucając, żeby przyjrzeć się ciałom w blasku latarki - więc schowali się tu przed nawałnicą... i nigdy stąd nie wyszli.

- Zamierzli na śmierć. Nie chciałabym tak umrzeć - skrzywiła się Laura.

Jeden z tybetańskich przewodników, Sonam, zawołał ich z głębi jaskini.

- Profesorze Wilde! Coś tu jest!

Henry i Laura pozostawili ciała i weszli szybko w głąb pieczary. Tak jak przypuszczała Laura, korytarz był wyraźnie dziełem człowieka: został wykuty w litej skale. Jakieś dziesięć metrów dalej latarki pozostałych członków wyprawy oświetlały to, co znajdowało się na końcu jaskini.

Była to świątynia... albo grobowiec.

Jack zajął się już oględzinami czegoś, co wyglądało na ołtarz stojący pośrodku prostokątnej komnaty.

- To nie jest zabytek kultury tybetańskiej - oświadczył, gdy Wilde'owie weszli do komnaty. - Te inskrypcje to pismo glozelskie albo jakaś jego odmiana.

- Glozelskie? - powiedział Henry z mieszaniną radości i zdziwienia w głosie. - Zawsze twierdziłem, że glozelski mógł być językiem Atlantydwów!

- Jest prawie z drugiego końca świata - zauważyła Laura.

Oświetliła latarką ściany. Wykute w skale kolumny, które podpierały sufit, były kanciaste i niemal przytłaczające. Naziści czuliby się tu jak w domu, pomyślała. Zwolennikiem monumentalnej architektury był Albert Speer.

Między kolumnami wyryto płaskorzeźby przedstawiające ludzkie postaci. Henry zbliżył się do największej z nich. Chociaż sylwetki, podobnie jak cała komnata, były mocno wystylizowane, natychmiast zorientował się, kto został tu uwieczniony. - Posejdon - wymamrotał.

Laura podeszła bliżej.

- Mój Boże, to rzeczywiście Posejdon. - Sposób przedstawienia postaci był inny niż w sztuce greckiej, lecz trójzab w prawej dłoni nie pozostawiał wątpliwości.

- Cóż - powiedział Jack - pan Frost z pewnością się ucieszy, że ekspedycja się powiodła...

- Do diabła z Frostem - prychnęła Laura. - To nasze odkrycie. Frost tylko wsparł nas finansowo.

- Hola, hola - powiedział Henry, żartobliwie klepiąc ją po ramieniu. - Przynajmniej dzięki niemu nie musieliśmy wybierać między naruszeniem funduszu na studia córki a sprzedażą samochodu! - Rozejrzał się dookoła. - Sonam, czy jest tu coś jeszcze? Jakież inne komnaty albo korytarze?

- Nie - Zaprzeczał Sonam.

- Och - westchnęła Laura z rozczarowaniem. - To już wszystko? To znaczy, wiem, że to wielkie odkrycie, ale byłam przekonana, że znajdziemy więcej... -

- I niewykluczone, że tak będzie - pocieszył ją Henry. - Wzdłuż skalnej półki mogą być ukryte inne grobowce. Będziemy szukać.

Ruszył korytarzem z powrotem do pięciu trupów. Laura i Jack poszli za nim. Zwłoki były opatulone w staromodną ciepłą odzież, obciążone pociemniałą, przypominającą pergamin skórą twarze wpatrywały się w niego pustymi oczodołami.

- Ciekawe, czy jest wśród nich Krauss.

- Owszem, jest. - Laura wskazała jedną z postaci. - Oto nasz dowódca wyprawy.

- Skąd wiesz?

Pokazała obleczoną w rękawiczkę dłonią ciało tak, że prawie dotknęła palcem jego klatki piersiowej. Henry przybliżył latarkę, żeby obejrzeć małą metalową odznakę przypiętą do tkaniny, znak...

Przebiegł go dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnem. Była to wystylizowana odznaka - trupia czaszka Schutzstaffel - SS. Ponura organizacja przestała istnieć ponad pół wieku temu, lecz jej symbol wciąż budził niepokój.

- Jurgen Krauss - powiedział wreszcie Henry, przyglądając się trupowi dokładniej. W fakcie, że dowódca nazistowskiej ekspedycji sam przypomina teraz emblemat SS, kryła się pewna ironia. - Nigdy nie sądziłem, że pana spotkam. Ale co pana tu sprowadziło?

- Dlaczego nie sprawdzimy? - spytała Laura. - Tu jest jego plecak, a w nim prawdopodobnie notatniki. Zajrzyj do środka.

- Czekaj, chcesz, żebym właśnie ja to zrobił?

- Oczywiście! Nie mam zamiaru dotykać martwego nazisty. Fuj!

- Jack?

Jack pokręcił głową.

- Te zwłoki nie są tak stare jak te, z którymi mam zwykle do czynienia.

- Mięczak - skwitował Henry z uśmiechem. Wyciągnął rękę i starając się nie poruszyć nieboszczyka, otworzył plecak.

Zawartość wyglądała z początku prozaicznie: latarka, której blaszaną obudowę pokryły pęcherzyki rdzy od baterii, które dawno wylały, pogniecione kawałki pergaminowego papieru, w które zawinięto resztki prowiantu. Ale były też rzeczy znacznie ciekawsze. Złożone płachty map, oprawne w skórę zeszyty, kawałki cienkiego papieru ze skopiowanymi techniką frotazu napisami glozelskimi, wyświecona miedziana płytka z rysunkiem wyglądającym na mapę... i coś, co starannie zawinięto w tkaninę, która jak stwierdził z zaskoczeniem Henry, okazała się ciemnym aksamitem.

Laura wzięła do ręki miedzianą płytkę.

- Wyglądająca przez piasek... myślisz, że mogli ją znaleźć w Maroku?

- Możliwe. - Najpierw należało przejrzeć zeszyty, ale tajemniczy przedmiot - płaski, długi na jakieś trzydzieści centymetrów i zaskakująco ciężki - zaintrygował go na tyle, że ostrożnie położył zawiniątko na ziemi obok lampki i zaczął odpakowywać.

- Co to takiego? - spytała Laura.

- Nie mam pojęcia. Ale myślę, że coś z metalu. - Aksamit, zeszytywniały od zimna i ze starości, ustępował niechętnie, gdy Henry odwijął ostatnią warstwę.

- O kurczę - westchnęła Laura.

Oczy Jacka zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Aksamitne zawiniątko skrywało metalową sztabkę o szerokości około pięciu centymetrów, z zaokrąglonym końcem, gdzie wryto grot strzały. Nawet w zimnym błękitnym świetle latarki przedmiot zdawał się rozświetlony czerwonozłotym blaskiem niepodobnym do niczego, co można znaleźć w przyrodzie.

Henry, oczarowany, pochylił się, żeby się lepiej przyjrzeć. W przeciwieństwie do płytki, którą trzymała teraz Laura, sztabka nie miała żadnych mechanicznych uszkodzeń ani śladów upływu czasu. Wyglądała, jakby została świeżo wypolerowana. Metal nie był złotem ani brązem, ale...

Laura też pochyliła się niżej, jej oddech na krótką chwilę osiadł drobną rosą na zimnej powierzchni.

- Czy to jest to, co myślę, że jest?

- Na to wygląda. Mój Boże. Nie mogę w to uwierzyć. Naziści znaleźli przedmiot zrobiony z *orichalcum*, metalu opisanego przez Platona. Prawdziwy przedmiot z Atlantydy! I dokonali tego pięćdziesiąt lat temu!

- Kiedy wrócimy do domu, będziesz musiał przeprosić Ninę - zauważyła Laura. - Zawsze uważała, że kawałek metalu, który znalazła w Maroku, to *orichalcum*.

- Chyba masz rację - odparł Henry, ostrożnie podnosząc sztabkę. - Nie ma mowy, żeby to był po prostu przebarwiony brąz. - Zauważył, że spód nie był płaski: na drugim końcu, który miał kwadratowy przekrój, z jednej strony znajdowała się wypukłość w kształcie koła, a z przeciwnej wcięcie tworzące czterdziestopięciostopniowy kąt. - Myślę, że to tylko część czegoś większego - stwierdził. - Tak, jakby to miało z czegoś zwisać.

- Albo się kiwać - zasugerowała Laura. - Jak ramię wahadła. Henry przesunął opuszką palca po grocie strzały.

- Wskazówka?

- Co to za znaczki? - spytał Jack.

Wzdłuż sztabki biegła cienka linia, a po bokach widniały symbole. Serie maleńkich kropek zgrupowanych po osiem albo mniej. Widać było także...

- Znowu pismo glozelskie - powiedział Henry. - Ale niezupełnie takie jak w grobowcu... Spójrz, niektóre znaki przypominają raczej hieroglify. - Porównał je z kopiami na kartkach. Styl był ten sam. - Intrygujące.

Jack przyjrzał się im dokładniej.

- Pismo przypomina olmeckie albo jakąś jego odmianę. Dziwna mieszanka...

- Co tam jest napisane? - Laura się niecierpliwiła.

- Nie mam pojęcia. Nie czytam płynnie w tym języku. Cóż, w każdym razie jeszcze nie. - Odkaszlnął skromnie.

- Inskrypcje wyglądają jakby zostały dodane później - zauważył Henry. - Są wyryte znacznie mniej precyzyjnie niż grot strzały. - Skupił uwagę z powrotem na tajemniczym przedmiocie. - To znalezisko wystarczy, by uznać, że nasza wyprawa zakończyła się sukcesem! - Skoczył na równe nogi, wydał okrzyk triumfu i przytulił Laurę. - Udało nam się! Znaleźliśmy dowód, że Atlantyda jest czymś więcej niż legendą! Pocałowała go.

- Teraz musimy tylko znaleźć samą Atlantydę, co?

- No cóż, wszystko po kolei.

Okrzyk z głębi jaskini przykuł ich uwagę.

- Tam coś jest, profesorze! - zawołał Sonam. Pozostawiając metalowy przedmiot na ziemi, Henry i Laura pobiegli do Tybetańczyka.

- Proszę na to spojrzeć - powiedział Sonam, oświetlając latarką ścianę grobowca. - Myślałem, że to tylko rysa w skale, ale potem zdałem sobie sprawę, że to coś innego. - Ściągnął rękawiczkę, wetknął czubek małego palca w pionową szczelinę i przesunął palec powoli w górę. - Na całej długości ma dokładnie tę samą szerokość. A tam jest druga, identyczna. - Wskazał fragment ściany jakieś trzy metry dalej.

- Drzwi? - spytała Laura.

Henry powiodł światłem latarki wzdłuż szpary, aż natrafił na ledwo widoczną linię biegnącą poziomo na wysokości około dwóch i pół metra.

- Wielkie drzwi. Jack musi to zobaczyć. - Podniósł głos. - Jack? Jack! - Odpowiedziało mu tylko echo. - Gdzie on się podział?

Laura pokręciła głową.

- A to dopiero moment, żeby sobie zrobić przerwę na siusiu. To najważniejsze odkrycie archeologiczne stulecia, a on...

- Profesorze Wilde! - odezwał się inny Tybetańczyk. - Coś się dzieje na zewnątrz! Proszę posłuchać!

Wszyscy umilkli i prawie wstrzymali oddech. Dobiegło ich miarowe dudnienie, a w tle jęk silnika.

- Helikopter? - wykrzyknęła Laura z niedowierzaniem. - Tutaj?

- Chodź - warknął Henry, biegnąc do wyjścia.

Niebo na zewnątrz zdążyło znacznie pociemnieć. Podciągając się na linie, Henry wspiał się po kupie kamieni, a Laura za nim.

- Chińskie wojsko? - zapytała.

- Skąd wiedzieli, gdzie jesteśmy? Nawet my nie wiedzieliśmy dokładnie, dokąd się wybieramy, póki nie dotarliśmy do Xulaodang. - Henry przecisnął się przez otwór i stanął na szerokiej półce. Pogoda bardzo się pogorszyła, zerwał się silny wiatr.

Ale w tej chwili nie to było jego największym zmartwieniem. Szukał wzrokiem helikoptera. Hałas się potęgował, ale samej maszyny nie było nigdzie widać.

Ani Jacka.

Z jaskini wyłoniła się Laura.

- Gdzie on jest?

Jej pytanie znalazło odpowiedź chwilę później, gdy helikopter pojawił się na niebie.

Henry natychmiast zorientował się, że to nie Chińczycy. Maszyna nie była oznaczona czerwonymi gwiazdami. W ogóle nie miała żadnych oznaczeń, nawet numeru na ogonie. Była tylko pomalowana w ciemnoszare barwy maskujące, które od razu skojarzyły mu się z siłami specjalnymi. Ale czyimi?

Nie znał się na lotnictwie tak dobrze, by rozpoznać model śmigłowca, ale maszyna była na tyle duża, że mogła przewozić co najmniej kilku pasażerów. Za szybą kokpitu widział pilotów, którzy obracali głowy na boki, jakby czegoś szukali.

Nie czegoś, tylko kogoś.

Ich.

- Wracaj do jaskini! - krzyknął do Laury.

Z zaniepokojoną miną zniknęła w ciemności.

Helikopter się zbliżył. Z ziemi wzbily się tumany śniegu. Henry wycofał się w kierunku jaskini.

Jeden z pilotów pokazał palcem na ziemię. Na niego.

Maszyna obróciła się niczym gigantyczny insekt, okna kokpitu łypnęły na Henry'ego niby ogromne owadzie oczy, po czym bestia ustawiła się bokiem do zbocza. Rozsunęły się drzwi na burcie. Chwilę później dwa zwoje lin opadły na ziemię niczym węże.

Z kołyszącego się helikoptera wyłoniły się dwie ciemne postacie, które zaczęły schodzić po linach na ziemię.

Henry natychmiast spostrzegł, że obaj są uzbrojeni: mają karabiny automatyczne przewieszzone przez plecy.

Jedyną bronią, jaką dysponowała ekspedycja, była zwykła strzelba myśliwska, której używali raczej do płoszenia dzikich zwierząt niż do polowania. A nawet jej nie mieli przy sobie - zostawili ją w obozie.

Ledwie sekundę po tym, jak dwaj mężczyźni dotknęli ziemi, po linach zaczęła schodzić następna para. Ci też byli uzbrojeni.

Henry wskoczył do jaskini, zjechał po pryzmie kamieni i uderzył mocno o skalny chodnik.

- Henry! - zawołała Laura. - Co się dzieje?

- Nie sądzę, żeby mieli przyjazne zamiary - powiedział z ponurą miną. - Jest ich co najmniej czterech i mają broń.

- O mój Boże! A co z Jackiem?

- Nie wiem, nie widziałem go. Musimy szybko otworzyć tamte drzwi. Chodź. - Kiedy Laura pobiegła do grobowca, Henry, wiedziony jakimś instynktem, podniósł atlantydzki artefakt i biegnąc, owinał go w aksamit.

Czterej Tybetańczycy gorączkowo przeszukiwali ściany grobowca.

- Nic tu nie ma!

- Musi coś być! - krzyknął Henry. - Jakaś zapadka, dziurka od klucza, cokolwiek! - Obejrzał się za siebie. W wejściu do jaskini pojawiła się ciemna sylwetka. Chwilę później zniknęła, jakby została połknięta przez ziemię tylko po to, by mogła pojawić się następna. - Cholera! Są w jaskini!

Laura chwyciła go za ramię.

- Henry!

Następna sylwetka i jeszcze jedna, i następna... Pięciu ludzi! Wszyscy uzbrojeni. Znaleźli się w potrzasku.

Cienkie czerwone linie przecięły ciemność. Celowniki laserowe, a tuż po nich ostre światło halogenowych latarek. Snopy światła tańczyły przez chwilę w mroku, aż spoczęły na grupce w grobowcu.

Henry znieruchomiał, prawie oślepiiony światłem, nie wiedział, co robić. Nie mieli dokąd uciec, a laserowe punkciki tańczące na ich ciałach znaczyły, że nie mogą się również bronić...

- Profesorze Wilde!

Henry osłupiał. Znali jego nazwisko?

- Profesorze Wilde! - powtórzył głos. Był głęboki i dźwięczny, z obcym akcentem... Greckim? - Proszę się nie ruszać. Pani też, doktor Wilde - dodał, zwracając się do Laury.

Intruzi zaczęli podchodzić bliżej.

- Kim jesteście? - zawołał Henry, żądając wyjaśnień. - O co wam chodzi?

Mężczyźni trzymający latarki zatrzymali się, do członków ekspedycji zbliżała się tylko jedna wysoka postać.

- Nazywam się Giovanni Qobras - rzekł mężczyzna. Od ścian podziemnej komory odbijało się dość światła, by Henry dojrzał rysy twarzy przybysza. Grubo ciosana, kanciasta twarz z wydatnym rzymskim nosem, ciemne, wypomadowane włosy zaczesane do tyłu. - Przykro mi, ale... chodzi nam o was.

Laura popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Co pan ma na myśli?

- To, że nie mogę wam pozwolić na dalsze poszukiwania. Ryzyko, jakie niosłoby to dla świata, byłoby zbyt duże. Przepraszam. - Pochylił na chwilę głowę, a potem zrobił krok do tyłu. - To nie jest nic osobistego.

Wiązki laserów znieruchomiały na ciałach Henry'ego i Laury. Henry otworzył usta.

- Czekajcie...

W grobowcu hałas karabinów automatycznych był ogłuszający.

Qobras wpatrywał się w sześć podziurawionych kulami ciał, gdy czekał, aż echo wystrzałów umilknie. Potem wydał serię krótkich rozkazów.

- Zbierzcie wszystko, co dotyczy ich ekspedycji: mapy, notatki, wszystko. Zróbcie to samo z tamtymi przy wejściu. - Skinął na martwych nazistów. - Przypuszczam, że to ludzie z wyprawy Kraussa. Jedna historyczna zagadka rozwiązana... - dodał jakby do siebie, gdy podwładni rozdzielili się, żeby przeszukać zwłoki.

- Giovanni! - krzyknął chwilę później jeden z nich, ten, który kucnął przy ciele Henry'ego.

- Co tam, Juri?

- Musisz to zobaczyć. Qobras podszedł bliżej.

- Mój Boże!

- To *orichalcum*, prawda? - spytał Juri Wolgan, świecąc latarką na przedmiot, który właśnie odwinął z aksamitu. Ciemnopomarańczowy blask padł na twarze obu mężczyzn.

- Tak... ale nigdy wcześniej nie widziałem całego przedmiotu z tego metalu, tylko małe fragmenty.

- Piękny... i musi być wart fortunę. Miliony dolarów, dziesiątki milionów!

- Co najmniej. - Qobras wpatrywał się w artefakt przez dłuższą chwilę, widząc własne oczy odbite w metalowej powierzchni. Potem wyprostował się gwałtownie. - Ale musi pozostać w ukryciu. - Wyciągnął latarkę i rozejrzał się po ścianach grobowca. Nie zobaczył niczego z wyjątkiem płaskorzeźb starożytnych bóstw. Zwróciwszy się w stronę ołtarza, przebiegł wzrokiem inskrypcje. - Pismo glozelskie... ale nie ma niczego o Atlantydzie.

- Może powinniśmy przeszukać grobowiec - zaproponował Wolgan, spoglądając na metalowy przedmiot po raz ostatni, zanim zawiązał go znowu w aksamit.

Qobras się zamyślił.

- Nie - powiedział w końcu. - Nic tu nie ma, wcześniej ktoś musiał go ograbić. Naprawdę myślałem, że Wilde'owie poprowadzą nas dalej, do samej Atlantydy, ale to tylko kolejny martwy trop. Musimy się stąd wynieść, zanim rozpęta się burza. - Odwrócił się i pomaszerował korytarzem do wyjścia.

Za jego plecami Wolgan obejrzał się przez ramię i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, schował artefakt pod grubą kurtkę.

Qobras stanął na krawędzi półki i zamachał flarą wzywając kołujący helikopter. Potem odwrócił się do mężczyzny stojącego przy obozowisku nieszczęsnej ekspedycji.

- Postąpiłeś dobrze. Twarz Jacka skrywał kaptur.

- Nie jestem z tego dumny. Byli moimi przyjaciółmi... a co się stanie z ich córką?

- Trzeba było to zrobić - powiedział Qobras. - Bractwo nie może pozwolić, aby ktokolwiek znalazł Atlantyde. - Zmarszczył brwi. - A w szczególności Kristian Frost. Sponsoruje pośredników takich jak Wilde'owie... wie, że mamy go na oku.

- A co, jeśli Frost zacznie podejrzewać, że pracuję dla was? - zapytał nerwowo Jack.

- Będziesz musiał go przekonać, że to był wypadek. Możemy cię wysadzić dziesięć kilometrów od Xulaodang... ryzyko, że ktoś cię zobaczy w naszym towarzystwie, będzie minimalne. Potem możesz wrócić do wioski, skontaktować się z Frostem i przekazać mu złe wieści: że była lawina i tylko ty przeżyłeś, że oberwała się skała albo coś w tym rodzaju. - Qobras wyciągnął rękę. - Radio?

Jack poszperał w plecaku i zwrócił właścicielowi ciężki nadajnik, za pomocą którego przekazał Qobrasowi namiary na Złoty Szczyt.

- Będę musiał porozmawiać także z innymi. Z chińskimi władzami, z ambasadą amerykańską...

- Po prostu dopilnuj, żeby twoja historia była spójna, a gdy wrócisz do Ameryki, zapłata będzie już na ciebie czekać. Gdybyś w przyszłości dowiedział się, że ktoś inny próbuje iść tym samym szlakiem co Wilde'owie, oczywiście natychmiast mnie powiadomisz? - Za to mi płacicie - odparł ponuro Jack.

Chłodny uśmiech, a potem Qobras podniósł wzrok na zbliżający się helikopter. Jego światła nawigacyjne jarzyły się na tle ciemniejącego nieba.

Pięć minut później śmigłowiec odleciał.

1

Nowy Jork.

Dziesięć lat później

Kiedy doktor Nina Wilde stanęła przed drzwiami, wzięła głęboki oddech, a własne odbicie popatrzyło na nią w zamyśleniu z przyciemnionej szyby. Ubrała się elegancko, wygodny T-shirt i workowate spodnie zostały zastąpione przez rzadko noszony granatowy

garnitur, a sięgające do ramion kasztanowe włosy spięła w kok. Od tego spotkania wiele zależało i chociaż znała wszystkich w komisji, chciała zrobić wrażenie profesjonalistki. Upewniwszy się, że dobrze wygląda i że nie umazała sobie policzków szminką, przygotowała się psychicznie do wejścia do sali, niemal nieświadomie unosząc dłoń do wisiorka na szyi. Jej talizman szczęścia.

Zakrzywiony, długi na pięć centymetrów kawałek metalu o ostrych krawędziach i powierzchni wytartej twardymi ziarnami marokańskiego piasku znalazła dwadzieścia lat temu podczas archeologicznej ekspedycji, na którą zabrali ją rodzice, gdy miała osiem lat. Wtedy, z głową pełną opowieści o Atlantydzie, wierzyła, że jest zrobiony z *orichalcum*, metalu, który opisał Platon. Teraz, patrząc na niego bardziej krytycznym okiem osoby dorosłej, przyznawała rację ojcu, który stwierdził, że to tylko kawałek przebarwionego brązu, bezwartościowy odłamek zignorowany albo porzucony przez tych, którzy przeczesali teren wykopalisk przed nimi. Ale był z pewnością wykonany ręką człowieka - dowodziły tego widoczne, mimo wytarcia, znaki na krawędzi - a ponieważ stanowił jej pierwsze prawdziwe znalezisko, ostatecznie rodzice ulegli jej prośbom i pozwolili zachować ten kawałek metalu.

Po powrocie do Stanów Zjednoczonych ojciec zrobił z niego wisiorek. Uradowana dziewczynka od razu uznała, że przyniesie jej szczęście. Chociaż na razie nic tego nie dowodziło - akademickie sukcesy zawdzięczała wyłącznie własnej inteligencji i ciężkiej pracy, a wygrane na loterii jakoś nie chciały przyjść - jedno wiedziała na pewno: w dniu, gdy go nie założyła, zapomniawszy o nim w szalonym porannym pędzie, kiedy mieszkała u przyjaciółki podczas egzaminów wstępnych na uniwersytecie, zginęli jej rodzice.

Od tego czasu wiele się w jej życiu zmieniło, ale nigdy nie zapomniała założyć naszyjnika.

Bardziej świadomie ścisnęła go jeszcze raz i opuściła rękę. Tego dnia potrzebowała mnóstwo szczęścia.

Zebrała się na odwagę i otworzyła drzwi.

Troje siedzących za potężnym starym dębowym biurkiem osób podniosło wzrok, kiedy weszła. Profesor Hogarth był zażywnym, sympatycznym starszym panem, którego niechęć do biurokracji i zagwarantowany etat aż do emerytury sprawiały, że miał opinię człowieka, który aprobuje przyznanie funduszy badawczych po prostu na podstawie prezentacji wzbudzających choćby odrobinę ciekawości. Nina miała nadzieję, że jej prezentacja okaże się lepsza.

Z drugiej strony, nawet najbardziej porywające wystąpienie w historii, zakończone prezentacją żywego dinozaura albo lekarstwa na raka, nie wystarczyłoby do zdobycia poparcia profesor Rothschild. Ale skoro stara jęcza o ściśniętych wargach jej nie cierpiała - tak jak każdej innej kobiety, która nie miała jeszcze trzydziestu lat - Nina od razu uznała przekonywanie jej za stratę czasu.

Tak więc mogła liczyć na jedno „nie” i jedno „może”. Ale przynajmniej mogła polegać na trzecim profesorze.

Jonathan Philby był przyjacielem rodziny. Był również człowiekiem, który przekazał jej wiadomość o śmierci rodziców.

Teraz wszystko zależało od niego, bo nie tylko miał decydujący głos, ale był też dziekanem wydziału. Jeśli go przekona, dostanie fundusze.

Jeśli nie, to...

Nie mogła sobie pozwolić na takie myśli.

- Pani doktor Wilde - powiedział Philby. - Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparła z szerokim uśmiechem. Przynajmniej Hogarth dobrze na to zareagował, chociaż Rothschild o mało nie skrzywiła się kwaśno.

- Proszę usiąść. - Nina zajęła miejsce na jedynym krześle naprzeciwko komisji. - Cóż - powiedział Philby - wszyscy mieliśmy okazję przemyśleć szkic pani projektu. Jest on dość... niezwykły, muszę przyznać. Nie co dzień trafia się na tym wydziale coś takiego.

- Och, a ja uznałem projekt za nadzwyczaj interesujący - powiedział Hogarth. - Bardzo dobrze przemyślany i bardzo śmiały. To miła odmiana, kiedy ktoś nie powieli utartych schematów.

- Obawiam się, że nie podzielam twojej opinii, Rogerze - wtrąciła Rothschild swoim szorstkim, piskliwym głosem. - Panno Wilde - nie „doktor Wilde”, pomyślała Nina. Wredny babsztyl - odniosłam wrażenie, że pani doktorat dotyczył archeologii. Nie mitologii. A Atlantyda jest mitem.

- Podobnie jak kiedyś Troja, Ubar i Siedem Pagod Mahabalipuram, póki ich nie odkryto - odparowała Nina. Mimo że Rothschild najwyraźniej podjęła już decyzję, Nina nie zamierzała poddawać się bez walki.

Philby pokiwał głową.

- W takim razie może zechciałaby pani opowiedzieć o swojej hipotezie coś więcej?

- Oczywiście. - Nina podłączyła swojego sponiewieranego w licznych podróżach, lecz niezawodnego laptopa Apple do projektora. Ekran obudził się do życia i pojawiła się na nim mapa Morza Śródziemnego i części Atlantyku na zachodzie.

- Atlantyda - zaczęła - stanowi jedną z najbardziej trwałych legend w historii, lecz wszystkie jej wersje mają początek w kilku źródłach. Platońskie *Dialogi* są oczywiście najbardziej znane, ale także w innych starożytnych kulturach pojawiają się odniesienia do wielkiej potęgi w basenie Morza Śródziemnego, a w szczególności o Ludach Morza, które zaatakowały i podbiły przybrzeżne obszary, które obecnie należą do Maroka, Algierii, Libii i Hiszpanii. Większość tego, co wiemy o Atlantydzie, pochodzi z dwóch dialogów Platona, *Timaios* i *Kritias*.

- A oba są bez wątpienia fikcją literacką - weszła jej w słowo Rothschild.

- Co prowadzi do pierwszej części mojej hipotezy - powiedziała Nina, przygotowana na ten zarzut. - Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich dialogach Platona, a nie tylko w *Timaiosie* i *Kritiasie*, można się doszukać elementów, które są sfabularyzowane, dzięki czemu autorowi łatwiej było przedstawić swoje idee, podobnie jak we współczesnych filmach biograficznych skraca się ciągi wydarzeń, a postaci na ekranie są syntezą kilku autentycznych osób. Platon nie pisał wszakże swych dialogów jako fikcji. Jego inne dzieła są powszechnie akceptowane jako dokumenty historyczne, więc dlaczego miałyby to nie dotyczyć akurat tych dwóch, w których wspomina się o Atlantydzie?

- Więc twierdzi pani, że wszystko, co Platon napisał o Atlantydzie, jest prawdą? - spytał Philby.

- Niezupełnie. Mówię tylko, że Platon myślał, że pisze prawdę. Ale usłyszał ją od Kritiasa, który z kolei opierał się na zapiskach swojego dziadka Kritiasa Starszego, który o Atlantydzie słyszał w dzieciństwie od Solona, ten ostatni zaś dowiedział się o tym od egipskich kapłanów. Mamy tu więc coś w rodzaju zabawy w głuchy telefon, więc nieuchronnie musi dojść do zniekształcenia pierwotnej wiadomości, tak jak wtedy, gdy robi się kopię kopii z jeszcze innej kopii. Jednym z obszarów, gdzie z czasem mogło dojść do przekłamań, jest układ jednostek miar. W *Kritiasie*, który zawiera większość szczegółowych opisów Atlantydy, występuje osobliwość, która jest tak oczywista, że nikt zdaje się jej nawet nie zauważać.

- Mianowicie jaka? - spytał Hogarth.

- Wszystkie wymiary Atlantydy przytoczone przez Platona są nie tylko ładnie zaokrąglone, ale także podane w greckich jednostkach miar! Platon pisze na przykład, że równina, na której leżała stolica Atlantydy, mierzyła trzy tysiące na dwa tysiące stadiów. Po

pierwsze, musiałyby to być bardzo proporcjonalna równina. Po drugie, to zdumiewające, że tak dokładnie pasowała do greckich jednostek miar, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wiadomości o niej pochodzą z egipskiego źródła! - Nina uświadomiła sobie, że za bardzo się ekscytuje, spróbowała nad sobą zapanować. - Nawet jeśli atlantydzką jednostką długości był stadion, to jest mało prawdopodobne, by równała się ona jednostce egipskiej... albo większej od tej ostatniej jednostce greckiej.

Rothschild wydeła wargi.

- To bardzo interesujące - rzekła tonem sugerującym, że myśli coś zupełnie przeciwnego - ale jak miałyby to pani pomóc w znalezieniu Atlantydy? Skoro nie wie pani, jaki układ jednostek miar mieli Atlantydzi, a nie wie tego również nikt inny, nie rozumiem, do czego pani zmierza.

Nina wzięła głęboki oddech, zanim zdobyła się na odpowiedź. Wiedziała, że to, co zamierza powiedzieć, może się okazać najślabszym punktem jej hipotezy. Jeśli troje wpatrujących się w nią z uwagą uczonych nie przyjmie jej rozumowania, to będzie po wszystkim...

- To jest właśnie kluczowy element mojego projektu - powiedziała z całą pewnością siebie, na jaką było ją w tej chwili stać. - Mówiąc krótko, jeśli przyjmie się wymiary podane przez Platona, gdzie jeden stadion równa się stu osiemdziesięciu pięciu metrom, Atlantyda musiałyby być bardzo dużą wyspą, długą co najmniej na pięćset pięćdziesiąt kilometrów i szeroką na trzysta siedemdziesiąt. Byłaby zatem większa od Anglii! - Wskazała na mapę na ekranie. - Na tym obszarze nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie można by ukryć coś tak dużego, nawet pod wodą.

- A Madera? - spytał Hogarth, pokazując na mapę. Portugalska wyspa leżała około sześćset kilometrów od afrykańskiego wybrzeża. - Czy tam mogłyby się znajdować pozostałości wyspy, która zapadła się pod wodę?

- Na pewnym etapie badań brałam to pod uwagę. Ale topografia nie potwierdza takiego przypuszczenia. W rzeczy samej, na wschodnim Oceanie Atlantyckim nie ma ani jednego miejsca, gdzie mogłaby się znajdować wyspa opisana przez Platona.

Rothschild prychnęła triumfalnie. Nina posłała jej jadowite spojrzenie i skupiła się z powrotem na mapie.

- Ale właśnie ten fakt stał się podstawą mojej hipotezy. Platon napisał, że Atlantyda znajdowała się na Atlantyku, za Słupami Heraklesa, które nazywamy obecnie Cieśniną Gibraltarską. Napisał też, że w przeliczeniu na współczesne jednostki miar Atlantyda miała ponad pięćset pięćdziesiąt kilometrów długości. Skoro nie ma świadectw, które pogodziłyby te dwa sądy, musimy założyć, że Atlantyda nie znajduje się tam, gdzie napisał Platon... albo podane przez niego wymiary są błędne.

Philby pokiwał milcząco głową. Nina wciąż nie potrafiła odgadnąć, co myśli... lecz nagle poczuła, że podjął już decyzję albo na tak, albo na nie.

- Więc - powiedział - gdzie jest Atlantyda?

Nina nie spodziewała się tego pytania tak szybko. Chciała stopniować napięcie i wyjawic odpowiedź na końcu wywodu.

- Hm, w Zatoce Kadyksu - odparła lekko zmieszana, wskazując palcem miejsce mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Gibraltaru. Jak sądzę.

- Sądzi pani? - zakpiła Rothschild. - Mam nadzieję, że ma pani na poparcie tego twierdzenia coś więcej niż tylko zgadywanki.

Suka!

- Jeśli pozwoli mi pani kontynuować, pani profesor Rothschild - odparowała Nina, starając się zachować uprzejmy ton - wyjaśnię, jak doszłam do swojej konkluzji. Główną

przesłanką mojej hipotezy jest to, że Platon miał rację, a Atlantyda rzeczywiście istniała. Natomiast wymiary, które podał, były błędne.

- A nie lokalizacja wyspy? - spytał Hogarth. - Odrzuca pani wszystkie współczesne teorie, które mówią, że Atlantyda to Santorini, wyspa sąsiadująca z Kretą, a rzekoma cywilizacja atlantydzka to w rzeczywistości kultura minojska?

- Stanowczo je odrzucam. Starożytni Grecy wiedzieli już o Minojczykach. Poza tym chronologia się nie zgadza. Wybuch wulkanu, który zniszczył Santorini, nastąpił około dziewięćset lat przed czasami Solona, natomiast Atlantyda zaginęła dziewięć tysięcy lat wcześniej.

- Błąd Solona polegający na pomnożeniu liczby lat przez dziesięć jest powszechnie przyjmowanym wyjaśnieniem hipotezy łączącej kulturę minojską z mitem Atlantydy - wytknęła Rothschild.

- Egipski symbol oznaczający sto jest zupełnie różny od symbolu tysiąca - odparła Nina. - Żeby je pomylić, trzeba być dyletantem. - Rothschild skrzywiła się, lecz nie odpowiedziała. - Poza tym Platon *ex-pressis verbis* stwierdza w *Timaiosie*, że Atlantyda znajdowała się na Oceanie Atlantyckim, a nie na Morzu Śródziemnym. Platon był dość bystrym facetem, przypuszczam, że wiedział, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. Dlatego uważam, że podczas długotrwałego procesu przekazywania opowieści, najpierw przez Atlantydwów Egipcjanom, potem, po prawie dziewięciu tysiącach lat, przez egipskich kapłanów Solonowi, a później od Solona do Platona poprzez kilka pokoleń rodziny Kritiasa... wymiary się pokićkały.

Philby uniósł brew.

- Pokićkały?

- No, dobrze, to zbyt kolokwialne określenie, ale dość dobrze oddaje to, o czym myślę. Chodzi o to, że mimo iż nazwy pozostawały te same: stopy, stadia i tak dalej... to różne cywilizacje stosowały różne jednostki miar. Za każdym razem, gdy historia trafiała z jednej kultury do innej, liczby były zaokrąglane, a nawet zawyżane, żeby wywrzeć na słuchaczach większe wrażenie i uświadomić im, jak wspaniała była ta zaginiona cywilizacja, a tym samym błąd się powiększał. Zakładam, że jednostka, którą stosowali Atlantydzi, a która została przetłumaczona jako „stadion”, była znacznie mniejsza od stadionu helleńskiego.

- To bardzo zaskakujące założenie - powiedziała Rothschild. Nina widziała, że starą aż świerzbi, żeby dodać coś w rodzaju: Im bardziej zaskakujące założenia, tym słabsza głowa.

- Mogę je poprzeć logicznym rozumowaniem - odparła. - W *Kri-tiasie* podaje się rozmiary rozmaitych miejsc na Atlantydzie, lecz najważniejsze są te, które dotyczą zamku otoczonego systemem fos i kanałów w centrum atlantydzkiej stolicy.

- Tam, gdzie stały świątynie Posejdon i Kleito - zauważył Philby, gładząc w zamyśleniu wąsy.

- Tak. Platon powiada, że wyspa miała pięć stadiów średnicy. Jeśli posłużymy się greckim systemem miar, musimy uznać, że miała prawie kilometr średnicy. Jeśli z kolei atlantydzki stadion jest mniejszy, to różnica nie może być zbyt duża, ponieważ z *Kritiasa* wynika, że na wyspie musiało się zmieścić sporo zabudowań. Świątynia Posejdon była największa, o długości jednego stadionu, lecz oprócz niej były też inne świątynie, pałace, łaźnie... Zabudowa była prawie tak gęsta jak na Manhattanie!

- Więc na jak duży... czy raczej na jak mały... ocenia pani atlantydzki stadion? - spytał Hogarth.

- Sądzę, że musiał się równać co najmniej dwóm trzecim jednostki greckiej - wyjaśniła Nina. - Czyli miał około stu dwudziestu trzech metrów. Wtedy wyspa miałaby ponad sześćset metrów średnicy, co po odpowiednim przeskalowaniu świątyni Posejdon pozostawia akurat tyle miejsca, by wszystko mogło się zmieścić.

Hogarth zaczął robić na kartce jakieś obliczenia.

- Przy takiej jednostce długości wyspa byłaby, zobaczmy... Nina natychmiast wykonała obliczenia w pamięci.

- Miałaby trzysta siedemdziesiąt kilometrów długości i około dwustu pięćdziesięciu kilometrów szerokości.

Hogarth pisał jeszcze przez kilka sekund i uzyskał ten sam wynik.

- Hm. To znaczy, że nie leżała w Zatoce Kadyksu, bo musiałaby zajmować całą zatokę.

- Ale trzeba wziąć pod uwagę prawdopodobieństwo innych przekłamań - powiedziała Nina. - Trzy tysiące na dwa tysiące stadiów jako wymiary centralnej równiny na Atlantydzie wydają się zaokrąglone. Poza tym mogły zostać wyolbrzymione, jeśli nie przez samego Platona, to na pewno przez Egipcjan, którzy wyraźnie starali się wyrzucić na Solonie wrażenie. Myślę, że trzeba założyć co najmniej piętnastoprocentowy margines błędu. Może nawet dwudziestoprocentowy.

- Następne założenie, panno Wilde? - wtrąciła Rothschild ze złośliwym błyskiem w oku.

- Nawet przy dwudziestoprocentowym marginesie błędu wyspa musiałaby mieć prawie trzysta kilometrów długości - dodał Hogarth.

- Istnieje również prawdopodobieństwo błędu spowodowanego ewentualnym przeniesieniem liczb z jednego systemu numerycznego na inny... - Nina czuła, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli. - Nie twierdzą, że wszystkie moje wyliczenia są w stu procentach poprawne. Dlatego tu jestem: mam hipotezę, która porządkuje wszystkie dostępne dane, i chcę... chciałabym - poprawiła się - prosić o możliwość jej zweryfikowania.

- Sonarowe badanie całej Zatoki Kadyksu byłoby dość kosztownym sposobem weryfikacji - zadrwiła Rothschild.

- Ale jeśli mam rację, dokonam największego archeologicznego odkrycia od czasów Schliemanna i Troi! - odcięła się Nina.

- A jeśli się pani myli, wydział zmarnuje miliony dolarów na bezskuteczne poszukiwania mitycznej krainy.

- Nie chcę marnować funduszy wydziału! Mam kompletną dokumentację świadczącą na korzyść mojej hipotezy, ujęłam wszystkie źródła historyczne... Poświęciłam tym badaniom dwa lata swojego życia. Nie zwróciłabym się do państwa, gdybym nie była pewna, że mam rację.

- Dlaczego się tym zajmujesz, Nino? - spytał Philby. Osobisty ton pytania zbił ją z tropu.

- Co ma pan na myśli?

- Czy zaangażowałaś się w te poszukiwania ze względu na siebie... - powiedział Philby z wyrazem współczucia na twarzy - czy ze względu na rodziców?

Nina próbowała odpowiedzieć, lecz głos uwiązł jej w gardle.

- Znałem Henry'ego i Laurę bardzo dobrze - ciągnął dalej Philby. - Oboje mogli zrobić wspaniałe kariery naukowe, gdyby nie ta obsesja na punkcie Atlantyd. Siedzę twoją drogą naukową, odkąd zaczęłaś studia, i niektóre z twoich osiągnięć są naprawdę wartościowe. Uważam, że masz nawet większy potencjał niż twój ojciec. Ale grozi ci to, że wybierzesz dokładnie tę samą drogę, co on i twoja matka.

- Jonathanie! - wykrzyknęła Nina z mieszaniną zaskoczenia, oburzenia... i bólu.

- Przykro mi, ale nie mogę pozwolić, żebyś roztrwoniła wszystko, co osiągnęłaś, na... na uganianie się za wiatrakami. Takie kosztowne niepowodzenie wyrządziłoby ogromne, być może nieodwracalne, szkody twojej reputacji naukowej.

- Nie obchodzi mnie moja reputacja! - buńczucznie odrzekła Nina.

- Ale nas obchodzi reputacja tej uczelni - powiedziała Rothschild z uśmiechem na wąskich wargach.

- Maureen - ostrzegł ją Philby, zanim spojrział znowu na Ninę. - Doktor Wilde... Nino. Twoi rodzice stracili przez to życie. Jeśli pójdziesz ich śladem, może cię spotkać to samo. I po co? Zadaż sobie poważnie pytanie: Czy warto umierać za legendę?

Słowa Philby'ego wywarły na niej takie wrażenie, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.

- Czy to znaczy, że mój projekt został odrzucony? - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Troje profesorów wymieniło wymowne spojrzenia. Dopiero po dłuższej chwili Philby zdobył się na popatrzenie Ninie prosto w oczy.

- Obawiam się, że tak.

- Rozumiem. - Odwróciła się i odłączyła laptop od projektora, ekran rozbłysł jednostajnym białym światłem. Z zaciśniętymi ustami zwróciła się do komisji. - Cóż. W takim razie dziękuję za uwagę.

- Nino - powiedział Philby. - Proszę, nie bierz tego do siebie. Masz szansę na naprawdę wspaniałą karierę.

- Jeśli?

- Jeśli... nie popełnisz błędu swoich rodziców. Profesor Rothschild ma rację. Historia i mitologia to dwie różne dziedziny. Nie trwoń swojego czasu, swojego talentu na niewłaściwą z nich.

Nina długo wpatrywała się w niego, zanim się odezwała.

- Dziękuję za radę, profesorze Philby - powiedziała z goryczą, po czym odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

Musiła spędzić dziesięć minut zamknięta w damskiej toalecie, zanim poczuła się na siłach znów pokazać twarz światu. Jej początkowe wzburzenie zmieniło się w gniewne osłupienie. Jak Philby śmiał mieszać w to jej rodziców? Powinien ocenić jej projekt merytorycznie, a nie ze względu na osobiste odczucia!

Od śmierci jej matki i ojca Philby był... raczej nie osobą, która zastąpiła jej rodziców - bo ci byli nie do zastąpienia - ale mentorem, który wspierał ją gdy pokonywała kolejne szczeble akademickiej kariery.

A teraz ją odepchnął. Czuła się zdradzona.

- Sukinsyn! - zakląła, waląc pięścią w przepierzenie.

- Pani doktor Wilde? - powiedział znajomy głos z sąsiedniego boksu. Profesor Rothschild. Cholera!

- Eee... ja nie mówić dobra angielszczyzna! - wybełkotała Nina, pośpiesznie otwierając drzwi i z laptopem pod ramieniem wybiegając z toalety. Bardziej zawstydzona niż zła, znalazła się wkrótce przed wyjściem z budynku. Powitał ją znajomy widok wieżowców Manhattanu.

No i co teraz?

Wcześniej nie dopuszczała do siebie myśli o niepowodzeniu, a co dopiero o miażdżącej klęsce, więc teraz zupełnie nie wiedziała, co ze sobą począć.

Wrócić do domu, to wydawało się najrozsądniejsze. Opchać się słodyczami i czipsami, upić się, a o konsekwencjach pomyśleć jutro.

Zeszła po schodkach i rozejrzała się w poszukiwaniu taksówki. Kilka stało właśnie na czerwonym świetle o przecnicę dalej, miała nadzieję, że chociaż jedna okaże się wolna.

Kiedy uniosła torebkę, żeby sprawdzić, czy ma dość pieniędzy, zorientowała się, że ktoś ją obserwuje.

Rozejrzała się dookoła. Obserwator - mężczyzna - patrzył na nią tylko trochę za długo, zanim coś fascynującego po drugiej stronie ulicy przykuło jego wzrok. Opierał się o mur uniwersyteckiego gmachu: barczysty facet z obciętymi najeża włosami i zakolami nad czołem, ubrany w dzinsy i znoszoną kurtkę z czarnej skóry. Jego spłaszczony nos wyglądał, jakby

został wielokrotnie złamany. Mimo że nie był o wiele wyższy od Niny, mógł mieć nie więcej niż metr siedemdziesiąt parę, jego muskulatura wskazywała na znaczną siłę, a coś w kanciastej, kwadratowej twarzy sugerowało, że nie zawahałby się jej użyć.

Jako mieszkanka Nowego Jorku Nina była przyzwyczajona do widoku groźnie wyglądających osobników, lecz z jakiegoś nieokreślonego powodu ten wzbudził w niej niepokój. Spojrzała w głąb ulicy na podjeżdżające samochody, lecz kątem oka wciąż patrzyła na nieznanego.

A ten oczywiście znów zaczął ją obserwować. Mimo że była godzina szczytu, a na ulicy pełno ludzi, Nina poczuła się zagrożona.

Taksówka! Chwała Bogu!

Przywołała ją, zamachawszy ręką ze znacznie większym wigorem, niż było to konieczne. Ku jej uldze, taksiarz się zatrzymał. Kiedy wsiadła i podała swój adres, zerknęła w tylną szybę. Facet - zgadywała, że ma trzydzieści kilka lat, choć surowe rysy utrudniały dokładną ocenę - wciąż patrzył na nią, odwracając głowę, by śledzić ją wzrokiem, gdy taksówka odjeżdżała, a potem zniknął z widoku, zasłonięty przez autobus. Nina odetchnęła z ulgą.

No ładnie, jakiś zboczeniec, poniżenie i straszliwa porażka. Opadła na oparcie kanapy. Co za gówniany dzień.

Wróciwszy do swojego małego, lecz przytulnego mieszkania w East Village, Nina postanowiła przynajmniej częściowo zrealizować instynktownie powzięte plany na resztę dnia i opchać się jedzeniem. W lodówce chłodziło się parę butelek wina, ale - po chwili namysłu - stwierdziła, że zachowa je na później.

Uzbrojona w ogromną torbę czipsów i kubek lodów Ben & Jerry's weszła do salonu, zerkając po drodze na automatyczną sekretarkę. Żadnych wiadomości. Bez niespodzianek.

Rozpuściła włosy, ułożyła się na kanapie i przykryła dużą dzierganą narzutą. Do dopełnienia portretu żalostnej, samotnej nieudacznicy potrzebowała tylko łzawych, depresyjnych piosenek. I może trzech albo czterech kotów.

Rozbawiona na krótko tą myślą, podkuliła nogi i otworzyła torbę czipsów. Jej dłoń musnęła wisiorek.

- To dopiero szczęście mi przyniosłeś - poskarżyła się, unosząc go. Mimo że kawałek metalu był mocno porysowany, wciąż lśnił osobliwym czerwonym blaskiem. Znaczkę po jednej stronie, podobne do apostrofów kresczki pogrupowane od jednej do ośmiu pod krótkimi liniami wyrytymi wzdłuż przedmiotu, były wyraźnie widoczne. Nie po raz pierwszy zastanowiło ją, co mogły oznaczać, lecz odpowiedź była dla niej równie niedostępna jak zawsze.

Nina o mało nie postanowiła zdjąć wisiorka z szyi, uznawszy, że ten dzień nie może być już bardziej pechowy, lecz potem zmieniła zdanie. Po co kusić los.

Rozgryzła właśnie pierwszego czipsa, kiedy zadzwonił telefon. Nie spodziewała się żadnych telefonów - kto to mógł być?

- Hlo - wymamrotała, wciąż przeżuując.

- Czy to pani doktor Nina Wilde? - powiedział męski głos. Super. Telemarketer.

- Tak, a co? - Zapchała sobie usta garścią czipsów, gotowa do odłożenia słuchawki.

- Nazywam się Jason Starkman i pracuję dla Fundacji Frosta. Nina przestała przeżuwać.

Fundacja Frosta? Działalność filantropijna na całym świecie, opracowywanie leków i szczepionek, sponsorowanie rozmaitych projektów badawczych...Włącznie z ekspedycjami archeologicznymi. Przełknęła na wpół przeżute czipsy.

- Eee, tak, dzień dobry!

- Z przykrością dowiedziałem się, że uniwersytet odrzucił dzisiaj pani projekt - powiedział Starkman.

Nina zmarszczyła brwi.

- Skąd pan o tym wie?

- Fundacja ma przyjaciół na uniwersytecie. Ale pozwoli pani, pani doktor, że przejdę do sedna sprawy. Możliwe, że koledzy z uczelni nie byli zainteresowani pani hipotezą na temat lokalizacji Atlantydy, ale my z całą pewnością zapatrujemy się na to inaczej. Kristian Frost, dyrektor fundacji, osobiście poprosił mnie o skontaktowanie się z panią i pytanie, czy byłaby pani skłonna przedstawić mu ten projekt dziś wieczorem.

Serce Niny zabiło mocniej. Kristian Frost? Nie pamiętała dokładnie, na którym miejscu listy najbogatszych ludzi świata figuruje jego nazwisko, ale na pewno gdzieś w pierwszej dwudziestce. Postarała się zachować spokój.

- Ja... eee... oczywiście byłabym skłonna o tym porozmawiać. Ale... hm... w jakim celu?

- Oczywiście w celu sfinansowania przez fundację ekspedycji oceanograficznej, która pozwoliłaby zweryfikować pani hipotezę.

- Aha, cóż, w takim razie... tak! Tak, stanowczo byłabym skłonna przedstawić swój projekt!

- Doskonale. W takim razie zamówię samochód, który przywiezie panią do nowojorskiej siedziby fundacji na spotkanie połączone z kolacją. Czy siódma wieczorem byłaby dogodną godziną?

Nina zerknęła na zegarek na magnetowidzie. Tuż po wpół do szóstej. Półtorej godziny, żeby się wyszykować. Będzie musiała się pośpieszyć, ale...

- Tak, tak... dobrze, tak!

- W takim razie, do zobaczenia. Aha, gdyby mogła pani wziąć swoje notatki, na pewno bardzo by nam to pomogło. Jestem przekonany, że pan Frost będzie miał mnóstwo pytań.

- Nie ma problemu, zupełnie żadnego problemu - wykrztusiła pośpiesznie, gdy Starkman się rozłączył. Odłożyła słuchawkę i siedziała przez chwilę bez ruchu, po czym zrzuciła narzutę i wydała okrzyk radości.

Kristian Frost! Nie tylko jeden z najbogatszych ludzi na świecie, ale... Cóż, nie pociągali jej starsi faceci, ale na zdjęciach, jakie czasem pojawiały się w prasie, Frost wyglądał tak, że dla niego mogłaby zrobić wyjątek.

Znów uniosła wisiorek, a potem go pocałowała. - Zdaje się, że jednak przynosisz szczęście!

2

Nina dreptała nerwowo w tę i z powrotem, zerkając na ciemniejącą ulicę za każdym razem, gdy przechodziła obok okna. Po telefonie Starkmana wybiegła z domu i poddała swoją kartę kredytową ciężkiej próbie, kupując granatową sukienkę z głębokim dekoltem, która była odpowiednia na kolację z miliarderem. A przynajmniej miała taką nadzieję.

Wciąż ledwo mogła w to uwierzyć. Kristian Frost chciał się spotkać właśnie z nią! Żeby omówić jej hipotezę dotyczącą Atlantydy! Przystanęła i przebiegła w myślach wszystkie punkty teorii, które powinna przedstawić. Gdyby udało jej się przekonać Frosta do swoich racji, nie musiałaby się ubiegać o finansowe ochłapy, jakie miał do zaoferowania uniwersytet. Nie trzeba by wypożyczać statków z sonarami. Frost miał takie statki na własność.

Znów zerknęła za okno. Ani widu podjeżdżającego samochodu, ale...

Kto to taki?

Budynek, w którym mieszkała, stał przy skrzyżowaniu. Po drugiej stronie ulicy ktoś dał susa, chowając się za winkiem domu naprzeciwko. Ktoś w czarnej skórzanej kurtce.

Nina zaczęła uważnie obserwować chodnik. Widziała przechodzących ludzi, ale ani śladu faceta w kurtce.

Zwykły zbieg okoliczności, powiedziała sobie. Nowy Jork był ogromnym miastem, a mnóstwo facetów nosiło czarne skórzane kurtki.

Tymczasem coś innego zwróciło jej uwagę: duży srebrzysty samochód, który podjechał pod jej budynek i zatrzymał się przy krawężniku. Zerknęła na zegar. Dochodziła siódma.

Z wozu wysiadł mężczyzna i podszedł do frontowych drzwi. Chwilę później zabrzączał domofon.

- Doktor Wilde? - dobiegł głos z ulicy. - Tu Jason Starkman.

- Już schodzę! - powiedziała, biorąc teczkę pełną wydruków, które wcześniej przygotowała. Przystanęła na chwilę, żeby zerknąć w lustro przy drzwiach - włosy starannie uczesane, makijaż dyskretny, ale perfekcyjny, żadnego okruszka czipsów na wargach - a potem wybiegła pośpiesznie z mieszkania.

Starkman czekał na dole. Wcześniej nawet nie próbowała wyobrazić go sobie na podstawie głosu, który nie zdradzał zbyt wiele poza lekkim teksańskim akcentem, ale teraz była pod wrażeniem tego, co zobaczyła. Starkman był wysoki, dobrze zbudowany i ubrany w drogi granatowy garnitur oraz śnieżnobiałą koszulę. Wyglądał, jakby dobiegał czterdziestki, a ogorzała twarz i zmarszczki wokół oczu zdradzały, że często podróżował. Nina widziała wcześniej podobne zmarszczki u mężczyzn, między innymi u ojca.

Starkman wyciągnął rękę.

- Doktor Wilde. Miło panią poznać. -

- Wzajemnie. - Ucisnęła mu dłoń. Miał szorstką skórę. Starkman popatrzył na wisiołek wyeksponowany nad dekoltem, a następnie przeniósł wzrok na teczkę, którą trzymała pod ramieniem.

- To pani notatki?

- Tak. Wszystko, czego potrzebuję do przekonania pana Frosta, że mam rację. Oby! - odparła i zachichotała nerwowo.

- Po tym, co zdążyłem usłyszeć o pani hipotezie, nie wydaje mi się, aby trzeba go było bardzo przekonywać. Jest pani gotowa do drogi?

- Oczywiście!

Zaprowadził ją do samochodu, który na pierwszy rzut oka wzięta za rolls-royce'a, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że to bentley. Równie luksusowy, lecz bardziej sportowy - choć nigdy nie miała okazji, żeby te samochody porównać.

- Fajny samochód - zauważyła.

- Bentley Continental Flying Spur. Pan Frost zawsze kupuje to, co najlepsze. - Otworzył jej tylne drzwi.

Wnętrze bentleya było tak eleganckie i komfortowe, jak sobie wyobrażała: z obiciami z miękkiej jasnokremowej skóry. Za kierownicą siedział drugi mężczyzna w garniturze. Starkman zatrzasnął za nią drzwiczki i zajął miejsce na przednim siedzeniu. Skinął ręką i szofer ruszył spod krawężnika, zatrzymując się na skrzyżowaniu. Nina z przyzwyczajenia obrzuciła wzrokiem ulicę i po drugiej stronie zobaczyła faceta, który obserwował ją przed gmachem uniwersytetu. Rozmawiał przez komórkę, ale patrzył prosto na nią.

Wciągnęła powietrze.

- Coś nie tak? - spytał Starkman, oglądając się na nią przez ramię.

- Hm... - Bentley ruszył i skręcił na skrzyżowaniu, mężczyzna pozostał z tyłu i zniknął jej z oczu. Zastanowiła się, czy powiedzieć Starkmanowi o śledzącym ją najwyraźniej zbrojcu, ale postanowiła tego nie robić. Jeśli facet stanowił zagrożenie, to od czego była

policja... a poza tym znała Starkmana niewiele lepiej od faceta w skórzanej kurtce. - Wydawało mi się, że zobaczyłam kogoś znajomego.

Starkman pokiwał głową i odwrócił wzrok. Bentley wziął następny zakręt i pojechał na zachód.

Ninie wydało się to dziwne. Przedtem sprawdziła w Internecie, gdzie znajduje się nowojorska siedziba Fundacji Frosta: nieco na wschód od centrum, niedaleko gmachu ONZ. Od jej domu najłatwiej można było tam dojechać, kierując się na wschód, a potem prosto Pierwszą Aleją...

Uznała jednak, że zachowa tę uwagę na później. Bentley był wyposażony w satelitarny system nawigacyjny, możliwe, że gdzieś w centrum ulice były zakorkowane, dlatego okrężna droga okaże się szybsza.

Ale jechali wciąż na zachód, mijając najpierw jedną przecznicę, a potem następną...

- Dokąd jedziemy, bo wyleciało mi z głowy? - spytała, starając się mówić lekkim tonem.

- Do Fundacji Frosta - odparł Starkman.

- Czy to nie na wschodzie?

Zobaczyła, jak kierowca zerka na nią w lusterku. W jego oczach błysnęło... zaniepokojenie?

- Najpierw zboczymy trochę z drogi w pewne miejsce.

- Dokąd?

- To nie potrwa długo.

- Ale... nie o to pytam. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Tam, do diabła - powiedział Starkman z wyraźniejszym teksańskim akcentem. - Miałem nadzieję, że najpierw dojedziemy na miejsce, ale... Odwrócił się, sięgnął pod marynarkę i wyciągnął...

Pistolet!

Nina popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Co to?

- A na co wygląda? Myślałem, że ludzie z tytułem doktora powinni być bystrzy.

- Co się dzieje? Czego chcecie? Starkman wyciągnął drugą rękę.

- Na początek, pani notatek. - Pistolet był wycelowany w jej pierś. Nina, odrętwiała, podała mu teczkę. - Szkoda, że nie wzięła pani laptopa. Będziemy musieli wziąć go sobie potem.

- Po czym? - Jego milczenie i kamienny wyraz twarzy uświadomiły jej potworną prawdę. - O mój Boże! Zamierzacie mnie zabić?

- To nic osobistego.

- I dzięki temu mam się poczuć lepiej?

Zdesperowana rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Pociągnęła za klamkę drzwiczek. Ruszyła się, ale tylko trochę. Zablokowana. Choć zdawała sobie sprawę, że to bez sensu, przesunęła się i spróbowała z drugimi drzwiami. Też nie chciały się otworzyć.

Była w potrzasku!

Wzrastająca panika ścisnęła jej gardło. Okrągłymi ze strachu zielonymi oczami popatrzyła na Starkmana.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, gdy odwrócił wzrok od Niny, spoglądając w tylną szybę...

Łup!

Ninę rzuciło do przodu, gdy coś uderzyło w tył bentleya. Starkman sapnął głośno, gdy rąbnął klatką piersiową o deskę rozdzielczą. Po chwili wyprostował się ze złością i wycelował

pistolet w tylną szybę. Nina krzyknęła i dała nura za oparcie fotela, uchylając się przed strzałem.

- To Chase! - zawołał Starkman. - Sukinsyn!

- Jak nas, do cholery, znalazł? - zdziwił się kierowca.

- Gównu mnie to obchodzi! Zepchnij Angoła z drogi i spadajmy stąd!

Bentley wykonał gwałtowny skręt. Nina, ślizgając się po gładkiej tapicerce, poleciała na bok i walnęła głową w drzwiczki. Starkman zamaszystym ruchem skierował lufę pistoletu w szybę, mierząc do czegoś na zewnątrz.

Następne uderzenie!

Tym razem z boku, dwutonowa limuzyna zatrzęsała się, gdy metal karoserii wygiął się z chrzęstem. Przez okno Nina zobaczyła drugi samochód, dużego czarnego SUV-a.

Starkman strzelił. Nina wrzasnęła i zakryła uszy rękami, gdy boczna szyba roztrzaskała się na kawałki. SUV zahamował z piskiem opon, oddalając się gwałtownie. Przez rozbite okno wdarł się wiatr.

Dwa następne strzały, i tylna szyba pękła, zasypując Ninę drobnymi odłamkami. Rozległo się trąbienie klaksonów, które przycichło gwałtownie, gdy Bentley przyspieszył. Kierowca zaklął i skręcił ostro, żeby ominąć jakąś przeszkodę, a Ninę zarzuciło w drugą stronę.

- W prawo! - krzyknął Starkman. Nina ledwo miała czas się przygotować, gdy Bentley z piskiem opon wziął zakręt.

- Kurwa! - stęknął kierowca, gdy wóz uderzył w coś z głuchym łomotem.

Przechodzień, pomyślała z przerażeniem Nina. Z zewnątrz dobiegły krzyki i wołania, gdy ktoś stoczył się z maski samochodu. Lecz kierowca się nie zatrzymał, zamiast tego starając się zachować panowanie nad pojazdem, kiedy znowu przyspieszał.

Starkman oddał dwa następne strzały. Nina słyszała teraz z tyłu warkot potężnego silnika drugiego samochodu. Gdy Starkman celował, przygotowując się do następnego strzału, pistolet znalazł się tuż nad nią.

Nina złapała go oburącz za nadgarstek, pociągnęła jego rękę w dół i jak najmocniej wbiła zęby w dłoń.

Starkman ryknął z bólu... i nacisnął spust.

Wystrzał był oślepiający, a huk, zaledwie kilka centymetrów od jej głowy, na chwilę zupełnie ją oszołomił. Pocisk trafił w oparcie tylnej kanapy.

Starkman wyrwał rękę z uścisku. W oczach Niny tańczyły kolorowe plamy, powidoki płomienia z lufy. Gdy zaczęła odzyskiwać słuch, dobiegły do niej odgłosy następnej palby.

Lecz tym razem to nie Starkman strzelał.

Zagłówek fotela kierowcy zamienił się w chmurę strzępów skóry i podściółki, a ułamek sekundy później kierowca miał roztrzaskaną głowę. Ciemnoczerwona krew i szara tkanka mózgowa obryzgały jasną okleinę dachu i przednią szybę.

Bentley skręcił gwałtownie, gdy ciało kierowcy opadło na bok. Starkman krzyknął i złapał za kierownicę. Wyrównał tor jazdy, podczas gdy wciąż otumanioną Niną rzuciło o oparcie siedzenia.

Łup!

SUV znowu ich uderzył.

Przeklinając pod nosem, Starkman pochylił się nad kierowcą i chwycił klamkę, otwierając drzwiczki. Odpiął pas bezpieczeństwa i wypchnął trupa na jezdnię, potem przesiadł się na fotel kierowcy, w chwili gdy SUV znów uderzył w Bentleya, tym razem mocniej. Limuzyna odbiła najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, zanim Starkman odzyskał nad nią kontrolę, chwytając za kierownicę, a następnie skręcił gwałtownie w lewo, dociskając jednocześnie gaz do dechy. Opony zapisały w proteście, ciężkim wozem zakołysało.

Gdy samochodem zarzuciło, Nina znów uderzyła głową w prawe drzwiczki. Podciągnęła się do góry. Skoro Starkman był zajęty prowadzeniem, to nie mógł użyć pistoletu...

Drugi wóz, range rover, zrównał się z limuzyną. Nina rozpoznała twarz kierowcy: facet w skórzanej kurtce!

Trzymał w ręce wielki srebrzysty pistolet i mierzył w bentleya.

- Nie podnoś głowy! - krzyknął.

Nina znów przywarła do siedzenia, gdy rozległ się głośny huk dwóch wystrzałów. Starkman pochylił głowę i osłonił twarz, gdy przednia szyba roztrzaskała się, a wiatr wepchnął odłamki z powrotem do kabiny.

Trzymając jedną ręką kierownicę, przechylił się i oddał trzy strzały znad lewego ramienia. Nina usłyszała pisk opon, gdy range rover zahamował, chowając się tuż za ściganym pojazdem.

Starkman jechał slalomem. Rozległ się zgrzyt, gdy bentley otarł się o bok innego samochodu. Podniosła wzrok. Byli gdzieś w pobliżu Siedemnastej albo Osiemnastej ulicy i szybko zbliżali się do zachodniego krańca Manhattanu, z przodu widać było tylko autostradę West Side, a dalej zimne wody rzeki Hudson.

Starkman manipulował przy pistolecie, ledwo trzymając kierownicę. Nina zorientowała się, co robi. Zamek był odciągnięty, Starkman ładował broń...

Co znaczyło, że nie może strzelać!

Nina podniosła się i rzuciła na niego. Tekszańczyk zamachnął się pistoletem, próbując ją uderzyć. Nina uchyliła się i podjęła atak, czując coś miękkiego pod środkowym palcem prawej dłoni.

Oko.

Wbiła tam paznokiec. Starkman zawył, gwałtownie wymachując pistoletem.

- Zatrzymaj samochód! - krzyknęła. Zerknąwszy na licznik, stwierdziła, że bentley jedzie ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę i wciąż przyspiesza, mknąc prosto na samochody, które zatrzymały się na światłach.

Krzyknęła znowu, tym razem w panice, i cofnęła ręce. Jej palce były mokre od krwi. Starkman spostrzegł niebezpieczeństwo w samą porę i skręcił w prawo, wymijając najbliższy samochód o parę centymetrów i wjeżdżając na chodnik. Kosz na śmieci poderwał się w powietrze i przekoziółkował, gdy go staranowali, lecz było to w tej chwili najmniejsze ze zmartwień Niny, bo właśnie zbliżali się do autostrady, którą mknęły rozpedzone samochody...

Ku jej przerażeniu, Starkman dodał gazu.

Bentley spadł z chodnika na jezdnię, podwozie ciężkiego wozu zaszorowało po asfalcie. Nina zobaczyła błysk świateł i usłyszała rozpaczliwy pisk hamulców. Samochody zjeżdżały na wszystkie strony, żeby uniknąć kolizji tylko po to, by zostać uderzone przez auta, które jechały zbyt blisko, by w porę zwolnić.

Bentley przeciął jezdnię przeznaczoną dla ruchu z południa na północ i wjechał na jezdnię po drugiej stronie, pod prąd!

- O Boże! - wrzasnęła Nina, gdy bentley znalazł się między sznurami samochodów i ciężarówek. Inne pojazdy migały po obu stronach w odległości zaledwie kilku centymetrów, ich kierowcy odbijali gwałtownie w bok, aby ominąć wariata jadącego prosto na nich. Z tyłu i z przodu trąbiły klaksony, istna orkiestra gniewu i przerażenia. - Zatrzymaj samochód, zanim zabijesz nas oboje!

Znów zamachnęła się na niego, lecz tym razem był przygotowany.

Uderzył ją pistoletem w czoło. Igła ostrego bólu wbiła się jej głęboko w czaszkę. Nina opadła do tyłu, oszołomiona i bliska wymiotów, gdy Starkman skręcił bentleyem w prawo i staranował metalową bramę na jeden z pirsów wrzynających się w rzekę Hudson.

Wiatr wdzierał się z impetem przez rozbite szyby, gdy wóz przyśpieszył, mknąc wzdłuż nabrzeża. Nina podźwignęła się i zobaczyła migające z boku magazyny, a po drugiej stronie pokryte rdzawymi zaciekami kadłuby statków.

A dokładnie na wprost nic poza otwartą wodą i odległymi światłami New Jersey na drugim brzegu.

Nina jęknęła z przerażeniem, uświadomiwszy sobie, co Starkman zamierza zrobić.

Obejrzał się na nią przez ramię. Prawe oko miał zaciśnięte, powieki poznaczone głębokimi zadrapaniami, po policzku spływała krew.

Potem mocnym pchnięciem otworzył drzwiczki i wyturlał się na zewnątrz, ochraniając ramionami głowę. Wkrótce zniknął jej z oczu - pozostawiwszy bentleya, który wciąż mknął w kierunku końca pirsu, z włączonym systemem kontroli jazdy utrzymującym stałą prędkość prawie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę!

Nina ledwo miała czas krzyknąć, nim samochód przedarł się przez słabe ogrodzenie z metalowej siatki na końcu kei i runął do wody.

Gdy bentley gwałtownie wytracił prędkość, Nina uderzyła mocno o oparcie fotela kierowcy. Oblała ją lodowata woda wdzierająca się przez wybite okna niczym tsunami. Pęcherzyki powietrza wzbily się w górę, gdy ciężki przód bentleya przechylił się do dołu, ciągnąc samochód i jego pasażerkę na dno rzeki.

Nina usiłowała wydostać się przez tylne okno, lecz wysokie zagłówki blokowały drogę ucieczki. Z piekącymi oczami pociągnęła desperacko za najbliższą klamkę, lecz drzwi wciąż nie chciały ustąpić.

Boczne drzwi...

Szyba była wybita, a otwór dość duży, by mogła się w nim zmieścić. Złapała się blaszanej ramy i zaczęła przeciskać na zewnątrz: najpierw barki, potem klatka piersiowa...

Utknęła!

Sukienka zaplątała się w metalowe słupki podtrzymujące zniszczony zagłówek kierowcy.

Nina wierzgnęła, usiłując się oswobodzić. Głupia kiecka zahaczyła się na dobre. Wierzgnęła mocniej, zapierając się z całych sił rękami o ramę okna. Tkanina naprężyła się, lecz nie rozdarła.

Nina czuła się, jakby za chwilę miały jej eksplodować płuca. Niczego nie pragnęła tak bardzo jak zaczerpnąć tchu, lecz wiedziała, że nałykałaby się tylko wody.

Była bliska utonięcia! Profesor Philby miał rację: poszukiwanie Atlantydy rzeczywiście będzie ją kosztowało życie...

Nie, nie zamierzała na to pozwolić!

Ale nie mogła nic zrobić. Utknęła w samochodzie, który opadał na dno rzeki Hudson, a kołatanie w głowie wkrótce zagłuszy głos rozsądku i zmusi ją do wzięcia zabójczego wdechu...

Ktoś ją chwycił.

Była tak zaskoczona, że oddech zamarł jej na wargach. Czyjeś ramię owinęło się mocno wokół jej talii i pociągnęło. Materiał sukienki puścił, zaś jej zbawca wyciągnął ją przez okno, wybijając się mocnymi ruchami nóg do góry, gdy bentley zniknął w głębinie.

Z walącym sercem Nina wynurzyła się na powierzchnię i wzięła głęboki, bolesny wdech, nie przejmując się paskudnym smakiem wody. Wciąż obejmując ją ramieniem, jej wybawca pociągnął ją w kierunku brzegu. Gdy ból i panika zaczęły ustępować, Nina odwróciła głowę, żeby zobaczyć, kto ją uratował.

Facet w skórzanej kurtce uśmiechnął się do niej, odsłaniając szparę między przednimi zębami.

- Jak tam, doktorko?

- Ty!

- Ja cię kręcę! W taki sposób okazujesz wdzięczność?!

Dopłynęli do pirsu, gdzie nieznajomy pomógł jej wejść na zardzewiałą drabinkę. Nina wspięła się z wysiłkiem na betonowy dok poniżej głównego poziomu kei. Facet podążył za nią, jego kurtka ociekała wodą.

- Fajna kiecka.

- Co? - spytała Nina zdezorientowana, zanim zauważyła, że dół sukienki oddarł się, a ona była tylko w majtkach. - O Boże! - Zasłoniła majtki rękami.

- Cóż - powiedział mężczyzna, przeczesując dłonią krótkie włosy - jeśli tylko tym się martwisz, to prawdopodobnie nic ci się nie stało. - Mówił z angielskim akcentem, ale nie potrafiła rozpoznać regionu, z jakiego pochodził. - Dobrze się składa, bo musimy się stąd wydostać. Jak najszybciej. - Podał jej rękę.

Nina gapiła się na nią przez chwilę, oszołomiona, a potem ją przyjęła. Dopiero wtedy zorientowała się, że zgubiła buty.

- Coś ty za jeden? - zażądała wyjaśnień, gdy szybko prowadził ją do schodów na nabrzeże. - Co się dzieje?

- Nazywam się Chase. Eddie Chase. Nie martw się, nie jestem świrem. - Obejrzał się do tyłu i posłał jej uśmiech, który nie do końca dodał jej otuchy. - Jestem tylko na tyle szalony, żeby wskoczyć do rzeki i uratować kobiety, za której ochronę mi płacą.

- Płacą?

- Owszem. Jestem twoim ochroniarzem!

Dotarli na szczyt schodów. Na nabrzeżu zebrała się grupka zdziwionych gapiów. Kilku z nich zaczęło bić brawo.

- Służyłem w SAS. Teraz jestem... kimś w rodzaju wolnego strzelca. - Nina zobaczyła, że jego range rover, z porysowaną i wgniecioną karoserią z przodu, stoi zaparkowany na nabrzeżu, z otwartymi drzwiczkami i włączonym silnikiem.

Grubawy facet w mundurze pracownika ochrony podbiegł do nich, zdyszany.

- Hej! Co się tu, do licha, wyprawia?

- Szafa gra, stary - powiedział Chase. - Wszystko jest pod kontrolą.

- Tak, jasne! Samochód właśnie staranował bramę i spadł z pirsu do wody! Będziecie się musieli gęsto tłumaczyć!

Chase westchnął, po czym sięgnął do kurtki i wydobył swój potężny pistolet. Z bliska broń wyglądała jeszcze groźniej, zauważyła Nina: miała długą lufę wzmocnioną u góry metalową szyną.

- Pan Magnum chętnie wszystko wyjaśni - powiedział, machając bronią w stronę ochroniarza. Grupka gapiów cofnęła się pośpiesznie. - Jakież pytania?

Ochroniarz usiłował nie dać po sobie poznać, jak bardzo się boi, ale z marnym skutkiem.

- Mogą zaczekać.

- Dobrze. Mógłby pan jednak zainteresować się gościem, który wyskoczył z samochodu tuż przed wypadkiem: to tamten jest tym złym. Ale w tej chwili muszę zawieźć tę panią w jakieś bezpieczne miejsce. W porządku?

- Jasne! - wyjąkał ochroniarz, wycofując się.

Chase, z wciąż uniesioną bronią, otworzył Ninie drzwiczki od strony pasażera, obiegł rangę rovera i wskoczył za kierownicę. Odjechał wzdłuż nabrzeża z dużą prędkością. Na końcu

wziął ostry zakręt, pędził kilkaset metrów po pustym chodniku, zanim minął sznur stojących samochodów i wjechał na autostradę West Side.

- Lepiej włączę ogrzewanie - powiedział, zerknąwszy na drżącą Ninę, kiedy naciskał pedał gazu. W oddali słychać było wycie syren.

Nina zacisnęła zęby.

- Co się, do cholery, dzieje?

- W telegraficznym skrócie? Żli ludzie chcą cię zabić, a dobrzy chcą ich powstrzymać. Ja jestem jednym z tych dobrych.

- Dlaczego chcą mnie zabić? Co ja takiego zrobiłam?

- Nie chodzi o to, co zrobiłaś, doktorco, tylko o to, co w ich mniemaniu mogłabyś zrobić. Ten facet z Bentleya, Starkman? Kiedyś był moim kumplem... pracowaliśmy razem w międzynarodowych operacjach za granicą... póki się nie zbiesił.

- Mówił, że pracuje dla Fundacji Frosta, dla samego Kristiana Frosta - powiedziała Nina. Chase parsknął śmiechem.

- Mogę zapewnić, że to nieprawda.

- Dlaczego?

- Bo ja pracuję dla Kristiana Frosta. Chcesz go poznać?

3

Norwegia

Zobacz - powiedział Chase. - Niezłe, co?

- Rzeczywiście - przyznała Nina, spoglądając na urzekający surowym pięknem krajobraz w dole.

Zarówno dom, jak i główna siedziba firmy Kristiana Frosta znajdowały się w Ravensfjord, pięć kilometrów w głąb lądu od norweskiego wybrzeża, na południe od Bergen. Fiord, któremu to miejsce zawdzięczało swoją nazwę, przecinał ogromną posiadłość miliardera na pół. Na południu wznosił się kompleks budynków biurowych, który mimo ultranowoczesnej architektury był doskonale wkomponowany w otoczenie. Droga i most oparty na smukłych filarach łączyły biurowce z drugim brzegiem fiordu. Nad mostem... nad całym terenem, zdała sobie sprawę Nina, górował duży, elegancki budynek, którego barwy i miękkie linie wtapiały się w stromą skarpe, na której stał.

- To dom Frosta - wyjaśnił Chase.

- To jest dom? - zdumiała się Nina. - Boże, jest ogromny! Myślałam, że to kolejny biurowiec!

- Ociupinkę większy od twojego mieszkanie, he?

- Tylko ociupinkę. - Samolot, gulfstream V opatrzony znakiem korporacji Frosta i przeznaczony do podróży biznesowych, przechylił się, przelatując nad fiordem. Nina zauważyła następne skupisko supernowoczesnych budynków u podnóża urwiska na wschód od rezydencji, a potem, na północ od fiordu, cel ich podróży: prywatne lotnisko.

- To wszystko należy do Kristiana Frosta?

- Właściwie tak. Kieruje stąd wszystkimi przedsięwzięciami, prawie nigdy się stąd nie rusza. Zdaje się, że nie przepada za podróżami.

Nina jeszcze raz wyjrzała przez okienko, po czym opadła na oparcie fotela. Gulfstream schodził do lądowania.

- To na pewno urocze miejsce do życia. Ale trochę za bardzo na uboczu.

- Cóż, podejrzewam, że do miliardera świat sam przychodzi. Tak jak my teraz.

Odrzutowiec wylądował i zatrzymał się przed niedużym terminalem. Schodząc na betonową płytę lotniska, Nina opatuliła się mocniej płaszczem.

- Zimno? - spytał Chase.

- Żartujesz sobie? Jestem przyzwyczajona do nowojorskiej zimy. W porównaniu z nią to pestka! - W rzeczywistości było jej zimno, ale skoro otworzyła już swoją niewyparzoną buzię, musiała teraz marznąć w milczeniu.

- Wkrótce polecimy gdzieś, gdzie jest znacznie cieplej. - Nina spojrzała na Chase'a, spodziewając się wyjaśnień, lecz Anglik tylko się uśmiechnął. - Nasza bryka.

Przy samolocie zatrzymał się biały jeep grand cherokee. Mężczyzna o krótko ostrzyżonych blond włosach, grubym karku i muskulaturze, która prawie rozrywała szwy ciemnego, sztytego na miarę garnituru, wyszedł im na powitanie.

- Pani doktor Wilde - powiedział z niemieckim akcentem. - Jestem szefem ochrony pana Frosta w Ravnstfjord. Nazywam się Josef Schenk. - Wyciągnął rękę na powitanie. Mimo że uściśnął jej dłoń tylko lekko, Nina czuła, że gdyby zechciał, mógłby jej zmiażdżyć wszystkie kości. - Miło mi panią poznać.

- Dziękuję - odparła. Pomyślała, że Chase i Schenk mierzą się wzrokiem prawie jak bokserzy przed walką. Mieli podobną posturę, zastanawiała się, czy przeszli również służbę wojskową w podobnych - a może rywalizujących ze sobą jednostkach.

- Joe - powiedział Chase na powitanie.

- Panie Chase - odparł Schenk, zanim otworzył tylne drzwiczki jeepa. - Proszę, pani doktor. Zawiozę państwa do pana Frosta.

Nina wsiadła. Chase usadowił się obok niej i z lekko sarkastycznym „dzięki” zamknął drzwiczki. Schenk łypnął na niego gniewnie, zanim obszedł samochód, by zająć miejsce za kierownicą.

- Macie ze sobą na pieńku? - spytała Nina.

- To służbista na etacie w korporacji - wyjaśnił pośpiesznie Chase, gdy Schenk już nie mógł go słyszeć. - Nie lubi wolnych strzelców, uważa, że zamierzam orznąć jego szefa.

- A zamierzasz? - Nina nie mogła się powstrzymać.

- Jestem profesjonalistą - odparł Chase, przybierając na moment zupełnie poważny ton. - Zawsze wykonuję zleczone zadanie.

Schenk wgramolił się na fotel i ruszyli. Nina zauważyła kilka hangarów na wschodnim krańcu lotniska. Przed największym stał ogromny samolot z niedokończonym znakiem korporacji Frosta - zarysem trójzębu wpisanym w literę „O” - na boku. Malowały go właśnie żurawie wysięgnikowe.

- O kurczę! To dopiero duży samolot.

- Transportowiec airbus A380 - powiedział Schenk. - Najnowszy nabytek pana Frosta.

Nina spojrzała za siebie na pas startowy. Od wschodu wznosiły się wysokie góry.

- Mam nadzieję, że ma dobre hamulce! Te góry wydają się być trochę za blisko.

- Może startować tylko w kierunku zachodnim. Wprawdzie jest to pewna niedogodność, ale, na szczęście, kiedy trafi do użytku, będzie latał po świecie i rzadko tu wracał.

Dżip wyjechał z lotniska i przejechał przez most. Nina spodziewała się, że skręcana zachód, w kierunku budynków korporacji, lecz zamiast tego ruszyli krętą drogą w stronę domu na skarpie. Z bliska jego harmonijne, eleganckie kształty wyglądały jeszcze bardziej imponująco.

Schenk zaparkował na podjeździe, a potem wprowadził Ninę i Chase'a do domu.

- Tędy.

Nina była pod ogromnym wrażeniem sali, do której weszli. Jedna ściana była lekko zakrzywiona, a przez wielkie okno widać było góry okalające lotnisko za fiordem aż po biurowce poniżej i Morze Północne w oddali.

Widok za oknem nie był jedyną atrakcją. Sala stanowiła połączenie luksusowego salonu i galerii sztuki. Rzeźba Henry'ego Moore'a, obraz Picassa we wnęce, osłonięty starannie przed

światłem słonecznym, praca Paula Klee i kilka innych dzieł, których Nina nie rozpoznała od razu, lecz była pewna, że są równie cenne.

- Fantastyczny dom - powiedziała zauroczona.

- Dziękuję - odpowiedział jej kobiecy głos. Odwróciła się i zobaczyła wysoką, piękną blondynkę z długimi włosami. Była mniej więcej w wieku Niny albo trochę młodsza, zaś elegancję jej ruchów podkreślał modny strój - obcisły biały top odsłaniający wąską talię, równie obcisłe czarne skórzane spodnie i kozaki na wysokim obcasie. Kiedy się zbliżyła, zmierzyła Ninę wzrokiem od stóp do głów, jakby nie do końca pewna, co o niej myśleć.

- Doktor Wilde - powiedział Schenk - to Kari Frost, córka pana Frosta.

- Bardzo mi miło - powiedziała Nina, podając jej rękę. Kari uściśniła ją mocno. Tymczasem Chase, zauważyła z rozbawieniem Nina, starał się nie gapić na nią zbyt nachalnie.

- Nawzajem, doktor Wilde - odparła Kari. - Panie Chase. Słyszałam, że przydał się pan w Nowym Jorku?

- Rzeczywiście, można tak powiedzieć. Dobrze, że mnie wynajęliście! - Posłał Schenkowi triumfalne spojrzenie.

Schenk zmarszczył brwi.

- Cieszę się, że dom się pani podoba - powiedziała Kari, zwracając się znowu do Niny. - Sama go zaprojektowałam. Architektura jest jednym z moich... cóż, mogłabym powiedzieć „hobby”, ale byłoby to nieskromne. Mam dyplom z architektury. - Mówiła doskonałą angielszczyzną z ledwie zauważalnym obcym akcentem.

- Jest przepiękny - przyznała Nina.

- Dziękuję. - Imię Kari wydało się Ninie znajome, ale nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

- Tata jest w domu? - spytał Chase, wtykając kciuki w kieszenie kurtki.

Kari zareagowała na tę poufałość z pewnym chłodem.

- Nie, jest w laboratorium biologicznym. Mogę państwa do niego zaprowadzić.

Wreszcie Nina sobie przypomniała.

- Przepraszam, że pytam, ale... czy w zeszłym roku nie pokazywano pani w wiadomościach telewizyjnych?

- Tak, rzeczywiście - przyznała Kari. - Pomagałam organizować akcję humanitarną w Etiopii.

- Panna Frost nie tylko pomaga - wtrącił Schenk. - Kieruje wszystkimi programami medycznymi Fundacji Frosta na świecie. Wątpię, czy istnieje jakiś kraj, którego nie odwiedziła w ciągu ostatnich pięciu lat.

- Dzięki temu ma pani na pewno duże zniżki w liniach lotniczych - zażartował Chase.

- Pracuje pani nad programami walki z chorobami, prawda? - spytała Nina.

- Tak. Fundacja Frosta robi, co może, aby świat stał się lepszym miejscem do życia. To ambitny cel, przyznaję, ale jestem przekonana, że uda nam się go osiągnąć.

- Mam nadzieję - powiedziała Nina.

- Dziękuję - odparła Kari. Skinęła na drzwi. - Proszę za mną zaprowadzę państwa do mojego ojca.

Kari zaprowadziła ich do ogromnego garażu pod domem. Nina była zdumiona tym, co tam zobaczyła: w rzędach stały luksusowe samochody i motocykle sportowe, od starych klasycznych modeli aż po najnowsze włoskie cacka.

- Moja osobista kolekcja - wyjaśniła Kari. - Ojciec tego nie pochwała, ale po prostu uwielbiam poczucie wolności i dreszczyk emocji, jakie daje szybka jazda.

- Niezła bryka - powiedział Chase, podziwiając najpierw szkarłatne ferrari F430 spider, a potem zaparkowany obok lśniący granatowo-srebrny motocykl.

- Suzuki GSX-R1000- powiedziała Kari nie bez dumy. Po raz pierwszy okazała jakieś emocje. - Najszybszy produkowany seryjnie motocykl na świecie. Zamierzam zabrać go wkrótce do Europy, żeby się pościgać. To znaczy... jeżeli pozwolą mi na to obowiązki. Ale to zależy od doktor Wilde.

- Co pani ma na myśli? - spytała Nina.

Kari posłała jej tylko enigmatyczne spojrzenie i zaprowadziła ich do limuzyny.

Schenk usiadł za kierownicą i pojechali w kierunku futurystycznych budynków leżących na wschód od rezydencji, które Nina widziała wcześniej z samolotu. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyła, że kompleks składa się z dwóch części: z połączonych ze sobą dwukondygnacyjnych gmachów nad brzegiem fiordu oraz z konstrukcji wiszących nad nimi i wbudowanych w skalną ścianę klifu.

- Nasze laboratorium biologiczne - wyjaśniła Kari. - W części podziemnej znajduje się sektor spełniający normy bezpieczeństwa biologicznego. Trzymamy tam próbki potencjalnie groźnych mikroorganizmów, więc sektor można w razie niebezpieczeństwa szczelnie zamknąć. - Wskazała kulistą konstrukcję wiszącą na skalnej ścianie. - A tam, na górze, jest biuro mojego ojca.

- Pani ojciec pracuje w biurze tuż nad laboratorium? - zdziwiła się Nina. Na myśl o budynku pełnym bakterii i wirusów chorobotwórczych przechodziły ją ciarki.

- To jego pomysł, chciał pokazać, że wierzy w bezpieczeństwo w kompleksie, który zaprojektowałam. Poza tym lubi na bieżąco kontrolować wyniki badań.

Zjechali po rampie do garażu pod głównym gmachem, a potem wjechali windą do holu na parterze. Przy dużym biurku w kształcie podkowy, wykonanym z czarnej stali i marmuru, siedziało trzech umundurowanych pracowników ochrony, którzy uklonili się Kari z szacunkiem. Za biurkiem znajdowały się drzwi prowadzące do wysokiego korytarza ze szklanym dachem, przez który Nina widziała biuro Frosta powyżej. Krzątało się tam mnóstwo ludzi.

- Ile osób tu pracuje? - spytała.

- To zależy - odparła Kari - ale zwykle około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu badaczy, a oprócz nich grupa ochroniarzy.

Nina spostrzegła następny posterunek ochrony na końcu korytarza, przy dużych drzwiach ze szkła i stali.

- Macie... eee... macie wielu ochroniarzy, prawda?

- Potrzebujemy ich - odparła rzeczowym tonem Kari. - Pewne wirusy, które badamy, mogłyby przez terrorystów zostać wykorzystane jako broń biologiczna. A Fundacja Frosta ma, niestety, wrogów. Niektórych z nich już pani spotkała.

- Nie przejmuj się - powiedział Chase. - Obronę cię.

Na widok ostrzeżenia o niebezpieczeństwie Nina lekko zwolniła kroku.

- Czy... czy tu jest naprawdę bezpiecznie?

- Absolutnie - zapewniła Kari. - Te drzwi są częścią śluzy powietrznej. Są wykonane z ceramicznego tlenoazotku glinu, tworzywa kompozytowego zwanego też „alonem” albo „przezroczystym aluminium”. Wytrzymałość tego materiału można porównać do płyty pancernej o grubości sześćdziesięciu centymetrów. Te drzwi są właściwie niezniszczalne. Żywy organizm, czy to człowiek, czy mikrob, może się przedostać przez tę barierę tylko za naszym pozwoleniem.

- Cieszę się, że to słyszę!

Na polecenie Kari strażnicy otworzyli ciężkie drzwi śluzy. Wszyscy troje weszli dalej i poczekali, aż otworzą się drugie drzwi. Pomieszczenie było urządzone funkcjonalnie. Ściany wyłożono białymi kafelkami, a posadzkę pokryto przeciwpoślizgową gumą, łatwą do czyszczenia. Jarzeniówki oświetlały każdy kąt, a Nina zauważyła też lampy emitujące promienie ultrafioletowe, które nadawały pomieszczeniu jeszcze bardziej sterylny wygląd.

Kari zaprowadziła ich do windy, którą wjechali do gabinetu Frosta. Wchodząc do środka, Nina miała wrażenie, że znalazła się z powrotem w rezydencji, bo był urządzone bardzo podobnie. Przez okna widziała zresztą dom na szczycie grani.

Lecz to nie widok z okien, architektura i dzieła sztuki przykuły jej uwagę, tylko mężczyzna, który na nich czekał.

Kristian Frost robił jeszcze większe wrażenie niż na zdjęciach. Przystojny, wysoki i wciąż imponująco muskularny mimo swoich sześćdziesięciu lat, w granatowym golfie przypominał raczej ogorzałego rybaka niż biznesmena miliardera. Włosy przyprószyła mu już siwizna, lecz w oczach wciąż lśniła młodzieńcza energia i przenikliwa inteligencja.

- Pani doktor Wilde - powiedział, biorąc ją za rękę. Była lekko zaskoczona, gdy zamiast uścisnąć jej dłoń, schylił się i pocałował ją. Gdyby zachował się tak ktoś inny, graniczyłoby to ze śmiesznością, ale do Kristiana Frosta ten gest pasował. - Witam w Ravnsfjord.

- Panie Frost - odparła.

- Och, proszę mi mówić Kristian. - Jego angielszczyzna nie była tak bezbłędna jak Kari, gardłowe „r” zdradzało jego skandynawskie pochodzenie. - Bardzo mi miło panią poznać. I bardzo się cieszę, że mam taką możliwość. Podjęliśmy dobrą decyzję, wynajmując pana Chase’a.

- W takim razie powinnam podziękować za uratowanie mi życia! Frost uśmiechnął się szeroko.

- Cieszę się, że mogłem się na coś przydać.

- Ale... dlaczego ktokolwiek miałby chcieć mnie zabić? O co w tym wszystkim chodzi?

- Proszę usiąść, a zaraz to wytłumaczę - powiedział Frost, prowadząc ją do długiej sofy. Kiedy usiadła, Kari zajęła miejsce na drugim końcu. - Obawiam się, że pani badania na temat Atlantydy sprawiły, że stała się pani celem ataku niejakiego Giovanniego Qobrasa.

- A kim jest Giovanni Qobras? - spytała Nina.

- Szaleńcem - odpowiedziała Kari.

- Aha. - Morderca i szaleniec. Po prostu świetnie.

- Qobras i jego wyznawcy - zaczął Frost - którzy nazywają siebie Bractwem, wierzą w to samo co ja i pani - że Atlantyda istniała. Byłem o tym przekonany przez całe życie i wydałem sporo pieniędzy, usiłując tego dowieść. - Podszedł do okna. Morze w oddali lśniło jak brylanty. - Niestety, bez większego powodzenia. Jak pani wie, można się oprzeć na bardzo niewielu informacjach, które są różnie interpretowane.

- Nie musi mi pan o tym mówić - zapewniła Nina. - I co z tym Qobrasem?

Odwrócił się twarzą do niej.

- Pani i ja chcemy znaleźć Atlantydę, przywrócić tę starożytną cywilizację światu. Qobras natomiast... - Jego twarz spochmurniała. - Qobras chce, aby pozostała na zawsze ukryta, pragnie strzec jej tajemnicy dla własnych celów. I jest gotów posunąć się do morderstwa, aby dopiąć swego. Pani nowa hipoteza na temat jej lokalizacji nie przekonała może komisji uczelnianej, ale z pewnością przekonała Qobrasa.

Qobras wierzy, że jest pani na właściwym tropie... podobnie jak ja, nawiasem mówiąc... i pragnie powstrzymać panią przed udowodnieniem swojej hipotezy.

- Zaraz - powiedziała Nina. - A skąd pan wie o mojej hipotezie?

- Fundacja Frosta ma przyjaciół wśród akademików na całym świecie. Uчени wiedzą, że każda nowa koncepcja dotycząca lokalizacji Atlantydy wzbudzi moje zainteresowanie, więc przekazują mi stosowne wiadomości. A pani hipoteza... - Uśmiechnął się. - Przejdę od razu do sedna. Jestem gotów sfinansować ekspedycję badawczą, która zweryfikowałaby pani teorię.

Nina nie posiadała się z radości.

- Naprawdę?

- Jak najbardziej. Ale pod jednym warunkiem. - Zobaczył, jak rzędzie jej mina, i zachichotał. - To nic takiego, zapewniam. Ale Zatoka Kadyksu jest dosyć duża, a chociaż jestem bogaty, to moje środki nie są niewyczerpane. Chciałbym, żeby zawężyła pani obszar poszukiwań, wskazała najbardziej prawdopodobną lokalizację.

- Ale właśnie na tym polega problem - odparła Nina. - Danych jest tak niewiele, że nie potrafię wskazać bardziej dokładnie.

- Prawdopodobnych lokalizacji może być więcej, niż pani myśli. - Zaintrygowana, podniosła na niego wzrok. - Wyjaśnię to później. A teraz... czy jest pani zainteresowana?

- Czy jestem zainteresowana? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Oczywiście!

Frost podszedł i podał jej prawą dłoń. Zawahała się, a potem ją uściśniła.

- Wspaniale - powiedział. - Doktor Wilde, razem znajdziemy Atlantyde.

Lśniący przedmiot unosił się w powietrzu, nie podlegał sile ciężenia.

Nina wpatrywała się w niego urzeczona. Nigdy wcześniej nie widziała hologramu, nawet nie wyobrażała sobie, by coś takiego było możliwe poza filmami science fiction.

- Co to takiego? - spytała wreszcie.

- Coś, co może pomóc pani zawęzić obszar poszukiwań - odparł Frost. - A przynajmniej tak twierdzi człowiek, który chce mi to sprzedać.

- Sprzedać? - Nina odwróciła się z powrotem do hologramu. Obraz rzucany przez stojący pod spodem cylindryczny projektor, w którym różnobarwne światełka migały tak szybko, że nie mogła nadążyć za nimi wzrokiem, przedstawiał podobno obiekt w skali jeden do jednego. Przedmiot był długi na około trzydziestu centymetrów i szeroki na pięć. Płaska sztaba metalu, której dolny koniec był zaokrąglony, zaś górny prosty, z kulistym guzkiem. Miał barwę podobną do złota, ale o niezwykłym czerwonym odcieniu. Jak jej wisiołek.

Mimowolnie dotknęła palcami kawałka metalu na szyi, gdy pochyliła się bliżej nad hologramem i okrążyła projektor, żeby przekonać się, jak obiekt wygląda z drugiej strony. Ku swemu rozczarowaniu, nie zobaczyła niczego prócz dziwnego, przeczącego prawom perspektywy odwrócenia tej samej półprzezroczystej płaszczyzny, za którą widziała teraz Frosta, Kari i Chase'a.

- Sprzedawca chciał tylko narobić nam apetytu - powiedziała Kari. - Twierdzi, że po drugiej stronie znajdują się oznaczenia, które mogą nam pomóc w poszukiwaniach... ale nie pozwoli nam ich obejrzeć, póki nie zgodzimy się mu zapłacić.

- Ile chce? - spytał Chase.

- Dziesięć milionów dolarów.

- Kurczę blade. To kupa kasy za fikuśną linijkę.

- Ten przedmiot może być wart nawet więcej - powiedziała Nina. Chociaż wiedziała, że to tylko iluzja, nie mogła się powstrzymać i wyciągnęła palec, aby go dotknąć. Palec przeszedł przez hologram, część obrazu zniknęła, bo palec zasłonił wiązki lasera, które go generowały. - To *orichalcum*, prawda?

- Na to wygląda. - Frost pokazał jej szklany talerzyk, na którym leżał maleńki kawałek metalu tej samej barwy co sztabka. - Oprócz hologramu przysłał nam próbkę. Twierdzi, że odpiłował ją od bocznej krawędzi artefaktu. - Nina zobaczyła na hologramie nacięcie. -

Przeprowadziłem analizę chemiczną. To stop złota i miedzi, ale z bardzo dużymi domieszkami węgla i siarki, którym zawdzięcza zapewne swój niezwykły kolor.

- Pochodzenia wulkanicznego?

- Tak.

- To by pasowałyby do opisu *orichalcum* w *Kritiasie* Platona! - zapaliła się Nina, uświadomiwszy sobie implikacje tego faktu.

- Zaraz, zaraz - wtrącił się Chase. - Przepraszam, ale może mi ktoś wytłumaczyć, o co chodzi, bo nic nie kumam?

- Według Platona, na Atlantydzie wydobywano rzadki kruszec zwany *orichalcum* - wyjaśniła Nina. - Ale w tablicy okresowej nie ma miejsca na nieznaną metal, co znaczy, że musiał to być stop metali. Tylko że nie wydobywa się stopów od razu z ziemi, chyba że powstały w wyniku procesu naturalnego. Aktywność wulkaniczna mogła spowodować, że pokłady złota i miedzi stopiły się, tworząc nową substancję, a jeśli było jej dostatecznie dużo, można ją było wydobywać.

- Atlantydzi użyli *orichalcum* do pokrycia murów swojego zamku - powiedziała Kari. - Uznawali ten metal za prawie tak cenny jak złoto, co jest prawdą, jeśli wziąć pod uwagę wysoką zawartość złota, ale taki przedmiot byłby wart znacznie więcej niż sam kruszec, z którego go wykonano. Jeśli jest autentyczny, to byłby pierwszym prawdziwym artefaktem atlantydzkim, jaki znaleziono: dowodem, że Atlantyda istniała.

Frost skinął głową do Schenka, który zapalił światło. Hologram przyblakł, przybierając wygląd raczej widma niż materialnego przedmiotu.

- To gdzie on jest? - spytała Nina. - Kto go ma?

- Sprzedawca nazywa się Juri Wolgan - zaczął Frost. - Do niedawna był jednym z ludzi Qobrasa. Najwyraźniej chce opuścić Bractwo i potrzebuje pieniędzy, żeby ukryć się przed Qobrasem, i dlatego gotów jest sprzedać artefakt. Przesłał nam próbkę *orichalcum* i hologram poprzez pośrednika, Irańczyka, który nazywa się Fajlak Hadżdżar.

Nina zmarszczyła brwi.

- Słyszałam już to nazwisko.

- Nie dziwię się. Sprzedaje staroperskie zabytki, które nie powinny być na sprzedaż.

- Hiena cmentarna - zauważyła z niesmakiem.

- Kiedyś owszem, ale raczej nie brudzi sobie tym rąk już od lat. Zbił sporą fortunę na sprzedaży skarbów swojego kraju prywatnym kolekcjonerom za granicą. Wzbogacił się na tyle, że wkułił się nawet w łaski irańskich władz.

- Na dodatek kabluje na konkurencję - dodał Chase. - Donosi na nich policji, dzięki czemu sam nie jest ścigany. Nie spotkałem go osobiście, ale znam ludzi, którzy mieli z nim do czynienia. Facet nie cieszy się sympatią... ale jeśli sprzedaje ten przedmiot, to prawdopodobnie uważa, że to autentyk. To sukinsyn, ale z rodzaju tych, którzy dbają o swoją reputację.

- Ma środki, aby zorganizować sprzedaż artefaktu, a zarazem ochronić Wolgana przed Qobrasem - powiedział Frost. - Dlatego skłonny jestem sądzić, że przedmiot jest autentyczny. Ale nie zamierzam też wyłożyć dziesięciu milionów dolarów, nie mając pewności, że tak jest. I właśnie tutaj pani wchodzi do gry. Nina zamrugała.

- Ja?

- Chciałbym, żeby pani obejrzała artefakt i stwierdziła, czy to, co Wolgan twierdzi, jest prawdą.

- Chce pan, żebym pojechała do Iranu? - Przełknęła z wysiłkiem ślinę. - Do państwa z osi zła, które tak bardzo nienawidzi Ameryki? Do tego Iranu?

Chase się roześmiał.

- Będę miał cię na oku. Ja i kilku moich kumpli. Nie ma się czym martwić.

- Byłeś już w Iranie?

- Nieoficjalnie... - odparł wymijająco.

- Pan Chase i jego współpracownicy zapewnią pani ochronę - powiedział Frost. - A Kari pojedzie z wami, żeby mnie reprezentować.

- Ale dlaczego uważa pan, że uda mi się stwierdzić, czy przedmiot jest autentyczny? - dociekała Nina.

- Jest pani ekspertem od języków starożytnych, czyż nie? - powiedziała Kari.

- Nie użyłabym słowa „ekspert” - zaoponowała. - To znaczy, owszem, umiem rozróżnić fenicki od numidyjskiego, ale nie jestem specjalistką.

- Z tego, co słyszałem, potrafi pani znacznie więcej. Może nawet jest pani lepsza od matki. - Nina spojrzała na Frosta zaskoczona. - Znałem pani rodziców... a nawet sfinansowałem ekspedycję do Tybetu, gdzie... - Umilkł, odwracając od niej wzrok. - To była wielka tragedia. Wielka strata.

- Nigdy mi nie mówili, że pan ich finansuje - powiedziała Nina.

- Na moją prośbę. Teraz, gdy wie pani, do czego Qobras jest zdolny, rozumie pani, dlaczego przykładam wielką wagę do kwestii bezpieczeństwa. Qobras zrobi wszystko, by nie dopuścić do odnalezienia Atlantydy, a dysponuje znacznymi środkami: ma potężnych przyjaciół na całym świecie.

- Na przykład kogo?

- Chyba lepiej, żeby pani tego nie wiedziała, dla pani własnego bezpieczeństwa. A co do artefaktu, jeśli Juri Wolgan mówi prawdę, przeczytanie inskrypcji powinno pani umożliwić stwierdzenie, czy to autentyk, czy falsyfikat. A proszę sobie tylko wyobrazić - ciągnął Frost.

Spojrzał w prawo. Wyjście było tam, gdzie być powinno, ale brakowało mostu. Zostały tylko spróchniałe szczątki porzucane jak kości połamanego szkieletu.

- Musimy się przedostać na drugą stronę - powiedział, wskazując wyjście i zeskakując do basenu.

- Ile czasu?

- Niecałe trzy minuty!

Podbiegli do drugiego brzegu. Chase spojrzał w górę. Może udałoby mu się podskoczyć na tyle wysoko, żeby złapać się krawędzi, ale trudno byłoby się utrzymać i jednocześnie wspinać.

- Podsadz mnie! - powiedział Starkman.

- A może ty mnie podsadzisz - odparł Chase.

- Nie ufasz mi?

- Jasne, że nie!

- W porządku, ale ty znasz drogę do wyjścia, a ja nie!

- Słusznie - przyznał Chase, pochylając się i splatając dłonie, żeby Starkman mógł oprzeć na nich stopę. Amerykanin wdrapał się po ścianie i zniknął na górze.

Przez jedną okropną chwilę Chase przestraszył się, że nie wróci, lecz Starkman podał mu rękę.

- Myślałeś, że nawieję, co?

- Nie byłby to pierwszy raz, prawda? - Spojrzał na zegarek. - Dwie minuty! Kurczę! Biegiem!

Popędzili przez tunel. Następny przystanek, próba umysłu - ale Chase wiedział przynajmniej, jak znaleźć wejście dla kapłanów. Wbiegł do komnaty i rozejrzył się.

- W ścianie jest zapadka - oznajmił, zbliżając się do kąta... I znalazł tylko lity kamień. Żadnego otworu. Żadnej zapadki. Żadnego wejścia dla kapłanów.

- Kurwa mać! - Oświetlił latarką ścianę, szukając jakiegoś innego znaku, który świadczyłby o tym, że budowniczowie tej świątyni zmienili projekt.

Nic!

- Co jest grane? - zapytał Starkman.

- Nie ma jej! Nie ma drugiego wejścia! - Spojrzał na kamienne drzwi blokujące przejście, na symbole wykute w kamieniu powyżej.

Była tam misa z ołowianymi kulkami. Rozwiązanie...

Chase zmarszczył brwi, wysilając pamięć. Nina powiedziała mu, jaka jest prawidłowa odpowiedź, gdy odkryła atlantydzki system liczenia. Ale ile to było? No, ile?

Czterdzieści dwa...

Nie, to z jakiegoś pieprzonego przewodnika turystycznego! Czterdzieści!

- Musimy położyć czterdzieści tych kulek na tej szali! - oświadczył, pokazując wagę. - Ty dwadzieścia i ja dwadzieścia! Szybko!

Starkman zabrał się do liczenia.

- A co będzie, jak się pomylimy?

- Zginiemy! - Chase odliczył pierwszą dziesiątkę kulek i wsypał je do szalki, następnie zagarnął drugą garść.

Starkman zrobił to samo. Dwadzieścia, trzydzieści... Czterdzieści!

Chase chwycił dźwignię i zawahał się przez ułamek sekundy, modląc się, żeby Nina nie pomyliła się w rachunkach, a potem pociągnął... Cyk!

Kamienne drzwi poruszyły się lekko.

- Uwielbiam inteligentne babki! - wykrzyknął radośnie. - Pomóż mi!

We dwóch pchnęli drzwi.

Starkman był tuż za nim, gdy weszli do ostatniego tunelu.

- A teraz po prostu biegnij! - krzyknął Chase.

Nie zwolnił nawet na chwilę, żeby spojrzeć na zegarek, ale wiedział, że zostało im ostatnie pół minuty.

Wparowali do głównej sali, wszędzie wokół lśniło *orichalcum* i złoto. Lecz nie liczyło się nic poza ogromnym posągami Posejdona i schodami, które znajdowały się za nim.

Chase miał tylko nadzieję, że oprócz usunięcia dodatkowego mechanizmu otwierającego w komnacie z próbą umysłu budowniczowie nie wprowadzili żadnych innych zmian.

- Tam, na górę! - wysapał, przeskakując po trzy schodki naraz. Nogi mu drżały z wysiłku, słony pot drażnił ranę na łydce, ale nie mógł się teraz zatrzymać. - W komnacie powinien być szyb!

- Powinien? - stęknął Starkman.

- Jeśli go nie ma, możesz mnie pozwać!

Dotarli na szczyt schodów. Przepych komnaty ołtarzowej nie miał znaczenia, dla Chase'a ważny był tylko szyb...z teatralną emfazą - będzie pani mogła wziąć do rąk prawdziwy atlantydzki zabytek!

- Jeśli to autentyk.

- W każdym razie, jest pani najbardziej kompetentną osobą na świecie, aby to ocenić.

Nina zastanowiła się nad tym, co powiedział. Wciąż nie uśmiechał jej się pomysł podróży do kraju, który tak otwarcie okazywał wrogość Zachodowi, a w szczególności Stanom Zjednoczonym, ale z drugiej strony uczestniczyła już w ekspedycjach do mało przyjaznych krajów, zaś tym razem wartość odkrycia znacznie przewyższa to, co dotychczas odnalazła.

Poza tym, tak jak powiedział Frost, nie pojechałaby tam sama.

A gdyby odmówiła, to co mogłaby zrobić? Wrócić do Nowego Jorku, gdzie nie przyznano jej funduszy i gdzie ustawicznie musiałaby się oglądać przez ramię na wypadek, gdyby ludzie Qobrasa znów próbowali ją zabić?

- Dobrze - powiedziała - Zgadza się. Kiedy wyjeżdżamy? Frost się uśmiechnął.

- Jak tylko będzie pani gotowa.

- Podoba mi się pański sposób działania - zauważyła Nina, odwzajemniając uśmiech. - Sam fakt, że Atlantyda czeka na odkrycie od jedenastu tysięcy lat, nie oznacza jeszcze, że my powinniśmy też czekać.

- W takim razie - powiedziała Kari - chodźmy się przygotować.

4

Iran

Nina potarła ramię.

- Wciąż boli.

- Nie chcesz chyba złapać jakiegoś bliskowschodniego choróbka, co? - spytał rozbawiony Chase. - Lepiej dmuchać na zimne, niż potem żałować.

- Wiem. Po prostu nie lubię zastrzyków, to wszystko. - Szczepionka była nieprzyjemną koniecznością. Chociaż była mniej bolesna od innych, które zaaplikowano Ninie w przeszłości, zdawało się, że kropelka krwi po ukłuciu w ogóle nie chce zakrzepnąć.

- To i tak nic takiego! Jezu, szkoda, że nie widziałaś zastrzyków, jakie dawali mi w SAS. Igły były taaakie długie. - Rozstawił dłonie na ponad dwadzieścia centymetrów. - I wolałabyś nie wiedzieć, gdzie je wbijali.

- Rzeczywiście, wolę nie wiedzieć!

Gulfstream minął właśnie Morze Czarne i Turcję, zbliżając się do Iranu. Nie lecieli bezpośrednio z Norwegii, wcześniej wylądowali w Pradze, gdzie na pokład wsiadł następny pasażer. W samolocie z Niną, Chase'em i Kari, która siedziała osobno w głębi kabiny, pracując przy laptopie, znalazł się mężczyzna, którego Chase przedstawił jako Hugona Castille'a. Pokpiwali z siebie nawzajem i było jasne, że są starymi kumplami.

- Owszem, znamy się z Edwardem od dawna - potwierdził tryskający energią Europejczyk o pociągłej twarzy (Francuz, przypuszczała Nina na podstawie akcentu), gdy go o to zapytała. - Pracowaliśmy razem przy wielu operacjach specjalnych NATO. Ale to ścisła tajemnica, więc ani mru-mru - dodał i postukał się palcem w orli nos.

- A więc służył pan w wojsku francuskim? Castille z oburzoną miną uderzył się pięścią w pierś.

- Francuskim? Ależ wypraszam sobie! Jestem Belgiem, *madamel*

- Och, najmocniej przepraszam! Nie wiedziałam - zaczęła się tłumaczyć Nina, zanim zorientowała się, że Chase chichocze. Na twarzy Castille'a pojawił się uśmiech. - Zaraz, nabijacie się ze mnie?

- To taki niewinny żarcik - powiedział Chase. - Hugo odgrywa scenkę: „Francuz? Jak śmiesz!” od lat. Biedak rzeczywiście jest z Belgii, więc próbuje to sobie rekompensować.

- Angielski filister - prychnął Castille. Wyciągnął z kieszeni marynarki lśniące czerwone jabłko i obejrzał je dokładnie, zanim je nadgryzł.

- Czego mogę się spodziewać w Iranie, panie Chase? - spytała Nina.

- Mów mi Eddie. - Przybrał poważny wyraz twarzy. - Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała zbyt często mieć do czynienia z Irańczykami. Powinniśmy się z tym szybko uwinąć: lądujemy, spotykamy się z Hadżdżarem, sprawdzasz, czy towar nie jest lewy, a potem szefowa - skinął głową na Kari - przeleje pieniądze i wracamy do domu. O ile oczywiście wszystko pójdzie zgodnie z planem.

- A jeśli nie?

Poklepał skórzaną kurtkę przewieszoną przez poręcz fotela. Z wewnętrznej kieszeni wystawała kolba pistoletu. - Wtedy tamci będą mieli kłopoty. Ale nie martw się, nic nam się nie stanie. Będę cię ochraniał, doktoro.

- My będziemy - poprawił go Castille, przeżuwając jabłko.

- Dzięki - powiedziała Nina, zachowując swoje obawy dla siebie.

Laptop zadźwięczał. Kari popatrzyła na ekran z zaskoczeniem, a potem jej błękitne oczy spojrzały przełomie na Ninę. Szybko coś napisała, wcisnęła klawisz „return”, zaniknęła komputer i przesiadła się na wolny fotel naprzeciwko Niny.

- Coś złego? - spytała Nina.

- Nie, tylko ojciec przysłał e-maila, którego się nie spodziewałam. Nie ma się czym martwić, to właściwie dobra wiadomość. Ale na razie nieistotna, więc... - Pochyliła się do przodu i po raz pierwszy, odkąd Nina ją poznała, uśmiechnęła się, ukazując idealnie białe zęby.

- Chyba powinnam panią przeprosić, doktor Wilde.

- Za co?

- Nie najlepiej spisałam się jako gospodyni. Byłam zajęta pracą dla fundacji, przygotowaniem do ekspedycji... Przepraszam, jeśli sprawiałam wrażenie chłodnej i nieprzystępnej.

- Ależ nie ma pani za co przeproszać - zapewniła Nina. - Jest pani bardzo zajęta, na pewno ma pani na głowie mnóstwo spraw.

- Już nie. Od tej chwili całą uwagę poświęcam pani i tej misji. Chcę, żeby nam się udało... i chcę dopilnować, aby była pani bezpieczna.

- Dziękuję - powiedziała Nina, uśmiechając się. Kari zerknęła na Chase'a.

- Panie Chase - powiedziała, posyłając mu karcące spojrzenie - czy próbuje pan zaglądać mi w dekolt?

Nina zakryła dłonią usta, tłumiąc śmiech, podczas gdy Castille ugryzł czym prędzej jabłko, maskując w ten sposób wesołość. Chase niezaprzeczalnie został przyłapany na gorącym uczynku, lecz zamiast się wypierać, po prostu odchylił się do tyłu i uniósł brew.

- To samo będą robić Irańczycy, którzy głupieją na widok kobiet w seksownych ciuchach. Lepiej żebyśmy nie zwracali na siebie większej uwagi niż to konieczne. Dlatego pomyślałem, że powinna się pani przebrać w coś trochę bardziej zgrzebnego, zanim wylądujemy.

Kari miała na sobie biały obcisły top i skórzane spodnie podobne do tych, w których przywitała ich w Ravensfjord.

- Słuszna uwaga. Na szczęście, jako osoba zapobiegliwa, jestem przygotowana.

- Ale doktorka wygląda okej. Potrzebuje tylko płaszcz. Nina zgromiła go wzrokiem.

- Czy mówi pan, że wyglądam zgrzebnie, panie Chase? - Sama na opisanie stroju składającego się z dzinsów, bluzy i traperek użyłaby raczej słowa „skromny” albo „praktyczny”.

- Wygląda pani bardzo dobrze. - Kari uśmiechnęła się, wstając. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, wystarczy mnie poprosić. - Poszła do tylnej kabiny.

Castille dojadł jabłko.

- Ach, Anglia - oświadczył. - Kraj szarmanckich, kulturalnych, romantycznych dżentelmenów. No i mają tam także Edwarda Chase'a.

- Och, odpiersi się, Hugo.

Castille rzucił w niego ogryzkiem. Chase złapał go bez wysiłku, wysuwając rękę z szybkością atakującego weża.

- Czy on zawsze tak się zachowuje? - spytała Nina Castille'a.

- Obawiam się, że tak.

- I kobiety to uwielbiają - powiedział Chase, wrzucając ogryzek do pustej szklanki po wodzie.

Castille cmoknął i przewrócił oczami. Chase spojrział na zegarek i wyciągnął się na fotelu.

- Chwila relaksu? - spytała Nina.

- Po prostu staram się wypocząć - odparł. - Lądujemy za pół godziny. A idę o zakład, że podróżowanie po Iranie nie będzie nawet w przybliżeniu tak komfortowe jak ten lot.

Chase miał rację, pomyślała Nina. Land-rover, którym jechali na spotkanie z Fajlakiem Hadżdżarem, miał już najlepsze lata za sobą, a droga, którą jechali, najwyraźniej nigdy nie była dobra.

Gulfstream wylądował na lotnisku obsługującym miasto Esfahan w górach Zagros, w zachodniej części Iranu. Mimo że bez problemu przeszli przez odprawę, nawet gdy Nina pokazała amerykański paszport - Fundacja Frosta udzieliła Iranowi znacznej pomocy po trzęsieniu ziemi w 2003 roku, zaskarbiając sobie wdzięczność władz - to i tak Irańczycy patrzyli na nich podejrzliwie. Wszystkie kobiety, które Nina widziała, gdy wyjeżdżali z Esfahanu, nosiły przynajmniej chusty na głowach, a sporo z nich również kwefy. Choć w Iranie nie obowiązywały tak surowe prawa dotyczące kobiecego stroju jak na przykład w sąsiedniej Arabii Saudyjskiej, nawet cudzoziemki musiały nosić ubrania ukrywające kobiece kształty.

Zapobiegliwość Kari objawiła się także tym, że wzięła z Norwegii coś odpowiedniego dla Niny: jasnobrązowy płaszcz, który sięgał do kolan. Nina instynktownie buntowała się przeciw jakimkolwiek nakazom w sprawach stroju, ale przynajmniej nie musiała okutać się w burkę. Mimo wszystko poczuła lekką zazdrość na widok długiego płaszcza, który Kari wybrała dla siebie.

Na lotnisku Kari zawiązała na głowie chustę, ale zdjęła ją, gdy tylko wsiadła do land-rovera. Nina zrobiła to samo, gdy samochód wyjechał za miasto.

Za kierownicą land-rovera siedział człowiek, którego Chase przedstawił jako swojego znajomego albo, jak to ujął, „starego kumpla”. O dobrych dziesięć lat starszy zarówno od Chase’a, jak i Castille’a Hafez Marradedżan był krępy, śniadym mężczyzną o szpakowatej brodzie, która kończyła się imponującym szpicem jakieś dziesięć centymetrów pod podbródkiem. Palił również papierosa za papierosem - co Nina przyjęła z tym większym przerażeniem, że jak usłyszała, podróż miała trwać co najmniej godzinę.

- No co? - powiedział Hafez (mimo że Nina mówiła trochę po arabsku, postanowił mówić po angielsku) - wróciłeś do roboty, Eddie?

- Owszem - potwierdził Chase. Siedział obok kierowcy, podczas gdy Nina była wciśnięta między Kari i Castille’a z tyłu. - Ten sam biznes, tylko nowy szef. - Skinął głową do tyłu, w kierunku Kari.

- Ach! Powiedziałbym: „Witamy w Iranie, jest pani mile widziana, panno Frost”, ale obecny rząd? Phi! Nie zasługuje na pani szacunek. - Hafez cały czas patrzył na Kari, kiedy mówił, a Nina krzywiła się nerwowo za każdym razem, gdy odrywał wzrok od niepokojąco ruchliwej drogi. - Wreszcie doczekaliśmy się rządu, który przynajmniej usiłował być postępowy, i co się stało? W następnych wyborach utracił poparcie! Ech, ta demokracja. Nic nam po niej, jeśli ludzie są głupi! - Wydał z siebie coś pomiędzy rechotem a charczeniem. - Mimo wszystko, fajnie cię znowu zobaczyć, Eddie.

- A więc byłeś wcześniej w Iranie? - zapytała Nina.

- Nie, skądże, nigdy - zapewnił pośpiesznie Chase. Castille zrobił minę niewiniątka i wyjrzał przez okno. Hafez znów zarechotał.

- Europejczycy i ich tajemnice! A było to tak...

- Absolutnie niczego nie było - przerwał mu Chase. - Oddziały specjalne NATO nigdy nie prowadziły żadnych operacji na terytorium Iranu. Nigdy. - Łypnął karcąco na Hafeza, który tylko zachichotał i zaciągnął się papierosem.

- Ech, w takim razie musiałem pomagać duchom. A przy okazji, jedna ze skrzynek, których nigdy tu nie przywiozłeś, leży z tyłu. Tak, jak prosiłeś.

Castille sięgnął za tylne siedzenie i podniósł brudny metalowy pojemnik wielkości pudełka na buty, a następnie wydobyl z niego czarny pistolet automatyczny, kilka magazynków amunicji oraz - ku przerażeniu Niny - granat.

- Proszę na chwilę potrzymać.

Nina pisnęła, gdy jakby nigdy nic wepchnął jej granat do ręki. Castille szybko i sprawnie sprawdził zamek, załadował pistolet i schował go pod kurtkę.

Chase zerknął na Ninę, która w osłupieniu gapiała się na granat.

- Nie ma co panikować - powiedział, zabierając go. - Nie wybuchnie, póki nie wyciągnie się zawleczeni. O tak.

Wyciągnął zawleczeni. Nina wrzasnęła.

- W tym akurat zapłon następuje po pięciu sekundach - zauważył Chase. - Ale nie ma powodu do obaw, nie wybuchnie, póki nie puści się łyżki. - Wsunął zawleczeni z powrotem, a potem zdjął kciuk z zakrzywionej metalowej blaszki umieszczonej z boku. - Widzisz?

Castille i Hafez zachichotali.

- To nie było zabawne! - jęknęła Nina.

- Panowie - wtrąciła się Kari. - Wolałabym, żebyście nie straszili najważniejszego członka naszej ekspedycji. - Słowa były łagodne, ale ton rozkazujący.

- Przepraszam, szefowo - powiedział Chase. Oddał granat Castille'owi, który schował go do skrzynki. - Po prostu pomyślałem, że trochę się rozerwiemy w czasie podróży.

Nina zrobiła urażoną minę.

- Następnym razem weź sobie iPod!

Po godzinie podróży Nina żałowała, że sama nie wzięła iPod.

Góry z początku robiły imponujące wrażenie, ale po jakimś czasie każdy brunatny szczyt wyglądał tak samo jak poprzedni. Jazda po wyboistej drodze okazała się przyjemna jak lot zaczarowanym dywanem w porównaniu z telepaniem się po dziurawych, krętych szosach, które miejscami zmieniały się w nieutwardzone dróżki biegnące tuż nad niebezpiecznie stromymi urwiskami. Po ciągnących się niżej torach toczyła się ospale dieslowska lokomotywa, która wypluwała z siebie kłęby dymu, ciągnąc długi sznur brudnych cystern. Siedząc wzrokiem bliźniacze linie stalowych szyn biegnące wzdłuż wąwozu, jakieś półtora kilometra dalej zobaczyła bocznice, a na jednej z nich stojący pociąg.

- Jak daleko jeszcze, Hafez? - zapytał Chase.

- Niedaleko - odparł Hafez, wskazując na wąwóz. - Za stacją rozrządową.

- I Bogu dzięki - westchnęła Nina. Cienka wyściółka siedzenia i ciągłe podskoki starego land-rovera na wertepach naprawdę dawały jej w kość. - Dlaczego w ogóle ten facet chce się spotkać na takim odludziu? Nie mogliśmy się po prostu umówić w teherańskim Hiltonie?

- Chryste, też bym tak wolał - powiedział Chase. - Ale nie, facet stara się być ostrożny. A to znaczy, że my też musimy mieć się na baczności.

- Spodziewa się pan kłopotów? - spytała Kari.

- Āpani nie? Znajdujemy się na jakiejś głębokiej irańskiej prowincji i zamierzamy wydać dziesięć milionów dolarów na zakup starożytnego artefaktu ukradzionego szaleńcowi, za pośrednictwem typa spod ciemnej gwiazdy.

Uniosła brew.

- Słuszna uwaga.

Dziesięć wyboistych minut później Hafez zatrzymał land-rovera przed opuszczoną chłopską chałupą. Stacja rozrządowa, którą zostawili z tyłu, była niewidoczna za zakrętem. Nawet tory kolejowe zniknęły w tunelu poniżej. Nad chałupą górowało strome, piaszczyste wzniesienie porośnięte na szczycie gęstymi krzakami, zaś po drugiej stronie domu znajdowało się urwiste zbocze opadające aż na dno wąwozu. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego innego śladu obecności ludzi.

- Hugo, sprawdź tyły - powiedział Chase, znów przybierając oschły i rzeczowy ton. - Hafez, zostań z doktor Wilde i panną Frost. W razie kłopotów wywieź je stąd jak najprędzej.

- Dokąd pan idzie? - spytała Kari.

- Upewnić się, że dom jest pusty. - Wysiadł z land-rovera i wyciągnął z kieszeni mocną latarkę diodową. - Jeśli nie wrócę w ciągu dwóch minut - powiedział Hafezowi - to znaczy, że mamy kłopoty.

Irańczyk kiwnął głową, gdy dwaj pozostali mężczyźni ruszyli truchtem w kierunku chałupy.

Chase wrócił ze zwiadu znacznie wcześniej niż po dwóch minutach, a Castille pojawił się wkrótce po nim.

- Dom jest czysty - oznajmił Chase, podchodząc do land-rovera. - Ma tylko dwie izby i nie sposób się w nich ukryć.

- Na tyłach nikogo nie ma - dodał Castille.

- Tak jak przewidywałem, ale wolałem się upewnić. No więc dobrze - podjął Chase - prowadzi tu tylko ta jedna droga. Jeśli ktoś przyjedzie, już z daleka będziemy go widzieli.

- Nie wydaje mi się, żeby przyjechał tu samochodem - powiedział Castille z dziwnie zniesmaczoną miną.

- Dlaczego?

- Nie słyszysz?

Chase przekrzywił głowę, a potem się uśmiechnął.

- A, tak - powiedział, klepiąc Belga po ramieniu. - To dźwięk z twoich koszmarów! Hu-huuu, leci po ciebie!

- Jak to wy, Anglicy, elegancko ujmujecie... odwal się. Nina pochyliła się, otworzyła drzwiczki i nadstawiła ucha.

- Co się dzieje?

Po chwili usłyszała charakterystyczny terkot odbijający się echem od otaczających gór.

- Hugo miał raz przykre doświadczenie ze śmigłowcem - powiedział Chase. - Więc teraz ma na ich punkcie fiksację. Helikopterofobie! Za każdym razem, gdy zobaczy śmigłowiec, zaczyna się bać, że coś pójdzie nie tak, a on zginie.

- Te maszyny mają śmigła, które wirują z szaloną prędkością! - zaproponował Castille. - Nie ma siły, po prostu muszą być niebezpieczne.

- Dobra, więc pochyl głowę i przyczaj się tutaj, a ja wyjdę facetowi naprzeciw, kiedy wyląduje, okej? - Chase puścił do niego oko, a potem dodał cichszym, poważniejszym głosem.

- Ale miej oczy otwarte.

Castille pokiwał głową.

Helikopter wyłonił się zza wzniesienia za domem. Nina знаła ten model z setek filmów i seriali telewizyjnych, a nawet parokrotnie sama nim leciała: Bell Jet Ranger, cywilny śmigłowiec o szerokim zastosowaniu, spotykany na całym świecie. Zakołował raz nad chałupą, po czym wylądował około trzydziestu metrów od land-rovera.

Chase odczekał, aż obroty śmigieł stały się wolniejsze, a potem podszedł do maszyny. Hadżdżar nie przyleciał sam. Oprócz pilota w jet rangerze siedziało trzech innych ludzi. Chase rozruszał barki, czując ciężar winchestera magnum wildey kaliber 45 w kaburze pod kurtką, gotowego do natychmiastowego użycia. Na wszelki wypadek.

Otworzyły się tylne drzwiczki, po chwili z helikoptera wyskoczyli dwaj rośli, brodac faceci w ciemnych garniturach i okularach słonecznych, którzy powiedli wzrokiem dookoła, aż wreszcie utkwili spojrzenia w Chasie. Ten popatrzył im prosto w twarz, nieonieśmielony. Ze sposobu, w jaki się poruszali, domyślił się, że są byłymi żołnierzami, ale z regularnej formacji, a nie z jednostki specjalnej. Stanowczo gorzej wyszkoleni niż komandos SAS. Mógł sobie z nimi poradzić.

Jeden z mężczyzn pochylał się w stronę helikoptera i powiedział coś po persku. Z kabiny wyłonił się Fajlak Hadżdżar.

W przeciwieństwie do ochroniarzy był ubrany w tradycyjne arabskie szaty. Ale podobnie jak oni nosił ciemne okulary, tylko że o wiele droższe.

Za nim wysiadł następny mężczyzna. Był biały, miał włosy ostrzyżone na jeża i kilkudniowy zarost. Jego ruchy cechowała wyraźna ostrożność. Chase zgadł, że to Juri Wolgan.

- Ty jesteś Chase? - zawołał Hadżdżar.

- Tak!

- Gdzie panna Frost?

- Gdzie artefakt? - odpowiedział pytaniem Chase.

Hadżdżar łypnął na niego spode łba, a potem sięgnął ręką do kabiny i wyciągnął małą teczkę z czarnej skóry. Kiwnąwszy głową, Chase cofnął się i ruszył do land-rovera.

- W domu - powiedział Hadżdżar, skinąwszy teczką w stronę chałupy. - Nie na wietrze, tak?

- Jakim wietrze? - mruknął Chase. Teraz, gdy śmigła przestały się obracać, wiał tylko lekki zefirek. Chase rozejrzał się jeszcze raz po okolicy, sprawdzając, czy nie mają nieproszonych gości, ale nikogo nie zobaczył.

Podszedł do land-rovera.

- I co? - spytała Kari.

- Wygląda okej, ale... - Jeszcze raz powiódł wzrokiem dookoła. Ani żywej duszy... co nie znaczyło, że nikt nie ukrywał się w pobliżu. - Lepiej, żeby była pani ostrożna, dobrze?

- Nie ufasz mu? - powiedziała Nina.

- Jezu, nie. Tylko nie jestem do końca pewien, do jakiego stopnia mu nie ufać. Hafez, ty zaczekasz tutaj. W razie problemów daj sygnał klaksonem.

- Dobra. - Hafez sięgnął pod deskę rozdzielczą, wydobył rewolwer i położył go sobie na kolanach.

Chase otworzył drzwiczki Ninie, a Castille Kari.

- Muszę przyznać, że przez tę broń jestem podenerwowana - zwierzyła się Nina Chase'owi.

- Co? Myślałem, że wy, archeolodzy, nic tylko ganiacie z bronią i strzelacie do ludzi jak Indiana Jones.

Zmrużyła oczy.

- Bynajmniej. Ja strzelam najwyżej fotki.

- Mam nadzieję, że tak już zostanie - powiedziała Kari i ruszyła w kierunku domu. Poły jej białego płaszcza powiewały, gdy szła. Hadżdżar i jego towarzysze zatrzymali się przed drzwiami domku, nie mogąc oderwać od niej wzroku. - Panowie przodem - powiedziała, skinąwszy na nich swoją niedużą stalową walizką.

We wnętrzu chałupy panował półmrok, światło wpadało tylko przez pojedyncze okno. Mimo że większość sprzętów została zabrana, gdy właściciele opuszczali domostwo, pośrodku wciąż stał długi stół z grubo ciosanego drewna.

Castille wyjął z kurtki dużą zimną świecę i przygiął ją, aż w środku pękły szklane fiolki, a substancje chemiczne zmieszały się, dając jasne pomarańczowe światło podobne do łuny. Taka gwałtowna reakcja chemiczna, wiedziała Nina, potrwa najwyżej piętnaście minut, więc przypuszczalnie cała transakcja miała się zakończyć wcześniej. Nina poczuła się trochę nieswojo. Domyśliła się, że będzie musiała określić autentyczność przedmiotu w pośpiechu - a gdyby się pomyliła, Frostowie stracą dziesięć milionów dolarów. Wolalaby nie działać pod taką presją.

Po prostu będzie musiała podjąć trafną decyzję.

Hadźdżar i jego ochroniarze stanęli w jednym końcu stołu, zaś Chase, Cari i Castille w drugim. Nina znalazła się naprzeciwko Wolgana. Rosjanin wydawał się niespokojny, bębnił nerwowo palcami.

- Jesteście gotowi do dokonania przelewu? - spytał Hadźdżar.

- Najpierw musimy zobaczyć towar - odparła chłodno Kari. - A doktor Wilde musi potwierdzić jego autentyczność.

- Wilde? - zapytał Wolgan, wstrząśnięty. Nina zauważyła, że nagle zaczął unikać jej wzroku. - Krewna Henry'ego i Laury Wilde'ów?

- Tak, byli moimi rodzicami. A dlaczego pan pyta?

Wolgan nie odpowiedział, lecz Hadźdżar wtrącił się niecierpliwie, zanim Nina zdążyła ponowić pytanie.

- Towar jest autentyczny. Proszę.

Położył teczkę na stole i otworzył zamki szyfrowe. Nina z zaskoczeniem stwierdziła, że Irańczyk ma stalowy hak zamiast prawej dłoni. Zagapiła się na niego.

- Myśli pani może, że jestem złodziejem? - spytał lodowatym tonem Hadźdżar.

- Eee... nie, ja tylko... Hadźdżar pokręcił głową.

- Ludzie Zachodu, ich stereotypy i uprzedzenia - powiedział, gdy otworzył zamki. - Miałem wypadek na motocyklu. Nie jestem złodziejem.

- Cóż, w każdym razie nie drobnym złodziejem - zauważył pogodnie Chase. - Tak słyszałem.

Hadźdżar zgromił go wzrokiem.

- Czyżby próbował mnie pan obrazić, panie Chase?

- E tam. Gdyby tak było, nie miałby pan cienia wątpliwości.

- Czy mogę wreszcie zobaczyć towar? - ponagliła Kari. Hadźdżar posłał Chase'owi ostatnie gniewne spojrzenie, po czym otworzył zatrzaski i uniósł wieko.

W tezcze, na piankowej wyściółce, leżał atlantydzki artefakt.

To musi być *orichalcum*, pomyślała Nina. Nic innego nie lśniłoby tym ognistym blaskiem.

Przedmiot został dokładnie i starannie wypolerowany. Nie było na nim najdrobniejszego zabrudzenia, żadnych odcisków palców ani smug. Jedyłą skazę stanowiło maleńkie nacięcie z boku, skąd Wolgan wykroił próbkę metalu. Był to bez wątpienia ten sam obiekt, który widziała na hologramie.

A teraz mogła obejrzeć go w całości. Na górze, bezpośrednio nad wypukłością na spodzie, widniał mały wręb. A pod nim znaki...

- Mogę mu się przyjrzeć? - spytała Hadźdżara głosem ścisłym niemal do pełnego podziwu szeptu.

- Oczywiście.

Włożyła lateksowe rękawiczki i ostrożnie wyjęła przedmiot z teczki. Był cięższy, niż na to wyglądał, co świadczyło o wysokiej zawartości złota. Na zaokrąglonym końcu wyryto grot strzały, a wzdłuż sztabki biegła także falująca linia z jakimiś drobnymi znaczkami po obu stronach, lecz jej uwagę przykuły umieszczone równolegle do linii litery. Obróciła sztabkę tak, aby padło na nią słońce.

- Co to? - spytała Kari.

- Znaki pisma glozelskiego albo jego odmiany. W każdym razie większość z nich. - Nina wskazała koniuszkiem palca jeden z symboli. - Ale te są inne. Z innego alfabetu.

- Wie pani, z którego?

- Wyglądają znajomo, ale nie umiem ich jednoznacznie zidentyfikować. Ale i one należą do nieznanej odmiany, a nie standardowego alfabetu. Może to wariant lokalny albo z innego okresu? Musiałabym sprawdzić w opracowaniach.

- Dostanie pani wszystko, czego pani potrzeba - powiedziała Kari. - Ale czy to autentyk?

Nina odwróciła przedmiot na drugą stronę. Wyglądał zupełnie tak jak na hologramie, z górnego końca wystawał guzek w kształcie półkuli. Oprócz tego był pozbawiony jakichkolwiek znaków.

Przycisnęła opuszki palców do zaokrąglonego końca, gdy znów obracała przedmiot.

Pamięć dotykowa...

Kształt coś jej przypominał... niemal instynktownie czuła, że zakrzywienie metalu jest znajome...

- Doktor Wilde? - Kari dotknęła lekko jej ramienia. Nina drgnęła, uświadomiwszy sobie, że wpatruje się w artefakt od kilku sekund, zamyślona. - Czy to autentyk?

- Hm, na taki wygląda. Ale naprawdę powinna pani przeprowadzić analizę metalurgiczną, aby to potwierdzić.

- Obawiam się, że nie przywiozłam swojego tygielka i spektrografu - odparła Kari z lekkim uśmiechem. - Liczy się pani opinia.

- Dobrze... - Nina wzięła głęboki oddech i poczuła, że zaschło jej w gardle. Dziesięć milionów dolarów było dla niej mnóstwem pieniędzy. Żeby zarobić taką sumę, musiałyby pracować przez paręset lat. - Jeśli to falsyfikat, to bardzo drogi. I nadzwyczaj dobrze wykonany: na świecie nie ma zbyt wielu ludzi, którzy znają pismo glozelskie.

- A ty znasz? - spytał Chase.

- Do pewnego stopnia. - Nina zaczęła pokazywać palcem poszczególne słowa. - „Od północy”, „ujście”, „rzeka”. Przypuszczam, że ta linia - wskazała na falującą linię biegnącą wzdłuż przedmiotu - jest czymś w rodzaju mapy albo planu podróży.

Kari uśmiechnęła się do niej radośnie, by po chwili znów przybrać pokerową minę.

- To mi wystarczy. Panie Hadżdżar, możemy sfinalizować zakup.

- Doskonale - odparł Hadżdżar z równie radosną miną, która zdradzała jednak znacznie większą chciwość. - Pieniądze?

Kari skinęła na Ninę, żeby ułożyła przedmiot z powrotem na piankowej wyściółce, a następnie sama zamknęła teczkę. Nina poczuła lekki zawód, gdy lśniący metal zniknął jej z oczu. Chase przesunął teczkę w swoją stronę, podczas gdy Kari otworzyła własną walizeczkę.

Nina spodziewała się plików banknotów, lecz zamiast nich zobaczyła urządzenie elektroniczne o rozmiarach i kształcie palmpilota z przyłączoną słuchawką telefoniczną. Kari podniosła słuchawkę i rozłożyła grubą antenę, a następnie wcisnęła guzik i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Przelew - powiedziała, gdy ktoś odebrał, a po paru sekundach dodała: - Przelew z rachunku numer 7571-1329 na rachunek numer 6502-6809. Wcześniej ustalony kod autoryzacji: dwa, zero, jeden, tango, fokstrot. Dziesięć milionów dolarów amerykańskich. -

Umilkła, słuchając uważnie, jak pracownik banku powtarza jej zamówienie. - Tak, potwierdzam. - Przycisnęła prawy kciuk do płytki czytnika wbudowanego w urządzenie, a potem kiwnęła głową do Hadżdżara.

- Będę musiał użyć lewego kciuka - zauważył z kpiącym uśmiechem, machając Ninie hakiem protezy.

Kari poczekała na potwierdzenie jego odcisku palca, po czym znów kiwnęła głową. Irańczyk wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie, gdy zwrócił się do Wolgana.

- Proszę. Twój fundusz emerytalny zaraz powiększy się o siedem milionów dolarów.

- Kasujesz trzydzieści procent? - zapytał Chase. - Jasny gwint! Myślałem, że mówiłeś, że nie jesteś złodziejem.

Hadżdżar skrzywił się gniewnie, lecz zbył komentarz milczeniem i zwrócił się znowu do Kari.

- Pozostaje zrobić jeszcze jedno, panno Frost...

- Wiem - odparła lekko zniecierpliwiona, zanim skupiła uwagę na telefonie. - Gotowa do ostatniej fazy autoryzacji. - Posłała Ninie porozumiewawcze spojrzenie, a potem powiedziała: - „I złote posągi postawili w środku, więc boga, który stał na wozie i powoził sześcioma końmi skrzydlatymi. Był taki duży, że głową pułapu dotykał”.

Nina natychmiast rozpoznała cytaty z *Kritiasa*, lecz nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego Kari go przytoczyła. Może był to jakiś rodzaj hasła, ale czy odcisk palca i wszystkie inne szyfry, którymi się posłużyła, nie stanowiły dostatecznego zabezpieczenia? Tak czy inaczej, cytaty zadziałały.

- Dziękuję - powiedziała Kari, zanim złożyła antenę telefonu. Spozobegła zdziwioną minę Niny. - To system analizujący brzmienie i intonację głosu - wyjaśniła. - Najnowsza technologia. Jeśli analiza głosu wykaże, że jestem zdenerwowana, że mówię pod przymusem, to przelew zostanie anulowany.

- Ale wszystko było w porządku - powiedział Hadżdżar. - Dziękuję, panno Frost. - Na ułamek sekundy jego wzrok powędrował ku sufitowi. - Nasza transakcja została pomyślnie zakończona. - Odwrócił się do wyjścia.

Chase błyskawicznie podniósł rękę i wycelował wildeya prosto w głowę Hadżdżara.

- Stój!

Hadżdżar znieruchomiał, a jego ochroniarze uczynili to samo, gdy Castille wyciągnął własny pistolet i wziął ich na muszkę.

- Co jest? - syknął Hadżdżar.

- Panie Chase? - spytała Kari z niepokojem.

- Gdzie jest pluskwa? - zażądał Chase. - To było hasło, kazałeś komuś podsłuchiwać.

- Nie...

- Gadaj, gdzie pluskwa, bo inaczej odstrzelę ci łeb. - Odciągnął z trzaskiem kurek rewolweru.

Hadżdżar znów zerknął w górę, dysząc ciężko przez zaciśnięte zęby.

- Na belce stropowej.

Chase skinął głową na Castille'a, który wskoczył na stół i przesunął dłoń wzdłuż belki. Kilka sekund później zeskoczył na ziemię, trzymając w garści małą czarną skrzynkę.

- Nadajnik.

Nina popatrzyła na jednego i drugiego zdezorientowana.

- Co się dzieje?

- To pułapka - powiedział Chase. - Hadżdżar zamierzał poczekać, aż pieniądze zostaną przelane, a potem zatrzymać towar dla siebie. Nawiasem mówiąc, to chyba dowodzi, że

zabytek jest prawdziwy. - Spojrzał znów na Hadżdżara, cały czas mierząc do niego z pistoletu.
- Ilu ludzi masz na zewnątrz?

- Jedyńm człowiekiem, którego tam mam, jest mój pilot - odparł Hadżdżar z ironicznym uśmiechem.

Na piersi Chase'a pojawiła się jasna czerwona kropka laserowego wskaźnika, a wkrótce po niej druga, obie wiązki świeciły przez brudne okno. Na zewnątrz rozległ się chrzęst kroków.

Uśmiezek Hadżdżara zmienił się w uśmiech triumfu.

- Ale mój przyjaciel kapitan Mahdżad z irańskich wojsk lądowych ma około dwudziestu żołnierzy.

Nina odskoczyła ze strachem do tyłu, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do izby wbiegło czterech mężczyzn z uniesionymi karabinami.

- Hm - westchnął Chase. - No to mamy przechłapane.

5

Po skonfiskowaniu jeńcom rzeczy żołnierze wyprowadzili ich na dwór, celując do nich z wyprodukowanych w kraju kopii niemieckich karabinów Heckler und Koch G3. Hadżdżar podążył ich śladem z teczką zawierającą artefakt i chełpliwym uśmiechem na nalanej twarzy.

Chase zobaczył, że Hafez z rękoma za głową klęczy przy land-roverze, a wszystkie drzwi wozu są szeroko otwarte. Pilnowało go dwóch żołnierzy. Reszta wojska okrążyła dom. Natychmiast zdał sobie sprawę, co się stało: żołnierze ukrywali się na szczycie wzgórza za chałupą i błyskawicznie spuścili się na dół po linach.

Zauważył, że paru Irańczyków ma rosyjskie karabiny Dragunow wyposażone we wskaźniki laserowe i celowniki optyczne. To wyjaśniało, dlaczego Hafez nie zatrąbił. Widok podobnej do igły wiązki lasera na własnym ciele i świadomość, że w ułamku sekundy w miejscu rozjarzonego czerwonego punkciku może eksplodować pocisk, sprawiają, że człowiek bardzo uważa, żeby się nie ruszać i nie wszczynać rabanu.

- Przepraszam, Eddie - powiedział Hafez. - Było ich zbyt wielu. - Jeden z żołnierzy wymierzył mu kopniaka.

- Myślę, że tym razem wszyscy daliśmy dupy - odparł Chase. Myśl, że Hadżdżar mógłby mieć wsparcie wojska, w ogóle nie przysłała mu do głowy. Kontakty złodzieja zabytków sięgały wyżej, niż mógł sądzić.

W oddali dostrzegł brązową ciężarówkę wjeżdżającą piaszczystą drogą pod górę. Musiała czekać zaparkowana poza zasięgiem wzroku, a teraz, gdy żołnierze wykonali misję, została wezwana.

Hadżdżar zbliżył się do oficera i zawiesiwszy teczkę na haku protezy, uściśnął mu dłoń.

- Kapitanie Mahdżad! Mogę przedstawić panu moich... partnerów w interesach?

Mahdżad, szczupły, brodaty mężczyzna, uśmiechnął się do grupy pojmanych.

- Miło mi. No i co, Fajlak, co mam z nimi zrobić?

- Tę blondynkę i Rosjanina biorę ze sobą.

Mahdżad postął Kari lubieżny uśmiezek, a ta odpowiedziała lodowatym spojrzeniem.

- Nie wiem dlaczego jego, ale rozumiem, dlaczego chciałbyś zatrzymać ją!

- To nic z tych rzeczy. Chociaż... - Hadżdżar zamyślił się, a potem znów roześmiał. - Jeśli chodzi o resztę, to naprawdę mnie nie obchodzą. Byle nie ruszyli za mną w pościg.

- Nie ma sprawy. Ministerstwo kultury surowo traktuje obcokrajowców usiłujących wywozić nasze skarby narodowe. Dostaną co najmniej dwadzieścia lat więzienia... jeżeli dożyją rozprawy sądowej.

- Zostawię ich w twoich rękach. - Hadżdżar pstryknął palcami na swoich ochroniarzy. - Zakujcie ich w kajdanki - powiedział, skinąwszy na Kari i Wolgana.

- Dokąd ją zabierasz? - krzyknął Chase.

Jeden z żołnierzy zdzielił go kolbą karabinu między łopatki, aż się zatoczył.

- Do swojego domu. Nie przejmuj się, włos nie spadnie jej z głowy. O ile oczywiście jej ojciec będzie skłonny do współpracy.

- Zamierzasz wziąć za mnie okup? - oburzyła się Kari.

Jeden z goryli łączył jej ręce za plecy i skuł nadgarstki kajdankami.

- Myślę, że następne dziesięć milionów dolarów wydaje się uczciwą ceną, a ty? - Hadżdżar ignorując ją, zwrócił się do Chase'a. - Gdybym miał taką piękną córkę, byłbym gotów tyle wyłożyć. - Jego głos zabrzmiał złowrogo. - Żeby mieć pewność, że pozostanie piękna.

- Jeśli tylko ją tkniesz - warknął Chase - zabiję cię.

- To jedyna groźba, na jaką cię stać? - prychnął Hadżdżar.

- Najpierw będziesz mnie błagał o śmierć. Hadżdżar wzruszył ramionami.

- Teraz lepiej. Zacznę się tym przejmować... za jakieś dwadzieścia lat.

- Panie Chase - powiedziała Kari, gdy ochroniarze odciągnęły ją i Wolgana - proszę pamiętać, po co został pan zatrudniony. Proszę chronić doktor Wilde. To jest dla pana priorytet.

- Ale...

- Rozumiemy się?

Mimo zastrzeżeń, Chase pokiwał głową.

- Tak.

- Dobrze. - Popatrzyła na helikopter, a potem na Hadżdżara. - W śmigłowcu jest pięć miejsc, a nas jest sześcioro. Zamierzasz wisieć w powietrzu, zaczepiony hakiem o płożę?

- Może pani siedzieć Jurijowi na kolanach - odparł Hadżdżar z lubieżnym uśmiechem.

- Zasługuje na ostatnią przyjemność... zanim sprzedam go Qobrasowi.

Krew odpłynęła Wolganowi z twarzy.

- Co? Nie! Nie, Fajlak, mieliśmy umowę!

- Ale jestem pewien, że Qobras zaoferuje mi lepszą. Dlaczego miałbym się zadowalać marnymi trzema milionami, skoro mogę zatrzymać wszystkie dziesięć, a Qobras dopłaci mi jeszcze za zwrot artefaktu i ciebie?

- Nie! - wrzasnął Wolgan. Mimo że miał ręce skute za plecami, rzucił się na trzymającego go ochroniarza tak, że tamten stracił równowagę.

Drugi ochroniarz obrócił się, puszczając ramię Kari, gdy Rosjanin kopnął go z impetem w brzuch. Wolgan przeskoczył nad padającym ochroniarzem i pobiegł niezdarnie w kierunku domu. Żołnierze otrząsnęli się z zaskoczenia i unieśli broń.

- Nie strzelać! - zawołał Hadżdżar.

Mahdżad zrobił zdziwioną minę, lecz potem powtórzył rozkaz. Żołnierze zawahali się na sekundę, rozdarci między wyuczonym odruchem a rozkazem dowódcy.

Sekunda wystarczyła Chase'owi.

Chwycił za lufę karabinu żołnierza, który stał najbliżej, wrywał mu broń i obróciwszy ją, drugą ręką nacisnął spust.

Przez metalową lufę poczuł na dłoni żar wylatującej kuli. Żołnierzem szarpnęło do tyłu, gdy pocisk przeszył klatkę piersiową obryzgując land-rovera krwią i strzępami płuc.

Zanim którykolwiek z żołnierzy zdążył zareagować, Chase znów obrócił karabin, przestawił broń na ogień ciągły i długimi seriami skosił żołnierzy z dragunowami. Gdyby pozostali zaczęli strzelać, zaryzykowałiby trafienie swoich towarzyszy, więc przez moment był bezpieczny.

- Nino! - krzyknął.

Popatrzyła na niego zdezorientowana, zupełnie nieprzygotowana na taki zabójczy kontratak. Wyciągnął rękę, żeby chwycić ją za ramię, lecz jeden z żołnierzy zareagował

szybciej od towarzyszy i powalił Ninę na ziemię. Gdyby Chase do niego strzelił, trafiłby także ją.

Więc błyskawicznie zmienił taktykę.

- Hugo! - zawołał i wskazał głową na land-rovera. Za jego przykładem Castille już mocował się z żołnierzem, próbując zabrać mu karabin.

Inny żołnierz trzasnął go kolbą w tył czaszki. Castille osunął się na ziemię.

Chase odwrócił głowę, słysząc bolesne stęknięcie. Hafez usiłował podźwignąć się na nogi, lecz jeden ze strażników znów go kopnął. Drugi celował do Chase'a z G3.

Chase dał susa na tylne siedzenie land-rovera. Miał jeszcze dość czasu, by zatrzaskać drzwiczki, zanim okno roztrzaskało się, a aluminiową karoserię obsypał grad kul.

- Eddie! - krzyknęła Nina, gdy żołnierz poderwał ją na nogi i zaczął odciągać od land-rovera. Wrywała się i wierzgała, ale okazał się silniejszy. Dwaj inni mężczyźni przycisnęli Castille'a do ziemi.

Żołnierz strzelał dalej w land-rovera, opróżniając cały magazynek amunicji.

Na chwilę wszystko ucichło. Potem chwycił za klamkę i otworzył podziurawione kulami drzwiczki.

Land-rover był pusty. Żołnierz gapił się z niedowierzaniem. Potem usłyszał cichy odgłos i spuścił wzrok.

Po poszyciu za przednim fotelem przetoczył się granat.

Żołnierz otworzył usta...

Nie zdążył nawet krzyknąć. Granat eksplodował, odrzucając go do tyłu razem z gradem odłamków metalu.

Żołnierze trzymający Castille'a znaleźli się w zasięgu wybuchu, podobnie jak ostatni strażnik Hafeza. Lecz jeńcy, leżący płasko na ziemi, uniknęli obrażeń, gdyż odłamki przeleciały im nad głowami.

Leżąc za tylnym kołem po drugiej stronie land-rovera, Chase zakrył uszy, gdy drzwi zostały wyrwane z zawiasów. Odprowadził je wzrokiem, kiedy szybowały niczym ogromne kwadratowe frizbi i runęły z trzaskiem na zbocze za domem. Chase zerknął pod podwozie. Najbliżsi żołnierze byli albo ranni, albo martwi, lecz pozostali dochodzili już do siebie po szoku eksplozji. Było ich co najmniej dziesięciu, wszyscy uzbrojeni.

Wszyscy rozjuszeni.

Jego spojrzenie przykuł długi biały płaszcz Kari w pobliżu helikoptera. Trzymał ją jeden z ochroniarzy Hadżdżara, a irański kapitan osłaniał z pistoletem w ręku, wykrzykując rozkazy do swoich ludzi.

„Nina...”

Żołnierz, który wcześniej ją przewrócił, teraz ciągnął do tyłu. Chase nie mógł zaryzykować strzału. Zresztą w magazynku jego G3 zostało raptem kilka naboju. Błyskawicznie ocenił sytuację.

Nina była na razie stosunkowo bezpieczna, nawet jako jeniec, ale Irańczycy mogli niedługo wpaść na pomysł, by wykorzystać ją jako zakładniczkę i zmusić go do kapitulacji. Hadżdżar i kapitan Mahdżad mówili po angielsku i słyszeli, że Kari kazała mu chronić przede wszystkim Ninę.

Co oznaczało, że aby ją w tej chwili ochronić, musiał ją porzucić.

Chwycił karabin, przykucnął i zaczął się wycofywać pod osłoną dymiącego land-rovera, po czym wyprostował się i z półobrotu oddał ostatnią serię. Celował wysoko. Nie chciał nikogo trafić, tylko zmusić żołnierzy do padnięcia na ziemię, wywołać dezorientację, gdy pobiegł w kierunku stromeego zbocza wąwozu.

Karabiny zaterkotały za jego plecami, gdy żołnierze otworzyli ogień.

W dole zamajaczyło mu dno wąwozu, leniwy łuk torów kolejowych znikał w tunelu.

Kula świsnęła mu koło ucha tak blisko, że poczuł pęd powietrza. Zeskoczył z urwiska i przeleciał w powietrzu, by wylądować na... Drzwiczkach od land-rovera!

Drzwiczki pomknęły po zboczu w tumanie kurzu i żwiru z Chase'em uczeponym ich niczym dzieciak rozpedzonych sanek.

Wiedział, że nie zajedzie na nich daleko - stok był zbyt kamienisty. Ale wcale mu na tym nie zależało. Musiał pokonać tylko kilkanaście metrów, zanim żołnierze dobiegną do urwiska i zaczną do niego strzelać.

Z przodu wyrósł głaz, który sterczał z ziemi niczym krzywy ząb. Chase znów skoczył, rzucając się w bok i objając się o twarde podłoże, gdy drzwi trzasnęły o skałę i powyginały się jak tektura. Chase usiłował zahamować nogami, ale poruszał się zbyt szybko i poturlał się bezradnie w dół. Oślepiały go piach i kamyki. Na górze trwała strzelanina!

Coś smagneło go niczym bat. Nie pocisk, ale rośliny, twarde źdźbła trawy i gałęzie krzewów. To znaczyło, że dno wąwozu jest blisko. Ale jak blisko?

Zmusił się, żeby mimo pyłu otworzyć spieczone oczy... i zobaczył, jak grunt usuwa się spod niego.

Z wrzaskiem, który odbił się echem aż na wzgórzu, Chase spadł w przepaść.

Jeden z żołnierzy skrzywił się współczująco.

- Uuu. Będzie bolało. - Obcokrajowiec ześlizgnął się z krawędzi skały nad wlotem tunelu i spadł na tory, znikając mu z oczu.

- Dobrze tak sukinsynowi! - podsumował mężczyzna obok niego. Facet może sobie być komandosem, ale upadek z takiej wysokości na twardą stal i beton torów musi się skończyć połamaniami paru gnatów, a może nawet śmiercią.

Mahdżad podszedł do nich i spojrział w dół. Droga, jaką przebył Anglik po stromym zboczu, była dobrze widoczna: smuga unoszącego się w powietrzu pyłu, która kończyła się nad tunelem.

- Bierzcie liny - rozkazał. - Chcę, żeby trzech z was zeszło tam i go znalazło. Jeśli nie żyje, zanieście jego zwłoki na stację rozrządową. Jeśli żyje... - twarz wykrzywił mu złośliwy grymas - zanieście jego zwłoki na stację rozrządową.

- Tak jest! - Żołnierze zaszutowali, a trzech z nich zaczęło się przygotowywać do zejścia.

Mahdżad wrócił do Hadżdżara. Rosjanin został złapany i teraz stał pod strażą wraz z pozostałymi jeńcami.

- To wszystko twoja wina! - warknął Mahdżad, pokazując Hadżdżara palcem. - Nie mówiłeś mi, że to jakiś wyszkolony zabójca!

- Sam nie wiedziałem! - wybuchnął Hadżdżar. - Myślałem, że to tylko były żołnierz, którego wynajęła jako ochroniarza! - Skinął na Kari, która posłała mu lodowate spojrzenie.

- Czterech moich ludzi nie żyje, a trzech są ranni! Jak ja mam się z tego wytłumaczyć? No jak?

Hadżdżar oblizwał nerwowo wargi, pocąc się jak mysz, mimo że wiał chłodny wiatr.

- Może... jakieś odszkodowanie dla ich rodzin? I dla ich dowódcy?

- Już ja ci powiem, jakie odszkodowanie, Fajlak - mknął Mahdżad. Zawiesił głos. Hadżdżar denerwował się coraz bardziej. - Bardzo wysokie odszkodowanie.

- Zajmę się tym, jak tylko wrócę do domu - zapewnił Hadżdżar z ulgą.

Mahdżad popatrzył na niego zimno.

- Oby tak było.

- Daję słowo. A teraz - powiedział, zerkając znów na Kari - muszę lecieć. Mam pilną sprawę do załatwienia i byłoby lepiej, gdyby nie widziano nas razem na miejscu tego... nieszczęśliwego wypadku.

Mahdzad pokiwał z wahaniem głową, a jego żołnierze odciągnęli Ninę, Castille'a i Hafeza na bok, gdy reszta wsiadała do jet rangera. Wolgan, teraz zbyt wylękniony, by protestować, zajął miejsce w środku na tylnym siedzeniu z dwoma ochroniarzami Hadżdżara po bokach, podczas gdy Kari została zmuszona do siedzenia mu na kolanach.

Hadżdżar zajął miejsce drugiego pilota.

- Och, panno Frost - powiedział, odwracając się i chwytając ją za podbródek - nie ma się co tak dąsać. Nie stanie się pani krzywda... jest pani zbyt cenna. Przynajmniej dopóty, dopóki pani ojciec będzie skłonny do rokowań.

Kari wyszarpnęła mu się.

- Właśnie popełniłeś największy błąd w swoim życiu, Hadżdżar. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- No, no, no. Nie ma powodu tak się unosić. Niech pani się wygodnie rozsiądzie i cieszy podróżą. A jeśli chce pani pomóc Juriemu się zrelaksować... - zerknął na popielatą twarz Wolgana - to proszę się trochę powierzyć. Jestem pewien, że Juri to doceni. Ostatnia przyjemność potępionego człowieka, hm? - Uśmiech stał się zimny. - Tylko niech pani nie wierci się za bardzo. Byłoby wysoce niefortunne, gdyby moi ochroniarze uznali, że usiłuje pani uciec, i zastrzelili panią. - Na potwierdzenie słów szefa jeden z goryli przystawił jej lufę karabinu do zeber.

- Będę o tym pamiętać - prychnęła.

- Dobrze! - Hadżdżar odwrócił się do pilota. - Lecimy.

Zszokowana Nina wpatrywała się z niedowierzaniem, jak helikopter wystartował i odleciał. Z akademickiego świata Nowego Jorku do irańskich kazamatów w ciągu dwóch dni... Co się, do cholery, stało z jej życiem?

Teraz jeszcze Kari została porwana dla okupu, a Chase...

Nie rozumiała zbyt wiele z tego, co mówili między sobą żołnierze, ale z ich niespiesznego kroku wywnioskowała, że Chase nie żyje.

Pod chałupę zajechała duża wojskowa ciężarówka. Kiedy żołnierze wpełnęli Ninę i jej towarzyszy do środka, musiała się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Chase wziął ostatni głęboki oddech i przygotował się.

Spadając z krawędzi, zdołał się obrócić i złapać jedną ręką występu skalnego. Przez prawie minutę dyndał jak kukielka, zanim udało mu się chwycić skały drugą ręką.

Niewiele to jednak pomogło.

Wisiał dokładnie nad torami kolejowymi. Czubki jego butów znajdowały się dobre pięć metrów nad ziemią, a upadek z takiej wysokości mógł być poważny w skutkach nawet dla żołnierza SAS, zwłaszcza że nie było niczego, co mogłoby go zamortyzować. Lądowanie byłoby bardziej paskudne chyba tylko wtedy, gdyby na dole sterczały metalowe kolce.

Chase nie miał jednak wyboru. Okrzyki i stukot kamyków staczających się po zboczu podpowiadały, że wkrótce będzie miał towarzystwo.

No to... siup!

Mimo że przygotował się do upadku, przygiął kolana i przeturlał się po ziemi, nogi przeszył mu taki ból, jakby ktoś zdzielił go stalowym prętem. Upadł na szyny i stęknął z bólu. Zmusił się, żeby odczłochać się z torów.

Szybko ocenił obrażenia. Obie nogi bolały jak diabli, a lewa kostka przyjęła ciężar upadku, ale kości miał całe. Gdyby coś złamał, to by dopiero bolało.

Usiadł i skrzywił się, gdy ból przeszył mu zebra. Ale byłoby o wiele gorzej, gdyby nie miał na sobie grubej skórzanej kurtki. Wziął kilka głębokich oddechów, skoncentrował się i podźwignął na nogi...

I zaczął wrzeszczeć.

Był to nie tyle wyraz fizycznego cierpienia, ile raczej sposób zapanowania nad nim. Niektóre ze stosowanych przez SAS technik radzenia sobie z bólem były proste... ale działały.

- Teraz naprawdę jestem wkurwiony - wychrypiał.

Jego uwagę przykuł hałas na górze. Nie idący po niego żołnierze, tylko helikopter Hadżdżara, który zniknął właśnie za górskim szczytem.

Jednoręki sukinsyn uprowadził Kari, żeby zmusić jej ojca do zapłacenia okupu.

Co robić?

Kari Frost była jego pracodawcą, a wątpił, by jej ojciec okazał zbytnią wyrozumiałość, gdyby coś jej się stało. Taka porażka natychmiast przekreśliłaby jego dalszą karierę. Nikt inny już by go nie wynajął.

Z drugiej strony, dała mu wyraźny rozkaz.

Chronić Ninę Wilde.

A jeśli mieli ją irańscy żołnierze, to prawdopodobnie ten sam los spotkał Castille'a i Hafeza. Ciężarówka, którą wcześniej widział, mogła odjechać tylko w jedną stronę: z powrotem drogą biegnącą obok stacji rozrządowej.

Stacja rozrządowa...

Gdyby udało mu się dotrzeć tam w porę, może znalazłby pojazd, którym mógłby ruszyć w pościg.

I mógłby uratować Ninę i towarzyszy.

Zaciskając zęby, żeby zapanować nad bólem kostki, Chase pobiegł wzdłuż torów.

6

Proszę się nie martwić - powiedział Castille do Niny, gdy ciężarówka ruszyła piaszczystym traktem - wyjdziemy z tego.

- Niby jak? - zapytała, unosząc skute kajdankami nadgarstki. - Zostaliśmy aresztowani, Kari porwana, a Chase nie żyje!

Zdziwiła się, gdy Castille i Hafez zachichotali.

- Eddie wychodził cało nie z takich oparów - powiedział Hafez.

- Co może być gorsze od ostrzału z broni maszynowej, a potem upadku z urwiska?

- Cóż, pewnego razu, gdy byliśmy w Gujanie... - zaczął Castille, zanim jeden z żołnierzy krzyknął na niego po persku i dźgnął lufą w brzuch. - Au! Zdaje się, że ci kretyni woleliby, żebyśmy nie rozmawiali.

- Ci kretyni - warknął jeden z żołnierzy - też znają angielski.

- Ale idę o zakład, że nie znają francuskiego - Castille gładko przeszedł na jeden ze swoich ojczyustych języków.

- Założę się, że nie! - powiedziała Nina po francusku.

Jeden z żołnierzy wrzasnął na nią a drugi dźgnął Castille'a lufą w brzuch.

Resztę podróży spędzili w milczeniu. Nina cały czas nie spuszczała wzroku z Castille'a, bo wołała nie patrzeć na zwłoki leżące obok.

W końcu ciężarówka zatrzymała się z piskiem hamulców. Nina zamrugnęła, bo poraził ją blask słońca, gdy żołnierze wywlekli ją na zewnątrz.

Znaleźli się na stacji rozrządowej, którą widziała wcześniej. Cztery tory równoległe do głównych linii i łączące się z nimi na obu końcach. Na najbliższej bocznicy stał krótki pociąg,

trzy wagony pasażerskie i lokomotywa z włączonym silnikiem. Na następnej bocznicy czekał znacznie dłuższy pociąg towarowy. Nina słyszała beczenie zwierząt, kóz lub owiec, dobiegające z wagonów.

Kapitan Mahdżad stanął przed jeńcami i wziął się pod boki.

- Co pan zamierza z nami zrobić? - spytała Nina.

- Postawić przed sądem za zabicie moich żołnierzy - odparł. - Sąd uzna waszą winę i skaze was na śmierć.

- Co?! - krzyknęła. - Ale my nic nie zrobiliśmy!

- Nie ma się z nim co kłócić - powiedział Castille. - Jest przekupiony, nie przekona go pani... - Jeden z żołnierzy zamachnął się karabinem i brutalnie zdzielił nim Belga w plecy, tak że tamten upadł.

- Macie szczęście, że nie zastrzelę was na miejscu - warknął Mahdżad. Zdawało się, że przez chwilę nawet się nad tym zastanawiał, lecz potem wydał inną komendę. Żołnierze zaprowadzili Ninę i Hafeza do pierwszego wagonu, a dwaj następni złapali Castille'a za ręce i zawlekli go tam, gdzie pozostali.

Wnętrze wagonu było staromodne: z wąskim korytarzem i ośmiomiejscowymi przedziałami z boku. Castille'a i Hafeza wepchnięto do ostatniego przedziału, za nimi weszli czterej strażnicy. Żołnierz prowadzący Ninę już popchnął ją w tym samym kierunku, lecz Mahdżad coś mu powiedział. Żołnierz stłumił złośliwy uśmiech, po czym zaciągnął ją do przedziału na drugim końcu korytarza. Wyglądało na to, że kiedyś był to przedział pierwszej klasy, lecz czasy świetności miał już dawno za sobą: obicia siedzeń były wytarte ze starości i brudne.

- Siadaj - powiedział Mahdżad, wchodząc za nią.

Nina zastanawiała się, czy nie odmówić, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, siłą usadził ją na miejscu przy oknie, a sam zajął fotel naprzeciwko. Żołnierz stanął na straży za drzwiami, widoczny przez wąskie okienko.

Myślała, że Mahdżad zacznie mówić, lecz on tylko siedział przed nią i z nieprzeniknioną miną wodził powoli wzrokiem po jej ciele. Nina nerwowo odgarnęła włosy. Gest natychmiast zwrócił jego uwagę. Spojrzał jej w twarz.

Nina z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie dość, że znalazła się sam na sam z Mahdżadem w jednym przedziale, to jeszcze żołnierz za drzwiami bez wątpienia udałby, że niczego nie widział, gdyby do czegoś doszło.

Albo jeszcze gorzej... przyłączyłby się.

Przeszły ją ciarki. Mahdżad zauważył to i wykrzywił usta w złośliwym półuśmiechu. Wagonem szarpnęło i pociąg ruszył.

Długie, forsowne biegi nie były dla Chase'a żadną nowością. Ale bieg z takim bólem to zupełnie co innego.

Co pięćdziesiąt metrów oglądał się przez ramię. Gdy dotarł do tunelu, miał około czterystu metrów przewagi nad ścigającymi go żołnierzami. Ale tamci zaczęli go doganiać: byli młodszy, wypoczęci i nie byli ranni w nogę.

Wciąż jednak był poza skutecznym polem rażenia karabinów G3, a z tego, co wiedział o wyszkoleniu przeciętnego irańskiego żołnierza, ryzyko, że zostanie trafiony, gdy znajdzie się w zasięgu strzału, i tak było małe. W końcu jednak zbliżą się na tyle, że go ustrzelą. Chyba że wcześniej dobiegnie do stacji.

Co robi, kiedy tam dotrze, wciąż było dla niego tajemnicą.

Najpierw muszę tam dobiec, pomyślał.

Na bocznicach stał pociąg towarowy i krótszy skład osobowy. Obok tego ostatniego parkowała wojskowa ciężarówka.

Świeża dawka adrenaliny w organizmie dodała mu sił. To była ta sama ciężarówka, którą widział, gdy podjeżdżała do chałupy na wzgórzu! Musiała przywieźć żołnierzy - i przypuszczalnie ich więźniów - z powrotem na stację, co oznaczało, że wsiądą do pociągu.

Chase szybko obejrzał się za siebie. Trzej Irańczycy byli dwieście metrów za nim i wciąż go doganiali. Nie miał więc dość czasu, by po dobiegnięciu do stacji...

Szlag!

Pociąg pasażerski ruszył! Słyszał chrapliwy warkot diesla, tuman brudnych spalin wzbił się w górskie powietrze.

Spóźnił się! Biorąc pod uwagę stan drogi powyżej, wiedział, że nie uda mu się nadążyć za pociągiem, nawet gdyby ukradł ciężarówkę.

Ale musiał znaleźć jakiś sposób, żeby uratować Ninę, nie wspominając o własnych kumplach.

Pociąg wciąż poruszał się powoli, zjeżdżając z bocznic na główny tor. Wagony jeden po drugim pokonywały zakręt. Chase przyspieszył, ignorując ból. Może miał jeszcze szansę zdążyć...

Nie. Zdołał dobiec ledwo do pierwszych zwrotnic na stacji, podczas gdy pociąg minął właśnie zwrotnicę po drugiej stronie, a silnik zaryczał donośniej, gdy lokomotywa przyspieszyła.

Teraz mógł wybierać między ciężarówką... i drugim pociągiem.

Przy ciężarówce stał żołnierz, który odprowadzał wzrokiem odjeżdżający pociąg. Usłyszał za sobą chrzęst żwiru, obejrzał się... i dostał kopniakiem z wysokości prosto w klatkę piersiową. Kiedy upadł, Chase dołożył mu jeszcze pięścią w twarz. Żołnierz nie stracił przytomności, ale przez dobrych parę minut nie będzie się nadawał do walki.

Chwyciwszy karabin Irańczyka, Chase zerknął na pościg, a potem pobiegł w kierunku czoła pociągu towarowego.

Usłyszał, jak pierwsza kula uderzyła w drewnianą ścianę wagonu na ułamek sekundy, zanim dobiegł go huk wystrzału. Zwierzęta zabeczały trwożliwie. Chase padł na ziemię, przeturlał się pod najbliższym wagonem i wyskoczył po drugiej stronie. Na razie był osłonięty, ale wkrótce żołnierze dobiegną do pociągu i zaczną go okrążać.

Lokomotywa stała trochę dalej, brudna metalowa skrzynia z kabiną z przodu i z tyłu. Ale najpierw musiał coś jeszcze zrobić...

Wcisnął się w przestrzeń między lokomotywą a pierwszym wagonem. Łączył je sprzęg Janneya. Chase pociągnął za dźwignię i sprzęg puścił ze zgrzytem. Teraz, ruszając, lokomotywa automatycznie się rozpręgnie i skład zostanie w miejscu.

Wyjrzał zza wagonu. Po lewej szukało go dwóch żołnierzy, co oznaczało, że po prawej był tylko jeden. Chase wskoczył na ramię sprzęgu i zeskoczył po drugiej stronie, wychylając się za wagon z karabinem gotowym do strzału. Trzeci żołnierz pędził prosto na niego.

Płynnym ruchem Chase klęknął na jedno kolano, wycelował i pociągnął za spust. Karabin wystrzelił trzy kule, ale już pierwsza dosięgła celu. Żołnierz runął na ziemię.

Chase pobiegł do lokomotywy. Z otwartych drzwi kabiny wyłoniła się głowa: maszynista wychylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Natychmiast zorientował się w sytuacji.

- Dzień dobry - wysapał Chase i wycelował do niego z karabinu. - Muszę pożyczyć pański pociąg.

Wstrząśnięty mężczyzna uniósł ręce, rozejrzał się rozpaczliwie dookoła, a potem zrobił w tył zwrot i z przeciągłym krzykiem wyskoczył z lokomotywy.

- Przynajmniej poprosiłem - wymamrotał Chase, wchodząc po schodkach. Ciasna kabina była pusta, stłumiony warkot silnika na jałowym biegu odbijał się echem od wąskich drzwiczek w tylnej ścianie. Przez przednią szybę zobaczył maszynistę biegnącego w kierunku nastawni na końcu bocznicy.

Największa dźwignia na desce rozdzielczej musiała służyć do zwiększania obrotów. Co oznaczało, że ta trochę mniejsza to hamulec.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Na próbę pchnął dźwignię gazu do przodu. Lokomotywą szarpnęło, gdy silnik zawył głośniej, lecz hamulec nie pozwolił jej ruszyć.

Chase zwolnił to, co jak sądził, było dźwignią hamulca. Rozległ się przesywający metaliczny pisk i lokomotywa drgnęła. Chase natychmiast pchnął dźwignię gazu. Wielkie dieslowskie silniki za jego plecami zawyły, strzałki wskaźników na desce rozdzielczej podniosły się aż za czerwoną kreskę, lecz Chase zignorował je i wyjrzał przez otwarte drzwi.

Lokomotywa rzeczywiście odłączyła się od wagonów, więc przynajmniej nie będzie ciągnął ze sobą kilkuset zwierząt. Żołnierze dobiegli już prawie do początku pierwszego wagonu.

Chase podniósł karabin i przestawił go na ogień ciągły, puszczając serię wzdłuż boku lokomotywy. Jeden z żołnierzy padł niemal natychmiast, z jego klatki piersiowej trysnęła fontanna krwi. Drugi rzucił się na tory przed stojącym składem wagonów. Chase nie mógł go trafić, bo kanciasta karoseria lokomotywy blokowała linię strzału.

Mruknął z niezadowoleniem, po czym skupił uwagę z powrotem na wskaźnikach i torach z przodu. Pierwsza zwrotnica zbliżała się szybko.

Z dziecięcych zabaw modelem kolejki taty wiedział, że zwrotnice należy pokonywać powoli. Właściwie ojciec zabronił mu dotykać się do kolejki po tym, jak z ciekawości sprawdził, co by się stało w przeciwnym razie, i wykoleił ekspres Great Western, który poleciał prosto na podłogę.

Ale nie miał teraz wielkiego wyboru - musiał dogonić pociąg z Niną.

Przygotował się na najgorsze. Cała lokomotywa zakołysała się, wjeżdżając zbyt szybko na zwrotnicę, rozległ się pisk metalu szorującego o metal. Gwałtowny ruch powtórzył się, gdy sześć tylnych kół przetoczyło się również przez zakręt. Potem lokomotywa wyprostowała się, lecz już zbliżała się następna zwrotnica...

Za lokomotywą i poza zasięgiem wzroku Chase'a ostatni żołnierz pędził sprintem wzdłuż torów. Maszyna nabierała prędkości, a straszliwy zgrzyt, który rozległ się, gdy w fontannie iskier pokonywała zwrotnicę, o mało go nie ogłuszył, lecz wściekłość i palące pragnienie zemsty dodawały mu sił.

Rozpaczliwym susem spróbował wskoczyć na odjeżdżającą lokomotywę, dotknął palcami poręczy...

I ją złapał.

Zacisnąwszy zęby, żołnierz podciągnął się na schodki, a potem wgramolił się do tylnej kabiny.

Od następnego metalicznego zgrzytu pod lokomotywą Chase'a aż zabolowały zęby, ale dociskał dźwignię gazu, nawet gdy na ostrym zakręcie o mało nie spadł z fotela.

Jeszcze jedna bocznica i znajdzie się na głównych torach za drugim pociągiem. Jeśli wydusi z lokomotywy, ile się tylko da, wkrótce powinien go dogonić, a jeśli się nie mylił, mógł dostosować do niego prędkość, automatycznie sprzęgnąć lokomotywę z ostatnim wagonem, a potem wyjść z kabiny i przeskoczyć z pociągu na pociąg.

Z przodu zauważył błysk metalu: coś się poruszyło.

Ostatnia zwrotnica została przestawiona!

Chase odwrócił głowę i zobaczył dwie wystraszone twarze w oknie mijanej nastawni. Maszynista musiał powiedzieć nastawniczemu, żeby spróbował go zatrzymać, i teraz lokomotywa pędziła torami biegnącymi równoległe do pociągu osobowego.

Co oznaczało, że gdyby z naprzeciwka nadjechał pociąg, doszłoby do czołowego zderzenia!

Jeśli myśleli, że to go powstrzyma, to byli w błędzie.

Ze zgrzytem lokomotywa przetoczyła się przez zwrotnicę na główną linię. Chase docisnął dźwignię gazu. Wskazówki wskaźników znów podskoczyły, ale on zwracał uwagę tylko na prędkościomierz. Trzydzieści kilometrów na godzinę... czterdzieści...

Tory z przodu odbijały to w prawo, to w lewo, wijąc się między górami. Jeszcze nie widział drugiego pociągu. Ale musiał być gdzieś blisko.

Dogonienie go nie stanowiło większego problemu, gorzej mogło być z przeskoczeniem.

Castille i Hafez wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Obserwowali uważnie pilnujących ich żołnierzy, czekając na oznaki znużenia i dekoncentracji, które muszą się pojawić. Wkrótce je zauważyli. Żołnierzy było dwa razy więcej niż skutych kajdankami więźniów, którym zresztą zabrano broń, więc czuli się pewnie. Byli przekonani, że więźniowie nie podejmą próby ucieczki. Po wepchnięciu obu mężczyzn do przedziału trzymali ich cały czas na muszce.

Teraz ich karabiny były opuszczone. Wycelowanie ich w jeńców zajęłoby tylko chwilę, lecz ta chwila w zupełności wystarczała Castille'owi i Hafezowi.

Musieli tylko poczekać na właściwy moment.

Im bardziej Nina starała się ignorować Mahdżada, tym jaśniej zdawała sobie sprawę, że się na nią gapi. Mogła tylko odwrócić się od niego i pochylić w stronę okna, obserwując górzysty krajobraz przesuwający się za brudną szybą.

Mahdżad się poruszył. Nina zerknęła na niego i zamarła z przerażenia, gdy zobaczyła, że bawi się wildeyem Chase'a.

- Moje życie byłoby łatwiejsze, gdybyście wszyscy zostali zastrzeleni podczas ucieczki - powiedział. - Mniej papierkowej roboty, mniej pytań przełożonych. Może powinienem po prostu zabić was, zanim dojedziemy na miejsce, i uniknąć kłopotów. - Uniósł powoli rewolwer i wycelował lufę prosto w nią. Nina wcisnęła się głębiej w siedzenie. - Ale... mogłabyś mnie przekonać do zmiany zdania. Ocalić swoich przyjaciół.

- Jak? - spytała, mimo że znała odpowiedź.

- Wiesz jak - odparł, odchylając się do tyłu, gdy na jego twarzy pojawił się lubieżny uśmiech.

- Jest pan obrzydliwy. Uśmiech stał się szerszy.

- Jestem zgodnym człowiekiem - powiedział, spoglądając na zegarek. - Dam ci parę minut na zastanowienie się nad moją propozycją... - twarz wykrzywił mu złośliwy grymas. - Zabiję twoich kumpli. A ciebie dam swoim ludziom. Obawiam się, że nie są... jak to się mówi? Tak dżentelmeńscy jak ja.

Odwróciła się od niego, zagubiona i przerażona.

Lokomotywa pędziła teraz ponad siedemdziesiąt kilometrów na godzinę i wciąż po woli przyspieszała. Pokonując biegnący po długim łuku zakręt, Chase wpatrywał się z uwagą w tory przed sobą, szukając wzrokiem pociągu.

Tam?

Ponad pół kilometra przed nim, ale coraz bliżej.

Powinien go dogonić w ciągu dwóch minut, może szybciej.

Obie nitki torów dzielił pas ziemi o szerokości niecałych trzech metrów. Ale odległość między samymi pociągami będzie mniejsza: jakieś półtora metra. Łatwy skok.

A przynajmniej byłby łatwy, gdyby obie lokomotywy nie pędziły siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Chase usiłował się lepiej przyjrzeć ostatniemu wagonowi. Był staromodny, z otwartą platformą prowadzącą do tylnych drzwi. To ułatwiało sprawę. Musiał tylko wybrać odpowiedni moment, by przeskoczyć z lokomotywy na platformę.

To wszystko. Tylko skok z jednego jadącego pociągu na drugi. Żaden problem.

Chase ustawił dźwignię gazu, zawiesił na niej karabin, tak aby przytrzymał czuwak. Jeśli podniesie go tuż przed wyjściem z kabiny, prędkość lokomotywy powinna się zrównać z prędkością pociągu, co ułatwi mu skok. Następnie otworzył drzwiczki i wychylił się, żeby ocenić siłę wiatru...

I oberwał tak, że barkiem uderzył w metalową ramę, gdy przez korytarzyk łączący przednią i tylną kabinę wparował żołnierz.

Podkłady torów migające w dole rozmywały się Chase'owi w oczach, gdy żołnierz usiłował wypchnąć go za drzwi. Z jednym ramieniem odrętwiałym od uderzenia mógł tylko złapać się poręczy na zewnątrz, a to sprawiło, że jeszcze bardziej się wychylił.

I zobaczył światła lokomotywy, która pędziła wprost na nich!

7

Żołnierz chwycił Chase'a za gardło i ścisnął z całych sił, spychając go na krawędź pomostu.

Chase z trudem łapał powietrze, gdy tamten wbił mu kciuki w tchawicę. Trzymanie się poręczy kosztowało go mnóstwo wysiłku, palący ból paraliżował drugie ramię, którym nie mógł poruszyć.

A kątem oka widział, że światła nadjeżdżającego pociągu są coraz bliżej.

Irańczyk pochylił się nad nimi i wysyczał z nienawiścią:

- Giń, amerykański psie!

- Amerykański? - wykrztusił Chase.

Oburzenie dodało mu sił, jego pięść zmiażdżyła Irańczykowi twarz. Z nosa siknęła krew. Żołnierz natychmiast puścił go, cofnął się i jęknął z bólu.

Chase wbił mu kolano w brzuch. Facet stęknął i się zatoczył. Chase wyprostował się i powiedział:

- Jestem Brytyjczykiem, ty ćwoku! Rozległo się wycie klaksonu.

Przez przednią szybę zobaczył, jak lokomotywa z przeciwnej strony mknie prosto na nich. Z jej kół posypały się iskry, gdy maszynista nacisnął hamulec. Lokomotywa ciągnęła długi sznur białych cystern pełnych paliwa albo chemikaliów.

Maszynista wyskoczył z kabiny. Lokomotywa pędziła na Chase'a jak pocisk armatni.

Chase skoczył i z trudem złapał się barierek na platformie. Mógł tylko zacisnąć palce na podniszczonym metalowym drążku, gdy...

Lokomotywy się zderzyły.

Tylne koła lokomotywy oderwały się od torów i maszyna przeokoziółkowała. Na chwilę zawisała w powietrzu, a potem runęła na drugą lokomotywę. Oba silniki rozerwały się podczas uderzenia. Setki litrów ropy trysnęły ze zbiorników i buchnęły ogniem.

Pierwszy wagon z cysterną pełną ropy naftowej wykoleił się i nadział na stertę powyginanego złomu. Jego ładunek wylał się szerokim strumieniem...

- Czas minął - oznajmił Mahdżad. Pochylił się do Niny i uśmiechnął złośliwie, kładąc jej rękę na nodze. Nina cofnęła się z obrzydzeniem, ale nie miała dokąd uciekać. - A więc jaka jest...

Na drugich torach minął ich rozpędzony pociąg. Mahdżad zerknął na niego, a potem spojrział znowu na Ninę. Otworzył usta... I w tym momencie wagon się zatrząsł.

Podczas służby w oddziałach SAS Chase bywał niebezpiecznie blisko celów precyzyjnych ataków powietrznych NATO, ale wybuch naprowadzanej laserem półtonowej bomby, od którego drżała ziemia, był fajerwerkiem w porównaniu z eksplozją, która rozerwała pierwszą cysternę. Uczepiony desperacko barierki pociągu oddalał się od niej z prędkością ponad siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, lecz detonacja i tak go ogłuszyła, a żar powiększającej się gwałtownie ognistej kuli przypalił mu włoski na rękach.

Rozległ się następny potworny zgrzyt metalu, inne cysterny powpadały na siebie zaledwie parę metrów od niego. Na skutek zderzenia pociąg złożył się jak harmonijka, a wagony wykolejały się jeden po drugim.

Następna eksplozja! Druga cysterna wybuchła tak jak pierwsza. Po chwili wybuchła trzecia. Szlag!

Cały skład miał wkrótce eksplodować w reakcji łańcuchowej - a seria wybuchów następowała szybciej, niż jechał pociąg!

Chase musiał znaleźć schronienie w ciągu następnych dziesięciu sekund, bo inaczej jego ciało zostanie zwęglone... albo wyparuje.

Podciągnął się na rękach z okrzykiem, który utonął w ogłuszającym huku następnych eksplozji. Pal sześć przypalone włoski na rękach - gdy wgramolił się na barierkę i spadł na drewnianą platformę, czuł, jak piecze go skóra. Skoczył na nogi i pociągnął za kłamkę w drzwiach.

Zamknięte!

Łańcuch eksplozji zbliżał się gwałtownie, poprzedzany przez fale gorącego powietrza. Chase przywarł do drzwi, nie miał dokąd uciekać...

Nagle upadł, lądując na plecach we wnętrzu wagonu. Patrzył teraz prosto w twarz stojącego nad nim żołnierza, który otworzył drzwi.

Chase odturlał się od drzwi. Zaskoczony żołnierz przez chwilę gapił się na niego głupkowato, a potem podniósł wzrok i ujrzał ścianę ognia za wagonem.

Nie miał nawet czasu krzyknąć, gdy płomień z ostatniej eksplodującej cysterny wdarł się przez drzwi: prostokątny słup rozwidlających się i skłębionych języków ognia. Cały w płomieniach, żołnierz wydał z siebie rozdzierający okrzyk bólu, zanim ruszył w kierunku Chase'a, machając rozpaczliwie rękami.

Chase odturlał się dalej w samą porę, by uniknąć deszczu płonącego paliwa, który skapywał z żołnierza. Potem skoczył na równe nogi, ignorując Irańczyka, który osunął się na podłogę, wijąc się w męczarniach. Teraz, skoro udało mu się dostać do pociągu, miał do wykonania robotę.

Pierwsza eksplozja wprowadziła Mahdżada w osłupienie, potem, gdy wybuchy stały się głośniejsze, wyraźnie się przestraszył. Zapomniał o Ninie, skoczył na równe nogi i otworzył drzwi przedziału, wykrzykując rozkazy do podkomendnych. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale brzmiało to prawie tak, jakby pociąg był bombardowany.

Czyżby Chase'owi udało się jakoś ruszyć za nimi w pościg? Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by to było możliwe, lecz cokolwiek się działo, napędziło Mahdżadowi strachu.

Może nadarzała się okazja do ucieczki.

Gdy jeden z zaskoczonych strażników otworzył drzwi, słuchając rozkazów wykrzykiwanych przez Mahdżada z drugiego końca wagonu, Castille i Hafez znów wymienili spojrzenia. Tym razem był to sygnał, potwierdzenie, że obaj myślą o tym samym.

Przygotujmy się!

Chase otworzył ciężkie przesuwane drzwi i znalazł się w staromodnym wagonie pasażerskim, zupełnie jakby z ekspresu Hogwarts. Z ulgą stwierdził, że przedziały, które mija, są puste. Gdyby były pełne żołnierzy, miałby kłopoty.

Kroki!

Buty zadudniły o podłogę, gdy żołnierze wbiegli z drugiego końca do wagonu, otwierając z hukiem drzwi. Więc jednak kłopoty.

Ukrył się w najbliższym przedziale i zasunął drzwi, zostawiając tylko szparę. Przebiegli obok: pięciu ludzi. Wyrzwał przez okno. Ledwie pół metra od niego stał żołnierz, był odwrócony tyłem.

- Psst!

Żołnierz odwrócił głowę i pięść Chase'a trafiła go w twarz. Chase zawlókł go do przedziału, przyłożył mu jeszcze raz, a potem zabrał karabin. Przetawiał G3 na ogień ciągły i wyskoczył na korytarz, kosząc serią pozostałych żołnierzy.

Wyrzucił pusty magazynek, wrócił do przedziału, żeby zabrać nieprzytomnemu Irańczykowi zapasową amunicję, szybko załadował nowy magazynek i z uniesioną bronią wyszedł na korytarz. Castille, Hafez i - co najważniejsze - Nina byli gdzieś w tym pociągu, a on ich znajdzie.

Słyszając odległy, lecz wyraźny dźwięk strzałów, strażnicy patrzyli po sobie zaskoczeni.

Castille spojrział Hafezowi w oczy. Teraz!

Zeskoczył z siedzenia i schylił się, skrępowanymi rękami wrywając karabin żołnierzowi po prawej, a jednocześnie kopiąc w twarz strażnika naprzeciwko. Chrupnął łamany nos. W tym samym czasie Hafez kopniakiem wytrącił broń żołnierzowi po lewej od Castille'a.

Castille wyprostował się, wykonał szybki skręt tułowia i przyłożył łokciem w gardło wartownikowi po prawej. Poczuł, jak coś chrupnęło z paskudnym młaśnięciem.

Kiedy się odwrócił, Hafez właśnie kopnął ostatniego żołnierza w kolano, aż trzasnęła łamana kość. Żołnierz zawył z bólu. Hafez doskoczył do niego, chwycił jego karabin i dzielił go nim w tył głowy. Facet leżał na podłodze bez ruchu.

Dwaj pozostali żołnierze byli w nie lepszym stanie.

- Dobra robota - pochwalił Hafez, wskazując nieprzytomnych żołnierzy.

- Nawzajem.

- Oczywiście załatwiłbym także tego drugiego, gdyby tu był.

- Oczywiście, staruszk. - Castille przewrócił żartobliwie oczami. - Teraz mam tylko nadzieję, że jeden z tych osłów ma kluczyki do naszych kajdanek.

Chase wbiegł do drugiego wagonu, minął zamknięte drzwi do toalety i w korytarzu zobaczył czterech następnych żołnierzy, którzy biegli z wycelowanymi w niego karabinami!

Rzucił się za toaletę, jednocześnie oddając kilka strzałów. Okrzyk bólu powiedział mu, że przynajmniej jedna kula dosięgła celu. Drewniane panele na ścianie korytarza popękały z trzaskiem, podziurawione pociskami. Wszędzie posypały się drzazgi.

Jezu! - Chase uzmysłowił sobie z przerażeniem, że żołnierze mogli go ostrzeliwać do czasu nadejścia posiłków lub zrobić to, co właśnie zamierzali, czyli rzucić granat!

Jeden z nich krzyknął coś po persku, potem w ciszy, która nastąpiła, gdy Irańczycy przerwali ogień, dał się słyszeć wyraźny trzask łyżki odepchniętej sprężyną od skorupy granatu.

Dobiegnięcie do ciężkich drzwi wagonu zajęłoby Chase'owi kilka sekund, a do tego czasu granat zdążyłby eksplodować. Chase nawet nie próbował uciekać. Zamiast tego chwycił karabin za lufę, jak pałkę, i wychylił się, by zobaczyć lecący ku niemu granat...

Niczym krykiecista uderzył go kolbą posyłając tam, skąd nadleciał!

Dał susa za toaletę na sekundę przed eksplozją. Wszystkie szyby w korytarzu wypadły, wagon zasypały fruujące kawałki szkła i odłamki granatu.

Wiatr, który wdarł się przez wybite szyby, rozwiał dym prawie natychmiast. Chase zobaczył kilka trupów, ale ani śladu Mahdżada - prawdopodobnie był w przednim wagonie razem z więźniami.

Chase ruszył biegiem na czoło pociągu.

- Granat? - spytał Hafez.

- Tak.

- Eddie?

- Na pewno. - Castille zdjął Irańczykowi kajdanki. - Gotowy?

- Zawsze.

- No to do boju!

Z uniesionymi karabinami i zwróceniu do siebie plecami wyskoczyli z przedziału. Castille miał sprawdzić tył wagonu, Hafez przód.

Castille nie zobaczył nikogo. Powiedział: „czysto”, gdy za nim rozległy się prawie równocześnie dwa strzały: jeden z karabinu Hafeza, drugi gdzieś z oddali.

Hafeza odrzuciło do tyłu i wpadł na Castille'a, gdy z jego lewego uda trysnęła krew. Żołnierz, który stał przed przedziałem Niny i Mahdżada, uskoczył za drzwi, kula Hafeza oderwała kawałek framugi.

Castille złapał przyjaciela wolną ręką zaciągnął go pod toaletę na końcu korytarza i ułożył ostrożnie na podłodze.

Rana obficie krwawiła. Hafez przycisnął do niej lewą dłoń.

- Au! Skurwysyn trafił mnie!

Castille wiedział, że Hafez przeżyje... jeżeli wkrótce uzyska pomoc. Oczywiście przy założeniu, że w ogóle wyjdą z tej afery żywi.

- Możesz strzelać?

Hafez chwycił karabin jedną ręką.

- Jeszcze nie umarłem... i nie umrę, póki nie odstrzelę jaj temu dupkowi! Idź, pomóż Eddie'emu!

Castille poklepał go po ramieniu i rozsunał ciężkie metalowe drzwi wagonu.

Chase usłyszał dźwięk rozsuwanych drzwi. Ktoś nadchodził z pierwszego wagonu.

Chase ukrył się w najbliższym przedziale. Wstrzymawszy oddech, odczekał, aż usłyszał kroki, a potem wyskoczył, unosząc broń do strzału.

Niecałe pięć metrów dalej stał Castille, z karabinem wycelowanym prosto w niego.

- Edward!

- Hugo! - Chase odetchnął z ulgą. - Typowe, ja tu narażam życie, żeby cię uratować, a teraz okazuje się, że tylko traciłem czas!

- Znasz mnie, znudziło mi się czekanie.

- Nie ruszać się! - warknął ktoś za plecami Chase'a.

Chase i Castille spojrzeli na siebie. Belg popatrzył w dół. Chase skinął nieznacznie głową w odpowiedzi.

- Rzucić br...

Chase padł na podłogę, gdy Castille strzelił. Kula przeleciała ledwie kilka centymetrów nad głową Anglika. Z końca korytarza dobiegł zduszony okrzyk, a potem głuchy łoskot osuwającego się ciała. Obejrawszy się za siebie, Chase zobaczył żołnierza, który leżał oparty o podziurawioną tylną ścianę wagonu. Karabin wypadł mu z dłoni.

- Szedłeś mi na ratunek, ale ostatecznie to ja uratowałem ciebie - powiedział Belg z figlarnym uśmiechem.

- No to niech będzie, że jesteśmy kwita. - Chase wstał. - Nie mogę uwierzyć, że facet schował się w kiblu! Gdzie Nina?

Castille spochmurniał.

- Nie wiem, nie widziałem jej. Kapitan zabrał ją do innego przedziału. A Hafez jest ranny, został postrzelony.

- Gdzie?

- W nogę.

- Nie w co, tylko gdzie?

- Tam. Chodźmy!

Pobiegli na czoło pociągu. Hafez wciąż leżał na podłodze.

- Eddie! - wykrzyknął znękany głosem. - Fajnie cię widzieć! Jak ci się udało...

- Słyszałeś eksplozje?

- Owszem.

- No więc właśnie tak. Gdzie Nina?

- Myślę, że w przedziale na końcu, ale dupek, który mi to zrobił - spojrzał na zranioną nogę - osłania wejście. Mahdzad pewnie też tam jest.

Chase sięgnął do kieszeni i wyciągnął małe stalowe lustro, ustawiając je tak, by widzieć drugi koniec korytarza. Tak jak się spodziewał, rozległo się kilka strzałów, ale zanim schował lustro, zobaczył wszystko, co chciał.

- Jeden facet w ostatnim przedziale, siedzi w kucki. - Kiwnął głową do Castille'a. - Pisziesz się na to?

- Zajmę pozycję przy drugiej ścianie.

- To ty uratowałeś mi tyłek ostatnim razem. Ja zajmę pozycję przy ścianie.

Castille uniósł karabin.

- Gotowy?

- Do boju - powiedział Chase.

- Do boju - powtórzył Castille.

Chase podniósł rękę i pociągnął za linkę hamulca bezpieczeństwa. Cały pociąg zatrzęsł się gwałtownie, gdy koła zatrzymały się z piskiem na torach. Chase odczekał, aż pociąg stanie.

- Teraz!

Castille wychylił się zza toalety i wycelował. Żołnierz, wciąż zaskoczony nagłym hamowaniem, zobaczył go i złożył się do strzału. W tym samym momencie wyskoczył Chase.

Karabiny obu byłych komandosów zaterkotały jednocześnie. Żołnierz był martwy, jeszcze zanim zdążył strzelić. Odrzucony siłą pocisków wpadł z powrotem do przedziału jak szmaciana lalka.

Chase usłyszał, jak Nina krzyknęła.

- Chodź! - rzucił, biegnąc w głąb korytarza. Castille ruszył za nim.

W drzwiach do przedziału leżał martwy żołnierz. Chase nie zatrzymał się ani na moment, przeturlał się po podłodze na drugą stronę. Kula zrobiła dziurę w szybie parę centymetrów za nim.

Chase zdążył zerknąć do przedziału, teraz pokazał Castille'owi: jedna zakładniczka, jeden żołnierz. Wchodzimy na trzy, dwa, jeden...

Obaj wycelowali w Irańczyka.

Mahdżad stał, zasłaniając się Niną. Do skroni przystawił jej lufę wildeya.

Nina drżała.

- Eddie!

- Rzućcie broń! - wrzasnął Mahdżad. - Liczę do trzech. Jeśli nie rzucicie broni...

Chase i Castille wymienili błyskawicznie spojrzenia.

- Trzy! - warknął Chase.

Dwa pociski trafiły Mahdżada w czoło. Światło w przedziale natychmiast przybrało szkarłatny odcień, gdy krew obryzgała okno. Irańczyk osunął się na podłogę.

- Gadają tylko amatorzy - skwitował Chase, a gdy Castille kiwnął potakująco głową, spojrział na Ninę. Zaniepokoiło go, że w ogóle nie zareagowała na strzelaninę, po prostu stała w miejscu. - Pani doktor Wilde? - Spojrzała na niego osłupiała. - Nino!

Zamrugła.

- Co?

- Nino - powtórzył - nie spuszczaaj ze mnie wzroku, okej? Po prostu dalej na mnie patrz i zrób krok do przodu.

- Okej... - odparła apatycznie i zrobiła krok. Na jej twarzy zaczęły odmalowywać się emocje, ale nie strach czy szok. Raczej zdziwienie. - Dlaczego muszę na ciebie patrzeć?

- A co? Co ci się w tym nie podoba? Zrobiła następny krok.

- No... hm... Chase się nadał.

- No, wielkie dzięki!

- Nie, nic! Z twoją twarzą jest wszystko w porządku! - Zamachała gorączkowo rękami, próbując go przeprosić. - Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mam na ciebie patrzeć?

Wziął ją za rękę, a potem szybko wyprowadził z przedziału, omijając ciało żołnierza.

- Po prostu nie chciałem, żebyś zobaczyła faceta, któremu brakuje połowy głowy, to wszystko!

Zerknęła na wystającą na korytarz nogę.

- Co? W przeciwieństwie do faceta z syczącymi ranami w płucach, którego przed chwilą zastrzeliliście na moich oczach?

Chase pokręcił głową.

- Niektórym nie sposób dogodzić...

- O mój Boże! - wrzasnęła nagle, gdy dotarło do niej to, co się stało. - Zastrzeliliście go, kiedy przystawiał mi pistolet do głowy! A co by było, gdyby drgnął mu palec czy coś takiego? Mogliście mnie zabić!

Z przedziału wyłonił się Castille, podał Chase'owi wildeya, a potem zdjął Ninie kajdanki.

- Tak naprawdę to się prawie nie zdarza.

- W każdym razie, jeśli strzeli się w głowę - dodał Chase. - Gdyby dostał w tułów, to inna sprawa. Wstrząs hydrostatyczny, skurcze mięśni... Ale celny strzał w głowę, prawie nigdy. Nie miałby...

Bum!

Nina wrzasnęła.

- Uuu - powiedział Castille przeprasząc, zaglądając z powrotem do przedziału, by zobaczyć smużkę dymu unoszącą się z lufy pistolem Mahdżada - jednak drgnął. Powinienem być zabrać mu także drugi pistolet, *n'est-ce pas!*

Nina popatrzyła na Chase'a z wyrzutem.

- Powiedziałem „prawie nigdy” - pożalił się, gdy sprawdził bęben rewolweru, a potem wsunął go z powrotem do kabury pod kurtką. - Zresztą naciśnięcie na spust wildeya wymaga znacznie więcej siły niż w tym gównianym chińskim pistoleciku, który miał...iw ogóle dlaczego o tym rozmawiamy? Musimy się stąd wydostać!

- Niby jak? - spytała Nina, rozcierając obolałe nadgarstki. - Nadal jesteśmy w Iranie! A co z Kari?

- Pracuję nad tym. - Chase zerknął na martwego żołnierza. - Czy to ten facet miał wszystkie nasze rzeczy?

Castille pokiwał głową, podnosząc żołnierski chlebak.

- Proszę.

Chase szybko przeszukał zawartość i wydobyl niewielki telefon komórkowy.

- Dobra! Mam nadzieję, że nie zapomniałem naładować baterii.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Nina. Uśmiechnął się.

- Zadzwoń do znajomej.

8

Kari przechadzała się po ciasnym pomieszczeniu. Podczas lotu helikopterem zorientowała się, że dom Hadżdżara nie jest zwykłą wiejską rezydencją. Budowla wzniesiona na grani w górach Zagros była skrzyżowaniem pałacu z fortecą, można się było do niej dostać tylko z powietrza albo po wijącej się na szczyt prywatnej drodze.

I jak każda szanująca się twierdza miała własne lochy.

Ale nie średniowieczne wilgotne cele. Przesadnie wystylizowana architektura świadczyła, że budowla powstała jakieś trzy dekady wcześniej na zlecenie kogoś z mnóstwem pieniędzy, złym gustem i wybujałym ego. To sugerowało byłego szacha Iranu. Rodzaj letniej rezydencji, ufortyfikowany Camp David z wysokimi murami i absurdalnie ostentacyjnymi zdobieniami.

Bez względu na pierwotne przeznaczenie, teraz Hadżdżar był tu panem, a Kari przeczuwała, że ona i Juri Wolgan nie są pierwszymi lokatorami tutejszych lochów.

Obecność Wolgana w celi obok na niewiele mogła się przydać. Zdrada Hadżdżara tak nim wstrząsnęła, że na dźwięk nazwiska „Qobras” wpadał w panikę.

Pomyślała o Hadżdżarze. Usiłując wziąć za nią okup, rozpoczął bardzo niebezpieczną grę i prawie na pewno nie zdawał sobie sprawy z grożących mu konsekwencji. Ojciec poruszy niebo i ziemię, by sprowadzić ją bezpiecznie z powrotem, ale nie pozwoli, żeby na tym sprawa się skończyła.

Ona zresztą też nie.

Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Hadżdżar wezwie ich do siebie. Przypuszczalnie próbował teraz skontaktować się z Qobrasem i jej ojcem. Musiała wykorzystać ten czas i spróbować uciec.

- Przepraszam - powiedziała, podchodząc do kraty i zwracając się do strażnika siedzącego po drugiej stronie. - Potrzebuję pomocy.

Strażnik zmarszczył brwi.

- A co?

- Muszę... no wie pan. - Zakołysała biodrami, ręce wciąż miała skute za plecami. - Do toalety.

- I?

- I miałam nadzieję, że mnie pan zaprowadzi. - Strażnik podszedł do drzwi i obrzucił ją spojrzeniem. Kari zrobiła błagalną minę. - Proszę.

Krępy, brodaty facet prychnął.

- Niech zgadnę. Poprosisz, żebym rozpiął ci płaszcz, a potem pomógł ściągnąć te obcisłe skórzane portki. Ja się napalę, bo jestem biednym irańskim facetem, a ty piękną blondynką. Potem poprosisz, żebym zdjął ci kajdanki, a ja to zrobię, bo będę myślał fiutem zamiast głową a później załatwisz mnie jakimś fikuśnym chwytem a la Bruce Lee i dasz dyla. Bardzo się mylę?

Kari posłała mu cierpkie spojrzenie.

- Wystarczyło powiedzieć „nie”. Strażnik zaśmiał się i usiadł na krześle.

- Nie płacami, żebym zachowywał się jak dureń. Ale przynajmniej próbowałam.

Zirytowana, odwróciła się do niego plecami. Teraz mogła myśleć tylko o jednym: Co będzie, kiedy naprawdę będzie musiała skorzystać z toalety?

Chase i Castille wynieśli pośpiesznie opatrzonego Hafeza z pociągu, a później wszyscy czworo ruszyli w drogę. Nina nie miała pojęcia, dokąd idą ani co Chase zamierza zrobić, kiedy dotrą na miejsce. Rozmowa, którą przeprowadził przez komórkę, odbyła się po arabsku, a pośpiech, z jakim uciekli z pociągu, nim zdążyłyby nadciągnąć irańskie oddziały, sprawił, że niczego nie wyjaśniał.

Ze względu na rannego Hafeza poruszali się powoli. Na szczęście roślinność była tu bujniejsza i do czasu, gdy Nina usłyszała nadlatujący helikopter, znaleźli się już pod osłoną lasu o pół kilometra od torów.

- Dokąd właściwie idziemy? - spytała. - Kim jest ta tajemnicza nieznajoma, do której dzwoniłeś? I jak nas znajdzie? Jesteśmy na zupełnym odludziu.

Mimo bólu Hafez się uśmiechnął.

- Eddie ma mnóstwo znajomych - powiedział. - Na całym świecie. Nina obejrzała się na Chase'a.

- Nawet w Iranie, gdzie podobno nigdy nie byłeś?

- Popularny ze mnie gość - odparł, wzruszając ramionami.

- Jego reputacja go wyprzedza - dorzucił Castille.

- Jestem tego pewna. Ale jeśli mogę dołączyć do waszego kółka wzajemnej adoracji, może zdradzicie mi, jaki macie plan?

- Cóż - powiedział Chase - przede wszystkim musimy się stąd wydostać. Jakies półtora kilometra na południe jest droga, ktoś będzie tam na nas czekał.

Nina się rozejrzała.

- A jak nas znajdzie? Nawet ty nie wiesz, gdzie jesteśmy!

- Po prostu opisałem charakterystyczne elementy topografii. Łatwo znaleźć je na mapie.

- Czyżby?

- Naprawdę, kaszka z mleczkiem. A potem... pojedziemy po pannę Frost.

- Wiesz, gdzie jest? - spytał Castille.

- Hadżdżar ma wiejski domek jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Wpadniemy do niego, żeby się przywitać.

- Słyszałem o tym „domku” - przestrzegł Hafez. - Niełatwo się tam dostać.

- Nie takie rzeczy się robiło - zauważył radośnie Castille. - Pamiętam, jak raz w Kongo...

- Hugo - upomniał go Chase, kiwając palcem. Castille mruknął coś jakby „no, tak” i umilkł.

- Niech zgadnę - powiedziała Nina. - Jeszcze jeden kraj, gdzie oficjalnie nigdy nie byliście?

Chase uniósł konspiracyjnie brew.

- Coś w tym rodzaju.

Szli dalej przez las. Po jakimś czasie drzewa były coraz rzadsze, ukazując piaszczystą drogę.

- To tu? - spytała Nina. Chase rozejrzał się dookoła.

- Na to wygląda. Musimy znaleźć strumień spływający z...

- Wskazał pobliskie wzgórze. - Stamtąd. Tam powinna na nas czekać ta dziewczyna.

- Dziewczyna, he? - zauważyła Nina.

- Co jest, doktorco? - zapytał Chase. - Zazdrosna?

- Jeszcze jak - odparła, teatralnym gestem kładąc rękę na sercu. Castille i Hafez zachichotali. Chase tylko prychnął i poprowadził ich wzdłuż drogi.

Po paru minutach zobaczyli samochód - starą rozklekotaną furgonetkę. Chase polecił im schować się za drzewami.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział.

Nina obserwowała, jak przemykał przez las, poruszając się z lekkością i zwinnością, która niemal komicznie kontrastowała z jego potężną budową ciała. Im był bliżej furgonetki, tym niżej się pochylał, aż Nina straciła go z oczu. Zatrzymał się dziesięć metrów od celu, a potem podbiegł do samochodu.

Nina zdała sobie sprawę, że Castille wyciągnął pistolet i nawet Hafez uniósł zdobyczny karabin.

- Tylko na wszelki wypadek - zapewnił ją Belg.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Czekali niecierpliwie, gdy mijaly kolejne sekundy... aż wreszcie Chase znów się pojawił i zamachał do nich.

- Nic nam nie grozi - powiedział Castille, chowając pistolet.

- A jeśli ktoś trzyma go na muszce? - spytała Nina.

- Wtedy miałby kciuk przyciśnięty do dłoni.

- Jesteście jak dzieci z tymi swoim sztuczkami i szyframi. Uwielbiacie je, co? - zauważyła, rozbawiona.

- Dzięki nim żyjemy.

- Podniósł Hafeza, a Nina pomogła mu go prowadzić, gdy ruszyli w kierunku furgonetki.

Kiedy się zbliżyli, Chase rozmawiał z kimś w furgonetce.

- Proszę wszystkich o uwagę - oświadczył. - Chciałbym wam przedstawić moją bardzo dobrą znajomą która pomoże nam zabrać stąd tyłki! To Szala Jazyd.

Z furgonetki wysiadła młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta. Była bardzo atrakcyjna...iw bardzo zaawansowanej ciąży.

- Oj, oj - powiedział Castille, nie mogąc powstrzymać wesołości. - Tego się nie spodziewałem. Czyżbyś zapomniał nam o czymś powiedzieć, kiedy zdawałeś relację ze swojej ostatniej podróży, Edwardzie?

- Prawdopodobnie pamiętasz Hugo Castille'a - powiedział Chase, poirytowany. - To ten durny Belg, któremu brak dobrych manier.

Szala się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że pamiętam. Chociaż miałaś... - Dotknęła palcem górnej wargi. - Wąsy?

- Owszem, wszyscy się cieszymy, że zniknęły.

- *Bonjour* - powiedział Castille z ukłonem. - I gratuluję! Zgaduję, że odkąd się ostatnio widzieliśmy, wyszłaś za męża?

- Za wspaniałego człowieka - odparła rozpromieniona.

Ninie zdawało się, że Chase przygaś jakby na chwilę. Kiedy się otrząsnął, przedstawił Szali pozostałych.

- To Hafez - powiedział - który bywał już w lepszej formie...

- To tylko draśnięcie! - zaprotestował Hafez.

- A to w tej chwili najważniejsza kobieta w moim życiu, doktor Nina Wilde.

Szala spojrzała na Chase'a uradowana.

- Ożeniłeś się?

- Nie! - zaprzeczyła pośpiesznie Nina.

- Kurczę, możesz powiedzieć to jeszcze szybciej? - spytał Chase, udając urażonego, zanim zwrócił się znów do Szali. - Nie, jestem jej ochroniarzem. I Bóg mi świadkiem, rzeczywiście potrzeba jej ochrony.

- I chcesz ją zabrać do Fajlaka Hadżdżara? - zapytała Szala. - W ten sposób sam komplikujesz sobie zadanie.

- Wcale nie chcę jej do niego zabrać, dopiero przed chwilą zwialiśmy jego kumplom. Ale fagas porwał moją szefową. Musimy ją uratować.

- Jazda na miejsce potrwa jakąś godzinę - powiedziała Szala. - Może dłużej. Mam w samochodzie nasłuch radiowy. Wojsko i policja są w stanie wzmożonej gotowości. To twoja sprawka?

- Eee, tak. - Chase potarł kark. - Ja tylko... rozbiłem pociąg. Właściwie dwa.

- Och, Eddie! - Dała mu kuksańca w ramię. - Jesteś wspaniałym człowiekiem i doceniam wszystko, co zrobiłeś dla mojej rodziny, ale czy musisz niszczyć całe połacie mojego pięknego kraju za każdym razem, gdy przyjedziesz?

- Bez przesady, nie ucierpiał żaden cywil! - zaprotestował Chase. - Chyba. Jestem prawie pewien, że maszynista wyszedł z tego cało...

Szala pokręciła z irytacją głową, a potem spojrzała na Ninę.

- Niszczy wszystko, czego się dotknie! Jest dziesięć lat starszy ode mnie, a zachowuje się jak mój młodszy brat!

- Hm - odparła Nina, kiwając potakująco głową. Przybrała figlarny ton głosu. - To skąd znasz Eddie'ego? Cały czas twierdzi, że nigdy nie był w Iranie. Oficjalnie, ma się rozumieć.

- Moja rodzina, jak by to powiedzieć... nie należy do zwolenników obecnego reżimu - odpowiedziała Szala. - Więc pomagamy w tajnych operacjach przeprowadzanych przez... - uśmiechnęła się do Chase'a i Castille'a - pewnych dżentelmenów.

- Na przykład w akcji sabotażowej w fabryce ciężkiej wody w Araku - powiedział Castille, odwzajemniając uśmiech.

Chase wydał serię głośnych kaszlnięć.

- Ta-jem-ni-ca! - wykrztusił. Castille uśmiechnął się potulnie. - Zresztą - powiedział Chase zniecierpliwiony - musimy się zbierać. Hugo, ty i doktorka wsadźcie Hafeza do tyłu. Wzięłaś apteczkę? - Szala pokiwała głową. - Świetnie. Opatrzmy go w drodze. Przypuszczam, że nie jesteś doktorem medycyny, co, doktorko?

- Nie. I proszę, przestań mnie tak nazywać.

- Jak sobie pani życzy, doktor Wilde.

- Tak lepiej.

- Skoro nie jesteście małżeństwem... to powinniście nim być - powiedziała z uśmiechem Szala.

Chase'a i Ninę zatkało ze zdumienia, a Castille i Hafez wybuchnęli śmiechem.

Kiedy zjawił się drugi strażnik, uzbrojony w pistolet maszynowy MP-5, Kari podniosła wzrok.

- Hadżdżar kazał ich przyprowadzić.

Brodaty wartownik uśmiechnął się do Kari z za krat.

- Jak ci się poszczęści, może Hadżdżar pozwoli ci skorzystać z toalety. Jestem pewien, że sam chętnie pomoże ci zdjąć spodnie!

Kari nie zniżyła się do tego, by mu odpowiedzieć. Czekwała tylko niecierpliwie, aż otworzą celę.

Szala zatrzymała furgonetkę na poboczu górskiej drogi. - Tam - powiedziała, wskazując palcem.

Chase wyciągnął szyję, żeby się przyjrzeć.

- Rany, nie tego się spodziewałem.

Nina popatrzyła w tę samą stronę. Na szczycie skały o stromych zboczach stała bardzo osobliwa budowla.

- Boże, kto to zaprojektował? Walt Disney?

- Pałac wybudował szach. Miała to być jedna z jego letnich rezydencji, ale szach był tutaj tylko parę razy, nim wybuchła rewolucja. Potem mułowie przyjeżdżali tu na wypoczynek, aż wreszcie Hadżdżar kupił pałac od państwa.

- Wygląda jak z kreskówki - zauważyła Nina. Budynek był właściwie parodią perskiego pałacu, górne kondygnacje były przeładowane kopułami i wieżyczkami. - Zdaje się, że szach nie miał najlepszego gustu.

- Zamierzałem powiedzieć, że wygląda fajowo - stwierdził Chase. Spojrzał na twierdzę przez lornetkę. - Jak można się tam dostać?

- Tylko prywatną drogą albo helikopterem - odparła Szala. Na dźwięk ostatniego słowa Castille stęknął.

- Nie ma kolejki górskiej? - spytał Chase.

- Nie.

- Szkoda. Zawsze chciałem odtworzyć *Tylko dla orłów*.

- Droga jest strzeżona, jak przypuszczam - powiedział Castille. Szala pokiwała głową.

- Tak. Jest jedna brama na dole, wzdłuż drogi są kamery, a na górze jest druga brama.

Obserwujemy Hadżdżara od dłuższego czasu, zwykle ma na warcie czterech ludzi. Jest również ogrodzenie pod wysokim napięciem.

Chase skierował lornetkę na okoliczne wzgórza.

- Przypuszczam, że wysadzenie linii wysokiego napięcia i odcięcie w ten sposób prądu nic nam nie da?

- Ty znowu to samo! Ale nie, Hadżdżar ma własne generatory.

- Tak właśnie myślałem. - Zamyślony Chase opuścił lornetkę. - Powiedziałaś, że są tylko dwie drogi z zewnątrz. Czy to znaczy, że jest coś wewnątrz?

- Jest inna droga, owszem. - Szala obejrzała się przez ramię. - Doktor Wilde, czy mogłaby mi pani podać niebieski plecak? - Nina wyciągnęła go spośród innych tobołów. Szala przeszukała zawartość i wydobyła plany pałacu. - Mój ojciec je zdobył. Miał nadzieję, że dzięki nim uda mu się przedostać do twierdzy i zabić szacha, ale wybuchła rewolucja.

Zdezorientowana Nina zmarszczyła brwi.

- Czy w rewolucji nie chodziło właśnie o pozbycie się szacha?

- Są rewolucjoniści i rewolucjoniści - wyjaśnił enigmatycznie Chase.

- Później ojciec postanowił je zachować, na wypadek gdyby w pałacu zatrzymał się ajatollah, ale nigdy do tego nie doszło. Może przynajmniej przydadzą się wam. - Szala postukała paznokciem w dolny róg planu. - Tutaj znajduje się szyb, który prowadzi aż do

pomieszczeń gospodarczych w piwnicach. Zbudowano go, żeby zapewnić dostęp do rury ściekowej, która odprowadza nieczystości do rzeki.

Nina zmarszczyła nos.

- Fuj. Spuszczają to prosto do rzeki?

- Srają na ludzi - powiedział Chase. - Ale ten szyb... możemy się do niego dostać przez rurę ściekową?

- Tak. Ale jest jeden problem... Castille pacnął się ręką w czoło.

- Ach, oczywiście, że jest problem.

- Rura - powiedziała Szala - jest... dosyć wąska. Za wąska, żebyś się w niej zmieścił, Eddie. I ty też, Hugo, obawiam się.

- Nie ma za co przepraszać - odparł Castille. - Przeczłoگیwanie się przez rurę pełną *merdel* Tak, tak, już tam kiedyś byłem, już to robiłem... i zniszczyłem sobie koszulkę.

- Za mała dla mnie i Hugo, hę? - powiedział Chase. - Hafez w obecnym stanie też się nie nadaje, a nie możemy wysłać tam ciebie z tym brzuchem... - Na jego wargach pojawił się chytry uśmieszek. - Doktor Wilde...

- Tak? - Nina zorientowała się, dlaczego Chase się uśmiecha, odrobinę za późno. Wszyscy spojrzeli na nią wyczekująco. - Nie!

Wystrój mieszkalnej części domu Hadźdzara był równie pretensjonalny i przesadnie ozdobny jak mury, stwierdziła Kari, gdy wyprowadzono ją razem z Wolganem z celi. Nielegalny handel perskimi skarbami widać przynosił krociowe zyski, a wyglądało na to, że Hadźdzar przeznaczał znaczną ich część na przedmioty ze złota. Inaczej niż w jej własnej rodzinie, bogactwo nie szło tu w parze z dobrym gustem.

Gabinet Hadźdzara mieścił się w okrągłej sali na szczycie najwyższej wieży, którą wieńczyła kopuła. Stukot obcasów Kari o wypolerowaną marmurową posadzkę niósł się echem w ogromnej przestrzeni. Sam Hadźdzar siedział za olbrzymim półokrągłym biurkiem z marmurowym blatem i złotymi okuciami. Na ścianie za jego plecami wisiał wielki ekran plazmowy, a w dolnej części jego obudowy Kari zauważyła czarne oko kamery.

- Panno Frost! Juri! - zawołał tubalnie Hadźdzar, parodiując serdeczny ton. - Tak się cieszę, że zechcieliście do mnie dołączyć!

- Nie marnuj mojego czasu, Hadźdzar - odparła lodowato Kari. - Po prostu powiedz, czego chcesz.

Hadźdzar sprawiał wrażenie lekko urażonego.

- Więc dobrze. Za moment będę miał wideokonferencję z pani ojcem i chciałem, żeby była pani obecna, abym mógł zapewnić go o... swoich zamiarach. Nawiasem mówiąc, bardzo trudno się z nim skontaktować. Zaczynałem już tracić cierpliwość.

- Ma mnóstwo spraw na głowie.

- Hm, na pewno. Nawiązanie z nim kontaktu okazało się prawie tak trudne jak z waszym rywalem, panem Qobrasem.

- Rozmawiałeś z Qobrasem? - wykrztusił Wolgan.

- Osobiście jeszcze nie, ale wkrótce. W końcu wiedziałem przecież, że dla czegoś tak ważnego jak to... - wyciągnął rękę i podniósł atlantydzki zabytek, a odbłaski z gładkiej metalowej powierzchni oświetliły mu twarz - na pewno zechce ze mną porozmawiać.

- Bez względu na to, jaką sumę Qobras jest gotów zapłacić za artefakt, mój ojciec zapłaci więcej - powiedziała Kari.

- Nie wątpię, ale obawiam się, że ten towar jest w ofercie razem z Wolganem. A Qobras bardzo chce go znowu zobaczyć.

- Proszę, panno Frost - zaczął błagać Wolgan - musi mi pani pomóc. Qobras mnie zabije! - Jego rozbiegany wzrok spoczął na przedmiocie w rękach Hadźdzara. - Mogę opowiedzieć wam więcej o artefakcie... mogę opowiedzieć o Qobrasie! Pracowałem dla niego przez dwanaście lat, znam jego sekrety...

Hadźdzar pstryknął palcami i jeden ze strażników zdzielił Wolgana karabinem. Rosjanin, z rękami wciąż skutymi na plecach, upadł ciężko na lśniący marmur.

- Dosyć tego - powiedział Hadźdzar. Cichy sygnał dźwiękowy z komputera na biurku przykuł jego uwagę. Po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Panno Frost, pani ojciec dzwoni. Gdyby zechciała pani stanąć przed kamerą. - Strażnik wypchnął ją do przodu. - Dziękuję. I zabierzcie go gdzieś na bok. - Drugi strażnik pociągnął Wolgana po podłodze niczym wór kartofli.

Hadźdzar nacisnął klawisz na klawiaturze i obrócił się na czerwonym skórzanym fotelu przodem do ogromnego ekranu, który rozświetlił się, ukazując Kristiana Frosta w gabinecie w Ravensfjord. Oczy Frosta powędrowały w bok, w stronę jego własnego ekranu.

- Kari!

- Panie Frost - powiedział Hadźdzar, zanim zdążyła się odezwać. - Tak bardzo się cieszę, że wreszcie się pan ze mną skontaktował. Myślałem, że życie córki będzie dla pana ważniejsze niż interesy. - Zachichotał z zadowoleniem.

Frost spojrział na niego z bezgraniczną pogardą

- Kari, nic ci nie jest? Czy ten... człowiek zrobił ci krzywdę?

- Na razie nie - odparła.

- A co z artefaktem? I doktor Wilde?

- Doktor Wilde została aresztowana przez irańskich żołnierzy i stanie przed sądem za nielegalny handel zabytkami - wtrącił się Hadźdzar - i prawdopodobnie za współudział w zamordowaniu kilku żołnierzy. Jeśli chodzi o artefakt... to już dla pana nieważne.

- Ile chcesz, Hadźdzar?

- Nie owija pan w bawełnę, jak widzę. Bardzo dobrze. Za bezpieczny powrót pańskiej córki do domu żądam dziesięciu milionów dolarów.

- Oprócz dziesięciu milionów, które zapłaciłem już za artefakt? - warknął Frost.

- Myślę, że najprościej będzie, jak przeleje pan pieniądze na to samo konto - powiedział Hadźdzar, zadowolony z siebie.

- A artefakt?

- Jak powiedziałem, nie jest już na sprzedaż.

- Nawet za następne dziesięć milionów?

Hadźdzar milczał długo, zanim odpowiedział, najwyraźniej chciwość o mało nie skłoniła go do zmiany planów.

- Nawet za dziesięć milionów - odrzekł wreszcie z wahaniem.

- Piętnaście milionów.

Hadźdzar drgnął. Odwrócił się, spoglądając na Kari.

- Ceni pan ten... ten kawałek metalu bardziej niż własną córkę?

- Ja zaoferowałabym dwadzieścia - odparła.

Na twarzy Frosta pojawił się na moment wyraz dumy, którą potem znów zastąpiła kamienna surowość.

- A więc dwadzieścia milionów.

Hadźdzar zaniemówił, zerkając to na Frosta, to na jego córkę, by potem odwrócić się twarzą do wielkiego ekranu.

- Nie! Artefakt nie jest na sprzedaż za żadną cenę. Dziesięć milionów za pańską córkę, tylko tę transakcję negocjujemy. Zadzwoń pan do mnie za godzinę, aby potwierdzić przelew.

Ma pan jedną godzinę! - Znów obrócił się razem z fotelem i wcisnął klawisz, kończąc rozmowę, zanim Frost zdążył cokolwiek dodać.

- Hadźdżar - powiedziała Kari z fałszywym podziwem w głosie. - Zaimponowałeś mi! Rzadko kto potrafi się postawić mojemu ojcu w ten sposób. Zwłaszcza gdy chodzi o dwadzieścia milionów dolarów.

Hadźdżar podbiegł do niej z za biurka.

- Dwadzieścia milionów! - pisnął, a potem odchrząknął. - Dwadzieścia milionów dolarów! - powtórzył. - Za to, za tę rzecz? - Wskazał na artefakt. - Co to jest? Dlaczego tak wam na tym zależy?

Na moment w oczach Kari błysnęło coś graniczącego z podziwem.

- Bo to klucz do przeszłości... i przyszłości. - Przekrzywiła głowę, posyłając Hadźdżarowi uwodzicielskie spojrzenie. - A ty możesz na tym skorzystać, Fajlak. Sprzedaj nam artefakt, a obiecuję ci, że ojciec nie podejmie przeciwko tobie żadnych działań, kiedy to się skończy. A ja...

- Ty co? - spytał Hadźdżar, wahając się między podejrzliwością a zaciekawieniem.

- A ja ci wybaczę. Może nawet więcej. Jak powiedziałam, rzadko kto ma odwagę postawić się mojemu ojcu. - Przeszła z nogi na nogę, zakręciwszy zalotnie biodrami. - Bardzo mi zaimponowałeś.

Ciekawość zwyciężyła.

- Serio? - Obliznął wargi, uważnie obserwując jej ruchy. - To może moglibyśmy...

- Szefie - wtrącił się strażnik, ten sam, który wzgardził jej wdziękami w lochach. - Wkrótce zadzwoni Qobras. Musi pan być przygotowany.

Hadźdżar skrzywił się z irytacją.

- Masz rację. Muszę być przygotowany. Tak. - Wziął głęboki oddech i odwrócił się do Kari plecami. - Zaczekaj z nią, o tam, póki Frost znów się nie odezwie. A ty - dodał, pstrykając palcami na drugiego strażnika - daj no tu Juriego.

- Nieźle go zbajerowałaś, suko - szepnął jej strażnik do ucha. Kari westchnęła. Warto było spróbować.

Ale że Hadźdżar nie skusił się na dwadzieścia milionów dolarów... Ile zaproponował mu Qobras?

- Wyglądam idiotycznie - poskarżyła się Nina.

Po pozostawieniu Hafeza, który odetchnął z ulgą że nie musi się ruszać z furgonetki, a zarazem denerwował się, że nie może pomóc, reszta grupy z Szalą na czele zeszła nad brzeg rzeczki wijącej się u podnóży wzgórza. Drugi brzeg wznosił się stromo na wysokość dziesięciu metrów, a na szczycie urwiska znajdowało się ogrodzenie pod napięciem, które okalało całą fortecę.

Choć nurt był bystry, rzeczka okazała się na tyle płytka, że mogli przejść na drugą stronę. Szala zdjęła buty i podkasała płaszcz, zaś Chase i Castille pomogli jej się przeprowadzić, po prostu brodząc w zimnej wodzie w butach. Nina z kolei czuła się niewiarygodnie głupio, gdy podążyła za nimi w kombinezonie do nurkowania.

- No nie wiem - powiedział do niej Chase, pomagając Szali usiąść - jak dla mnie wyglądasz nieźle. Ale zawsze kręciły mnie kobitki w gumowych wdziankach.

- Zamknij się. - Jednocześnie kombinezon przywieziony przez Szalę bardziej nadawał się do paradowania po plaży z deską surfingową pod pachą niż do tego, by niepostrzeżenie przedostać się do fortecy wroga: był czarny, ale od szyi aż do kroku, a później na plecach biegł jaskraworóżowy pas. Prażki w tym samym neonowym kolorze zdobiły też

rękawy i nogawki. Sam kombinezon był nowy, ale zbyt ciasny, a brudne tenisówki na nogach stanowiły odrębny problem.

- Czy na pewno żaden z was się nie zmieści w tej rurze?

- Sama zobacz - powiedziała Szala, wskazując kawał rdzewiejącego metalu, który sterczał ze skały o trzydzieści centymetrów nad powierzchnią wody. Wszelkie nadzieje, że udałoby się nakłonić szczupłego Castille'a do podjęcia się tego zadania, przysły, gdy tylko Nina przekonała się, jak gruby był metal. Sam otwór miał zaledwie czterdzieści centymetrów średnicy - zbyt wąski dla Castille'a, a Chase pewnie nie mógłby wetknąć tam głowy i jednego ramienia.

Nie była nawet pewna, czy sama się zmieści.

- Zmieścisz się - powiedział Chase, jakby czytał w jej myślach. - Z tyłkiem mogą być problemy, ale...

- Ej!

- Tylko żartowałem. - Uśmiechnął się, a potem otworzył plecak, który przynieśli z furgonetki. - Tu masz sprzęt. Latarkę, nadajnik radiowy i słuchawki... może to nie Bluetooth, ale będziesz mogła powiedzieć nam, że odłączyłaś prąd w ogrodzeniu. Pistolet...

- Nie umiem strzelać - powiedziała Nina, gdy wyjął mały pistolet automatyczny w płóciennej kaburze z paskiem.

- Tak? Myślałem, że wy, Jankesi, umiecie strzelać, jeszcze zanim nauczycie się raczkować. Odwróć się.

- Naprawdę nie jestem pewna, czy to dobry pomysł... - powiedziała, gdy Chase zapiął jej pas wysoko na biodrach, tak że kabura z pistoletem znalazła się na jej plecach.

- To tylko na wszelki wypadek. Mam nadzieję, że się na nikogo nie natkniesz. - Przypiął do paska walkie-talkie, a potem obrócił ją i założył słuchawki, puszczając do niej oko. - Ale jakby co, bierz przykład z Lary Croft. Pif-paf! - Przeniósł wzrok na jej szyję i wisiołek. - Chcesz, żebym ci go popilnował?

Zamyśliła się.

- Nie, dzięki. To mój talizman. Chase uniósł brew.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co ci się dzisiaj przydarzyło, masz zabawną definicję szczęścia.

- Ale wciąż żyję, prawda?

- Słusznie. - Nina włożyła naszyjnik pod kombinezon, a potem zapięła się aż pod brodę, gdy Chase znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. - No to do wjazdu.

Obawy Niny zmieniły się w obrzydzenie, gdy uklękła, aby przyjrzeć się rurze.

- O Boże! Ale smród!

- A czego się spodziewałaś? To ściek! Żołądek podszedł jej do gardła.

- Niedobrze mi. Boże, chyba jednak nie dam rady...

- Posłuchaj - powiedział Chase, kładąc rękę na jej ramieniu - wiem, że dasz. Jesteś archeologiem, racja? Na pewno kopałaś już w gnoju i grzęzłaś w różnych obrzydliwych substancjach, co?

- No tak, ale...

- Rura nie jest długa. Najwyżej piętnaście metrów, a potem zaczyna się szyb z drabinką po której bez problemu wejdiesz na górę. Dasz radę.

- A jak ktoś będzie na górze? Co będzie, jak...

- Nino. - Uścisnął jej ramię. - Moja robota polega na tym, żeby cię chronić. Gdybym uważał, że na górze coś ci grozi, nie posyłałbym cię tam.

- Ale jednak dałeś mi pistolet.

- No cóż, nigdzie człowiek nie może się czuć całkiem bezpiecznie, prawda? - Nie dodało jej to otuchy. - Słuchaj, jak tylko odłączysz ogrodzenie od prądu, Hugo i ja w pięć minut będziemy na miejscu. Plan jest prosty: wejdziemy, skopiemy Hadźdzarowi tyłek, zabierzemy Kari i po krzyku.

- Bicie ludzi to twój sposób na rozwiązanie prawie wszystkich problemów, co? - zauważyła Nina.

- A co, skoro działa... Zresztą przez cały czas będę z tobą w kontakcie radiowym. I mamy plany pałacu... Powiem ci dokładnie, gdzie iść. Kiedy odłączysz prąd, po prostu schowasz się gdzieś i będziesz bezpieczna. Zaufaj mi.

Nina związała włosy w kucyk i z nieskrywanym obrzydzeniem zaczęła się wczołgiwać do śmierdzącej rury.

- Nie mam wyboru, co?

- To i tak lepsze... niż nic - powiedział Chase, włączając krótkofalówkę. - Czekaj, pomogę ci wejść. Sprawdź łączność radiową. - Podniósł jej stopy i popchnął ją do przodu.

Jego krótkofalówka zatrzeszczała.

- Tylko nie próbuj łapać mnie za tyłek.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - odparł Chase i uniósł z uznaniem brew, patrząc na jej pośladki. Znów ją popchnął i Nina zniknęła w ciemności.

Z latarką w wyciągniętej ręce Nina zaczęła wczołgiwać się do rury. Było ciasno, ale - ledwo, bo ledwo - mogła się precyzyjnie przesuwać. Zatrzymała się na chwilę, aby poświecić latarką na drugi koniec. Zobaczyła tylko ciemność.

- Założę się, że Lara Croft nigdy nie musiała wczołgiwać się nikomu do kibla - mruknęła, nim ruszyła dalej.

Kari obserwowała, jak Hadźdzar bębni palcami o biurko, coraz bardziej denerwując się czekaniem na telefon od Qobrasa. Zdawało się, że nie jest przyzwyczajony do czekania na cokolwiek.

- Fajlak - powiedziała - muszę skorzystać z toalety. Proszę.

- O nie, znowu to samo - mruknął pod nosem strażnik, lecz Hadźdzar machnięciem ręki dał do zrozumienia, że może iść.

Kari wstała i uśmiechnęła się triumfalnie do strażnika.

- Nie ma mowy, żebyś zdjął ci kajdanki - warknął tamten, wyprowadzając ją z sali.

- Jak ci idzie? - pytanie Chase'a przedarło się przez elektrostatyczny szum.

- Po prostu super - pożałowała się Nina. - Nie mogę się doczekać, żeby opisać to w „Międzynarodowym Przeglądzie Archeologicznym”.

Usłyszała w słuchawkach coś jakby stłumiony śmiech.

- Idzie ci świetnie. Widzisz już wylot rury? Skierowała latarkę przed siebie.

- Myślę, że... tak! Widzę! Czekaj, coś słyszę. - powiedziała, próbując zidentyfikować odgłos. Rodzaj syczącego bulgotania... jak spływająca rurą woda! - O, kurczę!

Skrzywiła się i o mało nie wrzasnęła, gdy oblało ją kilka litrów zimnej wody.

- O Boże, fuj! Obrzydlistwo!

Reakcja Chase'a nie poprawiła jej humoru.

- Przynajmniej pamiętaj o spuszczeniu wody.

- I co? Ulżyło? - spytał kpiąco Hadźdzar, gdy Kari wróciła.

- Maniery służącego pozostawiają wiele do życzenia - prychnęła. - Mam nadzieję, że nie spóźniłam się na Qobrasa.

- Nie, ale zadzwoniłada chwila. Więc wróciłaś w samą porę.

- Skinął ręką i strażnik pchnął ją na fotel. Wolgan popatrzył na nią błagalnie, ale nic nie powiedział.

- Pamiętasz o ofercie mojego ojca - spróbowała jeszcze raz Kari. - Bez względu na to, ile zaproponuje ci Qobras, on...

Rozległ się dzwonek komputera. Hadżdżar pstryknął palcami na strażnika, który położył rękę na ramieniu Kari. Umilkła, patrząc, jak Hadżdżar odwraca się do ekranu.

Pierwszy raz miała okazję oglądać Qobrasa na żywo, do tej pory widziała tylko fotografie, na dodatek sprzed ładnych kilku lat i nieaktualne. Jego kruczoczarne włosy przyprószyła na skroniach siwizna, na twarzy przybyło zmarszczek, lecz spojrzenie miał tak samo przenikliwe jak dawniej.

I równie okrutne.

- Panie Hadżdżar - powiedział Qobras tonem jasno dającym do zrozumienia, że obcowanie z Irańczykiem budzi w nim odrazę.

- Panie Qobras - odparł Hadżdżar z fałszywą radością w głosie. - Jakże się cieszę, że w końcu mogę z panem rozmawiać.

- Ma pan coś dla mnie - stwierdził niecierpliwie Qobras.

- Dwie rzeczy! Po pierwsze, tę małą błyskotkę. - Hadżdżar pokazał atlantydzki zabytek do kamery. - Jak rozumiem, ukradziono ją panu...

- Niech pan to zniszczy - wszedł mu w słowo Qobras. - Niech pan to przetopi. Zapłacę piętnaście milionów dolarów w zamian za kompletną dokumentację wideo ze zniszczenia tego przedmiotu.

- Zniszczyć? - Hadżdżar nie posiadał się ze zdumienia. - Owszem, mogę to zrobić, mam całe niezbędne oprzyrządowanie, ale... - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Jest pan pewien?

- Niech pan to stopi. Może pan zachować samo złoto i wszelkie inne metale, które uda się wyekstrahować, ale chcę, żeby ten przedmiot przestał istnieć. Dość już przysporzył kłopotów.

Zszokowany Hadżdżar odłożył artefakt na biurko.

- Zniszczyć. Okej. Za... piętnaście milionów dolarów? Qobras na wielkim ekranie pokiwał głową.

Kari przyglądała się całej scenie z oburzeniem. Gdyby artefakt został zniszczony, to jedyna wskazówka, jak znaleźć Atlantyde, przepadłaby na zawsze...

Z ogromną ulgą Nina wygramoliła się z rury.

Komora, w której się znalazła, była prostokątna, o wymiarach dwa na dwa i pół metra, a wzdłuż jednej ze ścian biegły rury. Podłoga była mokra.

- Jestem w środku - powiedziała do mikroportu, oświetlając latarką ściany. Brudna drabinka prowadziła na górę.

- Dobrze - odparł Chase zniekształconym przez zakłócenia głosem. - Teraz wejdź po drabinie. Tylko pamiętaj...

- Tak?

- Nie poślizgnij się.

- Dzięki za radę. - Ociekając wodą i szlamem, wspięła się po drabince. Ostrożnie pchnęła metalową klapę na górę i odetchnęła z ulgą, gdy kłapa się uniosła. - Jestem na górze.

- Dobra, powinnaś być w pomieszczeniu z jednymi drzwiami. Rozejrzała się dookoła.

- Tak.

- Przy drzwiach upewnij się, że nikogo nie ma w pobliżu, a potem pójdz w lewo. Na końcu korytarza znajdziesz kolejne drzwi. Przez nie też musisz przejść.

Z walącym sercem Nina uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę. Korytarz o kamiennych ścianach był słabo oświetlony i jeśli nie liczyć cichego szumu, panowała w nim cisza. Spojrzała w drugą stronę. Były tam wąskie schodki prowadzące na górę.

- Droga wolna - szepnęła.

- Dobra, idź.

Ściągnęła przemoczone tenisówki, żeby nie zostawić na podłodze wilgotnych śladów, a potem przemknęła na palcach przez korytarz.

- Oo. Mamy problem.

Nawet mimo zakłóceń usłyszała w głosie Chase'a niepokój.

- Jaki?

- Jest dwoje drzwi. Przez które mam przejść?

- Na planie są tylko jedno, musieli coś dobudować. Ale za jednym z nich stoi agregat. Sprawdź jedno i drugie.

Na obu widniały oznaczenia przestrzegające przed wysokim napięciem, więc niewiele jej to pomogło. Przygotowała się na najgorsze i otworzyła drzwi, które były bliżej.

Na szczęście nie prowadziły do pomieszczenia pełnego ludzi ani pokoju pracowników ochrony. Poczula się raczej jak na wydziale informatyki. W jednej z maszyn rozpoznała serwer - może Hadźdżar miał własne bezpieczne łącze internetowe. Do urządzenia były podłączone rozmaite czarne skrzynki oraz komputer z wygaszonym ekranem.

Z czystej ciekawości - pomieszczenie było małe, a komputer w zasięgu ręki - poruszyła myszką. Na ekranie ukazały się rozmaite okna. Większość zawierała niezrozumiałe dla niej informacje o stanie systemu, lecz jedno od razu przykuło jej spojrzenie. Było przedzielone na pół i przedstawiało obraz z wideokonferencji między mężczyzną o surowej minie, którego nie rozpoznawała, a... Hadźdżarem.

- Nino? - syknął Chase. - Co się dzieje?

- To serwerownia...

- Daj sobie z nią spokój! Idź do drugiego pomieszczenia, szybko. Za drugimi drzwiami znalazła to, czego szukała. Większość miejsca zajmowały dwa duże, dudniące agregaty. Na ścianie obok były tablice z mnóstwem bezpieczników i przełączników.

- Następnym problem - powiedziała szeptem. - Wszystkie podpisy są po arabsku.

- Widzę, że ma pan także Juriego - powiedział Qobras.

- Giovanni! - wykrzyknął rozpaczliwie Wolgan, wstając niezdarnie z miejsca. Strażnik uniósł broń, jakby zamierzał znowu go uderzyć, lecz Hadźdżar pokręcił głową. - Wybacz mi, proszę! Popełniłem błąd, wiem, ale przyrzekam, że się poprawię!

Qobras pokręcił głową.

- Juri... ufałem ci, a ty zdradziłeś i mnie, i całe Bractwo! I za co? Za pieniądze? - Znowu pokręcił głową. - Przecież wiesz, że Bractwo umie o nas zadbać. Ale ty chciałeś więcej? Myślisz dokładnie tak samo jak ci, z którymi walczyliśmy!

- Proszę, Giovanni! - jęknął błagalnie Wolgan. - Już nigdy...

- Juri. - Jedno słowo wystarczyło, by natychmiast uciszyć Wolgana. - Hadźdżar, ten człowiek nie jest mi potrzebny tak samo, jak i panu. Zapłacę pięć milionów dolarów, jeśli go pan zabije. W tej chwili.

- Pięć milionów dolarów? - upewnił się Hadźdżar. Qobras pokiwał głową

- Giovanni! - wrzasnął Wolgan. - Nie, błagam!

Hadźdżar siedział przez kilka sekund bez ruchu, najwyraźniej zatopiony w myślach... Potem otworzył szufladę biurka, wyciągnął srebrny rewolwer i wystrzelił.

W słuchawkach znowu odezwał się Chase.

- Dobra, mam tu schemat instalacji elektrycznej. Powinny tam być trzy podłużne tablice, a na każdej rząd dużych włączników.

Zobaczyła je.

- Są!

- Środkowa tablica. Wyłącz trzeci, czwarty i szósty. Każdy z nich pstryknął głośno, gdy je nacisnęła.

- Dobra, co teraz?

- To już wszystko. Znajdź jakąś kryjówkę, spotkamy się za pięć minut.

W słuchawkach trzasnęło, a potem zaległa głucha cisza.

- Poczekaj, Eddie... Eddie!

Kari wpatrywała się w ciało Wolgana z niedowierzaniem. Nawet strażnicy sprawiali wrażenie zszokowanych.

- Mój Boże!

Qobras usłyszał jej głos. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Hadżdżar! Kto jeszcze z tobą jest? Hadżdżar odwrócił się do kamery.

- Mam tu pańską... konkurentkę, że się tak wyrażę. Kari Frost. Qobras osłupiał.

- Kari Frost? Niech ją zobaczę!

Chase i Castille szybko wspięli się na urwisty brzeg. Chase sprawdził, czy ogrodzenie jest pod napięciem, rzucając w nie sekatorem. Żadnych iskier, żadnego spięcia.

- Idziemy! - zakomenderował.

Castille podniósł sekator i zabrał się do przecinania drutu. Potem Chase uniósł odciętą siatkę jak klapę.

Przeczołgali się na drugą stronę, skoczyli na nogi i spojrzeli na fortecę. Skaliste zbocze prowadziło do drogi dojazdowej i bramy. Nie było widać żadnych strażników, ale według Szali musieli gdzieś się tu kręcić.

Oprócz własnej broni Castille wciąż miał przy sobie jeden z karabinów G3, które zabrali żołnierzom Mahdżada. Chase miał swojego wildeya, a także wysłużonego uzi dostarczonego przez Szalę. Sprawdził oba.

- Pora zagrać bohaterów - powiedział. Ruszyli biegiem pod górę.

Nina uznała, że serwerownia jest równie dobrą kryjówką jak każde inne pomieszczenie. A przy okazji mogła się przyjrzeć komputerowi.

Powiększenie okienka z wideokonferencją zajęło tylko chwilkę, trochę dłużej trwało podkręcenie dźwięku. Hadżdżar i drugi mężczyzna rozmawiali o...

Kari!

Nie dość na tym, ona sama pojawiła się za Hadżdżarem, pchnięta w kadr przez jednego z ochroniarzy.

- Co ona tu robi? - spytał ostro Qobras.

- Mam pewien interes z jej ojcem - odparł Hadżdżar. - To nie pańska sprawa.

- Wręcz przeciwnie, to jest moja sprawa! - Qobras podniósł głos prawie do krzyku. - Zabij ją.

Hadżdżar popatrzył na ekran z rozdziawionymi ustami.

- Co?

- Zabij ją! Teraz!

Lodowaty strach ścisnął Kari żołądek. Hadżdżar wciąż trzymał w ręku pistolet. Jeśli Irańczyk posłucha rozkazu Qobrasa, za parę sekund będzie martwa.

- Oszalał pan? - wykrzyknął Hadżdżar. - Ona jest dla mnie warta dziesięć milionów dolarów! Jej ojciec już zgodził się zapłacić okup!

- Posłuchaj mnie - powiedział Qobras, pochylając się tak, że jego twarz wypełniła cały ekran - nie masz pojęcia, jak jest niebezpieczna. Ona i jej ojciec usiłują odnaleźć to, co Bractwo stara się zachować w tajemnicy od wieków! Jeśli im się uda...

Hadżdżar zamachał rękami.

- Mam to gdzieś! Zależy mi tylko na dziesięciu milionach dolarów okupu!

W głosie Qobrasa pobrzmiwało coś bliskiego desperacji.

- Hadżdżar, zapłacę ci dwanaście milionów dolarów, jeśli ją zabijesz...

- Panoszał...

- Piętnaście milionów! Hadżdżar, zapłacę każdą sumę, jakiej zażadasz! Ale tylko jeśli zabijesz Kari Frost w tej chwili!

9

Nina, wstrząśnięta wpatrywała się w ekran. Kimkolwiek był drugi mężczyzna, naprawdę żądał zabicia Kari. Obawiała się, że z chciwości Hadżdżar zrobi to, co chce Qobras.

A ona nie mogła nic na to poradzić.

Chyba że...

- Dwaj strażnicy przy dolnej bramie - rzucił Castille, gdy wspinali się z Chase'em po skalistym zboczu.

- Widzę - odparł Chase. - Dotarcie tu, na górę, zajmie im kilka minut. Na razie ich chrzanimy. A co z górną bramą?

- Muszą być w strażnicy. Jaką przyjmujemy taktykę? Coś subtelnego?

Chase uniósł uzi.

- Coś subtelnego... może być.

Hadżdżar był rozdarty, rozglądał się po twarzach obecnych - nawet Kari - jakby liczył na radę.

- Piętnaście milionów? - powiedział wreszcie. - Dlaczego? Dlaczego jej śmierć jest dla pana tak ważna?

- Dwadzieścia milionów! - krzyknął Qobras. - Dwadzieścia milionów za zabicie jej w tej chwili! Nie zadawaj pytań, po prostu...

Nagle ekran zgasł.

Zgasły też lampy i komputer - wszystko. Światło wpadało tylko przez wąskie witrażowe okna. Hadżdżar i strażnicy byli zaskoczeni i zdezorientowani. Kari się poruszyła...

Nina zauważyła duże czerwone guziki u dołu tablic, gdy odcięła dopływ prądu do ogrodu. Nie musiała biegle znać arabskiego ani kończyć kursów z elektryki, żeby domyślić się, do czego służyły.

Ponaciskała je wszystkie jak leci. Zrobiło się ciemno.

Zapaliła latarkę i szybko opuściła pomieszczenie. Ktoś na pewno przyjdzie niedługo sprawdzić, co się stało. Kiedy biegła w ciemności korytarzem, przesunęła pas z kaburą, tak żeby móc łatwo wyciągnąć pistolet.

Główna brama była ogromnym łukiem wyciętym w grubym południowym murze. Chase użył stalowego lusterka, by zajrzeć za winkiel.

- Dwaj faceci w stróżówce w głębi po lewej - powiedział Castille'owi - około pięciu metrów. Nie wyglądają, jakby cokolwiek skumali.

Castille uniósł karabin.

- Nadal subtelnie?

Chase kiwnął głową, obserwując stróżówkę w lusterku.

- Zróbmy...

Światła w stróżówce zgasły, podobnie jak monitory telewizji przemysłowej. Strażnicy wyglądali na zdezorientowanych.

- O w mordę! - mruknął Chase. - Wyłączyła zasilanie! Dobiegły ich głosy strażników, jeden z nich rozmawiał przez walkie-talkie.

- Możemy sobie darować subtelności - stwierdził Chase.

- Do boju?

- Do boju.

Kiwnięcie głową, a potem obaj wbiegli w bramę, ostrzeliwując ochroniarzy w stróżówce.

Kari, kucając, obróciła się na jednej nodze z lekkością i gracją baleriny. Jednocześnie drugą nogą podcięła strażnika od tyłu, a ten runął na podłogę, uderzając głową o marmur.

Kari podskoczyła, unosząc wysoko kolana, i zwinięta w kłębek przełożyła pod stopami skute nadgarstki.

Obcasy stuknęły o posadzkę, gdy opadła, unosząc przed sobą ramiona. Gdzieś na zewnątrz usłyszała terkot broni automatycznej.

Chase.

W półmroku zobaczyła, że Hadżdżar wciąż siedzi za biurkiem twarzą do wyłączonego ekranu. Drugi strażnik sięgał właśnie po MP-5.

Mężczyzna u jej stóp miał pistolet, ale w kaburze. Drzwi były za daleko.

Więc pozostało tylko jedno...

Wskoczyła na biurko i pojechała na pośladowkach po lśniącej powierzchni, właśnie gdy Hadżdżar odwrócił fotel. Kopnęła Irańczyka w twarz, wbijając go w miękkie skórzane oparcie, a sama wylądowała mu na kolanach. Fotel obrócił się od uderzenia, wysokie oparcie zasłoniło na moment zarówno Kari, jak i Hadżdżara przed wzrokiem strażnika.

I w tym momencie Kari wyrwała Hadżdżarowi rewolwer.

Jeden strzał wystarczył, by strażnik padł martwy na posadzkę.

Drugi strażnik zaczynał dochodzić do siebie i wyciągnął pistolet, odwracając się do Kari.

Kari znów podskoczyła - Hadżdżar posłużył jej za trampolinę - i wybiła się w powietrze. Fotel wraz z właścicielem przewrócił się z łoskotem. Kari wykonała idealne salto, gdy pocisk utkwił w ścianie za nią.

Wciąż w powietrzu i głową w dół pociągnęła za spust. Kula eksplodowała w klatce piersiowej strażnika. Kari, z łopotem płaszcza, wylądowała na podłodze obok biurka. Spojrzała chłodno na ciało swojego byłego strażnika.

- Miałaś rację z tymi sztukami walki.

Usłyszała za plecami jakiś hałas i obejrzała się za siebie. Hadżdżar wygramolił się spod fotela i przywarł plecami do ściany pod ekranem. Gdy z krzywym uśmiechem na pokrzwawionych wargach uniósł hak do rzeźbionej listwy przypodłogowej, podłoga pod nim się rozstała i pochłonęła go ciemność. Zanim Kari zdążyła zareagować, kłapa ponownie się zatrasnęła i tylko wąska szpara w marmurze świadczyła o obecności zapadni.

Kari podbiegła i nacisnęła listwę, ale choć klocek poruszył się pod dotykiem, to nic się nie stało. Zapadnia miała jakiś rodzaj zatrasku albo mechanizmu czasowego, który uniemożliwiał pościg.

Artefakt!

Kari zaczęła gorączkowo przetrząsać biurko w poszukiwaniu przedmiotu z *orichalcum*. Nie było go tam!

Musiała przesunąć go, gdy prześliznęła się po blacie, tak że wpadł prosto na kolana Hadżdżara. A ten właśnie uciekł z nim przez tajny tunel szacha.

Rzuciwszy norweskie przekleństwo, Kari schowała rewolwer do kieszeni, podniosła MP-5 martwego ochroniarza i wybiegła z sali.

Po spiralnej zjeździe Hadżdżar zjechał do pokoju dwa piętra niżej. Jak w całej twierdzy, w pokoju panował mrok, lecz gdy przestało mu się kręcić w głowie, nie stanowiło to problemu. Wcześniej starannie przygotował sobie wszystko, czego mógłby potrzebować podczas ewentualnej ewakuacji.

Choć, pomyślał, gdy po omacku szukał dłonią latarki, która bez wątpienia leżała gdzieś w pobliżu, nie spodziewał się, że kiedykolwiek do tego dojdzie. A zwłaszcza że będzie zmuszony uciekać przed kimś, kto kilka sekund wcześniej był jego więźniem! Qobras miał rację: Kari Frost rzeczywiście była bardziej niebezpieczna, niż się wydawało.

Znalazł i zapalił latarkę. Rzeczy w pokoju wyglądały dokładnie tak, jak je zostawił. Pośpiesznie przewiesił torbę przez ramię, wrzucił do niej sztabkę *orichalcum*, a następnie zajął się wybieraniem broni.

Kałectwo zawężyło pole wyboru do broni lekkiej i poręcznej, co nie znaczyło, że o niewielkiej sile ognia. Bronią, na którą się zdecydował, był Ingram Mil, niewiele większy od zwykłego pistoletu, za to zdolny do wypluwania tysiąca sześciuset pocisków na minutę. Ten egzemplarz był specjalnie zmodyfikowany na życzenie właściciela: magazynek, wystający z kolby, kończył się bębniem, który zwiększał jego pojemność ponad dwukrotnie. Przy tylko jednej sprawnej ręce ładowanie broni było czynnością, której Hadżdżar wolał unikać.

Do tego dodał jeszcze jedną broń. Wykręcił stalowy hak z metalowej miski zakrywającej kikut prawego nadgarstka i zamocował w to miejsce dwudziestocentymetrowe ząbkowane ostrze.

Pilot helikoptera miał rozkaz, by w razie niebezpieczeństwa czekać na lądowisku. Hadżdżar miał wielu wrogów i nie łudził się, że forteca jest nie do zdobycia. W obliczu zagrożenia wolał uciec i zostawić załatwienie problemu swoim ludziom.

Ale gdyby po drodze natknął się na któregoś z napastników, chciał być przygotowany.

Nina weszła po schodach i znalazła się w następnym korytarzu, tym razem o bogatym wystroju, gdzie wyraźnie dominował czerwony aksamit.

Wysokie okna po obu końcach wpuszczały dość światła, by mogła wyłączyć latarkę. Przez najbliższe okno widziała góry, drugie wychodziło na dziedziniec fortecy.

Skąd dochodziły strzały. Chase i Castille szturmowali rezydencję.

Usłyszała czyjeś kroki za rogiem - prawdopodobnie ktoś biegł do pomieszczenia z generatorami, żeby włączyć zasilanie. Nina schowała się w najbliższym pokoju. Zanim zamknęła drzwi i pokój pograżył się w ciemności, zdążyła zauważyć, że to biblioteka: regały były pełne kompendiów i historycznych tomów. Hadżdżar najwyraźniej lubił wiedzieć, czym handluje.

Roztrzęsionymi rękami wyjęła pistolet z kabury i wycelowała w drzwi, wycofując się w głąb pokoju. Kroki były coraz bliżej.

Czy gdyby otworzyły się drzwi, pociągnęłyby za spust?

Na szczęście nie musiała się o tym przekonywać. Kroki przycichły i rozbrzmiały na schodach do piwnicy.

Odetchnęła z ulgą i zapaliła latarkę. Biblioteka dobrze nadawała się na kryjówkę. Było mało prawdopodobne, by któryś z ludzi Hadżdżara poczuł potrzebę zajrzenia do opracowania historycznego akurat teraz. Musiała tylko poczekać, aż Chase znowu się z nią skontaktuje...

Nagle znieruchomiała, zdezorientowana. Pokój zdawał się o wiele jaśniejszy, jakby moc latarki w magiczny sposób się podwoiła.

Zatrwożona, odwróciła głowę.

Hadżdżar stał zaledwie metr od niej. Z lampką przyczepioną do paska na ramieniu, wyłonił się przed chwilą z pokoju ukrytego za przesuwany regał. Sprawiał wrażenie prawie równie zaskoczonego jak ona - ale nie na tyle, by nie wycelować w nią pistolem.

- Doktor Wilde - powiedział, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, po czym przystawił ostrze zamocowane na prawym nadgarstku do jej gardła. - Miło panią znowu widzieć.

Dziedziniec miał kształt długiego prostokąta, główna brama mieściła się pośrodku południowego muru. Po bokach stały duże marmurowe żardiniery, po trzy w rzędzie, a w nich rośliny ozdobne. Chase i Castille schowali się za jedną z nich, by zorientować się w sytuacji.

- Do cel na dole powinny prowadzić te drzwi - powiedział Chase, wskazując przed siebie.

- Ale może jej tam nie być - odparł Castille. - Powinniśmy się rozdzielić, żeby jeden mógł sprawdzić górne kondygnacje.

- A co z ludźmi Hadżdżara?

- Hadżdżar to zwykły przestępca, a nie jakiś watażka! Raczej nie ma prywatnej armii.

Drzwi, które wskazał Chase, otworzyły się z impetem i wybiegło przez nie pięciu mężczyzn uzbrojonych w MP-5.

- Chociaż z drugiej strony... - Chase skrzywił się, otwierając ogień z uzi.

Castille wygarnął długą serię z G3 nad roślinami. Dwaj ludzie Hadżdżara padli natychmiast w fontannach krwi, która obryzgała mur za nimi. Pozostali trzej rozdzielili się: dwaj pobiegli sprintem przez dziedziniec, by ukryć się za żardinierą stojącą na ukos od Chase'a i Castille'a, podczas gdy trzeci dał susa za roślinę na wprost nich.

Chase rozejrzał się w poszukiwaniu dróg ucieczki. Oprócz głównej bramy, najbliższym wyjściem z dziedzińca były lukowe przeszklone drzwi od strony zachodniej, lecz dotarcie do nich wymagałoby pokonanie piętnastu metrów sprintem bez żadnej osłony.

- Kurwa! Jeśli przytrzymają nas tu za długo, ci z dolnej bramy zajdą nas od tyłu!

- A co... - zaczął Castille, gdy kwiaty nad jego głową wybuchły deszczem płatków. - *Excusez-moi!* - krzyknął z wyrzutem do strzelców. - A te okna?

Chase popatrzył we wskazanym kierunku: trzy metry od południowej ściany były dwa okna.

- Trochę małe, co? - Liczył strzały ludzi Hadżdżara, wyczuwając już wzorzec. Wychylić się, wystrzelić trzy kule, znowu się schować i zrobić miejsce dla towarzysza postępującego tak samo...

Odczekał sekundę, po czym wychylił się z ukrycia. Jak w zegarku, jeden z mężczyzn wyskoczył, żeby do nich wycelować... tylko po to, by zatoczyć się do tyłu i upaść, gdy kula z uzi Chase'a rozharatała mu twarz.

- O jednego mniej! Jeśli uda nam się załatwić tego drugiego, możemy się na przemian ubezpieczać, aż dotrzemy do tamtych drzwi.

Następne kwiaty przeszły gwałtowną przemianę w potpourri. Castille machnął ręką gdy płatki posypały się obok. Ich aromat dziwnie kontrastował z gryzącym zapachem spalonego prochu.

- Dobrze, że nie mają granatów.

- No, ale szkoda, że my też ich nie mamy! Moglibyśmy... - Chase urwał, słysząc ostrzegawczy okrzyk. - O w mordę, musiałeś wywołać wilka z lasu, prawda? Granat!

Poderwali się i pobiegli w stronę okien. Za nimi, z drugiego końca dziedzińca, poleciał granat, który cicho spadł na ziemię w żardinierze.

Szkoło posypało się, gdy Chase rozwalił szybę serią z uzi, a potem dał nura w wąski otwór. Castille zrobił to samo. Obaj wypuścili broń z rąk, tuż zanim spadł na nich deszcz szkła, osłaniając twarze ramionami, gdy eksplodujący granat wyrwał duży kawał marmuru z żardiniery i wyrzucił w powietrze ziemię i rośliny na wysokość ponad dziesięciu metrów. W tym czasie Chase i Castille byli już w środku. Resztki szyb leciały za nimi jak konfetti z żyłek.

Chase strząsnął z siebie kawałki szkła. Sala była czymś w rodzaju galerii, pod ścianami stały rzędy rzeźb. Dzwoniło mu w uszach, lecz oprócz obtłuczonych podczas twardego lądowania kolan i łokci oraz piekącego rozcięcia na tyle głowy nic mu nie było.

- Jak tam? Okej? Castille się skrzywił.

- Bywało lepiej! - Uniósł lewą rękę: rozcięty rękaw obnażał długą, nierówną ranę biegnącą wzdłuż przedramienia i najeżoną zakrwawionymi odłamkami szkła.

- Możesz walczyć?

- Zawsze! - Podniósł karabin.

Chase rozejrzał się w poszukiwaniu uzi. Nie było go... musiało zawadzić o framugę i upaść na zewnątrz. Wyciągnął wildeya, przywierając plecami do ściany przy wybitym oknie. Castille stanął po drugiej stronie. Dwaj strażnicy biegli do przeszklonych drzwi.

Kula z wildeya urwała jednemu z nich żuchwę. Runął na ziemię, wstrząsany gwałtownymi drgawkami. Castille oddał dwa strzały, trafiając drugiego w klatkę piersiową. Upadając, Irańczyk wyrznął głową w szybę.

- Chodźmy - rzucił Chase. Jak najszybciej musieli znaleźć Kari i Ninę.

Kiedy wybiegali z galerii, światła zamigały, a potem zapaliły się na dobre.

Kari była pewna, że Hadźdzar spróbuje uciec z fortecy. Skoro jej wybawiciele zaatakowali przez główną bramę, Irańczyk wycofa się na lądowisko, czyli taras przylegający do północnego muru.

Odtworzyła w myślach drogę, jaką przeszła z lądowiska do celi, a potem z lochów do gabinetu. Jeszcze piętro w dół, a potem na prawo...

Po włączeniu zasilania jeden z ludzi Hadźdzara wbiegł z powrotem po schodach i zastał szefa czekającego w towarzystwie niespodziewanego gościa. Wyglądało na to, że w twierdzy był dzisiaj dzień pięknych kobiet.

Choć nie mógł nie zauważyć, że tej z rudymi włosami spiętymi w kucyk w przeciwieństwie do wyższej platynowej blondynki, którą widział wcześniej, naprawdę przydałby się przysznic.

- Zajmij się nią - rozkazał Hadźdzar.

Ochroniarz chwycił Ninę za ramię i pchnął do przodu, przystawiając jej do pleców lufę MP-5.

- Gdzie Kari? - zapytała Nina. - Co jej zrobiłeś?

Biegnący obok Hadźdzar łypnął na nią gniewnie. Wokół warg i nosa miał rozmazaną krew.

- Co ja jej zrobiłem? Powinnaś spytać, co ona zrobiła mnie! Gdybym wiedział, że jest taka niebezpieczna, związałem jej nogi!

Nina nie miała okazji pytać dalej, bo właśnie dotarli do zakrętu korytarza. Za dużym oknem widać było góry i helikopter czekający na lądowisku. Śmigła już zaczynały się obracać.

Hadżdżar po persku wydał rozkazy ochroniarzowi, który ukrył się za załomem muru, i zwrócił się do Niny:

- Ty zostaniesz tutaj! Poczekasz na swoich przyjaciół!

- Co? Żeby tamten mógł ich zastrzelić? Odwal się!

Przystawił jej ostrze klingi do podbródka, rozcinając skórę. Nina jęknęła.

- Kiedy tu dotrą, pomachasz do nich, jakby wszystko było w porządku. Jeśli powiesz choć słowo albo w jakikolwiek sposób spróbujesz ich ostrzec, mój człowiek cię zabije. Jasne?

- Aż za bardzo - powiedziała, zerkając na karabin ochroniarza. Hadżdżar kiwnął głową a potem się odwrócił. - Hadżdżar! Gdzie artefakt?

Poklepał swoją torbę.

- Szkoda niszczyć coś o takiej wartości historycznej... ale piętnaście milionów dolarów, które zapłaci mi za to Qobras, to kupa forsy.

- Plus dziesięć milionów, które zapłacił Kristian Frost - wycedziła.

Hadżdżar wzruszył ramionami.

- Cóż ja mogę na to? To był dobry dzień na interesy. - Zmarszczył brwi, słysząc odgłosy wystrzałów, które odbijały się echem w wyłożonych marmurem korytarzach. - Ale zły dzień dla mojego domu. Zdaje się, że będę musiał wydać trochę grosza na remont. Ale przynajmniej nie na własny pogrzeb! Do widzenia, doktor Wilde!

Oddalił się szybkim krokiem.

Ochroniarz skinął karabinem, każąc Ninie stanąć na środku korytarza. Każdy, kto zbliżyłby się z drugiego końca, musiał ją zobaczyć... ale nie ochroniarza ukrytego za rogiem.

- Słyszysz coś? - spytał Castille, gdy biegli przez twierdzę.

- Helikopter - potwierdził Chase.

Odległy, lecz wzmagający się jęk turbinowego silnika jet rangera trudno było pomylić z czymkolwiek innym.

- *Merde!* Wiedziałem, że będziemy mieć jeszcze do czynienia z tą piekielną machiną, po prostu wiedziałem!

- Tam - powiedział Chase, wskazując ręką. Minęli narożnik.

Zbliżając się do korytarza prowadzącego na lądowisko, Kari usłyszała odgłos pośpiesznych kroków. Uniosła MP-5...

Chase i Castille wybiegli zza rogu. Obaj celowali prosto w nią!

- Chryste - powiedział Chase, uśmiechając się, gdy opuścił wildeya - jak to jest, że dzisiaj nikt nie potrzebuje mojej pomocy?

Kari odwzajemniła uśmiech.

- Może powinnam zażądać zwrotu kosztów.

- Nie posuwajmy się tak daleko - zaoponował Castille.

- Gdzie Nina?

- Ukrywa się, jeśli mnie posłuchała - odparł Chase. - Nic pani nie jest? Gdzie Hadżdżar?

- Mnie nic nie jest, ale Hadżdżar ma artefakt! Castille zrobił zboląłą minę.

- Niech zgadnę, jest w helikopterze.

- Tak! Chodźmy!

Z Chase'em na czele pobiegli w głąb korytarza.

- Przy następnym rozwidleniu w lewo, a potem tym samym korytarzem do końca! - rzuciła Kari.

- Ilu ma ze sobą ludzi?

- Nie wiem... zastrzeliłam tych dwóch, którzy mnie pilnowali. Chase popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Zabiła ich pani?

- Tak. - Spojrzała na niego w ten sam sposób. - A co?

- Nic! Po prostu nie jestem przyzwyczajony do tego, że klienci sami wykonują robotę, za którą mi płacą!

Skręcili w ostatni korytarz, a potem zatrzymali się, widząc przed sobą znajomą postać.

- Nina! - zawołała Kari.

- Mówiłem jej, żeby się schowała - poskarżył się Chase. - Doktoro! Nic ci nie jest?

Stojący pod ścianą ochroniarz dał jej znak: zwab ich tutaj. Nina uniosła rękę.

Kari puściła się biegiem przez korytarz, ale Chase złapał ją za ramię.

- Nie tak szybko - powiedział, odciągając ją do tyłu.

Nina machała im ręką, ale kciuk miała przyciśnięty do dłoni. Znak ostrzegawczy Chase'a i Castille'a.

Chase pobiegł w kierunku Niny. Nagle dał szczupaka, unosząc rewolwer.

Ochroniarz wyskoczył na środek korytarza, celując z MP-5, ale zauważył, że cel, na który poluje, leży na posadzce i mierzy do niego z wielkiej spluwy!

Chase oddał trzy strzały.

Broń wypadła ochroniarzowi z rąk, a on sam wypadł przez okno i z wysokości pięciu metrów runął na lądowisko. Została po nim czerwona plama i połamane kości. Hałas silnika jet rangera wdarł się do twierdzy.

- Nic ci nie jest? - spytał Chase.

- Nie, nic! - wykrzyknęła Nina.

Kari podbiegła do niej i, ku zaskoczeniu Niny, uściskała ją.

- Dzięki Bogu, jesteś bezpieczna! - Odsunęła się, marszcząc nos. - Co to za smród?

- To wszystko jego wina - powiedziała Nina, rzucając wściekłe spojrzenie na Chase'a, który odwrócił wzrok z miną niewiniątka. Warkot helikoptera zmącił jej radość. - Hadżdżar! On ma artefakt!

- Cholera! - Chase podbiegł do okna. Śmigłowiec uniósł się w powietrze. - Może uda mi się przestrzelić silnik i zmusić ich do wylądowania...

- Nie ma czasu - przerwała mu Kari. Wzięła MP-5, sprężystym krokiem podeszła do okna i długą serią ostrzelała kabinę helikoptera.

Szyba w drzwiczkach pilota roztrzaskała się. Na przedniej szybie od strony kokpitu rozbryzgała się jaskrawa czerwień. Pilot zatrzęsł się spazmatycznie, a gdy puścił stery, helikopter zaczął się kręcić jak bąk. Ogon maszyny obrócił się w stronę okna, jego śmigło wyglądało jak gigantyczna piła tarczowa.

- Padnij! - krzyknął Chase, łapiąc Kari jedną ręką a Ninę drugą, po czym rzucił się na ziemię jak najdalej od okna.

Castille wydawał się niemal zahipnotyzowany widokiem lecącej na niego maszyny. Ocknął się i odskoczył w głąb korytarza, dopiero gdy śmigło zaszorowało o kamienne obramowanie okna i pękło. Trzydziestocentymetrowy kawał jednej z łopat wleciał do środka i utkwiał w ścianie zaledwie dziesięć centymetrów od głowy Castille'a.

Bez śmigła ogonowego helikopter obracał się coraz szybciej. Hadżdżar wrzasnął i złapał stery, lecz nawet gdyby helikopter był sprawny, handlarz nie mógłby go pilotować.

Łopaty wirnika rozprysły się na milion kawałków, gdy uderzyły o beton i kamień. Maszyna obróciła się na burtę i runęła z hukiem na płytę lądowiska.

Chase wylądował na Ninie, usiłując osłonić ją własnym ciałem.

- Nic ci nie jest?

- Myślę, że nie żyję - jęknęła.

- Nic ci nie jest. Ale, na Boga, rzeczywiście potrzebny ci prysznic! - Dała mu kuksańca.

- Panno Frost? Nic pani nie jest?

Kari skoczyła na równe nogi.

- Artefakt! Musimy go zdobyć! - Pobiegnęła po schodach na lądowisko.

- Wciąż jest niebezpiecznie! - zawołał Chase, ale Kari go nie słyszała. - Jasna cholera!

- *Mon dieu!* - wrzasnął Castille, wpatrując się w spory kawał śmigła wbity w ścianę. -

Helikoptery! Zawsze te pieprzone helikoptery! Wiedziałem!

- Wciąż żyjesz, Hugo, więc przestań jójczyć! Chodź! - Chase wstał. Nina miała właśnie zrobić to samo, gdy pokręcił głową. - To zbyt niebezpieczne. Poczekaj tutaj. - Ruszył za Kari, a Castille za nim.

Ku jego uldze, śmigłowiec się nie zapalił, lecz w powietrzu czuć było wyraźnie smród paliwa, a silnik wciąż pracował - obłamane kikuty łopat wirowały nad pogruchootanym kadłubem. Cała maszyna leżała przechylona pod kątem prawie czterdziestu pięciu stopni. Kari była już przy wraku i schyliła się, by pod wirującym śmigłem otworzyć drzwiczki.

- Panno Frost, proszę poczekać! - zawołał znowu Chase, zbiegając ze schodów na lądowisko. - Kari! To niebezpieczne!

- Musimy odzyskać artefakt! - odpowiedziała, mocując się z klamką. W środku widziała leżącego w fotelu Hadżdżara, któremu z rany na czole lała się krew. Zamek zaskoczył i otworzyła drzwiczki...Hadżdżar nagle ożył, zamachnął się prawą ręką i rozciął rękaw jej płaszcza. Kari krzyknęła, gdy krew poplamiała śnieżnobiały materiał. Instynktownie złapała się za ramię drugą ręką.

W tym momencie Hadżdżar wyskoczył z kokpitu, przewrócił ją na plecy i przycisnął do ziemi, przystawiając jej ostrze klingi do gardła. W drugiej ręce trzymał zmodyfikowany pistolet maszynowy Mil.

- Rzućcie broń albo ją zabiję! - wykrzyknął. - Natychmiast! Chase zdał sobie sprawę, że nawet strzał w głowę nic nie da: gdyby Hadżdżar upadł, pod ciężarem jego ciała klinga przebiłaby Kari szyję. Nie mając wyboru, upuścił wildeya i kopnął go dalej od siebie. Castille uczynił to samo ze swoim karabinem.

- Dobrze - powiedział Hadżdżar. Z wciąż przystawionym do gardła Kari nożem-protezą, podźwignął się, przykucnął i wziął Chase'a i Castille'a na muszkę. - Na jej życiu wciąż mi zależy. Na waszym, nie...

Bum!

Pocisk uderzył w kadłub helikoptera, przedziurawiając cienką blachę. Wszyscy podnieśli wzrok na Ninę, która stała w oknie, mierząc z MP-5 do śmigłowca.

- Puść ją Hadżdżar! - zawołała.

- Nino, nie strzelaj do niego! - ostrzegł Chase. - Jeśli upadnie, rozetnie jej gardło!

- Puść ją!

- Pierwszy raz masz w rękach spluwę, mam rację? - zawołał kpiąco Hadżdżar. - Widać to po tym, jak ją trzymasz! Naprawdę myślisz, że możesz mnie trafić, zanim ją zabiję?

- Wcale nie celowałam w ciebie! - odparła. Castille uniósł brew.

- Mam nadzieję, że nie celowałaś w pannę Frost! W głosie Hadźdzara wciąż było słyhać drwinę:

- To w co?

- Celowałam w zbiornik paliwa. Który teraz się pali.

Głowy wszystkich odwróciły się w stronę wraku. Spod pokrywy silnika unosił się brudny, czarny dym.

Zaskoczony Hadźdzar drgnął, odsuwając klingę.

Kari wykorzystała okazję i lewą ręką odepchnęła ostrze od gardła.

Poczuła, jak jeden z ząbków rozciął jej skórę, lecz było to tylko zadrapanie. Gdy zimny metal ześlizgnął się z jej szyi, zamachnęła się prawą ręką i ciosem karate zdzieliła Hadźdzara w szczękę. Niewygodna pozycja nie pozwalała na wyprowadzenie silniejszego uderzenia, lecz i to wystarczyło, by zuchwa wbiła się w górną szczękę tak mocno, że trzasnęły łamane zęby. Plując krwią, Hadźdzar wydał z siebie gulgoczący wrzask i zatoczył się do tyłu. Kari odturlała się, zaś Chase przeskoczył nad nią żeby powalić Irańczyka.

- Artefakt! - krzyknął do Kari, gdy siłował się z Hadźdzarem, chwyciwszy go za nadgarstki. Irańczyk okazał się silniejszy, niż wyglądał. A w obu rękach miał zabójczą broń, podczas gdy Chase tylko gołe pięści.

Kari wstała, pochylając głowę, żeby nie nadziać się na wirujące śmigło. Ruszyła do otwartych drzwiczek kokpitu.

- Nie, Kari! Jest w jego torbie! - zawołała Nina.

Chase popatrzył w dół. Hadźdzar miał torbę przewieszoną przez ramię.

Moment nieuwagi wystarczył, by Irańczyk wykorzystał swoją szansę. Obolały i wściekły, zgiął lewy nadgarstek i nacisnął spust ingrama. Z lufy pistolem buchnęły płomienie, żar był tak silny, że o mało nie poparzył Chase'owi policzka i szyi, gdy kule śmigły obok. Castille, który biegł, by pomóc kumpłowi, uskoczył i odciągnął Kari na bok.

Hadźdzar wycelował.

Dwie pięści... i głowa...

Chase uderzył Irańczyka bykiem, miażdżąc mu nos.

- Teraz popamiętasz!

Z helikoptera buchało coraz więcej dymu, trzask płomieni słyhać było nawet poprzez wycie silnika. Wciąż trzymając oszołomionego przeciwnika za nadgarstki, Chase postawił go na nogi.

- Hadźdzar! - krzyknął. - Ręce do góry! Poderwał mu ramiona do góry...

Hadźdzar zorientował się, co mu grozi, ale za późno.

Jego dłoń i ingram, który ścisnął, rozprysły się w deszczu krwi i odłamków metalu, gdy Chase wepchnął je w wirujące śmigło. To samo zrobił z drugą ręką Hadźdzara.

Hadźdzar z przerażeniem i niedowierzaniem wpatrywał się w krew sikającą z obu ran. Spojrzał w dół, gdy Anglik obrócił go...

Ciężka pięść Chase'a trafiła prosto w nos Hadźdzara. Ten zatoczył się i wpadł do kokpitu, gdy Chase ściągnął mu torbę z ramienia.

Helikopter zachybotał się i zazgrzytał złowróźnie.

Chase odwrócił się na pięcie i dał nogę, widząc, jak Castille już ucieka w stronę schodów, ciągnąc Kari.

Pierwszy język ognia wyskoczył ze zgniecionego kadłuba i zakrzywił się na pokrywie silnika, gdy helikopter przewrócił się na bok. Resztki śmigła roztrzaskały się o beton, nos maszyny zarył w płytę lądowiska. Z pękniętych zbiorników wylało się paliwo, które zaczęło kapać na silnik.

Hadźdzar wrzasnął, lecz natychmiast zagłuszył go huk eksplozji.

Castille i Kari rzucili się w łukowe drzwi przed schodami. Chase, kilka metrów za nimi, mógł tylko paść na ziemię.

Płonące szczątki maszyny spadały z nieba jak grad, lecz największe odłamki nie doleciały do Chase'a. Co nie znaczyło, że kilka mniejszych strzępów powyginanego i rozgrzanego metalu nie spadło mu na plecy i nogi. Chase wrzasnął z bólu.

- Edwardzie! - krzyknął Castille, podbiegając do niego.

- Cholera! - mruknął Chase, wstając i chwytając się za nogę. - Czuję się, jakby skopał mnie koń!

Nina zbiegła po schodach do Kari.

- Nic ci nie jest?

- Nie, nic! - powiedziała z wdzięcznością. - Co z artefaktem?

- Nic ci nie jest? - spytała Nina w tym samym czasie. Uśmiechnęły się do siebie i podeszły do Chase'a.

- Widzicie? Helikoptery! - powiedział Castille, machając ręką na płonący wrak. - Dwa razy w ciągu pięciu minut jeden z nich o mało nie pozbawił mnie życia! Diabelskie maszyny!

- Hugo? Zamknij się - przerwał mu Chase i pokuśtykał podnieść swojego wildeya.

- Artefakt? - spytała Kari. Wręczył jej torbę.

- Proszę. Mam nadzieję, że jest tego wart.

- Jest - zapewniła, otwierając torbę i ostrożnie wyjmując metalową sztabę. Płomienie, które odbijały się od wypolerowanej powierzchni, nadawały przedmiotowi jeszcze większy blask. - To jest to - powiedziała, przekazując go ostrożnie Ninie. - Drogowskaz, który zaprowadzi nas do Atlantydy.

Nina przyglądała się symbolom wrytym w metalu. Wyglądały znajomo, lecz jednocześnie dziwnie i tajemniczo. Popatrzyła znowu na Kari.

- Nie chciałabym wyjść na pesymistkę, ale zanim ruszymy na poszukiwanie Atlantydy, muszę zauważyć, że wciąż tkwimy w Iranie.

- Ale nie na amen - powiedział Chase. - Widziałem coś, co może nam się przydać.

Pozostali ludzie Hadżdżara albo nie żyli, albo uznali, że przeżycie jest ważniejsze niż lojalność wobec zmarłego pracodawcy, i uciekli. Grupa nie napotkała już żadnego oporu, gdy Chase poprowadził ją na główny dziedziniec.

W północno-wschodnim rogu była szeroka brama. Otworzył ją na oścież.

- Taksówki ze stajni Hadżdżara - oświadczył, szerokim gestem ręki pokazując rzędy drogich aut zaparkowanych w środku. - Nie tak dobre jak w pani kolekcji, szefowo, ale ująd. To, co wybieramy?

- Nie sądzę, żebyśmy zajechali zbyt daleko w ferrari - zauważył Castille, spoglądając na żółte F355 zaparkowane przy bramie - nie po irańskich drogach. Poza tym mogłoby trochę za bardzo rzucać się w oczy.

- Hummer raczej też przyciąga uwagę - dodała Kari, przyglądając się pogardliwie jaskrawozielonemu H3.

- A ty masz jakieś preferencje, doktoroko? - spytał Chase Ninę.

- Proszę, przestań mnie wreszcie tak nazywać. I chcę się tylko jak najszybciej stąd wydostać.

- W takim razie - rzekł, spoglądając z błyskiem w oku na jeden z samochodów - równie dobrze możemy odjechać w dobrym stylu. Może jednak Hadżdżar nie był aż takim burakiem...

Kilka minut później srebrny range rover zjechał krętą dróżką ze wzgórza, a potem z pomrukiem ośmiocylindrowego silnika ruszył w stronę gór.

Iran był już daleko za nią. I Bogu dzięki, pomyślała Nina, spoglądając z hotelowego balkonu na Paryż. Z apartamentu na najwyższym piętrze miała doskonały widok na miasto. Oświetlone sylwetki takich budowli, jak katedra Notre Dame czy wieża Eiffla odcinały się na tle bezchmurnego wieczornego nieba, jakby ustawiono je tam specjalnie dla niej.

Ale zwiedzanie miasta musiało poczekać. Najpierw praca, potem przyjemność. A, niestety, zdawało się, że utknęła w martwym punkcie. Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołała, odwracając się od balkonu. Weszła Kari.

- Jesteś gotowa, Nino? - spytała.

- No, nie wiem... - Nina zerknęła na atlantydzki artefakt otoczony plikami notatek i leżący pod podświetloną lupą. - Zrobiłam, ile mogłam, ale to za mało. Wciąż nie potrafię przetłumaczyć niektórych symboli. Czy twój ojciec na mnie czeka?

Kari kiwnęła głową, a potem się uśmiechnęła.

- Ale nie martw się. Jesteś jedną z niewielu osób, na które jest gotów czekać.

- Cóż, jestem niezwykle zaszczycona, ale to nie znaczy, że mniej się denerwuję.

- Nie ma powodu się denerwować. Już jesteś bliżej znalezienia Atlantydy niż ktokolwiek od czasu samych Atlantydów.

- Tak. I zobacz, przez co przeszłam... przez co wszyscy przeszliśmy! Wciąż wydaje mi się, że cuchną mi włosy. - Czołganie się przez rurę ściekową było tak naprawdę jednym z mniej nieprzyjemnych wspomnień, ale o innych wołała nawet nie myśleć.

Kari powąchała jej włosy.

- Pachną zupełnie normalnie - zapewniła ją. - Chodź, powiedzmy mojemu ojcu, czego się dowiedziałas.

Kari zaprowadziła Ninę do sąsiedniego pokoju, głównego salonu w apartamencie. Chase czekał się przy drzwiach, był bez kurtki, więc kabura z wildeyem od razu rzuciła się w oczy. Castille'a nie było, Nina podejrzewała, że pilnuje korytarza na zewnątrz.

- Cześć, doktorko - przywitał się radośnie Chase. Wskazał głową na supernowoczesny laptop leżący na stole. - Mam nadzieję, że zrobiłaś makijaż, bo wystąpisz przed kamerą.

- Och, będziemy mieli wideokonferencję?

- Ojciec lubi rozmawiać twarzą w twarz, nawet jeśli nie może się z kimś spotkać osobiście - powiedziała Kari. - Chodź, usiądź. Masz na coś ochotę?

- Nie, dziękuję. - Chociaż nie pogardziłaby drinkiem dla kurażu.

Usiadła przed laptopem, a Kari zajęła miejsce obok i nacisnęła klawisz spacji. Ekran obudził się do życia, ukazując Kristiana Frosta w gabinecie.

- Doktor Wilde! Jakże się cieszę, że znowu panią widzę!

- A ja cieszę się, że w ogóle ktoś może mnie widzieć! - powiedziała Nina. - Było trochę... hm, trochę więcej przemocy, niż się spodziewałam.

- Słyszałem. Mieliście jakieś problemy z wydostaniem się z Iranu?

- Nic poważnego - odparła Kari. - Znajomi pana Chase'a pomogli nam wrócić do Esfahanu, a dzięki wpływom fundacji irańskie władze pozwoliły nam opuścić kraj bez zbędnych formalności.

- A Hadżdżar?

- Nie żyje.

Frost pokiwał głową.

- Szkoda tych dziesięciu milionów dolarów, ale cena nie była wygórowana. - Ożywił się.

- A więc, doktor Wilde, proszę opowiedzieć, czego się pani dowiedziała.

Nina odchrząknęła.

- Obawiam się, że to nie jest, niestety, bezpośrednia droga do Atlantydy. Ale z całą pewnością jest to rodzaj mapy. - Podniosła metalową sztabkę, zbliżając ją do kamery laptopa. -

Linia, która biegnie wzdłuż jednego z boków, oznacza rzekę... glozelskie słowo jest tu jednoznaczne. Poza tym są tam inne wskazówki, które potrafię częściowo przetłumaczyć. - Zerknęła do notatek. - „Wyrusz z północnego ujścia” jakiejś tam „rzeki. Siedem, południe, zachód. Idź szlakiem do miasta”... eee, jakiegoś. „Aby tam znaleźć”... Obawiam się, że to wszystko, co na razie mam. Ale myślę, że te znaczki po bokach określają liczbę dopływów rzecznych, które mija się po drodze do celu. Cztery po lewej, siedem po prawej i tak dalej.

Frost był zaintrygowany.

- Rozumiem, że słowa, których nie umie pani przetłumaczyć, nie są glozelskie.

- Nie. Przypominają raczej hieroglify niż litery, pochodzą z innego języka. Najbardziej frustruje mnie to, że wydają się znajome, a mimo to nie potrafię ich zidentyfikować. Możliwe, że są regionalną odmianą...

- Ciekawe. Kari, mogłabyś zrobić zdjęcia tych oznaczeń i przysłać mi je? Chcę im się lepiej przyjrzeć.

- Oczywiście, *Far*. - Kari wzięła od Niny przedmiot i otworzyła odpowiednią aplikację, żeby sfotografować go kamerą w laptopie.

Chase zbliżył się, gdy pracowała.

- To kim są ci Glozelczycy, doktoro? Miałem historię w szkole średniej, ale nigdy o nich nie słyszałem.

Nina parsknęła śmiechem.

- Nic dziwnego, bo nie istnieją. Zrobił zakłopotaną minę.

- Ee?

- Glozelski jest, przynajmniej obecnie, najstarszym znanym językiem pisanym - wyjaśniła. - Jego wpływy odnajdujemy w kilku innych starożytnych językach, między innymi w piśmie kultury Vinca Tordos i w pseudohieroglificznym fenickim piśmie z Byblos. - Chase wciąż miał tę samą minę. - O których pewnie też nie słyszałeś!

- Powiedziałem, że miałem historię, a nie, że zdałem.

- Nazwa pisma glozelskiego pochodzi od miejscowości, gdzie odkryto tabliczki nim zapisane. W Glozel, tu, we Francji.

Kari skończyła robić zdjęcia i odłożyła tabliczkę, zwracając się do Chase'a, gdy wysyłała pliki ojcu.

- Tak zwane tabliczki z Glozel zostały znalezione w małej podziemnej jaskini w 1924 roku przez niejakiego Emile'a Fradina. Ponieważ świadczyły o istnieniu pisma znacznie starszego, niż się ówczesnie uważało, tabliczki uznano za fałszywe. Ale kiedy po pięćdziesięciu latach zbadano je za pomocą nowych technik datowania, okazało się, że naprawdę pochodzą co najmniej sprzed dwunastu tysięcy lat.

Chase zagwizdał.

- Kurka wodna. To naprawdę stare.

- W Europie istniała cywilizacja posługująca się skomplikowanym językiem pisanym na kilka tysięcy lat przed starożytnymi Grekami - powiedziała Nina - i była to cywilizacja o tak szerokim obszarze oddziaływania, że wpłynęła na ukształtowanie się pisma Fenicjan, Greków, Hebrajczyków... nawet Rzymian i Persów.

- I ta cywilizacja... - Chase spojrział na artefakt, złocisty odblask oświetlił mu twarz. - Myślisz, że to była Atlantyda?

- Owszem, Nina tak właśnie myśli - powiedziała Kari. - Ja zresztą też.

- W takim razie... ja również. - Uśmiechnął się do Niny. - To jak się dowiemy, o którą rzekę chodzi?

- Właśnie w tym rzecz - odparła z wahaniem Nina. - Nie wiem. Ten symbol w głównej inskrypcji - wskazała palcem grupę siedmiu kropek - wydaje się jakąś jednostką odległości. Słowa, które po nim następują, znaczą „na południe” i „na zachód”.

Chase przyjrzał się przedmiotowi dokładniej.

- Więc mógłby na przykład znaczyć siedem kilometrów na południowy zachód od czegoś albo siedem kilometrów na południe, a potem tyle samo na zachód...

- Dokładnie. Szkopuł w tym, że nie wiemy ani o jaką jednostkę miary chodzi, ani nawet jaki jest „punkt zerowy”, od którego powinniśmy zacząć.

- Pewnie od Atlantydy. - Nina popatrzyła na niego z podziwem. - No wiesz, czasem zdarza mi się ruszyć głową.

- Doktor Wilde - powiedział Frost przez Internet, skupiając na sobie uwagę wszystkich - Przyjrzałem się tym znakom. Nie spodziewałem się, że mogę wiedzieć więcej niż pani, i miałem rację. Ja też ich nie rozpoznaję. Ale - dodał, widząc ponurą minę Niny - zamówię ekspertyzę u specjalisty od języków starożytnych.

Nina jeszcze bardziej posmutniała.

- Ach, tak. Więc nie będzie mnie pan już potrzebował albo...

- Nie wygłupiaj się, Nino! - roześmiała się Kari. - Jesteś najważniejszą osobą całej naszej misji! Właściwie bez ciebie nie byłoby misji.

- Kari ma rację, doktor Wilde - powiedział Frost pocieszająco. - Jest pani niezastąpiona.

- Naprawdę? - rozpromieniła się Nina. - Jeszcze nikt nigdy tak mnie nie nazwał.

- Założę się o piątaka, że mogę odgadnąć, jak cię nazywano - powiedział Chase, uśmiechając się znacząco.

Kari i Nina zgromiły go wzrokiem.

- Nasz ekspert może rozszyfrować pozostałe znaki, kiedy przybędzie do Paryża - powiedział Frost. - Potem, kiedy dowiemy się już, o jaką rzekę chodzi, możemy przygotować całą ekspedycję.

- Nie byłoby łatwiej po prostu przesłać temu ekspertowi zdjęcia e-mailem? - spytała Nina.

- Po waszych doświadczeniach w Iranie istnienie artefaktu będziemy trzymać w tajemnicy. Im mniej ludzi o nim wie, tym lepiej.

- Słuszna uwaga.

Frost uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie ma powodu do przygnębienia, doktor Wilde. Wykonała pani doskonałą robotę! Myślę, że jesteśmy teraz bliżej odnalezienia Atlantydy niż kiedykolwiek wcześniej. Gratuluję!

Pochwała od razu podniosła ją na duchu.

- Dziękuję!

- Proponuję, żeby zwiedziła pani Paryż. Kari może panią oprowadzić po mieście. Wkrótce znowu porozmawiamy. Do widzenia.

Ekran zgasł.

Kari spojrzała na zegarek.

- Niestety, jest trochę za późno, żeby teraz pokazać ci miasto. Pewnie powinniśmy pójść do łóżka.

- Do łóżka, z wami? Tak jest! - powiedział Chase, ruszając sugestywnie brwiami. Kari znów zgromiła go wzrokiem. - Sorry, szefowo - powiedział bez cienia skruchy.

- Byłaś wcześniej w Paryżu, Nino? - spytała Kari.

- Tak, ale krótko. Byłam tu z rodzicami, przyjechali na konferencję archeologiczną. Poza tym miałam dziewięć lat, więc trudno mi to było docenić.

Kari się uśmiechnęła.

- W takim razie jutro zajmiemy się czymś, co docenisz.

Tym czymś okazało się oglądanie dzieł sztuki, delektowanie się francuską kuchnią... i zakupy.

Poranek spędzili w Luwrze, gdzie Chase towarzyszył Ninie i Kari, podczas gdy Castille pilnował atlantydzkiego artefaktu w hotelu, później zaś przenieśli się do handlowego centrum miasta.

- Ee, raczej nie - powiedziała Nina, przystając przed wejściem do sklepu Christiana Lacroix przy rue du Faubourg St-Honoré. - Moja karta kredytowa samoistnie się spali, jeśli choćby spojrzę na ceny. Bardziej odpowiada mi T.J. Maxx.

- Bogu dzięki - wykrzyknął Chase z kpiarskim uśmiechem. - Nie ma nic nudniejszego niż oglądanie kobiet przymierzających ciuchy. Chyba że przymierzają bikini.

Nina zrobiła naburmuszoną minę, co tylko sprawiło, że uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tym się akurat nie przejmuj - powiedziała Kari. - Odtąd masz nieograniczony kredyt. Fundacja Frosta zapłaci za wszystko, czego potrzebujesz. Albo chcesz.

- Serio? - zdziwiła się Nina. Kari pokiwała głową.

- Oczywiście. No, w granicach rozsądku. Jeśli chcesz kupić lamborghini, to dobrze by było o tym uprzedzić. Ale możesz sobie kupić, co tylko chcesz. Zrób sobie przyjemność.

- Dziękuję - powiedziała Nina, czując się dziwnie nieswojo wobec takiej hojności. Nie była do tego przyzwyczajona. Obiecała sobie, że zachowa umiar bez względu na to, co kupi dla siebie Kari.

Godzinę później o mało nie zemdląła, gdy zdała sobie sprawę, że wydała prawie tysiąc euro. Stanowczo ceny były tu inne niż w T.J. Maxx. A i tak była to zaledwie jedna czwarta całego rachunku, który zapłaciła Kari.

- Lepiej uważaj, doktorko - powiedział Chase. - Jeśli wydawanie tylu pieniędzy wejdzie ci w krew, wpadniesz w tarapaty, kiedy po powrocie do Nowego Jorku roztrwonisz forszę na parę butów zamiast na czynsz! - Oczywiście żartował, lecz Nina zdała sobie sprawę, że ma rację.

- Nie wydaje mi się - odparła Kari. - Kiedy odkryjemy Atlantyde, na pewno nie będziesz musiała się martwić o pieniądze. Zadbamy o ciebie.

- Naprawdę? Dziękuję - powiedziała Nina. Kari uśmiechnęła się do niej.

- Zawsze dbamy o swoich.

Nina chciała zapytać, co właściwie ma na myśli, lecz Kari już przywołała taksówkę.

Następnie wybrali się do restauracji L'Opéra, gdzie roiło się od ludzi, bo zamożni paryżanie jadali o tej porze obiad.

Nina nie sądziła, że są jakieś wolne stoliki, lecz wkrótce przekonała się, że dla córek miliarderów filantropów stoliki bardzo szybko się znajdują.

- Nienawidzę tłumów - westchnęła Kari po tym, jak zwróciła się do maître d' idealną francuszczyzną, stawiając obsługę na baczność. - Zawsze przypominają mi, że Ziemia jest przeludniona. Zasobów, jakimi dysponujemy, nie wystarczy dla siedmiu miliardów ludzi.

Nina pokiwała głową.

- Szkoda, że niewiele możemy na to poradzić.

- Zobaczymy. Fundacja Frosta robi, co może.

Kiedy czekali, aż maître d' wróci, Chase przeczytał menu i się skrzywił.

- Myślę, że daruję sobie posiłek w tej knajpie i potem skoczę na hamburgera.

- Najpierw narzekasz, że *Mona Liza* jest „trochę za mała i za bardzo zabrudzona”, a teraz to? Jesteś takim filistrem, Eddie - powiedziała Nina, rozbawiona. - Ale chyba nie będziesz po prostu siedział na tyłku i upijał się, co?

- Nie, póki jestem w robocie. Poza tym z baru będę miał lepszy widok na wejście do restauracji - odparł Chase. - Łatwiej będzie mi dopilnować, żeby nikt nie popsuł wam obiadu.

- Aa... myślisz, że mogą być kłopoty?

Chase uraczył ją uśmiechem, który był tyleż pocieszający, co złowróżbny.

- Kłopoty będą tylko wtedy, jeśli ktoś sam będzie się o nie prosił. Wy dwie zajadajcie się swoimi frykasami, a ja będę was pilnował. - Kiedy to powiedział, ostatni raz zlustrował wzrokiem pozostałych klientów, ruszył do baru i usiadł na stołku, skąd mógł obserwować restaurację.

Wkrótce kelner zaprowadził Kari i Ninę do świeżo nakrytego stolika. Kiedy usiadła, Nina zerknęła na Chase'a.

- Myślisz, że naprawdę może nam coś grozić? - zaniepokoiła się.

- Zawsze istnieje taka możliwość - odparła Kari. - Qobras i jego ludzie prawie na pewno wiedzą już, że uciekłam z Iranu. Dlatego musimy działać tak szybko, jak to tylko możliwe: im dłużej potrwać poszukiwania, tym większe niebezpieczeństwo, że Qobras nas znajdzie.

- I znowu spróbuje mnie zabić?

- Nie dopuścimy do tego - powiedziała stanowczo Kari. Po chwili jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz. - Do tej pory nie podziękowałam ci, Nino.

- Za co?

- Uratowałaś mi życie! W twierdzy Hadżdżara, kiedy przestrzeliłaś silnik śmigłowca. To było bardzo sprytne i niezwykle odważne.

Nina się zarumieniła.

- Ee... tak naprawdę bałam się, że ten helikopter od razu wybuchnie! Kari znów się roześmiała.

- Tak się dzieje tylko w filmach! Nie, byłaś bardzo odważna i jestem ci ogromnie wdzięczna. - Delikatnie ścisnęła Ninie dłoń. - Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować... czegokolwiek... po prostu zwróć się do mnie.

Nina, trochę tym przytłoczona, nie wiedziała, co powiedzieć.

- Dziękuję - wydusiła w końcu.

Kari trzymała ją za rękę jeszcze przez chwilę.

- Dla ciebie wszystko.

- Więc... ee... Eddie i Hugo też mogą cię o wszystko prosić? - spytała Nina, znów się rumieniąc.

- Niezupełnie. W końcu płacimy im za to, żeby dbali o nasze bezpieczeństwo!

- Z tego, co mówił Eddie, wynika, że nie potrzebujesz niczyjej pomocy. Naprawdę uciekłaś Hadżdżarowi?

- Znowu przy twojej pomocy! Kiedy wyłączyłaś prąd - dodała, widząc dezorientację Niny. - Zrobiło się zamieszanie, a ja je wykorzystałam... przyznaję, że przeszłam kurs samoobrony. Poza tym cieszę się, że wyłączyłaś prąd właśnie wtedy, bo myślę, że Hadżdżar zamierzał przyjąć ofertę Qobrasa i mnie zastrzelić.

- To był Qobras? - Nina przypomniała sobie twarz mężczyzny na ekranie komputera.

- Widziałaś go?

- Tak, w piwnicy było pomieszczenie komputerowe. Widziałam go na monitorze.

Kari spoważniała.

- Więc teraz wiesz, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia. I jak jest bezwzględny. Zaoferował Hadżdżarowi pięć milionów dolarów za zabicie tego Rosjanina, Juriego. To

niezwykle niebezpieczny człowiek, psychopata... i zrobi wszystko, byle nie dopuścić to tego, żebyśmy znaleźli Atlantyde. Teraz już nigdy go nie zlekceważę. Ale na razie jesteśmy bezpieczni. Mamy artefakt i, co ważniejsze, mamy ciebie. Znajdziemy Atlantyde, jestem o tym przekonana. A teraz - spytała - gotowa do złożenia zamówienia?

Kiedy późnym popołudniem wrócili do hotelu, Nina była wykończona. Na ile zmęczenie było skutkiem wędrówek po Paryżu, a na ile stanowiło opóźnioną reakcję na przeżycia w Iranie, nie była pewna. Wiedziała tylko, że zanim zjawi się zamówiony przez Frosta specjalista od języków starożytnych, musiała uciąć sobie drzemkę.

Ale nawet gdy leżała na ogromnym, wygodnym łóżku, czuła pewien niepokój. Nie mogła uwolnić się od myśli o tym, co przytrafiło się jej, odkąd odebrała telefon od Starkmana. Jej życie w Nowym Jorku zdawało się niemal jak z innego świata.

I nawet na wpeł pogrążona we śnie nie mogła zapomnieć o tajemniczym artefakcie, jej umysł wciąż próbował rozszyfrować zagadkę. W przedmiocie było coś szczególnego... To dziwne wspomnienie, które wróciło do niej, gdy w Iranie dotknęła artefaktu.

Coś znajomego.

Coś bardzo bliskiego.

Nina obudziła się gwałtownie, w pełni przytomna i ze świadomością, że wie, co to takiego. Leżała skulona, z podkurczonymi kolanami i z dłonią przy szyi.

I trzymała w palcach wisiołek.

To było to!

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do biurka. Wyjęła artefakt spod szkła powiększającego, a drugą ręką pośpiesznie zdjęła przez głowę naszyjnik. Przystawiła jeden przedmiot do drugiego.

Właśnie to był ten związek! Przez cały czas miała brakujący element układanki, ale nie zdawała sobie z tego sprawy.

Zadzwoił telefon i Nina drgnęła. Wciąż ściskając oba kawałki metalu, niezdarnie podniosła słuchawkę.

- Tak! Halo?

- Nina? - Dzwoniła Kari. - Wszystko w porządku?

- Tak, tak, super! Właśnie się obudziłam. - Miała zamiar powiedzieć Kari, co przed chwilą odkryła, lecz tamta odezwała się pierwsza.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że nasz ekspert przyjechał, więc jak będziesz gotowa, przynieś artefakt do salonu, dobrze?

Nina zerknęła w lustro. Włosy miała w nieładzie, z boku sterczał jej kogut.

- Ee... możesz mi dać pięć minut?

- To było siedem minut - szepnął Chase, gdy Nina weszła do salonu.

- Och, zamknij się - wyszczała, rozglądając się po pokoju.

Kari siedziała w fotelu, Castille opierał się o drzwi i jadł pomarańczę, zaś na kanapie popijał kawę nie kto inny jak...

- Witaj, Nino - powiedział Philby, wstając.

- A ty co tutaj robisz, Jonathanie? - wypaliła Nina, łudząc się, że to tylko kiepski żart. Ze wszystkich ludzi na świecie, do których można się było zwrócić w sprawie analizy inskrypcji na artefakcie, Kristian Frost poprosił akurat profesora Jonathana Philby'ego?

- Myślę, że powód mojej wizyty trzymasz w ręce - odparł Philby, spoglądając na przedmiot zawinięty w aksamit. - Wczoraj rano odebrałem telefon od samego Kristiana Frosta, który powiedział, że przyczyniłaś się do znalezienia nadzwyczaj interesującego przedmiotu, ale masz kłopoty z odczytaniem inskrypcji na nim. Zapytał, czy byłbym skłonny ci pomóc. Sprawa

okazała się dosyć pilna, ale... - Popatrzył na Kari. - Pani ojciec ma dar składania ofert, których niepodobna nie przyjąć!

- Łeb zdechłego konia w łóżku? - spytał Chase. Philby spojrział na niego zdezorientowany.

- Nie, raczej hojny datek na rzecz uniwersytetu. Oraz, cóż... przelot prywatnym odrzutowcem! Nigdy wcześniej nie miałem tej niewątpliwej przyjemności.

- No więc, Jonathanie - powiedziała Nina, patrząc na niego z ukosa - odkąd to stałeś się największym na świecie specjalistą od języków starożytnych?

- Doprawdy, Nino - odparł Philby - nie chciałbym się przechwalać, ale miałem nadzieję, że czytałaś moje ostatnie publikacje w „International Journal of Archeology”. Myślę, że jestem jednym z pięciu największych autorytetów od tych zagadnień na świecie, a z pewnością na Zachodzie. Choć oczywiście profesor Ribbsley z Cambridge miałby inne zdanie! - Zaśmiał się z własnego dowcipu, lecz umilkł, gdy zdał sobie sprawę, że w pokoju nie ma studentów pierwszego roku, w związku z czym nikt się nie śmieje. - To co - powiedział - obejrzymy to znalezisko?

Nina ostrożnie położyła artefakt na stole, podczas gdy Kari ustawiła lampkę, żeby go lepiej oświetlić. Philby otworzył szeroko oczy.

- O mój... to... zupełnie nadzwyczajne. - Podniósł wzrok na Kari. - Mogę go potrzymać?

- Ależ proszę.

Philby podniósł artefakt, ważąc go w dłoniach.

- Ciężki, ale to nie czyste złoto, barwa się nie zgadza... stop złota i brązu... nie, raczej złota i miedzi?

- Słowem, którego szukasz - powiedziała Nina z naciskiem - jest *orichalcum*.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Czy wykonano już analizę metalurgiczną?

- Nie całego przedmiotu - odrzekła Kari - ale jeden kawałeczek został zbadany, owszem.

- I?

- I sądzę, że doktor Wilde ma rację. Nina kiwnęła triumfalnie głową

- Rozumiem. - Philby wyraźnie miał do powiedzenia więcej, ale zachował to dla siebie.

Odwrócił artefakt na drugą stronę. - Mały kulisty guzek na spodzie, a na górnej powierzchni... aha! - Uśmiechnął się do Niny zrozumiałe. - Nino, jestem zawiedziony! Na pewno umiesz przetłumaczyć coś takiego!

- I przetłumaczyłam, w większości - warknęła. - To mapa, wskazówki, jak dotrzeć do jakiegoś miasta drogą rzeczną. Nie umiałam tylko zidentyfikować tych innych znaków, ale z pewnością nie należą do pisma glozelskiego.

- Oczywiście, że nie - powiedział Philby. - Ale doprawdy! Jak mogłaś nie poznać olmeckiego?

Przyjrzała się symbolom dokładniej.

- Co? To nie jest olmecki.

- Oczywiście nie klasyczny olmecki, ale podobieństwa są niewątpliwe. Nie widzisz? - Wskazał kilka symboli. - Niektóre znaki zostały odwrócone do góry nogami albo przestylizowane, ale z pewnością...

- O Boże! - wykrzyknęła Nina. - Jak mogłam tego nie zauważyć? Kari spojrziała na artefakt.

- Więc to pismo olmeckie?

- Tak! To znaczy, jak powiedział profesor Philby, znaki nie mają formy klasycznej, ale stanowczo dają się zakwalifikować jako odmiana olmeckiego. Starsza? - Popatrzyła na Philby'ego, oczekując potwierdzenia.

Pokiwał głową.

- Prawie na pewno. Są bardziej toporne i w paru miejscach widać wpływ glozelskiego. Bardzo dziwne. - Odchylił się do tyłu. - Wpływy alfabetu glozelskiego na hieroglify preolmeckie? To powinno wywołać spore zamieszanie...

- Co lub kto to są ci Olmekowie? - spytał Chase.

- Wczesna cywilizacja południowoamerykańska - wyjaśniła mu Nina. - Szczyt ich potęgi przypada na XII wiek przed naszą erą, zdominowali przede wszystkim południowe wybrzeże Zatoki Meksykańskiej, ale ich wpływy sięgały dużo dalej w głąb lądu.

Chase wzruszył ramionami.

- Aa, ci Olmekowie.

- Profesorze - powiedziała Kari - co mówi reszta inskrypcji? Przypuszczam, że umie pan przetłumaczyć olmeckie symbole.

- Na pewno mogę spróbować. Możliwe, że przekład nie będzie całkowicie wierny. Jak zaznaczyłem, znaki nie występują w tradycyjnym kształcie, ale... Cóż, zobaczymy, dobrze? - Poprawił okulary na nosie i pochylił się do przodu.

Nina zrobiła to samo, zapuszczając żurawia z drugiego końca stołu. Teraz, gdy wiedziała, na co patrzy, było jej szczerze wstyd, że sama na to nie wpadła.

- Pierwszy symbol... może oznaczać... aligatora?

- Aligator albo krokodyl - podchwycił Philby.

- Rzeka aligatorów? - ożywił się Castille. - Widzieliśmy z Edwardem kilka miejsc, które mogłyby się tak nazywać. Na przykład raz w Sierra Leone...

- Następne słowo jest złożeniem dwóch symboli - powiedział Philby, puszczając uwagę Castille'a mimo uszu. - Boga... i wody?

- Albo oceanu - podsunęła Nina. - Zaraz! Bóg oceanów! Posejdon! - Ona i Kari wypowiedziały to imię równocześnie.

- Wyrusz z północnego ujścia rzeki krokodyli - ciągnął dalej Philby.

- Siedem, południe, zachód. Prawdopodobnie to lokalizacja tej rzeki - powiedziała Nina.

- Podążaj nią aż do miasta Posejdona. Aby tam znaleźć... co znaleźć? - Usiłowała odczytać pozostałe symbole. - Cholera. Za słabo znam olmecki.

- Niech spojrzę... - powiedział Philby, przesuwając koniuszek palca nad inskrypcją. - Pierwszy symbol wygląda jak ideogram domu, ale z tymi dodatkowymi znaczkami. Prawie jakby „potomek”... nie, „następca”, ale to raczej nie pasuje.

- Owszem, pasuje - uświadomiła sobie Nina. - Dom następcy, czyli nowy dom. Więc mamy tam znaleźć nowy dom... ten symbol.

- Hm. - Philby pochylił się tak nisko, że metalowa powierzchnia zamgliała się od jego oddechu. - Tego w ogóle nie rozpoznaję. Może oznacza imię albo nazwę plemienia...

- Atlantydzi. - Wszyscy odwrócili się do Kari. - Nowy dom Atlantydwów. Tak tam jest napisane.

Philby wyduł wargi.

- Cóż, panno Frost, to byłoby myślenie życzeniowe. Istnieje wiele innych możliwości, a najważniejszą da szczegółowa analiza starożytnych napisów z regionu.

- Nie - powiedziała Nina, biorąc do ręki metalowy przedmiot. - Kari ma rację. Musi chodzić o Atlantydo w, to nie może być nic innego. Po zatopieniu Atlantydy jej mieszkańcy wybudowali dla siebie nowy dom gdzieś w Ameryce Południowej, a ta inskrypcja zawiera wskazówki, jak tam dotrzeć. Musimy tylko zidentyfikować rzekę, o którą chodzi. Jeśli uda nam się stwierdzić, co oznaczają te liczby...

- Albo możemy po prostu zabawić się w zgaduj-zgadulę - wtrącił się Chase i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Serio, doktorco! Południowa Ameryka! Duża rzeka pełna krokodyli! Jakie jest twoje pierwsze skojarzenie?

- Amazonka? - odparła, nie do końca pewna, czy Chase nie wpuszcza jej w maliny.

- Brawo! Patrzcie, ile jest nacięć po prawej i po lewej na tej waszej mapce, a przy każdym nacięciu jest jakiś numererek. Jeśli właśnie tyle dopływów trzeba minąć po drodze, to musi to być cholernie duża rzeka. A jeśli gdzieś na świecie kryje się zaginione miasto, to tylko w puszczy amazońskiej. Gdyby znajdowało się gdziekolwiek indziej, już by je odkryto. - Obejrzał się przez ramię, zerkając do pokoju Niny. - Masz tam atlas, prawda? Poczekajcie momencik.

Chase wybiegł i po chwili wrócił z dużym atlasem.

- Proszę. To północne ujście w Bailique, a jeśli ruszymy w górę rzeki, miniemy cztery dopływy z lewej strony i siedem z prawej... - Pracowicie porównał bieg rzeki ze schematem wrytym na sztobie *oń-chalcum*. - Osiem po lewej i docieramy do pierwszego dużego rozwidlenia na wysokości Santarem. - Nacięcia pod jego palcem były głębsze niż pozostałe.

- Gdzie mamy skręcić w prawo - powiedziała Nina.

- Więc jak na razie się zgadza.

Porównali dalsze wskazówki z mapą, aż wreszcie zboczyli z samej Amazonki w jeden z jej dopływów ponad tysiąc pięćset kilometrów w głąb lądu. Cienka niebieska linia na stronie atlasu ciągnęła się jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód, a potem się kończyła. Na artefakcie pozostało jeszcze kilka dopływów do pokonania.

- Potrzebujemy lepszej mapy - powiedziała Kari. - I zdjęć satelitarnych.

- Ale przynajmniej wiemy, gdzie mniej więcej szukać - zauważyła z entuzjazmem Nina.

- Gdzieś wzdłuż rzeki Tefe. W samym środku puszczy.

- Cywilizacja preolmecka tak daleko w głębi lądu? - zdumiał się Philby. - To nie pasuje do żadnej z przyjmowanych obecnie hipotez o jej genezie i migracji ludności.

- Atlantyda też nie, ale na razie wszystko się zgadza - zauważyła z lekkim sarkazmem Nina.

Philby prychnął.

- A jak właściwie Atlantydzi mieliby przepłynąć z Zatoki Kadyksu, według twojej teorii, aż na drugi koniec Atlantydy? Nawet jeśli uznamy, że Lud Morza ze starożytnych legend to w istocie mieszkańcy Atlantydy, to kilkusetmilowy rejs tryremą jest zupełnie czymś innym niż przepłynięcie kilku tysięcy mil. Zwłaszcza bez przyrządów nawigacyjnych!

- Właściwie - powiedziała Nina - mieli przyrządy nawigacyjne.

- Jak to? - zdziwiła się Kari.

- Zdałam sobie z tego doskonale sprawę tuż przed twoim telefonem. - Nina podniosła artefakt. - Coś w nim wydawało mi się znajome, ale aż do dzisiaj nie wiedziałam co. Spójrzcie. - Uniosła sztabę, trzymając ją za kulisty guzek, tak że zawisła jej w palcach niczym wahadło. - Ten kawałek powinien wisieć w taki sposób. A wtedy... - Przyłożyła swój naszyjnik do zakrzywionej końcówki sztaby. - Pasują do siebie jak ulał. Na moim naszyjniku jest zaznaczonych kilka liczb, a jeśli wyobrazimy sobie, że łuk z pomiarką był dłuższy... Cóż, z jakimś urządzeniem optycznym, na przykład lusterkiem, które można by wkładać w to nacięcie, otrzymamy instrument, za pomocą którego możliwy jest pomiar kąta wzniesienia określonego obiektu w stosunku do horyzontu!

- Takiego obiektu jak gwiazda? - spytała Kari, dając się ponieść entuzjazmowi Niny. - Albo słońce?

- Właśnie! To sekstans! Dziesięć tysięcy lat przed naszą erą mieszkańcy Atlantydy dysponowali instrumentem nawigacyjnym, który wynaleziono ponownie dopiero w XVI wieku!

- Wyobraźcie sobie przewagę militarną, jaką musiało im to dawać nad innymi narodami tamtych czasów... - zamyśliła się Kari.

Chase wyglądał na sceptycznego.

- To tak, jakby mieli GPS.

- Nie, ponieważ aby wyznaczyć długość geograficzną potrzeba bardzo dokładnego chronometru, a trudno zakładać, że Atlantydzini mieli aż takie osiągnięcia techniki - powiedziała Nina. - Ale sekstans pozwala na dość dokładne wyliczenie szerokości geograficznej, a więc tego, jak daleko na północ lub południe się znajdujesz. Wystarczy, że przy obliczeniach weźmiesz pod uwagę zmianę pozycji ciała niebieskiego ze względu na porę roku. A tę wiedzę posiadała każda cywilizacja starożytna z rozwiniętą astronomią. - Podniosła oba kawałki *orichalcum*, udając, że mierzy swoją pozycję w stosunku do czoła Chase'a, poruszając swoim naszyjnikiem, jakby był częścią dłuższego łuku. - Bez takiego urządzenia jedynym sposobem nawigacji na morzu byłoby albo płynięcie wzdłuż linii brzegowej i wypatrywanie charakterystycznych punktów orientacyjnych, albo płynięcie prosto przed siebie w określonym kierunku z nadzieją, że statek nie zbczy z kursu.

- Ale umiejętność obliczenia szerokości geograficznej umożliwia dłuższe rejsy - dodała Kari.

- Tak. Właściwie... - Nina znowu pokazała Chase'owi znaczki na sztabie. - Ta liczba tutaj, siedem, potem południe i zachód: siedem może oznaczać szerokość geograficzną w systemie, którym posługiwali się Atlantydzini, a wskazówki... - Myśl, która nie dawała jej spokoju, wreszcie się skryształizowała. - Mówią jak dotrzeć do rzeki na mapie z Atlantydy! Trzeba popłynąć na południe do punktu, który w ich systemie nazywał się siódmym stopniem szerokości geograficznej południowej, a potem trzeba skręcić na zachód. Póki będziemy na tej samej szerokości geograficznej, wystarczy płynąć cały czas na zachód i wreszcie dotrzemy na miejsce. A skoro wiemy, gdzie znajdował się ich siódmy stopień szerokości geograficznej, to...

Kari dokończyła za nią:

- To znaczy, że jeśli uda nam się precyzyjnie określić, ile jest stopni w atlantydzkiej jednostce szerokości geograficznej, to możemy poprzez analizę wsteczną wyznaczyć dokładną lokalizację samej Atlantydy!

- Dobrze, - powiedział Chase - więc żeby znaleźć Atlantydę, musimy tylko zorganizować ekspedycję w sam środek puszczy amazońskiej, odszukać zaginione miasto i zobaczyć, czy nie walają się tam wciąż jakieś stare mapy?

Nina pokiwała głową.

- Mniej więcej.

- Okej, nie ma sprawy, wchodzę w to - oświadczył, żartobliwie wzduszając ramionami, jakby nigdy nic.

Philby wstał.

- Panno Frost?

- Tak?

- Możliwe, że to zupełnie niewłaściwe z mojej strony, ale... czy jeśli wstępne rozpoznanie wykaże, że gdzieś w pobliżu Tefe rzeczywiście może się znajdować zaginione miasto, mógłbym wziąć udział w waszej wyprawie?

- Czekaj, Jonathanie, chyba czegoś tu nie rozumiem - powiedziała Nina triumfująco. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że od początku miałam rację i że Atlantyda rzeczywiście istniała?

- Właściwie - chrząknął Philby - myślałem raczej o wadze odkrycia śladów cywilizacji preolmeckiej i o szansie zbadania jej języka przed innymi uczonymi. Byłoby to niewiarygodne znalezisko. Wszelkie związki z Atlantydą byłyby... cóż, rodzajem premii.

Kari była trochę zaskoczona prośbą Philby'ego.

- Skonsultuję się z ojcem, profesorze, ale... Czy na pewno byłoby to dobre rozwiązanie? Wybieramy się w głąb dżungli... a co z pańskimi obowiązkami na uniwersytecie?

- Myślę, że mogę sobie załatwić urlop... w końcu jestem dziekanem wydziału! - roześmiał się Philby. - Poza tym, jeśli doktor Wilde może bez przygotowania wybrać się na ekspedycję na drugi koniec świata... - Spojrzał na Ninę znacząco. - Ułynęło ładnych parę lat od moich ostatnich prac w terenie, ale bywałem już w gorszych miejscach niż dżungla, proszę mi wierzyć.

- Więc tak jak powiedziałam, skonsultuję się z ojcem. Ale na razie... - Uścisnęli sobie ręce. - Witam na pokładzie, profesorze.

- Dziękuję - odparł Philby.

Nina założyła wisior na szyję i położyła artefakt na mapie Brazylii. Spojrzała na nieprzeniknioną zieleń otaczającą rzekę Tefe, usiłując sobie wyobrazić, co tam znajdzie.

- Więc - wyszeptła - tam się zaszyliście...

11

Brazylia

Welcome to the jungle!, Witajcie w dżungli - zaśpiewał Chase, wychodząc z samolotu.

Chociaż Nina zwiedziła prawie cały świat, przyjazd w tropiki zawsze był dla niej wstrząsem. Nie przeszkadzał jej gorący klimat, ale znacznie łatwiej przystosowywała się do upałów na pustyni niż do parnej dżungli.

A trudno było wylądować bliżej serca tropikalnych lasów. Tefe znajdowała się w środku doliny Amazonki, temperatura sięgała trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, a wilgotność sprawiała, że ubranie lepiło się do ciała.

Lecz oni wybierali się jeszcze głębiej w puszcę. Przegląd map, zdjęć satelitarnych i samolotowych regionu pozwolił zawęzić krąg poszukiwań zaginionego miasta do obszaru o promieniu dziesięciu kilometrów położonego o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów w górę rzeki od Tefe. Najbliższa osada ludzka znajdowała się ponad pięćdziesiąt kilometrów od obszaru poszukiwań, a i ona była tylko małą wioską. Nina oglądała zdjęcia lotnicze, ale było na nich widać jedynie nieprzenikniony dywan zieleni, poprzecinany gdzieniegdzie wijącymi się wstęgami rzek.

Właśnie gęsty las tropikalny podsygnalizował wybór środków lokomocji. Helikopterem można było dolecieć z Tefé do obszaru poszukiwań w niespełna dziewięćdziesiąt minut - a Kristian Frost rzeczywiście kazał trzymać śmigłowiec w pogotowiu, na wypadek gdyby konieczna była szybka ewakuacja - ale nie można było nim nigdzie wylądować. Ludzi i sprzęt trzeba by było spuścić do dżungli na linach, a Chase, nadzorujący operację od strony logistycznej, uznał, że to zbyt ryzykowne... ku znacznej uldze Castille'a.

Zamiast tego mieli popłynąć w górę rzeki łodzią.

Ale, pomyślała Nina, była to cholernie imponująca łódź.

Ekspedycja miała właściwie skorzystać w podróży z dwóch łodzi, lecz „Nereida” była bez wątpienia ważniejsza. Elegancki jacht motorowy Sunseeker Predator 108 był pomalowany w dwa odcienie szarości: ciemnografitowy i srebrzysty, a na kadłubie widniało logo firmy Frosta. Nina ze zdumieniem przyjęła wiadomość, że w ciągu trzech dni intensywnych przygotowań do wyprawy jacht przyleciał do Brazylii z Europy na pokładzie ogromnego samolotu transportowego Antonów aż do miasta Manaus, a potem przepłynął pięćset kilometrów w górę rzeki, aby czekać na swoich pasażerów w Tefé. Środki, jakie Kristian Frost był gotów przeznaczyć na poszukiwania Atlantydy, przyprowadziły Ninę o zawrót głowy.

Mimo swoich rozmiarów - od czubka dzioba do rufy „Nereida” miała ponad trzydzieści metrów długości - zgodnie z planem jacht powinien szybko dowieźć członków ekspedycji do

celu. Płytkie zanurzenie oraz silniki sterujące na dziobie i burtach sprawiały, że „Nereida” mogła żeglować po większych szlakach wodnych stosunkowo swobodnie.

A na odcinkach rzeki, gdzie „Nereida” nie mogłaby dalej płynąć, mieli się przesiąść do wiszącego na żurawiu na rufie pontonu Zodiac.

„Nereida” dowodził brodaty i baryłkowaty kapitan Augustine Perez. „Pierwszym oficerem” - tytuł był używany żartobliwie - był Julio Tanega, który uśmiechał się często i szeroko, ukazując niejedną, lecz aż dwa złote zęby.

Ekspedycji potrzebny był duży statek, bo liczyła teraz więcej osób. Oprócz Philby’ego dołączyły dwie osoby: Agnaldo di Salvo, barczysty, mocno zbudowany Brazylijczyk, którego Kari przedstawiła jako ich przewodnika. Di Salvo, gdy Nina sama go o to zapytała, nazwał się „tropicielem Indian”. Nie miała śmiałości dopytywać się o różnice między jednym a drugim. Ku jej zaskoczeniu, Chase i Castille dobrze go znali.

Towarzyszem di Salvy był wysoki i chudy jak tyczka magistrant z San Francisco, Hamilton Pendry. Był ekologiem badającym skutki eksploatacji lasów deszczowych dla tubylczej ludności, a także bratankiem kongresmana z Partii Demokratycznej, który skłonił władze Brazylii do pozwolenia mu na towarzyszenie jednemu z brazylijskich ekspertów w wyprawie do dżungli. Di Salvo, jak się zdawało, wyciągnął pechowy los. Ponieważ Frostom zależało, by to właśnie di Salvo dołączył do wyprawy, zostali skazani także na obecność Hamiltona, chociaż nie wyjawiono mu dokładnego celu misji. Długowłose młodzieniec wydawał się być autentycznie oddany ratowaniu Indian i ich środowiska naturalnego. Tylko, na Boga! Żeby choć na pięć minut przestał o tym trajkotać!

Chase miał nadzieję, że dołączy do nich jeszcze jedna osoba, lecz gdy Nina ją zobaczyła, wiedziała, że nie popłynie z nimi. Przyjaciółka Chase’a, Maria Chascarillo, która spotkała się z nimi w porcie, okazała się równie piękna jak Szala... i też była w zaawansowanej ciąży.

- Przysięgam, że to tylko zbieg okoliczności! - zapewnił Chase rozbawioną Ninę i Castille’a, gdy wziął Marię w objęcia.

- Jasne, wierzymy ci - powiedziała Nina. - Prawda, Hugonie?

- Och, oczywiście - odparł Castille, przeżuwając banana.

Choć Chase był zawiedziony, że Maria nie dołączy do ekspedycji, to na pewno nie dało się tego o nim powiedzieć, gdy otworzył jedną ze skrzyń, które przywiozła. Nina nie widziała zawartości, ale mogła ją z łatwością odgadnąć.

- Karabiny? - spytała, gdy Maria pożegnała się.

- I inne zabaweczki - odrzekł radośnie. - W Iranie daliśmy się zaskoczyć: nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Poza tym z tego, co Agnaldo mówił o tubylcach, wynika, że możemy potrzebować czegoś, co ich odstraszy.

- A co właściwie o nich mówił?

- Cóż, nigdy nie zetknął się z nimi osobiście, słyszał tylko rozmaite opowieści. Ponieważ ci, którzy się z nimi zetknęli... nie wracają do domu żywi.

- Co? - Nina pokręciła głową. - Nie, nie. To mi brzmi jak bujdy w stylu Indiany Jonesa. Te całe straszne opowieści o „nieznanych plemionach w dżungli” już nie działają. Żyjemy w XXI wieku.

- Pani może w nim żyje - powiedział di Salvo za jej plecami. Zmaterializował się tak nagle, że drgnęła z zaskoczenia. Jak na tak potężnego mężczyznę posiadał zupełnie nieprawdopodobną umiejętność poruszania się bezszelestnie. - Ale te plemiona nie. Myśli pani, że to tylko bujdy, ale co roku dziesiątki ludzi: drwali, myśliwych, nawet turystów... giną w dżungli z rąk indiańskich plemion. - Zmrużył oczy i zlustrował wybrzeże wzrokiem. Ludzie przyglądali się im podejrzliwie. Nic dziwnego, pomyślała Nina: w porównaniu ze starymi

stateczkami, które stały w porcie, lśniące, futurystyczna bryła „Nereidy” wyglądała niemal jak UFO. - Ci ludzie nienawidzą Indian, ponieważ ziemie plemion są chronione przez prawo: więc jeśli odnajdzie się nowe plemię, oni mogą z dnia na dzień stracić środki do życia. A sytuacji nie poprawia bynajmniej fama, że Indianie zabijają każdego bez zmiłowania. W związku z tym mnie też nienawidzą, bo moja praca polega na odnajdywaniu plemion Indian.

- To niezwykle oburzające! - wykrzyknął piskliwie Hamilton. Jego Nina słyszała już z daleka: kłapał sandałami o pokład. - Nie powinno się czekać na potwierdzenie istnienia plemienia indiańskiego, by objąć teren ochroną. Cały ten region powinien być pod ochroną! Wycinka drzew, kopalnie, rancza, wszystko to prowadzi do niszczenia lasów deszczowych! Ludzie wypalają tysiące hektarów lasu każdego dnia, aby zrobić miejsce na pastwiska dla bydła! To tak, jakby człowiek wycinał sobie płuca, żeby sprzedać je za parę dolców, za które można kupić hamburgera!

Chase posłał Ninie uśmiech, po czym odwrócił się i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Tak, to palenie drzew jest okropne. Co za strata.

- Właśnie! - Hamilton zamachał rękami, wprawiając w ruch plecione bransoletki. - To po prostu... niewiarygodne!

- No - podjął Chase - z jednego tylko drzewa mahoniowego można zrobić kilkanaście desek klozetowych. Mam taką jedną w domciu. Siedziałeś kiedyś na kiblu z mahoniową deską? To absolutnie najwygodniejsze drewno, żeby posadzić dupę i poczytać gazetkę. Milutkie i ciepłutkie.

Hamilton wlepił w niego wzrok i rozdziawił usta.

- To... to oburzające! - wydukał. - Właśnie ten rodzaj znieczulicy przedstawicieli kultury dominującej jest... jest... jest... - zamilkł i zgromił Chase'a wzrokiem, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nina, która zwykle brała stronę ekologów, nie mogła powstrzymać uśmiechu rozbawienia, natomiast di Salvo ryknął tubalnym śmiechem.

- Eddie - powiedział - w ciągu pięciu minut udało ci się to, czego mnie nie udało się dokonać przez pięć dni: zamknąłeś chłopakowi usta! Jesteś naprawdę wszechstronnie utalentowany!

- No cóż... to prawda. - Chase nieskromnym gestem poprawił sobie kłapy marynarki.

- To było okrutne - zganiła go Nina, wciąż się uśmiechając.

- Daj spokój! Równie dobrze mógłby nosić na piersi wielką tarczę i napis: „Proszę, zrób ze mnie wała”.

Kari wyłoniła się z głównej kabiny i wyszła na rufę.

- Wszystko gotowe? - zapytała. - Kapitan Perez chce wiedzieć, kiedy wypływamy.

- Cały nasz sprzęt jest już na pokładzie - odpowiedział Chase. - Musimy jeszcze tylko wtaszczyć Ninie kufer wypełniony nowymi ciuchami z Paryża.

- To tylko walizka, która zresztą jest już w mojej kajucie - powiedziała Nina, wydymając wargi.

Kari spojrzała na nabrzeże, upewniając się, że wszystko zostało załadowane.

- Skoro jesteśmy gotowi, to nie ma powodu zwlekać. Im szybciej wyruszymy, tym szybciej będziemy na miejscu. Powiem Juliowi, żeby nas odcumował.

Ruszyła z powrotem do kabiny.

- Wyprawa w górę Amazonki - powiedział Chase, obchodząc łódź i spoglądając na szeroką rzekę. - Dawno tego nie robiłem.

- No, właściwie to w górę rzeki Tefé - poprawiła go Nina. Miasto Tefé zostało zbudowane na brzegu rzeki, od której wzięło nazwę, tuż zanim ta wpływała do Amazonki, przy wschodnim krańcu dużego jeziora, które miało ponad pięćdziesiąt metrów długości.

- Dobra, doktor Mądralińska. Wszystko jedno, bylebym nie musiał znowu szarpać się z cholernymi krokodylami. - Podniósł jedną ze skrzyń i zszedł pod pokład.

Nina zachichotała.

- Tak, jasne. Szarpałeś się z krokodylami? Tere-fere.

- Masz rację - powiedział Castille, który wziął drugą skrzynię i ruszył za Chase'em. - To były kajmany.

- Kajmany? - powiedziała. - Ale to przecież to samo... Hej, zaraz! - Pobiegnęła za Chase'em. "Nereida" rozgrzała silniki, dopłynęła do południowo-zachodniego brzegu jeziora w niecałą godzinę, a potem zwolniła do prędkości bardziej odpowiedniej do rejsu rzeką. Dalej Tefe wiła się, nigdy nie płynęła prosto dłużej niż przez kilkaset metrów. Miejscami była szeroka na ponad dwieście metrów, podczas gdy gdzie indziej zwężała się do pięćdziesięciu. Smukłej „Nereidzie”, która miała tylko sześć metrów szerokości, nie groziło utknięcie na mieliźnie, lecz drzewa rosnące na brzegach były czasami tak duże i rozłożyste, że ich korony tworzyły prawie tunel listowia.

Zapał zmierzch i Nina wyszła na dziób, by popatrzeć na zachód słońca. W strefie równikowej dzień zmieniał się w noc ze zdumiewającą szybkością. Zastała tam już Kari, która opierała się o reling.

- Cześć.

- Cześć! - powiedziała Kari uradowana. - Gdzie się podziewałaś? Od wypłynięcia prawie cię nie widziałam.

- Znów przeglądałam zdjęcia satelitarne.

- Znalazłaś coś?

Nina pokręciła głową siadając na jednym z foteli przymocowanych do pokładu.

- Jeśli coś tam jest, to dobrze ukryte pod koronami drzew. Potrzebowalibyśmy radaru, żeby coś zobaczyć. Nie sądzę, żeby twój tata mógł nam tu taki postawić?

- Właściwie to zasugerował coś takiego. Ale czas, jakiego potrzebowałby satelita, żeby zająć odpowiednią pozycję na orbicie, okazałby się dłuższy niż nasza podróż, więc... - Usiadła obok Niny i skinęła na dżunglę. - Widziałaś? Czy naprawdę się przyjrzałaś? To zupełnie niezwykle. Taka różnorodność, tyle unikatowych form życia. A ludzie chcą wykarzcować to wszystko i zagarnąć ziemię dla siebie.

- Wiem. Hamilton jest może wkurzający, ale ma rację. - Nina odchyliła się, spoglądając w górę na rozgwieżdżone niebo. - Zastanawiałam się nad tym, co powiedziałaś w Paryżu, o tym, że na świecie jest zbyt wielu ludzi. To prawda. I wszyscy oni walczą o te same zasoby, wierząc, że akurat oni mają do nich większe prawo niż inni. - Westchnęła. - Szkoda, że nie możemy na to nic poradzić.

Kari uśmiechnęła się nieznacznie.

- Kto wie? Może w przyszłości uda nam się zmienić świat na lepsze.

- No, nie wiem. Biorąc pod uwagę naturę ludzką, trudno to sobie wyobrazić. Poza tym nie sądzę, żebym była akurat typem wielkiej reformatorki i aktywistki.

- Jeszcze nią będziesz - zapewniła Kari, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Kiedy odkryjesz Atlantyde - wyjaśniła, widząc dezorientację Niny. - Mało kto ma szansę tak znacząco zmienić naszą wizję historii.

- Ale to nie tylko ja! Twój udział jest równie ważny. Nawet ważniejszy. Bez ciebie nawet by mnie tu nie było. To ty i twój ojciec umożliwiliście tę wyprawę.

Kari pokręciła głową.

- Nie, nie. Pieniądze są bezwartościowe, jeśli nie realizuje się za nie jakiegoś celu. Ojciec i ja po prostu wierzymy w cele, które staramy się osiągnąć dzięki naszym funduszom. I

ty tak samo. Myślę... - Umilkła na moment, zastanawiając się nad czymś. - Myślę, że jesteśmy bardzo podobni.

- Cóż, jeśli nie liczyć tych miliardów dolarów...

- No nie wiem... myślę, że odkrycie Atlantydy będzie mnóstwo warte!

Głęboki warkot silników zmienił się w ciche mruczenie. Płynąca w górę rzeki „Nereida” zwolniła, a nieustępliwy chłopot wody pod dziobem zmienił się w cichy, miarowy plusk.

- Dlaczego się zatrzymujemy? - zapytała Nina. - Stało się coś złego?

- Przeciwnie - odparła Kari. - Płynięcie taką rzeką po zmroku, zwłaszcza łodzią o takich rozmiarach, może być niebezpieczne. Kapitan Perez woli po prostu nie ryzykować. - Kiedy to powiedziała, pod pokładem rozległ się głośny łoskot, a następnie plusk kotwicy wrzucanej do wody. - Poza tym myślę, że kolacja jest gotowa. Czeka cię prawdziwa uczta. Julio jest znakomitym kucharzem..

Kari nie żartowała, stwierdziła Nina. Spodziewała się, że prowiant będzie się składał z kanapek i fasoli z puszki, lecz sobie tylko znanym sposobem Julio zdołał wykorzystać maleńki kambuz „Nereidy” do wyczarowania zupy ze świeżych warzyw, pieczonej wieprzowiny *au gratin* w sosie z porto i nawet deseru w postaci świeżo przyrządzonego musu czekoladowego. Cały posiłek okazał się lepszy od czegokolwiek, co jadła w niezwykle drogich restauracjach, do których zabierała ją Kari w Paryżu.

Teraz, syta i na lekkim rauszu, wymknęła się na tylny pokład, by uciec od coraz bardziej zdominowanej przez politykę rozmowy między Hamiltonem, di Salva i Philbym, i po to, by odetchnąć świeżym powietrzem. Światła jachtu ledwo wydobywały z mroku sylwetki pojedynczych drzew na brzegach, lecz wyżej łatwo było rozróżnić roślinny baldachim od rozgwieżdżonego nieba.

Nina wzięła łyk wina i zadarła głowę, spoglądając na gwiazdy. Bez względu na wszelkie niedogodności związane z pobytem z dała od cywilizacji możliwość napawania się pięknem i majestatem nieba była...

- Kurczę, ale się nażarłem - powiedział Chase, który pojawił się za jej plecami. Za nim wyłonił się Castille, pojadający guawę. - Jak tam, doktorko? Wymknęłaś się, żeby puścić baka na osobności?

- Nie! - powiedziała. - Chciałam popatrzeć na gwiazdy. Chase podniósł wzrok.

- A, tak. Całkiem niezłe.

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - skarciła go Nina. - Jesteś w puszczy amazońskiej, masz nad głową niewiarygodnie piękne niebo, a jedyny komentarz, na jaki cię stać, to „całkiem niezłe”?

- A czego się spodziewałaś? - powiedział Castille. - Jest Anglikiem, myśli, że poezja to rodzaj drzewa, które można pociąć na deski klozetowe!

Nina parsknęła śmiechem.

- Właściwie, powiedziałem, że te gwiazdy są całkiem niezłe, bo widziałem ładniejsze - rzekł Chase, po raz pierwszy sprawiając wrażenie lekko urażonego. - W Algierii. Na pustyni. W promieniu osiemdziesięciu kilometrów żadnego światła, a powietrze było tak czyste, że widziałem każdą gwiazdkę na niebie. Nawet oddaliłem się od obozu i przez pół godziny leżałem na skale, po prostu się na nie gapiąc. Niesamowite.

- Naprawdę? - Nigdy by nie pomyślała, że Chase lubi patrzeć na gwiazdy.

- Kiedy byłeś w Algierii? - spytał podejrzliwie Castille.

- Cztery lata temu. No wiesz, kiedy miałem sprawę z tym handlarzem bronią. Fekkeszem czy jak mu tam było.

- Aha! Więc dlatego słuch po nim zaginał. Czy w ogóle znaleźli jego...

- Więc widzisz, doktorco - przerwał mu z pośpiechem Chase - potrafię docenić piękne niebo jak każdy. Zjeździłem cały świat, umiem docenić piękno natury, gdy je widzę.

Mówiąc to, patrzył prosto na Ninę. Odwróciła się twarzą do rzeki, mając nadzieję, że nie zauważy, jak się zarumieniła.

- Przepraszam. Nie chciałam sugerować, że jesteś jakimś, hm...

- Nieokrzesanym, chamskim i niewychowanym jełopem z Yorkshire?

- Nie użyłabym słowa Jełop"! Chase zachichotał.

- Czekaj, zobacz. - Sięgnął ręką do skrzynki po drugiej stronie, przyciskając się do Niny, gdy brał latarkę. - Hugo, daj mi to.

- Ej! - zaprotestował Castille, gdy guawa zniknęła mu z ręki. Chase wrzucił nadgryziony owoc do rzeki i rozległ się cichy plusk.

Nagle z ciemności dobiegł chłupot.

- Patrz - powiedział Chase do Niny, znów pochylając się w jej stronę i oświetlając latarką wodę. Jakby znikąd, na powierzchni rozbłysły dziesiątki par żółtych światełek podobnych do klejnotów.

- Co to? - zapytała Nina, właśnie gdy jedna para światełek zamrugnęła. Nina pisnęła ze strachu, instynktownie wtulając się w Chase'a.

- Krokodyle - wyjaśnił. - A może kajmany, nigdy nie wiem, które są które. - Wyciągnął drugą rękę, żeby je wskazać palcem. Nina znalazła się między jego muskularnymi ramionami. Na chwilę zabrakło jej tchu. - Widzisz, jak płyną za nami bardzo powoli, tuż pod powierzchnią, udając, że w ogóle się nie poruszają? Widziałem te bestie z bliska. Są naprawdę cierpliwe. Potrafią czekać prawie w nieskończoność, aż ofiara znajdzie się w ich zasięgu, a wtedy...

Widok tych wszystkich wpatrujących się w nią zimno ślepi przyprawiał Ninę o dreszcze.

- Jesteśmy tu bezpieczni?

- Póki nie nauczą się wspinać po drabince na pokład, nic nam nie grozi. Ale prawdopodobnie po drugiej stronie czyha ich znacznie więcej. Po prostu pomyślałem, że pokażę ci je na wypadek, gdybyś nabrała ochoty na nocną kąpiel na golasa.

- Co to, to nie - ruknęła, odsuwając się od niego.

Chase powoli przesunął snop światła wzdłuż rufy, w wodzie zaśniły złowrogo następne pary oczu.

- Zresztą nawet bez nich nie polecałbym kąpeli. Prawdopodobnie są tam też piranie... i te paskudne małe skurczybyki, które wpływają do dróg moczowych, jeśli postanowisz się w wodzie wysiusiać.

- To akurat w ogóle mi przez myśl nie przeszło!

- No tak. Masz na to za dużo klasy. - Chase wyłączył latarkę, a potem głośno puścił bąka. - Ooo, tak lepiej. Chciałem to zrobić już przy pierwszym daniu.

- Boże! - powiedziała Nina zniesmaczona i... musiała przyznać... rozbawiona.

- To nie koniec, więc może lepiej pójdę! - Podał jej latarkę, a potem poczłapał do głównej kabiny.

Nina wydeła policzki.

- Boże, co z nim jest nie tak?

- Taki już jest - powiedział Castille, opierając się o reling.

- Wolałabym, żeby nie był. Dlaczego musi być taki... obrzydliwy?

Ku jej zaskoczeniu, Castille westchnął.

- Obawiam się, że to mechanizm obronny. W ten sposób stara się nie zbliżać za bardzo do swoich klientów. Zwłaszcza gdy klientami są... cóż... - Skinął na nią głową. - Atrakcyjne

kobiety. Ale nie zawsze był taki. Kiedy go poznałem, gdy służył w SAS, zawsze był... jak to się mówi?

- Uprzejmy?

- Nie, rycerski.

- Co się więc stało? - spytała Nina. Castille zrobił zbolaną minę.

- Naprawdę nie powinienem o tym opowiadać.

- Przecież sam zacząłeś! Co się stało?

- Ech... Nie powinienem był niczego mówić... Obiecuj, że nie zdradzisz mu, że się wygadałem? - Nina kiwnęła głową. - Po prostu... raz zakochał się w kobiecie, której miał bronić.

- I co się stało? - spytała, domyślając się odpowiedzi. - Czy ona... zginęła?

Castille prychnął.

- Oczywiście, że nie! Edward jest zawodowcem. Nie, ożenił się z nią.

- To on miał żonę? - Takiej możliwości w ogóle nie brała przedtem pod uwagę.

- Owszem. Ale... małżeństwo nie trwało długo. Bardzo się od siebie różnili, a ona nie traktowała go dobrze. A potem, ech... - Zerknął na wejście do kabiny, zniżając głos. - Miała romans. Z... Jasonem Starkmanem.

- Co?! - wykrzyknęła Nina. - Z tym samym facetem, który usiłował...

Castille pokiwał głową.

- Kiedyś pracowaliśmy razem przy międzynarodowych operacjach NATO. Jason był wtedy kumplem... może nawet najlepszym przyjacielem Edwarda. Potem Jason zniknął i z jakiegoś szalonego powodu dołączył do Qobrasa, a potem Edward dowiedział się prawdy... To był dla niego ciężki okres. Myślał, że został zdradzony przez wszystkich, którym ufał.

- Oprócz ciebie.

- Ha, gdyby Edward mi nie ufał, to kto ratowałby go z oparów? Moment minął - dla Niny było oczywiste, że Castille nie wróci już do tematu.

Spojrzała znowu na rzekę, tym razem ze świadomością że sama też jest obserwowana. Na myśl o tym przechodziły ją ciarki. Dokończyła wino i czym prędzej wróciła do bezpiecznej kabiny.

12

O świcie „Nereida” podniosła kotwicę. Płynęła jednak tak spokojnie, że Nina się nie obudziła. Dopiero gdy do jej luksusowej kajuty dotarły aromaty śniadania, otworzyła oczy.

Umyła się, ubrała i poszła na mostek. Kari siedziała tam w towarzystwie Chase’a i Pereza, przyglądając się zdjęciu na laptopie. Julio z wprawą prowadził łódź przez zakola rzeki.

- Witaj, słoneczko - powiedział Chase.

- Cześć. Co słychać?

- Przesłano nam najnowsze zdjęcia lotnicze strefy poszukiwań - powiedziała Kari, odwracając laptop w stronę Niny. Zakola rzeki na ekranie były dobrze widoczne. Miejscami Tefe zapętlala się, tworząc okrągłe wysepki otoczone naturalnymi fosami. - Na ich podstawie można wyodrębnić cztery obszary prawdopodobnej lokalizacji miasta.

Nina przyjrzała się zdjęciu. Na nowych fotografiach o większej rozdzielczości jaskrawa zieleń koron drzew rwała się, ukazując drobne, ocienione fragmenty świata pod nimi. Nina powiększyła maksymalnie jedną z zaznaczonych części obrazu. Między drzewami widać było szarą smugę.

- Czy to... czy to mogłyby być ruiny?

- Owszem - powiedział Chase. - Albo po prostu skała. W takiej dżungli można by schować lotniskowiec i z powietrza nie byłoby wiadomo, co to takiego. Żeby to sprawdzić, trzeba ubłocić sobie buty.

Kari otworzyła na komputerze okno z mapą.

- Kapitan Perez uważa, że powinno nam się udać dopłynąć na odległość pięciu kilometrów od strefy poszukiwań, dalej rzeka bardzo się zwęża.

- To o wiele bliżej, niż się spodziewaliśmy - zauważyła Nina, wpatrując się w mapę. - Ile czasu nam to zajmie?

Perez spojrzął na liczniki.

- W tej chwili płyniemy z prędkością dwunastu węzłów, ale wątpię, żeby udało nam się ją utrzymać zbyt długo. Za jakieś piętnaście kilometrów skęcimy w dopływ o znacznie ostrzejszych zakolach i będziemy musieli zwolnić. Ale dużo przepłynęliśmy wczoraj, więc... Jeśli warunki będą nam sprzyjać, możemy być na miejscu już za cztery godziny.

- A więc mnóstwo czasu przed zmrokiem - powiedziała Nina. - To jaki mamy plan, kiedy już tam dotrzemy?

- To zależy od ciebie - odparła Kari.

- Ode mnie?

- To twoja ekspedycja. Nina pokręciła głową.

- Nie, Kari, ekspedycja jest zdecydowanie twoja! Ja jestem tylko, no nie wiem, doradcą.

Kari się uśmiechnęła.

- To mi doradź! Co powinniśmy zrobić, kiedy dotrzemy na miejsce? Czy poczekamy na pokładzie do jutra, żebyśmy mieli cały dzień na poszukiwania...

Chase klasnął w dłonie.

- Jak dla mnie, bomba! Julio znowu gotuje, racja?

- Czy też przesiadamy się do zodiaca i wyruszamy na poszukiwanie miasta od razu?

Wszyscy spojrzeli na Ninę.

- Ee... prze... przesiadamy się do zodiaca - postanowiła w końcu.

- Jasny gwint - poskarżył się żartobliwie Chase.

- Dobrze - powiedziała Kari. - W takim razie powinniśmy się przygotować. Nie chcę tracić ani chwili. - Zamknęła laptop i opuściła mostek.

- Ty cholerna pracoholiczko - powiedział Chase do Niny, gdy Kari poszła. - Gdyby tak ci się nie śpieszyło, mogliśmy spędzić następną miłą noc na jachcie! To miasto jest tam od dziesięciu tysięcy lat, jutro też tam będzie.

- Przyznaj się - odparła. - Ciebie też zżera ciekawość.

- Okej, może i tak. Ale - powiedział, przybierając poważniejszy ton - musisz mi coś obiecać.

- Co?

- Jeśli znajdziemy to miasto, a myślę, że znajdziemy, bo wyraźnie wiesz, co robisz...

- Dzięki.

- Chcę, żebyś obiecała, że zachowasz spokój, okej?

- Co masz na myśli?

- Ano to, że nie chcę, żebyś się niezdrowo podnieciła, wbiegła gdzieś... a potem wpadła do jakiegoś rowu albo uruchomiła gigantyczny głaz, który potoczy się prosto na ciebie.

- Oglądasz za dużo filmów - wytknęła mu Nina. - Jak sam powiedziałeś, to miasto stoi tam od dziesięciu tysięcy lat. Nawet jeśli jest naszpikowane pułapkami, co mało prawdopodobne, to mechanizmy od dawna już nie działają. Wszelkie ruchome części albo się rozpadły, albo zepsuły.

- Wiesz, co mam na myśli - powiedział Chase, lekko poirytowany. - Po prostu nie chcę, żeby ci się coś stało, okej?

- Okej, okej. Jeśli zobaczymy jakieś kraty najeżone kolcami, to będę się od nich trzymać z daleka.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - Nawiasem mówiąc, to była najgorsza parodia Harrisona Forda w historii. Bez dwóch zdań.

- Ha! Ciekawe, czy poradziłbyś sobie lepiej - zakpiła Nina. - Z tym swoim cockneyowskim akcentem!

- Cockneyowskim?! - Chase zrobił oburzoną minę. - W mordę jeża, nie jestem z Cockney, tylko z Yorkshire! Powinienem cię za to wrzucić do tej cholernejskiej rzeki. Hm... - Zmierzył ją wzrokiem.

- O nie! Ani się waż - powiedziała Nina, wycofując się.

- Pora na kąpiel, doktorco!

Nina pisnęła i rzuciła się do ucieczki, a Chase zaczął ją gonić. Silniki „Nereidy” ucichły.

- Dalej nie możemy już płynąć - oznajmił Perez.

Byli niecałe pięć kilometrów od strefy poszukiwań, trochę bliżej niż sądził Perez, lecz jego ocena żeglowności rzeki okazała się słuszna. Nie dość, że zakręty zwężającego się dopływu były ostre, to na dodatek w wodzie leżały powalone drzewa.

- Mamy nieco ponad pięć godzin do zmierzchu - oznajmił Chase. - To dość czasu, żeby zorientować się w topografii. Kurczę, może nam się nawet poszczęści i od razu natkniemy się na ruiny miasta.

- Byłoby miło - powiedziała Nina. Większość dnia spędziła w klimatyzowanej kabinie, więc teraz powietrze na zewnątrz wydało jej się jeszcze bardziej duszne i wilgotne niż wcześniej.

- Czy zodiac gotowy, panie Chase? - spytała Kari.

- Wszystko przygotowane. Wystarczy dodać wody.

Wszyscy wrócili do swoich kajut po plecaki i sprzęt. Nina postanowiła wziąć ze sobą jak najmniej, ograniczając się tylko do rzeczy podstawowych: wody, prowiantu i maści przeciw owadom, bo uznała, że Chase, Castille i di Salvo będą mieli cały sprzęt niezbędny do przetrwania. Podnosząc plecak, zawahała się jednak, gdy jej wzrok padł na ramię atlantydzkiego sekstansu, które leżało na biurku. Dotknęła wisiorka na szyi, zastanawiając się przez chwilę.

- A co mi tam - zdecydowała, biorąc metalową sztabę i owijając ją w szmatkę.

Kari zapukała w niedomknięte drzwi.

- Mogę wejść?

- Hej! Oczywiście.

- Bierzesz go? - spytała Kari, gdy Nina wkładała artefakt do plecaka. - Myślałam, że zostawisz go w sejfie.

- Zamierzałam to zrobić, ale... - Nina wzruszyła niepewnie ramionami. - Nie wiem, po prostu pomyślałam, że może się na coś przydać. Jeśli nam się poszczęści i coś znajdziemy, może będę mogła porównać jeden tekst z drugim, upewnić się, że jesteśmy we właściwym miejscu.

- Myślę, że jesteśmy. Wiem to. Powietrze przeszył ostry gwizd.

- Ej! Doktorco! Gotowa? - zawołał z zewnątrz Chase. - Rusz no tyłek!

- Idę!

Obie przewróciły z rozbawieniem oczami, po czym Nina przerzuciła plecak przez ramię i wyszła z kabiny. Chase czekał.

- Nie jest ci w tym gorąco? - spytała Nina, ciągnąc za rękaw skórzanej kurtki.

- E tam, skoro jest dobra dla Indiany Jonesa... Zresztą pocę się tylko, kiedy jestem w opałach.

- A jak często się to zdarza?
- Odkąd cię poznałem, znacznie częściej!

Perez i Julio spuścili ponton na gęstą od wodorostów i gnijących liści wodę, która nawet porządnie nie plusnęła pod jego ciężarem. Chase wetknął kijek do rzeki, odgarniając roślinność, żeby sprawdzić kolor wody.

- Rada na dzisiaj - powiedział do całej grupy - nie wchodźcie do wody. I absolutnie jej nie pijcie.

- Ale przecież woda powinna być zupełnie dobra - obruszył się Hamilton, który założył jaskrawoczerwoną koszulę kontrastującą z ziemistymi barwami wybranymi przez resztę ekipy.

- To świeża deszczówka, bez produkowanych przez człowieka zanieczyszczeń!

- Dobra, wetknij słomkę do wody i pij, ile chcesz. Ale ty potem będziesz sprzątał kibel.

Zeszli do zodiaca, Chase usiadł na dziobie, podczas gdy Castille obsługiwał silnik na rufie. Nina i Kari zajęły miejsca naprzeciw siebie za Chase'em, na grubych burtach pontonu. Di Salvo, Hamilton i wreszcie Philby usiedli za nimi. Nie było żadnych siedzeń, lecz plecaki ze sprzętem biwakowym - Chase postanowił się przygotować na każdą ewentualność - dobrze sprawdzały się w tej funkcji.

Był jednak jeden plecak, na którym nikt nie chciał usiąść. Kanciaste wybrzuszenia nie pozostawiały wątpliwości, że w środku znajduje się broń.

- Okej - powiedział Chase, gdy wszyscy się usadowili - wszyscy na pokładzie „Skowronka”! - Zamachał do Julia, który odwiązał liny. Castille zapuścił silnik, ostrożnie opłynął „Nereidę”, a potem zwiększył obroty i ruszył dalej w górę rzeki.

- Chryste - mruknął Chase. - Zupełnie jak w *Czasie apokalipsy*. - Byli teraz w strefie poszukiwań i rozglądali się za miejscem, gdzie mogliby zejść na ląd... lecz orientację utrudniała gęsta mgła. Mimo że brzegi były zaledwie w odległości sześciu metrów, czasem nie widzieli nawet najbliższych drzew.

Temperatura zauważalnie spadała. Do tej pory Nina myślała, że ochłodzenie przyniesie ulgę po męczącym upale, lecz zamiast tego poczuła niepokój. Umilkły nawet ciągłe krzyki ptaków i odgłosy zwierząt.

Di Salvo i Chase najwyraźniej poczuli to samo, bo obaj uważnie obserwowali brzegi, a coś w ich pozach sugerowało, że są gotowi do akcji.

- Co się dzieje? - spytała Chase'a, gdy ponton pokonał następny zakręt.
- Myślę, że możemy mieć towarzystwo - powiedział bez cienia zwykłej wesołości.
- Eddie - szepnął di Salvo, wskazując rękaw lewo.

Nina popatrzyła tam, gdzie Chase, lecz niczego nie zobaczyła.

- Tak, widzę - odparł Chase. Nina widziała tylko drzewa.

- Co?

Chase pokazał jej palcem.

- Ślad stopy w błocie. Nie mogła go dostrzec.

- Wspaniale - powiedział Hamilton swoim piskliwym głosem, ściągając na siebie gniewne spojrzenia Chase'a i di Salvy. - To wszystko, o czym marzyłem! Będziemy pierwszymi ludźmi, którzy zetkną się z tym plemieniem, prawda, Agnaldo?

- Wcześniej zetknęli się z nim już inni - odparł di Salvo niskim, złowróżbnym tonem. - Tylko że nie wrócili do domów, żeby o tym opowiedzieć.

- Hugo - syknął Chase, wykonując gest, jakby podrzynał sobie gardło.

Castille natychmiast wyłączył silnik.

- Co się dzieje? - szepnęła Nina. Chase wskazał ręką przed siebie.

W miarę jak zodiak podpływał bliżej, z mgły zaczęło się coś wyłaniać. Kształty, które zdawały się unosić nad wodą, aż do chwili, gdy mgła rozrzedziła się na tyle, by ukazać bambusowe pale, do których były przywiązane.

Nie, nie przywiązane. Wbite na nie.

Nina skrzywiła się, gdy zdała sobie sprawę, co to za kształty. Ludzkie zwłoki. Szkielety pozbawione ciała, które dawno temu zgniło lub stało się pokarmem zwierzyny. Zostały tylko kości, strzępy ubrań...

Dziób pontonu obił się lekko o pierwszy bambusowy pal. Chase skinął na di Salve, a ten rzucił mu wiosło, a potem sam chwycił za następne.

- Jak myślisz, jak długo tu stoją?

Di Salvo przyjrzał się najbliższemu trupowi.

- Długo. Od lat. Ostami raz mieliśmy zgłoszenie zaginięcia w tym regionie jakieś siedem lat temu.

- Zdaje się, że się znaleźli. - Chase odepchnął ponton, a potem zaczął wiosłować, mijając pierwsze pale. Z przodu zamajaczyły następne makabryczne słupy.

- Zdumiewające - powiedział Hamilton, z miną wyrażającą mieszaninę podziwu i obrzydzenia, odprowadzając wzrokiem pierwszego trupa. - Nieznane plemię, zupełnie odizolowane od cywilizacji.

Nina skrzywiła się z odrazą

- Odnoszę dziwne wrażenie, że członkom plemienia zależy na tym, żeby tak zostało. To oczywiste ostrzeżenie: „Trzymajcie się od nas z daleka”.

- Po prostu musimy im pokazać, że jesteśmy niegroźni - szepnął Hamilton. - Pomyśl o wszystkich danych antropologicznych, które możemy zebrać.

- Właśnie dlatego wolę archeologię - mruknęła Nina. - Wszystkie ludy, które badam, są martwe i nikt nie nadzieje mnie na pal... O mój Boże! - Skoczyła na nogi, tak że pontonem zachybotало, i natychmiast złapała Chase'a za kurtkę. - Eddie, Eddie! Zatrzymaj łódkę! Stop!

Chase błyskawicznie wyciągnął z kabury wildeya, zanim zdał sobie sprawę, że Nina jest podekscytowana, a nie przestraszona.

- Jezu, dostanę przez ciebie zawału - poskarżył się, zatrzymując ponton. - O co chodzi?

- Ten trup...

- Tak?

Wskazała na jedno z ciał. Pozostało z niego nawet mniej niż z poprzednich, na które się natknęli. Brakowało zuchwy i jednego ramienia, bo tkanki łączne uległy pełnemu rozkładowi. Ubranie było równie zniszczone... lecz nawet mimo pleśni i wieloletniego brudu widać było błysk metalu.

Emblemat.

Na jego widok Ninę przeszły ciarki. Mimo upływu lat i dziwnego miejsca, w którym się znalazł, wciąż budził grozę. Ikona zła. Trupia czaszka Schutzstaffel, SS Hitlera.

- A co to tutaj robi? - zdziwił się Chase. - Naziści? Tu?

- Musiał być członkiem jednej z ekspedycji Ahnenerbe - powiedziała Nina. - Ahnenerbe było specjalną jednostką SS składającą się z archeologów - dodała, widząc zdezorientowaną minę Chase'a. - Naziści wysyłali ekspedycje w różne zakątki świata, szukając zabytków związanych z mitem atlantydzkim. Wierzyli, że rasa aryjska pochodzi od Atlantydów. To jeden z elementów tych ideologicznych pierdoł o rasie panów. Ale szukali raczej w Azji niż w Ameryce Południowej...

- Coś ich tu sprowadziło - powiedziała Kari. Skinęła na plecak Niny i schowane w nim ramię sekstansu. - Może to samo, co nas.

- Nie, to nie trzyma się kupy - powiedział Philby, marszcząc w zamyśleniu brwi. - W czasach nazizmu tabliczki z Glozel uważano za fałszywe. To musiało być coś innego, coś, czego nie widzieliśmy...

Kari przyjrzała się trupom obok. Sprawiała wrażenie bardzo zaciekawionej.

- Sądząc po stanie rozkładu, ludzie obok zginęli w tym samym czasie. Ale jest ich tylko czterech? To trochę mało jak na ekspedycję. Ahnenerbe wysłałoby co najmniej kilkunastu.

- Może ci za wolno uciekali - zauważył Chase z wisielczym humorem. - Co robimy? Ktokolwiek się tam czai, wyraźnie nie życzy sobie naszego towarzystwa.

- Musimy kontynuować poszukiwania - powiedziała stanowczo Kari. - Nie dotarliśmy tak daleko tylko po to, żeby dać się wystraszyć bandzie dzikusów i ich... strachom na wróble.

- Aha, widzisz? - powiedział Hamilton, kiwając karcąco palcem. - Przez dobór słów zdradzasz uprzedzenia typowe dla kultury dominacji. Ci ludzie żyją w idealnej harmonii ze środowiskiem od tysięcy lat... czyż nie jest możliwe, że w porównaniu z nimi to my jesteśmy dzikusami?

Kari wyglądała na mocno zirytowaną.

- Och, zamknij się, ty głupi, mały człowieczku. - Di Salvo ledwo powstrzymał się od śmiechu na widok Hamiltona, który z oburzenia rozdziawił usta. - Panie Chase, widzi pan jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy wyjść na ląd?

Chase wyczuł wzrok, wpatrując się we mgłę.

- Trudno powiedzieć... może na prawym brzegu. - Znow zaczął wiosłować z di Salva, oddalając się od makabrycznych znaków ostrzegawczych.

W gęstej roślinności porastającej brzeg rzeczywiście był prześwit i parę minut później zodiak został przycumowany. Kiedy wszyscy znaleźli się na suchym lądzie, wypakowano sprzęt i, ku oburzeniu Hamiltona, rozdano broń.

- Serio proponujecie, żebyśmy nawiązali pierwszy kontakt z tymi ludźmi, mierząc do nich z karabinów? - awanturował się Hamilton, gdy Chase wręczył Castille'owi i di Salvie karabiny maszynowe.

- Ze stanu, w jakim były te trupy, wnioskuję, że tubylcy rzucili się na nich z dzidami, więc owszem - odparł Chase. W plecaku był jeszcze jeden karabin: Po chwili zastanowienia wyciągnął go i przekazał Kari. - Wiesz, jak...

Wzięła od niego broń.

- Karabin szturmowy Colt Commando M4A1 kaliber 5,56, magazynek na trzydzieści naboju, maksymalny zasięg skutecznego rażenia trzysta sześćdziesiąt metrów. - Patrząc Chase'owi w oczy, wyjęła magazynek, nacisnęła kciukiem nabój na górze, sprawdzając, czy jest pełny, włożyła go z powrotem i załadowała pierwszy nabój do komory, ani razu nie spoglądając na broń.

Chase był pod wrażeniem.

- Okej, dodam to do listy rzeczy, których pragnę u kobiety...

- Więc już mnie nie chcesz? Serce mi krwawi - powiedziała Nina.

- Hm. Dobra, mamy... - popatrzył na zegarek - trzy i pół godziny do zachodu słońca, więc bez względu na to, co znajdziemy, za trzy godziny powinniśmy być z powrotem przy pontonie. Póki nie dowiemy się więcej o kumplach tych ludzi na palach, nie będziemy tu obozować. Ja i Agnaldo pójdziemy przodem, Hugo będzie pilnował naszych tyłków. Wszyscy pozostali powinni iść między nami, nie rozłączyć się, ale i nie zbijać za bardzo w kupę. Nino, trzymaj się blisko panny Frost. Odnoszę dziwne wrażenie, że gdyby chciała, mogłaby zarobić na życie jako wysokiej klasy ochroniarz. - Kari uśmiechnęła się i rozśmieszając Ninę, stanęła na baczność. - Dobra! Chodźmy poszukać tego zaginionego miasta!

- Jakiego zaginionego miasta? - spytał Hamilton, gdy wszyscy ruszyli za Chase'em i di Salvo. - Czekajcie, jest coś, czego mi nie powiedzieliście?

Dotarcie do pierwszej z czterech potencjalnych lokalizacji miasta zajęło im godzinę, a następne dwadzieścia minut przeznaczyli na badanie terenu, zanim stało się jasne, że niczego tam nie ma. To, co na zdjęciach lotniczych wyglądało na ślady dawnej cywilizacji, okazało się nagimi skałami, powalonymi drzewami i grą światła.

- No cóż, nie można zawsze trafić za pierwszym razem - pocieszył Chase Ninę, patrząc na kompas i mapę. Pod drzewami marszruta w linii prostej na podstawie systemu nawigacji satelitarnej wydawała się co najmniej problematyczna. - Wciąż mamy jeszcze trzy miejsca do sprawdzenia.

- Jak daleko jest następne? - spytała. Chase skinął ręką.

- Jakieś półtora kilometra w tym kierunku. Jeśli się pośpieszymy, może starczy nam czasu, żeby sprawdzić także trzecią lokalizację, zanim wrócimy do pontonu. Albo możemy zawrócić teraz. Założę się, że Julio ma dla nas w piecyku coś smacznego.

Nina się uśmiechnęła.

- Kusząca propozycja, ale nie zawrócimy.

- Mówi się trudno - powiedział. A potem podniósł głos i krzyknął: - Idziemy dalej!

Grupa ustawiła się w szyku i ruszyła za di Salvai Chase'em. Di Salvo przewiesił karabin przez ramię i torował reszcie drogę maczetą. Po około dziesięciu minutach poszycie wyraźnie się przerzedziło. Di Salvo machał co jakiś czas maczetą, odrabując przeszkadzającą gałąź, lecz większość szlaku była niezarośnięta i ekspedycja poruszała się teraz szybciej.

- No tak, ta droga od razu wydała mi się podejrzana - powiedział do niego Chase.

- Co masz na myśli? - spytała Nina.

Razem z Kari szły trzy metry za nim, zgodnie z przestrogą, żeby nie zbijać się w kupę.

- Jesteśmy na ścieżce. Dlatego nie musimy wyrąbywać sobie drogi. - Skinął na gęstwiny po bokach.

Nina rozejrzała się niespokojnie dookoła.

- Więc możemy natknąć się na Indian idących z naprzeciwka?

- Jezu, mam nadzieję, że nie. Za nic nie chciałbym opuścić dzisiejszej kolacji!

Szli dalej przez dżunglę, schylając głowy pod zwisającymi gałęziami. Mgła wciąż unosiła się wśród drzew, ograniczając widoczność do najwyżej kilkunastu metrów, gdy ścieżki nie zasłaniała roślinność. Nagle di Salvo zatrzymał się, gestem ręki dając znak, żeby pozostali uczynili to samo.

- Odcisk stopy - powiedział, kucając. Chase przycupnął obok niego.

- Jak stary?

- Dzisiejszy. Z całą pewnością należy do Indianina.

- Skąd pan wie? - spytała Nina. Ledwo była w stanie dostrzec niewyraźny zarys bosej stopy.

- Palce są rozczapierzone od chodzenia na bosaka. - Di Salvo wstał i zmrużył oczy, wpatrując się we mgłę. - Nawet jeśli nie znajdziemy tego zaginionego miasta, to i tak natrafiliśmy na wcześniej nieznaną szczep. Drwale i rolnicy będą mieli kolejny powód, by mnie nienawidzić.

- To niewiarygodne! - ekscytował się Hamilton, przepychając się między Niną i Kari. - Naprawdę będziemy pierwszymi białymi, którzy nawiążą kontakt z tym plemieniem! Kiedy już się porozumiemy, będziemy mogli dowiedzieć się od nich tylu interesujących rzeczy...

W pierś Hamiltona wbiła się dzida, przód jaskrawoczerwonej koszuli pociemniał od krwi.

Nina wrzasnęła. Zszokowany Hamilton otworzył szeroko oczy, osuwając się na kolana. Potem pochylił się do przodu. Drzewce włóczni sterczało mu z pleców na dobry metr.

Chase i Castille złapali karabiny i wycelowali w kierunku, z którego nadleciała dzida. Kari chwyciła Ninę i pchnęła ją na ziemię, gdy sama uniosła broń.

Strzała trafiła di Salvo w prawe ramię, obsydianowy grot utkwiał głęboko w mięśniu dwugłowym. Przewodnik upuścił maczetę i jęknął z bólu, zatoczył się do tyłu i upadł, potykając się o ciało Hamiltona.

W tym samym momencie coś zawirowało w powietrzu i rąbnęło Chase'a w głowę... a potem opłotło się wokół niej.

Bola.

Chase zachwiał się i upadł, próbując rozluźnić wrzynający się w ciało rzemień.

Z tyłu Nina usłyszała zduszone stęknienie Castille'a. Bola owinęła mu się wokół szyi.

Philby rzucił się plackiem na ziemię obok Kari i Niny. Następna dzida śmignęła w powietrzu, ledwie trzydzieści centymetrów nad ich głowami.

Kari rozglądała się desperacko w poszukiwaniu celu, lecz widziała tylko drzewa i mgłę.

Między pniami migały przemykające postacie. Kari wycelowwała w jedną z nich...

Łup!

Coś uderzyło ją w tył głowy. Nie bola, nawet nie włócznia. Najprostsza i najmniej wyrafinowana ze wszystkich broni - zwykły kamień, ale rzucony z wielką precyzją i siłą. Wprawdzie nie pozbawił jej przytomności, ale runęła na błotnistą ziemię, oszołomiona i zdeorientowana.

Karabin wypadł jej z rąk. Nina wpatrywała się w niego przez chwilę, zdrętwiała z przerażenia. Potem sięgnęła po broń.

Ale za późno.

Gdzie sekundę wcześniej była tylko dżungla, teraz zaroilo się od ludzi, którzy pojawili się tak nagle, jakby wyrosli spod ziemi.

Czarnowłosi, ciemnoskórzy, o zaciętych twarzach, uzbrojeni w prymitywną, lecz zabójczą broń.

Wszystkie dzidy i strzały były wymierzone prosto w nią.

13

Nina nie śmiała nawet oddychać.

Indianie zbliżyli się, stąpając bezszelestnie po wilgotnej ziemi. Chase stęknął. Z tyłu wciąż słyszała krztuszącego się Castille'a.

Od najbliższego Indianina dzieliły ją teraz ledwie trzy metry. Trzymając w rękach drzewce dzidy, przygotował się do zadania ciosu.

Nina zerknęła na karabin Kari... i odwróciła wzrok. Zamiast chwycić za broń, bardzo powoli zdjęła plecak i zaczęła go otwierać.

- Co ty wyprawiasz? - syknął Philby. - Łap karabin! Oni nas zabijają!

Zignorowała jego słowa, przez cały czas patrząc w oczy wojownikowi. Dwa metry. Jeszcze parę kroków i mógłby ją nadziać na włócznię jak szaszłyk.

Wymacała palcami miękką tkaninę owiniętą wokół ciężkiego metalu. Wciąż nie odrywając wzroku od Indianina, wysunęła ramię sekstansu z plecaka i odrzuciła materiał na ziemię. Schyliwszy głowę w geście uległości, podniosła sztabę *orichalcum*, ofiarowując mu ją.

Cisza.

Podniosła nieco wzrok i zobaczyła stopy Indianina ledwie metr dalej. Rozczapierzone palce, przeszło jej bez sensu przez myśl. Jeśli miał ją zabić, to w ciągu następnych kilku sekund...

Zamiast tego wykrzyknął coś, podniecony w nieznanym języku. Jeden z Indian odpowiedział zdziwionym głosem. Języki różnią się między sobą, lecz tony wyrażające emocje są takie same na całym świecie.

Wyrwał jej sztabę z rąk. Nina drgnęła ze strachu, gdy grot włóczni mignął jej tuż przed oczami. Indianie podeszli jeszcze bliżej i bezceremonialnie podnieśli Ninę z ziemi. W ciasnym pierścieniu wokół niej stało teraz co najmniej tuzin mężczyzn. Pozostałych członków ekspedycji również zmuszono do wstania. Kari stęknęła z bólu i potoczyła dookoła zamglonym wzrokiem, di Salvo wydał zduszony jęk, gdy Indianie chwycili go za zranione ramię.

Wiedzieli, do czego służą karabiny, pomyślała Nina. Najwyraźniej ich kontakty ze światem zewnętrznym wystarczyły, by umieli rozpoznać nowoczesną broń. Karabiny szybko zabrano, a Chase i Castille zostali pozbawieni także pistoletów, zanim zdjęto im z szyi bole.

- Nino! Kari! - zawołał Chase. - Nic wam nie jest? - Indianin przystawił mu do gardła klingę obsydianowego noża. Chase łypnął na niego spode łba, lecz zamilkł.

- Kari jest ranna - powiedziała Nina.

- Nie, nic mi nie jest - zaprzeczyła oszołomiona Norweżka. - Co się stało?

- Dałam im artefakt.

Kari natychmiast się otrząsnęła i popatrzyła na Ninę z niedowierzaniem.

- Co?

- To chyba uratowało nam życie. Spójrz.

Kari przeniosła wzrok na Indianina, który podniósł ramię sekstansu do światła i przyglądał mu się z niemal nabożną czcią. Pozostali patrzyli na artefakt z podobnym zachwytem, co jakiś czas zerkając podejrzliwie na jeńców i zadając sobie nawzajem jakieś pytania.

- Agnaldo - szepnęła Nina. - Rozumiesz, co mówią?

- Częściowo - stęknął di Salvo, krzywiąc się z bólu. - Wiedzą, co to takiego, ale... wydaje mi się, że żaden wcześniej tego nie widział.

- Możesz z nimi porozmawiać?

- Mogę spróbować.

- Powiedz im... powiedz, że zwracamy im to - powiedziała Nina. - Powiedz, że niesiemy to z powrotem do miasta boga wody.

Mimo cierpienia na ściągniętej twarzy di Salvy odmalowało się niedowierzanie.

- Trudno będzie to przetłumaczyć.

- Po prostu to zrób! - rozkazała.

Kari i Chase zerknęli na nią z mieszaniną zdziwienia i podziwu, gdy di Salvo uległ i zaczął mówić łamiącym się głosem. Indianie słuchali, wciąż podejrzliwi i zakłopotani, ilekroć Brazylijczyk pogubił się w tłumaczeniu, ale najwyraźniej zrozumieli przekaz. Mężczyzna trzymający artefakt odpowiedział di Salvie.

- Co on mówi? - spytała Nina.

- Myślę, że zabrają nas do swojej wioski. Mówił coś o starszyźnie plemiennej... nie zrozumiiałem wszystkiego.

- Nie zabiją nas? - powiedział Philby. - Bogu dzięki!

- No - zauważyła ponuro Nina. - Szkoda Hamiltona. Philby spuścił nos na kwintę.

- Nie cieszyłbym się jeszcze, profesorze - dorzucił Chase. - Jeśli nie spodobamy się tej starszyźnie plemiennej, to skończymy jako nowe znaki ostrzegawcze nad rzeką.

Indianie związali jeńcom ręce za plecami i poprowadzili ich dalej w głąb dżungli.

- Nie mogę uwierzyć, że daliśmy się tak zaskoczyć - powiedział Chase, prawie jakby przeproszał Ninę i Kari za swoją nieudolność. - Nie doszłoby do tego, gdybym wciąż służył w SAS. Boże, chyba się starzeję.

- To nie była twoja wina. - Nina usiłowała go pocieszyć. - Ci ludzie tu żyją. Znają teren. I nie ulega wątpliwości, że zależy im na pozbywaniu się nieproszonych gości.

- Nie w tym rzecz! Żaden oddział SAS nie wpadł nigdy w pułapkę w dżungli!

- Nikt z nas ich nie widział, Edwardzie - powiedział Castille wciąż zachrypniętym głosem.

- No tak, ale...

- Eddie - powiedziała Nina - ważne, że wciąż żyjemy. Gdybyś zaczął wtedy strzelać, możliwe, że zginęłoby nas więcej. Może nawet wszyscy.

- Nie chwał dnia przed zachodem słońca - upomniał ją Chase. Droga zaczęła się wznosić. Nina zauważyła następne ślady obecności ludzi, inne ścieżki łączące się z tą, którą szli.

Zbocze zrobiło się bardziej strome, szlak wił się zygzakiem, a drzewa się przerzedziły.

- Mój Boże - westchnęła Nina, gdy doszli do szczytu.

Pagórek nie był duży, lecz na tyle wysoki, by widać było dolinę po drugiej stronie. W krajobrazie wciąż dominowała roślinność, dolinę przecinała odnoga rzeki, lecz w prześwitach między drzewami widać było ruiny starożytnych budowli, gruzy rozległej osady.

Jeden gmach zachował się w całości. I Nina nie mogła oderwać od niego oczu.

Z powietrza musiał być prawie zasłonięty przez bujne korony drzew - jeśli było cokolwiek widać, to tylko załamujący się cień. Lecz z tego miejsca widać go było w całej okazałości: był ponury i złowieszczy. A do tego ogromny: wysoki na jakieś osiemnaście metrów, długi na sto dwadzieścia i o szerokości równej mniej więcej połowie długości.

Nie, pomyślała. Szerokość wynosiła dokładnie połowę długości.

Przypomniał jej się fragment *Kritiasa*: „A świątynia samego Posejdona była długa na jedno stadion, a szeroka na trzy pletry, wysokość miała na oko odpowiednią do tych rozmiarów, ale (...) wygląd nieco barbarzyński”*. * Pletron jest jednostką miary równą jednej szóstej stadionu, a więc trzy pletry to dokładnie pół stadionu. W tłumaczeniu Witwickiego „barbarzyński wygląd” ma nie cała świątynia, lecz tylko posąg Posejdona (przyp. tłum.). Kamienna budowla przed nią z pewnością pasowała do opisu, zwłaszcza że starożytni Grecy uważali za „barbarzyńskie” wszystko, co nie było greckie. Jeśli już, to Nina odnajdywała tu raczej podobieństwa do architektury Inków albo Majów. Gmach postawiono z dużych, ciosanych kamieni dopasowanych do siebie z niesłychaną precyzją. Z narożników sterczały wieżyczki oplecione roślinnością, która stanowiła dodatkowy kamuflaż. Dolne części murów przypominały stopnie schodów, jak w ziguracie, lecz łukowe sklepienie dachu przywodziło na myśl coś bardziej nowoczesnego, na przykład hangar.

Patrzyła na świątynię Posejdona, boga mórz.

A raczej na jej replikę, kopię. Oryginał, według Platona, był pokryty blachami szlachetnych metali, podczas gdy ten budynek był z surowego kamienia, porośniętego mchem i pnączami. Był również mniejszy, znacznie krótszy od greckiego stadionu, czyli stu osiemdziesięciu pięciu metrów.

Chyba że Nina od początku miała rację i atlantydzki stadion był mniejszy niż grecki. Co miałyby olbrzymie znaczenie przy szukaniu samej wyspy...

Nina nie miała czasu zastanowić się nad tym dokładniej, gdyż Indianie poprowadzili ją razem z resztą zakładników na dół. Widziała teraz, że choć miasto legło w gruzach, to bynajmniej nie zostało opuszczone. Przy świątyni stała wioska okrągłych domków z drewna i kamieni. Nina doliczyła się ich piętnastu. Albo więc plemię zamieszkiwało więcej niż jedną osadę, albo było bardzo małe. Zdawało się, że liczba ludności nie przekracza setki.

Jeńców wprowadzono do wioski, nad którą górowała ściana świątyni. Inni mieszkańcy - młodzieńcy i starcy, kobiety i dzieci - wyszli z domostw i przyglądali się im z wyraźną podejrzliwością. U stóp świątyni stała chata, która była znacznie większa od pozostałych.

- Wzywają starszyznę - powiedział di Salvo, przysłuchując się rozmowom podeksytowanych Indian. Z chaty wyszli trzech mężczyźni. Byli starzy, mieli pomarszczone twarze, lecz wyglądali zdrowo i krzepko.

- Zdumiewające - szepnęła Kari, bardziej do siebie niż do Niny. - Takie geny... W populacji tak małej i odizolowanej, gdzie przez tak długi czas obowiązywała endogamia, powinny się ujawnić anomalie genetyczne. Ale u tych ludzi nie widać ani śladu czegoś takiego. To doskonały genom... Chętnie pobrałabym próbki DNA.

- Zanim poprosimy o możliwość popuszczenia im krwi, spróbujmy ich przekonać, żeby nie wbijali nas na pale, he? - zaproponował Chase.

Indianie ustawili jeńców w rzędek przed członkami starszyzny, którzy przyglądali się im z lodowatą pogardą, gdy słuchali wyjaśnień dowódcy drużyny łowieckiej. Ich miny zmieniły się, gdy myśliwy wyciągnął atlantydzki artefakt. Zachwyty... zmieszany z gniewem.

Jeden ze starców zadał ostrym tonem pytanie, na co myśliwy pokazał palcem Ninę. Starzec podszedł do niej, marszcząc gniewnie brwi, gdy przyglądał się z bliska jej twarzy. Po chwili dręczącej niepewności burknął lekceważąco i przeniósł uwagę na Kari. Jego surowa twarz przybrała wyraz fascynacji, gdy wpatrywał się w jej błękitne oczy, a potem wyciągnął rękę i dotknął blond włosów. Kari uniosła brew, lecz poddała się posłusznie oględzinom.

Potem zwrócił się znowu do Niny i zapytał o coś. Ta popatrzyła bezradnie na di Salvo.

- Pyta o artefakt - wyjaśnił di Salvo. - Myślę, że chce wiedzieć, gdzie go znaleźliście.

- „Myślisz”? - powiedziała Nina, podnosząc głos o parę oktaw. - Jeśli powiem nie to, co trzeba, może mnie zabić!

- Po prostu powiedz, co wiesz! A ja postaram się to przetłumaczyć najlepiej jak umiem. Dialekt jest podobny do tego, jakiego używają plemiona żyjące znacznie dalej na północy.

- Podobny nie znaczy identyczny! - zauważyła Nina. Członek starszyzny wciąż obserwował ją chłodno. - Dobrze, dobrze! Powiedz mu, że zabraliśmy ten przedmiot złodziejowi w innej krainie, a potem używając wskazówek na mapie, przybyliśmy tutaj, aby zwrócić go prawowitym właścicielom.

Di Salvo zaczął tłumaczyć.

- Jesteś pewna, że artefakt pochodzi właśnie stąd? - spytał cicho Chase.

- Musi być stąd. Ci ludzie wiedzą, co to takiego.

Starzec znów przemówił. Di Salvo wysłuchał go z uwagą, a potem przetłumaczył.

- Mówi, że przedmiot został ukradziony przez białych ludzi w czasach jego pradziada. Ukarali niektórych białych, lecz reszta zdołała uciec.

- Ekspedycja nazistowska - powiedziała Kari. - To na pewno oni. Chase skrzywił się kwaśno.

- Zaostrzony kij w dupsko... to się dopiero nazywa kara. Di Salvo był zakłopotany.

- A teraz pyta o... Nie rozumiem. Pyta, czy panna Frost jest jedną ze... starych?

Kari i Nina wymienili spojrzenia.

- Zapytaj, co ma na myśli - powiedziała Nina.

- Ze starych, którzy wybudowali świątynię - przetłumaczył di Salvo. - Mówi, że mieli włosy jak... białe złoto.

- Powiedz, że właśnie dlatego przybyliśmy - odparła Kari z powracającą pewnością siebie. - Żeby się tego dowiedzieć.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - wymamrotał Chase. - Jeśli uznają, że kłamiesz, wbijacie na pal w pierwszej kolejności!

Starzec znów przemówił, jego dwaj towarzysze też zabrali głos. Di Salvo ledwo za nimi nadążał.

- Mówią, że przedmiot, nazywają go „wskazującym palcem”, musi wrócić na swoje miejsce w świątyni. Chcą, żeby pani to zrobiła, panno Frost.

- Ja? - Kari przygryzła wargę.

- Ten najstarszy mówi, że odłożenie artefaktu na miejsce będzie jednocześnie dowodem, że jest pani jedną ze starych... nie, dzieckiem starych.

- A jeśli nie jest? - spytała Nina.

Chase jęknął żałośnie i pokazał broń, która wciąż była w nich wymierzona.

- Daj spokój, doktoro. Sama rozumiesz.

- Och...

Di Salvo ciągnął dalej.

- Chcą zaprowadzić panią do świątyni, gdzie poddadzą panią... trzem próbom. Próbie siły, próbie zręczności oraz próbie... umysłu, jak myślę.

Nina uśmiechnęła się do niego nerwowo.

- Znowu! „Myślę” to nie to samo, co „wiem”.

- Jeśli przejdzie pani pomyślnie wszystkie próby, będzie to znaczyło, że jest pani godna, by wejść do świątyni. Jeśli nie... - Di Salvo wydał wargi. - Jak powiedział Eddie. Ten sam los dla nas wszystkich.

Chase skrzywił się boleśnie.

- A my możemy tylko czekać, aż zrobią z nas szaszłyki?

Kari wzięła głęboki oddech.

- Powiedz, że przyjmuję wyzwanie.

- Co?! - pisnęła Nina.

- Naprawdę? - zapytał wstrząśnięty di Salvo.

- Tak. Ale powiedz im, że chcę, aby towarzyszyli mi przyjaciele. - Skinęła na Chase'a i Ninę.

- O cholera - powiedział Chase, gdy di Salvo przekazywał starszyźnie prośbę Kari.

- Zwariowałaś? - syknęła Nina.

- Tam będziesz bezpieczniejsza niż tutaj - odparła Kari. - W świątyni przynajmniej mamy jakąś szansę. Ale nie znam ich pisma... a podejrzewam, że przyda mi się ktoś, kto je zna... A profesor Philby jakoś się nie rwie do pomocy.

Na krótką chwilę uraza o mało nie wzięła u Philby'ego góry nad przerażeniem.

- Właściwie to myślę, że...

Naczelnik starszyny przerwał mu, a jeden z myśliwych szturchnął go ostrzegawczo w plecy. Di Salvo znów przetłumaczył.

- Zgodzili się - powiedział zaskoczony. - Próby mają przejść dwie osoby. Ale ponieważ jest pani kobietą, pozwolą pani na dodatkowego pomocnika.

Kari pokiwała głową.

- Hm. Nigdy bym nie pomyślała, że to powiem, ale dziękuję Bogu za seksizm.

- Macie czas do zmroku. Jeśli nie wróćcie do tej pory ze świątyni, reszta z nas zostanie... - di Salvo pobladł - uśmiecony. I wy także, jeśli później wyjdziecie.

Castille spojrział w niebo.

- Słońce zajdzie za godzinę. Może nawet niecałą.

- W takim razie - powiedziała Kari, posyłając naczelnikowi władcze spojrzenie - do dzieła. Powiedz, żeby zdjęli nam pęta. I zapytaj, co możemy ze sobą wziąć do świątyni. - Popatrzyła na plecaki, które Indianie rzucili nieopodal na jedną kupę.

- Materiały wybuchowe, liny, łom albo dwa - zasugerował pod nosem Chase.

Myśliwi zdjęli im sznury z nadgarstków.

- Naczelnik mówi, że będą wam potrzebne tylko wasze ubrania i pochodnie - powiedział di Salvo. - To wszystko, czego potrzeba, aby pomyślnie przejść próby.

- Myślę, że to zły pomysł - powiedziała Nina do Kari, rozcierając zdrętwiałe ręce.

- To pomóż mi go wykorzystać jak najlepiej - odparła Kari.

- Jak udaje ci się zachować ten cholerny spokój?

- Wcale mi się nie udaje. Jestem absolutnie przerażona. Ale nie zamierzam okazywać tego przy tych wszystkich ludziach. I ty też nie powinnaś. - Kari położyła Ninie ręce na barkach. - Wiem, że cię na to stać, Nino. Zaufaj mi.

Pomimo narastającego lęku Nina poczuła się dziwnie podniesiona na duchu.

- Dobra, ufam ci. Ale jeśli zginiemy...

- Nie zginiemy.

Nina zaśmiała się nerwowo.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Zachód słońca będzie za pięćdziesiąt osiem minut - oznajmił Chase, spojrzawszy na zegarek. - Więc jeśli skończyście seans dziewczynskiej przyjaźni rodem z *Thelmy i Louise*, to może zaczniecie myśleć bardziej jak Lara Croft. - Jeden z Indian wyszedł z chaty, niosąc kilka długich kijków z końcami unurzanyymi w czymś, co wyglądało na smołę. - Pochodnie, he? Myślę, że stać nas na coś lepszego. - Unosząc ręce, Chase spojrzał pytająco na plecaki i bardzo powoli zaczął się przesuwac w ich stronę. Zaskrzypiały napinane cięciwy, gdy myśliwi wzięli go na cel. - Okej, ja być zupełnie niegroźny, widzicie, wielki przyjazny uśmiech...

Spocony - nie tylko z gorąca - dotarł do plecaków. Aż nader świadomy faktu, że jeden fałszywy ruch może mu przynieść gwałtowną i nadzwyczaj bolesną śmierć, ostrożnie wyciągnął z plecaka latarkę diodową. - Widzicie? Nie pistolet. Tylko latarka. Co jest zgodne z waszymi regułami, racja? Agnaldo, przypomnij im o regułach. - Włączył latarkę i poświecił nią najpierw na siebie, żeby pokazać, jak działa, a potem na myśliwych dookoła. Niektórzy odskoczyli do tyłu z zaskoczeniem, mrużąc oczy przed blaskiem... ale ku jego olbrzymiej uldze żaden nie wypuścił strzały. Jeden z mężczyzn podszedł i pomachał dłonią nad szkiełkiem, zdumiony, że nie wydziela ciepła. Powiedział coś do członków starszyny, którzy naradzili się między sobą zanim dali di Salvo odpowiedź.

- Pozwolą wam ją wziąć - przekazał di Salvo Chase'owi.

- Dobrze. A teraz, jeśli chodzi o materiały wybuchowe...

- Czas ucieka - powiedziała Kari. Podeszła do starszyny i wyciągnęła rękę. Lekko zaskoczony naczelnik położył metalową sztabę na jej dłoni. - Dobra. Nino, panie Chase, idziemy.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział Castille, gdy prowadzono ich do wejścia. - Mam nadzieję!

Mroczny korytarz miał około metra osiemdziesięciu centymetrów wysokości. Nina i Chase mieścili się w nim bez problemu, lecz czubek głowy Kari prawie dotykał sufitu i musiała schylać się, żeby ominąć kępy mchu i gałęzie powojów. Temperatura i wilgotność spadły gwałtownie, gdy weszli głębiej.

Nina zobaczyła coś na jednej ze ścian, gdy Chase oświetlił ją na chwilę latarką.

- Poczekaj, Eddie. Poświeć mi tutaj.

Z ciemności wyłonił się długi rząd symboli wyrytych w kamieniu. Znanych symboli.

- To ten sam język co na artefakcie - potwierdziła Nina. - Czyta się to jak... myślę, że to opis budowy świątyni. - Pochyliła się bliżej. Wśród znaków glozelskich i olmeckich dostrzegła coś nowego: grupy kresek i szewronów. - Myślę, że to liczby. Może daty albo...

- Nino, przepraszam, ale nie mamy czasu - przerwała jej Kari. - Będziesz musiała z tym poczekać do drugiej wizyty.

Rozczarowana Nina ruszyła za nią i Chase'em w głąb korytarza. Jakies dziesięć metrów dalej dotarli do zakrętu w lewo. Chase oświetlił podejrzliwie ściany i sufit.

- Coś nie tak, panie Chase? - spytała Kari.

- Nie wiem, jak wam, ale mnie cała ta gadka o trzech próbach napędziła pietra - powiedział. - Po prostu chcę sprawdzić, czy nie wleziemy w jakąś pułapkę.

- Eddie - westchnęła Nina. - Już ci powiedziałam, że nawet gdyby jakieś były, to przestałyby działać wieki temu.

- Tak? - Chase skierował snop światła z powrotem w stronę wejścia. - A co jeśli nasi przystrojeni w piórka kumple cały czas je naprawiali i konserwowali? W przeciwnym razie nie byłoby w tym żadnego wyzwania, prawda?

- Uu. - Ninę ścisnęło w żołądku, gdy zdała sobie sprawę, że Chase może mieć rację. - W takim razie... bądźmy ostrożni.

W korytarzu nie zauważyli pułapek, więc ruszyli dalej. Wkrótce doszli do następnego zakrętu.

- Myślicie, że to próba siły? - spytał Chase, gdy zatrzymali się przed wejściem do małej komnaty.

Była tylko trochę szersza od korytarza, miała może dwa i pół metra od ściany do ściany. Przy murze po prawej stał prostokątny kamienny blok o wysokości około metra, podobny do ławy. Dalej, przy końcu ławy, znajdował się następny korytarz, szeroki na niecałe półtora metra. Nad drugim końcem ławy zwisała gruba, mocno opleciona winoroślami gałąź, która zniknęła w otworze muru, a z drugiej strony łączyła się z mniejszym drewnianym drążkiem, tworząc literę „T”. Oprócz tego komnata była pusta.

Chase uniósł rękę, żeby obie kobiety zaczekały, gdy sam ostrożnie wszedł do pomieszczenia. Poświecił latarką w głąb wąskiego korytarza.

- Co tam jest? - spytała Kari.

- Drobną przeszkodą, oczywiście. Korytarz ma około siedmiu metrów długości, ale z sufitu sterczą jakby rury, więc trzeba manewrować między nimi. - Zrobił zawiedzioną minę. - Rury są najeżone kolcami. Więc raczej nie nadają się do tańca.

- A co z tym drewnianym czymś? - spytała Nina, wskazując ławę.

- To? Mam coś takiego w swojej siłowni! - Chase skinął głową, żeby weszły, a następnie usiadł okrakiem na ławie i położył się na grzbiecie pod drewnianym drążkiem. - Przypuszczam, że podnosi się to tak, jak przy wyciskaniu sztangi, a jak człowiek jest dostatecznie silny, to otwiera się przejście. - Zdał sobie sprawę z tego, że w suficie, dokładnie nad nim, znajduje się wnęka pasująca kształtem i rozmiarami do ławy, lecz nie zastanawiał się nad tym, do czego miałyby służyć.

Kari wzięła latarkę i poświeciła nią w głąb korytarza. Na pierwszy rzut oka wyglądał na ślepy, lecz po chwili dostrzegła nieduży kwadratowy otwór w ścianie naprzeciwko.

- Albo jedna osoba musi przytrzymać sztangę z ciężarem, podczas gdy druga musi przejść na koniec korytarza i uruchomić mechanizm otwierający następne drzwi. Starzec mówił, że do przejścia prób potrzebne są dwie osoby.

- To dlaczego po prostu nie przejść przez korytarz, zanim ktokolwiek uniesie ciężar? - zasugerowała Nina.

- Bo to byłoby zbyt łatwe. - Chase złapał drążek i uniósł go na próbę. Najpierw dał się podnieść łatwo, lecz po kilku centymetrach stawiał twarde opór. - To, co robimy? Mam to podnieść i zobaczyć, co się stanie, czy...

Kari znów zajrzała w głąb korytarza.

- I tak musimy tędy przejść, więc może byłoby lepiej, gdybyśmy najpierw dotarły na drugi koniec... Co o tym myślisz, Nino?

- Ja? - Nina przyjrzała się dwupółcentymetrowym kolcom sterującym z ustawionych pionowo słupów. Między nimi było dość miejsca, żeby nawet Chase mógł się przecisnąć, ale każde z nich musiałoby się nagimnastykować, żeby nie nadziać się na kolce. Podniosła wzrok i stwierdziła, że każdy słup znika w suficie w otworze o średnicy około piętnastu centymetrów. O dziwo, dziury w posadzce były dopasowane do drągów bardziej precyzyjnie. - Nie mam pojęcia.

- Pięćdziesiąt trzy minuty, doktoro - oznajmił Chase, łypiąc na zegarek.

Zdenerwowana ponagleniami spojrzała na koniec korytarza. Wnęka w murze była dość duża, by włożyć do niej rękę. Może w środku znajdowała się dźwignia, która otwierała jakieś drzwi.

- Okej, w takim razie... przejdziemy na drugą stronę. Kiedy tam dotrzemy, uniesiesz drążek i zobaczymy, co się stanie.

- I jeszcze coś, Nino.

- Tak?

- Nie podrap się. Ty też, szefowo. Zastrzyki przeciwłężcowe są bolesne.

- Postaramy się - zapewniła Nina, uśmiechając się pod nosem.

Kari weszła pierwsza, obróciła się bokiem i bez wysiłku minęła pierwsze słupki. Nina ruszyła za nią trochę mniej pewnie. Wkrótce spontanicznie i bez słów ustaliły porządek działania: Kari oświetlała drogę i posuwała się kilka kroków, potem przekładała latarkę do drugiej ręki, żeby Nina widziała, jak iść.

- Odezwiście się - powiedział Chase. - Mówcie mi, jak daleko zaszłyście.

- Przed nami jeszcze jakieś pięć metrów - zawołała Kari, robiąc krok do przodu. - Wciąż nie widzimy wyjścia, ale myślę, że wnęka...

Cyk.

Coś poruszyło się pod jej stopą.

- Co to było? - spytała Nina, przetykając ze strachu ślinę. Ze szpar między kamiennymi blokami posypał się pył i kurz. - O cholera.

- Szybko! - krzyknęła Kari, chwytając Ninę za nadgarstek i ciągnąc w głąb korytarza między kolczastymi słupami, podczas gdy cały sufit zaczął się obniżać ze straszliwym zgrzytem.

Nawet w półmroku Chase zobaczył, że sufit nad nim także się osuwa... a jednocześnie zatrzasnęły się drzwi do wyjścia. Teraz uświadomił sobie, jaką funkcję pełni wnęka w suficie nad ławą: dzięki niej sufit mógł się obniżyć tak, żeby zmiażdżyć intruzów!

14

O mój Boże! - zawołała Nina, gdy Kari pociągnęła ją za rękę między słupami.

Jeden z kolców rozdarł Ninie rękaw. Krzyknęła, instynktownie cofając się przed źródłem bólu... i nadziała się na następny lewym ramieniem.

Za nimi Chase rozpaczliwie pchał sztangę do góry, nie wiedząc, co innego robić. Była ciężka, lecz nie na tyle, żeby nie mógł jej utrzymać, mogła ważyć z dziewięćdziesiąt kilo.

Sufit obniżał się teraz wolniej, ale się nie zatrzymał.

- Trzymam go! - zawołał. - Idźcie dalej!

Nina pisnęła z bólu, gdy Kari pociągnęła ją za rękę, a kolec poruszył się w ciele. Kari natychmiast ją puściła i zawróciła, żeby jej pomóc... lecz obniżony sufit sprawiał, że musiała stać w półprzysiadzie, co utrudniało jej ruchy.

- Idź dalej! - zawołała Nina. Łzy spłynęły jej po policzkach.

- Nie zostawię cię! - Kari chwyciła ją za rękę. - Chodź! Dasz radę! Tłumiąc jęk, Nina wyszarpnęła się. Na koszulę trysnęła krew.

- O Boże!

- Chodź! - Kari poprowadziła ją między słupami. Były w połowie drogi, miały do pokonania jeszcze trzy metry... ale wciąż musiały wyminąć kilka kolczastych przeszkód.

Sufit nadal się obniżał, ze skalnych bloków sypały się pył i piasek. Teraz był prawie na wysokości głowy Niny, Kari musiała się schylić.

Chase trzymał drążek w wyprostowanych ramionach. Przynajmniej mógł w ten sposób utrzymywać ciężar niemal w nieskończoność...

Następne szczęknięcie, a potem coś dużego i ciężkiego poruszyło się za murem. Jakiś mechanizm...

Łup!

Nacisk na ramiona Chase'a gwałtownie się zwiększył.

- Jezu! - stęknął, zaskoczony. Ciężar, który podtrzymywał, zwiększył się co najmniej o dwadzieścia kilo. Chase zgiął ręce w łokciach...

I sufit zaczął się obniżyć szybciej.

- Kurwa mać! - Napiął mięśnie i wyprostował znowu ręce.

Sufit nieznacznie zwolnił... Korytarz miał teraz tylko półtora metra wysokości i wciąż się kurczył.

- Idź dalej! - krzyknęła Kari. Miała do pokonania jeszcze tylko dwa i pół metra, potem dwa... lecz każdy następny krok był mniejszy od poprzedniego, bo coraz trudniej było jej ustać na nogach w niewygodnej pozycji.

Chase znów usłyszał mechaniczny zgrzyt.

- Uwaga! - stęknął przez zaciśnięte zęby, właśnie gdy - bum! - spadł następny ciężar, jeszcze większy niż poprzedni. Chase ryknął z wysiłku, starając się utrzymać wyprostowane ramiona mimo dodatkowego obciążenia. Trzymał teraz dobrze ponad sto czterdzieści kilogramów, a siła, z jaką ostatni ciężar spadł na pozostałe, o mało nie wytrąciła mu drążka z rąk.

Jeszcze jeden taki ciężar i próba będzie skończona.

Sufit zsunął się gwałtownie, zanim znów zwolnił. Uderzył Kari, która potknęła się i padła na jeden ze słupków. Zagięty kolec wbił się głęboko w jej lewy biceps. Kari zdusiła okrzyk bólu, próbując się oswobodzić, lecz sufit dalej na nią napierał, wpychając zadziór kolca głębiej w jej ramię.

- Nino! - stęknęła przez łzy. - Nie mogę się ruszyć! Musisz dojść do końca sama!

Nina spojrzała przed siebie. Jeszcze tylko niecałe dwa metry... lecz Kari zablokowała najłatwiejsze przejście między słupami.

- Nie dam rady!

- Nieprawda, dasz! Musisz! Nino, idź! Kari puściła jej rękę.

Z twarzą oblaną strugami potu Chase znów usłyszał szczęk mechanizmu. Zaraz miał spaść następny ciężar.

- Dłużej nie utrzymam! Nina ruszyła.

Pochylona, tyłem głowy szorując o sufit, przywarła jak najmocniej do ściany i precyzyjnie się obok pierwszego słupka. Jeden z kolców rozdarł jej koszulę, ale przeszła.

Jeszcze niecałe półtora metra.

Chase przygotował się na uderzenie następnego głazu, wiedząc, że nie będzie w stanie go utrzymać.

Nina prześlizgnęła się między dwoma kolejnymi słupami, lecz sufit był teraz zbyt nisko, by mogła iść. Padła na czworaka. Następny zadziór wbił się w udo.

Zimne kamienne bloki przyciskały się do policzka i barków Kari, sprawiając, że kolec wrzynał się coraz głębiej w jej rękę. Jeszcze pół metra... Cyk!

- Kurwa... - stęknął Chase, napinając wszystkie mięśnie do granic możliwości.

Nina zobaczyła, jak ciemny otwór w ścianie z przodu zaczyna znikać za obniżającym się sufitem.

Ból w ramieniu był już nie do zniesienia, Kari krzyknęła.

Podobnie jak Chase, gdy mięśnie w końcu odmówiły mu posłuszeństwa i opuścił ręce pod ciężarem następnego głazu.

Sufit obniżył się gwałtownie.

Nina rzuciła się do przodu, wsuwając rękę w otwór, gdy sufit osunął się niczym ostrze gilotyny.

Jej dłoń natrafiła na drewnianą klamkę. Nacisnęła ją. Nic się nie stało... W końcu zgrzytnął.

Z chrzęstem kamienia trącego o kamień sufit się zatrzymał.

Chase otworzył oczy. W docierającym z korytarza świetle latarki zobaczył, że drewniany drążek znajduje się teraz dwa i pół centymetra nad jego szyją... a zaledwie o palec wyżej jest kamienny sufit, który za chwilę by go zmiażdżył.

Kari zastygła zupełnie nieruchomo. Najdrobniejszy gest sprawiał, że ból stawał się bardziej dotkliwy. Usiłowała zobaczyć, co się stało z Niną.

Prawa ręka Niny utkwiała w otworze. Sufit opadł tak nisko, że nie mogła jej wyjąć. Jeszcze parę centymetrów i kamienny blok zgruchotałby jej kości, a potem uciał ramię nad łokciem.

Rozległ się następny chrzęst i znów posypał się pył. Sufit zaczął się podnosić.

Chase zerknął na bok. Drzwi broniące dostępu do wyjścia ponownie się otworzyły.

Nina wyciągnęła rękę z otworu i obejrzała się za siebie. Twarz Kari, oświetlona od dołu latarką, była pełna bólu... ale też niewiarygodnej ulgi. Nina ruszyła z powrotem między słupami, żeby jej pomóc. Kari z jękiem cofnęła rękę, pozbywając się kolca z ciała. Przez dziurę w koszuli popłynęła krew.

- O Boże - powiedziała Nina, przyciskając dłoń do rany. - Eddie! Eddie! Kari jest ranna, potrzebuje pomocy!

- Nie ona jedna - stęknął Chase, gdy wyślizgnął się spod drążka, a potem sturlał z kamiennej ławy. Kiedy podźwignął się na nogi, ledwo mógł ruszyć obolałymi ramionami. - Przydałoby mi się trochę światła.

Nina podniosła latarkę i oświetliła korytarz, żeby Chase mógł przejść między słupami. Kiedy był w połowie drogi, sufit znalazł się w pierwotnym położeniu i chrzęst kamieni ucichł.

Potem rozległ się kolejny trzask, tym razem od strony ściany na końcu korytarza.

Nina poświeciła w tamtym kierunku i zobaczyła, że otwiera się przejście.

Jeden z kamiennych bloków obrócił się do tyłu, ukazując ciemność po drugiej stronie.

- Nino... - powiedziała Kari, patrząc na krew na jej ramieniu.

- To nieważne, twoja rana jest gorsza. Eddie!

Chase podszedł do nich, ledwo mieszcząc się między słupkami i zawadzając skórzaną kurtką o kolce.

- Co się stało? Niech no zobaczą. Nina poświeciła na ranę.

- Wbił się jej jeden z tych kolców.

- Jezu - wymamrotał Chase, ostrożnie odsuwając mokry materiał, żeby się lepiej przyjrzeć. - Rana jest głęboka, a apteczka została na zewnątrz, w wiosce.

- Nie szkodzi - powiedziała Kari, prostując się. - Nie mamy czasu, musimy iść dalej. Ile minut nam zostało?

Chase podniósł rękę, żeby spojrzeć na zegarek, i stęknął boleśnie.

- Nic ci nie jest? - spytała Nina.

- Czuję się, jakby jakiś sukinsyn zrzucił na mnie samochód. Mamy... czterdzieści dziewięć minut.

- I dwie próby do przejścia - zauważyła Nina smętnie.

- Poradzimy sobie - powiedziała Kari bez cienia wątpliwości w głosie. - Chodźmy.

Kiedy przeszli na drugą stronę, Chase uparł się, żeby opatrzyć kobietom rany. Rozerwał rękaw i obwiązał nim ramię Kari, tamując krwawienie. Rana Niny była płytsza, więc wykorzystał z kolei jej rękaw jako bandaż.

- Nic lepszego nie mogę w tej chwili zrobić - powiedział przeprasząc. - Obie rany trzeba będzie zszywać, kiedy się stąd wydostaniemy. No i nie obędzie się bez zastrzyków. Nie chcielibyśmy, żeby zainfekował was jakiś paskudny robal. Nina zadrżała.

- Boże. Nie mogę uwierzyć, że tak niewiele brakowało.

- A tu jeszcze dwie próby - przypomniał jej Chase.

- Tak, dzięki za dodanie mi otuchy. A ty się spoczęś.

- Myślę, że mogę powiedzieć oficjalnie: „Jestem w opałach”.

- Przeszliśmy próbę siły - zauważyła Kari, ostrożnie zginając rękę i krzywiąc się lekko. - Więc została nam próba zręczności i próba umysłu.

- Chciałem powiedzieć, że mam nadzieję, że okażą się łatwiejsze niż ta - rzekł Chase - ale... jakoś nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne.

- Mnie też - przyznała Kari. - Ale wiem, że może nam się udać. Ile mamy czasu?

- Czterdzieści sześć minut.

- Zobaczymy więc, o co chodzi w tej próbie zręczności.

Ruszyli ostrożnie kolejnym korytarzem, który zakręcał kilka razy, zanim oprócz swoich kroków usłyszeli coś jeszcze. Chase poświecił do przodu. Korytarz rozszerzał się, tworząc większą komnatę.

- Woda - powiedział.

- Wewnątrz świątyni? - zdziwiła się Nina.

- Mówiłaś, że to świątynia boga mórz... - Przyśpieszyli kroku. - Stanowczo chlupot wody. Może rzeczka, którą widzieliśmy obok osady, przepływa też przez świątynię.

Przypuszczenie potwierdziło się kilka sekund później, gdy wąski korytarz się rozszerzył. Cała trójka stanęła na półce biegnącej wzdłuż ogromnego basenu wypełnionego mętną zielonkawą wodą. Sufit nad półką był równie niski jak w klaustrofobicznym korytarzyku, lecz sklepienie nad basenem okazało się o wiele wyższe.

Chase oświetlił latarką wodę, cienie zatańczyły na ścianach. Basen, długi na co najmniej trzydzieści metrów, miał około siedmiu metrów szerokości. Nad nim przewieszono coś, co Nina z początku wzięła za linę, a co przy bliższych oględzinach okazało się drewnianą kładką o szerokości najwyżej trzech centymetrów, która była podparta słupkami sterczącymi z wody. Kładka znajdowała się czterdzieści centymetrów poniżej półki... i tylko piętnaście centymetrów nad wodą.

- I co teraz? - zastanawiał się Chase.

Kari wskazała drugi koniec kanału.

- Co to?

W świetle latarki ukazał się błyszczący złoty sztylet spoczywający ostrzem do dołu w płytkim wgłębieniu dokładnie nad drugim końcem kładki. Trzy metry nad nim, wzdłuż przeciwległej ściany komnaty, biegł parapet, lecz zdawało się, że nie można się na niego w żaden sposób dostać.

- Próba zręczności - powiedziała Nina, zbliżając się do krawędzi półki i kucając, żeby dokładniej przyjrzeć się drewnianej kładce. - Trzeba przejść po kładce i wziąć sztylet.

Uwagę Chase'a zwróciło coś innego pod kamienną ścianą basenu.

- I wtedy tamto opada, żeby pozostali mogli przejść. - Po drugiej stronie znajdował się wąski most zwodzony podtrzymywany przez liny. Chase narysował w powietrzu łuk, imitując ruch spuszczanego mostu z przeciwnej ściany aż na brzeg półki, na której stali.

Nina uważnie przyglądała się basenowi. Z dwóch stron, tuż nad wodą, zobaczyła łuki otworów, które uznała za akwedukty, doprowadzające wodę.

- Dlaczego po prostu nie przepłynąć w pław? - zastanawiała się na głos. - Nie wiem, jak tu jest głęboko, ale...

Nagle mętna woda zakotłowała się i wynurzyła się para szczęk...

Kari chwyciła Ninę za kołnierz i pociągnęła do tyłu, gdy kajman kłapnął pyskiem tam, gdzie przed chwilą była jej głowa. Czterometrowy drapieжник rzucił się i drapał pazurami brzeg basenu, lecz nie dał rady sforsować pionowej kamiennej ściany. Nie zdołał się zaczepić i zsunął się do wody z groźnym sykiem.

Nina była tak wstrząśnięta, że zaniemówiła.

- Nic ci się nie stało? - spytała Kari, gdy Chase'owi wyrwało się znacznie głośniejsze: „Jezu!”

Nina zdołała tylko wymamrotać:

- Jezu Chryste!

- Właśnie dlatego nie możemy przepłynąć w pław - powiedział Chase. - Nie zdziwiłbym się, gdyby były tam także piranie.

- Jak to cholerstwo się tu dostało? - wrzasnęła Nina, cała roztrzęsiona. - Jesteśmy w świątyni sprzed pięciu tysięcy lat, do jasnej cholery!

Chase spojrział na zanikające fale.

- Dzięki tym draniom z wioski. Fakt, że pułapki działają, to też ich sprawka.

- Już dobrze, już dobrze, Nino - powiedziała Kari, próbując ją pocieszyć. - Panie Chase, czy widzi pan coś jeszcze?

Nie podchodząc za blisko krawędzi, Chase pochylił się nad basenem i poświecił latarką do góry.

- Coś tam jest, nad kładką, ale nie widzę dokładnie. Coś jakby wnęka w ścianie.

- Może pan dosięgnąć?

- Nie, jest zbyt wysoko... A, już rozumiem. Żeby się dobrze przyjrzeć, trzeba przejść na drugą stronę, do miejsca, gdzie jest sztylet.

Kari wzięła głęboki oddech.

- W takim razie chyba powinnam po niego pójść.

- Ty? - zaprotestowała Nina. - Przecież jesteś ranna!

- Jesteś pewna, szefowo? - zapytał Chase. - To znaczy, kładka jest wąska, ale prawdopodobnie udałoby mi się przejść...

W odpowiedzi Kari bez wysiłku zrobiła gwiazdę i stanęła tylko na prawej, zdrowej ręce, po czym z gracją postawiła nogi z powrotem na ziemi.

- Okej - powiedział Chase, kiwając głową. - Więc pani pójdzie po sztylet...

Nina spojrzała na basen.

- Kari, jesteś pewna? Jeśli któraś z tych bestii cię zobaczy...

- Nie mamy wyboru - powiedziała Kari, podchodząc do kładki. - Ile czasu nam zostało?

- Czterdzieści pięć minut - odparł Chase.

- Lepiej, żebym się pośpieszyła. - Ostrożnie zeszła z półki na drewnianą kładkę, która zaskrzypiała, uginając się lekko. Uspokoila się i powoli wyciągnęła ramiona na boki, powstrzymując ciche stęknienie, gdy zabolala ją ranna ręka. - Okej. Idę.

Zrobiła pierwszy krok. Belka znów zaskrzypiała, tym razem głośniejsze. Ku przerażeniu całej trójki, zachybotała się, gdy podtrzymujące ją słupki zachwiały się w wodzie, tworząc kręgi fal.

W basenie pojawiły się też inne fale, w pobliżu akweduktu odprowadzającego wodę. Złowrogie ślepie kajmana wynurzyły się na powierzchnię, reszta jego długiego cielska była ledwo widoczna pod mętną od alg wodą.

- Kari... - ostrzegła ją Nina.

- Widzę - Uspokoila ją Kari, skupiając uwagę z powrotem na cienkiej kładce, gdy krok po kroku posuwała się dalej. Była teraz w połowie drogi między dwoma słupkami podporowymi i kładka ugięła się niepokojąco, wisiała niecałe dziesięć centymetrów nad wodą.

Kajman poruszył się, machając ogonem na boki, gdy do niej podpływał.

Kari zignorowała go, koncentrując się wyłącznie na zachowaniu równowagi. Następny słupek był teraz prawie dokładnie pod nią, więc kładka nie opadała tak bardzo, ale cała konstrukcja wciąż się chybotala. Utrzymanie się w pionie wymagało ogromnej zręczności.

Cichy plusk sprawił, że Nina odwróciła głowę i zobaczyła drugiego kajmana, który wynurzył się po przeciwnej stronie basenu. Był większy od pierwszego. Jego cielsko unosiło się na powierzchni niczym drewniana kłoda.

Kłoda z kłami. Gad leniwie otworzył paszczę, sycząc złowrogo.

Kari przyspieszyła kroku. Była teraz w połowie drogi, kładka znów ugięła się pod jej ciężarem. A każdy krok sprawiał, że chybotala się trochę bardziej.

Kari widziała teraz sztylet wyraźnie. Koniec ostrza leżał w małym metalowym kubeczku, który wydawał się być połączony z jakimś mechanizmem za wnęką. Następna pułapka?

Zobaczyła też bardzo wąski gzyms w ścianie tuż nad zejściem z kładki. Był tak mały, że zauważyła go dopiero teraz. Miał niecały metr długości i ledwie centymetr szerokości - w sam raz, by można było stanąć na nim na palcach. Wyraźnie budowniczy świątyni umieścili go tam celowo, lecz na razie ich rozumowanie pozostawało dla Kari niejasne. Miała jednak dziwne przeczucie, że gdy wreszcie pozna odpowiedź, wcale jej się to nie spodoba...

Kładka się zachybotała.

Na moment za bardzo skupiła uwagę na tajemniczym gzymsie - ale moment wystarczył, by stracić równowagę. Rozpaczliwie usiłowała się znów wyprostować, lecz przechyliła się za bardzo na bok. Za sekundę wpadnie do basenu, prosto w paszcze czekających kajmanów...

Rzuciła się do przodu, chwytając kładkę obu rękami, gdy wylądowała na brzuchu. Lądowanie zabolalo ją jak uderzenie pałką. Ścisnęła kolanami drżącą deskę, żeby nie wpaść do wody.

- Kari! - krzyknęła Nina.

Chase ściągnął kurtkę, gotowy wskoczyć za nią do basenu.

- Kurwa, nie uda jej się!

Zwabione hałasem kajmany zaczęły podpływać bliżej.

- Won! - krzyknęła Kari. Kolana wciąż miała pod wodą, lecz zdołała zahaczyć stopami o belkę, żeby przesunąć się do przodu.

Kajman, który znajdował się bliżej, wynurzył się i otworzył paszczę, ukazując wszystkie zęby...

- Ej! - ryknął Chase, siadając na kładce i mocno chlapiąc nogą w wodzie. - Tutaj! Hej!

Większy z kajmanów skręcił jednym machnięciem ogona i ruszył do Chase'a. Pierwszy, który wciąż płynął ku Kari, odwrócił łeb w kierunku hałasu... i dostał obcasem jej buta w bok czaszki tak mocno, że trzasnęło.

Kajman syknął, machnął gwałtownie ogonem i dał nura pod wodę. Kari gorączkowo pełzała po belce, oglądając się przez ramię na olbrzymiego gada. Krążył wokół niej.

Chase wierzgnął nogą jeszcze raz i wskoczył na półkę, gdy kajman wystrzelił z wody, rozwierając paszczę. Mocne pazury skrobały kamienną ścianę, gdy ogromne cielsko obilo się o drewnianą kładkę.

Kari o mało nie spadła do wody. Uczepiła się deski z całych sił, gdy kajman raz za razem trącał kładkę, próbując dosięgnąć Chase'a, zanim wreszcie schował się pod wodę.

Drugi kajman wciąż się do niej zbliżał, krople wody spłynęły mu po pysku, gdy wynurzył łeb. Poprzednim razem dostał nauczkę, więc teraz zamierzał zaatakować jej tułów. Kari popęzła dalej.

Dotknęła palcami zimnego kamienia. Wymacała wąski gzyms, chwyciła go i podciągnęła się do góry na tyle, by postawić stopę na kładce i się wyprostować.

Kajman zaatakował...

Kari złapała sztylet i dźgnęła kajmana między żółte ślepia, wbijając klingę głęboko w mózg. Gad uderzył o kładkę, a potem zsunął się martwy do basenu, gdy Kari wyszarpnęła sztylet.

W miejscu, gdzie w ciemnej wodzie rozlała się krew, powierzchnia zabulgotała nagle od dziesiątek płetw.

Chase miał rację.

Piranie!

Kari przywarła do ściany. Jedną stopą stała na kładce, która drgała, gdy cielsko kajmana obijało się o najbliższy słupek. Samym czubkiem buta zaczepiła o gzyms. Oczekała, aż kładka przestała się trząść, a potem obejrzała się, żeby sprawdzić skutki usunięcia sztyletu z miejsca. Coś się poruszyło, gdy wzięła sztylet...

Stały się dwie rzeczy równocześnie.

Gdzieś nad głowami Chase'a i Niny rozległ się głośny metaliczny szczęk. Kari dostrzegła jakiś ruch w otworze, który widział wcześniej Chase, lecz było zbyt ciemno, by można było zobaczyć dokładnie, co to takiego.

Kładka zaczęła się wsuwać w ścianę. Słupki zniknęły razem z kładką, tworząc w wodzie fale w kształcie litery „V” - całość była zamontowana na czymś w rodzaju ramy na dnie basenu, a teraz chowała się z alarmującą szybkością w kamiennym murze.

- Eddie, zrób coś, zatrzymaj to! - zaszlochała Nina, bezsilnie patrząc, jak kładka odsuwa się od półki, na której stali.

- Jak? - zapytał, rozglądając się w poszukiwaniu czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zablokować znikający mostek. Niczego takiego nie było.

Kari, bliska paniki, przestawiała stopę, aby utrzymać się na kładce jak najdłużej, lecz biorąc pod uwagę szybkość, z jaką mostek się chował, miała tylko minutę - nawet mniej - zanim cała konstrukcja zniknie w ścianie, a ona wyląduje w basenie z kajmanem i piraniami rozszarpującymi cielsko martwego gada.

W ręce wciąż trzymała sztylet, choć była to marna pociecha.

Sztylet...

Trzeba było zrobić z nim coś więcej, uświadomiła sobie. Musiała sztyletu jakoś użyć, a nie tylko go wziąć.

- Rzuć mi latarkę! - krzyknęła.

- Ale ona wpadnie! - zaprotestowała Nina, gdy Chase zamachnął się ramieniem.
- I tak wpadnie lada chwila! - odparł. - Kari! Gotowa?
- Tak!

Rzucił latarkę. Jasne światelko poleciało po łuku niczym spadająca gwiazda. Kari wyciągnęła zranioną rękę i latarka wylądowała jej w dłoni. Chwiejąc się, by zachować równowagę, Kari poświeciła w górę i wycelowała snop światła we wnękę wysoko po przeciwnej stronie basenu. Okazało się, że jest to rodzaj kwadratowej niszy o półmetrowych bokach. Wewnątrz lśnił metal, miedź albo złoto: okrągły przedmiot o średnicy trzydziestu centymetrów ustawiony pionowo jak tarcza.

Tarcza strzelecka.

Pozostał jej jeszcze tylko metrowy kawałek kładki, za kilka sekund zupełnie utraci oparcie.

Kari odwróciła się, stanęła na kładce obiema stopami i zamachnęła się prawą ręką, żeby rzucić sztyletem. Klinga błysnęła w świetle latarki...

Sztylet trafił z brzękiem w sam środek tarczy. Metalowy dysk przewrócił się do tyłu, znikając z widoku.

Kładka przestała się chować. Ze skrzypieniem drewna i naprężonych lin, most zwodzony po drugiej stronie komnaty opadł na brzeg basenu ze stłumionym trzaskiem.

Kari spojrzała w dół. Ze ściany wystawało jeszcze tyle kładki, że mogłaby stanąć na niej obiema stopami, gdyby odwróciła się bokiem.

Oparła się ręką o ścianę, bliska załamania.

- I co mam teraz zrobić? - zapytała.

Jakby w odpowiedzi, u góry rozległ się hałas. Z gzymsu biegnącego wzdłuż muru spadała powiązana w supły lina obciążona kawałkiem drewna.

Chase i Nina szli już na mostek.

- Spotkamy się po drugiej stronie! - zawołał Chase, gdy Kari chwyciła i pociągnęła linę, sprawdzając, czy się nie urwie... albo czy to nie jest następna pułapka. Lina wyglądała na mocną. Starając się nie obciążać za bardzo ręki, Kari wspięła się na gzyms. Miał tylko trzydzieści centymetrów szerokości, lecz w porównaniu z deską, na której stała przed chwilą, wydawał się szeroki jak autostrada.

Nina i Chase czekali już na nią po drugiej stronie, gdy zeskoczyła na posadzkę.

- Cholernie dobry rzut - powiedział Chase, gdy wyczerpana Kari oparła się plecami o ścianę. - Jak duży był cel? - Rozłożyła ręce na trzydzieści centymetrów, podczas gdy Nina sprawdziła stan jej prowizorycznego bandaża. - Jasny gwint, wątpię, żebym trafił. Wcale nie przesadzali, nazywając ten test próbą zręczności.

- Czeka nas jeszcze jedna próba - powiedziała Nina.

- Próba umysłu? To brzmi jak coś dla ciebie, doktorko. Czujesz się na siłach?

Uśmiechnęła się nerwowo.

- A mam jakiś wybór?

- Ile czasu nam zostało? - spytała Kari zmęczonym głosem.

- Mamy jeszcze... trzydzieści sześć minut - odparł Chase.

Wszyscy troje spojrzeli w korytarz prowadzący dalej w głąb świątyni. Mimo że nie różnił się od tych, które już przeszli, jakimś sposobem wydawał się bardziej nieprzystępny.

- No dobra - powiedziała Nina. - Mam nadzieję, że mój umysł przejdzie tę próbę.

Ostrożnie, uważając na ewentualne pułapki, ruszyli w głąb korytarza.

Coś nie dawało Ninie spokoju, ale nie wiedziała co. To nie był tylko skutek szoku adrenalinowego po tym, jak ledwo uniknęła śmierci. Czuła, miała wręcz pewność, że nie dostrzeża czegoś istotnego.

Znaleźli się przed następną komnatą.

- Czekajcie - powiedział Chase, zatrzymując się przed wejściem. Oświetlił latarką pomieszczenie. - Mniejsze niż ostatnie.

W porównaniu z ogromną komnatą z basenem to pomieszczenie było zaledwie klitką, miało około trzech metrów długości. W przesuującym się kręgu światła Nina spostrzegła, że ściany są pokryte znakami w tym samym języku co ramię atlantydzkiego sekstansu i wejście do samej świątyni.

- Wygląda na bezpieczne - oświadczył Chase - ale nie wierzcie mi na słowo. Po prostu bądźcie ostrożne. - Wszedł do pomieszczenia, przystanął, jakby spodziewał się uruchomienia jakiejś ukrytej pułapki, a potem skinął na Ninę i Kari, że droga wolna. - Okej. No to mamy próbę umysłu. Do roboty, doktorco.

- Jasne... - powiedziała Nina, biorąc latarkę, żeby móc się przyjrzeć inskrypcjom na ścianach. - O Boże! Przetłumaczenie tego może zająć wiele dni!

- Do zachodu słońca zostały jeszcze trzydzieści trzy minuty. Więc myśl szybko.

- Nino, patrz tutaj. - Kari zbliżyła się do ściany naprzeciw wejścia. Znajdował się tam pozbawiony napisów kamienny blok, który wyglądał na drzwi, a obok coś, co przypominało...

- Waga - powiedziała Nina. Skierowała latarkę niżej. W wykutej w skale misie leżało około setki ołowianych kulek wielkości wiśni. - Przypuszczalnie musimy położyć odpowiednią liczbę kulek na wadze. Ale skąd mamy wiedzieć, ile ich powinno być? - Przy miedzianej szalce wagi znajdowała się dźwignia. Nina wyciągnęła do niej rękę, lecz Kari ją powstrzymała.

- Mamy tylko jedną szansę - powiedziała, wskazując na sufit.

Wisiała tam duża metalowa krata najeżona kolcami o długości trzydziestu centymetrów, która mogła zabić wszystkich w pomieszczeniu. Nina pośpiesznie cofnęła dłoń.

Poświeciła latarką dookoła, aż natrafiła na duże symbole wyryte nad zamkniętymi drzwiami. Były ułożone w trzech rzędach, jeden nad drugim. W górnym rzędzie widniały trzy różne rodzaje znaków, zaś w dwóch niższych pięć. Nina natychmiast rozpoznała pierwszy symbol. Grupy drobnych znaczków przypominających apostrofy...

- To liczby - oznajmiła. - Mamy do czynienia z jakimś matematycznym działaniem. Wynik wskaże nam, ile kulek umieścić na szali.

- I to wszystko? - Chase sprawiał wrażenie zawiedzionego. - Jezu, nawet ja mógłbym sobie poradzić. Zobaczmy... w pierwszym wierszu mamy trzy kropeczki, pięć odwróconych liter „V”, siedem pochyłonych liter „L”, dwie boczne strzałki z kreseczkami poniżej, cztery odwrócone litery „N” i jedno odwrócone „N” z kreseczką obok. Czyli trzysta pięćdziesiąt siedem tysięcy dwieście czterdzieści jeden. Łatwizna.

- I byś się pomylił - powiedziała Nina z uśmiechem. - Porządek cyfr jest odwrotny niż u nas: kropeczka jest najmniejszą cyfrą, każda z nich jest liczona osobno. Tak więc pierwsza liczba to w rzeczywistości sto czterdzieści dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt trzy. To ten sam symbol, który widnieje na mapie wyrytej na ramieniu sekstansu, a wiem, że musi oznaczać jedynekę, bo inaczej nigdy byśmy tutaj nie dotarli.

- No dobra, mądrało. - Chase wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Więc następne liczby to osiemdziesiąt siedem tysięcy pięćset dwadzieścia siedem oraz trzydzieści cztery tysiące sto sześćdziesiąt cztery. I co teraz? Mamy je od siebie odjąć? To by dawało, ee...

- Dwadzieścia jeden tysięcy sześćdziesiąt dwa - powiedziały Nina i Kari prawie jednocześnie.

Chase zagwizdał z podziwem.

- Okej. Więc nie potrzebujemy kalkulatora. Ale wykluczone, żeby w misie było aż dwadzieścia jeden tysięcy kulek.

- A może to kombinacja paru działań? - podsunęła Kari. - Na przykład, odjąć drugą liczbę od pierwszej, a wynik podzielić przez trzecią?

- To by było zbyt skomplikowane - odparła Nina, wpatrując się w liczby. - Nie widzę symbolu, który sugerowałby konieczność przeprowadzania różnych działań. Poza tym... - Zmarszczyła brwi. - Wynik byłby ułamkiem, a nie sądzę, żeby położenie jednej przecinek sześćdziesięciu dwóch kulek stanowiło właściwe rozwiązanie.

Chase się skrzywił.

- Jasny gwint. Na samą myśl o policzeniu tego w głowie robi mi się niedobrze.

- Suma pierwszej i trzeciej liczby podzielona przez drugą daje dwa i dwie setne - zasugerowała Kari. - Wątpię, żeby wyliczali wynik do drugiego miejsca do przecinka. Możliwe, że po prostu zaokrąglili go do dwóch...

- Zbyt skomplikowane! - wykrzyknęła Nina. - I zupełnie dowolne. Pierwsza liczba plus trzecia, podzielone przez drugą? To tak, jakby układać krzyżówkę, ale zapomnieć o podaniu haseł z podpowiedziami! - Potoczyła latarką dookoła, znów przyglądając się pozostałym ścianom. - Podpowiedź musi być gdzieś indziej, w innym tekście. Po prostu muszę ją znaleźć.

- Tik-tak, doktorko - powiedział Chase. - Dwadzieścia dziewięć minut.

Nina przyklękła przy jednej ze ścian, przebiegając wzrokiem symbole. Po chwili prychnęła z irytacją.

- Wszystko to dotyczy budowy miasta, a następnie dziejów mieszkańców. Nie widzę niczego, co w jakikolwiek sposób odnosiłoby się do zagadki.

- Nie ma niczego o Atlantydzie? - spytała Kari.

- Niczego takiego nie widzę. - Nina przemierzyła z pośpiechem komnatę, aby przyjrzeć się ścianie po przeciwnej stronie. - Tutaj jest to samo. To niemal rejestr miejski, kronika życia plemienia rok po roku. Ile dzieci się urodziło, ile było zwierząt w zagrodach... Muszą się tu znajdować dane z kilkuset lat. Ale nie ma niczego, co odnosiłoby się do zagadki! - Gniewnie wskazała kciukiem symbole nad drzwiami.

- Coś właśnie przyszło mi do głowy - odezwał się Chase. - To ma być próba umysłu, racja? Więc może to rodzaj ćwiczenia z myślenia lateralnego?

- To znaczy? - spytała Kari.

- To są drzwi, prawda? - Podeszedł do niezapisanego kamiennego bloku. - Nawet nie pomyśleliśmy o tym, żeby po prostu je otworzyć.

- To spróbuj! - powiedziała Nina.

Chase wyciągnął rękę i pchnął kamienną płytę. Ani drgnęła. Spróbował jeszcze z lewej, a potem prawej strony. Nic się nie stało. Dla pewności spróbował też ją unieść, a później pociągnąć ku sobie. Nadal nic.

- Kurczę! - wykrzyknął, robiąc krok w tył. - Naprawdę myślałem, że to może zadziałać.

- Ktoś inny też - powiedziała Nina, podchodząc do niego. - Zobacz! Właśnie zdałam sobie sprawę z tego, że drzwi nie są tej samej barwy co reszta pomieszczenia. Zostały wykute z innej skały. Na kamieniach obok są ślady po dłucie i łomie, ale sama płyta drzwi jest nienaruszona. Musiała zostać dodana później przez Indian! Ktoś nie chciał rozwiązywać zagadki i po prostu rozbił drzwi.

- Naziści? - zasugerowała Kari.

- To by było w ich stylu - stwierdził Chase. - Musieli przekonać Indian do wniesienia tu czegoś więcej niż tylko latarki.

Kari pokiwała głową.

- Prawdopodobnie sterroryzowali ich karabinami.

- Racja. Szkopuł w tym, że my nie mamy łomów. Więc musimy główkować.

Nina podeszła do napisów na ścianie obok.

- Myślę, że może nam się udać. W tych liczbach jest coś zastanawiającego. Patrzcie. - Powiodła palcem wzdłuż rzędu symboli. - Widzicie? Są zgrupowane co najwyżej po osiem. Nigdy po dziewięć czy dziesięć. Osiem tutaj, osiem tu i tu...

- Myślisz, że mogli stosować system ósemkowy? - spytała Kari.

- Możliwe. Nie byłoby jedyną starożytną cywilizacją, która się nim posługiwała.

- Co takiego odkryłaś? O co biega z tymi ósemkami? - spytał Chase.

- Przypuszczam, że bezzasadnie przypisaliśmy ludziom, którzy zbudowali świątynię, nasz sposób myślenia - powiedziała Nina z błyskiem entuzjazmu w oku. - Założyliśmy, że posługiwali się systemem dziesiętnym. - Zauważyła pytające spojrzenie Chase'a. - Nasza arytmetyka opiera się na wielokrotnościach liczby dziesięć. Na dziesiątkach, setkach, tysiącach...

- Ponieważ mamy dziesięć palców, racja? Matnę na maturze akurat zdałem - powiedział. - No, prawie.

- To bardzo rozpowszechniony system - mówiła dalej Nina. - Używali go starożytni Grecy, Rzymianie, Egipcjanie... Jest tak rozpowszechniony, bo masz go dosłownie pod nosem.

- Uniosła dłonie i rozczapierzyła palce. - Ale nie jest to system jedyny. Sumeryjczycy za podstawę przyjmowali sześćdziesiąt.

- Sześćdziesiąt? - zakpił Chase. - Komu chciałoby się liczyć w taki dziwaczny sposób?

- Na przykład panu. - Uśmiechnęła się Kari. - Za każdym razem, gdy spogląda pan na zegarek. Sześćdziesiątka jest podstawą naszego całego systemu mierzenia czasu.

- Racja. - Pokiwał z zakłopotaniem głową.

- Ludy starożytne używały też mnóstwa innych systemów numerycznych - podjęła Nina. - Majowie wykorzystywali system oparty na dwudziestu, zaś Europejczycy w epoce brązu posługiwali się systemem ósemkowym... - Odwróciła głowę, spoglądając z powrotem na symbole. - System ósemkowy. Tak, to musi być to!

- Dlaczego ktokolwiek miałby przyjąć za podstawę akurat ósemkę? - zdziwił się Chase. W odpowiedzi Kari rozstawiła wszystkie palce oprócz kciuków. - A, kapuję: używali kciuków do liczenia na palcach, ale ich samych nie brali pod uwagę?

- Tak się to hipotetycznie wyjaśnia - potwierdziła Nina, przyglądając się napisom. - W związku z tym zamiast jednego, dziesięciu, stu powinniśmy mieć jeden, osiem, sześćdziesiąt cztery... - Podbiegła do drzwi. - Więc pierwsza kolumna zawiera pojedyncze jednostki, druga ich ośmiokrotność, trzecia - sześćdziesięcioczworokrotność, czwarta-pięćsetdwunastokrotność, piąta - czterytysiąc sześćdziesięcioczworokrotność, a szósta...

- Trzydzieści dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt cztery jednostki - dokończyła Kari.

- Właśnie. Więc pierwsza liczba to, zobaczmy... trzy jednostki plus pięć ósemek, plus sześćdziesiąt cztery razy siedem...

Chase jęknął.

- Zostawię te obliczenia wam. Kari uzyskała wynik pierwsza.

- Pięćdziesiąt tysięcy sześćset sześćdziesiąt siedem.

- Okej - powiedziała Nina. - Ty wylicz drugą liczbę, a ja trzecią. - Po chwili umyślowego wysiłku miały odpowiedzi: trzydzieści sześć tysięcy sześćset dziewięćdziesiąt pięć oraz czternaście tysięcy czterysta pięćdziesiąt dwa. - Dobra! Więc po odjęciu drugiej i trzeciej od pierwszej mamy...

Obie się zamyśliły. Chase przyglądał im się uważnie... tylko po to, by zobaczyć, jak obu rzędną miny.

- Co? Jaka jest odpowiedź?

- Minus czterysta osiemdziesiąt - odparła ponuro Nina. - To nie może być system ósemkowy.

- A dziewiątkowy? - zapytała Kari. - Skoro dziesiętny daje liczbę zbyt wysoką, a ósemkowy zbyt niską...

- Wynik i tak szedłby w tysiące. Cholera! - Nina spojrzała pytająco na Chase'a.

- Dwadzieścia cztery minuty.

- Szlag! Czas nam się kończy! - Kopnęła gniewnie w kamienne drzwi. - Czego, do cholery, nie widzimy?

Chase przykucnął i zaczął przegrzebywać ołowiane kulki w nadziei, że znajdzie jakąś ukrytą wskazówkę. Na próżno.

- A może po prostu wybierzemy liczbę kulek na chybił trafił? Istnieje przecież szansa, że nam się uda.

Nina dotknęła swojego wisiorka.

- Musielibyśmy mieć mnóstwo szczęścia.

- To wszystko, co nam pozostało. Nie możemy się po prostu poddać... Jeśli wrócimy tą samą drogą, którą przyszliśmy, Indianie zabiją nas, gdy tylko przestąpimy próg świątyni. Hugona, Agnaldo i profesora też.

- Jeśli się pomylimy, i tak zginiemy - przypomniała mu Kari i wskazała kolce pod sufitem.

- Może istnieje jakiś sposób, żeby pociągnąć za dźwignię na odległość, z korytarza...

Ale Nina przestała już słuchać. Jej myśli skupiły się na czymś innym, co powiedział Chase...

„Jeśli wrócimy tą samą drogą”...

Właśnie to nie dawało jej spokoju przez cały ten czas.

- Jest jeszcze inna droga! - wykrzyknęła. - Musi być! Indianie dbają o świątynię, konserwują pułapki... i muszą je ponownie nastawiać. I naprawiać. - Skinęła na kamienne drzwi. - Ale niemożliwe, żeby budowniczowie zmuszali akurat tych ludzi, którzy powinni się opiekować świątynią, do przechodzenia wszystkich prób za każdym razem, gdy muszą wejść do środka, bo każdy błąd oznaczałby dla nich śmierć. Dlatego musi istnieć inna, bezpieczna droga.

- Tylne wejście? - spytał Chase.

- Tak, rodzaj wejścia dla obsługi albo po prostu sposób otwierania poszczególnych wrót bez konieczności przechodzenia za każdym razem próby. - Nina znów oświetliła latarką ściany komnaty. - Może jest tu jakaś wajcha albo zapadka, za pomocą której otwiera się drzwi.

Pośpiesznie przeszukali ściany pomieszczenia, obmacując zimne kamienne bloki w nadziei, że wyczują coś pod palcami. Po dłuższej chwili Chase podniósł głos.

- Tutaj!

Nina i Kari podeszły do niego. W kącie komnaty, na poziomie posadzki, gdzie stykały się dwie ściany, znajdował się podłużny otwór. Nie był duży, lecz w porównaniu z precyzją spojeń pozostałych bloków wyglądał zdecydowanie na zgodny z zamierzeniami budowniczych, a nie na zwykłą fuszerkę.

- Co jest w środku? - spytała Kari.

- Nie mam pojęcia: otwór jest za ciasny, żebym mógł włożyć rękę. Nino, ty masz ładne, delikatne paluszki. Pomocaj tam.

- Chciałabym, żeby pozostały ładne - poskarżyła się Nina, ale uklękła przy szparze. - O Boże. Mam tylko nadzieję, że w środku nie siedzi jakiś skorpion...

Ostrożnie wsunęła dłoń pomiędzy bloki. Trochę głębiej... głębiej...

Dotknęła czegoś. Drgnęła ze strachu, że zleci im na głowy krata z kolcami. Lecz wisiała nadal pod sufitem. Na razie.

- Jak tam? - spytała Kari.

- Jest tam coś metalowego.

- Mechanizm otwierający?

- Nie wiem... czekajcie. - Nina spróbowała obmacać obiekt dokładniej. - Możliwe.

Chase pochylił się bliżej.

- Możesz za to pociągnąć?

- Ja spróbuję - powiedziała Kari. - A ty, Nino, powinnaś poczekać w korytarzu. Na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

- Jeśli to nie zadziała, to i tak wkrótce będziemy martwi - zauważyła Nina. - Wy dwoje, wyjdźcie na korytarz. No już! - dodała, zanim zdążyli zaprotestować. Wzięła kilka głębokich oddechów, gdy tamci wycofali się z komnaty. - No to do dzieła...

Zahaczyła palcami o metal, zawahała się na moment, zastanawiając się, co, u licha, wyrabia, a potem pociągnęła. Cyk.

Podwieszona pod sufitem krata ani drgnęła.

Od strony kamiennych drzwi dobiegł następny, głośniejszy szczęk metalu. Nina odetchnęła.

- Myślę, że się udało...

- Wyjdź z komnaty - zakomenderował Chase, machnięciem ręki dając Kari do zrozumienia, żeby została z tyłu, gdy sam ruszył do drzwi.

Nina z wdzięcznością wykonała polecenie. Chase przygotował się na najgorsze i pchnął kamienną płytę. Drzwi rozchyliły się ze zgrzytem. Po drugiej stronie znajdował się następny mroczny korytarz.

- Udało się! - wykrzyknęła Kari.

- Dobra robota - powiedział Chase. - Ale naprawdę musimy się pospieszyć... zostało nam tylko dwadzieścia jeden minut.

- No to ruszmy tyłki. - Nina poklepała Chase'a po ramieniu, gdy go wymijała. - Miałeś rację z tym myśleniem lateralnym.

- Stanowimy całkiem niezłą drużynę, co? - zauważył. - Ty masz inteligencję, ja krzepę, a Kari...

- Urodę? - podpowiedziała Nina, wzbudzając uśmiech Kari.

- Zamierzałem powiedzieć „zwinność”, ale twoje określenie też pasuje. - Wziął od Niny latarkę. - Okej. Więc przeszliśmy trzy próby. Co teraz?

- Teraz odłożymy artefakt na miejsce, a potem wyjdziemy z tej cholernej świątyni - odparła Nina.

Castille zerknął nerwowo na zachód. Słońce dawno już schowało się za koronami wysokich drzew, lecz cienkie niczym igły promienie światła wciąż przebijały się przez gęste listowie.

Było jednak bardzo blisko widnokręgu. A niebo powyżej gwałtownie ciemniało, zwiastując nadchodzący zmrok...

Spojrzał znowu na wejście do świątyni. Widział tylko ciemność.

Pośpiesz się, Edwardzie.

- A co... a co, jeśli im się nie uda? - spytał Philby z paniką w głosie. Trzech jeńców klęczało przed chatą starszyzny, a ciasno otaczali ich indiańscy myśliwi.

- Uda im się - powiedział Castille, mimo że dręczyły go wątpliwości.

Przez ściszone rozmowy Indian i świergot ptaków przedarł się głośny trzask. Dobiegł ze złożonych na stosie plecaków.

- Do drużyny zwiadowczej, czy mnie słyszycie? Tu Perez. Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Indianie zerwali się na równe nogi i zajęli pozycje obronne z łukami wycelowanymi gdzieś poza granice wioski, jakby spodziewali się ataku.

- Do drużyny zwiadowczej, odezwijcie się, odbiór.

- Jeśli odpowiemy, moglibyśmy wezwać helikopter - powiedział pod nosem di Salvo. - Z jakimś wsparciem.

- I karabinami! - dodał Philby niemal z nadzieją.

- Jeśli uda nam się ich nakłonić do podania nam radiostacji - powiedział Castille.

Indianie zorientowali się już, skąd dochodzi dźwięk, i ostrożnie badali zawartość plecaków, kłując je dzidami.

- Do drużyny zwiadowczej, nie wiem, czy mnie słyszycie... - Jeden z Indian dźgnął plecak Castille'a, zagłuszając na moment transmisję. - Mamy towarzystwo. Słyszę co najmniej jeden zbliżający się helikopter, może dwa. Nie są nasze, powtarzam, to nie są nasze helikoptery. Odezwijcie się, proszę.

- Wojsko? - spytał Castille, zafrasowany.

- Powiedzieliby mi, gdyby planowano jakąś operację w dżungli - odparł di Salvo.

- *Merde*. - Castille obawiał się, że wie, kto może lecieć w tych helikopterach. - Agnaldo, spróbuj nakłonić ich, żeby przynieśli nam radio. Musimy...

Jeden z Indian wyciągnął walkie-talkie. Głos Pereza było teraz słychać wyraźniej.

- Do drużyny zwiadowczej, widzę jeden z helikopterów! To... Jezu!

W głośniku rozległ się przenikliwy elektrostatyczny pisk. Indianin upuścił radio ze strachu. Zdumiony Philby popatrzył uważnie na Castille'a i di Salvo.

- Co się stało? Co to było?

Castille zrobił ponurą minę i spojrzał w stronę rzeki. Parę sekund później dobiegł ich huk podobny do uderzenia pioruna.

- „Nereida” wybuchła - powiedział.

- Co?!

- To Qobras. Namierzył nas.

Chase spojrział na zegarek.

- Zostało nam tylko osiemnaście minut.

- W takim razie powinniśmy się pośpieszyć - powiedziała Kari. Wyciągnęła ramię sekstansu. - I znaleźć miejsce, gdzie powinniśmy to odłożyć.

- Może po prostu udamy, że odłożyliśmy artefakt, gdzie należy - zasugerowała Nina, nie całkiem żartem.

- Myślę, że mogą to sprawdzić... - odparł Chase.

- To była tylko taka luźna uwaga... Dotarli do końca korytarza.

Chase uniósł latarkę. Mocne światło, które dawała, niemalże zginęło w ogromnej sali.

- Świątynia Posejdona - wyszeptała Nina. Chase aż się zagapił.

- Jasny gwint - wymamrotał.

Z szacunków Niny wynikało, że wielka sala ma sześćdziesiąt metrów długości, połowę długości całej budowli, i prawie taką samą szerokość. Łukowe kamienne sklepienie, ozdobione srebrem i złotem, wznosiło się wysoko nad nimi, podtrzymywane przez solidne szkarpy po bokach ogromnego pomieszczenia. We wszystkich przypominających kaplice niszach stały posągi połyskujące złotem. Były ich dziesiątki - niewyobrażalne bogactwo.

Lecz nie mogły się równać z tym, co przykuło uwagę trójki podróżników. W głębi sali stał inny posąg.

Posejdona.

- O mój Boże - powiedziała Nina, kiedy podeszła do rzeźby, zupełnie zapominając o możliwych pułapkach. - Zupełnie taki, jak opisał go Platon...

- „I złote posągi postawili w środku, więc boga, który stał na wozie i powoził sześcioma końmi skrzydlatymi. Był taki duży, że głową pułapu dotykał” - zacytowała stojąca obok Kari.

- Założę się, że można by za niego dostać parę funciaków na eBay - zauważył Chase.

- A to musi być sto nereid - powiedziała Kari, która puściła jego słowa mimo uszu i wskazała na krąg znacznie mniejszych rzeźb otaczających rydwan Posejdona.

- Jest ich raczej mniej niż sto - stwierdził Chase, podchodząc do ogromnego posągu.

- Założę się, że jest ich sześćdziesiąt cztery - powiedziała Nina. - W systemie ósemkowym byłaby to liczba równie ważna jak sto w systemie dziesiętnym. Platon użył słowa z innego systemu numerycznego, lecz faktyczna liczba, którą reprezentowało, była inna...

- Jest ich dokładnie siedemdziesiąt trzy, właśnie policzyłam - wtrąciła Kari.

- Co? Siedemdziesiąt trzy? - zdziwiła się Nina. - Jaki system mógłby wyróżniać liczbę siedemdziesiąt trzy?

- Nino, daj spokój. To naprawdę nieważne - powiedział Chase. - Jesteśmy tu... a teraz zrobmy to, co musimy zrobić, żeby nas wszystkich nie zabili, okej?

- Okej - naburmuszyła się Nina. - Ale to nadal bez sensu...

Za ogromną rzeźbą znajdowały się schody na górę. Wszyscy troje weszli po nich do innej komnaty, która okazała się mniejsza od głównej części świątyni, lecz nawet bardziej ozdobna... i osobiwa. Chociaż była niższa, też miała kolebkowe sklepienie. Tylko że to nie zostało zrobione z kamienia, lecz z czegoś zupełnie innego.

- Kość słoniowa - powiedziała Kari, gdy Chase poświecił latarką w górę. Zmarszczyła brwi. - Według Platona, dach całej świątyni miał być z kości słoniowej...

- Ale to nie jest tamta świątynia Posejdona - zauważyła Nina. - Tylko replika, kopia. Atlantydzki starali się odtworzyć zamek ze swojej ojczyznej wyspy. Ale przypuszczam, że tutaj trudniej było o kość słoniową, więc musieli się zadowolić... O rany! - Zatrzymała się gwałtownie. - Eddie, podaj latarkę. - Niecierpliwie wyrwała mu jęcz ręki. - Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Skierowała snop światła na tylną ścianę. Ciepły blask rozjaśnił całą komnatę. *Orichalcum*.

Cała ściana została pokryta tym metalem. Powierzchnię cienkich blach zapełniały wiersze starożytnego tekstu. Nina prędko spostrzegła, że to inny wariant tego samego języka, starszy, lecz nie mniej zaawansowany.

Lecz to nie to przykuło jej uwagę. Oświetliła latarką dużą ilustrację, która dominowała nad tekstem. Patrzyła na zniekształcone, lecz wyraźnie rozpoznawalne kształty...

- Czy to mapa? - powiedział Chase z niedowierzaniem.

- Atlantyk - wyszeptała Nina. - I nie tylko.

Nie było wątpliwości, że choć niedokładna, mapa przedstawiała zarysy kontynentów: wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej i Południowej po lewej, zaś Europę i Afrykę po prawej. A dalej, za Afryką, widać było Ocean Indyjski, Indie, a nawet kawałek Chin. Jaśniejsze linie łączyły rozmaite punkty, wyznaczając najwyraźniej trasy rejsów między portami oraz szlaki lądowe prowadzące do poszczególnych osad.

Większość linii skupiała się na wyspie we wschodniej części Oceanu Atlantyckiego, której nie ma na żadnej współczesnej mapie...

- Jezu. - Przez moment Nina miała wrażenie, jakby przestało jej bić serce. - Znaleźliśmy ją. To Atlantyda. Dokładnie tam, gdzie mówiłam, że powinna się znajdować.

- Mój Boże - powiedziała Kari, podchodząc bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. - Znalazłaś ją! Nino, znalazłaś!

- My ją znaleźliśmy - uściśliła Nina, równie szczęśliwa jak Kari. - Udało nam się, znaleźliśmy Atlantydę! - Jeszcze chwila, a pisałyby z radości, lecz nagle przypomniała sobie, w jakiej są sytuacji. - Eddie, ile mamy czasu do wyjścia?

- Czternaście minut. Jedyłą trudność będą stanowić słupy z kolcami. Możemy pokonać całą drogę w osiem minut, jeśli się sprężymy. - Chase odszedł od mapy, bo zauważył coś w kącie komnaty.

- Czyli że na oględziny świątyni mamy sześć minut? Cholera. Cholera! - Nina uderzyła pięściami w uda. Była zirytowana. - Potrzebuję więcej czasu!

Kari podniosła artefakt.

- Znajdźmy miejsce, gdzie to odłożyć. Jak w porę wrócimy do wioski, może uda nam się przekonać Indian, żeby wpuścili nas z powrotem do świątyni, jeśli obiecamy, że niczego nie zabierzemy. Potrzebujemy tylko zdjęć...

- To za mało - jęknęła Nina, czując, że wszystko, nad czym pracowała, wymyka się jej z rąk. Wiedziała, że nie ma mowy, by Indianie pozwolili im znów wejść do świątyni... O ile nie zabiją ich po prostu po to, by zachować istnienie starożytnego miasta w tajemnicy.

- Hej! - Z początku Chase myślał, że znalazł inne wyjście, szyb prowadzący z komnaty na dół. Lecz po oględzinach przekonał się, że otwór jest zablokowany, zasypany nieobrobionymi kawałami skały. Fakt, że gruz zupełnie nie pasuje do świątyni, nie uszedł jego uwagi, lecz potem zobaczył obok coś bardziej interesującego. - Tutaj.

Nina i Kari podbiegły do niego i zobaczyły ołtarz, wysoki postument z czarnego wypolerowanego kamienia. Na nim spoczywało kilka przedmiotów z *orichalcum*.

- To muszą być pozostałe części sekstansu - powiedziała Kari, wskazując płaski fragment metalu w kształcie kawałka pizzy, z wygrawerowanymi atlantydzkimi cyframi. Nina szybko zdjęła wisiołek i przyłożyła go do sekstansu. Jedna krzywizna pasowała do drugiej jak ulał.

- Boże, od lat noszę przy sobie część atlantydzkiego sekstansu - powiedziała, zakładając wisiołek z powrotem na szyję. - Podaj mi ramię.

- Dlaczego nazistom udało się ukraść tylko jedną część, a nie całość? - spytał Chase.

- Może tych, którzy zabrali resztę, widzieliśmy na palach. - Nina szybko wetknęła okrągłą wypustkę ramienia w odpowiedni otwór u góry trójkąta, tak że strzałka zrównała się z numerowanymi oznaczeniami. - Działa - powiedziała z mieszaniną dumy i smutku, że nie będzie mogła nikomu pokazać swojego odkrycia. - Brakuje części, których używali jako lusterek, ale widać wycięcia, gdzie je umieszczano. Boże, ci ludzie naprawdę umieli obliczać swoją szerokość geograficzną ponad dziesięć tysięcy lat temu...

- Odłożyliśmy artefakt na miejsce. Chodźmy - powiedział Chase. Nina zamachała rękami.

- Poczekaj, zaraz!

- Nino, jeśli nie ruszymy tyłków, zabiją Hugona i pozostałych, a także nas samych.

- Jedna minutka! Proszę!

- Niech będzie - zgodziła się Kari. Chase podniósł rękę z zegarkiem.

- Mapa - powiedziała Nina, o mało nie bełkocząc z pośpiechu. - Spójrzcie, punkty na końcach szlaków handlowych, czy do czego tam one służyły, są oznaczone liczbami i kierunkami świata. Tutaj jest ujście Amazonki - pokazała je palcem - z oznaczeniem siedem, południe i zachód, dokładnie takim, jak na ramieniu sekstansu. - Przeszła na drugi koniec

mapy, skupiając uwagę na zniekształconym zarysie Afryki i pokazując jej najbardziej wysunięty na południe punkt. - Ale spójrzcie na to! Przylądek Dobrej Nadziei też jest oznaczony... z szerokością geograficzną wyznaczoną względem Atlantydy!

Chase pomachał Ninie zegarkiem przed nosem.

- Puenta, Nino! Streszczaj się!

- Nie widzisz? Wiemy już, jak daleko na południe jest ujście Amazonki względem Atlantydy, jest to siedem jednostek. A teraz dowiedzieliśmy się, jak daleko na południe względem Atlantydy znajduje się Przylądek Dobrej Nadziei... więc skoro znamy ich pozycje względem siebie w systemie współczesnym, to możemy obliczyć wielkość jednostki szerokości geograficznej używanej przez Atlantydów, a potem, wychodząc z ujścia Amazonki na północ, znaleźć samą Atlantyde! Może nam się udać! Teraz, gdy rozumiem ich system, nie potrzebujemy już nawet mapy na sekstansie... potrzebujemy tylko czasu na dokonanie obliczeń!

- Ale czas właśnie nam się kończy, Nino - oświadczył Chase tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Musimy stąd iść. Natychmiast! - Wziął od niej latarkę. - Ty też, Kari! Idziemy!

Wybiegli z komnaty, mijając ogromny posąg Posejdona. Nina usłyszała coś oprócz ich kroków odbijających się echem od ścian ogromnej sali.

- Co to za hałas? Coś słyszę!

Chase też słyszał: niski pomruk, który z każdą sekundą przybierał na sile.

- Cholera, to mi brzmi jak heli... Cała świątynia zatrzęsała się w posadach.

16

Padnij! - krzyknął Chase, popchnął Ninę na ziemię i przykrył ją własnym ciałem, gdy naokoło posypały się kawałki roztrzaskanych kamiennych bloków. Większe fragmenty runęły na posadzkę dokładnie pod dziuraw sklepieniu, rozbijając się z ogłuszającym trzaskiem.

Przez otwór wdarł się wiatr, wzbijając tumany kurzu, które zawirowały niczym trąba powietrzna. Chase sturlał się z Niny i zmrużył oczy, spoglądając na niebo o zachodzie słońca, które prawie natychmiast zostało zasłonięte przez coś dużego.

Ryk silników helikoptera i przypominający terkot karabinu hałas obracających się łopat były tak głośne, że wyczuwało się je w drganiu powietrza. Produkowany w Rosji Mi-26, największy śmigłowiec na świecie, zaprojektowany do przenoszenia dużych ładunków na dalekich dystansach.

Dużych ładunków... albo dużej liczby żołnierzy.

Helikopter zawisł dokładnie nad dziurą. Drzwi kadłuba były szeroko otwarte i w każdej chwili do wnętrza świątyni mogli się spuścić po linach ludzie...

- Chodźcie! - zawołał Chase, zagłuszany przez hałas Mi-26. Pomógł kobietom wstać. - Do tunelu! Już!

- Co się, do cholery, dzieje? - krzyknęła Nina.

- To Bractwo! Do tunelu! Biegiem! - Złapał zdezorientowaną Ninę za ramię i pociągnął za sobą, podczas gdy Kari pędziła już obok.

Z helikoptera wypadło sześć lin, które naprężyły się, gdy mężczyźni w czarnych battledressach i kamizelkach kuloodpornych zaczęli się po nich spuszczać na ziemię. Na ich piersiach lśniły zapalone latarki, ich ruchy były zwinne i pewne. Obejrząwszy się przez ramię, Chase zobaczył dość, żeby wiedzieć, że to zawodowcy, byli wojskowi.

A każdy z nich miał pistolet maszynowy Hekler und Koch UMP-40 i prawdopodobnie także inną broń.

Trójka podróżników dobiegła do korytarza, Chase prowadził, trzymając latarkę w wyciągniętej ręce. Hałas helikoptera słyszeć było nawet wtedy, gdy pokonywali kolejne

załomy i zakręty, a potem wpadli do komnaty, gdzie niedawno zastanawiali się nad próbą umysłu.

- Jak udało im się nas znaleźć? - zdziwiła się Kari.

- Nie wiem - powiedział Chase, gdy weszli do następnego tunelu. - Może podłożyli na jachcie nadajnik.

Ninie brakowało tchu, nie była przyzwyczajona do takiego tempa.

- O co im chodzi?

- O to samo, co nam - odparła Kari. - Tylko że chcą to zniszczyć i doprowadzić do tego, aby nikt nigdy nie znalazł Atlantydy.

- I przy okazji zniszczyć także nas - dorzucił Chase.

- O mój Boże! - wysapała Nina. - A co z Jonathanem i Hugonem?

- Możemy mieć tylko nadzieję, że zaatakowali od razu świątynię i zostawili wioskę w spokoju - powiedział ponuro Chase.

Dotarli do ostatniego korytarza przed mostem zwodzonym i basenem. Za plecami słyszeli tupot pogoni.

- Idźcie do wyjścia - powiedział Chase, wręczając Kari latarkę, gdy biegli przez mostek, który ugiął się pod ich ciężarem. - I zaczekajcie na mnie.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała Nina.

- Utrudnić im pościg. Idźcie! - Zatrzymał się przy końcu mostka, przepuszczając Ninę i Kari przodem. Potem chwycił mostek, uniósł go nad półkę i mocno popchnął w bok. Mostek przygiął się, skrzypiąc i trzeszcząc.

Chase pchnął go w dół. Drewno próbowało odgiąć się do poprzedniego kształtu i zaklinowało się o ścianę basenu. Chase musiał poprawić kopniakiem, żeby koniec mostku opadł z pluskiem do wody. W pobliżu wynurzył się kajman zainteresowany nagłym poruszeniem.

- Uciekajcie! - krzyknął Chase, biegnąc do wyjścia.

Kari wysforowała się teraz na przód, a Nina zwolniła kroku, czekając, aż Chase je dogoni.

- Pod ich ciężarem mostek wpadnie do wody - powiedział Chase, gdy biegli w głąb tunelu. - Wtedy przekonamy się, czy krokodyl nadal jest głodny.

- Myślałam, że to kajman - wysapała Nina.

- Jeden pies! Dobra, teraz słupy z kolcami. Szefowo, ty pierwsza, a potem Nina.

Nawet bez dodatkowej motywacji w postaci obniżającego się sufitu przedarli się między słupkami o wiele szybciej, niż Nina by chciała, a kolce parę razy poprzedzierały im ubrania. Wreszcie dotarli na drugą stronę, do komnaty z kamienną ławą. Chase przejął prowadzenie.

- Dobra - powiedział w biegu - jak tylko wydostaniemy się ze świątyni, wy dwie jak najszybciej pobiegniecie do dżungli. Oddalicie się od świątyni, znajdziecie kryjówkę i zaczekacie.

- A ty? - spytała Nina. - A pozostali?

- Odbiję ich. Mam nadzieję, że Indianie są wkurzeni, bo Qobras wysadził im w powietrze świątynię, i rzucili się na helikopter. Jeśli mamy fart, zostanie raptem paru strażników.

- A jeśli nie? - powiedziała Kari.

- To mamy przechłapanie! - Minęli ostatni zakręt i z przodu zamajaczył kwadrat światła.

- Gotowe?

- Nie - jęknęła Nina.

- Dasz radę, Nino. Kari, zaopiekuj się nią. Dołączę do was tak szybko, jak będę mógł.

- Zajmę się nią - obiecała Kari. Byli prawie przy wyjściu.

- Dobra, przygotujcie się... już! Wybiegli na otwartą przestrzeń... I stanęli jak wryci.

Czekało na nich dziesięciu mężczyzn w czarnych kombinezonach, z bronią gotową do strzału. Między chatami leżały ciała czterech Indian. Reszta plemienia zniknęła. Castille, di Salvo i Philby klęczeli w szeregu przed...

- Cześć, Eddie - powiedział Jason Starkman.

Wyglądał inaczej niż w Nowym Jorku. Garnitur zniknął, zastąpiony strojem bojowym wraz z pasami na amunicję, nożem i czymś, co wyglądało na kotwicę, przewieszonym przez ramię. Czarna opaska zasłaniała mu prawe oko. Na wspomnienie palca zagłębiającego się w coś mokrego zrobiło się Ninie niedobrze.

- Siemasz, koleś! - powiedział Chase z drapieżnym uśmiechem, gdy podniósł rękę. - Przebrałeś się za pirata?

Starkman spojrzał na niego zimno.

- Widzę, że poczucie humoru masz tak samo kiepskie jak dawniej.

- Może i widzisz, ale na jedno oko.

Twarz Starkmana stężała na moment, zanim przeniósł uwagę na Ninę.

- Doktor Wilde! Tak się cieszę, że znowu się spotykamy. Chase i Kari jednocześnie wystąpili do przodu, żeby ją zasłonić.

- Zostaw ją w spokoju - warknęła Kari. Starkman uniósł brew.

- Kari Frost. Nigdy nie sądziłem, że się poznamy. Hadżdżar powinien był przyjąć ofertę Giovanniego. Wszystkim nam zaoszczędziłoby to mnóstwa kłopotów. - Skinął lufą pistoletu na swoich ludzi. Nad ich głowami krążył helikopter, po chwili dołączył do niego drugi Mi-26. Drzewa pod ogromnymi maszynami szumiały jak podczas huraganu.

- Co się stało z Indianami? - zażądała wyjaśnień Nina.

- Większość uciekła - odparł Starkman. Zerknął na martwe ciała. - W każdym razie ci bystrzejsi. Niektórzy byli na tyle głupi, żeby sądzić, że nas pokonają.

Jego podwładni zaczęli obszukiwać Chase'a, Kari i Ninę.

- Co zamierzasz z nami zrobić, Starkman? - spytała Kari, mrużąc oczy. - Zabić nas?

- Owszem. - Swobodny ton, jakim to powiedział, zmroził Ninie krew w żyłach. - Ale najpierw chcę się dowiedzieć, co jest w świątyni. - Odwrócił się, żeby wyciągnąć zza pasa krótkofalówkę, dzięki czemu Nina mogła się lepiej przyjrzeć żelastwu, które miał przewieszane przez plecy. Tak jak myślała, był to bosak, lecz sterczał z czegoś, co wyglądało na strzelbę z grubą lufą. Większość jego ludzi miała podobny sprzęt. - Dowódca Orłów do drużyny rozpoznawczej, zgłoście się.

- Co wy, Amerykańcy, macie jakiegoś fioła na punkcie orłów? - zakpił Chase. - Bardziej przypominasz mi papugę.

Starkman pstyknął palcami. Jeden z jego ludzi, mięśniak wyższy od Chase'a o prawie trzydzieści centymetrów, splótł dłonie i zdzielił Anglika w kark. Chase osunął się na kolana.

- Eddie! - wyrwało się Ninie. Starkman spojrzał na nich zaskoczony.

- Po imieniu z klientką, Eddie? A może jest dla ciebie kimś więcej? Powinieneś uważać, wiesz, jak to jest.

- Zamknij mordę - warknął Chase.

Starkman uśmiechnął się złośliwie, jakby miał zamiar coś powiedzieć, gdy zatrzeszczała krótkofalówka.

- Drużyna rozpoznawcza do dowódcy Orłów - odezwał się stłumiony męski głos. - Jesteśmy w świątyni. Znaleźliśmy skradziony artefakt. Znajduje się w mniejszej komnacie za posągiem. Jason, to wnętrze jest niesamowite!

- Nie wątpię - odparł lekceważąco Starkman. - Co jeszcze znalazłeś, Gunter?

- Nie uwierzysz, ale jest tu mapa, prawdziwa mapa! Wryto ją na ogromnej płycie *orichalcum* na jednej ze ścian! I wskazuje lokalizację Atlantydy!

To zainteresowało Starkmana.

- Jak jest wierna?

- Kontynenty są dość zniekształcone, lecz rozpoznawalne. Ale to nie wszystko, Jason. Opisano na niej pozycje charakterystycznych punktów względem Atlantydy. Możemy to wykorzystać do ustalenia dokładnej lokalizacji Atlantydy! - powiedział mężczyzna z jeszcze większym entuzjazmem. - Szerokość geograficzną północnego krańca delty Amazonki oznaczono jako siedem jednostek na południe, tak jak było napisane na artefakcie ukradzionym przez Juriego, a Przylądek Dobrej Nadziei jest... mamy tu sześć kropek i odwrócone „V”. Z naszych archiwów wiemy, że ten symbol pojawia się najpierw po ośmiu kropkach, a więc musi oznaczać dziewięć. Dziewięć plus sześć, czyli piętnaście.

- Szerokość geograficzna przylądka wynosi trzydzieści cztery stopnie na południe - oznajmił Starkman. - Delta Amazonki jest mniej więcej jeden stopień na północy.

- Więc różnica wynosi trzydzieści pięć stopni, a w jednostkach atlantydzkich piętnaście odjąć siedem, czyli osiem. Zatem jednostka atlantydzka równa się... trzydzieści pięć podzielić przez osiem... - W głośniku zaległa kilkusekundowa cisza. - Cztery przecinek trzysta siedemdziesiąt pięć!

- To pod jaką szerokością geograficzną znajduje się Atlantyda? - zapytał Starkman.

- Zaraz sprawdzę na laptopie... Cztery przecinek trzysta siedemdziesiąt pięć razy siedem daje trzydzieści przecinek sześćset dwadzieścia pięć... do tego trzeba dodać jeden stopień ze względu na pozycję delty... Atlantyda znajduje się gdzieś między trzydziestym pierwszym a trzydziestym drugim stopniem szerokości geograficznej północnej!

Starkman spojrzał kpiąco na Ninę.

- Znacznie dalej na południe niż Zatoka Kadyksu. Zdaje się, że jednak niepotrzebnie przejmowaliśmy się pani hipotezą.

Nina nie odpowiedziała. Mapa w świątyni wyraźnie wskazywała, że Atlantyda znajdowała się w Zatoce Kadyksu. Zarysy kontynentów były zniekształcone, ale Atlantydy z pewnością nie mogli się pomylić aż tak.

Znów odezwał się Gunter:

- Nawet przy założeniu błędów... atlantydzki system nie jest tak dokładny jak nasz... zbadanie sonarem całego obszaru zajmie tylko kilka dni.

- A potem dopilnujemy, żeby nikt nigdy nie odnalazł Atlantydy - powiedział Starkman z rosnącym entuzjazmem. - Dobra robota, Gunter.

Podłóż ładunki wybuchowe i przygotujcie się do ewakuacji. Rozpirzemy to wszystko na dobre.

- Zamierzacie zniszczyć świątynię?! - wykrzyknęła Kari, oburzona. Starkman spojrzał na nią lodowato.

- Zrobimy wszystko, co trzeba, byle powstrzymać ludzi takich jak ty i twój ojciec przed znalezieniem Atlantydy.

- Największe odkrycie archeologiczne w dziejach, a wy chcecie zniszczyć świątynię, aby wasz stuknięty szef mógł zachować tę wiedzę dla siebie? - powiedziała Nina z obrzydzeniem, które okazało się silniejsze od strachu. - Rzygać mi się chce na wasz widok.

Starkman prychnął z niedowierzaniem.

- Jezu. Pani naprawdę nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, co?

- Więc dlaczego mnie pan nie oświeci? - zaszydziła.

- Myśli pani, że Kari i jej tatuś szukają Atlantydy, bo mają takie hobby? - powiedział Starkman. - Wie pani, ile pieniędzy na to wydali? Dziesiątki milionów dolarów, może setki! Nawet jak na miliardera to zbyt kosztowne hobby!

- Kierują nami szlachetne motywy - powiedziała Kari. - W przeciwieństwie do Qobrasa.

- Już ja znam wasze motywy. Właśnie dlatego dołączyłem do Giovanniego. - Popatrzył pytająco na Ninę, a potem znów na Kari. - Ale czy ona je zna? Czy wyjaśniliście jej, dlaczego tak bardzo zależy wam na znalezieniu Atlantydy?

- Dopóty, dopóki nie chcą jej zniszczyć, jest mi to obojętne - oświadczyła Nina.

Kari spojrzała na nią z podziwem.

- Możliwe, że jednak zmieniałaby pani zdanie - powiedział Starkman, gdy krótkofalówka znów zatrzeszczała. - Choć nie będzie takiej okazji.

- Dowódco Orłów, mamy wszystko, czego potrzebujemy. Podkładamy ładunki - zameldował Gunter.

- Zrozumiałem. Odbiór. - Starkman podniósł wzrok. Dwa Mi-26 wciąż kołowały jakieś siedemdziesiąt metrów nad ziemią. Amerykanin przełączył się na inny kanał. - Śmigłowiec numer 2, tu dowódca Orłów. Przygotujcie się do zabrania ludzi.

- Zrozumiałem. Odbiór - odparł pilot.

Jeden z helikopterów ruszył powoli w kierunku świątyni. Z kabiny wyrzucono więcej lin.

- Cóż, zdaje się, że to już koniec - powiedział Starkman, spoglądając na więźniów. - Przykro mi, Eddie, ale mam rozkazy.

- Możesz wziąć to swoje lipne współczucie i wsadzić je sobie w dupę, ty szujo - warknął Chase. - Żałuję, że nie pozwoliłem ci zabić tym bałwanom z al Kaidy w Afganistanie.

- Świat będzie ci wdzięczny, że tego nie zrobiłeś. Żegnaj, Eddie. - Starkman skinął na swoich ludzi, którzy zmusili Ninę i Kari do uklęknięcia obok Chase'a.

Nina poczuła na potylicy zimną lufę pistoletu. Zamknęła oczy... I usłyszała świst.

Facet za jej plecami zacharczał i runął na ziemię. Nina otworzyła oczy i zobaczyła śmigające nad głową strzały i włócznie. Jednemu z mężczyzn za Philbym strzała utkwiała w nodze. Skrzywił się, wyciągnął ją... i wybałuszył oczy. Drżąc spazmatycznie, jakby się dusił, padł na ziemię.

Zatruta!

Starkman odwrócił się i strzała trafiła go w pierś. Ale grot wbił się w kevlarową kamizelkę, a nie w ciało.

- Ognia! - zawołał, chowając się za najbliższą chatą, uniósł UMP-40 i zaczął ostrzeliwać zarośla.

Faceci pilnujący Niny i Kari odskoczyli do tyłu, za przykładem Starkmana i strzelając na ślepo między drzewa. Kari chwyciła Ninę za ramię.

- Chodźmy!

Biegając, pociągnęła Ninę za sobą. Jeden z komandosów odwrócił się, by do nich strzelić, lecz w powietrzu zawirowała bola. Dwa obciążone kamieniami rzemienie wytrąciły mu karabin z rąk, trzeci kamień - wielkości pięści - uderzył go w twarz, wybijając zęby.

Chase dostrzegł szansę, gdy rosły osiłek poruszył się za jego plecami. Wtedy dźgnął go z impetem łokciem w krocze.

Ale nie trafił. Facet stęknął z bólu, lecz przyjął cios w udo. Chase podniósł wzrok i zobaczył skrzywioną z wściekłości gębę. Najemnik podniósł broń...

Chase rzucił się na kolana tamtego, usiłując go przewrócić. Facet zachwiał się i runął na Chase'a, waląc go kolanami w klatkę piersiową. Rzęząc, Chase chwycił UMP-40 przeciwnika...

I dostał pięścią w twarz. Chase usłyszał chrupnięcie łamanego nosa. Nie odczuwał bólu, lecz z doświadczenia wiedział, że wkrótce będzie bolało i to bardzo.

Najemnik zamierzał się do następnego uderzenia. Chase puścił pistolet i złapał oburącz zbliżającą się do jego twarzy pięść. Ścisnął ją mocno, usiłując połamać tamtemu palce...

Kari i Nina biegły w stronę Castille'a i pozostałych jeńców.

- Do chaty! - krzyknęła Kari, gdy tuż za nimi powietrze przecięła włócznia.

- Nie, musimy im pomóc! - odparła Nina. Niedaleko leżał martwy Indianin. Podniosła jego nóż. - Chodźmy!

Starkman wystrzelił w kierunku drzew jeszcze kilka pocisków, krzycząc jednocześnie do walkie-talkie:

- Helikopter jeden! Potrzebuję wsparcia ogniowego na linię drzew! Natychmiast!

Jednego z jego ludzi, który pilnował więźniów, trafiła włócznia. Ostry niczym brzytwa obsydianowy grot wbił się mu głęboko w czaszkę. Wciąż strzelając jak szalony, przewrócił się na ścianę chaty, a stare drewno pękło pod jego ciężarem.

Z wojowniczym okrzykiem dryblas wyrwał rękę z uścisku Chase'a i z siłą kafara przyładował mu kolaniem w klatkę piersiową. Chase wrzasnąłby z bólu, lecz w płucach zabrakło mu powietrza.

Castille i di Salvo byli już na nogach, gdy Nina i Kari do nich dobiegły. Nina pomogła wstać Philby'emu i przecięła mu więzy, podczas gdy Kari rozwiązała sznur na rękach Castille'a.

- Nasze karabiny! - powiedział Castille, wskazując stos ich rzeczy. Następny podwładny Starkmana padł z zatrutą strzałą w gardle. Gwałtowny wiatr przetoczył się przez wioskę, gdy nad chatkami zawisł helikopter. Na ziemię posypał się grad łusek, gdy sześciolufowy karabin maszynowy zamontowany w drzwiach kabiny zaterkotał, wypluwając setki pocisków w kierunku rozkołysanych drzew. Philby był wolny.

- Kari! - krzyknęła Nina, rzucając jej nóż. Kari złapała go w powietrzu i rozcięła więzy di Salvo, podczas gdy Castille dał nura po karabiny. - Do chaty, padnij! - Prawie wepchnęła Philby'ego do środka, właśnie gdy strzała przebiła drewno.

Jeden z żołnierzy Bractwa, chowając się przed strzałą, wycofał się za inną chatę i zorientował się, że jeńcy są wolni.

Mi-26 obracał się w miejscu, ostrzeliwując drzewa z działka maszynowego. Prąd zstępujący z wirnika był tak silny, że zdmuchiwał chaty, rozsypując ich fragmenty we wszystkich kierunkach.

Umięśniony dryblas pochylił się nad Chase'em i zacisnął łapska na jego szyi, ugniatając kciukami tchawicę.

Szum krwi w uszach Chase'a zagłuszał nawet hałas helikoptera. Widział maszynę prawie dokładnie nad sobą, wirujące łopaty śmigła zlewały się w niewyraźny okrąg za sadystycznym uśmiechem faceta, który go dusił. Chase uniósł ramiona, żeby uderzyć przeciwnika w twarz, ale gość był za duży, miał dłuższe ręce, był poza zasięgiem.

Ciemniało mu w oczach, w głowie huczało.

Nie mógł dosięgnąć głowy faceta, który siedział mu na piersiach, ale mógł dosięgnąć tułowia...

Zaporowy ostrzał z prymitywnej, lecz skutecznej broni prowadzony z dżungli ustał natychmiast, gdy ogień z helikoptera dosięgnął kontratakujących Indian. Zza drzew dochodziły rozdzierające krzyki rannych.

Castille chwycił jeden z karabinów Colt i odwrócił się tylko po to, by zobaczyć, jak człowiek Starkmana już trzyma go na muszce.

Facet pociągnął za spust... W tym samym momencie di Salvo rzucił się przed Castille'a. Seria trzech pocisków trafiła di Salvo w biodro i udo. Z ran trysnęła krew, gdy Brazylijczyk padł na ziemię.

Castille otworzył ogień. Celował w głowę, bo przeciwnik miał kamizelkę kuloodporną. Wszystkie trzy kule dosięgły celu, rozsadzając facetowi czaszkę.

Inny członek Bractwa usłyszał strzały i odwrócił się.

Dostał butem w twarz.

Kiedy się zatoczył, Kari kopnęła go jeszcze z obrotu w krocze. Upadając, rozwalił ścianę chaty.

Kari podniosła jego pistolet, zawahała się na ułamek sekundy i strzeliła mu w głowę.

Chase czuł, że traci przytomność. Komandos pochylał się nad nim, wirujące śmigło helikoptera nad jego głową wyglądało jak ciemna aureola.

Ostatkiem sił Chase'owi udało się dosięgnąć wyrzutni na czteroramienny hak na plecach dryblasza. Pociągnął za spust.

Z głośnym świstem sprężonego gazu hak wystrzelił niemal prosto w górę. Ciągnął za sobą stalową linkę i trafił w wirnik helikoptera.

Sam hak z włókien węglowych roztrzaskał się na kawałki o łopaty śmigła, lecz lina niemal natychmiast zaplątała się na głowicy.

I zaczęła się na nią nawijać.

Komandos wytrzeszczył oczy, gdy zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje... A potem został poderwany do góry tak gwałtownie, że trzasnęły mu żebra. Jak wyrzucony z katapulty wleciał prosto w śmigło. Została z niego krwawa miazga, która spadła na wioskę jak czerwony deszcz.

Helikopterem zarzuciło, gdy stracił sterowność. Stalowa lina zablokowała łopaty.

- Kryć się! - krzyknął Chase.

Kari rozejrzała się dookoła. Starkman biegł w kierunku świątyni. Olbrzymi helikopter zaczął się kręcić, ryk silników mieszał się ze zgrzytem uszkodzonej maszynerii. Na placu boju pozostał tylko jeden z podwładnych Starkmana.

Kari i Castille strzelili równocześnie, zabijając go na miejscu.

Helikopter wciąż się kręcił. Z kabiny wypadł człowiek, który z krzykiem runął głową w dół na chatę starszyny. Śmigłowiec, pozbawiony pilota, zaczął się zbliżać do świątyni, tracąc wysokość.

Pilot drugiej maszyny zobaczył, co się dzieje, i desperacko pociągnął dźwignię skoku ogólnego i mocy, żeby wznieść się wyżej. Ludzie, którzy byli wciągani na linach przez dziurę w dachu świątyni, spadli do środka.

Z dymiącymi silnikami, obracający się jak bąk helikopter uderzył w dach świątyni. Kamienne sklepienie zawaliło się, a maszyna spadała jego śladem. Łopaty śmigła połamały się, siła uderzenia wyrzuciła kawałki metalu w niebo na wysokość kilkudziesięciu metrów.

Pozbawiony napędu, masywny helikopter runął prosto pod posąg Posejdona, gdzie eksplodował.

W świątyni wybuchła kula ognia, płomienie pochłonęły będących w środku ludzi. Ogromny posąg zachwiał się, a potem upadł na palący się wrak, jego złocista powłoka zaczęła się topić w intensywnym żarze.

Żar dosięgnął ładunków wybuchowych podłożonych w komnacie z ołtarzem. Kiedy detonowały, temperatura w środku podskoczyła do dwóch tysięcy stopni. Przedmioty i zdobienia ze złota i *orichalcum* nie tylko się roztopiły, lecz wręcz wyparowały, zniknęły na zawsze w fali ognia.

Castille odwrócił się, słysząc eksplozję - i natychmiast odskoczył do tyłu, gdy ponadmetrowy kawał śmigła wbił się w ziemię między jego nogami.

- *Merdel* - wrzasnął. - Helikoptery!

Resztki dachu świątyni zawaliły się, tysiące ton kamiennych bloków przysypały to, co było w środku. Fala uderzeniowa przebiła się przez pozostałe tunele i komnaty, przez wrota świątyni buchnęła olbrzymia chmura kurzu i gruzu. Chase ledwo zdążył paść na ziemię, gdy przetoczyła się obok niego.

Starożytna replika atlantydzkiej świątyni Posejdona, ukryta w dżungli przez tysiące lat, została zniszczona na zawsze wraz ze wszystkimi tajemnicami, które zawierała.

Nina wyrzała z chatki, osłaniając oczy przed tumanem kurzu.

- Jezu!

Chase podźwignął się na nogi. Grzbietem dłoni otarł krew z twarzy. Złamany nos zaczynał boleć. W opadającym kurzu zobaczył, jak biegną do niego Kari i Castille.

- Gdzie Starkman? - wy sapał.

- Tam! - Castille pokazał palcem.

Starkman był teraz niewidoczny za narożnikiem zburzonej budowli.

- Nina?

- W jednej z chat - powiedziała Kari.

- Daj mi swój pistolet. Kari podała mu colta.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał Castille.

- Nie dopuszczę, żeby sukinsyn zwiął! Kari, zaopiekuj się Niną. Gdzie Agnaldo?

- Został postrzelony.

- To go opatrzcie! Szybko! - Nie zważając na ból, Chase ruszył w pogoń za Starkmanem.

Starkman wskoczył na układającą się w schody podstawę świątynnego muru i pobiegł wzdłuż niej, krzycząc do walkie-talkie:

- Helikopter dwa! Tu dowódca Orłów, musisz mnie natychmiast zabrać!

Drugi śmigłowiec wycofał się kilkaset metrów dalej i schował za koronami drzew.

Chase obiegł narożnik świątyni, goniąc Starkmana. Tam!

- O, niedoczekanie twoje - mruknął, wdrapując się po skalnych blokach.

Kari pobiegła do chaty, gdzie ostatnio widziała Ninę i Philby'ego. Odsunęła kotarę ze zwierzęcej skóry.

- Nic wam nie jest? - zapytała.

- Jesteśmy cali i zdrowi - zapewniła Nina.

- Mów za siebie - mruknął Philby. Nina puściła jego słowa mimo uszu.

- A co z resztą? Gdzie Eddie?

- Di Salvo jest ranny - odparła Kari. - Hugo udziela mu pierwszej pomocy. A Chase ruszył w pogoń za Starkmanem.

- Co? Chodź, musimy mu pomóc! - Nina wypadła z chaty, zobaczyła Chase'a na kamiennych stopniach świątyni i pobiegła za nim.

- To zbyt niebezpieczne! - zaprotestowała Kari. Bez skutku. - Nino! Cholera jasna! - Wróciła szybko do plecaków i sprzętu, wzięła następny karabin oraz wildeya Chase'a i ruszyła za Niną.

Helikopter podleciał bliżej, ostrożnie omijając kłęby gęstego czarnego dymu. Obniżając lot, zawadzał zwisającymi z kabiny linami o roślinność.

Starkman zwolnił do truchtu, krzycząc do krótkofalówki:

- No, szybciej! Zabierz mnie stąd! - Zamachał gorączkowo rękami, przyzywając śmigłowiec.

Ciemne kamienie wokół niego pooblupywały się i popękały pod gradem kul.

- Jason! - ryknął Chase, wciąż strzelając.

Starkman wskoczył na wyższy schodek i odpowiedział ogniem ze swojego UMP. Chase padł na brzuch, gdy pociski uderzyły w skałę nad jego głową, obsypując go pyłem i drobnymi odłamkami. Przeczłogał się parę metrów, zanim poderwał się i oddał następną serię.

Nina usłyszała huk strzałów i przywarła do kamiennych bloków na najniższym poziomie muru, po czym wyjrzała ostrożnie. Chase i Starkman strzelali do siebie parę metrów wyżej, w pobliżu zburzonej części świątyni. Zbliżał się do nich helikopter, z którego zwisały liny.

Chase oddał następną serię... i usłyszał trzask zamka oznaczający, że magazynek pistoletu jest pusty.

Starkman umiał liczyć strzały tak samo dobrze jak on. Wiedział, że nie ma czym strzelać. Chase przeczołgał się trochę dalej, wystawił głowę, a potem natychmiast ją schował. Tak jak się spodziewał, sprowokował Starkmana do ostrzału, znów posypały się na niego odkruszone kawałki skały. Amerykanin nie przejmował się brakiem amunicji.

Na małej wysokości Mi-26 mógł z łatwością zdmuchnąć człowieka z nóg.

Co bardzo utrudniłoby celowanie.

Chase wskoczył na następny schodek i natychmiast przeturlał się do ściany, gdy następne kule podziurawiły kamienne bloki. Ledwo usłyszał Starkmana, gdy ten krzyczał do krótkofalówki: „Wychyl się i go kropnij!”

Spojrzał na helikopter. Przez otwarte drzwi kabiny wychyliła się głowa mężczyzny, który popatrzył prosto na niego. Potem zniknął w kabinie, by po chwili znów się pojawić z karabinem w rękach.

Tym razem nie był to pistolet maszynowy, tylko karabin wyborowy M82, który mógł przestrzelić człowiekowi czaszkę z odległości ośmiuset metrów... a Chase był zaledwie piętnaście metrów pod śmigłowcem!

- Nino! - Dogoniła ją Kari z karabinem w rękach.

- Ten w helikopterze! Zastrzeli go! - wykrzyknęła Nina, pokazując palcem śmigłowiec.

Kari natychmiast zorientowała się w sytuacji. Ogromny helikopter zajął pozycję nad Starkmanem, umożliwiając mu chwycenie liny, a z kabiny wychylał się facet z karabinem wyborowym wycelowanym w Chase'a.

Uniosła karabin i opróżniła cały magazynek, ostrzelując kadłub maszynowy.

Snajper zachwiał się, a potem wypadł razem z karabinem. Starkman uskoczył na bok. Karabin uderzył lufą o kamienny blok, a tuż po nim spadł głową w dół jego niedawny

właściciel. Kolba przebiła obojczyk i utkwiała głęboko w klatce piersiowej. Ciało poturlało się w dół, wciąż nabite na karabin.

Starkman otrząsnął się, zarzucił broń na ramię i prawą ręką chwycił jedną z lin, krzycząc przez krótkofalówkę na pilota, żeby wzbil maszynę wyżej.

- Eddie! - zawołała Kari, przekrzykując hałas silników. O dziwo, usłyszał ją i odwrócił głowę. - Masz! - Rzuciła mu wildeya.

Chase złapał go, skacząc na równe nogi, po czym wycelował lufę w helikopter, gdy Starkman dyndał mu nad głową. Śmigłowiec unosił się szybko i pochylił nos, przygotowując się do odlotu.

Chase wycelował w pilota i oddał dwa strzały. Obie kule przebiły blachę na spodzie kadłuba, lecz silne podmuchy powietrza znosiły mu lufę z celu. Śmigłowiec nie doznał większych uszkodzeń.

Starkman wspinał się po linie, którą jednocześnie wciągano do kabiny.

Następna lina przeleciała obok, czarny nylonowy wąż wirujący na wietrze. Chase podskoczył i złapał się jej.

- O Boże! Nie, idioto, nie! - wrzasnęła bezradnie Nina, gdy śmigłowiec poderwał go z tarasu świątyni.

Trzymając się liny lewą ręką, Chase uniósł wildeya i wycelował go w Starkmana. Amerykanin wciąż miał do przebycia parę metrów, zanim mógł się schronić w kabynie.

- Dostaniesz ode mnie w samą dupę, sukinsynu...

Wildey wystrzelił dwa razy. Wirując i majtając się na końcu liny, Chase nie miał pojęcia, gdzie trafiła pierwsza kula, ale druga wybiła malutki krater w kadłubie nad Starkmanem, obsypując go odpryskami farby.

Starkman spojrzał w dół i zobaczył dyndającego pod sobą Chase'a. Przez chwilę Chase'owi wydawało się, że tamten ściągnie z ramienia UMP, żeby go zastrzelić...

Aż zdał sobie sprawę, że Starkman wyciągnął z pochwy nóż.

Nagle Chase uświadomił sobie grozę sytuacji. Trzymając się jedną ręką liny zwisającej z helikoptera, dyndał już co najmniej dwadzieścia metrów nad ziemią, a wznosząca się maszyna wciąż unosiła go wyżej.

Starkman spojrzał Chase'owi prosto w twarz i uśmiechnął się, przecinając linę jednym gwałtownym ruchem.

- O kurwa! - zdążył stęknąć Chase, zanim runął na rozpościerający się w dole baldachim zieleni.

17

Lina została mu w lewej dłoni. Na ułamek sekundy, zanim wpadł w listowie, upuścił pistolet i złapał czarną nylonową linę drugą ręką.

Spadając, obijał się o gałęzie, które z każdą chwilą stawały się coraz grubsze i mniej się uginały. Jedna z nich uderzyła go w ramię i Chase zarzucił na nią linę.

Nagle między nim a ziemianie było już nic...

Lina naprężyła się gwałtownie.

Chase zacisnął mocno palce i zawył z bólu, gdy lina poparzyła mu dłonie. Spadał coraz wolniej... i wolniej...

Poczuł, jak przecięty koniec liny prześlizgnął się mu przez palce i uciekł. Chase znów spadał.

Łup.

Ciemność.

Odległy głos, jakby z drugiego końca tunelu, mówił znajome słowo... Wymawiał jego imię.

- Eddie? - głos kobiety, coraz wyraźniejszy. - Eddie!

Chase otworzył oczy. Zobaczył plamki wieczornego nieba przebijające gdzieś gdzie przez listowie i większą dziurę tuż nad sobą. Minęło kilka sekund, zanim myśl ubrał w słowa.

- Właśnie tamtędy przeleciałem! - stęknął i spróbował usiąść.

I natychmiast tego pożałował. Wszystkie mięśnie miał obolałe, jakby dostał porządne manto. Klapnął z powrotem na ziemię z jękiem.

- Eddie!

- Nina? - Zmrużył powieki, gdy nad nim pojawiła się zaniepokojona twarz. - Boże, ale jesteś piękna...

- No, przynajmniej nie oślepl - rzekł inny głos. Za Niną zobaczył Kari, która popatrzyła na niego, a potem zadarła głowę, spoglądając na drzewa. Z nieba sypał się zielony deszcz liści. - To musiało być ponad dwadzieścia metrów...

- Mój Boże! - powiedziała Nina, pochylając się bliżej. - Aż trudno uwierzyć, że przeżył!

- Trzeba czegoś więcej, żeby mnie ukatrupić, doktorco - powiedział, uśmiechając się z trudem. Nawet twarz miał obolałą.

Nina wpatrywała się w niego przez moment, a potem nagle zaczęła tłuc go rękami po piersi.

- Ty durniu! Ty absolutny, skończony idioto! Co ci do łba strzeliło? Dlaczego to zrobiłeś? Odbiło ci??

- Au, au! To długa lista zarzutów... - Chase ostrożnie uniósł głowę. Był obolały, ale nie czuł ostrego bólu ani odrętwienia, które wskazywałyby na złamaną kość.

No, oprócz nosa.

Ku zdumieniu Kari i Niny, zaczął się śmiać.

- O Chryste. To naprawdę, naprawdę bolało. A nawet nie dorwałem sukinsyna! - Skrzywił się, gdy próbował usiąść, a Nina przyklękła, żeby mu pomóc. - Co się stało? Jak długo byłem nieprzytomny?

- Niedługo - odparła Kari. - Helikopter odleciał na północny wschód.

- Możesz mieć wstrząs mózgu - ostrzegła go Nina. - Siedź spokojnie.

Chase zobaczył coś, co sprawiło, że natychmiast zapomniał o bólu.

- Myślę, że to najmniejsze z naszych zmartwień - powiedział bardzo powoli.

Nina spojrzała tam, gdzie on. I zamarła. Byli otoczeni przez Indian.

Chase z Niną i Kari, które pomagały mu iść, zostali doprowadzeni z powrotem do wioski.

Indianie - jak na razie - nie zachowywali się agresywnie, choć Nina widziała, że są zdenerwowani. Trudno się dziwić, w końcu wielu z nich zginęło, ich domy zniszczono, a świątynia, którą ich przodkowie i oni sami opiekowali się przez tysiące lat, zmieniła się w dymiące zgliszcza. Była zdumiona, że ich troje jeszcze żyje.

Zdumiała się jeszcze bardziej, gdy dotarli do wioski. Płonęło ognisko, a przy nim leżał di Salvo, żywy i przytomny. Jego pokrwawione ubranie zostało porozcinane, a rany opatrzone. Obok niego Castille z pomocą Philby'ego udzielali pierwszej pomocy jednemu z Indian.

- Edward! - wykrzyknął Belg, gdy się zbliżyli. - *Mon dieu!* Ty żyjesz!

- Ledwo, ledwo - poskarżył się Chase. - A co to za szpital polowy?

- Mamy nowych przyjaciół. No, może „przyjaciele” to zbyt duże słowo, ale przynajmniej nie chcą nas zabić. - Castille skinął głową na Indian.

- Co się stało? - zapytała Nina, gdy z pomocą Kari posadziła Chase'a na ziemi.

Indianie, którzy ich przyprowadzili, cofnęli się, przyglądając się im podejrzliwie.

- Zdaje się, że zmienili o nas zdanie, kiedy zobaczyli, jak walczymy z Jasonem i jego ludźmi. Jak to się mówi? „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”? Może to i naiwne, ale żyjemy.

Nina spojrzała na Indian. Część z nich zbierała rzeczy zabitych ludzi Starkmana i układała je w kupki, najwyraźniej sporządzając rejestr łupów na podobnych do pergaminu kawałkach kory. Naboje szczególnie zafascynowały Indian, dwie kobiety wyjęły je z magazynka i przyglądały się lśniącem łuskom w świetle ognia.

- Czy to naprawdę dobry pomysł, żeby bawiły się nabojami?

- Lepszy niż pozwolenie im na zabawę naładowaną bronią - mruknął Chase. - Jak tam Agnaldo?

Castille zerknął na pacjenta.

- Dałem mu zastrzyk, ale nadal może być naszym tłumaczem. Musimy wezwać pomoc, Edwardzie. Jestem pewien, że jacht został zniszczony, a kapitan Perez i Julio nie żyją.

Kari wyglądała na zdruzgotaną.

- O nie - stęknęła Nina. - Czekajcie, skoro „Nereida” zatonęła, to jak wezwiemy pomoc?

Chase zdobył się na coś w rodzaju uśmiechu.

- Tak samo jak zamawia się pizzę. Zadzwonimy. W jednym z plecaków jest telefon satelitarny.

- Wszystko pięknie - powiedział Philby przez ściśnięte gardło - ale czy tylko ja jeden przejmuję się faktem, że beczenny zabytek architektury został wysadzony w powietrze? To gorsze od talibów!

- A nawet nie widziałeś, co było w środku, Jonathanie - rzekła smutno Nina. - To było coś niewiarygodnego. Replika świątyni Posejdona, dokładnie takiej, jaką opisał Platon. A oprócz tego mapa, która wskazywała dokładną lokalizację Atlantydy...

Umilkła, nie dokończywszy zdania. Mapa! Było w niej coś szczególnego...

- Niestety, twoi uzbrojeni po zęby znajomi już tam leżą - powiedział Philby.

Puściła jego słowa mimo uszu, intensywnie zastanawiając się nad tym, co widziała we wnętrzu świątyni.

- Nino? O co chodzi? - spytała Kari.

- Mapa... Atlantyda była stanowczo w Zatoce Kadyksu - powiedziała Nina z naciskiem.

- Facet, który doradzał Starkmanowi, się mylił. Musiał się mylić. Mieszkańcy Atlantydy potrafili żeglować po oceanach, nie ma mowy, żeby pomylili się o setki mil przy wyznaczaniu położenia własnej ojczyzny! Musieliśmy coś przeoczyć, coś w atlantydzkim systemie. - Spojrzała znów na kobiety liczące naboje. Jej uwagę zwrócił sposób, w jaki to robiły; zaczęła zupełnie inaczej rozumować.

Podeszła i kucnęła obok di Salvo.

- Agnaldo? Słyszysz mnie?

Twarz miał mokrą od potu, lecz mimo zażycia silnego środka przeciwbólowego wciąż reagował.

- Tak, słyszę. O co chodzi?

- Chciałabym, żebyś coś przetłumaczył.

- Postaram się... Co chcesz powiedzieć?

- Najpierw muszę się dowiedzieć, czy mogłabym podejść do tych dwóch kobiet i rzucić okiem na to, co piszą.

Di Salvo urywanym głosem zapytał o to dwóch pozostałych przy życiu członków starszyny, a gdy otrzymał odpowiedź, pokiwał do Niny głową. Z uniesionymi rękami zbliżyła

się do Indianek. Zareagowały z zaskoczeniem i odrobiną strachu, lecz wkrótce udało jej się przekonać jedną z nich, żeby pokazała jasny kawałek kory, na którym pisały.

Miała rację: rzeczywiście był to rejestr. Przybliżyła korę do ognia, usiłując przyjrzeć się dokładniej rozmazanym symbolom, a potem wypatrzyła wśród zebranych łupów zimną świecę. Przełamała ją i laska rozjarzyła się mocnym błękitnym światłem. Indianki odskoczyły ze strachem, lecz po chwili wróciły zafascynowane. Reszta tubylców stanęła wokół niej w wianuszkach, zauroczona osobliwym widokiem. Nina uśmiechnęła się do nich uspokajająco i skupiła uwagę na cyfrach.

Podeszła do niej Kari.

- Co tam masz?

- Pamiętasz, jak doszłam do wniosku, że mieszkańcy Atlantydy używali ósemkowego systemu numerycznego? - zapytała Nina i powiodła palcem w dół jednej z kolumn, uważając, żeby nie rozmazać narysowanych węglem drzewnym znaczków. - Ale ta hipoteza nie sprawdziła się podczas próby umysłu, prawda? A posągi nereid w świątyni... Według Platona powinno ich być sto, ale ty doliczyłaś się siedemdziesięciu trzech?

Kari pokiwała głową.

- Wiesz, dlaczego?

- Nie jestem do końca pewna... - Nina spojrzała na naboje leżące na ziemi. Obok znajdował się stosik opróżnionych magazynków. Wzięła jeden z nich i pokazała Chase'owi. - Eddie! Ile naboji mieści się w czymś takim?

- Dla UMP? Trzydzieści.

- Więc mamy tu ponad sto naboji, dobrze... - Podniosła jeden z naboji. - Dobra, przekonajmy się...

Uklękawszy, zbliżyła się do jednej z Indianek i uśmiechnęła się przyjaźnie. Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie, ale nie wycofała się, gdy Nina wzięła czysty kawałek kory i zwęglony patyczek. Zrobiła na korze kreseczkę: znak najmniejszej jednostki. Podniosła nabój i z pytającą miną pokazała palcem znaczek.

- Jeden, tak? Jeden?

Kobieta przyglądała jej się dziwnie przez chwilę, a potem uśmiechnęła się nagle i coś powiedziała.

- Mówi, że tak - potwierdził di Salvo.

- Super! A teraz... - Nina wzięła garść naboży i rozsypała przed sobą na ziemi, po czym ułożyła dwa z nich przy kawałku kory i postawiła następny znaczek obok pierwszego. - Dwa?

Indianka znów skinęła potakująco głową. Nina dodała sześć następnych naboji i dostawiła odpowiednie znaczki. Osiem kreseczek w rzędzie...

Następne skinięcie głową. Nina uśmiechnęła się, wzięła dziewiąty nabój i położyła go obok pierwszego rzędu, po czym dorysowała następną kreseczkę.

- Dziewięć?

Kobieta pokręciła głową. Nina wytarła dziewięć znaczków, a następnie narysowała odwróconą literę „V” i wskazała znowu na naboje.

- Dziewięć?

Indianka znów pokręciła głową, tym razem towarzyszył temu nieco zirytowany wyraz twarzy i brzmiało jak kpina uwaga rzucona współplemioncom. Paru z nich zachichotało, podobnie jak di Salvo.

- Co ona powiedziała? - spytała Nina.

- Że nie może uwierzyć, że nawet nie umiesz liczyć - odparł rozbawiony.

Kobieta wzięła węgiel z jej ręki i dodała po lewej stronie symbolu znaczek jedynek, a potem wskazała na dziewięć naboży.

- Więc to jest dziewięć? - zamyśliła się Nina.

- Co takiego odkryłaś? - spytała Kari.

- Towarzysz Starkmana myślał, że sam cyrkumfleks oznacza dziewięć - odparła Nina, podekscytowana. - Ale to nieprawda. Zaczęłam zdawać sobie z tego sprawę, kiedy zobaczyłam, jak te Indianki liczą. Nie używają palców, tylko przestrzeni między nimi. Patrz. - Odłożyła jeden nabój na bok, następnie wskazała palcem przestrzeń między kciukiem a palcem wskazującym drugiej dłoni. - Jeden. - Indianka przypatrywała się jej, próbując zrozumieć, co robi ta dziwna biała kobieta.

Nina położyła drugi nabój obok pierwszego, wskazała jeszcze raz zagłębienie między kciukiem a palcem wskazującym, a następnie między palcem wskazującym a środkowym. - Jeden, dwa?

Kobieta kiwnęła głową z uśmiechem. Uniosła obie dłonie i za pomocą małych palców szybko przeliczyła przestrzeń między palcami, aż doszła do ośmiu.

Nina uświadomiła sobie znaczenie, jakie miało ułożenie dłoni: gdy Indianka skończyła liczyć, małe palce stykały się koniuszkami.

- Cyrkumfleks... oznacza osiem „pełnych” zagłębień. Tak więc dziewięć zapisuje się za pomocą cyrkumfleksu i jedyńki, co znaczy, że... - Wskazała kawałek kory, gdzie widniała kropka i para cyrkumfleksów. - To jest siedemnaście: jeden plus osiem plus osiem. Ale spójrz, wcale nie zapisują szesnastki jako dwóch cyrkumfleksów, tylko za pomocą ośmiu kropek i jednego cyrkumfleksu. To tak, jakby „zapełniali” miejsca między palcami, a za każdym razem, gdy dłonie są „pełne”, następna liczba jest przedstawiana jako tyle pełnych dłoni, ilu się akurat doliczyli, plus jeden.

- To nie jest postęp linearny - zrozumiała Kari.

- Nic dziwnego, że nie potrafiliśmy rozwiązać zagadki w świątyni: posługiwaliśmy się złym systemem! To dziwna hybryda systemu notacyjnego i pozycyjnego!

- Mów po ludzku, doktorko - jęknął Chase.

- W naszym systemie dodajesz nową kolumnę za każdym razem, gdy mnożysz przez dziesięć, racja? Dziesiątki, setki, tysiące to postęp regularny. Ale w ich systemie nowych symboli nie wprowadza się w postępie regularnym... oni raczej wypełniają puste miejsca... - rozczapierzyła palce - że tak powiem. Gdyby używali standardowego systemu ósemkowego, następny symbol, cyrkumfleks, czyli ten daszek...

- Wiem, co to jest cyrkumfleks, doktorko - zirytował się Chase.

- Przepraszam. W normalnym systemie ósemkowym oznaczałby osiem. Ale tu jest inaczej: wprawdzie oznacza osiem, ale nie pojawia się, póki nie dojdiesz do ośmiu plus jeden. A następny symbol w systemie, czyli pochylone „L”, oznaczałby w standardowym systemie sześćdziesiąt cztery. Lecz tutaj mamy raczej do czynienia z postępowaniem kumulacyjnym niż linearnym, gdzie nie idziesz dalej, póki nie zapełnisz wszystkich zagłębień między palcami...

- Wprowadza się go po ośmiu grupach ósemek i jeszcze ósemce - podjęła Kari, podekscytowana, wskazując następną grupę symboli na kawałku kory.

- Właśnie! Ale pojawia się dopiero w zapisie liczby osiem razy osiem plus osiem... plus jeden. Co daje...

- Siedemdziesiąt trzy! - wykrzyknęły równocześnie.

- Tyle, ile było posągów? - domyślił się Chase.

- Tak! Oczywiście! Właśnie dlatego Platon napisał, że było ich sto! Była to błędna interpretacja wynikająca z nieznamości systemu matematycznego Atlantydy. W ich systemie siedemdziesiąt trzy jest równie ważne jak u nas sto, bo wtedy do obliczeń wprowadza się trzeci symbol... ale nie jest to ani system dziesiętny, ani ósemkowy. Ten system to absolutny unikat.

- Ale Qobras o tym nie wie - zauważyła Kari. - Co oznacza, że kiedy przeliczą atlantydzkie oznaczenia szerokości geograficznych z mapy na nasz system, otrzymają błędne wyniki.

Nina spróbowała odtworzyć mapę w pamięci.

- Rzeczywiście! Pomylą się o mnóstwo kilometrów! Uważają, że sam cyrkumfleks oznacza dziewięć, a cyrkumfleks z kropką to dziesięć. Ale w rzeczywistości cyrkumfleks z kropką to tylko dziewięć. Rąbnęli się o jeden! Myśleli, że Przylądek Dobrej Nadziei jest na piętnastym stopniu szerokości geograficznej południowej Atlantydów... ale jest na czternastym! Więc powinni podzielić trzydziestopięciostopniową różnicę przez siedem jednostek atlantydzkich, a nie osiem, co znaczy, że jednostka Atlantydów jest równa pięciu stopniom. Atlantyda znajduje się siedem jednostek na północ od delty Amazonki, a siedem razy pięć równa się...

- Nawet ja umiem to obliczyć! - roześmiał się Chase. - Trzydzieści pięć stopni szerokości geograficznej północnej.

- Plus jeden stopień, bo delta Amazonki jest o stopień na północ od równika - dodała Kari. - Więc Atlantyda znajduje się na trzydziestym szóstym stopniu szerokości geograficznej północnej... czyli rzeczywiście w Zatoce Kadyksu! Miałaś rację!

- Qobras i jego Bractwo będą jej szukać setki mil za daleko! - wykrzyknęła Nina z entuzjazmem. - Możemy znaleźć ją pierwsi, wciąż możemy ich prześcignąć!

Castille skończył opatrywać rannego Indianina.

- Wszystko pięknie, ale mam sugestię: zanim zacniemy składać sobie gratulacje, czy moglibyśmy przynajmniej wynieść się z dżungli?

- Telefon jest w moim plecaku, Hugonie - powiedział Chase zmęczonym głosem. - Przynieś mi go, to zadzwonię po kawalerię.

- *Marveilleux* - poskarżył się Castille, gdy znalazł plecak. - Jeszcze jeden helikopter.

Nina podniosła wzrok na otaczających ją Indian, którzy wciąż się jej przyglądali.

- A co pocniemy z tym plemieniem? Pal sześć świątynię, ale ich domy zostały zniszczone z naszej winy. Będzie im potrzebna pomoc.

- Mogę się tym zająć - powiedział di Salvo. - Jako przedstawiciel władz brazylijskich mogę oficjalnie poświadczyć, że plemię zostało odkryte i że nawiązałem z nim kontakt, he? A to oznacza, że jest prawnie chronione.

- Niezupełnie o nawiązanie takiego kontaktu nam chodziło - zauważyła Nina. - Zabili Hamiltona, pamiętasz?

- Ale przynajmniej nas oszczędzili - przypomniał jej Chase, gdy Castille podał mu telefon satelitarny.

- Mogę zadbać o to, żeby dostali wszystko, czego im potrzeba - powiedziała Kari. - Fundacja Frosta ma pewne wpływy we władzach Brazylii, organizowaliśmy tu już misje humanitarne. Możemy dopilnować, żeby nie wyginęli. W końcu jest zupełnie prawdopodobne, że to jedyni potomkowie Atlantydów w prostej linii. Analiza ich DNA może dać fascynujące rezultaty... - Popatrzyła na ruiny świątyni.

Di Salvo najlepiej, jak umiał, wytłumaczył Indianom sytuację. Niektórzy, zwłaszcza starsi, wyglądali na bardzo nieszczęśliwych.

- Boją się, że jeśli przybędzie tu więcej obcych, będą usiłovali obrabować świątynię - powiedział Kari.

- Obrabować z czego? - spytał Chase z sarkazmem, podnosząc wzrok znad telefonu. - Z części helikoptera? Nie ma tu już czego kraść!

- Nie, mają rację - powiedziała Nina. - Wciąż jest tam mnóstwo złota.

- Mogę załatwić ochronę - zapewniła Kari. - Fundacja ma godnych zaufania ludzi, którzy nie dbają o pieniądze: mogą bronić plemienia i jednocześnie zapewnić pomoc humanitarną. Poza tym myślę, że wiedza o tym, co dokładnie leży pod gruzami świątyni, powinna pozostać naszą tajemnicą, a wy?

- Ja nie widziałem żadnego złota - oświadczył Chase z niewinną miną, kiedy skończył rozmawiać przez telefon. - Widziałem tylko szpikulce, gruchoczące kości, kamienne bloki i zagadkę, której nie udało nam się rozwiązać.

- Aha, odpowiedź brzmiała czterdzieści - oznajmiła Nina, jakby nigdy nic, na co Chase rozdziawił usta. - Na wadze należało położyć czterdzieści ołowianych kulek. Teraz, odkąd zrozumiałam ich system matematyczny, rozwiązanie jest łatwe.

- Żartujesz, prawda? - zapytał. Nina uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi. - Okej... W każdym razie, wysyłają po nas helikopter. Musimy jednak poczekać parę godzin... nawet z GPS będą mieli kłopot ze znalezieniem nas w ciemnościach.

- Czy Agnaldo wytrzyma tak długo? - spytała Nina Castille'a. - Nie powinniśmy zabrać go do szpitala?

- Mną się nie przejmuj - powiedział sennie di Salvo. - Nie pierwszy raz zostałem postrzelony.

- Jego stan jest stabilny - orzekł Castille. - Postaram się pomóc pozostałym Indianom.

Kari podeszła do Chase'a i wzięła od niego telefon.

- Zadzwońię do ojca i wytłumaczę mu, co się stało, żeby pozatwiał wszystko z Brazylijczykami. A potem... - Wróciła do Niny i kucnęła obok niej. - Musimy jak najszybciej posadzić cię przed mapą. Wprawdzie utraciliśmy dostęp do informacji ze świątyni, ale wciąż możemy znaleźć Atlantyde przed Qobrasem. Wyścig jeszcze trwa.

18

Gibraltar

Chase pochylił się z uwagą nad mapą leżącą na stole w hotelowym apartamencie i powiódł palcem wzdłuż trzydziestego szóstego równoleżnika.

- To kawał morza do przeczesania.

- Na szczęście nie musimy tego robić - powiedziała Kari. - Jeden z samolotów hydrograficznych mojego ojca już wykonuje obrazy mikrofalowe o wysokiej rozdzielczości dna morskiego w tym rejonie zatoki. Jeśli pod osadem coś jest, to radar to wykryje... nawet do głębokości dwudziestu metrów.

Chase uniósł brew.

- A jeśli Atlantyda znajduje się głębiej?

- To, jak sam mówisz, mamy przechłapanie. - Nina uśmiechnęła się, bo pierwszy raz usłyszała, jak Kari przeklina. Zupełnie to do niej nie pasowało. - Czy są jakieś wieści o Qobrasie?

- Owszem - odparł Chase. - Moja przyjaciółka w Maroku miała go na oku.

- Ale ta chyba nie jest w ciąży, co? - nie mogła się powstrzymać Nina.

- Zabawne, że o tym wspominasz... W każdym razie mówi, że ludzie Qobrasa wczoraj wyłynęli z Casablanki. Bractwo też ma statek hydrograficzny... nie taki nowoczesny jak twój, Kari, ale z batyskafem na pokładzie. Miałaś rację, Nino: Qobras szuka w złym miejscu. Jeśli utrzyma kurs, będzie ponad dwieście mil na południowy zachód od nas.

- Miejmy nadzieję, że nie zmieni kursu - powiedziała Kari.

-Wciąż bardzo mnie niepokoi, że jego ludzie zdołali nas tak szybko znaleźć w Brazylii.

- „Nereida” niewątpliwie rzuciła się w oczy - zauważył Chase - ale mnie też się nie podoba, że Starkman tak błyskawicznie nas namierzył. Możliwe, że na jachcie był ukryty nadajnik, lecz niestety już się tego nie dowiemy. - W rzece znaleziono wywrócone do góry

dnem szczątki „Nereidy”, która zatonęła od uderzenia rakiety przeciwczołgowej wystrzelonej z jednego z helikopterów. - Dlatego musimy zachować wiedzę o tym, dokąd płyniemy, w jak największej tajemnicy. Ilu ludzi liczy załoga statku?

- Dwudziestu czterech - odparła Kari - ale wszyscy są lojalni wobec mojego ojca.

- Jesteś tego absolutnie, stuprocentowo pewna? - Milczenie Kari wystarczyło Chase'owi za odpowiedź. - O dokładnym celu rejsu poinformowałbym tylko kapitana i nawigatora. A nawet wtedy...

- Po prostu będziemy musieli poczekać na wyniki poszukiwań radarowych - powiedziała Kari. - Dziękuję.

- Jeśli będziecie mnie potrzebować, będę w pokoju obok - zapewnił Chase.

- Cześć - powiedziała Nina, spoglądając na mapę.

W najszerszym miejscu Zatoki Kadyksu południowy brzeg dzieliło od północnego około pięciuset kilometrów. Mniej niż wynosiła długość Atlantydy w opisie przez Platona, lecz liczby przytoczone przez starożytnego filozofa już raz okazały się mylne, obarczone błędem wynikającym z odmienności atlantydzkiego systemu matematycznego. Atlantyda byłaby zatem co najmniej o jedną trzecią mniejsza - a to i tak przy założeniu, że atlantydzki stadion był tożsamy ze stadionem helleńskim, co teraz zdawało się mało prawdopodobne. Jeśli świątynia w dżungli była dokładną kopią oryginału, to jeden atlantydzki stadion - długość świątyni Posejdona - równał się zaledwie stu dwudziestu metrom, a więc był znacznie krótszy niż jego grecki odpowiednik.

Przy wzięciu pod uwagę obu czynników prawdopodobne rozmiary Atlantydy zmniejszyły się do około dwustu kilometrów długości i stu pięćdziesięciu szerokości. A więc wyspa z łatwością zmieściłaby się w Zatoce Kadyksu - i co ważniejsze, mogła być położona stosunkowo płytko, na płycie kontynentalnej, zanim morskie dno zapadało się w głębiny Atlantyku. Poszukiwania Bractwa będą skazane na niepowodzenie.

Bractwo... W milczeniu wpatrywała się w mapę.

- Co ci chodzi po głowie? - spytała Kari.

- Myślałam właśnie o Bractwie. O Qobrasie. - Podniosła wzrok na Kari. - Co to w ogóle za facet? Dlaczego tak strasznie zależy mu na tym, żebyśmy nie znaleźli Atlantydy? - Przypomniały jej się słowa Starkmana i zmarszczyła brwi. - Czy też raczej, dlaczego tak zależy mu na tym, żeby powstrzymać przed tym ciebie i twojego ojca?

- Ja... - Kari wyraźnie biła się z myślami.

- Co? No, Kari, co takiego?

Kari wskazała na stojącą obok sofę.

- Nino, muszę ci coś powiedzieć.

Nina usiadła, zaniepokojona, a Kari zajęła miejsce obok.

- Stało się coś złego?

- Nie, nic złego, tylko że... Mój ojciec i ja szukamy Atlantydy także z innego powodu, nie tylko ze względu na nią samą.

- Z innego powodu? - zdziwiła się Nina. - A jaki można jeszcze mieć powód?

- To może zabrzmieć dziwnie, ale... znalezienie Atlantydy to tylko początek tego, co chcemy osiągnąć. Wiesz, że Fundacja Frosta od dawna angażuje się w programy pomocy medycznej na całym świecie? - Nina pokiwała głową. - Pobieraliśmy także próbki genów od tylu ludzi, od ilu tylko mogliśmy. Dzięki badaniom krwi.

Dłoń Niny powędrowała do maleńkiego śladu na ramieniu, gdzie wstrzyknięto jej szczepionkę, zanim poleciała do Iranu. Zdawało się, jakby od tamtej pory minęły lata.

- Tak, twoje DNA też - przyznała Kari. - Proszę, nie osądzaj nas, zanim nie wysłuchasz mnie do końca! Przyświeca nam szczytny cel.

- Zbadaliście moje DNA? - spytała Nina, wstrząśnięta. - Bez mojej wiedzy?
- Musieliśmy zachować to w tajemnicy. Proszę, pozwól mi wyjaśnić! Błagam!
- Mów dalej - powiedziała urażona Nina.

- Ojciec i ja odkryliśmy... właściwie to bardziej mój ojciec, bo pierwszego przełomu w badaniach dokonał, kiedy byłem jeszcze dzieckiem... że istnieje określony marker genetyczny, który ma na świecie tylko jedna osoba na sto. Jest rzadki, lecz zarazem szeroko rozpowszechniony. Natknęliśmy się na jego obecność na całym świecie. Sądzymy... - Kari zawiesiła głos, jakby wahała się, czy wyjawic długo skrywany sekret. - Sądzymy, że dzieje tego markera da się przesledzić aż do Atlantydy. Innymi słowy, ludzie, którzy mają tę szczególną sekwencję genów...

- Są potomkami Atlantydów? Kari pokiwała głową.

- Właśnie. Atlantyda przestała istnieć jako państwo, lecz jej mieszkańcy stworzyli imperium, któremu nie dorównało żadne inne przez następne dziewięć tysięcy lat. Żyli w diasporze, rozproszyli się po różnych zakątkach swojego dawnego terytorium... a nawet dalej. Skupiska ich potomków znaleźliśmy w tak odległych miejscach, jak Namibia, Tybet, Peru... i Norwegia.

- W Norwegii?

- Tak. - Kari wzięła Ninę za ręce. - Nino, Atlantydzi nie zapadli się pod ziemię ani na dno morza. Żyli wśród nas przez cały czas. Sanami. Mój ojciec i ja mamy ten marker w naszym DNA. - Zajrzała Ninie głęboko w oczy. - Ty też.

- Ja? Ale...

- Jesteś jedną z nas, Nino. Należysz do grona potomków Atlantydów. I właśnie ich usiłujemy znaleźć. Nie tylko starożytne ruiny... lecz ludzi.

Ninie kręciło się w głowie. Chciała cofnąć dłonie, wyrwać je z uścisku Kari, ale nie potrafiła. Mimo że czuła się przytłoczona i zagubiona, analityczna, naukowa część jej umysłu domagała się dodatkowych informacji.

- Jak?

- Sądzymy, że znalezienie Atlantydy pomoże nam zrekonstruować wędrówki diaspor. Widzieliśmy już, jak Atlantydzi starali się odtworzyć swoją cywilizację w Brazylii, a wierzymy, że w innych miejscach zrobili to samo. Mapa w świątyni wskazywała, jak daleko dotarli: aż w głąb Azji. Chcemy znaleźć te miejsca, przesledzić ich wędrówki. Może nawet...

- Znaleźć ich potomków?

- Indianie pytali, czy jestem jedną ze „starych”. Wyraźnie mamy tu do czynienia z jakąś pamięcią rasową, z opowieściami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie.

- Więc teraz przynajmniej wiemy, że Atlantydzi byli blondynami - Nina zdobyła się na wąty uśmiech. Kari też się uśmiechnęła. - A gdzie w tym wszystkim jest miejsce Qobrasa?

Kari spochmurniała.

- Z informacji, które zdołaliśmy zdobyć, wynika, że Qobras uważa, że potomkowie Atlantydów stanowią zagrożenie.

- A słusznie?

- Sama mi powiedz. Jesteś jedną z nich. Nina nie potrafiła odpowiedzieć.

- To dlaczego ma z nimi... z nami... na pieńku? - zapytała w zamian. - Czy on wie o markerze genetycznym?

- Prawie na pewno. Jakiś rok temu dowiedzieliśmy się, że ma wtyczkę wśród pracowników naszego instytutu badawczego, lecz mój ojciec uważa, że szpiegował nas od znacznie dłuższego czasu. Teraz jest oczywiste, że Qobras nie cofnie się przed niczym, by nas powstrzymać... A im bliżej celu jesteśmy, tym bardziej Qobras staje się niebezpieczny.

Nina zassała nerwowo policzki.

- Zaczynam trochę żałować, że nie zainteresowałam się raczej UFO albo yeti, tylko akurat Atlantydą.

- A ja się cieszę - zapewniła Kari, ściskając jej dłonie. - Bez ciebie nie zaszlibyśmy tak daleko. A teraz, gdy wiemy, jaka jest stawka, uczynimy wszystko, co w naszej mocy, żeby nie stało ci się nic złego.

- Miło mi to słyszeć. Najpierw musimy znaleźć Atlantydę.

- Jeśli coś tam jest, nasz radar to wykryje.

- Ale jak się tam dostaniemy? Bóg jeden wie, na jakiej głębokości znajdują się ruiny. A raczej nie będziemy mogli po prostu ich wykopać. Wykopaliska są niezwykle trudne nawet w płytkiej wodzie, a co dopiero mówić o głębokości rzędu kilkudziesięciu metrów.

Kari uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie widziałaś jeszcze naszych batyskafów. Naprawdę robią wrażenie.

- One? W liczbie mnogiej?

- Starkman miał rację, kiedy powiedział, że poszukiwania Atlantydy są dla mojego ojca czymś więcej niż hobby. Liczą się dla niego bardziej niż interesy, które prowadzi, nawet bardziej niż działalność fundacji. To najważniejszy cel w jego życiu.

- Ważniejszy od ciebie?

- Dla mnie jest równie ważny, jak dla niego. - Nina miała już powiedzieć, że nie o to pytała, lecz zanim zdążyła się odezwać, Kari puściła jej dłonie. - Musimy jeszcze trochę poczekać na pierwsze wyniki badań dna morskiego, więc. - Skinęła za okno. Z hotelu rozciągał się widok na port Gibraltaru, z samą Skałą widoczną w oddali. - Rozerwiemy się jakoś?

Nina pokręciła głową.

- No... sama nie wiem, Kari. Czuję się trochę przytłoczona tym wszystkim.

- Och. Okej... - Kari sprawiała wrażenie zawiedzionej. - Gdybyś zmieniła zdanie...

- Dzięki.

Kari wyszła z pokoju, choć chwilę się zawahała. Nina została sama, wpatrzona w mapę.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się: W co ja się, do cholery, wpakowałam?

Upłynął jeszcze cały dzień, zanim mikrofalowe obrazowanie dna morskiego radarem z powietrza przyniosło rezultaty, lecz Nina rzadko wychodziła przez ten czas z pokoju. Chase nie pozostawił jej wątpliwości, że nie powinna opuszczać samotnie hotelu, a chociaż lubiła towarzystwo Chase'a i Castille'a, a nawet kpiny tego pierwszego, sama ich obecność sprawiała, że myślała o realności zagrożenia. Kari próbowała ją namówić do wyjścia na miasto, lecz po rewelacjach, które od niej usłyszała, Nina wciąż miała mieszane uczucia. Możliwe, że Kari czuła się zraniona i zawiedziona, lecz Nina potrzebowała czasu, żeby uporać się ze swoimi emocjami.

Teraz jednak musiała skupić uwagę na czymś innym.

- Tam - powiedział Kristian Frost podczas wideokonferencji.

Do laptopa był podłączony drugi monitor, na którym widniał wysokorozdzielczy obraz mikrofalowy, którego powiększony wydruk leżał teraz przed członkami ekspedycji. Kursor na ekranie zakreślił czerwone kółko na fragmencie obrazu.

Ninie zaparło dech z wrażenia, gdy przyjrzała się dokładniej obszarowi, który Frost zaznaczył. Obraz składał się z różnych odcieni szarości, które odpowiadały różnym kątom odbicia od dna morza sygnału radiowego wysyłanego przez radar.

W oczy rzucało się kilka koncentrycznych okręgów. A w środku...

- Jaka to skala? - zapytała. - Jak duży jest ten obiekt?

- Milimetr to pięć metrów - oznajmiła Kari, podając jej linijkę. Nina zmierzyła koło w samym środku.

- Średnica ma sto dwadzieścia pięć milimetrów, mniej więcej... czyli sześćset dwadzieścia pięć metrów. A stosunek wielkości poszczególnych okręgów do siebie... - Podniosła wzrok na Kari tak podekscytowana, że zapomniała o niedawnych wątpliwościach. - Zgadza się z tym, co napisał Platon. Tylko rozmiary są inne, ale...

Przyłożyła linijkę do obiektu w środku najmniejszego okręgu - prostokąta bieli i czerni, kontrastującego z szarościami reszty obrazu.

- Sto dwadzieścia metrów długości i sześćdziesiąt szerokości - oświadczyła. - Identyczne wymiary miała świątynia w Brazylii!

- Można wykluczyć, że te kręgi są efektem działania sił natury? - spytał Philby. - Zawalonym wulkanem albo kraterem po uderzeniu meteorytu?

- Są zbyt foremne - odparła Nina. - Muszą być dziełem człowieka. Jak głęboko się znajdują?

Frost miał gotową odpowiedź.

- Dno morskie jest dwieście czterdzieści metrów pod powierzchnią wody, a osad... - zerknął w bok na jakiś inny ekran - ma około pięciu metrów grubości.

- Trochę głęboko - zauważył Chase, po czym zwrócił się do Kari. - Dobrze, że masz batyskafy, bo to na granicy bezpiecznego nurkowania. Na tej głębokości moglibyśmy przebywać tylko parę minut.

- Właściwie to mamy nowy sprzęt, który powinien rozwiązać ten problem - odparła. - Pokażę ci go na statku.

- Jak uporamy się z osadem? - spytała Nina. Kari się uśmiechnęła.

- Już ci mówiłam, poczekaj, aż zobaczysz nasze batyskafy. Są naprawdę wyjątkowe. To będzie ich pierwsza prawdziwa misja.

Philby pochylił się, żeby przyjrzeć się wydrukowi z bliska.

- Czy dobrze myślę, że im jaśniejszy jest obiekt na obrazie, tym mocniej odbijają się od niego fale radiowe?

- Niezupełnie: białe obszary to jakby cienie, miejsca, gdzie fale nie dotarły. Natomiast obiekty czarne wyjątkowo mocno odbijają fale - wyjaśniła Kari.

- Czyli że musi tam być duże nagromadzenie twardych materiałów. - Philby wskazał palcem na wschód od środka okręgów. - Spójrzcie na przykład na to. Mnie przypomina to zdjęcie lotnicze ruin. Linie się rwą, jakby mury się zawaliły, ale całość wciąż zachowała dość regularny kształt.

- To Atlantyda - powiedziała Nina. - Na pewno. Zbyt dobrze pasuje do opisu Platona. Trzy fosy wokół cytadeli, kanał biegnący na południe... - Postukała palcem w ciemny prostokąt. - I jeszcze to: świątynia Posejdon, ta oryginalna. To nie może być nic innego!

- Ale jak to się stało, że znalazła się tak głęboko pod wodą? - spytał Chase. - Dwieście czterdzieści metrów to dużo.

- Większe przesunięcie tektoniczne albo zapadnięcie się dużego podwodnego krateru z łatwością mogło doprowadzić do opadnięcia szelfu kontynentalnego w bardzo krótkim czasie. Towarzyszyłyoby temu ogromne tsunami, które mogło spowodować gwałtowne zatonięcie wyspy, tak jak opisał ten kataklizm Platon. A z czasem wyspa osiadałaby coraz głębiej. Poza tym poziom mórz na Ziemi podniósł się od końca ostatniej epoki lodowcowej, jakieś dziesięć tysięcy lat temu, czyli już po zatonięciu Atlantydy. Działanie tych dwóch czynników nałożyło się na siebie, a efekt był taki, że wyspa znikła i nikt nie wiedział, gdzie jej szukać.

- Nikt oprócz ciebie. - Uśmiechnęła się do niej Kari. - Mój Boże, Nino, udało ci się! Znalazłaś wyspę, którą inni uważali tylko za legendę!

- Tak, rzeczywiście, sporo było takich - odrzekła Nina, zerkając przy tym znacząco na Philby'ego.

- Tak, tak - przyznał tamten - oczywiście się myliłem. - Wyciągnął rękę. - Gratuluję, doktor Wilde.

- Dziękuję, profesorze - odparła, ściskając mu dłoń. Po chwili Philby pochylił się i objął ją ramieniem.

- Dobra robota - powiedział. - Naprawdę się spisałaś. Nina uśmiechnęła się z dumą.

- Nie chciałbym wam przeszkadzać w tej archeologicznej orgii - wtrącił się Chase - ale wciąż musimy się tam jakoś dostać. Dwieście czterdzieści metrów pod wodą, pamiętacie?

- Zajmę się tym - powiedział Frost. - Przekażę kapitanowi „Evenora”, aby wyruszył w morze tak szybko, jak to możliwe. Statek jest już zresztą przygotowany do rejsu. Jutro zostanieie przetransportowani na pokład helikopterem. - Uśmiechnął się. - Jeszcze raz muszę pani pogratulować, doktor Wilde. Dokonała pani kolejnego niewiarygodnego odkrycia. Żałuję tylko, że nie będzie mnie na miejscu, żeby zobaczyć je na własne oczy.

- Ja też, *Far* - powiedziała Kari.

- Kiedy będziemy rozmawiać następnym razem... - Frost uśmiechnął się jeszcze szerzej - będziecie już odkrywcami Atlantydy. Jestem tego pewien. Do widzenia... i powodzenia.

Ekran zgasł.

- Dołączam się do gratulacji - powiedziała Kari. - Brawo, Nino! - Podeszła do barku i wyciągnęła butelkę szampana Bollinger. - Powinniśmy to uczcić!

- Szampanem po cenach hotelowych? - zaśmiał się Chase. - Prawdopodobnie ta butelka kosztuje dużo więcej, niż wydałaś na całą ekspedycję!

- Myślę, że warto. Proszę, Nino. - Wręczyła jej butelkę. - Czyń honory!

- Ale nie wygrałaś grand prix Formuły 1, więc nie potrząśnij butelką - dodał Chase. - Szkoda, żeby tak szlachetny trunek się zmarnował.

Nina oddała sreberko i poluzowała druciany koszyczek, podczas gdy Castille rozdał obecnym kieliszki. Przekreśliła korek.

- Nienawidzę tego momentu. Zawsze boję się, że wybiję komuś oko.

- Jak Jasonowi Starkmanowi? - powiedział Chase z okrutnym uśmieszkiem.

- To nie jest zabawne... aaa! - Korek wystrzelił, a Chase podstawił kieliszek, żeby złapać wylewającą się z butelki pianę. - Dzięki.

- Nie ma za co. Nalewaj do pełna, nie oszczędzaj. Ten jest dla ciebie.

- Czyżbyś próbował mnie upić?

- Jasne. Założę się, że na bani robi się z ciebie rozrywkowa dziewczyna! Proszę. - Wziął od Niny butelkę i w zamian dał napełniony kieliszek, a następnie nalał szampana wszystkim pozostałym.

- Za Ninę - powiedziała Kari, unosząc kieliszek. Wszyscy powtórzyli toast.

- Dziękuję... - Nina umilkła na moment. - Ale myślę, że powinniśmy pamiętać o tych, którzy odnieśli rany albo... nie mogą być już wśród nas. Za Hafeza, Agnaldo, Julio, Hamiltona, kapitana Pereza...

Pozostali powtórzyli z powagą te imiona i nazwiska, zanim spełnili toast.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że o nich pomyślałaś - powiedział Philby.

- Po prostu im się to należało. Mam nadzieję, że cokolwiek znajdziemy, będzie tego warte...

- Będzie - zapewniła Kari. - Na pewno będzie.

19

Zatoka Kadyksu

O, tam jest! - powiedziała Kari, wskazując ręką na krajobraz za przednią szybą helikoptera.

W dole były granatowe wody Zatoki Kadyksu. Znajdowali się sto czterdzieści pięć kilometrów od wybrzeża Portugalii, sto sześćdziesiąt od Gibraltaru, a cel ich podróży płynął z prędkością dwunastu węzłów w stronę Atlantyku. RV „Evenor” odcinał się na tle bezkresnego błękitu lśniąca białą kadłuba. Siedemdziesięcioośmiometrowy statek oceanograficzny był cudem techniki. Kristian Frost nie liczył się z kosztami.

- Wreszcie! - powiedział Castille. Przez cały lot Belg bardzo się denerwował, co bawiło pozostałych pasażerów. - Nie mogę się doczekać, by postawić stopę na suchym lądzie. - Zastanowił się. - Suchym pokładzie. Może i mokrym pokładzie. Nieważne, byle tylko nie był to helikopter!

- Masz pojęcie, jak trudno jest wylądować helikopterem na płynącym statku? - zapytał złośliwie Chase.

Castille spojrzał na niego kwaśno, nonszalancko wyciągnął z kieszeni zielone jabłko i wgryzł się w nie głęboko.

- Z tym nie będzie żadnych problemów - zapewnił pilot, gdy bel 407 zaczął schodzić do lądowania. Robiłem to już sto razy.

- Mnie akurat interesuje raz sto pierwszy - mruknął Castille, przeżuwając mięsz.

Kiedy zbliżyli się do „Evenora”, Nina spojrzała Kari przez ramię. Dla laika, jak ona, statek był dziwnie zaprojektowany. Kadłub wyglądał wprawdzie normalnie, lecz nadbudówka wydawała się nadmiernie ciężka: wysoki, rozszerzający się blok pośrodku statku, a nad nim masz radaru.

Powód niezwyklej konstrukcji stał się oczywisty, gdy podlecieli bliżej. Na rufie znajdowało się lądowisko dla helikopterów, jego płyta wystawała aż nad śruby napędowe. Natomiast większą część pokładu na dziobie zajmowały dźwigi i mechanizmy korbowe podtrzymujące oba batyskafy będące na wyposażeniu „Evenora”. Ludzie musieli się zmieścić między maszynami.

- Ma dopiero rok - oznajmiła Kari, kiedy się zbliżyli. - Trzy tysiące dwieście ton, pięciu oficerów, dziewiętnastoosobowa załoga i dość miejsca, by przez dwa miesiące mogło tu pracować trzydziestu naukowców. Duma i radość mojego ojca.

- Mam nadzieję, że po tobie - powiedziała Nina.

- Hm... czasem mam wątpliwości - zażartowała Kari.

Tak jak pilot obiecał, lądowanie odbyło się szybko i sprawnie. Castille prawie wyskoczył z kabiny, gdy tylko załoga statku przymocowała śmigłowiec do pokładu.

- Wreszcie bezpieczny! - wykrzyknął.

- Tylko z tej radości nie wyrzucaj rąk do góry - przestrzegła go Nina, wskazując na wciąż obracające się śmigło. - Pamiętaj, co się stało z Hadżdżarem!

- Przynajmniej tam helikoptery nie będą ci grozić - zauważył Chase, wyglądając za burtę. Morze było spokojne, łagodne fale doskonale skrywały to, co było pod powierzchnią.

Kari zaprowadziła członków ekspedycji na czwarty poziom nadbudówki, do sterowni, gdzie poznali dowodzącego „Evenorem” kapitana Leo Matthews, wysokiego Kanadyjczyka w śnieżnobiałym mundurze, który przedstawił im obecną sytuację.

- Na wyznaczone miejsce dopłyniemy za około trzy godziny. Czy na pewno chce pani od razu wysłać pod wodę obie łodzie? - zapytał Kari. - Może do zbadania dna lepiej byłoby najpierw wysłać tylko „Atragona”?

Kari pokręciła głową.

- Obawiam się, że musimy się spieszyć. Qobras już ma statek na morzu. Szuka w złym miejscu, ale na pewno dowiedział się już, że też wypłynęliśmy. Prędzej czy później zacznie nas szukać, a przypuszczam, że stanie się to raczej prędzej.

- Obawia się pani ataku?

- Nie byłby to pierwszy raz - zauważył Chase. Matthews się uśmiechnął.

- Cóż, „Evenor” nie jest może okrętem wojennym, ale... powiedzmy, że umiemy się o siebie zatroszczyć. - Zwrócił się do Kari. - Pani ojciec przysłał trochę... hm... specjalnego sprzętu. Poradzimy sobie w razie kłopotów.

- Dziękuję, kapitanie.

Matthews rozkazał jednemu z marynarzy zaprowadzić członków ekipy do ich kajut. Kari zajęła kajutę pod samą sterówką, mimo że zaoferowała ją Ninie jako „główniej uczonej”, lecz ta wybrała kabinę obok Chase’a piętro niżej.

- Super - zarechotał, wtykając głowę do kajuty Niny. - Mam kabinę tylko dla siebie. Bez Hugona.

- A co, chrapie?

- Robi coś znacznie, znacznie gorszego. - Na szczęście, nie rozwodził się nad tym dłużej. - Może łajba nie jest tak luksusowa jak „Nereida”, ale przynajmniej trudniej ją wysadzić w powietrze.

- Nie żartuj na ten temat, proszę.

- Wcale nie żartowałem. - Chase wszedł do kajuty. - Jak powiedziała Kari, Qobras musi już wiedzieć, że tu jesteśmy. Wiem, że Kari wierzy w lojalność załogi, ale każdego można kupić.

- Myślisz, że Qobras ma na statku swojego szpiega? - Nina usiadła na łóżku, zaniepokojona.

- Mógłbym się o to założyć. Skoro już o tym mowa... - Nie dokończył.

- Co?

Usiadł obok niej i ściszył głos.

- W Brazylii Starkman znalazł nas o wiele za szybko. Tamte helikoptery nie mogły nas śledzić, gdy płynęliśmy w górę rzeki, bo poruszaliśmy się zbyt wolno. Skończyłoby im się paliwo. Co znaczy, że startując, wiedzieli dokładnie, gdzie jesteśmy. Więc albo na jachcie mieli swój nadajnik, co jest możliwe... albo ktoś na pokładzie podał im nasze zamiary.

Mimo że w kabinie było ciepło, Ninę przebiegł dreszcz.

- Kto?

- Nie mógł to być ten zwariowany ekolog, bo nikt mu nie powiedział, po co się wybieramy do dżungli. Wiem, że o zmarłych nie powinno się źle mówić, ale na mojej liście są kapitan Perez i Julio.

- Ale obaj zginęli, gdy zatonęła „Nereida”. Widziałeś ciała.

- Możliwe, że Starkman zabił ich, żeby zatrzeć wszelkie ślady. Więc ich zdrady nie można wykluczyć. Z drugiej strony, jestem prawie na sto procent pewien, że Kari nie usiłuje zrobić na szaro swojego taty... - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - A ty, no cóż. Jesteś poza wszelkim podejrzeniem. Uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Szkopuł w tym, że nie zostaje nam zbyt wielu podejrzanych. Jest jeszcze Agnaldo, profesor... i no cóż, ja i Hugo.

- Niemożliwe, żeby to był Jonathan - zapewniła natychmiast Nina. - Znam go od lat. Nie pozwoliłby mnie skrzywdzić.

- Więc dobrze - powiedział Chase, unosząc brew. - Ufam Agnaldowi i niech mnie diabli, powierzyłbym Hugonowi własne życie. Co znaczy, że... kurczę... zostają tylko ja. Tak, to byłem od początku ja, prawda?

Nina zachichotała.

- Myślę, że ciebie też możemy wykluczyć.

- Mam nadzieję. Inaczej sam musiałbym spuścić sobie łomot. - Znów się uśmiechnął, a potem pokręcił ze zmęczeniem głową. - No, nie wiem. Każdy na pokładzie „Nereidy” mógł mieć w osobistym bagażu telefon satelitarny... przeglądałem tylko rzeczy, które wzięliśmy na pokład w Tefe. A na tej łajbie... - Westchnął. - Możemy tylko mieć szeroko otwarte oczy i nie lekceważyć niczego podejrzanego.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli kogoś przy łapiesz? - spytała. Chase wstał.

- Wyrzucę sukinsyna za burtę.

Nie miała wątpliwości, że tym razem nie żartował.

Nina postanowiła zapoznać się dokładniej z „Evenorem”. Zeszła na dziób przyjrzeć się batyskafom. Zastała tam Kari rozmawiającą z dwoma młodymi mężczyznami, których znoszone szorty i rozpięte hawajskie koszule w krzykliwych kolorach stanowczo przekraczały granice „plażowego luzu” i kojarzyły się raczej z „plażowym menelstwem”.

- Nino - powiedziała Kari - to są piloci naszych batyskafów. A także ich projektanci.

- Jim Baillard - przedstawił się wyższy z mężczyzn, Kanadyjczyk podobnie jak Matthews, tylko że mówiący znacznie wolniej. Kiedy Nina uścisnęła mu dłoń, na jego nadgarstku zagrzechotała bransoleta z muszelek. - Więc myślisz, że odkryłaś Atlantyde, co? Odlotowa sprawa.

- Chcesz ją odkopać? Zajmiemy się tym - powiedział niższy i bardziej przysadzisty, mocno opalony Australijczyk z farbowanymi na blond sterzącymi włosami. - Mart Trulli. Jeśli jest pod wodą, możemy ją dla ciebie osuszyć.

- Miło mi was poznać - powiedziała Nina. Spojrzała na batyskafy. - Więc to są te wasze cacka? Wyglądają inaczej, niż się spodziewałam. - Przypominały raczej spychacze albo inne maszyny przemysłowe niż statki głębinowe.

- Myślałaś, że będą miały z przodu dużą szklaną bańkę, co? - powiedział Trulli z entuzjazmem. - Ale to cholernie kiepskie rozwiązanie! Najdrobniejsze pęknięcie i prask! No, może bańka przydaje się, jak zależy ci tylko na cykaniu zdjęć dziwnym rybom albo pływaniu wokół „Titanica”, ale te cacka zbudowaliśmy do ciężkiej roboty. Są wytrzymałe jak diabli.

- Jeśli masz kabinę wytrzymałą na wysokie ciśnienie, to za wszelką cenę chcesz uniknąć zrobienia w niej dziury - dodał Baillard, kontynuując myśl Trulliego z taką łatwością, jakby obaj byli jedną osobą. Skinął na dużą, pomalowaną na biało i pomarańczowo metalową kulę na przedzie mniejszej łodzi, na której widniała nazwa „Atragon”. - Jeśli skorupa będzie jednolita, to całość będzie bardziej wytrzymała, a ty będziesz mogła zejść znacznie głębiej.

- Jak wygląda się na zewnątrz? - Nina zauważyła po boku kuli okienko, ale miało tylko kilka centymetrów średnicy.

- Zamiast szklanej bańki używamy systemu obrazowania wirtualnego LID AR. To trochę jak radar, tylko że wykorzystuje błękitnozielone wiązki lasera. Marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych opracowała tę technologię do sterowania torpedami. Ta długość fal nie jest akurat blokowana przez wodę morską.

- Lasery są dwa - dopowiedział Trulli - po jednym na oko. Właściwy obraz stereoskopowy! Wiązki laserów przebiegają pole przed łodzią dwadzieścia razy na sekundę, a wszystko, co wróci w postaci światła odbitego, oglądamy na dużym ekranie w kabinie. Obraz trójwymiarowy. Nie ma potrzeby instalowania potężnych reflektorów, które pożerają tylko energię z akumulatorów, a parę metrów przed łodzią guzik widać. My widzimy na odległość półtora kilometra!

- A ponieważ mamy znacznie szersze pole widzenia, niż gdybyśmy siedzieli w szklanej bańce, możemy pracować znacznie szybciej za pomocą ramion - powiedział Baillard i poklepał

jeden z imponujących stalowych wysięgników zakończonych chwytakiem. - To rewolucyjny projekt.

- Sam to powiedziałaś! - Trulli przybił partnerowi piątkę. - Zbyt rewolucyjny. Nikt nie chciał dać nam pieniędzy na rozwój, bo inwestycja wydawała się zbyt ryzykowna. Ale tata Kari? Bum! Jak tylko zobaczył, co nam chodzi po głowie, dostaliśmy kasę na rozkręcenie biznesu.

- A teraz nie dość, że dostajecie szansę, by wypróbować swój sprzęt - powiedziała Kari - ale na dodatek weźmiecie udział w największym odkryciu archeologicznym wszech czasów.

- Jak powiedziałem - potwierdził Baillard - odłotowo.

- Się wie - zgodził się Trulli. Nina uśmiechnęła się, gdy znów przybili sobie piątkę.

- To co te pojazdy robią? - zapytała. - To znaczy, przypuszczam, że „Atragon” jest zwykłą łodzią, ale ten drugi? - Pokazała palcem większą maszynę. Od otworu na przedzie do głównego korpusu łodzi biegła gruba rura. Z tyłu wystawała druga rura, karbowana i elastyczna, która wyglądała, jakby mogła się znacznie rozciągać. Prowadziła do pojemnika dającego się odłączyć od samej łodzi. Następna rozciągliwa rura zwisała z rufy modułu prawie jak ogon. Na boku kabiny namalowano w stylu grafficiarskim napis „Do robót ciężkich!”

- Ten? - powiedział Trulli z dumą. - To jest „Piaskojad”. No wiesz, tak jak glonojad, tylko od piasku.

Nina uśmiechnęła się.

- Chyba rozumiem, w czym rzecz.

- To samodzielna maszyna do robót odkrywkowych pod wodą - wyjaśnił Baillard, wskazując parę mocnych stalowych ramion. Inaczej niż wysięgniki mniejszego batyskafu, te były zakończone nie szczypcami, tylko łyżkami koparki. - Ramiona pozwalają usuwać większe kamienie i głazy, podczas gdy pompa - wskazał otwór pod kabiną - odkurza muł i osad...

- A ponieważ główny moduł pompy można oddzielić od łodzi - wtrącił się Trulli, pokazując pojemnik przypominający przyczepę - możemy zaparkować go z dala od terenu wykopalisk, żeby wyrzucany piasek i muł nie ograniczały widoczności.

Nina była pod wrażeniem.

- Jak szybko będzie można oczyścić obiekt z mułu?

- Pięć metrów osadów? - powiedział Baillard. - Powinniśmy się z tym uwinąć szast-prast. Przynajmniej na tyle, by było widać, że pod spodem coś jest.

- Ale usunięcie całej pokrywy, żeby przekonać się, co to takiego... - Trulli wzruszył ramionami - To już zależy, jak dużą dziurę chcesz wykopać. Szeroką na sześćdziesiąt metrów? Jeśli to tylko piach i muł, to odkurzanie zajmie kilka godzin.

- A potem, jeśli coś tam będzie, możemy albo użyć chwytaków „Atragona”, żeby to podnieść, albo wysłać „Mocarnego Jacka”.

- Kogo? - spytała Nina.

Baillard wskazał niedużą klatkę przyczepioną do „Atragona”. Wewnątrz znajdował się jaskrawoniebieski pudełkowaty obiekt, który okazał się oddzielną jednostką pływającą.

- „Mocarny Jack” to nasz pojazd zdalnie sterowany. To robot, w zasadzie BB-101 z Cameron Systems. Jest połączony z „Atragonem” za pomocą światłowodu i wyposażyliśmy go w kamerkę stereoskopową, żebym mógł nim sterować z kabiny. Ma nawet własną rękę.

Nina uśmiechnęła się, słysząc, jak Baillard antropomorfizuje robota.

- I to będzie ich chrzest bojowy?

- Oczywiście, wykonywaliśmy rozmaite próby, ale rzeczywiście, to będzie ich pierwsza prawdziwa misja - odparł Trulli. - Nie możemy się doczekać, co znajdziemy!

- Ja też. - Kari popatrzyła w dal. - Za mniej więcej dwie godziny powinniśmy dopłynąć na miejsce. Jak szybko będziecie gotowi do pracy?

- Wszystkie przygotowania przed wodowaniem możemy wykonać nim dopłyniemy. Samo wodowanie, zajmie jakąś godzinę - odparł Baillard.

- W głównej pracowni zainstalowaliśmy już monitory do retransmisji - oznajmił Trulli, zwracając się do Niny. - Będiesz mogła oglądać wszystko to, co my, i tak jak my: też w trzech wymiarach! Nieźle, co?

- Brzmi super. - Nina poczuła dreszczyk emocji, nie mogła się już doczekać wielkiego odkrycia. Lecz zarazem była spięta i podenerwowana. Gdyby okazało się, że tam, na dnie morza nic nie ma...

Kari wyczuła jej niepokój.

- Dobrze się czujesz?

- Po prostu nie przyzwyczaiłam się jeszcze do kołysania pokładu - skłamała Nina. - Chyba pójdę się na chwilę położyć. Dasz mi znać, kiedy znajdziemy się na miejscu?

Kari przybrała śmiertelnie poważny wyraz twarzy.

- Nie, pomyślałam, że pozwolę ci przegapić ten wielki moment, gdy odkryjemy Atlantyde.

- Ani mi się waż - zbesztła ją Nina, gdy Kari się uśmiechnęła. - Nie poradzę sobie z dwójką sarkastycznych przyjaciół!

Nina wróciła do kajuty i przez jakiś czas leżała na łóżku, usiłując nie myśleć o ogromnych pieniądzech, jakie Frostowie zaangażowali w weryfikację jej hipotezy. Kiedy wreszcie zdała sobie sprawę, że jest to jałowy wysiłek, myśl o „sarkastycznych przyjaciółach” sprawiła, że wstała i zapukała do drzwi Chase’a. Kiedy usłyszała zaproszenie i weszła do środka, była lekko zaskoczona, gdy zastała go na łóżku przy lekturze książki... i jeszcze bardziej zaskoczona, gdy zobaczyła okładkę.

- Dialogi Platona? - spytała.

- Tak - odparł Chase, siadając. - Nie rób takiej zszokowanej miny! Ja też czytam książki. Głównie thrillery, ale... Tak czy owak, pomyślałem sobie, że skoro tyle o tym Platonie mówisz, to sprawdzę, co właściwie napisał. Zresztą facet nie miał znowu tak wiele do powiedzenia o tej Atlantydzie.

Nina usiadła obok niego.

- Rzeczywiście, nie miał.

- Bo tak: w *Timaiosie* poświęcił Atlantydzie ile... trzy akapity? A cała reszta to jakieś smuty: jakiś młody palant się nawalił i pieprzył głupoty o znaczeniu wszechświata.

Nina parsknęła śmiechem.

- Nie tak brzmi kanoniczna interpretacja akademicka... ale owszem, masz rację.

- A w tym drugim dialogu, w *Kritiasie*, facet zaczyna gadać o Atlantydzie dopiero na piątej stronie. Ale faktycznie... potem robi się ciekawie.

Zamyślenie, z jakim to powiedział, zwróciło jej uwagę.

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi nie tylko o opis miasta i o to, jak trafnie opisał świątynię. Zastanowili mnie raczej Atlantydzi, ich władcy. Jakoś mi się to nie składa.

- Co?

- No bo tutaj w przypisie czytam, że jacyś uczeni uważają, że *Kri-tias* przedstawia Platońską wizję państwa idealnego, tak? Ale to bzdura. Jak wczytasz się w to, co Platon rzeczywiście napisał, to dochodzisz do wniosku, że Atlantydzi byli dosyć paskudnym ludem. To wojownicy, którzy podbijali inne kraje i zniewalali ludność. Byli społeczeństwem całkowicie zmilitaryzowanym, a królowie mieli władzę nad życiem i śmiercią poddanych, nie było tam miejsca na żadną demokrację... - Chase zaczął kartkować książkę. - A potem, jak

zbliżasz się do końca, tam, gdzie tekst się urywa, i czytasz, że „natura ludzka zaczęła brać górę, wtedy już (...) zrobili się nieprzyzwoici i kto umiał patrzeć, ten widział już ich brzydotę”. Więc Zeus skrzyknął wszystkich bogów, żeby ich ukarać. Bul, bul. Wcale nie wydają mi się tacy wspaniali. Właściwie to świat jest chyba bez nich lepszy.

- Zaimponowałaś mi - powiedziała Nina. - To była całkiem dobra analiza.

- Z matmy i historii byłem kiepski, ale z angielskim radziłem sobie całkiem nieźle. - Odłożył książkę i przysunął się do Niny. - Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jakoś dziwnie, ale kiedy to przeczytałem, zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak bardzo zależy ci na odnalezieniu tych ludzi.

Nina poczuła się nieswojo, prawie jakby została o coś oskarżona. Czyżby Kari powiedziała Chase'owi o atlantydzkim markerze genetycznym? Wydawało się to mało prawdopodobne. Otrząsnąwszy się, odparła:

- Po prostu fascynowało mnie to przez całe życie. Zresztą tak jak moich rodziców. Podróżowałam z nimi po całym świecie w poszukiwaniu czegokolwiek, co przybliżyłoby nas do odpowiedzi na pytanie, gdzie znajdowała się Atlantyda. - Wyciągnęła spod koszulki swój wisiołek i podniosła go do światła. - Jak na ironię, od dawna miałam coś takiego i nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Czy twoim rodzicom udało się znaleźć coś więcej? Opuściła wisiołek.

- Hm... Nie wiem, naprawdę nie wiem. Myśleli, że znaleźli, ale ja nigdy tego nie widziałam. W tym roku, gdy... umarli... - Głos uwiązł jej w gardle.

- Przepraszam, nie chciałem... - zaczął Chase. Pokręciła głową.

- Nie, nie szkodzi. Po prostu rzadko o tym rozmawiam. Rodzice byli na ekspedycji w Tybecie, podczas gdy ja zdawałam egzaminy na uniwersytet...

- W Tybecie? - zdziwił się Chase. - To cholernie daleko od Oceanu Atlantyckiego.

- Tybet od dawna łączy się z legendą Atlantydy. Naziści wysłali tam kilka ekspedycji, nawet w czasie wojny.

- Znowu naziści, he? - zamyślił się Chase. - Sukinsyny co i rusz się nam przyplątują. Dobra, znaleźli świątynię w Brazylii i buchnęli ramię sekstansu... ale musieli znaleźć także coś jeszcze... coś, co spowodowało, że wybrali się do Tybetu.

- Może coś na mapie albo w inskrypcjach na ścianach... na pewno były tam informacje, które świadczyły, że Atlantydzi dotarli do Azji. Ale miałam za mało czasu, żeby to dokładnie sprawdzić.

- Dlaczego twoi rodzice tam pojechali?

- Tego też nie wiem. Znaleźli coś, ale nie powiedzieli mi co. - Zmarszczyła brwi. - Co jest dziwne, bo zwykle wszystkim się ze mną dzielili.

- Może nie chcieli cię rozpraszać, bo miałaś egzaminy.

- Może. - Zmarszczka na jej czole nie zniknęła. - Ale ostatnią wiadomością, jaką od nich dostałam, była pocztówka. Z Tybetu. Wciąż ją zresztą mam.

- Co napisali?

- Niedużo, tylko że zamierzają wyruszyć z wioski Xulaodang w Himalajach. Spodziewali się, że wrócą za tydzień, ale...

Chase współczująco położył rękę na jej ramieniu.

- Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz.

- Nie, nie o to chodzi. Ale to zabawne. Do tej pory nie brałam nawet pod uwagę wątku nazistowskiego. A rok wcześniej ojciec pojechał do Niemiec... Może właśnie to mieli, jakieś informacje z ekspedycji Ahnenerbe. Coś, co zaprowadziło ich do Tybetu. Ale dlaczego mi nie powiedzieli?

- Bo nie chcieli, żebyś wiedziała, że wykorzystują coś zdobytego przez nazistów? - zasugerował Chase.

- Możliwe. - Westchnęła ze smutkiem. - Chociaż okazało się to bez znaczenia. Gdzieś na południe od Xulaodang zaskoczyła ich lawina śnieżna i prawie wszyscy członkowie ekspedycji zginęli. Ciało nigdy nie znaleziono, więc cokolwiek ze sobą mieli, zostało stracone.

Chase uniósł brew.

- Prawie wszyscy? Kto przeżył?

- Jonathan.

- Jonathan? Co, masz na myśli Philby'ego? Profesora?

- Tak, oczywiście. Myślałam, że wiesz. Uczestniczył w ich ekspedycji. Dlatego jesteśmy sobie tacy bliscy: mimo że jestem pewna, że nie mógł nic poradzić, wyznał mi, że ma wyrzuty sumienia, że nie udało mu się ich uratować. Od tego czasu stara się mną opiekować.

Chase odchylił się do tyłu.

- Philby, hę?

- Co?

Odwrócił wzrok.

- Nic. Po prostu nie wiedziałem, skąd się znacie.

- Pracował z moimi rodzicami przez lata, przyjaźnili się.

- Hm. - Chase sprawiał wrażenie zamyślonego, lecz zanim zdążyła go o to zapytać, usłyszała pukanie do drzwi. Nie do kabiny Chase'a, tylko do swojej. - Tutaj jestem!

Kari ostrożnie wychyliła głowę zza drzwi.

- W niczym nie przeszkadzam, prawda? Chase prychnął.

- Niestety!

- Chciałam tylko powiedzieć, że jesteśmy już prawie na miejscu. Kapitan Matthews wykorzysta silniki sterujące, żeby utrzymać statek w miejscu, bo kotwica mogłaby coś uszkodzić. A zaraz potem zwodujemy batyskafy. Pomyślałam, że będziesz chciała to zobaczyć.

- Nie przepuściłabym tego za żadne skarby - powiedziała Nina, wstając. - Eddie, idziesz?

- Dajcie mi parę minut - odparł Chase. - Będziecie na dziobie, racja?

- Tak.

- Okej, to tam się spotkamy.

Kari i Nina wyszły. Chase z nieprzeniknionym wyrazem twarzy patrzył, jak odchodzą.

- Philby... - mruknął pod nosem.

Rozplanowanie przestrzeni na „Evenorze” sprawiało, że na statku było niewiele miejsc, gdzie człowiek mógłby się zaszyć, by nie widzieli go inni. Jednak po dłuższych poszukiwaniach Jonathan Philby znalazł ustronne miejsce.

Rozejrzał się nerwowo dookoła. Z przodu widział czubek dźwigu, który unosił właśnie większy batyskaf, by spuścić go na morze. Żeby odbiornik GPS działał, antena musiała się znaleźć w miejscu, gdzie co najmniej połowa nieba byłaby nieosłonięta. Ale gdyby wychylił się bardziej za rufę, ktoś mógłby go zobaczyć.

Nie miał wyboru. Po prostu musiał zatelefonować.

Miniaturowy telefon satelitarny zawsze miał przy sobie, odkąd powiadomił Qobrasa, że Frostowie nawiązali z nim kontakt. Samo wyjęcie aparatu z walizki budziło w nim lęk: gdyby ktokolwiek go zauważył, nawet Nina, natychmiast stałby się podejrzany i byłoby po wszystkim. W Gibraltarze znalezienie okazji, by zadzwonić i podać przybliżony cel podróży „Evenora”, było stosunkowo bezstresowe, ale gdy przekazywał ostatnią pozycję „Nereidy” w Brazylii, o mało nie wpadł w panikę.

Teraz było niewiele lepiej. Drzwi z obu stron trapu nie miały okien. W każdej chwili ktoś mógł przez nie przejść. Philby z niepokojem oczekiwał na połączenie...

- Tak? - Telefon odebrał Starkman.

- Tu Philby. Mam mało czasu. Jesteśmy prawie na miejscu... to moje obecne współrzędne. - Przekazał dane z odbiornika GPS. - Ostatecznie „Evenor” zatrzyma się kilka kilometrów na zachód stąd.

- Ostatecznie „Evenor” znajdzie się dwieście pięćdziesiąt metrów niżej - odparł Starkman. - Jesteśmy już w drodze. Dobra robota, Jack. Zostaniesz wynagrodzony.

- Jedyną nagrodą, na jakiej mi zależy, jest ujście stąd z życiem. - Philby otarł pot z czoła. - To już będzie koniec, racja?

- O tak - zapewnił stanowczym tonem Starkman. - Poszukiwania Atlantydy tutaj się skończą.

Batyskafy spuszczone do oceanu z obu burt „Evenora” jednocześnie. Ich piloci byli już w środku, zaś „kowboje”, marynarze w kombinezonach do nurkowania, stojący na obudowach jednostek, sprawdzili, czy wszystkie podsystemy działają, a przewody komunikacyjne są dobrze podłączone, zanim zdjęli haki dźwigów. Uwolnione z uwięzi statki zanurzyły się pod wodę, a ponton Zodiak zabrał kowbojów z powrotem na pokład „Evenora”.

Dwieście czterdzieści metrów batyskafy pokonały w niespełna dziesięć minut. Nina zajęła w laboratorium honorowe miejsce przed monitorami, a Kari usiadła obok. Philby, Chase i Castille patrzyli im przez ramię, podobnie jak garstka członków załogi „Evenora”.

Dwa duże ekrany ukazywały dokładnie to, co piloci widzieli pod wodą na ciekłokrystalicznych ekranach w trzech wymiarach bez konieczności zakładania specjalnych okularów. Przez większość drogi na dół, iluzja głębi była ledwo zauważalna, lecz co jakiś czas przed promieniami laserów któreś z jednostek przepływała ryba, która zdawała się wyskakiwać z ekranu w błysku widmowego zielonego światła.

- Dwieście dwadzieścia pięć metrów - oznajmił Trulli. - Redukujemy prędkość.

- „Evenor”, proszę o potwierdzenie lokalizacji celu - powiedział Baillard.

- „Atragon”, skręć na stopień dwa-zero-zero - powiedziała Kari do mikrofonu połączonego ze słuchawkami. - Jesteś niecałe trzysta metrów od celu. „Piaskojad”, trzymaj kurs aż do potwierdzenia kontaktu.

- Powinniśmy już coś widzieć - poskarżył się Trulli.

Morskie dno przesunęło się nagle na ekranie, zyskując dodatkowy wymiar, gdy Trulli obrócił swój batyskaf, pochylając przód tak, aby lasery skierować w dół. Rozdzielczość była na tyle duża, że widać było kraby spacerujące po falistym dnie.

Nina skupiła uwagę na obrazie ze statku BaiHarda, który teraz płynął powoli niecałe dziesięć metrów nad dnem. Mniejszy monitor ukazywał punktowy obraz ze standardowej kamery telewizyjnej, lecz obraz LIDAR rozciągał się znacznie dalej.

Dno z przodu podniosło się gwałtownie.

- „Evenor”, coś tu jest - doniósł Baillard. - Otrzymuję bardzo mocne sygnały sonarowe... to nie piasek ani muł. Zbliżamy się do czegoś twardego. I dużego. Może to wrak statku...

- Żaden tam wrak - szepnęła Nina, gdy obiekt pojawił się na ekranie w trzech wymiarach. Natychmiast rozpoznała ten kształt. Ten sam, który miała replika świątyni Posejdona w brazylijskiej dżungli.

I w przeciwieństwie do tamtej budowli, która leżała teraz w gruzach, ta była nienaruszona.

- Jasny gwint - mruknął Chase, pochylając się nad jej ramieniem.

- Jezu. „Evenor”, czy to widzicie? - spytał Baillard.

- Widzimy - potwierdziła Kari, przekazując słuchawki Ninie. - Nino, to ty tu dowodzisz.
 - Ja? Ale ja nic nie wiem o batyskafach!
 - Nie musisz. Po prostu powiedz, co chcesz obejrzeć, a Baillard zrobi, co trzeba.
 - Dobrze... - powiedziała nerwowo Nina, bo nagle przeraziła się, że przez przypadek doprowadzi do katastrofy. Założyła słuchawki i ustawiła mikrofon. - Jim, tu Nina. Słyszysz mnie?

- Głośno i wyraźnie - odparł Kanadyjczyk. - Jestem około stu pięćdziesięciu metrów od obiektu. Dobrze go widzisz?

- O tak. - Niższe partie świątynnych murów były zasypane piaskiem, lecz zaokrąglony dach wznosił się dobre dziesięć metrów ponad morskie dno. Odbite światło lasera błyszczało jasno w miejscach, gdzie blachy szlachetnych metali pozostały nienaruszone nawet po potopie.
 - Nie mogę uwierzyć, że wciąż stoi.

Philby pochylił się bliżej. Najwyraźniej miał kłopoty z przywyknięciem do efektu stereoskopowego i radził sobie, po prostu zamykając jedno oko.

- Projekt musiał być niewiarygodnie precyzyjny, żeby wszystkie bloki były w stanie udźwignąć własny ciężar. Kiedy wyspa utonęła, trzymały się razem, mimo że wszystko inne się zawałiło. Zdumiewające!

- Jaki jest prąd? - spytała Kari. Trulli przekazał odczyt wskaźnika.

- Pół węzła, w kierunku północno-wschodnim.

- Nic dziwnego, że budowla nie jest całkiem zasypana. Jeśli ten prąd tu przeważa, to spycha większość osadów dalej w stronę wybrzeża Hiszpanii.

- Czy z piasku wystaje coś jeszcze? - zapytała Nina.

- Widzę kilka pagórków, gdzie może być coś przysypane, ale nic innego na samym wierzchu. Jak wysoki jest ten budynek?

- Jeśli nasze przypuszczenia są słuszne, to powinien mieć osiemnaście metrów.

- Skoro tak, to może z połowa jest na wierzchu. Wokół nagromadziło się sporo osadu.

Na ekranie znów pojawiła się świątynia.

- „Piaskojad”, podpłyn bliżej - zakomenderowała Kari. - Zbliź się od strony północnej, z dala od „Atragona”.

- Się robi - zapewnił Trulli.

Obraz na drugim ekranie drgnął, ukazując ruch łodzi.

- Jim? - spytała Nina. - Mógłbyś okrążyć budynek? Chciałabym zobaczyć, jak wygląda z drugiej strony.

Baillard spełnił polecenie. Manewr zajął parę minut, a widok z drugiej strony bardzo przypominał poprzedni. Zaokrąglony dach, przysypany częściowo piaskiem, przypominał Ninie skorupę żółwia.

- Hej, „Evenor” - odezwał się podekscytowany Trulli. - Jestem przy północnej ścianie, osadu jest tu mniej. Pewnie prąd go rozmywa. Widzę większą część muru.

Nina natychmiast przeniosła uwagę na obraz przekazywany z „Piaskojada”. Przy północnej ścianie było gładkie, podobne do misy zagłębienie, prawie jakby ktoś użył gigantycznej łyżki do lodów do usunięcia osadu.

- Możesz podpłynąć bliżej?

- Jasna sprawa. Momencik. Trwało to wprawdzie dłużej niż obiecany momencik, lecz po paru minutach Trulli zatrzymał maszyną łódź w pobliżu muru.

- Zrobię odczyt sonarowy - oświadczył. - Czekajcie.

Na jednym z monitorów rozbrzysnął zygzakowaty wykres. Dla Niny była to czarna magia, lecz dla pilota łodzi obraz był czytelny jak fotografia.

- Pod osadem coś jest, a właściwie... czegoś nie ma. Może to dziura w murze.

- Dostatecznie duża, żeby „Mocarny Jack” się zmieścił? - spytał Baillard.

- Może. „Evenor”, czy mam zgodę na usunięcie osadu?

Kari spojrzała na Ninę, która pokiwała z entuzjazmem głową. Znaleźli wejście do świątyni!

- Do dzieła, „Piaskojadzie”.

Praca posuwała się irytująco wolno. Nina ledwo powstrzymywała się od bębnienia paznokciami o blat, kiedy Trulli oddalił się od świątyni. Następnie ustawił moduł pompy na dnie około stu metrów na północny wschód, wyciągając „ogon” maszyny w kierunku, w którym płynął prąd. Ekran „Atragona” pokazywał rurę, która rozciągnęła się między modulem a jednostką macierzystą, gdy „Piaskojad” zajął miejsce tuż nad osadem u podnóża północnej ściany. Cały proces trwał ponad dwadzieścia minut.

- Gotowy do pracy, „Evenor” - oznajmił wreszcie Trulli. - Wystarczy tylko słowo.

- Dawaj! - zawołała Nina ku rozbawieniu obecnych. Pompa ruszyła.

Jako największy odkurzacz na świecie „Piaskojad” zaczął wsysać nagromadzony osad do swojej paszczy. Różnica ciśnień nie była duża, lecz całkowicie wystarczała do odciągania osadu warstwa po warstwie i wypluwaniu go przez rurę w module sto metrów dalej. Prąd morski łagodnie unosił powiększającą się chmurę zawieszonych w wodzie drobin z dala od świątyni.

Następne dziesięć minut dłużyło się w nieskończoność, podczas gdy system laserowy „Atragona” ukazywał bok „Piaskojada”, który przesuwiał się w tę i z powrotem, za każdym razem zdejmując warstwę osadu. Aż wreszcie...

- Chyba coś tu mam! - wykrzyknął Australijczyk. Skierował swoją kamerę wideo w odpowiednie miejsce. Unoszące się drobinę pyłu sprawiały, że obraz nie był zbyt wyraźny, lecz widać było dość, by Ninie zamarło serce. - Wygląda na wejście.

Na ekranie widniał tunel znikający w ciemnościach. Trudno było ocenić jego rozmiary, lecz jeśli świątynia została zbudowana tak samo jak jej brazylijska kopia, to wejście miało około półtora metra szerokości.

- Użyję dodatkowej pompy, żeby to wyczyścić - oznajmił Trulli. - Dajcie mi parę minut.

- Jedno z ramion „Piaskojada” wyciągnęło się, lecz zamiast użyć dużej łyżki do rozkopania otworu, spod niej wysunęła się wąska metalowa rura, która zaczęła wsysać nagromadzony wewnątrz osad.

Chase pochylił się nad Niną, żeby przyjrzeć się dokładniej trójwymiarowemu obrazowi, tak że prawie zetknęli się policzkami.

- Wiesz co... jeżeli ta świątynia ma taki sam rozkład jak ta w Brazylii, to ten korytarz może prowadzić prosto do sali z ołtarzem. W tej brazylijskiej w kącie był szyb, ale został zawalony kamieniami.

Nina popatrzyła na niego oskarżycielsko.

- Był? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie miałem czasu! No wiesz, ta bliskość śmierci i w ogóle.

- Korytarz dla kapłanów - powiedziała Kari, zamyślona. - Tajemne przejście.

Trulli odsysał piasek jeszcze przez kilka minut, zanim cofnął ramię.

- Oczyszczyłem tyle, ile mogę - oznajmił. - Jimbo, przygotuj „Mocarnego Jacka”!

Podczas gdy Trulli wycofywał „Piaskojada”, Baillard zbliżył się własną łodzią i zatrzymał ją na krawędzi poszerzonego wgłębienia pod północną ścianą. Następnie oświadczył:

- „Evenor”, wypuszczam robota... teraz.

Wszyscy zebrani wlepili wzrok w ekran „Atragona”, który przełączył się z widmowego monochromatycznego obrazu w systemie LI-DAR na kolorowy obraz wideo, gdy „Mocarny Jack” opuścił swoją klatkę i ruszył w stronę świątyni. Mały robot nie miał laserowego systemu

obrazowania jak jednostka macierzysta, ale jego kamery też były stereoskopowe. Kiedy wpłynął do tunelu, ciasna, zamknięta przestrzeń dawała wrażenie prędkości przyprawiającej o zawroty głowy.

- Boże, to jak atak na Gwiazdę Śmierci - zauważył Chase. „Mocarny Jack” ruszył w głąb tunelu. Na chodniku wciąż zalegały łachy piasku, lecz Trulli zdołał oczyścić korytarz na tyle, że robot mógł się zmieścić. Napięcie w kabinie „Evenora” rosło, w miarę jak „Mocarny Jack” posuwał się naprzód, by dotrzeć do...Litej ściany.

- Nie! - jęknęła Nina z rozczarowaniem. - To ślepy zaułek! Robot skręcił w lewo, potem w prawo, jego reflektor oświetlił tylko kamienne ściany.

- Co mam teraz zrobić? - spytał Baillard.

Nina miała już powiedzieć, żeby wycofał maszynę z korytarza, gdy Chase pochylił się i przemówił do jej mikrofonu.

- Jim, tu Eddie. Czy ten robot może płynąć pionowo w górę?

- Tak, jasne. Ale...

- Po prostu to zrób.

Po chwili wahania, robot ruszył z wolna do góry. I płynął wyżej i wyżej.

- A niech mnie! - powiedział Baillard, obracając „Mocarnego Jacka”, aby przyjrzeć się bocznym ścianom, podczas gdy robot się wznosił. - Skąd wiedziałeś, że to tam jest?

- Miałem przecucie - odparł Chase, uśmiechając się szeroko do Niny. - Ale uważaj. Po drodze możesz się natknąć na pułapki.

Nina odepchnęła go lekko od swojego mikrofonu.

- Ech, Eddie, jakoś wątpię, żeby przez ostatnie jedenaście tysięcy lat ktokolwiek opiekował się akurat tą świątynią.

- Bo ja wiem, te syreny to podstępne baby...

Uśmiechnęła się, po czym skupiła uwagę z powrotem na ekranie. Baillard skierował kamerę maksymalnie ku górze, tak że szyb nabrał optycznie głębi.

- Widzę coś - oznajmił.

Ciemna linia na ścianie szybu zbliżyła się szybko, rozedrgana i zniekształcona...

Nagle obraz obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni. Ekran wypełniła kamienna ściana.

- Jim! - zawołała Nina. - Co się stało? Uderzyłeś w coś?

- Momencik... - Robot odwrócił się powoli, lecz obraz z kamery wciąż się kiwał i drgał. Nie było widać niczego z wyjątkiem ścian. - Dobra. Zdaje się, że „Mocarny Jack” nie może popłynąć dalej.

- Jak to? - zażądała wyjaśnień Kari. - Zaklinował się? Mamy go spisać na straty?

Baillard o mało nie parsknął śmiechem.

- Nic z tych rzeczy. Po prostu... cóż, ten robot został zaprojektowany tylko do pracy w wodzie. Więc będziecie musieli znaleźć inny sposób na dalszą eksplorację świątyni.

- Dlaczego? - spytała Nina.

- Bo skończyła się woda. „Mocarny Jack” unosi się na powierzchni. W świątyni jest powietrze.

20

Batyskafy wynurzyły się na powierzchnię. „Piaskojad” został podczepiony do dźwigu i wciągnięty na pokład „Evenora”, lecz „Atragon” pozostał w wodzie i podłączono go tylko do statku przewodem elektrycznym, żeby doładować akumulatory. Przygotowywano drugie zanurzenie.

- Jaka szkoda, że nie mogę popłynąć z wami - pożaliła się Nina. Kari, Chase i Castille kończyli wkładać kombinezony do nurkowania.

- Idę o zakład, że żałujesz, że nie wzięłaś swojej karty pływackiej, co? - zażartował Chase, gdy jeden z marynarzy pomagał mu włożyć hełm.

Troje nurków miało na sobie nowo zaprojektowane „kombinezony głębinowe” - rodzaj połączenia tradycyjnego sprzętu do nurkowania z akwalungiem i skafandra ciśnieniowego do nurkowania na dużych głębokościach. Ramiona i nogi nurków były obleczone w tę samą neoprenową gumę, z jakiej robi się zwykle kombinezony, natomiast głowa i tułów mieściły się w twardym pancerzu połączonym szczelnymi przegubami z resztą kombinezonu.

Na głębokości dwustu czterdziestu metrów, prawie na granicy bezpieczeństwa dla płetwonurków, ciśnienie wywierane na ciało nurka wynosiło ponad dwadzieścia pięć atmosfer, co oznaczało, że dostarczane powietrze musiało mieć takie samo ciśnienie, aby zapobiec zmiążdżeniu płuc przez siłę napierającą z zewnątrz. Lecz oddychanie gazem pod tak wysokim ciśnieniem miało swoją cenę: gaz, który docierał tak skondensowany do krwiobiegu, rozszerzał się, gdy nurek się wynurzał, a ciśnienie wody malało. Pęcherzyki azotu pęczniały w naczyniach krwionośnych, powodując straszliwy ból, uszkodzenia tkanek, a nawet śmierć...

Choroba kesonowa.

Kombinezony głębinowe miały jej zapobiec. Skorupa wytrzymująca ciśnienie zewnętrzne pozwalała nurkowi oddychać powietrzem pod ciśnieniem tylko jednej atmosfery, a jednocześnie nurek miał swobodę ruchów, co zapewniało znacznie większą mobilność pod wodą niż ciężkie i niewygodne skafandry ciśnieniowe. Był to kompromis: w kombinezonie nie można było się odwrócić ani zgiąć w pasie, zaś fakt, że ręce i nogi były poddawane wysokiemu ciśnieniu, oznaczał, że czas przebywania pod wodą musiał być krótszy, jednocześnie jednak ryzyko choroby dekompresyjnej było znacznie mniejsze.

- Będziesz mogła nas oglądać na ekranie - zapewniła Kari.

- To nie to samo. W takich odkryciach naprawdę powinno się brać udział osobiście.

- Nie martw się - powiedział Castille. - Przyniesiemy ci złotą rie-reidę.

- Boże, nie! Zostawcie wszystko dokładnie tak, jak znajdziecie, błagam! A przy okazji...

- Zwróciła się do Chase'a. - Czy naprawdę musisz brać ze sobą ładunki wybuchowe?

- Jeśli wyżej korytarz jest zawalony, możliwe, że będziemy musieli go udrożnić. Nie martw się, nie wysadzę całej świątyni! Wiem, co robię.

- Mam nadzieję. - Postukała w jego hełm. - Jak tam jest w środku?

- Ciasno. Dobrze, że nie cierpię na klaustrofobię.

- Farciarz - westchnął Castille. Spuścił wzrok na złotą skorupę, która pokrywała mu ciało. - Czuję się, jakbym tkwił w gigantycznej kostce mydła.

- Albo gorsecie - dodała Kari, opierając rękę na biodrze własnego pancerza. Podczas gdy kombinezony Chase'a i Castille'a zostały zaprojektowane tak, by mógł je włożyć prawie każdy, a dopasowywanie ich do ciała polegało na ustawianiu i regulowaniu przegubów, to strój Kari zrobiono specjalnie dla niej, a pancerz ze stali i poliwęglanu odtwarzał kształt jej kobiecej figury. - Tak musiały się czuć kobiety w epoce wiktoriańskiej!

- Tak, kiedy wpadały do wody z pokładu „Titanica” - zażartował Chase.

- To była epoka edwardiańska, a nie wiktoriańska - poprawiła go Nina.

- Cholerni historycy psują mi wszystkie dowcipy... - Spojrzał na współtowarzyszy, gdy marynarze zapięli ostatnie zatrzaski na kombinezonach. - Okej... Gotowi?

- Oczywiście - odparła z entuzjazmem Kari.

- Znowu narażać życie? - powiedział Castille z rezerwą. - Cóż, skoro muszę...

- Daj spokój, Hugonie, przecież to uwielbiasz - uśmiechnął się Chase. - A przynajmniej tam nie będziesz się musiał przejmować helikopterami.

- A czym jest batyskaf, jeśli nie morskim helikopterem? Chase stuknął pięścią w hełm przyjaciela.

- Dobra, dobra. Przestań marudzić i ładuj swoją belgijską dupę do wody!

„Atragon”, z trojgiem nurków trzymających się ochronnego stelaża, zniknął w oceanie.

Nina patrzyła, jak się zanurza, a potem pobiegła do kabiny z aparaturą telekomunikacyjną. Na prawym ramieniu Chase’a była umieszczona kamera, która przekazywała sygnał do „Atragona” za pomocą światłowodu, a z kolei batyskaf przesyłał obraz na statek przy użyciu własnego przewodu.

- Hej, Kari, widzę cię - powiedziała, zakładając słuchawki. Postać na ekranie pomachała wolną ręką.

- Może wypróbujemy łączność? - spytał Trulli ze stanowiska monitorowego obok. - Eddie?

- Słyszę cię głośno i wyraźnie - powiedział Chase. Jego głos był zniekształcony, lecz nie bardziej, niż gdyby mówił przez telefon.

- Kari?

Jej odpowiedź była mniej wyraźna, znacznie zakłócona przez szumy elektrostatyczne.

- Słyszę cię, ale z dużymi zakłóceniami.

- U mnie to samo - zatrzeszczał głos Castille’a.

- Jaki jest zasięg tych nadajników? - spytał Philby.

Sygnał z aparatury Chase’a biegł światłowodem, lecz aby uniknąć ryzyka zaplątania kabli, Kari i Castille zostali wyposażeni w nadajniki radiowe, zaś Chase robił za ludzką stację przekaźnikową.

- Najwyżej piętnaście metrów - odparł Trulli. - Ale to zależy od zasolenia. Jeśli woda jest naprawdę słona, to sygnał może ginąć już po dwóch trzech metrach. Z takiej odległości bardziej opłaca się po prostu krzyczeć.

- Hej! - powiedziała Nina do mikrofonu. - Starajcie się trzymać blisko siebie, co?

Kari pokazała do kamery uniesione kciuki.

Zejscie przebiegało znacznie wolniej niż pierwsze, ale kapitan Matthews podpłynął „Evenorem” nad samą świątynię, żeby skrócić batyskafowi drogę do minimum. Wkrótce budowla pojawiła się na ekranie LIDAR.

- Okej, nurkowie? - powiedział Baillard. - Siądę tam, gdzie poprzednio, na skraju wykopaliska.

Nina skupiła uwagę na obrazie z kamery Chase’a. „Atragon” miał mniej reflektorów niż konwencjonalny statek głębinowy, więc świątynia zamajaczyła tylko w postaci posępnego czarnego kształtu na tle ciemnego morza. Spod śrub napędowych wzbily się ziarna piasku, gdy batyskaf spoczął łagodnie na dnie.

- „Evenor” - oświadczył Baillard - bezpiecznie dotarliśmy na dół. Nurkowie? Powodzenia.

Chase puścił stelaż i opadł na dno. Kari i Castille zrobili to samo.

- Jesteśmy. Próba łączności.

- Słyszę cię - powiedziała Kari.

- Łączność radiowa działa - potwierdził Castille. A potem swobodniejszym tonem: - Śwędzą mnie plecy. Myślę, że wypłynę, żeby się podrapać.

- Co? I zrezygnowałbyś z wrażeń, jakie daje przeciskanie się przez wąski kamienny tunel, kiedy nie wiadomo, co znajduje się dalej? - Chase zrobił na próbę parę kroków, spod płetw wzbilo się więcej drobinek pyłu. Nawet mimo stosunkowej łatwości poruszania się, jaką dawał kombinezon, pancerz na torsie sprawiał, że przy wszelkich staraniach Chase mógł się zdobyć tylko na mało estetyczne człapanie. Poza tym szeroka, płaska osłona klatki piersiowej

stawiała w wodzie zaskakująco duży opór, gdy usiłował iść naprzód. - Do diabła z tym. Na nogach nie dotrzemy tam za sto lat. Wypróbujmy silniczki.

Odbił się od dna, pochylając się do przodu. Castille i Kari zrobili to samo. Gdy oboje do niego dołączyli, Chase lewą ręką sięgnął po podłużną kostkę sterującą przymocowaną do pancerza na elastycznym przewodzie.

- Dobra, trzymajcie się blisko mnie - zakomenderował. - Jeśli będziemy mieli jakieś kłopoty albo któremuś z was wysiadzie łączność, wracacie prosto do batyskafu i czekacie na pozostałych. Płyniemy.

Przycisnął kciukiem okrągły guzik na końcu kostki. Sterowanie śrubami napędowymi wbudowanymi w skafander było proste: trzy prędkości do przodu, jeden bieg wsteczny, a zdjęcie kciuka z okrągłego guzika automatycznie powodowało zatrzymanie silnika. Chase zaczął od najwolniejszej prędkości, ruchami płetw korygując kierunek, w jakim płynął. Po jakimś czasie, gdy poczuł się pewnie, przełączył się na drugi bieg. Światłowód, który łączył go z batyskafem, ciągnął się za nim jak pajęczyna.

Castille dostosował swoją prędkość do Chase'a.

- Ale to łatwiutkie! - powiedział, jego głos był zniekształcony mimo małej odległości. - A ja przez te wszystkie lata niepotrzebnie forsowałem nogi przy pływaniu...

- Tylko nie rozbij sobie łba o mur - przestrzegł go żartobliwie Chase. - Kari, u ciebie wszystko gra?

Z widoczną swobodą przepłynęła obok niego, obracając się leniwie niczym śruba.

- A myślisz, że kto pomógł w zaprojektowaniu tych kombinezonów? Mam inne namiętności oprócz archeologii i architektury!

- Nie ma to jak namiętna szefowa - zażartował Chase. Świątynia zbliżała się szybko, nabierając barw w świetle reflektorków wbudowanych w skafandry. - Dobra, zwolnijmy.

- Eddie, nie widzę niczego oprócz dna - poskarżyła się Nina przez radio. - Jak daleko jesteście od świątyni?

Chase wyłączył silniczek i ustawił się pionowo, skierowując kamerę na prawym ramieniu na budynek z przodu.

- Już blisko. Widzisz to?

- O tak - odparła podekscytowana.

Troje nurków zatrzymało się niecałe cztery metry od miejsca, gdzie ukośna ściana wyłaniała się z osadu. W świetle reflektorów lśniły powyginane i poszarpane blachy *oñchalcum*. Przed murami świątyni śmigwały rybki.

- Którędy do wejścia? - spytał Chase.

- Jakies sześć metrów na lewo od ciebie - odparł Baillard.

Ruszyli we wskazanym kierunku. Oprócz reflektorków w skafandrach Chase i Kari mieli również mocne latarki. Chase obejrzał się do tyłu, na „Atragona”. Chociaż widział wyraźnie jego światła, a także niesamowite zielonkawe błyski laserów, sam batyskaf był ledwo widoczny w głębokich ciemnościach.

- Tam! - powiedziała Kari i poświeciła latarką w otwór.

Chase przykucnął tak nisko, jak tylko mógł, kierując światło własnej latarki do środka. Do pionowego szybu nie było aż tak daleko, jak się spodziewał. Rybie oko kamery robota wyolbrzymiło faktyczną odległość.

- Ja wejdę pierwszy. Hugonie, podepnij mnie. - Castille przypiął linkę ze szpuli na własnym pasie do sprzączki na plecach pancerza Chase'a. - Jeśli okaże się, że zakręt jest za ciasny, żeby przejść, wyciągniesz mnie.

Castille pociągnął za linkę, upewniając się, że jest dobrze przypięta, a potem ustawił się z boku wejścia, żeby nie splątała się ze światłowodem.

- Gdybyś jadł więcej owoców i mniej steków, nie bałbyś się, że utkniesz.

- Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić swoje owoce... Dobra, wchodzę.

Kari i Castille pomogli mu się ustawić naprzeciwko otworu. Z latarką w wyciągniętej do przodu prawej ręce, Chase wziął w lewą dłoń kostkę sterującą i uruchomił napęd na pierwszym biegu. Po bokach prześlizgiwały się kamienne ściany. W zwykłych warunkach korytarz o szerokości stu dwudziestu centymetrów byłby łatwy do pokonania nawet pod wodą, lecz sztywny pancerz na torsie sprawiał, że Chase wolał zachować ostrożność.

Po niedługim czasie dotarł do końca korytarza i obrócił się na plecy, żeby spojrzeć w górę. Szyb tonął w ciemnościach.

- Jestem przy szybie. Bez kitu! Kapujecie? - Nina westchnęła, bo dowcip był raczej kiepski. - Ruszam dalej.

Zakręt był tak ciasny, że Chase porysował hełmem ścianę, lecz bez większego trudu udało mu się ustawić w pionie.

- Przelazłem! - oświadczył z ulgą. - Zobaczmy, co jest na górze. Znow uruchomił silniczki, śruby napędowe szumiały cicho, gdy wznosił się coraz wyżej. Szyb miał co najmniej dziesięć metrów długości, a ściany były zupełnie gładkie. Podniósł wzrok i zobaczył ciemny kwadrat, gdzie zatrzymał się „Mocarny Jack”... i gdzie podczas potopu zostało uwięzione powietrze. Był tylko półtora metra od niego, metr, pół...

Wynurzył się na powierzchnię, woda spłynęła strugami z szyby na masce. Poświecił latarką wyżej i stwierdził, że znajduje się niecałe dwa metry poniżej miejsca, gdzie kończy się cała szyba, a wyżej panuje mrok.

Żaden problem. Przypiął latarkę do pasa, a wziął gazową wyrzutnię z bosakiem. Unosząc się na wodzie jak korek, wycelował w punkt nad południową ścianą i wystrzelił.

Syk gazu odbił się echem od murów, gdy bosak śmignął do góry. Parę sekund później Chase usłyszał stuknięcie - bosak natrafił na kamień. Przycisnął guzik, żeby zwinąć linę. Po paru chwilach bosak o coś zaczepił. Chase pociągnął linkę kilka razy, sprawdzając, czy mocno się trzyma, przypiął wyrzutnię do pasa i zaczął się podciągać, silniczek nawijający linę na szpulę zawył w proteście.

Szyb kończył się już kilkadziesiąt centymetrów wyżej i prowadził do...

- Nie do wiary! - wyrwało się Ninie. Okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w obraz z kamery Chase'a. Na ekranie widać było komnatę ołtarzową, dokładnie takich samych rozmiarów jak ta w Brazylii.

Jednak wewnątrz było zupełnie inne.

Nawet na ziarnistym obrazie o małej rozdzielczości, jaki docierał z kamery, widziała wyraźnie ognisty blask *oñchalcum*, połyskujące złoto i srebro, mieniące się szlachetne kamienie, którymi były inkrustowane ściany...

- Mój Boże - wymamrotał Philby. - To niewiarygodne. Cała komnata jest wyłożona płytami z drogocennych kruszców!

- Ale to nie tylko dekoracja - powiedziała Nina. Poprawiła sobie słuchawki. - Eddie? Odezwij się. Co widzisz?

- Widzę... że gdybym miał przy sobie nożyce do metalu i łom, mógłbym od razu przejść na emeryturę.

- Bardzo zabawne. Możesz zbliżyć się do którejś ze ścian?

- Jezu, daj mi najpierw stanąć na nogi... - Obraz telewizyjny zadrgał gwałtownie, gdy Chase wygramolił się z szybu i odpiął się od liny, dysząc z wysiłku do mikrofonu. - Okej. Miałem rację z tym szybem, jest dokładnie w tym samym miejscu, co tamten zasypany w

Brazylii. Musieli budować na podstawie tych samych planów. Ściany są... Kurczę, to dopiero tapeta. Całe ściany są pokryte blachami *oñchalcum*, które wypełniają inskrypcje.

- Pokaż mi, pokaż! - pisnęła Nina, podskakując na fotelu z podniecenia.

Chase podszedł bliżej, oświetlając latarką część ściany. Nina natychmiast rozpoznała to pismo: głozełskie, lecz bez żadnych symboli hieroglificznych, jakie widziała w brazylijskiej świątyni.

Philby gładził wąsy, wpatrując się w ekran.

- Ciekawe. Może przejęli język Indian... Budowa świątyni w Brazylii musiała trwać dziesiątki, może nawet setki lat. Tyle czasu wystarczyłoby, aby oba systemy językowe się wymieszały...

- Eddie, daj mi obejrzeć całą komnatę. Tylko powoli, proszę. Chase odsunął się od ściany i obrócił się powoli dookoła.

- Stop, stop! - wykrzyknęła Nina, spostrzegłszy coś. - Wróć trochę w prawo... tam! Podejdź do ściany!

- Teraz wiem, jak musi się czuć „Mocarny Jack” - żalił się żartobliwie, gdy człapał w głąb komnaty. - Co takiego zauważyłaś? Przecież nic tu nie ma.

- Właśnie! - Ściana, przed którą stanął Chase, była obita *oñchalcum* jak reszta komnaty, lecz inskrypcje urywały się nagle gdzieś w połowie. - Cała komnata stanowi swoistą kronikę Atlantydy...: ale tutaj historia się kończy! Co znaczy, że to, co jest tam napisane, to ostatnie wydarzenia z dziejów Atlantydy! Podejdź bliżej, daj mi przeczytać. - Pośpiesznie sprawdziła, czy całość się nagrywa, i z ulgą stwierdziła, że tak.

- A może pozwoliłabyś mi odpiąć tę linkę z tyłka i przymocować do czegoś, żeby Hugo i Kari też mogli się tu wdrapać - powiedział Chase. - Pamiętasz Kari? Atrakcyjna blondynka, wysoka, ma aparat cyfrowy?

- No dobra, niech będzie - odparła trochę przygnębiona, lecz wciąż rozpaczliwie pragnęła pierwsza zobaczyć, co jest napisane na ścianie.

Nikt nie widział na oczy tego tekstu od przeszło jedenastu tysięcy lat...

Czekała niecierpliwie. Wreszcie Chase zakomunikował, że Kari jest już w drodze.

- Póki czekamy, czy mógłbyś podejść znowu do tego ostatniego zapisu?

- Jesteś taka dominująca. Lubię to u kobiet... czasami - zakpił, kierując obiektyw kamery na tekst.

Nina zerknęła na Trulliego.

- Matt, czy można jakoś zrobić z tego stop klatkę?

- Jasne. Nagrywarka jest cyfrowa, ma cały terabajt pamięci: będzie nagrywać dalej. Na którym monitorze chcesz tę klatkę?

- Na tym dużym.

- Obraz nie będzie trójwymiarowy.

- Jakoś to przeboleję. - Po kilku sekundach ekran rozświetlił się, ukazując zatrzymany obraz ostatniej partii tekstu. Kontury były nieostre, a kolory rozmyte, lecz litery dawały się odczytać. Nina wlepiła wzrok w ekran, skupiona.

Jeden z marynarzy wbiegł do kabiny.

- Kapitanie Matthews? Zbliża się jakiś statek.

- Co? - warknął Matthews. - Jak jest daleko?

- Jakies pięć mil od nas. Kiedy pojawił się na radarze sprawiał wrażenie, jakby kierował się do Lizbony, lecz skręcił w naszą stronę parę minut temu.

- Prędkość?

- Co najmniej dwanaście węzłów, sir.

- Czy to Qobras?

Nazwisko zwróciło uwagę Niny. Spojrzała zaniepokojona na Matthews'a.

- Bardzo możliwe. Statek pasuje do opisu jednostki, która wypłynęła z Casablanki.

- Cholera! - Matthews potarł podbródek, zastanawiając się. - Zawiadom wszystkich, że mamy towarzystwo, więc żeby się przygotowali. Jeśli statek zbliży się na odległość dwóch mil albo wyśle w naszą stronę łodzie, odpalić pociski. Będę na mostku.

- Tak jest, sir. - Marynarz wyszedł, a Matthews poszedł na mostek.

- Eddie, słyszałeś to? - spytała Nina. - Przypuszczają, że Qobras się zbliża!

- Co? Niech to szlag! - Na jednym z mniejszych monitorów Nina zobaczyła, jak pomaga Kari wyjść z szybu. - Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić?

- Nagrajcie, ile się da, tak szybko, jak się da. Jak tylko usłyszę coś więcej, natychmiast dam wam znać. Jego statek jest wciąż pięć mil stąd... Kapitan Matthews będzie nas informował na bieżąco.

- Tylko pięć mil? Nie ma mowy, żeby udało nam się wydostać na powierzchnię i wciągnąć batyskaf, zanim dopłynie!

- Batyskaf nie jest taki ważny, możemy go porzucić, jeśli będzie trzeba - oznajmiła Kari, ignorując przerażone „Co?”, które wyrwało się Baillardowi. Kiedy wyszła z wody, połączenie radiowe znacznie się poprawiło. - Możemy zbudować drugi, ale informacje zapisane na tych ścianach są bezcenne. Nagraj tak dużo, jak się da... Później możemy obrobić obraz, jeśli jakoś okaże się za słaba. A ja porobię zdjęcia.

- Hugonie, słyszałeś to? - zapytał Chase. Odpowiedź prawie ginęła w szumach i trzaskach.

- Większość. A co ja mam robić?

- Teraz nie ma sensu, żebyś się tu pchał. Zostań przy wejściu, na wypadek gdybyśmy potrzebowali pomocy.

- Zrozumiałem, *mon ami*. Nie siedźcie tam zbyt długo. Nina przyglądała się, jak Chase wrócił do filmowania pokrytych inskrypcjami ścian, a potem skupiła uwagę na nieruchomym obrazie na głównym ekranie, usiłując odszyfrować tekst.

Za rufą „Evenora”, niewidoczna dla nikogo na pokładzie, wynurzyła się głowa. Potem następna i jeszcze jedna...

Dziesięć metrów pod falującą łagodnie powierzchnią morza kolejni płetwonurkowie opuszczali trzyosobowe podwodne skutery Manta. Porzucone maszyny opadały powoli w ciemne głębiny, podczas gdy ich pasażerowie po cichu podpływali pod rufę „Evenora”. Statek używał tylko silników sterujących, śruby napędowe były nieruchome.

Pierwszy nurek dopłynął do drabinki, wspiął się i wyjrzał ostrożnie na pokład. Jeden z marynarzy „Evenora” stał jakieś siedem metrów dalej, na lądowisku dla helikoptera, był odwrócony plecami. Poza tym nikogo w zasięgu wzroku.

Nurek schował się, schodząc o szczebel niżej, zdjął z ramienia broń - MP-7 Heckler und Koch - i sprawnym ruchem kciuka wyciągnął czerwoną gumową zatyczkę z grubego tłumika. Potem bezszelestnie podkradł się wyżej i wycelował.

Nie było prawie nic słychać poza metalicznym trzaskiem zamka, gdy zużyta łuska naboju kaliber 4,6 wpadła do siatkowej torebki przyczepionej do broni, zanim miała szansę uderzyć o pokład. Jeszcze nim marynarz upadł, nurek wdrapał się na pokład. Pobiegł schować się za grodzią, a następnie zaczął nasłuchiwać, czy ktoś nie wszczął alarmu. Do jego uszu docierał tylko szum fal i piskliwe krzyki mew kołujących po niebie.

Wkrótce na pokładzie dołączyli do niego towarzysze, zajmując bezpieczne pozycje. Pierwszy mężczyzna zdjął maskę. Miał czarną opaskę na oku.

Jason Starkman.

- Przejąć statek - rozkazał.

Chase obchodził dalej komnatę, filmując inskrypcje na ścianach. Ponieważ kamera była przymocowana do pancerza w ustalonej pozycji, a on nie mógł się schylać, długo to trwało.

Wreszcie dotarł do schodów. Jeśli budowla była identyczna jak ta w Brazylii, to doprowadziłyby go do ogromnej sali głównej. Poświecił latarką w dół. Światło odbiło się od falującej powierzchni wody, migotliwe odblaski rozjaśniły ściany i sufit.

- Dobrze, że nie zdjęliśmy hełmów - powiedział, mijając schody, żeby zbliżyć się do następnej ściany komnaty. - Jeśli ciśnienie wody na zewnątrz wynosi dwadzieścia pięć atmosfer, to ciśnienie powietrza tutaj i w świątyni jest podobne.

- Chcesz powiedzieć, że sama świątynia nie jest zalana? - spytała Kari.

- Tylko częściowo. Posadzka jest tutaj położona wyżej niż w głównej sali, ale sufit w obu pomieszczeniach jest mniej więcej na tym samym poziomie. Tam też musiało zostać powietrze.

W jej głosie pobrzmiwała frustracja.

- Gdybyśmy tylko mieli więcej czasu, żeby zbadać wnętrze! Zdumiewające, że świątynia przetrwała potop.

- Zdaje się, że wtedy naprawdę w budownictwie liczyła się trwałość. Jak ci idzie?

Następny błysk flesza.

- Jestem mniej więcej w połowie.

Castille stał przy wejściu, obserwując drobne poruszenia światłowodu, gdy Chase chodził po komnacie w świątyni. Że też akurat teraz musiał się pojawić Qobras! Chase miał bez wątpienia rację: ktoś podał ich namiary Bractwu. Ale kto?

Ledwie metr od kamiennej ściany reflektorki wbudowane w jego kombinezon rozjaśniały najbliższe otoczenie bardziej niż większe, lecz rozproszone światła „Atragona”. Dlatego Castille nie zauważył, gdy blask stał się z wolna jaśniejszy, a do lamp batyskafu Baillarda dołączyły inne...

W sterówce kapitan Matthews obserwował przez lornetkę zbliżający się statek. Był teraz trzy mile od „Evenora” i wciąż płynął w ich stronę.

Stanowczo statek hydrograficzny, z dźwigiem na batyskaf przy dziobie. To ostatnie oznaczało, że to prawie na pewno jednostka Qobrasa. Jakimś sposobem Qobras dowiedział się, gdzie naprawdę znajduje się Atlantyda, i teraz z maksymalną prędkością tu płynął. Za parę minut znajdzie się w promieniu dwóch mil od „Evenora”, a Matthews nie będzie miał innego wyboru i uzna go za zagrożenie.

Nie widział jednak, aby Qobras wysłał do „Evenora” mniejsze łodzie, mimo że grupa ludzi w zodiacu dopłynęłaby do celu znacznie szybciej niż sam statek. Wyglądało na to, że wróg zamierza rozstrzygnąć walkę w jednym szybkim starciu.

W takim razie srodze się pomyli. Broń dostarczona przez Kristiana Frosta - po pistolecie maszynowym P-90 dla każdego członka załogi, plus dwa cekaemy i spory zapas granatów i granatników - całkowicie wystarczy, by odeprzeć każdego, kto usiłowałby przejąć statek.

Żadnych łódek...

Żadne łódki nie zostały zwodowane - a nawet przygotowane do zwodowania.

A jeśli to był dźwig na batyskaf... to gdzie, do cholery, podziewał się sam statek głębinowy?

Matthews zamarł z przerażenia, gdy uświadomił sobie znaczenie tego faktu, lecz było już za późno na obronę, bo drzwi do sterówki otworzyły się właśnie z hukiem.

W kabinie „Atragona” Baillard wybijał palcami melodyjkę na obudowie jednego z pulpity. Na ekranie widział w trzech wymiarach Castille’a, który stał odwrócony do niego plecami i obserwował wejście do zatopionej świątyni.

System LID AR ma jedną wadę, pomyślał Baillard. Monochromatyczny obraz szybko zużył, gdy akurat na zewnątrz nic się nie działo. Zerknął na monitor przekazujący obraz z głównej kamery telewizyjnej batyskafu. Widok nie przedstawiał się w kolorze dużo lepiej, woda była zbyt mętna i ciemna, by można było dostrzec jakieś szczegóły budowli...

Co, u licha?

Kątem oka zauważył jakiś ruch za szybką małego iluminatora. Ryba? Nie, to było coś innego... Nagle do niego dotarło. Oświetlenie się zmieniło!

Nie ruszał zewnętrznych reflektorów, a batyskaf spoczywał na dnie...

- „Evenor”! - krzyknął przez radio. - „Evenor”, mam tu drugi batyskaf...

Głośny trzask w słuchawkach, a potem cisza. Wszystkie lampki kontrolne na konsoli telekomunikacyjnej zmieniły kolor z zielonego na czerwony.

- „Evenor”! Słyszycie mnie? Co się dzieje?

Odpowiedź nadeszła chwilę później. Coś uderzyło w dach batyskafu ze stłumionym plaśnięciem. Coś długiego i cienkiego zsunęło się przed wieżyczką systemu LID AR.

Kabel łączący batyskaf ze statkiem. Gładko przecięty.

Teraz przez świetlik wdarło się więcej światła, gdy zbliżył się niewidoczny napastnik.

- Kurwa! - Baillard złapał stery, uruchomił silniki i gwałtownie poderwał „Atragona” z morskiego dna, wzbijając tuman piasku. - Hugo! Atakują mnie! Zabieraj się stamtąd!

Coś wyrznęło w batyskaf, sprawiając, że Baillard poleciał na ścianę.

Chase skrzywił się boleśnie, słysząc głośny trzask w słuchawkach. Nadajnik w jego kombinezonie przekazał hałas do Kari, która drgnęła z zaskoczenia.

- Co to było?

Wszystkie połączenia komunikacyjne „Evenora” z batyskafem i nurkami urwały się w tej samej chwili - niektóre monitory po prostu zgasty, podczas gdy inne rozświetliły się na niebiesko i pojawił się napis „Brak sygnału”.

- Co to było? - zapytała Nina.

- To, doktor Wilde, koniec pani ekspedycji. Nina się odwróciła.

- Ty!

Starkman patrzył na nią z góry chłodnym wzrokiem w towarzystwie dwóch mężczyzn w kombinezonach do nurkowania. Wszyscy trzej mieli uniesione pistolety i trzymali na muszce ludzi, których zastali w kabinie.

- Zechce pani dołączyć do reszty załogi na rufie?

Castille odwrócił się, słysząc zniekształcony krzyk w słuchawkach, i zobaczył drugi batyskaf, który płynął prosto na „Atragona”!

Statek Baillarda właśnie poderwał się z morskiego dna, gdy intruz, mniejszy, konwencjonalny batyskaf z grubą stalową kratą chroniącą szklaną kopułę kokpitu, uderzył w jego burtę. „Atragon” został zepchnięty znowu do dołu, znikając niemal w skłębionej chmurze pyłu.

- *Merdel* - wyrwało się Castille’owi, zanim się opanował. - Edwardzie! Edwardzie, słyszysz mnie? Kari!

Żadnej odpowiedzi. Stacja przekaźnikowa w batyskafie siadła, odcinając mu połączenie z pozostałymi nurkami.

Statek wroga uniósł się z tumanów pyłu i piasku, po czym skręcił gwałtownie, ciągnąc za sobą kilwator wzburzonej wody i pęcherzyków powietrza. Jego reflektory oświetliły białopomarańczową kopułę.

Castille pomyślał, że batyskaf znów uderzy „Atragon”, lecz zamiast tego wysunął ramię chwytaka. W szczypcach trzymał kanciastą paczkę, którą niemal delikatnie położył na metalowej kopule...

Baillard wiedział, że stanie się coś złego, gdy tylko zobaczył w świetliku cień wysuwającego się stalowego ramienia. Sekundę później coś zachrobotało o pokrywę kabiny.

System LID AR nie działał - jeśli nie liczyć maleńkich świetlików, był ślepy. Przyciskając dłoń do rany na skroni i usiłując nie zemdleć ze strachu, pomanipulował sterami i spróbował włączyć napęd.

Urządzenia nie reagowały. Chociaż on sam i Trulli zaprojektowali oba batyskafy tak, żeby były wytrzymałe, nigdy nie brali pod uwagę sytuacji, w której miałyby odeprzeć czyjś atak. Na tablicy kontrolnej systemów elektrycznych migwały lampki ostrzegawcze.

Baillard szybko rozważył, co może zrobić - odciąć uszkodzone obwody i spróbować przywrócić napięcie w obwodach głównego napędu albo po prostu wyłączyć elektromagnesy przytrzymujące ciężkie stalowe płyty balastowe pod batyskafem: system awaryjny, dzięki któremu w ciągu trzech minut znalazłby się znów na powierzchni.

Drugie wyjście oznaczało porzucenie trojga nurków. Ale nie mógł im pomóc, jeśli nic nie widział, a drugi batyskaf wciąż krążył w pobliżu; jeden z reflektorów właśnie zaświecił złowroźnie przez świetlik do kabiny.

Baillard podjął decyzję i pociągnął pomalowaną na czerwono dźwignię obok fotela.

Castille z przerażeniem patrzył, jak „Atragon” upuścił płyty balastowe, które spadły na dno morza niczym bomby, wzbijając następną potężną chmurę piachu i pyłu. Przytłumiony huk, z jakim uderzyły o podłoże, był na tyle silny, że Castille poczuł go poprzez wodę.

Uwolnwszy się od ciężaru, batyskaf wzbił się gwałtownie, migając lampami. Kabel światłowodowy poderwał się z dna i śmignął za unoszącym się statkiem jak trzaskający bicz.

- Nie! - krzyknął bezradnie Castille.

Jakby słysząc jego wołanie, wrogi batyskaf obrócił się przodem do niego, rzędy reflektorów zdawały mu się przyglądać jak owadzie ślepie. Ramię manipulatora sięgnęło do tyłu, sprawnie chwytając coś przyczepionego do kosza na stalowej ramie z boku, po czym znów się wyciągnęło.

Następna paczka, większa od pierwszej.

Castille domyślił się, co to takiego.

Bomba!

Baillard usiłował przywrócić zasilanie, gdy „Atragon” unosił się ku powierzchni. Jakoś nic nie chciało działać...

Batyskaf trzeszczał i jęczał, gdy się wynurzał, lecz te hałasy były tak znajome, że Baillard prawie ich nie zauważał. Ale to było co innego.

Rytmiczny odgłos dochodzący zza bocznej ściany kabiny. Gdzie wcześniej zachręściło ramię drugiego batyskafu.

Tykanie...

Baillard nie zdążył uświadomić sobie grozy sytuacji, zanim ładunek eksplodował. Wyrwał kilkudziesięciocentymetrową dziurę w kabine ciśnieniowej. Strumień wody uderzył go z siłą rozpędzonego pociągu. Baillard zginął na miejscu.

Nawet przez skorupę hełmu i grube kamienne mury świątyni Chase usłyszał niski pomruk.

- O kurwa!

- Co to za hałas? - zapytała Kari.

- Wybuch.

- Jesteś pewien?

- O tak - powiedział. - Albo ktoś spuścił półtonową bombę na „Evenora”... albo batyskaf właśnie eksplodował. - Spuścił wzrok na własny kombinezon. - Co znaczy... o kurwa mać! Odetnij światłowód, szybko!

- Ale stracimy łączność!

- Już straciliśmy! Tnij!

Kari odłożyła aparat i pośpiesznie poczłapała do niego, wyjmując zza pasa nóż. Światłowód przyczepiony do kombinezonu Chase'a był w grubej plastikowej osłonce. Chwyciła go i zaczęła piłować.

- No, szybko, szybko! - krzyknął Chase.

- Staram się! - Wreszcie udało jej się go przeciąć, końcówka kawałka, który pozostał przy pancerzu, jarzyła się słabiutkim błękitnym światłem. Chwilę później reszta przewodu uciekła jej gwałtownie z ręki i śmignęła po posadzce komnaty, by zniknąć za krawędzią szybu. - Co się, do cholery, stało?

- Jeśli batyskaf wybuchł, to przy awarii zasilania automatycznie zrzucił balast. To znaczy, że to cholerstwo mknie teraz w górę jak pieprzona rakietka... i o mało nie porwało mnie ze sobą. - Odwrócił się do niej. - Dziękuję. Przepraszam, że krzyczałem.

- Nie masz za co przepraszać! - Spojrzała w stronę szybu. - Skoro batyskaf jest zniszczony, to co zrobimy?

- Najpierw musimy się stąd wydostać. - Podszedł do szybu. - Hugo? Słyszysz mnie? Hugo? Szlag!

- Ja nadal słyszę cię przez radio - powiedziała Kari.

- Tak, ale stoisz półtora metra ode mnie, a fale rozchodzą się w powietrzu, a tymczasem od niego dzieli mnie cholera wie ile metrów kamieni i wody. Hugo!

Castille chwycił kostkę sterującą i włączył napęd, ustawiając go na największą prędkość. W obłoku pęcherzyków wodnych wystrzelił w górę, właśnie gdy batyskaf ruszył w jego stronę. Minęli się na tyle blisko, że Castille zobaczył napis „Zeus” wymalowany na kabinie oraz pilota, który leżał w środku na brzuchu. Jego twarz, powiększona i zniekształcona za szklaną bańką szyby, wydawała się być wykrzywiona w złośliwym uśmiechu.

Stalowe ramię zamachnęło się na Castille'a, lecz on obrócił się, używając płetw do zmiany kierunku, i przemknął pod nim. Obejrzał się za siebie, lecz szczytce wciąż trzymały ładunek wybuchowy, a pilot nie zmienił kursu, postanowił podłożyć ładunek, zanim zajmie się Castille 'em.

Bombę można było podłożyć tylko w jednym miejscu. U wejścia do świątyni.

- Edwardzie! - krzyknął Castille, choć wiedział, że nikt go nie słyszy. - Uciekaj stamtąd! Uciekaj!

Silniki batyskafu wypłuły bańki powietrza, wirujące śruby zatrzymały się i ruszyły w odwrotnym kierunku, by ustawić statek u podnóży muru. Ramię wyciągnęło się i bez trudu wsunęło do wąskiego tunelu, by po chwili się wycofać.

Lśniące stalowe szczytce były teraz puste.

Castille przycisnął kciuk do guzika kostki sterującej. Gdyby udało mu się dopłynąć tam dostatecznie szybko, zdążyłby usunąć ładunek.

Pilot batyskafu nie zamierzał mu na to pozwolić. Ustawił ramię nad kadłubem jak ogon skorpionia i maszyna obróciła się znowu, gotowa do polowania.

Oślepił go blask reflektorów. Śruby znów zawirowały i maszyna ruszyła.

Prosto na niego.

- No dobrze... - wyszeptał. Puścił kostkę, sięgając do pasa z wyposażeniem.

Batyskaf przyspieszył, stalowe ramię opuściło się i wyprostowało przed maszyną jak lanca. Castille czekał.

Po chwili wyszarpnął pistolet z bosakiem i wystrzelił prosto w szklaną bańkę kabiny.

Stalowe ostrze uderzyło w szkło... i utkwilo w nim. Przebiło się jedynie na centymetr, gdy siła wody opływającej batyskaf wyszarpnęła je tak, że bosak spadł na dno ciągnąc za sobą linkę.

Castille zdążył już upuścić pistolet i znów odpalił silniki, żeby przepłynąć nad kierującym się na niego batyskafem. Pilot, zaskoczony uderzeniem, nie zareagował na tyle szybko, by schwytać go w szczypce.

Lecz miał dość refleksu, by skrócić o sto osiemdziesiąt stopni i przygotować się do następnego natarcia.

Castille wiedział, że kombinezon ma za słaby napęd, żeby prześcignąć batyskaf. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie okaże się to konieczne.

Pilot w kabynie wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy zobaczył jaskrawą żółć skafandra Castille'a w świetle reflektorów przed sobą. Dał całą naprzód, przygotowując się do staranowania nurka...

Drobna rysa pozostawiona przez bosak nagle urosła. I rozrastała się dalej promieniście ze straszliwym, przyprawiającym o ból zębów zgrzytem pękającego szkła. Poddane ogromnemu ciśnieniu masy wody naciskały na nową szczelinę w gładkiej powierzchni, rozszerzając ją i pogłębiając...

Z hukiem tak głośnym, jak ogień artyleryjski, kokpit batyskafu implodował. Odłamki grubego na dziesięć centymetrów szkła uderzyły w pilota z prędkością dźwięku, zamieniając go w czerwoną mgiełkę, która rozlała się we wzburzonej, spienionej wodzie jak ogromny, krwawy kwiat. Batyskaf przechylił się i zarył nosem w dno, wzbijając wielki tuman piachu.

Castille się odwrócił. Może wciąż miał czas, żeby rozbroić bombę... Nie.

Z wejścia do świątyni rozeszła się fala uderzeniowa. Castille został odrzucony siłą ogłuszającego wybuchu, jakby potrącił go rozpędzony samochód. Nagle utracił kontrolę nad swoimi ruchami, widział tylko chmurę piasku.

Nie musiał jednak nic widzieć, aby wiedzieć, że gwałtowne wibracje uderzające w niego poprzez wodę spowodowały ogromne kamienne bloki, które runęły w tunelu, zasypując go na zawsze.

W komnacie z ołtarzem Chase właśnie miał pomóc Kari opuścić się do szybu, kiedy z dołu buchnął potężny gejzer, przewracając ich oboje na plecy. Wraz ze spienioną wodą posypały się na nich kawały gruzu, grzmocąc w pancerze, jakby ktoś walił w nie młotem.

- O mój Boże! - wrzasnęła Kari. Po raz pierwszy, odkąd Chase ją znał, była na krawędzi paniki. - Co to było, co się dzieje?

- Kari. Kari! - Przytrzymał jej ręce, próbując ją uspokoić. - Nic nam się nie stało, jesteśmy cali i zdrowi! Pozwól, że sprawdzę twój skafander.

Pomagając sobie nawzajem, podźwignęli się na nogi i zbadali powłoki kombinezonów. Oba pancerze miały wgniecenia, lecz żadnych większych uszkodzeń. Choć, uświadomił sobie Chase, było to właściwie bez znaczenia.

- Co się stało? - zapytała znów Kari. Chase spojrzął na szyb.

- Wysadzili tunel. Zasyпали nam wyjście.

Ludzie Starkmana zmusili pasażerów i załogę „Evenora” do zebrania się na lądowisku. Nina policzyła członków załogi, ośmiu marynarzy zginęło.

Drugi statek podpłynął do burty, marynarze przerzucili liny, żeby przywiązać jedną jednostkę do drugiej.

Na pokład „Evenora” wspiął się wysoki mężczyzna w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników. Sprężystym krokiem przemaszerował przez płytę lądowiska, dając swoim podwładnym znak, żeby przyprowadzili Ninę. Kapitan Matthews zaczął protestować, lecz gdy zamachano mu przed nosem pistoletem, natychmiast spotulniał.

Nina wiedziała już, z kim ma do czynienia. Widziała tę twarz o ostrych, surowych rysach już wcześniej.

- Doktor Wilde - powiedział. - Wreszcie się spotykamy. Nazywam się Giovanni Qobras.

21

Wiem, kim pan jest - powiedziała Nina, starając się nie okazać strachu. - Czego pan chce?

- Czego chcę? - Pytanie wywołało na twarzy Qobrasa ledwo zauważalny uśmiech. - Chcę tego, co wszyscy, doktor Wilde. Pokoju na świecie. A dzięki pani mogę to osiągnąć. - Jego intensywne spojrzenie spoczęło na Philbym. - I dzięki tobie, Jack. Ile to lat od naszego ostatniego spotkania? Dziesięć?

- Miałem raczej nadzieję, że już nigdy więcej się nie spotkamy - odparł Philby rozedrganym głosem.

Nina wlepiła w niego wzrok.

- Znasz go, Jonathanie?

- Jack... a raczej Jonathan, bo jak przypuszczam, nie powinno się zdrabniać imienia szacownego pana profesora, już wcześniej pomógł mi powstrzymać ludzi przed odnalezieniem Atlantydy - powiedział Qobras. Skinął na jednego z podwładnych, który odprowadził Philby'ego na bok, z dala od grupy więźniów. - A teraz... Cóż. - Machnął ręką na ocean. - Atlantyda zaginie na zawsze, ponieważ zostanie zniszczona.

- Dlaczego? - Nina zażądała wyjaśnień. - Jaki sekret mógłby być warty zniszczenia najważniejszego znaleziska archeologicznego w dziejach? I życia wszystkich tych ludzi, których zabiliście?

- Gdyby pani wiedziała, nie zadawałaby pani tych pytań - odrzekł Qobras. - Tylko sama by mi pani pomogła. Widzę jednak, że pani umysł został zatruty przez Frostów, podobnie jak pani rodziców. Szkoda. Mogłaby pani tyle osiągnąć, gdyby nie niewłaściwy wybór.

- Zaraz, co to ma wspólnego z moimi rodzicami?

Lecz Qobras odwrócił się od niej, gdy z nadbudówki wyłonił się Starkman.

- Zniszczyłem twarde dyski z nagraniami świątyni, Giovanni - oznajmił. - Teraz musimy jeszcze zniszczyć samą świątynię i po Atlantydzie już nic nie zostanie.

- Doskonale - powiedział Qobras. Miał powiedzieć coś jeszcze, gdy jeden z jego ludzi przeskoczył ze statku na statek i przybiegł na lądowisko.

- Sir! - wysapał. - Pod wodą coś poszło nie tak!

- Co się stało?

- „Zeus” zniszczył batyskaf Frosta. - Trulli przepchnął się do przodu, krzycząc i wyklinając Qobrasa, póki dwaj strażnicy nie przystawili mu pistoletów do głowy - i zdetonował jeden z ładunków. Ale nasze hydrofony zarejestrowały implozję.

- Czy nie mógł to być batyskaf Frosta?

- Nie, sir. Tamten wypływał już na powierzchnię, a implozja miała miejsce przy samym dnie. To musiała być sprawka jednego z nurków.

Qobras zwrócił się do Philby'ego, oczekując wyjaśnień.

- Kari... to znaczy panna Frost... i Chase byli w świątyni - powiedział profesor tak zdenerwowany, że niemal się jąkał. - Więc to musiał być Castille.

- Dobra robota, Hugonie! - powiedziała Nina bez cienia wesołości. Starkman posłał jej groźne spojrzenie.

Zmarszczki na czole Qobrasa jeszcze bardziej się pogłębiły.

- Potrzebowaliśmy „Zeusa” do podłożenia ładunków! Jak długo zajęłoby sprowadzenie następnego statku głębinowego?

- Co najmniej pięć dni, sir.

- To za długo. Do tej pory Frost może tu sprowadzić więcej sprzętu i ludzi.

- A co z ich drugim batyskafem? - spytał Starkman i wskazał ręką „Piaskojada”.

- Tylko ja umiem nim sterować - oświadczył wojowniczo Trulli. - A jeśli myślicie, sukinsyny, że wam pomogę po tym, jak zabiliście mi kumpla, to się mylicie.

Starkman zirytował się i uniósł pistolet, lecz Qobras pokręcił głową.

- Niech nasi ludzie przeniosą pozostałe ładunki z naszego statku na ten - powiedział po parosekundowym namyśle. - Niech dwie trzecie ułożą na dziobie pod linią wody, a resztę na rufie.

- Co pan zamierza zrobić? - zapytała Nina.

- Skoro nie mogę już wysadzić świątyni - odparł Qobras, odwracając się znowu w jej stronę - to zniszczę ją w inny sposób. Trzy tysiące ton stali zrzuconych dokładnie na budynek powinno wystarczyć.

Ignorując uzbrojonych ludzi wokół, kapitan Matthews wystąpił do przodu.

- Qobras! A co z moją załogą? Co zamierzasz z nami zrobić? Qobras spojrział na niego lekceważąco.

- Zdaje się, że kapitan powinien pójść na dno ze swoim okrętem. W tym wypadku na dno pójdzie także załoga. - Spojrział znowu na Ninę. - Oraz pasażerowie.

- Ty sukinsynu - syknął Matthews.

- Chce nas pan potopić? - powiedziała Nina, przerażona. Qobras pokręcił głową.

- Nie, nie. Nie jestem sadystą ani okrutnikiem, choć może tak przedstawiali mnie Frostowie. Kiedy statek zacznie tonąć, będziecie już martwi.

Chase sprawdził swój zapas powietrza. Skafandry zostały zaprojektowane z myślą o długotrwałym przebywaniu pod wodą, lecz nie był to czas nieograniczony. Miał jeszcze powietrza na mniej więcej godzinę.

Jedna godzina. Potem on i Kari staną się stałymi rezydentami starożytnej świątyni albo...

Kari pomyślała o tym samym.

- Musi być stąd inne wyjście - powiedziała, wskazując schody. - Woda nie mogła wdrzeć się do głównej sali przez tajne przejście, bo wtedy ta komnata też byłaby zalana.

- To jeszcze nie znaczy, że uda nam się tamtą drogą przecisnąć - przypomniał jej Chase, schodząc po schodkach.

- Mimo wszystko musimy spróbować.

- Wiem, przygotowywałem się po prostu na najgorsze. To takie brytyjskie dziwactwo. Ile masz tych dużych zimnych świec? Będzie nam potrzeba jak najwięcej światła.

Kari zajrzała do torby przy pasie.

- Sześć.

- Ja też. Okej, rozejrzyjmy się. Zanurzyli się w lodowatej wodzie.

Castille podpłynął z powrotem do miejsca, gdzie znajdowało się wejście. Chmura osadu wzburzonego przez eksplozję wciąż się unosiła, a z doświadczenia wiedział, że woda może pozostać taka mętna przez dobrych kilka godzin.

I tak wszedł w nią, niezrażony. Była jak niezwykle gęsta brązowa mgła, nawet snop światła z latarki niemal natychmiast niknął w dryfującej zawieszynie.

Castille przekonał się, że tunel jest zasypany. Kawałki roztrzaskanych bloków skalnych leżały na dnie pod jego stopami. Znalazł linkę, którą Chase poprowadził do tunelu, i szarpnął nią na próbę. Nawet nie drgnęła.

Wykorzystał napęd skafandra, wrócił tam, gdzie woda była czystsza, sprawdził zapasy powietrza i spokojnie zastanowił się, co może zrobić. Miał godzinę. W tym czasie mógł z łatwością wynurzyć się na powierzchnię...

Lecz sam fakt, że zostali zaatakowani pod wodą, oznaczał, że sytuacja na górze nie jest lepsza. Do tej pory statek Qobrasa na pewno dopłynął do „Evenora”. A jeśli nie liczyć noża, Castille był nieuzbrojony, zaś na powierzchni, uwięziony w niewygodnym skafandrze, nie mógłby walczyć.

Co znaczyło, że w tej chwili mógł tylko spróbować pomóc Chase'owi i Kari uciec ze świątyni.

Jeżeli udało im się przeżyć.

Atmosfera na lądowisku była napięta. Kilku członków załogi było na skraju załamania. Inni modlili się szeptem. Ludzie Qobrasa otoczyli ich, unosząc karabiny do strzału...

- Czekajcie - powiedziała Nina, starając się ukryć przerażenie pod maską stanowczości.

- Na co? - spytał Qobras.

- Zawrzyjmy umowę. Pan pozwoli marynarzom zejść do łodzi ratunkowych przed zatopieniem statku, a... - Odetchnęła głęboko. - A ja się panu poddam.

Starkman prychnął lekceważąco, podczas gdy Qobras zaśmiał się drwiąco.

- Już panią mam, doktor Wilde! Nie może mi pani niczego zaoferować: mam to, czego chcę. Wiem już, gdzie znajduje się Atlantyda, i teraz ją zniszczę!

- Ale jest jeszcze coś, czego pan nie wie - odparła Nina z cierpkim uśmiechem. - Nie wie pan, gdzie znajduje się trzecia świątynia Posejdona.

Na twarzy Qobrasa pojawiło się zdziwienie.

- Nie ma trzeciej świątyni, doktor Wilde. Jedna była w Brazylii i została zniszczona, a drugą, pod nami, wkrótce spotka ten sam los. Atlantydzki trop tutaj się kończy.

- Nie. - Nina pokręciła głową. - Jest jeszcze trzecia. I prędzej czy później ktoś ją znajdzie. Myśli pan, że poprzez zwykłe rozwalenie świątyni zniszczy pan wszystkie ślady? Ludzie wiedzą teraz, gdzie jest Atlantyda. Wiadomość się rozejdzie i znów zaczną się poszukiwania. Tam pod wodą jest całe miasto, nie tylko świątynia. Prędzej czy później ktoś poskłada wszystkie elementy układanki i trafi do celu. Tajemnica się wyda, a wy nie będziecie mogli na to nic poradzić. Chyba że...

- Chyba że co? - W głosie Qobrasa pobrzmiwała groźba, ale i ciekawość.

- Chyba że powiem wam, gdzie jest trzecie miasto. Żebyście mogli je zniszczyć.

- Gówno prawda - wtrącił się Starkman. - Ona niczego nie wie, tylko gra na zwłokę, licząc, że uda jej się przeżyć.

- Panie Qobras, proszę powiedzieć temu z klapką na oku, żeby stulił pysk - powiedziała Nina buńczucznie, mimo że się bała. Starkman najeżył się, ale milczał. - Jest trzecia świątynia, trzecia cytadela. Przed potopem Atlantydzi przygotowywali się do założenia dwóch nowych

kolonii. Jedna ekspedycja wyruszyła na zachód, do Brazylii, a druga... Cóż, ja wiem, dokąd trafiła. I powiem wam. Jeżeli puścicie załogę żywcem.

Starkman przyłożył pistolet do głowy Matthews'a.

- Albo możemy zabijać ich jednego po drugim, aż wreszcie nam powiesz.

- Skoro i tak zamierzaliście nas wszystkich zabić, ten szantaż nie zadziała - odrzekła

Nina.

Qobras spojrzął na Philby'ego.

- Czy ona mówi prawdę?

- Hm... no... możliwe - odparł Philby, zmieszany - Ostatnie inskrypcje w świątyni rzeczywiście wydawały się wskazywać, że Atlantydzi planowali osiedlić się w więcej niż jednym miejscu... ale nie miałem czasu, żeby przetłumaczyć dostateczną ilość tekstu. - Popatrzył na Ninę podejrzliwie. - I nie sędzę, żeby jej się udało.

- Uczennica przerosła mistrza, Jack - zaszydziła.

- Możesz przetłumaczyć resztę? - spytał Qobras. Philby pokręcił głową i westchnął.

- Już nie.

- Ha! - Nina zrobiła do Starkmana minę. - Założę się, że teraz ci głupio, że rozwaliliś twardego dyska, co? - Zwróciła się do Qobrasa. - No to jak będzie? Przedstawiłam ofertę, która jest wciąż aktualna. Nie zabijajcie załogi, a ja zaprowadzę was do ostatniego miasta Atlantydwów.

- „Zaprowadzisz” nas? - powiedział Starkman. - Co? Starasz się teraz o posadę przewodnika?

Nina skrzyżowała ręce na piersi, spoglądając odważnie na Qobrasa.

- Szukałam Atlantydy całe życie. Jeśli mam z jej powodu umrzeć, to chcę wiedzieć dlaczego. Chcę poznać całą historię. Nie sędzę, żeby to było zbyt wygórowane żądanie.

- Doktor Wilde, to zbyt niebezpieczne - powiedział Matthews. - Skąd pani wie, że i tak nas nie zabiją.

- Składam mu propozycję w dobrej wierze. Mam nadzieję, że przyjmie ją w tym samym duchu. Więc jak, panie Qobras? - spytała. - Twierdził pan, że nie jest okrutny. Czy jest pan również człowiekiem honoru?

Starkman wciąż patrzył na nią z nieskrywaną wrogością, lecz twarz Qobrasa była nieprzenikniona. Zbliżył się i utkwiał w niej spojrzenie swoich stalowoszarych oczu.

- Zdaje sobie pani oczywiście sprawę z tego, że nawet gdy zniszczymy ostatnią świątynię, nie możemy zostawić pani przy życiu? Czy nadal podtrzymuje pani swoją propozycję?

Miała sucho w gardle. Przełknęła ślinę, zanim odpowiedziała.

- Tak.

Przez chwilę wyglądał, jakby mu zaimponowała.

- Jest pani bardzo odważną kobietą, doktor Wilde. I szlachetną. Nie spodziewałbym się tego, biorąc pod uwagę pani... dziedzictwo.

- A co to ma niby znaczyć? Zrobił krok do tyłu.

- Później będziemy mieli czas, żeby to przedyskutować. Ale oszczędzę załogę statku, jeśli zgodzi się pani pokazać mi drogę do ostatniej świątyni. Umowa stoi?

- Owszem - odparła. Qobras pokiwał głową.

- Bardzo dobrze. Jason! Przygotuj szalupy dla załogi.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytał Starkman.

- Zobaczymy. Ale najpierw ich przeszukaj: upewnij się, że nie mają nadajników radiowych ani flar. Chcę mieć dość czasu, żeby stąd odpłynąć, zanim ktoś przybędzie im z

pomocą. - Wskazał ręką na północ. - Portugalskie wybrzeże znajduje się sto czterdzieści kilometrów w tamtą stronę, kapitanie. Mam nadzieję, że pańska załoga umie dobrze wiosłować.

Matthews łypnął na Qobrasa nienawistnie.

- A co z ludźmi w świątyni? - zapytała Nina. - Moi przyjaciele wciąż są pod wodą.

- I tam już zostaną - odparł Qobras.

- Co? Zaraz, przecież uzgodniliśmy...

Qobras chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie i warknął jej prosto w twarz:

- Uzgodniliśmy, że oszczędzę życie ludzi na pokładzie tego statku, doktor Wilde. Więc tamtych to nie dotyczy. Jeśli to pani nie odpowiada, rozkażę rozstrzelać załogę! Rozumie pani?

- Tak - odparła Nina, pokonana.

- Doktor Wilde - zawołał Matthews, gdy jeden z ludzi Qobrasa skinął na niego pistoletem, żeby poszedł za resztą załogi - ma pani jakąś rodzinę, którą powinienem powiadomić?

- Nie, obawiam się, że nie - westchnęła. - Tylko... jeśli zobaczy pan Eddie'ego, proszę mu powiedzieć, że wyślę mu pocztówkę.

Matthews był zdumiony, lecz nie zdążył powiedzieć nic więcej, popchnięto go w stronę szalup. Qobras wskazał własny statek.

- A teraz, doktor Wilde, jeśli pani pozwoli do mnie... będziemy mogli omówić lokalizację ostatniej świątyni Atlantydo w.

Nawet w trzech czwartych wypełniona wodą świątynia Posejdona wyglądała dużo bardziej imponująco niż jej replika w Ameryce Południowej.

- Zupełnie niewiarygodne - powiedziała Kari, mimo grozy sytuacji zachwycona główną salą. Nad jej głową smukłe żebrowanie ozdobione złotem, srebrem i *orichalcum* podkreślało majestat łukowego sklepienia. - Spójrz na ten strop! Cały jest z kości słoniowej, dokładnie tak jak opisał go Platon.

- „Niewiarygodne” nie jest słowem, którego bym użył - powiedział Chase, podpływając do niej. - Mam wrażenie, jakbym się znalazł w brzuchu jakiejś bestii. Ten facet, który nakręcił *Obcego*, czułby się tutaj doskonale. - Przełamał następną zimną świecę i rzucił ją na drugi koniec komnaty, gdzie unosiła się na wodzie. Poza zasięgiem ich latarek wewnątrz rozświetlał teraz rozproszony pomarańczowy blask. Głowa Posejdona wznosiła się nad wodą, przyglądając się im surowo złotymi oczami. - Znalazłaś jakieś wyjście?

- Nie. A ty?

Chase wskazał południową ścianę.

- Tu jest dokładnie tak jak w tamtej drugiej świątyni. Identyko. Idę o zakład, że gdybyśmy przeszli cały tunel, natknęlibyśmy się na te same trzy próby.

- Tam jest tunel? Możemy się nim wydostać?

Pokręcił głową.

- Jest na parterze, pamiętasz? Wyjście znajduje się dziesięć metrów pod piachem.

- Chyba i tak będziemy musieli spróbować. Skoro sklepienie jest nieuszkodzone, właśnie tamtędy dostała się tu woda. Może jednak by nam się udało.

- Istnieje lepszy sposób - powiedział Chase, unosząc jeden z ładunków wybuchowych.

- Nie, to zbyt niebezpieczne - zaprotestowała. - Jeśli wyrwiesz dziurę w suficie, cały dach może się zawalić!

- Nie zamierzam wysadzać całego budynku. Spójrz. - Podpłynął do miejsca, gdzie dekoracje z kości słoniowej odłupały się, odstaniając nagi kamień. - Wystarczy nam taki otwór, przez który moglibyśmy się przecisnąć... nawet przesunięcie jednego bloku powinno wystarczyć.

- Przy założeniu, że twoja bomba nie zerwie całego dachu. Chase wzruszył ramionami.

- Czymże byłoby życie bez odrobiny ryzyka? - Oświetlił latarką kamienne bloki, przyglądając się spojeniom. Podobnie jak w Brazylii zostały wykute tak precyzyjnie, że łączenia nie wymagały zaprawy, a całość trzymała się dzięki właściwemu wyważeniu i kształtowi bloków. Sprawdzając jedną ze szpar nożem, stwierdził, że ostrze wsunęło się ledwie parę milimetrów. - Musimy znaleźć najsłabsze miejsce, żeby podłożyć ładunki. - Odepchnął się od ściany i odwrócił, żeby spojrzeć w górę na posąg Posejdona - „Taki duży, że głową pułapu dotykał”...

Kari była pod wrażeniem.

- Czytasz ostatnio Platona?

- Pomyślałem, że dam facetowi szansę. Ale widzisz? Jeśli wdrapiemy się na głowę Posejdona, możemy wetknąć ładunki tuż pod szczytem sklepienia. Bloki poniżej dźwigają wszystkie głazy, które się na nich opierają, ale te na samej górze trzymają się tylko dzięki własnej sile ciężenia.

- I ciśnieniu dwudziestu pięciu atmosfer, z jakim napiera woda po drugiej stronie - przypomniała mu Kari. - Jeśli wyrwiesz tam dziurę, zalejesz całą świątynię. Zniszczysz ją i... prawdopodobnie zabijesz nas przy okazji!

- Jeśli nie wydostaniemy się stąd w ciągu godziny, i tak nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nie mamy czasu na udroźnienie tunelu.

Do roboty. - Położył się na wodzie i włączył napęd, żeby pod płynąć do posągu.

Kari, choć niechętnie, zrobiła to samo.

Castille okrążał świątynię, docierając do południowej ściany. Na razie nie dostrzegł nawet najdrobniejszego otworu, ogromny beczkowaty dach był nienaruszony.

Wiedziony nagłym impulsem, stanął na samym sklepieniu. Kamienie mogły być grube, lecz jeśli znajdzie się dostatecznie blisko, fale radiowe powinny się przedrzeć do środka.

- Edwardzie? - powiedział. - Kari? Czy ktoś mnie słyszy?

Stał w milczeniu, wstrzymując nawet oddech, żeby syk regulatora nie zagłuszył odpowiedzi. Nikt jednak nie odpowiadał.

- *Merde*. - Odbił się i ruszył z powrotem wzdłuż zachodniej ściany.

Szalupy „Evenora” kołysały się na wodzie, gdy ich załogi wiosłowały, oddalając się od statku hydrograficznego. Nina patrzyła na nie z bolesną rezygnacją, stojąc na mostku statku Qobrasa z dwoma uzbrojonymi strażnikami po bokach. Ostatni z jego ludzi wskoczyli z powrotem na pokład, a pozostali zabrali się do rozwiązywania lin łączących obie jednostki.

Na mostek wszedł Starkman.

- Giovanni. Wszystkie ładunki są na swoich miejscach. - Podał Qobrasowi dwa radiowe detonatory. - Ten odpali ładunki na dziobie, a ten w maszynowni.

- Luki są otwarte? - spytał Qobras.

- Tak, wszystkie aż do grodzi maszynowni. Odpal ładunki na dziobie, a dwie trzecie statku wypełnią się wodą. Potem, kiedy dziób znajdzie się pod powierzchnią, detonuj resztę ładunków i bum! Trzy tysiące ton żelastwa pójdzie na dno.

Qobras przyjrzał się detonatorom.

- Miecz Damoklesa...

- Bardzo sprytnie - zauważyła gorzko Nina. - Szkoda, że nie wykazujecie się taką pomysłowością, by coś stworzyć.

- Nie ma pani pojęcia, ile czasu i wysiłku włożyłem w działania konstruktywne, doktor Wilde.

- No to może mnie pan oświeci?
 - Może to zrobię. Kto wie, może nawet przyzna mi pani rację.. - Wątpię - prychnęła.
 - Niestety - westchnął Qobras - ja również. - Zwrócił się do kapitana. - Odpłyni na bezpieczną odległość, a potem skieruj statek dziobem do „Evenora”. Chcę to zobaczyć.

Rzeźbiarze, którzy wykonali posąg, najwyraźniej nie przewidzieli tego, by na czubku mógł stanąć człowiek, pomyślał Chase. Platon nie miał do końca racji: Posejdon nie dotykał stropu, chociaż z dołu sprawiał takie wrażenie. Między jego głową a sklepieniem była niewielka przestrzeń, którą teraz zajmował Chase. Złocony posąg miał wyrzeźbione włosy i rodzaj korony, prawdopodobnie z wodorostów, co nie zapewniało stabilnego oparcia.

- Jak ci idzie? - zapytała Kari.

- Już kończę. - Połączył przewodem oba ładunki, żeby wybuchły jednocześnie. Detonator był prosty mechaniczny zegar. Po aktywacji urządzenia Chase będzie miał minutę na oddalenie się na bezpieczną odległość. W oceanie i przy napędzie silnikowym w skafandrze nie stanowiłoby to problemu.

Natomiast w świątyni...

- Nadal uważam, że to zły pomysł.

- Jeśli nie zadziała, możesz mnie wywalić z roboty. Skończyłem. - Ładunki były wcisnięte między jedną z belek z kości słoniowej a strop. Kość słoniowa rozprysnie się w drobny mak w ciągu milisekundy od eksplozji. Pytanie brzmiało, ile siły wybuchu pójdzie w górę?

Chase miał duże doświadczenie z materiałami wybuchowymi, lecz w tym wypadku liczył raczej na szczęście. I tak nie mógł podłożyć ładunków lepiej.

- Odpłyni kawałek dalej - zawołał do Kari. - I zanurz się najgłębiej, jak możesz.

- Dobrze. - Obróciła się i zniknęła pod wodą, światła jej skafandra stawały się coraz słabsze, w miarę jak schodziła coraz głębiej.

Chase spojrział znów na detonator.

- W porządku - powiedział, dodając sobie otuchy. Aktywacja bomby przebiegała w dwóch fazach: najpierw trzeba było obrócić i wyciągnąć zawleczkę, a dopiero potem wciskało się włącznik detonatora. Od tego momentu prosty, lecz skuteczny mechanizm zegarowy odliczał sześćdziesiąt sekund. - No to siup...

Przekręcił stalową zawleczkę o sto osiemdziesiąt stopni, a potem ją wyciągnął. Bomba była teraz uzbrojona. Gdy tylko naciśnie guzik, nie będzie już odwrotu.

- Dobra, Kari - powiedział, choć nie był nawet pewien, czy sygnał radiowy z jego skafandra do niej dotrze - przygotuj się. Sześćdziesiąt sekund, licząc od... teraz!

Wcisnął guzik i sturlał się z głowy posągu. I utknął.

Pas zawadził o koronę!

- O kurwa! - stęknął, wierzgając nogami, żeby się wyswobodzić. Bez skutku. - Kurwa mać!

Zegar odmierzał kolejne sekundy.

- Pięćset metrów, sir - oznajmił kapitan.

Qobras wyglądał przez okna na mostku. Na tle morza lśnił biały kadłub zwróconego do nich burtą „Evenora”, a jaskrawożółty, pękaty „Piaskojad” kołysał się lekko na dźwigu. Szalupy płynęły w różne strony, byle dalej od „Evenora”.

- Błagam - poprosiła Nina - nie musi pan tego robić... Qobras nawet na nianie spojrzął, wpatrywał się w statek.

- Obawiam się, że muszę.

Podniósł pierwszy detonator i wcisnął guzik.

Castille wyłączył silnik napędowy, zatrzymując się tuż nad dachem świątyni. Właśnie przed chwilą usłyszał coś w słuchawkach: coś jakby urywane przekleństwo.

- Edward? - zapytał, podpływając bliżej do ogromnego kamiennego sklepienia. - Edwardzie, czy to ty? Słyszysz mnie?

Wtedy usłyszał coś innego.

Tym razem nie w słuchawkach, lecz w wodzie. Niski, dudniący huk.

Dźwięk, który znał aż nazbyt dobrze. Eksplozja na powierzchni morza, dokładnie nad jego głową. Mogło to oznaczać tylko jedno.

Nina spodziewała się ogromnej ognistej kuli, która pochłonie dziób „Evenora”, ale w rzeczywistości eksplozja okazała się dziwnie pozbawiona dramatyzmu. Przez otwarte włazy buchnęła para wodna, a za nią drobne odłamki i łopoczące kartki papieru. Woda pod kadłubem zapieniła się na chwilę.

Jednak skutki detonacji od razu było widać.

Dziób niemal natychmiast zaczął się zanurzać, a kadłub przechylił się na sterburtę. „Piaskojad” zachwiał się gwałtownie i zawisł nad wodą, helikopter na burcie drgnął, gdy napięły się liny utrzymujące go na płycie lądowiska.

Nina była zdumiona szybkością, z jaką statek tonął. Z mieszaniną przerażenia i fascynacji przyglądała się, jak dziób zanurzył się w oceanie. W tym tempie cały przedni pokład znajdzie się całkowicie pod powierzchnią za niecałą minutę, pomyślała.

Chase usiłował wyszarpnąć pas zaczepiony o koronę Posejdon, lecz w krępującym ruchu skafandrze nie mógł go porządnie złapać. Czterdzieści sekund.

- Kurwa!

Hałas, stłumiony huk gdzieś na zewnątrz świątyni. Eksplozja! A potem seria trzasków w słuchawkach, jakby czyjś głos usiłował się przebić przez szumy elektrostatyki. Kari... Nie! Castille!

- Edwardzie! Słyszysz mnie? Edwardzie!

Skoro radio działało bez stacji przekaźnikowej, to Castille był blisko, bardzo blisko.

- Hugo! - krzyknął Chase. - Uciekaj stąd! Nastawiłem bombę!

Uciekaj!

- Edwardzie! Powt... Trzydzieści sekund.

- Bomba! - wrzasnął Chase. Sięgnął po nóż. Pas z wyposażeniem ciasno opinał pancerz skafandra. Chase dźgał go rozpaczliwie, usiłując wsunąć pod spód czubek ostrza.

Castille otworzył szeroko oczy. Większość z tego, co mówił Chase, zginęło wśród zakłóceń, lecz ostatnie słowo zabrzmiało aż nazbyt wyraźnie.

Belg odbił się mocno od dachu i odpłynął, włączwszy silnik na najwyższe obroty.

Kadłub „Evenora” przechylił się na sterburtę prawie o czterdzieści pięć stopni, gdy czubek dziobu zniknął pod falami. Helikopter zerwał się z lin i zjechał po płycie lądowiska prosto do wody. Ogon zanurzył się pierwszy, powietrze w kokpicie utrzymywało nos nad powierzchnią przez parę sekund, zanim własny ciężar nie pociągnął maszyny w dół.

Na przednim pokładzie pękła jedna z lin, na których wisiał „Piaskojad”. Ciężki batyskaf zachybotał się i z głośnym praskiem uderzył o wodę. Przeciążony ponad miarę żuraw złamał się u podstawy i zjechał po pochyłym pokładzie, wbijając się prosto w kabinę batyskafu. Przez ziejącą dziurę natychmiast wdarła się woda i „Piaskojad” zatonął w ciągu kilku sekund.

Statek wywrócił się do góry dnem. Rufa uniosła się w powietrze, śruby napędowe ociekały wodą.

Qobras wziął drugi detonator i z obojętną miną nacisnął guzik.

Dwadzieścia sekund...

- No, puszczaj, cholera jasna!

Chase pchnął nóż do góry niby dźwignię, ostrze wbiło się w twardą powłokę skafandra. Coś trzasnęło i pas pękł.

Chase runął do wody z wysokości trzech metrów i wylądował na plecach, uderzając się mocno. Nie myślał o bólu, bo miał niecałe piętnaście sekund, by uciec.

W chmurze pary wodnej i dymu, która wydobyła się spod nawisu rufy, „Evenor” zniknął w falach Atlantyku, ostatni jęk umierającego statku był jak skamlenie zranionego zwierzęcia. W miejscu, gdzie się zanurzył, utworzył się wzburzony wir piany i śmieci, które były zbyt lekkie, by zatonać.

Generatory prądu przestały działać, gdy tylko woda wdarła się do pomieszczeń na rufie, lecz światła awaryjne wciąż się jarzyły od momentu, gdy automatycznie włączyły się zasilane z akumulatorów zespoły rozsiane po całym statku. Ciągnąc za sobą białą smugę spienionej wody, statek hydrograficzny gwałtownie runął dziobem ku Atlantydzie.

Qobras odwrócił się do kapitana.

- Proszę nas zabrać do portu. Cała naprzód.

- Tak jest, sir. - Kapitan wydał podkomendnym na mostku stosowne rozkazy.

Przycupnąwszy w rogu, ignorowana przez ludzi Qobrasa Nina zatkała ręką usta, starając się powstrzymać szloch. Nie udało jej się.

Chase włączył napęd na największą prędkość i pośpiesznie zanurkował, byle dalej od posągu.

Pięć sekund, cztery, trzy...

Spostrzegł w dole niewyraźne światło - Kari! - skierował się w tamtą stronę...

Bomba wybuchła.

22

Głowa posągu Posejdona, który przetrwał zatonięcie Atlantydy i samotnie czuwał nad świątynią przez ponad jedenaście tysięcy lat, rozprysła się na drobne kawałki. Sufit z kości słoniowej runął, ostre jak igły drzazgi zasypały komnatę jak grad.

Kamienny blok nad ładunkiem też przyjął znaczną część siły wybuchu.

Pod ogromnym naporem wody głaz uniósł się tylko na kilkadziesiąt centymetrów.

Ale to wystarczyło.

Po cierpliwym, trwającym setki lat oczekiwaniu, Atlantyck upomniał się o swój najstarszy łup. Lodowata woda wdarła się przez szczelinę, rozpychając się na boki z potworną siłą i wyrывая w sklepieniu dziurę szeroką na ponad pięciu metrów. Tysiące ton wody zmiażdżyło to, co pozostało z posągu Posejdona, zmieniając go w złoty gruz.

Do świątyni dotarła potężna fala uderzeniowa, wyrывая posągi z posadzki i rzucając nimi jak zabawkami.

Chase czuł się, jakby potrafiła go rozpędzona ciężarówka. Latarka wypadła mu z ręki i poleciała, wirując, w skłębioną otchłań, gdy jego samego cisnęło o ścianę. Nie mógł się ruszyć, przyszpilony jak motyl do tablicy przez potworną siłę.

Potem hałas ucichł. Ciśnienie przykuwające go do muru osłabło. W lewym nadgarstku poczuł nieznośny, palący ból. Jak przez mgłę przypomniało mu się, że rąbnął ramieniem o ścianę.

Reflektory w skafandrze wciąż działały, lecz przez jakiś czas były bezużyteczne. Osad leżący na posadzce świątyni od dnia potopu zmieszał się z wodą, która zrobiła się mętna jak mleko.

Lecz teraz, gdy świątynia została całkowicie zalana, woda się uspokoiła, co znaczyło, że Chase mógł wypłynąć przez dziurę w stropie...

- Kari!

Nie było mowy, żeby była przygotowana na niewyobrażalne szaleństwo oceanu. Prawdopodobnie została zaskoczona tak samo jak on. Spróbował nawiązać z nią kontakt przez radio.

- Kari! Kari, słyszysz mnie? Jesteś tam? Kari! Żadnej odpowiedzi.

Mogła być poza zasięgiem radia... albo ranna, nawet martwa.

Popłynął w dół, krzywiąc się z bólu. Gdyby skorzystał z silniczków napędowych, poruszałyby się szybciej, ale nie chciał ryzykować, że wpadnie na coś, czego nie zauważy.

Poczuł pod stopami gruz - rozbite posągi i pokruszone kamienie. Jak po bombardowaniu.

Spostrzegł z przodu słabe światło. W mętnej wodzie trudno było ocenić odległość. Zdawało się, jakby światło świeciło piętnaście albo dwadzieścia metrów dalej, lecz w obecnych warunkach były to raczej dwa metry albo półtora.

- Kari! - zawołał, gdy światło zaczęło nabierać kształtu: jeden z reflektorków na jej kombinezonie, drugi był uszkodzony. Ciało Kari unosiło się tuż nad posadzką świątyni.

Pociągnął ją do góry. Miała zamknięte oczy i nie potrafił ocenić, czy oddycha. Skafander był wyposażony w automat oddechowy z obiegiem zamkniętym, który nie uwalniał pęcherzyków powietrza.

- Kari!

Zamrugła powiekami.

- Uff, Bogu dzięki! - odetchnął Chase. - Kari, oprzytomniej. Musimy się stąd wydostać.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego mętным wzrokiem.

- Eddie? Co się stało?

- W telegraficznym skrócie? Bum! Plusk! Dziura. Nic ci nie jest? Jej twarz wykrzywiła się z bólu.

- Noga mnie boli...

- Reszta stropu może się zawalić. Musimy się stąd wydostać... Jeśli popłyniemy prosto w górę, a potem pod sklepieniem, powinniśmy znaleźć dziurę.

- Udało ci się zdetonować bombę?

- O tak. - Wziął ją za rękę. - Włącz napęd i do góry. - Sięgnął po kostkę sterującą. - Na trzy. Gotowa? - Kari pokiwała głową, a on odliczył do zera...

Kari zaczęła się wznosić. Chase ani drgnął.

- Hola, hola, stój! - krzyknął, odbijając się nogami od posadzki. Śruby napędowe w jej skafandrze przestały wirować.

- Co się stało?

Chase wcisnął parę razy guzik. Nic.

- Houston, mamy problem. Moje silniki nie działają.

- Twój skafander jest uszkodzony?

- No, tak jakby. Na to wygląda, skoro silniki nie działają. Uderzyła ręką w jego pancerz na piersi.

- Pytam poważnie! Te skafandry są bardzo wytrzymałe, więc jeśli jeden z systemów przestał działać, to znaczy, że mogą wystąpić inne uszkodzenia. Czy dopływ powietrza funkcjonuje?

- Zdaje się, że wszystko gra, chociaż... - Umilkł. - Czekaj. Albo zeszczałem się w gacie... albo kombinezon mi przecieka. Poruszył się niespokojnie. Poczłł coś nieprzyjemnie zimnego i mokrego wysoko na udzie... wewnątrz skafandra. - Szlag! Woda mi się wlewa.

Jakby na komendę, między nimi wzbił się pęcherzyk powietrza, który dotknął szklanej części hełmu Chase'a, po czym zniknął, unosząc się wyżej.

- Złap się mnie i nie puszczaj bez względu na wszystko - rozkazała Kari.

Chase chwycił się jej pasa, stwierdzając, że brakuje większości wyposażenia, porwanego przez wodny wir. Kari uruchomiła silniczki, które z trudem znosiły dodatkowe obciążenie, gdy popłynęli do góry.

- Zwolnij - ostrzegł Chase, gdy zbliżyli się do stropu. - Wolałbym, żebyś nie przygrzmociła w te kamienie.

- A ja bym wolała, żebyś nie utonął! - odparła, ale zwolniła i uniosła wolną rękę nad głowę, aż dotknęła czegoś twardego. - No to jesteśmy. Wyżej wciąż jest kieszeń powietrzna, czuję brak oporu. - Podpłynęła wyżej, aż uderzyła hełmem o sufit z kości słoniowej. Było akurat tyle miejsca, że jej oczy znalazły się tuż nad poziomem wody.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest tam jasno. Zimne świece wciąż tu były, unosząc się na powierzchni.

- Co tam widzisz? - spytał Chase.

- Strop zapadł się częściowo jakieś dziesięć metrów dalej. Dlatego wciąż jest tu powietrze. - Obróciła się w wodzie. - Widzę jedną ze ścian.

- To ściana południowa, gdzie byliśmy. Musimy przepłynąć na przeciwną stronę.

- Okej. - Zanurzyła się pół metra głębiej, ciągnąc Chase'a ze sobą, a następnie pochyliła się do przodu, żeby włączyć napęd i popłynąć wzdłuż osi sklepienia. Rozproszone pomarańczowe światło wskazywało jej opadającą część dachu.

- Uważaj, kamienie mogą być poluzowane - ostrzegł Chase. Kari zaczęła obmacywać strop uważniej, zdała sobie sprawę, że tu i tam sterczały ostre kawałki kości słoniowej.

Poczuła z przodu lekki prąd, a woda stała się bardziej przejrzysta.

- Eddie! Chyba znaleźliśmy otwór!

- Świetnie! Bądź ostrożny...

Jeden z ogromnych kamiennych bloków oderwał się od sklepienia, pociągając za sobą duże kawałki kości słoniowej. Uderzył Kari. Chase złapał ją za ramię.

- Niech to szlag! Nic ci nie jest? - Obejrzał jej skafander. Pękata obudowa, która mieściła butle z powietrzem, była spłaszczona u góry i pęknięta jak skorupka jaja. - Skafander ci się spieprzył... możesz nadal oddychać?

Kari wciągnęła z niepokojem powietrze.

- Coś jest nie tak: wciąż dostaję powietrze, ale trudniej mi się oddycha. Myślę, że regulator się uszkodził!

Chase ścisnął jej dłoń, próbując dodać otuchy.

- Nie denerwuj się, Kari. Jesteśmy już prawie na zewnątrz. Jak wydostaniemy się ze świątyni, znajdziemy Hugona i wypłyniemy na powierzchnię. Zajmie to nam najwyżej piętnaście minut. Po prostu oszczędzaj tlen i oddychaj powoli. Dobrze?

- Dobrze. - Pokiwała głową, choć jej twarz zdradzała niepokój. Dotarli do dziury w stropie. Kari uruchomiła napęd i wypłynęła na zewnątrz, ciągnąc Chase'a ze sobą. Woda zrobiła się przezroczysta. Chase rozejrzał się w poszukiwaniu światła. Zauważył je niemal natychmiast... ale nie wyglądały znajomo.

- Inny batyskaf - powiedziała Kari, patrząc na wrak. Mimo że kabina implodowała, układ elektryczny wciąż funkcjonował, niepotrzebnie dostarczając prąd do reflektorów. - Qobras.

- Hugo gdzieś tu jest. - Chase wypłynął z dziury. - Hugo? Słyszysz mnie? Jesteśmy na zewnątrz świątyni, powtarzam, wydostaliśmy się. Słyszysz?

Cisza, a potem:

- Edwardzie! - Głos był niewyraźny, zniekształcony szumami, lecz bez wątplenia należał do Belga. - Słyszę cię? Gdzie jesteście?

- Nad dachem, od północy. A ty?

- Schodzę do was z południowego zachodu! Widzisz mnie? - Chase podniósł wzrok. I rzeczywiście zobaczył zbliżające się światła Castille'a. - Nic wam nie jest?

- Skafander Kari jest uszkodzony, a mój przecieka i siadł mi napęd. Musimy jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię.

Castille poświecił latarką na kombinezon Chase'a.

- Znalazłem tę twoją dziurę - powiedział, wskazując na pancerz przy pasie. Chase uświadomił sobie, skąd się wzięła. Kiedy użył noża do odcięcia pasa z wyposażeniem, ostry czubek przebił poliwęglanowy pancerz. Na jego oczach z dziurki wydobył się maleńki pęcherzyk i uleciał do góry.

- Masz coś, czym można by to załatać? Castille pokręcił głową.

- Słuchaj, Edwardzie, coś się stało na powierzchni. Słyszałem... Brzęk.

- Co to, do cholery było? - spytał Chase.

Niespodziewany dźwięk brzmiał jak metal uderzający o kamień. Chase odwrócił się. Coś załśniło nieopodal. Jakiś przedmiot. Zbliżył się, żeby go obejrzeć. Klucz francuski.

Łup!

Następny hałas, znacznie głośniejszy i bardziej przenikliwy. Wszyscy troje odwrócili się i zobaczyli długi drąg stojący pionowo na kamiennym dachu. Drąg przechylił się powoli, a potem zsunął po pochyłej ścianie świątyni.

Castille popłynął za nim, zatrzymując się, gdy zdał sobie sprawę, co to takiego.

- Oseka - powiedział. - Co tu robi...

Chase zauważył inne przedmioty, deszcz metalu. Podniósł wzrok...

- Hugo! Uciekaj! Za późno.

Helikopter z pokładu „Evenora” spadł ogonem w dół jak oszczep prosto na Castille'a, przygważdżając go do dachu świątyni. Jedna z łopat śmigła wbiła się w skafander.

- Nie! - ryknął Chase. Spróbował podплыnąć do przyjaciela, lecz odepchnęła go potężna fala uderzeniowa, gdy reszta kadłuba runęła na kamienie.

Światło z reflektorków Castille'a zasnuł ciemny, powiększający się obłok.

Krew.

- Hugo! - Chase znów ruszył na pomoc przyjacielowi, machając mocno nogami.

Kari złapała go i pociągnęła w przeciwnym kierunku.

- Już po nim! - krzyknęła. - Musimy uciekać! Natychmiast! Chase odwrócił się do niej, kipiąc z gniewu.

- Nie mogę go zostawić! - powiedział z rozpaczą.

- Musisz! Patrz! - Wskazała do góry...

Spadały narzędzia, kłapy włazów, kawałki relingu, nawet część talerza radaru.

I coś znacznie większego, pękatego i żółtego, co leciało prosto na nich...

Kari odpaliła silniki na najwyższej prędkości i odплыnęła, ciągnąc za sobą Chase'a, kiedy minął ich „Piaskojad” i przebił dach świątyni. Za nim, szorując ze szczękiem po kamieniach, zsunął się łańcuch. Ramię żurawia na drugim końcu runęło na świątynię i o mało nie skosiło Kari i Chase'a.

Kari odplynęła kilkanaście metrów od świątyni i ruszyła do góry. Wokół nich wciąż spadały szczątki statku. Z dna wzbijały się tumany piasku podobne do eksplozji w zwolnionym tempie.

Chase podniósł wzrok.

- Skręć w prawo! Już!

Kari posłuchała go i odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Serce zamarło jej z przerażenia.

Wyglądało to jak konstelacja spadających gwiazd, jakby wieczorne niebo miało runąć jej na głowę.

„Evenor”!

Statek z wciąż zapalonymi światłami alarmowymi, z potwornymi zgrzytami i jękiem metalu, które niosły się echem przez ocean, był jak ważący trzy tysiące ton pocisk raketowy, który pruł prosto na nich!

Kari docisnęła kciukiem guzik w kostce sterującej, uciekając mu z drogi i ciągnąc za sobą Chase’a...

„Evenor” uderzył o dno.

Dziób spłaszczył się, woda w środku, przepchnięta nagle na tył kadłuba, rozsadziła spawy. Resztki powietrza uwięzione we wraku uciekły tysiącem nowych szczelin. Nity, świetliki, nawet drzwi wystrzeliły na boki jak szrapnele wybuchającego granatu.

Fala uderzeniowa porwała Kari i Chase’a, unosząc ich razem z kawałkami metalu, które obijały się o ich skafandry. Jeszcze jeden straszliwy zgrzyt pękającego metalu przetoczył się w głębinach, gdy „Evenor” powoli przechylił się na bok i spadł na świątynię, rozcinając ją jak ostrze gilotyny. Nawet niezwykła architektoniczna precyzja Atlantydów nie była w stanie oprzeć się niszczącej sile tysięcy ton stali.

Gwałtownie wepchnięta do głównej komnaty woda rozsadziła dach. Pozbawione oparcia ściany zawały się, miażdżąc wszystko.

Świątynia Posejdona, serce Atlantydy, zniknęła na zawsze.

Zrobiło się cicho. Chase ocknął się. Ze zdziwieniem stwierdził, że wciąż żyje.

Kari...

Fala musiała ich rozdzielić. Chase zaczął się rozglądać dookoła.

- Kari! Gdzie jesteś?

Nigdzie nie było widać jej światła.

- Tu jestem - odpowiedziała słabym, zniekształconym głosem. - Za tobą, jakieś pięć metrów niżej. Płynę do ciebie.

Chase spojrział w dół. Wciąż nic.

- Nie widzę cię!

- Reflektorki mi zgasły. Poczekaj. - Chwilę później mrok rozjaśniło pomarańczowe światło, w którym zamajaczył jej skafander. - Mój automat oddechowy szwankuje: coraz trudniej mi oddychać.

- Twoje śruby napędowe wciąż działają?

- Tak. Twój skafander bardzo przecieka?

- Chyba jest coraz gorzej.

- Dziura nie może być duża, bo inaczej już byś nie żył... ale na pewno będzie coraz gorzej. - Kari podplynęła do niego i poświeciła sobie, oglądając dziurę w jego skafandrze.

- Nie masz czegoś, czym można by to zatkać?

- Nie. Ale ty masz.

- Co?

- Przyciśnij do dziury kciuk.

- Ach, tak. - Chase zawstydził się, że sam na to nie wpadł. Spojrzał na świątynię. Kilka lamp „Evenora” wciąż się paliło we wraku. - Hugo...

- Ja bardziej martwię się o Ninę - powiedziała Kari. - Najprawdopodobniej była na pokładzie tego statku. Qobras nie zostawia świadków. - Mimo że była obok niego, jej głos wciąż brzmiał słabo.

Uruchomiła silniki i popłynęli w górę. Chase trzymał się jedną ręką jej pasa, zaś kciuk drugiej przyciskał do szczeliny w skafandrze. W hełmie miał malutki elektroniczny głębokościomierz, liczba na ekraniku malała.

Malala, ale zbyt wolno. Z dodatkowym obciążeniem śruby napędowe w skafandrze Kari pracowały dwa razy wolniej.

Chase zaczął się zastanawiać, ile czasu zajmie im wypłynięcie na powierzchnię. Co najmniej dwadzieścia minut. Prawdopodobnie raczej trzydzieści. A przy uszkodzonym automacie oddechowym w skafandrze Kari...

- Jak ci się oddycha? - zapytał.

- Coraz trudniej.

- Jak się czujesz?

- Kręci mi się trochę w głowie.

Pierwszy objaw niedotlenienia, pomyślał Chase. Nie ma szans, by Kari była przytomna na tyle długo, żeby zdążyli wypłynąć. Co oznaczało, że będzie musiał przejąć jej kostkę sterującą.

A to z kolei znaczyło, że będzie musiał zdjąć kciuk z dziury. Będzie potrzebował obu rąk, żeby się jej trzymać.

- Kari - powiedział, starając się mówić spokojnie - trzymaj kciuk na sterowniku tak długo, jak będziesz mogła, okej? Jeśli zaczniesz mieć problemy, wezmę to na siebie. Nie martw się. Dopłyniemy do powierzchni.

- Ale jeśli przejmiesz sterownik, nie będziesz mógł...

- Nie martw się o mnie. Wyjdziemy z tego. Okej?

- Okej... - odparła sennym głosem.

Przez kilka minut płynęli w milczeniu. Chase zerknął na głębokościomierz: sto dziewięćdziesiąt pięć metrów. Wciąż daleko.

- Eddie?

- Tak.

Mówiła takim głosem, jakby za chwilę miała zasnąć.

- Przykro mi z powodu Hugona. Lubiłam go.

- Mnie też jest przykro - odparł, usiłując stłumić narastający gniew. Zwykle nie jestem mściwy, bo to nieprofesjonalne... ale Qobras naprawdę pożałuje.

- Dobrze. Jesteśmy tak blisko, nie może nas powstrzymać...

- Tak blisko czego? - Żadnej odpowiedzi. - Kari?

Śruby przestały się obracać. Lewa dłoń Kari opadła bezwładnie.

- Jasny gwint - mruknął. Sto osiemdziesiąt metrów. Jeśli szczelina się powiększy, woda wleje się do skafandra mocnym strumieniem.

Ale nie miał wyboru.

Podpłynął bliżej, lewym, obolałym ramieniem objął Kari w pasie, a prawą dłonią złapał sterownik. Uruchomił napęd, nastawiając go na pełną moc. Silniczki zawyły, głębokościomierz odliczał powoli metr za metrem. Chase przebierał nogami, ile sił. Mimo dobrej kondycji gwałtownie tracił siły, wysokie ciśnienie i chłód oceanu pozbawiały go energii.

Sto pięćdziesiąt metrów. Wyżej wciąż nic, tylko ciemność.

Na głębokości stu dwudziestu metrów zauważył pierwsze promienie światła. Nieprzeniknioną czerń zastąpiła piękna granatowa poświata. W miarę jak się wznosili, pojawiało się coraz więcej ryb, które przepływały obok z zupełnym brakiem zainteresowania.

Spojrzał na Kari. Miała zamknięte oczy i wyglądała niemal błogo. Nie mógł nawet stwierdzić, czy jeszcze oddycha. Albo oddech był tak płytki, że Chase nie dostrzegął, jak rozszerzają się nozdrza... albo już nie żyła.

Sześćdziesiąt metrów. Chase zobaczył słońce, jaśniejszą plamę światła. Głębokościomierz odliczał powoli metr za metrem... Napęd wysiadł.

Chase nacisnął mocniej guzik w nadziei, że palec po prostu zdrętwiał z zimna i zsunął się z włącznika. Ale nie. Guzik był wciśnięty do oporu.

Skafandry były przeznaczone do użycia w połączeniu z batyskafem, który zwoził nurka na dół, a potem zabierał na powierzchnię. Nie zaprojektowano ich do samodzielnego wypłynięcia.

Akumulatory się wyczerpały.

A do powierzchni było jeszcze trzydzieści metrów.

Popatrzył na Kari, a potem potrząsnął nią w nadziei, że się ocknie i mu pomoże. Ważyła tyle co nic, lecz Chase czuł się, jakby wspinał się po drabinie, dźwigając krzepkiego komandosa, na dodatek z plecakiem.

Dwadzieścia siedem metrów. Dwadzieścia cztery. Dwadzieścia jeden.

Pokonywanie każdego metra zdawało się trwać wieczność. Chase niczego nie pragnął bardziej niż chwili wytchnienia, lecz wiedział, że Kari musi się znaleźć na powierzchni jak najszybciej.

Dwanaście. Dziewięć.

Promienie słońca połyskiwały kpiąco na falach w górze. Ale liczba metrów na głębokościomierzu wciąż malała. Trzy metry, dwa...

Czuł już kołysanie fal, skafandry objęły się o siebie. Metr.: Dyszał teraz ciężko, ręce i nogi zaczynały mu odmawiać posłuszeństwa...

Zero!

Wynurzył się na powierzchnię, mrużąc oczy przed czerwonym słońcem wiszącym nisko nad horyzontem. Z wysiłkiem podciągnął Kari do góry. Woda spłynęła z jej hełmu. W głębinach nie sposób było ocenić koloru jej skóry, teraz - nawet w ciepłym świetle słońca - była sinawa.

Skafandry miały mnóstwo klamerek i zamków, zwykle zdejmowało się je z pomocą dwóch osób, lecz to nie wchodziło teraz w rachubę. Chase zaczął się mocować z hermetycznym zapięciem na szyi, zgrabiałymi palcami podważając klamry. Potem chwycił oburącz hełm i przekręcił. Klamry puściły.

Głowa Kari zwisała bezwładnie.

- Kari! Hej! Ocknij się! - Poklepał ją po policzku, jednocześnie starając się utrzymać ją w pionie, żeby woda nie wlewała się do skafandra.

Wzięła gwałtowny haust powietrza, potem odkaszlnęła i odetchnęła głęboko. Zamrugnęła powiekami.

- Eddie? - wymamrotała niemal bezgłośnie.

- Hej, żyjesz! - powiedział Chase, uśmiechając się od ucha do ucha. - Udało nam się! Jak się czujesz?

- Niedobrze mi... i strasznie boli mnie głowa.

- Ale żyjesz, to najważniejsze. Teraz pomóż zdjąć mi ze łba to okropne wiadro. - Pociągnęła za klamry jego hełmu. - Szlag by to trafił.

- Co?

Popatrzył na nią z rezygnacją.

- To i tak niczego nie zmieni. Wciąż tkwimy sto pięćdziesiąt kilometrów od brzegu, a nasz statek leży na dnie. Raczej nie uda nam się przepłynąć takiego dystansu o własnych siłach.

Tym razem ona się uśmiechnęła.

- Myślę, że to nie będzie konieczne.

- Jak to?

- Właśnie widzę, jak kapitan Matthews wiosłuje w naszą stronę. Obejrzał się za siebie.

- A niech mnie. - Szalupa znajdowała się sto metrów dalej, lecz machający im z dziobu Matthews w białym mundurze był doskonale widoczny. - Więc Qobras ich nie zabił...

- To nie w jego stylu - powiedziała Kari z mieszaniną zdziwienia i ulgi. - Musiało się stać coś niezwykłego... musiał... O Boże. - Złapała Chase'a za ramię. - Nina! Musiał zabrać Ninę!

- Dlaczego miałby to robić? Przecież chciał ją zabić... Dlaczego akurat teraz miałby zmienić zdanie?

- Nina musi wiedzieć coś ważnego - uświadomiła sobie Kari. - Coś, co zobaczyliśmy w świątyni... Ma informację na tyle cenną, że mogła ją sprzedać za życie załogi...

- Za chwilę możemy o to zapytać samych zainteresowanych. A na razie pomóż mi się pozbyć tego hełmu.

- Właściwie, chyba będzie lepiej, jeśli zdejmujemy go dopiero w łódce.

Chase zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Bo coś mi się zdaje, że jedyne radio, które mamy, znajduje się w twoim skafandrze...

Pięć minut później Chase wreszcie wciągnął w płuca świeże powietrze.

Kari miała rację: załogę „Evenora” pozostawiono na morzu bez żadnego nadajnika. Kiedy jednak szalupa dołączyła do innych na skraju zaśmieconego kręgu, który pozostał po zatonięciu statku hydrograficznego, jeden z marynarzy z maszynowni zabrał się do pracy nad radionadajnikiem ze skafandra. Jego zasięg i tak nie byłby za wielki, lecz nie było się czym martwić. Zatoka Kadyksu była - według żeglarskich standardów - dość ruchliwym akwenem. Jak jednak zwrócił uwagę Matthews, na razie nie mogli z nadajnika skorzystać: wysyłanie sygnału SOS nie miałyby sensu, gdyby najbliższą jednostką, która by go odebrała, okazał się statek Qobrasa.

Mieli więc sporo czasu. Chase i Kari wypytywali załogę o to, co się wydarzyło na pokładzie „Evenora”.

- Więc Nina was ocaliła? - zapytała Kari. Matthews pokiwał głową.

- Wszyscy zawdzięczamy jej życie. Kari umilkła. Chase objął ją ramieniem.

- Nina wciąż żyje. Na pewno nie wyśpiewała Qobrasowi wszystkiego, co wie. Będzie z tym zwlekać tak długo, jak się da. Wciąż możemy ją odnaleźć.

- Jak? - spytała ponuro. - Nawet jeśli dowiemy się, do którego portu zawinie jego statek, Qobrasa już tam nie będzie. Odleci wcześniej helikopterem albo doplynie do brzegu motorówką na długo, zanim moglibyśmy go złapać.

- Wymyślimy coś. - Chase odchylił się do tyłu i spojrzał w górę. Na bezchmurnym niebie pojawiły się pierwsze wieczorne gwiazdy.

- Właściwie - powiedział Matthews - doktor Wilde poprosiła mnie o przekazanie wiadomości, chociaż nie mam pojęcia, co ona znaczy. Powiedziała, żebym powtórzył ją panu, gdybyśmy się spotkali.

Chase znów się wyprostował.

- Co powiedziała?

- Niewiele. Tylko że... wyśle panu pocztówkę.
- Pocztówkę? - Kari się zdziwiła. Nie rozumiała, dlaczego Chase zaczął się śmiać. - Co to znaczy?
- To znaczy, że wiem, gdzie jej szukać.

23

Tybet

Słońce nie wzeszło jeszcze nad szczyty Himalajów, lecz Nina widziała na wschodzie przedporanną zorzę, gdy helikopter leciał nad górami.

Siedziała w tylnej kabinie pod strażą, z uzbrojonym mężczyzną po prawej i po lewej. Naprzeciwko siedzieli Qobras, Starkman i Philby. Podczas całego lotu jej dawny mentor ani razu nie ośmielił się spojrzeć jej w oczy.

Nina wiedziała, że za nimi leciał drugi śmigłowiec z ludźmi i czymś ukrytym w dużej skrzyni.

- Mów dalej - zachęcił Qobras. - Opowiadałaś o wybuchu wulkanu...
- Tak. - Przypomniała sobie ostatnią inskrypcję ze świątyni, jakby znów na nią patrzyła. - Wyspa się osuwała, a wulkan na północnym brzegu był czynny... wiedzieli, że zbliża się katastrofa. Ale nie sądzę, żeby się spodziewali, że wszystko skończy się tak szybko.
- Nie dość szybko - powiedział Qobras. - Niektórym udało się uciec.

Nina pokręciła głową.

- Naprawdę ma pan obsesję na punkcie Atlantydwów, co? Biorąc pod uwagę, że ich imperium upadło jedenaście tysięcy lat temu, jest pan bardzo pamiętliwy.

- Ich imperium nie zostało nigdy do końca zniszczone, doktor Wilde - odparł Qobras. - Ono wciąż istnieje.

- Ach, tak. Przypuszczam, że chodzi panu o potężne i niewidzialne imperium zła.

Qobras zignorował złośliwą uwagę.

- Jeśli przez „niewidzialne” ma pani na myśli to, że nikt nie wie o jego istnieniu, to owszem, ma pani rację. Potomkowie Atlantydwów są wciąż wśród nas i starają się zapanować nad tymi, których uważają za istoty niższego gatunku. Różnica polega na tym, że ich władza nie opiera się wyłącznie na brutalnej sile, lecz także na bogactwie.

- Mam wrażenie, że zabrnęliśmy na terytorium zarezerwowane dla spiskowych teorii dziejów - prychnęła Nina. - Przypuszczam, że za chwilę powie mi pan, że Atlantydzi to w rzeczywistości Illuminati.

- Bynajmniej. Illuminati to my.

Nina spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co?

- Oczywiście nie w takim sensie, w jakim sobie pani pewnie wyobraża. Nasza organizacja pochodzi z czasów znacznie wcześniejszych niż sekty, które przejęły tę nazwę w XVI wieku i później. Słowo „Alluminati” pochodzi z łaciny, podczas gdy nasza nazwa wywodzi się ze starożytnej greki. Braterstwo *Selaforos*: niosących światło.

- Ze starożytnej greki? - powtórzyła Nina, zwracając się do Philby'ego w poszukiwaniu wsparcia przeciwko oczywistemu szaleństwu, lecz nadal unikał jej wzroku. - A więc podaje się pan za przywódcę jakiejś tajnej antyatlantydzkiej organizacji, która powstała dwa i pół tysiąca lat temu? Co za bzdura!

- Powstała znacznie wcześniej - odparł Qobras, zupełnie niezbity z tropu. - Na pewno pamięta pani *Kritiasa*... fragment, w którym wspomina się o wojnie między Ateńczykami a królami Atlantydy?

- Oczywiście: „Podanie przekazało wojnę między tymi, co mieszkali poza Słupami Heraklesa, a tymi wszystkimi, co po naszej stronie”, jak powiedział Kritias. Ale to było tylko jedno napomknięcie, jeśli nie liczyć kilku wierszy z *Timaios*.

Qobras pokręcił głową.

- Nie. Było o tym więcej.

- *Kritias* nie został nigdy dokończony.

- Większa część *Kritiasa* została wymazana z historii - odparł Qobras. - Przez Bractwo. Kompletny tekst zawierał relację z wojny między dwoma mocarstwami i opowieść o tym, jak Ateńczycy wraz z sojusznikami wyparli najeźdźców z basenu Morza Śródziemnego. Platon opisał tam również kontratak, jaki przeprowadzili Ateńczycy na samej Atlantydzie... kontratak, który zakończył się zatonięciem wojsk helleńskich razem z wyspą.

- Ale to się nie zgadza z tekstem *Timaios* - zaproponowała Nina. - „Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna - wtedy całe wasze wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnię morza i zniknęła”. Chodzi o dwa różne wydarzenia.

- Jedno i to samo wydarzenie według oryginalnego tekstu *Kritiasa*.

- Ale to... - Nina zamilkła, gdy dotarło do niej znaczenie słów Qobrasa. - Ma pan na myśli tekst oryginalny? To znaczy „spisany bezpośrednio ze słów samego Platona”?

- Mamy w tajnych sejfach więcej, niż może sobie pani wyobrazić. Włącznie z pełnym tekstem *Kritiasa*... i trzecim dialogiem Platona o Atlantydzie, *Hermokratesem*.

- Ale *Hermokrates* nigdy nie został napisany...

- Postaraliśmy się, aby świat tak myślał. Bractwo od tysięcy lat usiłuje nie dopuścić do odnalezienia Atlantydy. Dołożyliśmy wszelkich starań, by w ręce potomków Atlantydów nie wpadło nic, co mogłoby im pomóc do niej dotrzeć.

- Rozumiem, że do „wszelkich starań” zalicza się również morderstwo - wytknęła mu Nina.

- Nie jesteśmy z tego dumni, lecz czasami było to konieczne. A w innych przypadkach... usprawiedliwione.

- Ale dlaczego? - zapytała. - To przecież szaleństwo! Owszem, Atlantyda jest jedną z najświetniejszych starożytnych legend na świecie, ale koniec końców, to tylko stanowisko archeologiczne, martwe miasto!

- Miasto może być martwe, lecz to, co symbolizuje, jest żywe i ma się aż nazbyt dobrze, doktor Wilde. I jest równie groźne jak dziewięć i pół tysiąca lat przed naszą erą. Odkrycie Atlantydy mogłoby zjednoczyć potomków Atlantydów i doprowadzić do powstania nowego imperium zła.

- Atlantyda została już odkryta - zauważyła Nina. - Przeze mnie. I wszyscy z „Evenora” wiedzą, gdzie jest. Myśli pan, że uda się to zachować w tajemnicy?

- Samo miejsce zostało odkryte, lecz nikt nie wykorzysta wiedzy, którą Atlantydzi „zapisali” w świątyni. A Bractwo ma wpływy w wielu środowiskach. - Zerknął na Philby'ego. - Na pewno możemy zasiać zamęt w środowisku akademickim.

- Więc dlatego odrzuciłeś mój projekt, Jonathanie? - zapytała Nina. - Od samego początku siedziałeś u tego faceta w kieszeni?

- Usiłowałem cię chronić - odparł Philby. - Nie wiedziałem, czy uda ci się udowodnić twoją hipotezę, czy nie. Nie wiedziałem, że będą próbowali cię zabić już na Manhattanie. Musisz mi uwierzyć! Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić!

- Jakże ci jestem wdzięczna. Philby uciekł wzrokiem, zawstydzony.

- Jeśli chodzi o innych, którzy mogliby się zainteresować sprawą - podjął Qobras - mamy sposoby, by odwrócić ich uwagę. Lecz teraz może nie będzie to już konieczne. Jeśli

mówi pani prawdę o ostatniej osadzie pierwotnych Atlantydwów, to i ją możemy zniszczyć. Gdy zniknie to ostatnie ogniwo, ich potomkowie nigdy nie zdołają się zjednoczyć, by zacząć nowe podboje.

- Frostowie nie są agresorami - zaprotestowała Nina. - Są filantropami.

Qobras zaśmiał się zjadliwie.

- Filantropami? A to dobre! Wszystko, co Kristian Frost robi, służy jednemu nadrzędnemu celowi: żeby zaprowadzić hegemonię Atlantydwów pod jego przywództwem. Miliony dolarów, które wydał na pomoc humanitarną, są tylko środkiem do tego celu. Naprawdę sądzi pani, że w działaniach Fundacji Frosta chodzi o pomoc chorym?

- A niby o co?

- Kristian Frost od lat wykorzystuje misje medyczne fundacji jako przykrywkę. Tak naprawdę zbiera dane o rozprzestrzenianiu się atlantydzkiego genomu na całym świecie, szuka ludzi, którzy mają te same geny co on - powiedział Qobras. - Ludzi takich jak pani. Tak, wiemy, że Frostowie zbadali pani DNA. Wiemy też, że przez ostatnie dziesięć lat Frost poświęcił ogromną ilość pieniędzy i środków na znalezienie Atlantydy... znacznie więcej, niż przyznaje publicznie i jak podejrzewam, znacznie więcej, niż powiedział pani. Nie jest pani pierwszą osobą, której ekspedycję sfinansował.

- Czy moich poprzedników też próbował pan zabić? - Mina Qobrasa wystarczyła jej za odpowiedź. - O Boże.

- Jak powiedziałem, nie jesteśmy dumni z tego faktu, ale musieliśmy tak postąpić. Jednak mimo to, przez panią... Frostowie są bardzo bliscy zrealizowania swojego planu.

- A jaki to właściwie plan?

- Nie znamy szczegółów. Żadnemu z naszych agentów nie udało się spenetrować organizacji Frosta na tyle głęboko, by odkryć jego prawdziwy cel. Zebraliśmy jednak dość informacji, by wiedzieć, że plan polega nie tylko na odkryciu Atlantydy, lecz także na zdobyciu pewnych atlantydzkich przedmiotów. Ale Bractwo nigdy do tego nie dopuści. - Wskazał ręką za okno. - Zbliżamy się do Złotego Szczytu.

Nina zobaczyła pierwsze promienie porannego słońca, które wylaniało się zza Himalajów...

Na zachodzie wierzchołek środkowego z trzech górskich szczytów rozblęsnął olśniewającym pomarańczowym światłem, jakby stanął w ogniu. Nawet nagie skały widoczne spod śniegowej czapy zdawały się płonąć, gdy słońce odbijało się od cienkich żyłek złota w kamieniu.

- Mój Boże - wyszeptała.

- Złoty Szczyt - powiedział Qobras. - Według miejscowej legendy miał rzekomo skrywać wielki skarb. Badacze z Ahnenerbe wierzyli, że ma związek z Atlantydą. Podobnie jak pani rodzice.

Na wzmiankę o swojej rodzinie Nina spojrzała na niego ostro, lecz Qobras odwrócił się, żeby przekazać pilotowi instrukcje. Helikopter zniżył lot, skręcając w kierunku Złotego Szczytu. Wylądował na szerokiej zaśnieżonej półce skalnej.

- Księżycowy Szlak - oświadczył Qobras, gdy wysiadł z kabiny i śnieg zaskrzypiał mu pod stopami. - Nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś zobaczę to miejsce.

Nina owinęła się mocno płaszczem, gdy wyszła za nim z helikoptera. Strażnicy nie odstępowali jej na krok.

- Był pan tu już wcześniej?

- Owszem, ale myślałem, że nie ma tu niczego wartościowego. Zdaje się, że się pomyliłem. - Położył rękę na ramieniu Philby'ego. - Może obaj powinniśmy byli spędzić tu więcej czasu. Zaoszczędzilibyśmy sobie wielu kłopotów.

- Ty też tu byłeś? - zapytała Philby'ego, który wymamrotał potwierdzenie, jakby się czegoś obawiał.

- Był tu z pani rodzicami - wyjaśnił Qobras. Nina otworzyła usta, zszokowana.

- Nie, Giovanni, błagam - zaskomlał Philby. - Nie ma potrzeby...Qobras spojrział na niego surowo.

- Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, z których nie jestem dumny, ale mam odwagę się do nich przyznać. Tobie radzę to samo... Jack.

- Jonathanie? - Nina podeszła do niego, nie zwracając już uwagi na strażników. - O czym on mówi? Moi rodzice tu byli? Co o tym wiesz?

- Ja... Nino, przykro mi, ja... Złapała go za kurtkę.

- Co o tym wiesz, Jonathanie?

- Proszę tędy, pani doktor - powiedział Qobras, wskazując zbrocze powyżej.

Starkman odciągnął ją od Philby'ego. Pomimo mrozu, profesor się poccił.

Cała grupa ruszyła pod górę. Szczypiący w policzki deszcz drobinek lodu wskazywał na to, że przyleciał drugi helikopter. Qobras szedł pierwszy, uważnie przyglądając się skalnej ścianie. Wreszcie przystanął.

- To tutaj - powiedział.

Nina spojrzała we wskazane miejsce. Z początku nie widziała niczego z wyjątkiem śniegu i nagiej skały o prawie pionowych warstwach geologicznych. Lecz gdy przyjrzała się dokładniej, zauważyła ciemną plamę na szaroniebieskim kamieniu.

Szczelina w skale, otwór...

- Trochę trudno się będzie wcisnąć - zauważył Starkman. - Otwór miał niecałe trzydzieści centymetrów w najszerszym miejscu.

- Musiała spaść następna lawina. Każ ludziom przynieść narzędzia do kopania.

Starkman wydał polecenie. W ciągu kilku minut zjawili się dziesięciu mężczyzn, którzy przylecieli drugim śmigłowcem. Zabrali się do pracy, rozkopując oblodzony stos kamieni kilofami. Wkrótce powiększyli dziurę na tyle, że można było wejść do środka, lecz Qobras zarządził, żeby kopali dalej:

- Musi być dość miejsca, żeby zmieściła się bomba.

- Bomba? - stęknęła Nina. - Jaka bomba? Posłał jej zniecierpliwione spojrzenie.

- To nie jest ekspedycja archeologiczna, pani doktor. Przybyliśmy tutaj zniszczyć ostatni ślad prowadzący do Atlantydy. Cokolwiek znajduje się we wnętrzu tej góry, musimy się upewnić, że nikt inny nigdy tego nie zobaczy.

- Jesteście gorsi od talibów - warknęła. - Oni niszczyli bezcenne zabytki zaślepieni fanatyzmem religijnym. Wy niszcycie w imię jakiejś wydumanej teorii spiskowej!

- Z radością dodam, że tutaj spisek się skończy. Wraz ze zniszczeniem ostatniej kolonii wszelki ślad po starożytnych Atlantydach zaginie.

- I co potem? Przejdzie pan na emeryturę i zamieszka na Bahamach? Czy po prostu będzie pan nadal zabijał ludzi tylko dlatego, że nie podobają się panu ich geny?

Qobras nie odpowiedział, obserwował, jak powiększa się otwór w skale.

Wreszcie uznał, że jest wystarczająco duży.

- Przynieście bombę - polecił. - Wchodzimy do środka. Qobras wszedł do jaskini pierwszy, Starkman i Philby tuż za nim.

Nina weszła w towarzystwie dwóch strażników. Snopy mocnych latarek zatańczyły w ciemnej jaskini. Nina pomyślała, że naturalna grota została poszerzona i zmieniona w tunel prowadzący w głąb góry.

- Tutaj - powiedział Starkman.

Nina zdumiała się, gdy zobaczyła, co wskazywał. Trupy.

Pięć szkieletów wpatrywało się w nią. Pozycje, w których siedziały pod ścianą, sugerowały, że ludzie ci zmarli z głodu lub z zimna... ale wyglądało też na to, że ktoś przeszukał ich po śmierci.

- Czwarta ekspedycja Ahnenerbe - wyjaśnił Qobras. - Jürgen Krauss i jego ludzie. Badania zaprowadziły ich z Maroka do Brazylii i wreszcie do Tybetu.

- Czwarta ekspedycja? - spytała Nina. - Były tylko trzy.

- Tylko trzy zostały udokumentowane. Pani ojciec wszedł w posiadanie zapisków z czwartej ekspedycji. Dzięki nim dotarł najpierw do Tybetu w poszukiwaniu Złotego Szczytu... a potem tutaj.

- Tutaj? - zdziwiła się Nina, przeczuwając coś okropnego.

- Tędy. - Qobras skierował latarkę w głąb korytarza, kiwając głową na Starkmana, żeby poprowadził Ninę.

Philby się ościagał.

Nina ruszyła za Qobrasem. Jego latarka oświetliła pomieszczenie, które znajdowało się na końcu tunelu.

Był to grobowiec, atlantydzki grobowiec: monumentalna architektura i inskrypcje w alfabecie glozelskim nie pozostawiały wątpliwości. Odkrycie to stało się jednak nieistotne, gdy Nina zobaczyła następne trupy.

W przeciwieństwie do członków nazistowskiej ekspedycji ci ludzie nie umarli sami. Leżeli przy ścianach skuleni lub w pozach agonicznego cierpienia. Kamienne bloki za nimi były poznaczone dziurami po kulach i wyblakłymi brązowymi plamami, które mogły być tylko dawno wyschniętą krwią.

A wśród zabitych byli...

Nina zakryła dłońmi usta.

- Nie... - wyszeptała.

Qobras skinął na Starkmana, by ją zabrał. Opierała się.

- Nie! - Tym razem był to skowyt, krzyk przerażenia i rozpacz. Czas i zimno sprawiły, że skóra wyschła i zbrązowiała, tkanki miękkie się rozłożyły, pozostawiając czarne oczodoły. Ale Nina i tak rozpoznała te twarze. Widziała je w myślach codziennie przez dziesięć ostatnich lat. Jej rodzice.

Nie zginęli w lawinie śnieżnej. Zginęli tutaj, zastrzeleni. Zamordowani.

Starkman zaczął ją wypychać do przodu, bliżej trupów. Wyrwała się i wierzgała, lecz jednocześnie nie mogła oderwać wzroku od rodziców.

- To ty ich zabiłeś! - wrzasnęła na Qobrasa. - Ty sukinsynu! Zabiję cię!

Dwaj strażnicy ruszyli, jakby chcieli bronić szefa, lecz ten uniósł dłoń, dając znak, żeby tego nie robili. Stanęli więc z tyłu. Krzyk Niny przemienił się w rozpaczliwy szloch.

- Przykro mi - powiedział Qobras ściszym głosem. - Ale trzeba to było zrobić. Nie mogliśmy pozwolić, by Kristian Frost posiadał tajemnice Atlantydwów.

- Jakie tajemnice?! - wykrzyknęła z goryczą Nina. - Przecież tu nic nie ma! To tylko grobowiec! - Zmrużyła nienawistnie oczy. - Zamordowałeś moich rodziców bez powodu, ty skurwysynu.

- Nie... - Qobras powoli oświetlił komnatę. - Dziesięć lat temu myślałem, że niczego tu nie ma, że grobowiec został splądrowany. Ale jeśli ostatnia inskrypcja świątynna na Atlantydzie jest prawdziwa, to musi tu być coś więcej. - Zwrócił się do dwóch strażników. - Przeszukajcie każdy centymetr ścian. Szukajcie wszystkiego, co mogłoby wskazywać inne wejście: rysy, luźnego bloku, dziurki od klucza... czegokolwiek!

Gdy tamci zabrali się do poszukiwań, Qobras również zaczął przyglądać się ścianom z uwagą. Starkman nadal trzymał Ninę. Przestała szlochać. Jej twarz wyglądała jak maska. Jedynie oczy zdradzały gniew.

Po kilku minutach jeden ze strażników zawołał Qobrasa. Wszyscy podeszli do strażnika, który pokazywał palcem linię prawie zupełnie skrytą między kolumnami.

- Drzwi - powiedział Qobras, wodząc koniuszkiem palca wzdłuż wąskiej szpary. - Nie widać od tej strony żadnego otwarcia. Będziemy musieli je rozbić.

Jednego strażnika wysłano po sprzęt. Inni w tym czasie przywieźli na wózku z grubymi oponami dużą skrzynię, którą Nina widziała podczas załadunku do drugiego śmigłowca. Ciarki przeszły jej po plecach. Bomba musiała być ogromna.

Jednak ładunek, którego Qobras zamierzał użyć do wysadzenia drzwi, okazał się znacznie mniejszy. Wywiercono w kamieniu dziurę wielkości pięści. Qobras włożył do niej materiał wybuchowy - dysk o średnicy srebrnej jednodolarówki.

- Chce pan tak po prostu wysadzić to wszystko w powietrze? - zapytała Nina.

- Owszem.

- A co z nimi? - Wskazała na ciała. - Wybuch ma rozerwać na strzępy także ich? Nie dość, że ich pan zamordował, to teraz jeszcze zbezczeci pan ich zwłoki?

Starkman mruknął niecierpliwie, lecz Qobras się zamyślił.

- Jason, wyznacz kilku ludzi, żeby wynieśli ciała do komory przy wejściu - rzekł wreszcie.

- To tylko strata czasu, Giovanni - powiedział Starkman z ledwie skrywaną dezaprobatą.

- Powinniśmy zrobić jak najszybciej swoje, a ona tylko gra na zwłokę. Zresztą, co za różnica? Przecież tamci są już martwi.

- Doktor Wilde ma rację. Przenieś ciała.

Starkman skrzywił się, lecz wykonał rozkaz. Nina ledwo mogła oddychać, żal ścisnął jej gardło.

Kiedy ciała wyniesiono, Qobras zajął się ładunkiem. Przymocował do niego zegar i szybko się wycofał, rozkazawszy wszystkim wrócić do tunelu.

- CL-20 - wyjaśnił Ninie Starkman, choć o to nie prosiła. - Najsilniejszy chemiczny materiał wybuchowy, jaki wynaleziono. Kawałek wielkości herbatnika może wyrwać dziurę w płycie pancernej grubości piętnastu centymetrów.

- Czy to mi ma zaimponować? - odparła cierpko.

- Może i nie. Ale mogłabyś zechcieć zakryć sobie uszy.

Nina spostrzegła, że pozostali właśnie to zrobili, i pośpiesznie poszła za ich przykładem. Chwilę później rozległ się ogłuszający huk, a w powietrzu zawirował tuman pyłu.

Światło latarki Qobrasa przecięło pył jak wiązka lasera.

- Oczyszczyć przejście z gruzu, żeby można było wprowadzić wózek z bombą - rozkazał. - Jason, Jack, doktor Wilde... za mną.

Nina nie była zaskoczona, gdy dwaj pilnujący ją strażnicy również poszli.

W litej skale ziała dziura. Na posadzce grobowca leżały duże kawały ściany z rozbitych drzwi. Po drugiej stronie panował mrok.

Qobras poprowadził grupę tunelem w głąb góry.

Powietrze było chłodne i ku zaskoczeniu Niny, świeże - pozbawione tego trudnego do określenia zapachu stęchlizny, jaki kojarzył się jej z długo zamkniętymi pomieszczeniami. Prawdopodobnie gdzieś znajdowało się drugie wejście albo przynajmniej komin, przez który docierało powietrze.

Podobnie jak wejście do komnaty grobowca, również ten tunel wyglądał na poszerzoną przez człowieka naturalną jaskinię. Biorąc pod uwagę jego długość, Nina przypuszczała, że wykucie go przy użyciu prostych ręcznych narzędzi musiało pochłonąć wiele lat.

A pomieszczenie, do którego prowadził...

- Na coś się otwiera - oznajmił Qobras.

Gdy skierował latarkę na wprost, krąg światła z powodu odległości zmniejszył się do rozmiarów monety. Echo ich kroków przycichło, co sugerowało, że wyjdą na otwartą przestrzeń.

Ale to było niemożliwe. Znajdowali się we wnętrzu góry.

Co oznaczało, że przestrzeń przed nimi musiała być ogromna...

Wyszli na szeroki brukowany gościniec, który biegł dalej, niż sięgało światło latarek. Po obu stronach wznosiły się budynki, ich solidne pilastry lśniły złotem i *orichalcum*.

- Jezu, to jest ogromne - zauważył Starkman. Przyłożył ręce do ust na kształt tuby i krzyknął: „Halo!” Echo odpowiedziało mu cichym szeptem po paru sekundach.

- Potrzebujemy lepszego oświetlenia - powiedział Qobras.

Starkman kiwnął głową, zdjął plecak i wyciągnął pistolet sygnałowy. Szybko go naładował i wystrzelił. Flara rozbłysła jasnym czerwonym światłem, opadając powoli na małym spadochronie...

Wszyscy byli zdumieni tym, co zobaczyli.

- Mój Boże... - powiedziała Nina.

24

Natychmiast rozpoznała gmach pośrodku. Była to następna replika świątyni Posejdona... lecz tym razem nie tylko ona.

Wokół niej wznosiły się inne budynki - mniejsze, lecz nie mniej wspaniałe. Styl architektoniczny był znajomy: surowa elegancja, a jednocześnie pewna brutalność formy.

Stały tam pałace i świątynie, cytadela w stolicy Atlantydy, tak jak opisał ją Platon, odtworzona tysiące kilometrów od wyspy. Lecz w przeciwieństwie do kolonii w Brazylii te budynki oparły się niszczącemu działaniu czasu. Osłonięte przed żywiołami zachowały się w idealnym stanie.

Gdy oczy przyzwyczyły się do migotliwego blasku flary, Nina pomyślała, że czegoś jednak brakuje. Chociaż pieczara była ogromna, to nie pomieściła całej cytadeli. Nawet świątynia Posejdona była niedokończona, jej tył wtapiał się w ścianę jaskini. Ślady wskazywały, że Atlantydzii usiłovali wykuć część ściany, by zrobić miejsce dla reszty budowli, lecz ostatecznie - jak przypuszczała - po prostu wydrążyli w skale komnaty.

Flara zamigotała i zgasła, jaskinia pogrążyła się w ciemności. Jedyne źródłem światła były teraz latarki odkrywców.

- To... to niewiarygodne - powiedział Philby. - Giovanni, musimy to chociaż sfotografować. To znalezisko jest nawet ważniejsze od samej Atlantydy!

- Nie - odrzekł stanowczo Qobras. - Nic nie może przetrwać. Nic! Dziedzictwo Atlantydwów musi przestać istnieć. - Odwrócił się do Philby'ego plecami i powiedział do Starkmana: - Ta droga prowadzi do środka cytadeli. Wezwij pozostałych i każ im przywieźć bombę.

- Jak duża jest ta bomba? - spytał nerwowo Philby.

- Pół tony materiału wybuchowego i dwudziestopięciokilogramowy rdzeń z CL-20. Większy zasięg rażenia ma tylko bomba atomowa.

- Mój Boże - wymamrotał Philby.

- Właśnie takim ludziom się sprzedajesz - przypomniała mu zimno Nina. - Wandalom i mordercom.

- Nino, proszę - powiedział błagalnie. - Jest mi bardzo, bardzo przykro! Nigdy nie chciałem, żeby Henry'emu i Laurze stała się krzywda... Pojechałem z nimi na ekspedycję w nadziei, że niczego nie znajdą!

- Ale ich zdradziłeś. Wydałeś ich jemu. - Posłała Qobrasowi nienawistne spojrzenie. - Zginęli przez ciebie, Jonathanie. Zostali zamordowani z twojej winy! Ty sukinsynu!

Zanim strażnicy zdążyli zareagować, walnęła go pięścią w twarz. Ból kłykci był niczym w porównaniu z satysfakcją, jaką poczuła na widok Philby'ego, który runął na plecy, a z nosa skapnęła mu krew. Popatrzył na nią, zdumiony i oniemiały.

Strażnicy odciągnęli ją do tyłu, zaś rozbawiony Starkman pomógł Philby'emu wstać.

- Niezły cios. Brałaś lekcje od Eddie'ego?

Przez radio nadeszła wiadomość, że sprowadzenie bomby tunelem zajmie około piętnastu minut. Qobras spojrział na zegarek, a potem na Philby'ego i Ninę.

- Właśnie tyle masz czasu na zbadanie tego miejsca, Jack. Doktor Wilde, obiecałem, że dam pani szansę obejrzeć ostatnie miasto Atlantydy. Dotrzymuję słowa.

- Oczywiście później mnie pan zabije - zauważyła Nina z gorzkim uśmiechem.

- Jak powiedziałem, dotrzymuję słowa.

- Racja. Jestem prawie pewna, że dzięki temu nie ma pan koszmarów sennych.

Starkman wystrzelił następną flarę i ruszyli brukowaną drogą do cytadeli. Nina była podekscytowana, lecz jednocześnie boleśnie świadoma faktu, że każdy krok przybliży ją do śmierci.

W drżącym świetle flary zobaczyła, że przed świątynią Posejdona stoi inna budowla, znacznie mniejsza i ustawiona na wykutym w skale wzniesieniu o stromych zboczach. Otaczał ją mur wysoki na około czterech metrów i zrobiony...

- Złoto - powiedział Starkman ze zdumieniem. - Muszą go tu być całe tony. Ile kosztuje teraz uncja? Pięćset dolarów? Sześćset? Toż to setki milionów dolarów w samym kruszcu!

- Uważaj - ostrzegł go Qobras. - Tak samo myślał Juri. Jesteśmy tu, aby to wszystko zniszczyć, a nie się wzbogacić!

Podeszli do lśniącego muru, który otaczał budowlę i nie było w nim widać żadnej bramy.

- Świątynia Kleito, żony Posejdona - powiedziała Nina. - Platon napisał, że nie można się do niej dostać.

- Nie można się dostać, he? - mruknął Starkman, odkładając ekwipunek i zdejmując z ramienia wyrzutnię z hakiem. - Zaraz się przekonamy.

- Jason. - Jedno słowo Qobrasa i Starkman znieruchomiał.

- No, nie - zaczęła przekonywać Nina. - Nie jest pan ani trochę ciekawy, co jest w środku? To najwcześniejsze dzieje Atlantydy, replika miejsca, w którym założono stolicę... Niewykluczone, że znajdują się w niej oryginalne przedmioty uratowane ze świątyni na Atlantydzie. Nie chce się pan dowiedzieć, z czym walczyliście przez wieki? Nie chce pan poznać swojego wroga?

Zamyślony Qobras wpatrywał się w złotą ścianę. Potem skinął głową Starkmanowi, który wyjął hak z wyrzutni i rozwinął linę ze szpuli. Następnie cofnął się o parę kroków i przerzucił hak przez mur. Pociągnął za linę, aż stawiła opór.

- Dobra, zobaczymy, co tam jest - powiedział, szybko wspinając się po linie.

Jeden ze strażników Niny przerzucił następną linę i zaczął się wdrapywać, chociaż znacznie wolniej.

Starkman dotarł na górę i obrócił się na brzuchu.

- Doktor Wilde, pani następna. - Skinął do drugiego strażnika, żeby ją podsadził, aby mógł ją podciągnąć za ręce na szczyt.

- Zdajesz sobie sprawę, że mogłabym po prostu zepchnąć cię, żebyś złamał kark - syknęła, gdy znalazła się na górze.

- Zdajesz sobie sprawę, że mógłbym po prostu postrzelić cię w nogi i zostawić tutaj? - odgryzł się Starkman. Opuścił Ninę na drugą stronę.

Następny był Philby. Potem przyszła kolej na drugiego strażnika i Qobrasa. Ten ostatni okazał się zaskakująco zwinny i silny jak na mężczyznę w tym wieku, zauważyła Nina. Przypominał Kristiana Frosta, był jego mrocznym lustrzanym odbiciem.

Wykute w stromym zboczu schody prowadziły do drzwi świątyni. Qobras znów przejął prowadzenie, lecz tym razem Nina szła tuż za nim, ciekawa, co zobaczy w środku.

Wnętrze okazało się zaskakująco skromne. Tuż za drzwiami stały dwa złote posągi: Posejdon, już nie kolos, a naprzeciwko niego Kleito, jego żona. Za nimi...

- To mauzoleum - powiedziała Nina.

W głębi były dwa duże sarkofagi. Niemal toporna kamieniarska robota ostro kontrastowała ze starannością, z jaką wykonano blachy ze szlachetnych metali, którymi zostały obite ściany.

- Tak, ale czyje? - zapytał Starkman. Oświetlił latarką napis wyryty na boku jednego z grobowców. - Co tu jest napisane? Nina i Philby zaczęli tłumaczyć w tym samym momencie, zanim profesor wycofał się zawstydzony.

- Napis głosi, że to grób Mestora, ostatniego króla... zdaje się, że należałoby to przetłumaczyć jako „Nową Atlantyde” - powiedziała Nina. Litery różniły się stylem od znajomego alfabetu glozelskiego, lecz w tym przypadku nie był to wynik zmian, jakie zaszły w języku przez lata, lecz zwykłej niestaranności. Podeszła do drugiego sarkofagu. - A to jest królowa... Kalea, jak się zdaje. - Litery były wykute również po partacku.

- Ostami król? - zaczął się zastanawiać Philby. - A co się stało z jego następcami? Nawet jeśli nie miał potomków, na pewno był jakiś kandydat do tronu...

- Daj mi latarkę - powiedziała Nina do Starkmana i prawie wyrwała mu ją z ręki, pochylając się, żeby przeczytać resztę inskrypcji.

- Ależ proszę - odrzekł z sarkazmem, lecz Nina zignorowała go. Wymierali, pomyślała. Sądzi, że uda im się stworzyć tutaj nowe imperium, zapanować nad ziemiami wokół Himalajów i wykorzystać góry jako naturalną fortecę. Przeliczyli się.

- Co się stało? - spytał Qobras.

- A co się dzieje ze wszystkimi imperiami? - odparła. - Przenieśli swoje możliwości, rozleniwili się, popadli w dekadencję. I nie oszukujmy się, nie osiedlili się w krainie mlekiem i miodem płynącej. Przypuszczam, że po prostu wydawało im się, że podbite ludy będą im dostarczać wszystkiego, czego potrzebowali, jako daninę, ale stało się inaczej. - O mało nie parsknęła śmiechem, gdy czytała dalej. - A to miasto? Ostatni przyczółek wielkiego atlantydzkiego imperium? Mieszkańcy sami je porzucili. Mieszkali tu tylko z powodu pary królewskiej. Gdy król i królowa zmarli, poddani odeszli i zaplombowali wejścia. Właściwie wcale nie byłabym zaskoczona, gdyby sami pomogli królewskiej parze przenieść się na tamten świat.

- Dokąd się przeprowadzili? - spytał Starkman.

- Przypuszczam, że zgodnie z obawami twojego szefa przeniknęli do innych społeczeństw. Tylko że... - tym razem Ninę naprawdę ogarnął śmiech - nie podbili ich jako najeźdźcy. Ulegli asymilacji... jako imigranci, uchodźcy. W nowych wspólnotach znaleźli się na samym dole drabiny społecznej.

- To nie może być prawda - warknął Qobras.

- Taka byłaby poprawna interpretacja tego tekstu - poparł ją Philby. - Ludzie, którzy to napisali, mieli świadomość, że są skazani na zagładę, a jedynym sposobem przeżycia jest przyswojenie kultur innych narodów.

- To tyle, jeśli chodzi o waszą teorię spiskową, panie Qobras - powiedziała Nina z nieskrywaną pogardą. - Całe wasze Bractwo przez setki lat zajmowało się zwalczaniem spisku, który nigdy nie istniał;

- Nie tylko istniał, lecz istnieje nadal! - odparł z przekonaniem Qobras. - Atlantydzi nigdy nie zaakceptowałyby podporządkowania ludziom, których uznawali za gorszych od siebie. To jest w ich genach. Pięliby się znowu na szczyt... Trwałoby to wiele pokoleń, lecz ostatecznie przejęliby władzę.

- Macie jakiegokolwiek dowody? - wykrzyknęła Nina i skoczyła na równe nogi, wymachując przed nim latarką jak mieczem. - Kristian Frost szuka potomków Atlantydwów poprzez ich DNA i pragnie znaleźć samą Atlantyde, największą legendę w historii. To jeszcze nie znaczy, że próbuje przejąć władzę nad światem!

Qobras obrócił się do Niny, oślepiając ją swoją latarką.

- Nie wie pani, do czego jest zdolny Kristian Frost.

- Nie może być gorszy od pana! Zmrużył powieki.

- Nie ma pani pojęcia...

Przerwał mu sygnał z krótkofalówki Starkmana.

- Przywieźli bombę - oznajmił Amerykanin.

- Powiedz, żeby natychmiast przygotowali ją do detonacji - rozkazał Qobras. - Chodźmy. - Gdy wszyscy ruszyli do wyjścia, podniósł rękę, zatrzymując Ninę. - Pani nie.

- Co?

- Pani zostaje tutaj. Miejsce wydaje się odpowiednie.

Gdy uświadomiła sobie, co powiedział, poczuła, jakby zimna stalowa obręcz ścisnęła jej pierś.

- Zaraz, nie... zamierzacie mnie tak po prostu tutaj zostawić? Mam tu czekać, aż wybuchnie ta cholerna bomba?

Starkman sięgnął do kabury.

- Możemy po prostu cię zastrzelić, jeśli wolisz.

- Nie poczuje pani bólu - powiedział Qobras. - Natychmiast pani wyparuje.

- Dziękuję, od razu poczułam się lepiej! Nie możecie mnie tu zostawić!

- Zegnam, doktor Wilde. - Qobras rzucił jej pod nogi niezapaloną zimną świecę i wyszedł ze świątyni.

Pozostali ruszyli za nim. Philby zerknął do tyłu ze zbolaną miną, jakby pragnął coś powiedzieć, lecz ostatecznie odszedł w milczeniu.

Nina chciała pobiec za nimi, bić ich i kopać, nie pozwolić, żeby wspięli się na liny, zmusić, żeby zostali razem z nią w tej pułapce... ale nie mogła. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Oparła się plecami o królewski sarkofag i osunęła na zakurzoną kamienną posadzkę.

Qobras i jego ludzie wspięli się na mur i zeskoczyli po drugiej stronie, zostawiając ją samą w ciemności.

To wszystko? Tak miała umrzeć? Uwięziona w grobowcu ostatnich władców Atlantydy?

Wzięła długi, rozedrgany oddech, potem sięgnęła po omacku po zimną świecę, przełamując ją, by uwolnić chorobliwą zieloną poświatę. Nie wiedząc, co mogłaby zrobić, odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na tekst wyryty na sarkofagu.

Więc tak kończyła się historia Atlantydy. Nie w huku fal, które zmiotły cywilizację z powierzchni ziemi, lecz prozaicznie i przyziemnie: przez moralny upadek, który unicestwił wszystkie imperia w dziejach.

Na swój sposób, pomyślała, to nawet dobrze. Legenda pozostanie tym, czym była: cudowną opowieścią. Największą tajemnicą wszech czasów.

Lecz przez to wcale nie poczuła się lepiej.

Zza muru dobiegał hałas, gdy ludzie Qobrasa otworzyli skrzynię i zaczęli przygotowywać bombę. Zastanawiała się, ile czasu jej jeszcze zostało. Piętnaście minut? Dziesięć?

Podniesione głosy na zewnątrz. Ich ton gwałtownie się zmienił: zdziwienie i niepokój.

Z zimną świecą w dłoni Nina zbiegła szybko po schodach i stanęła przy murze, wsłuchując się w głosy po drugiej stronie. Qobras domagał się wyjaśnień, Starkman usiłował porozumieć się z kimś przez radio.

I nie otrzymywał odpowiedzi.

Potem Qobras krzyknął aż nazbyt wyraźnie. „Włączyć zegar!” Oddech uwiązał Ninie w płucach.

Odgłosy bieganiny. Tupanie szybko ucichło, gdy ludzie z Bractwa uciekli brukowaną drogą w stronę tunelu.

- O cholera... - Nagle znów obudziła się w niej chęć życia. Obiegła mur, szukając zamaskowanego wyjścia.

Niczego takiego nie znalazła. Otaczał ją pierścień litego metalu, odgradzający świątynię od świata.

Świątynia...

Może w środku było jakieś tajemne przejście podobne do tego w świątyni Posejdona! Wbiegła po schodkach z powrotem do mauzoleum, z nową nadzieją w sercu.

Prędko pozbyła się złudzeń. Ściany i posadzka wydawały się pozbawione jakichkolwiek ruchomych elementów. Jedyne miejsce, gdzie można by cokolwiek ukryć, były wnętrza sarkofagów... a szybko przekonała się, że nie ma dość siły, żeby przesunąć ciężką kamienną płytę.

Mijały minuty, a zegar na bombie wciąż odliczał czas do wybuchu.

Nagle drgnęła, słysząc niespodziewany hałas. Nie eksplozja, tylko... strzelanina!

Terkot broni maszynowej w oddali... ale coraz bliżej.

Co się działo? Zbiegła po schodkach i znów zaczęła nasłuchiwać pod murem. Następne wystrzały odbiły się echem w ogromnej grocie, a potem... eksplozja. Granat?

Nad głową Niny rozlało się czerwone światło. Flary. Wbiegła z pośpiechem na schody, żeby wyrzeć za mur.

Qobras i jego ludzie - choć w mniejszej liczbie niż poprzednio - biegli w jej stronę, strzelając desperacko do większego oddziału za ich plecami. Nowi przybysze pochowali się za budynkami, odpowiadając ogniem z karabinów maszynowych. Jeden z uciekinierów padł na ziemię.

Wkrótce do terkotu karabinów dołączyły inne odgłosy: dudniące salwy, a po paru sekundach huk wybuchów przed - nie za! - Qobrasem i jego ludźmi. Napastnicy mieli granatniki! We wszystkie strony poleciał gruz. Nina schyliła głowę.

Qobras usiłował dotrzeć do bomby, lecz napastnicy odcięli mu drogę.

Atakujący dysponowali znacznie większą siłą ognia niż żołnierze Bractwa. Coraz więcej broni włączało się do walki, dodając nowe nuty do symfonii zniszczenia. Huk i błyski granatów oślepiających oszołomiły broniących się ludzi Qobrasa. Znów zaterkotały karabiny, serie pocisków ryły dziury w kamieniu starożytnych pałaców i rozrywały ciała ukrytych za

załomami ludzi. Rozległy się kolejne eksplozje granatów, a zaraz po nich ogłuszający grzmot, gdy zawalił się jeden z budynków. Wrzaski rannych odbijały się echem od ścian jaskini.

W tym hałasie Nina usłyszała głos Starkmana:

- Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień!

Stopniowo huk karabinów ucichł.

Poddawali się!

Nina usłyszała, jak ci drudzy biegną w stronę świątyni.

- Hej! - zawołała i zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie. - Hej! Tutaj jestem! Słyszycie? Wydostańcie mnie stąd!

Więcej głosów... a potem donośny łomot, gdy hak zaczepił o mur i gruba blacha zadudniła, kiedy ktoś zaczął się wspinać po linie.

Nisko nad ogrodzeniem zaświeciła latarka, a za nią pojawiła się znajoma twarz. Łysawa głowa, mała szpara między przednimi zębami... ale w tej chwili stanowiła najpiękniejszy widok, jaki Nina zobaczyła w życiu.

- Jak tam, doktoro? - powiedział Chase, uśmiechając się do niej z góry z nieskrywaną radością. - Tęskniłaś za mną?

25

Nic ci nie jest? - zapytał Chase, kiedy pomógł Ninie zejść ze złotego muru.

- Nie. Dzięki. I cieszę się, że też jesteś cały i zdrowy. Myślałam, że nie żyjesz!

- Tonący statek to za mało, żeby mnie zabić - odparł triumfalnie, lecz szybko zmarmotniał.

- Co się stało? - spytała Nina, obawiając się najgorszego. Mięśnie szczęki zadrgały mu pod skórą, zanim odpowiedział.

- Hugo zginął.

- Och... - Wzięła go za rękę. - O Boże, tak mi przykro...

- Tak. - Milczał przez chwilę, a potem potrząsnął głową. - Ale Kari nic się nie stało. Właśnie tutaj idzie.

- Kari tu jest? - ucieszyła się Nina.

- Tak, powiedziałem, żeby poczekała, aż ucichną strzały.

Nina rozejrzała się po grocie oświetlonej latarkami i zimnymi świecami. Ośmiu ludzi Bractwa pozostałych przy życiu - włącznie z samym Qobrasem, Starkmanem i Philbym - klęczało z rękami założonymi za głowy. Otaczał ich tuzin mężczyzn w czarnych mundurach i kamizelkach kuloodpornych. Co najmniej dziesięciu innych kręciło się w pobliżu, patrolując teren. Nie poznawała żadnego z nich.

- Co to za faceci?

- Ochroniarze Frosta, ludzie Schenka z Ravnsfjord. Głównie byli wojskowi... nie SAS-u, ale wystarczająco dobrzy. To wszyscy, których byłem w stanie zebrać w pośpiechu. Nie wiedziałem, ile mamy czasu, więc uznałem, że im szybciej, tym lepiej.

- I bardzo dobrze. - Wskazała na bombę, złowroźny zielony cylinder o rozmiarach i kształcie termy. - Zdążyli już nastawić zegar.

- Wiem. Zatrzymaliśmy go, gdy do wybuchu zostało jakieś pięć minut.

- Pięć minut? - Na myśl o tym, jak niewiele dzieliło ją od śmierci, przeszły ją ciarki. - Mam nadzieję, że wyłączyliście tę cholerną bombę.

- Tylko zapauzowaliśmy zegar. Ale nie martw się - dodał, widząc jej zaniepokojoną minę - nikt nie będzie się nią bawił i nie wysadzi nas wszystkich w powietrze.

- Jak mnie znaleźliście?

Chase wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dostałem twoją pocztówkę, że tak powiem. Całe szczęście, że zapamiętałem nazwę tej wioski. W przeciwnym razie mielibyśmy przerąbane. Tybet to jednak spory kraj.

- Znaleźliście mnie tak prędko tylko na tej podstawie? - Nina myślała, że podpowiedz, jaką przekazała Matthewsowi, jest zbyt zagadkowa, lecz gdyby spróbowała powiedzieć coś bardziej konkretnego, prawdopodobnie kapitan natychmiast zostałby zabity, a niewykluczone, że ją spotkałoby to samo. - Nie miałam okazji opowiedzieć komuś o treści ostatniej inskrypcji z Atlantydy: o tym, jak Atlantydzi popłynęli w górę Gangesu i dotarli do Himalajów, o tym, jak znaleźć Złoty Szczyt ani o całej reszcie.

- Nie musiałaś. Wystarczyło, że staruszek Kari wykorzystał swoje wpływy w chińskim rządzie, żeby wpuścili nas do kraju, i przylecieliśmy helikopterami prosto do Xulaodang. Okazało się, że mieszkańcy wciąż pamiętają ostatnią zachodnią ekspedycję, która przybyła szukać ich legendarnej góry. Kari wypytała ich o drogę i przylecieliśmy od razu na miejsce. Wiedzieliśmy, że dobrze trafiliśmy, gdy tylko zobaczyliśmy śmigłowce Qobrasa. Które, nawiasem mówiąc, są teraz milionem sfajczonych kawałeczków. - Chase łypnął na jeńców i zmarszczył brwi. - Szkoda, że sukinsyna nie było w jednym z nich.

- Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Nie mam pojęcia. Chyba zostawię decyzję Frostowi...

- Nino!

Nina odwróciła się i ujrzała Kari, która pędziła w jej kierunku, ubrana na biało i z blond włosami spływającymi na futrzany kołnierz. Minęła jeńców, podbiegła do Niny i wzięła ją w ramiona.

- O mój Boże, ty żyjesz, jesteś zdrowa!

- Tak, nic mi nie jest! - odparła Nina. - I cieszę się, że tobie też nic się nie stało! Kiedy Qobras zatopił „Evenora”, myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

- I mało brakowało. - Kari przytuliła ją mocno i wreszcie wypuściła z objęć. - Nie przeżyłabym, gdyby nie Eddie.

- Już nie „pan Chase”? - spytała Nina z leciutką drwiną. Kari uśmiechnęła się, niemal wstydliwie.

- Myślę, że relacje między pracodawcą a pracownikiem zmieniają się trochę po tym, jak ten ostatni uratuje ci z sześć razy życie.

- No tak, możecie podziękować mi trójkąciem później. - Uśmiechnął się szeroko Chase. Kari przewróciła oczami.

- Widzę, że pewne rzeczy się nie zmieniły - zauważyła rezolutnie Nina. - Ale czy możesz w to uwierzyć, Kari? Możesz uwierzyć, co odkryliśmy?

- Co ty odkryłaś - poprawiła ją Kari. Zwróciła się po norwesku do jednego z komandosów, a ten wystrzelił flarę, oświetlając budynki niezwykłym czerwonym blaskiem. - Rekonstrukcja atlantydzkiej cytadeli, prawie nienaruszona...

Chase zerknął na ruiny jednej z pobliskich budowli.

- Ee. Przepraszam za ten bałagan. Nina poklepała go po ramieniu.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, wybaczam ci.

- I następna replika świątyni Posejdona - powiedziała Kari. - Nieprawdopodobne.

- Nie tak nieprawdopodobne, jak to, co znajduje się tam - powiedziała Nina, wskazując mniejszą świątynię otoczoną złotym murem.

- Czy to świątynia Kleito? - spytała Kari. Nina pokiwała głową.

- Tylko że przerobiona na mauzoleum. A zgadnij, kogo tam pochowano? Ostatnią parę królewską Atlantydy!

Kari aż zaniemówiła z zachwyty.

- Jesteś pewna? - wydusiła wreszcie. - Leżą tam ich ciała?

- No cóż, nie zaglądałam do środka, ale tak jest napisane na sarkofagach.

- Proszę mi pokazać - odezwał się nowy głos, głęboki i władczy. Nina odwróciła głowę i zobaczyła Kristiana Frosta, ubranego w biały zimowy strój, który szedł w jej stronę. Zerknął na Qobrasa i pozostałych jeńców i przemaszerował obok nich, eskortowany przez muskularnego mężczyznę, w którym rozpoznała Josefa Schenka, oraz wysokiego młodego faceta z kwadratową szczęką i ostrzyżonymi najeża blond włosami.

- Ojciec - powiedziała Kari tonem pełnym szacunku.

Nina uniosła brew. Najwyraźniej tutaj Kristian Frost rządził w stu procentach.

Frost wskazał na świątynię Kleito.

- Czy to tam?

- Owszem - odparła Nina - ale nie ma wejścia, będzie pan musiał się wdrapać.

Frost pstryknął palcami. Jasnowłosa mężczyzna położył na ziemi swój plecak, szybko otworzył suwak i wyciągnął elektryczną piłę tarczową. Podszedł do złotej ściany, przesunął po niej palcami, jakby szukał jakichś wad, po czym założył okulary ochronne i włączył piłę. Gdy ostrze wniknęło w złoto, rozległ się rozdzierający pisk.

- Cóż, to też jest metoda - zauważyła Nina, zszokowana - ale co z ochroną zabytków? Powinniśmy zachować cały kompleks w jak najlepszym stanie.

- Na razie interesuje mnie przede wszystkim zdobycie tego, po co przybyłem - odparł Frost. - Jak długo zajmie wycinanie wejścia?

- Tylko parę minut - odpowiedział blondyn.

- A więc w sam raz tyle, ile mi potrzeba do załatwienia drugiej sprawy. - Frost ściągnął rękawiczki, uderzając nimi lekko o dłoń, kiedy się odwracał. - Giovanni. Wreszcie się spotykamy.

- Wybacz, że nie uścisknę ci ręki - sarknął Qobras.

Frost ruszył w jego stronę. Krąg strażników rozstał się, by go przepuścić do kłęczących jeńców.

- I co my z tobą zrobimy? Byłoby o wiele prościej, gdybyś poległ w walce, ale teraz...

- Rób, co chcesz. Ale niech ci się nie śni, że pokonasz Bractwo. Moi towarzysze zawsze będą gotowi stanąć przeciw tobie do walki.

Frost zaniósł się śmiechem.

- Nie, nie będą. Nie, kiedy zabiorę to, co kryje się w świątyni. - Spoglądał przez chwilę na mauzoleum. - Wiesz, kusi mnie nawet, żeby puścić cię wolno. Żebyś mógł w pełni uzmysłwić sobie, jaką klęską skończyły się wszystkie starania twoje i twojej organizacji. Wszystko, w imię czego walczyłeś i zabijałeś... wszystko na marne.

Wargi Qobrasa wykrzywił pogardliwy uśmiech.

- Myślisz, że zabijając mnie, pokonasz Bractwo?

- Naprawdę nie masz pojęcia, co się stanie, co? - powiedział Frost, znów się śmiejąc. - Zdaje się, że przejmowałem się twoimi szpiegami bardziej, niż to było konieczne.

- Po prostu zrób ze mną, co chcesz - warknął Qobras.

- Ja nie zrobię niczego - odrzekł Frost. - Myślę, że ten przywilej należy się pani doktor Wilde.

- Słucham? - zapytała Nina.

Frost podszedł do niej i zniżył głos do jedwabistego pomruku.

- Doktor Wilde... Nino. Ten człowiek zamordował twoich rodziców. Musi zapłacić za to, co zrobił. Trzeba mu wymierzyć sprawiedliwość.

- Jedynym przestępcą tutaj jesteś ty, Frost! - wykrzyknął Qobras, a jeden ze strażników kopnął go w klatkę piersiową, pozbawiając tchu.

- No, tego, owszem, ale... - Nina spojrzała na Qobrasa. - Czy nie powinno się go postawić przed sądem za wszystko, co zrobił?

- Czym sądem? Ten człowiek jest ponad prawem. Od dziesięcioleci bezkarnie morduje ludzi na całym świecie. - Frost rozpiął suwak i sięgnął pod kurtkę. - Jedyłą sprawiedliwością, na jaką zasługuje, jest ta, którą, jego zdaniem, wymierzał. - Wyciągnął pistolet i wcisnął go Ninie do ręki. - Za wszystkie zbrodnie, które popełnił, za wszystkie krzywdy, które wyrządził tobie osobiście... wiesz, co musisz zrobić.

Nina popatrzyła na pistolet ze sporym niedowierzaniem, a potem podniosła wzrok na Frosta. Jego mina świadczyła, że mówi śmiertelnie poważnie.

- Chwila, moment - odezwał się Chase, zaniepokojony. - Też życzę sukinsynowi śmierci, ale doraźna egzekucja? To nie sprawiedliwość, to morderstwo. A nie może pan prosić Niny, żeby została morderczynią!

- Proszę się nie wtrącać, panie Chase - odrzekł Frost niemal lekceważąco. - Decyzja należy do doktor Wilde.

- Kari! - Chase spojrzał na nią, szukając wsparcia.

Kari zdawała się rozdartą, gdy niepewnie zerknęła to na Frosta, to na Ninę i Chase'a...

- Hm... ojciec wie najlepiej - powiedziała w końcu, choć zabrzmiało to tak, jakby sama nie była przekonana.

Frost położył ręce na barkach Niny i zniżył głos niemalże do szeptu.

- To zależy od ciebie, Nino. Wiesz, co zrobił, i wiesz, że musi za to zapłacić. - Zamknął jej dłoń, zaciskając jej palce na kolbie. - Zabił twoich rodziców, Nino. Zamordował ich, tutaj, wewnątrz tej góry. Powinnaś zabrać mu to, co on zabrał tobie. Zrób to.

W oczach stanęły jej łzy. Z zaciśniętymi wargami i drżącym podbródkiem popatrzyła na klęczącego Qobrasa.

- Far... - zaczęła Kari, lecz ojciec uciszył ją jednym spojrzeniem. Puścił Ninę i cofnął się, schodząc jej z drogi.

Nina zrobiła krok w przód. Pistolet w jej dłoni był ciężki i zimny. Qobras obserwował ją z miną, która nie wyrażała strachu ani gniewu, lecz lodowatą pogardę.

Palący ból w jej piersi przybrał kształt. Nienawiści.

- Nino! - zawołał Chase, lecz ledwo go usłyszała.

Uniosła pistolet i wycelowała Qobrasowi najpierw w pierś, a potem, po namyśle, w głowę.

Qobras patrzył na nią w milczeniu. Człowiek, który usiłował zabić ją i jej przyjaciół. Który zabił Castille'a i załogę „Nereidy”.

Który zabił jej rodziców...

Łzy zamgliły jej wzrok. Zamrugnęła, czując, jak stygną, gdy spływają po policzkach. Twarz Qobrasa znów nabrała ostrych konturów. Wciąż przyglądał się jej chłodno.

Jej palec zacisnął się na spuście. Kurek pistolem przesunął się powoli do tyłu, wystarczyło jeszcze tylko trochę zwiększyć siłę nacisku...

Łzy znowu napłynęły jej do oczu i opuściła pistolet.

- Nie wiem, co pan o mnie myśli - wyszeptała - ale się pan myli. Moje geny nie przesądzą o tym, kim jestem i co robię. Chcę, żeby pan o tym wiedział. - Ostrożnie popuściła cyngiel, kurek powrócił na pierwotną pozycję. Nina podeszła do Frosta. - Nie mogę go zabić. Nie zrobię tego.

Ku jej zaskoczeniu, Frost odpowiedział lekkim tonem.

- Ależ oczywiście, że nie! - wykrzyknął, biorąc pistolet z powrotem. - Nie miałem co do tego wątpliwości. Ale gdybyś mnie jednak zaskoczyła... pistolet nie jest nawet naładowany.

- Co... - zdumiała się Nina. - Sprawdzał mnie pan?

- Przepraszam. Ale chciałem się upewnić, jaką osobą jesteś naprawdę.

Kari podbiegła do Niny i stanęła między nią a ojcem, prawie jakby usiłowała ją chronić.

- Nie miałeś prawa jej tego robić! Jak mogłeś wątpić w mój osąd?

- Przepraszam - powtórzył.

- Jak powiedziałem, chciałem się upewnić.

Zgrzyt piły nagle ucichł. Chwilę później rozległ się ciężki łoskot, gdy odcięty fragment muru runął na ziemię.

- Pilnujcie jeńców - rozkazał swoim ludziom Frost, zanim podszedł do muru i zajrzał przez dziurę. Wziął od blondyna latarkę, precyzyjnie się przez wąski otwór i obejrzał na Kari i Ninę. - Chodźcie.

Kobiety popatrzyły po sobie i wślizgnęły się za nim. Chase podążył za nimi bez pytania, co, jak zauważyła Nina, zirytowało Frosta. Na końcu wszedł Schenk, a młody blondyn zasłonił otwór własnym ciałem, jakby stał na warcie.

Frost pośpiesznym krokiem wszedł po schodach do świątyni. Kiedy Nina go dogoniła, badał już wieko królewskiego sarkofagu w poszukiwaniu szpar.

- Pomóżcie mi - polecił.

Schenk przepchnął się obok niej, niosąc łom. Po chwili dołączył do nich Chase.

Wyteżyli się, a Schenk oparł się o łom całym ciężarem ciała. Wieko drgnęło.

- No, zsuń się, do cholery! - stęknął Chase. - Raz, dwa, trzy! Wszyscy znów zaparli się z całych sił... i tym razem wieko uniosło się na tyle, że udało im się je przesunąć. Jeszcze jedno pchnięcie i ukazało się wnętrze sarkofagu, trzecie - i kamienna płyta spadła na posadzkę, i pękła na pół. Nina skrzywiła się, widząc te zniszczenia. Frost wziął latarkę i pochylił się nad grobowcem.

- Mój Boże, tylko spójrzcie!

Nina i Kari zbliżyły się do niego. Ninę przebiegł dreszcz, gdy zobaczyła maskę śmierci jak z koszmarnego snu. Ciało w sarkofagu po tysiącach lat zamknięcia w kamiennym grobie było szerniałe i pomarszczone, resztki dawno zgniłych warg wyginały się w złośliwym grymasie, odsłaniając sterczące zęby.

- Siemasz, stary - szepnął Chase, uśmiechając się szeroko. Nina trąciła go łokciem.

Frost przyjrzał się trupowi dokładniej.

- Ostatni król Atlantydów... wciąż nietknięty. - Wyjął z kurtki niedużą saszetkę, wyciągnął z niej podobny do igły próbnik i wbił go ostrożnie w pomarszczoną skórę. - Otwórzcie drugi grób, szybko - powiedział do Schenka i Chase'a.

- Po co ten pośpiech? - zapytał Chase. - Trup nie zajac.

- Wykonać rozkaz - warknął Frost. Przełożył próbnik do drugiej ręki, wziął z saszetki skalpel i pochylił się nad twarzą władcy jak chirurg gotowy do operacji.

- Co pan robi? - spytała Nina zaniepokojona. - To nie jest standardowa praktyka.

- Muszę pobrać próbkę DNA - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Cichy szelest skalpela rozcinającego zmumifikowane ciało został zagłuszony przez zgrzyt kamienia o kamień, gdy Chase i Schenk przesunęli płytę drugiego sarkofagu.

- Ale naprawdę powinniśmy... - Nina znów się skrzywiła, gdy drugie wieko wylądowało na posadzce. Podeszła, żeby zajrzeć do środka, podczas gdy Frost wciąż był zajęty pierwszym ciałem, ostrożnie wsadzając kawałek zeschniętej królewskiej wargi do plastikowego pojemniczka.

Królowa Kalea była w bardzo podobnym stanie jak jej małżonek, tylko zabrudzone resztki szat na pierwszy rzut oka świadczyły, że to ciało kobiety.

- Toż to Camilla Parker-Bowles! - wykrzyknął Chase jowialnie, gdy zajrzał do sarkofagu.

- Zamkniesz się wreszcie? - zażądała Nina.

- Kari - powiedział Frost - myślę, że byłoby bezpieczniej, gdybyś zabrała Ninę do helikoptera.

Kari wyglądała na zdziwioną.

- Bezpieczniej? Na pewno podwładni Josefa poradzą sobie z Qobrasem i jego ludźmi.

- Chcę mieć pewność. Idźcie, Kari.

- Ale wciąż jest tyle do zrobienia. Nawet nie zajrzeliśmy jeszcze do innych świątyń - zaprotestowała Nina.

- Kiedy zabezpieczymy teren, będzie można tu wrócić w każdej chwili. To była misja ratownicza, a nie ekspedycja archeologiczna... nie mamy odpowiedniego sprzętu.

- Oczywiście z wyjątkiem pańskiego zestawu chirurgicznego... Frost utkwiał w niej surowe spojrzenie.

- Nie zamierzam się o to kłócić. Kari, powiedziałaś mi, że jej bezpieczeństwo liczy się dla ciebie najbardziej. Możesz tego dopilnować i zaprowadzić ją do helikoptera. Idźcie.

Wydawało się, że Kari zaprotestuje, lecz ostatecznie uległa.

- Tak, *Far* - powiedziała. - Chodź, Nino.

- A co z Qobrasem? - zapytała Nina podejrzliwie.

- Oddamy go i jego ludzi władzom Chin - odrzekł Frost, zamykając z trzaskiem pojemnik i podchodząc do drugiego grobowca. - Popęłił morderstwo na ich terytorium, zajmą się nim.

- Po tak długim czasie może być trudno coś mu udowodnić - zauważył Chase. - A myślałem, że powiedział pan, że Qobras stoi ponad prawem?

- Mam pewne wpływy w Chinach. - Frost podniósł wzrok na Kari i Ninę. - Proszę, idźcie do helikoptera. Ja zajmę się tu wszystkim.

- Dobrze... - powiedziała Kari z lekkim wahaniem i wzięła Ninę za rękę.

Ze znacznie większym wahaniem Nina dała się wyprowadzić ze świątyni. Chase pomachał do niej, a ona do niego.

- Ojciec ma rację - powiedziała Kari. - Będzie lepiej, jeśli teren zostanie najpierw zabezpieczony.

Powiedziała dwóm ludziom z ochrony, żeby odprowadzili je obie do śmigłowca, i we czwórkę wyszli z jaskini.

- Mam - powiedział Frost, zamykając drugi plastikowy pojemnik. Ostrożnie włożył go obok pierwszego do saszetki, a tę schował pod kurtkę. - To tyle. Wszystko, czego tu chciałem.

- Myślałem, że przylecieliśmy uratować Ninę? - zauważył Chase z naciskiem.

Frost puścił jego uwagę mimo uszu i wyszedł ze świątyni. Schenk ruszył za nim. Chase pobiegł truchtem za nimi.

Przecisnął się przez dziurę w złotym murze i ogarnął wzrokiem scenę. Nina i Kari zniknęły, lecz Qobras i jego towarzysze wciąż klęczeli na ziemi otoczeni przez straż. Frost i Schenk rozmawiali po cichu.

Chase uznał, że jeszcze raz sprawdzi bombę. Na razie tylko zatrzymali licznik na pięć minut przed detonacją.

- Czy nie powinniśmy tego rozbroić? - zawołał do Frosta.

- Na razie może tak zostać, panie Chase - odparł Norweg. Chase wzruszył ramionami, a potem podszedł do jeńców. Stał przed klęczącym Starkmanem, który wciąż trzymał ręce za głową.

- No, Jason. Skoro mamy wreszcie szansę pogadać jak należy, zechcesz mi łaskawie wyjaśnić, dlaczego zdradziłeś swoich kumpli i doszlusowałeś do tego patafiana? - Pokazał Qobrasa kciukiem.

- Ponieważ on jest tym dobrym, Eddie - odparł Starkman. Jego oko lśniło w świetle latarki.

- Morduje niewinnych ludzi, podkłada bomby, zatapia statki... fakt, rzeczywiście zachowuje się jak dobry Samarytanin.

- To dla większego dobra, wierz mi. Znasz mnie...

- Kiedyś cię znałem - przerwał mu Chase. - Wydawało mi się, że cię znam. Ale teraz? Nie mam zielonego pojęcia, co ci chodzi po głowie.

- Nadal powinieneś wiedzieć, że nie przyjąłbym roboty, gdybym nie wierzył w jej sens. To się nie zmieniło przez wszystkie lata, kiedy się znaliśmy. I nie zmieniło się do tej pory.

- No więc wierzysz w to, co robisz - zmuszony był przyznać Chase. - Ale to jeszcze nie znaczy, że masz rację.

- Są rzeczy, z których nie mogę być dumny, jasne. Ale mogło być gorzej. Właśnie wtedy, gdybym zaangażował się po stronie twojego kumpla Frosta i pomógł mu w zdobyciu tego, na czym mu zależy.

- Już to mam, panie Starkman - wtrącił Frost.

- Ale dlaczego ci na tym tak zależy? - zapytał prowokacyjnie Qobras. - Znalazłeś ostami przyczółek imperium Atlantydwów... i próbkę atlantydzkiego DNA. Ale po co?

Frost spojrział na niego z góry, ironiczny uśmiech zaigrał mu na wargach.

- Aż mnie korci, żeby dać ci umrzeć w błogiej nieświadomości. Ale... - Uśmiech zniknął. - Zmienimy świat na taki, jaki powinien być. Z Atlantydami pełnej krwi jako elitą rządzącą... i bez tej całej nic niewartej ludzkiej hołoty, którą wytępimy jak zarazę.

Niedowierzanie na twarzy Qobrasa zmieniło się powoli w przerażenie.

- Mój Boże... jesteś jeszcze bardziej szalony, niż myślałem. Próbka czystego DNA wcale nie była ci potrzebna do znalezienia reszty wam podobnych... potrzebowałeś jej, żebyście mogli się uodpornić! To twoje laboratorium... wykorzystujesz je do stworzenia broni biologicznej!

- Zaraz, co? - powiedział Chase, spoglądając z niepokojem to na jednego, to na drugiego. - Broń biologiczna? Czy to prawda?

- Nie pańska sprawa, panie Chase - odparł Frost, nie odrywając wzroku od Qobrasa. - Ale teraz, Giovanni, skoro znasz już prawdę i wiesz, że razem z Bractwem ponieśliście klęskę... jest po wszystkim.

Wyciągnął pistolet i strzelił. Okłamał Ninę. Broń była nabita.

Huk wystrzału odbił się echem od ścian budynków, gdy pocisk rozsadził Qobrasowi czaszkę, obryzgując ludzi krwią. Philby wrzasnął i usiłował odpełznąć na bok, aż jeden z wartowników kopnął go z powrotem na środek kręgu.

- Jezu! - wymamrotał Chase, oburzony.

- Brać go - rozkazał Frost jednemu ze swoich, wskazując Philby'ego. Profesor pisnął z przerażenia, kiedy komandos poderwał go z ziemi. - Zabieramy go ze sobą. Odprowadzić go na bok.

Kiedy Philby został odciągnięty, pozostali strażnicy, reagując na skiniecie głowy Schenka, unieśli swoje MP-7 gotowi do strzału.

- Zaraz, zaraz, hola! - zaprotestował Chase, wchodząc między Starkmana a najbliższego komandosa. - Co się, do cholery, dzieje? Nie możecie ich po prostu rozstrzelać!

- Właściwie, panie Chase - powiedział Frost. - Możemy. A teraz, gdy mam już to, czego chciałem... - Popatrzył na niego zimno. - Zrywam z panem umowę o zatrudnienie. - Rzucił jakiś rozkaz po norwesku... i Chase zobaczył, że strażnicy biorą go na cel.

- Co to, kurwa, jest, szefie? - zapytał, ostrożnie unosząc ręce. Schenk zabrał mu wildeya i pchnął w kierunku innych jeńców.

- To jest koniec - odparł Frost. Spojrzał na Schenka. - Włącz zegar.

- Zostało tylko pięć minut - powiedział Schenk. - Czy wystarczy, żeby stąd uciec?

- Owszem, jeśli będziemy biegli.

- Zaraz - powiedział Chase - po tym wszystkim, przez co pan przeszedł, żeby znaleźć to miejsce... zamierza je pan po prostu wysadzić w powietrze?

Frost wzruszył ramionami.

- Nie jest mi już potrzebne. Te próbki DNA są warte znacznie więcej niż jakikolwiek starożytny skarb. Uruchom zegar - rozkazał ponownie Schenkowi.

Niemiec kiwnął głową i ruszył w kierunku bomby.

- A nie mówiłem - mruknął Starkman do Chase'a.

- Więc po prostu zostawi nas pan tutaj razem z bombą? - zapytał Chase.

Frost prychnął lekceważąco.

- Nie. Zabiję was, żebyście nie mogli zatrzymać odliczania. Cel! Strażnicy złożyli się do strzału. Chase zobaczył wymierzone w siebie dwie lufy.

Niech to szlag!

Musi coś zrobić, i to szybko.

Nie miał broni ani sprzymierzeńca...

Chyba że...

Zrobił krok w tył, jakby kulił się na widok broni i wpadł na klęczącego Starkmana.

- Jason? Potrzebuję inspiracji...

Starkman pochylił się za nim, unosząc ramiona i ocierając się o bok Chase'a.

Jego mały palec wysunął się i zahaczył o zawleczkę. Frost wziął wdech, gotowy wydać komendę „ognia”...

Starkman wypiął jeden z granatów hukowo-błyskowych przy pasie Chase'a i rzucił go do tyłu, wyciągając zawleczkę. Obaj zasłonili rękami uszy, gdy cylindryczny blaszany pojemnik wylądował na ziemi...

Brzęk przyciągnął uwagę ludzi Frosta, ich wzrok powędrował ku źródłu hałasu...

Oślepiający błysk zapalonego proszku glinu i nadchloranu potasu i ogłuszający huk eksplodującego granatu o milisekundę później podzielał na zmysły patrzących jak cios w głowę. Mimo że moc wybuchu była znacznie mniejsza niż przy granatach obronnych i tak zmiotła dwóch strażników stojących najbliżej.

- Chodu! - krzyknął Chase, otwierając oczy.

Lata szkoleń i doświadczenia sprawiły, że działał odruchowo. Ludzie stojący w kręgu wokół jeńców, włącznie z samym Frostem, dali się zaskoczyć i byli chwilowo oślepieni i zdezorientowani. Jednak pozostali komandosi, ci stojący dalej, już zaczęli reagować.

Chase przyłożył jednemu strażnikowi pięścią w twarz, czując, jak nos spłaszczył się i chrupnął pod ciosem. Starkman skoczył na równe nogi i kantem dłoni zdzielił innego ochroniarza w gardło.

Chase wyrwał z rąk faceta, którego właśnie uderzył, MP-7 i odwrócił się. Z krótkiej lufy pistoletu maszynowego wyskoczyły języki ognia. Unikatowa amunicja kaliber 4,6 do MP-7 została zaprojektowana specjalnie do przebicia kamizelek z płytami pancernymi.

Chase skosił czterech strażników jedną serią. Wszyscy padli na ziemię, gdy krew trysnęła z dziur w kamizelkach. Ludzie Frosta, którzy znajdowali się dalej, pochowali się za budynkami. Nie mogli odpowiedzieć ogniem, bo wtedy naraziliby swoich kolegów.

Za jego plecami rozległa się kolejna seria, gdy Starkman ostrzelał strażników po drugiej stronie kręgu. Trzech z nich padło, kordon został przerwany.

Chase spostrzegł, że przed wybuchem granatu paru jeńców zdążyło zakryć uszy i teraz rzuciło się na przeciwników. Inni byli równie oszołomieni jak ludzie Frosta.

Frost chwiał się i trzymał za głowę. Gdyby go teraz wyeliminował, cały jego plan ległby w gruzach...

Jakby znikąd wyskoczył młody blondyn, Rucker, który powalił Frosta na ziemię, gdy Chase właśnie przygotowywał się do strzału. I tak nacisnął spust, lecz opróżnił magazynek MP-7 już po wystrzeleniu dwóch kul. Na plecach Ruckera wytrysnęły dwa strumienie krwi, lecz pociski nie dosięgły Frosta.

Gdy ich szef leżał na ziemi, inni ochroniarze mogli otworzyć ogień...

Za mauzoleum Chase zobaczył świątynię Posejdona. Dwie poprzednie, które widział, były w środku identyczne.

Przywalił jednemu z pozostałych strażników łokciem w twarz i puścił się pędem przed siebie.

- Do świątyni! - krzyknął.

Nie miał czasu obejrzeć się, by sprawdzić, czy ktoś za nim biegnie, a zresztą nie miał czasu się tym przejmować. Z boku, przy złotym murze przykucnął obok bomby Schenk. Lecz Chase w żaden sposób nie mógł go powstrzymać od uruchomienia zegara... Ochroniarze Frosta znów strzelali!

Słyszając obok świst kul, pognał w te pędy do świątyni Posejdona.

26

Chase obiegł dookoła mur mauzoleum. Usłyszał za plecami odgłos kroków. Starkman, a za nim dwóch jego ludzi.

Światło latarki, którą miał przypiętą do kamizelki, tańczyło na ścianie świątyni. Wejście powinno być dokładnie na wprost...

Stłumiony stukot metalu o metal: pociski uderzające w złotą ścianę. Ktoś krzyknął i runął na ziemię.

Chase nie obejrzał się za siebie. Na wprost zamajaczyło wejście, kwadrat nieprzeniknionej ciemności. Starkman prawie się z nim zrównał. Skubaniec zawsze dobrze biegał...

Frost wykrzykiwał rozkazy.

- Zabić ich! Zabić ich wszystkich!

Znów ogień z MP-7, a potem wrzaski. Ludzie Frosta mordowali jeńców!

Czarny kwadrat powiększył się, drgający krąg światła z latarki wydobył z mroku zbiegające się w perspektywie linie korytarza wewnątrz świątyni.

O milimetry od głowy Chase'a świsnęła kula, ale jeszcze trzy kroki i Chase był w środku!

- Sukinsyny! - wysapał Starkman tuż za nim. - Zabili moich ludzi! Tunel rozjaśniło pomarańczowe światło - pościg dotarł właśnie do wejścia i rozległy się strzały. Biegnący na końcu żołnierz Starkmana dostał całą serię, jego cień na ścianie przed Chase'em zadrgał spazmatycznie.

Chase dał susa za róg, a Starkman tuż za nim, gdy następne kule trafiły w ścianę. Odłamki kamieni poleciały we wszystkie strony. Zasłaniając oczy przed pyłem, Chase wyciągnął granat i wyszarpnął zawleczkę, pozwalając, by łyżka od razu odskoczyła.

Policzył po cichu do trzech i rzucił granat za róg, skąd słyhać było zbliżające się kroki.
Bum!

W powietrzu jak rój wściekłych os zafurczały odłamki, gdy Chase rzucił się na ziemię, pociągając Starkmana. Huk eksplozji ucichł. Odgłosy pościgu również.

Starkman usiadł, sięgając po MP-7.

- Dzięki.

- Jeszcze mi nie dziękuj - warknął Chase. - Nie zdecydowałem jeszcze, czy pozwolę ci przeżyć.

- Mam broń.

- A ja wiem, jak się wydostać ze świątyni. Chodź! Mamy pięć minut, by uciec, zanim cała jaskinia wyleci w powietrze!

- Bomba nastawiona! - poinformował Schenk. - Odłączyłem pulpit z kontrolkami, więc nie ma sposobu, żeby ją rozbroić albo zatrzymać zegar!

- Jeśli chcesz żyć, to bierz nogi za pas! - krzyknął Frost do Philby'ego i sam rzucił się biegiem w kierunku tunelu. Przerażony profesor popędził za nim.

W głąb tunelu, za róg... i do komnaty z próbą siły. Drewniany drążek nad kamienną ławą dawno zamienił się w pył, ale...

- Niech to szlag - warknął Chase, widząc, że kolce, choć nadzarte rdzą, wciąż utrudniają przejście tak samo jak w Brazylii. - Myślałem, że do tej pory zdążyły się zamienić w kupę rdzy!

- Co to takiego? - spytał Starkman.

- Wybitna upierdliwość! - Wziął ostatni granat i zbliżył się do ściany przy wąskim korytarzu. - Uwaga!

Granat potoczył się z łoskotem po kamiennej posadzce i wybuchł pośrodku tunelu. Eksplozja rozerwała skorodowane słupy na kawałki i wypełniła powietrze brunatnym deszczem płatków rdzy.

Chase zajął do środka. Zostało tylko parę kolców.

- Okej! Na trzy, pobiegnij za mną tak szybko, jak się da!

- A co się stanie, jak tego nie zrobisz?

- Będzie z ciebie marmolada! Raz, dwa, trzy!

Chase popędził przez korytarz, omijając przeszkody. Jeden fałszywy krok i któryś z paskudnym zardzewiałych kolców mógł się wbić głęboko w nogę... chociaż tęzec był w tej chwili najmniejszym zmartwieniem.

- Przygotuj się na... Cyk!

Kamienna płyta pod jego nogami drgnęła.

Przynajmniej część starożytnego mechanizmu przetrwała w dobrym stanie. Z przeciągłym zgrzytem strop zaczął się obniżać, a ze szpar między kamiennymi blokami posypał się kurz.

- Co to, kurwa, jest? - wrzasnął Starkman.

- Pułapka! Musimy dobiec do końca korytarza, zanim zostaniemy zmiażdżeni!

Od celu dzieliło go tylko kilkadziesiąt centymetrów, lecz dwa ostatnie pręty były nienaruszone, a przerwa między nimi tak wąska, że mógł się nadziać na kolce.

Obcasem buta kopnął w najbliższy słupek, a ten złamał się na pół. Górna część wypadła z otworu w suficie i rozcięła Chase'owi nogę.

Strop wciąż się obniżał.

Chase wyminął ostatni słupek, jednocześnie świecąc latarką dookoła i usiłując znaleźć dźwignię lub pstryczek, czy też co tam miał przesunąć lub wcisnąć...

- Chase! - krzyknął za nim Starkman. - Pomóż!

Chase obejrzał się do tyłu. Sufit obniżył się tak bardzo, że Starkman, wyższy niż on, musiał przykucnąć i pustą kaburą zahaczył o jeden z połamanych prętów.

Lecz gdyby Chase zawrócił, żeby go wyswobodzić, w ciągu kilku sekund strop zmiażdżyłby ich obu.

- Eddie!

Chase zignorował go, pośpiesznie obmacując ścianę... Jest! Wgłębienie w kamieniu.

Wsunął pięść do kwadratowego otworu i wyciągnął palce. Nic, tylko drzazgi wyschniętego drewna, które rozsypało się ze starości.

Strop obniżał się, zmuszając Chase'a do ukłęknięcia. Za kilka sekund kamienny blok nasunie się na otwór w ścianie, a przy okazji urwie mu ramię, a potem go zmiażdży...

Mechanizm musiał być wykonany z czegoś mocniejszego niż drewno, bo inaczej już dawno by się zepsuł...

Chase wepchnął rękę głębiej, rozczapierzając palce. Kawałki drewna, kamień... metal!

Trzonek jakiejś dźwigni, część przekładni... nieważne. Chase złapał kawałek, i pociągnął... Poruszył się!

Było to tylko drobne przemieszczenie, ale wystarczyło. Coś w ścianie zaskoczyło z głuchym trzaśnięciem... i strop znieruchomiał.

W tumanie pyłu Chase wyciągnął rękę z otworu i stwierdził, że ma pokrwawioną dłoń. Krawędzie metalowej dźwigni były tak samo zardzewiałe jak słupki.

Poświecił latarką w miejsce, gdzie w brazylijskiej świątyni znajdowało się wyjście. Między dwoma kamiennymi blokami pojawiła się nowa szpara. Chase kopnął w jeden z kamieni. Drgnął.

- Pomożesz? - odezwał się cichy głos.

Starkman kucnął zgarbiony przy obłamanym słupku. Sufit był niecały metr od podłogi. Najwyraźniej maszyna, która miała go podnieść, była zepsuta.

Chase wyciągnął zdrową rękę do Starkmana, a następnie odchylił się i pociągnął. Przez kilka sekund zdawało się, że Starkman utknął na amen, lecz wreszcie słupek złamał się z suchym trzaskiem, a Amerykanin poleciał do przodu.

- Dzięki - powiedział, podczołgując się bliżej. Chase przesunął zamocowany na zawiasach blok.

- Mamy przed sobą jeszcze dwie takie pułapki - ostrzegł, kiedy przelazł przez otwór.

Starkman szybko do niego dołączył.

- Ile czasu zostało?

- Trzy i pół minuty! Chodź!

- Czy to wystarczy?

- Będzie musiało.

Tunel był taki sam, jak pamiętał z Brazylii. Na razie nie było źle, wciąż mieli szansę.

Niewielką, ale jednak.

Echo ich kroków brzmiało teraz inaczej, z przodu tunel rozszerzał się, tworząc komnatę. Próba zręczności.

Chase oświetlił latarką komnatę. Żadnych kajmanów ani piranii w basenie - nie było nawet wody. Na dnie był tylko brunatny osad.

Bomba wybuchła.

Świątynie i pałace zawaliły się, zdmuchnięte przez falę uderzeniową. A za nią toczyła się kula ognia, która topiła metale.

Mury świątyni Posejdony nie oparły się nowoczesnej broni. Bloki ważące tony w mgnieniu oka rozsypywały się.

Jaskinia zawaliła się równie szybko.

Chase czuł zbliżającą się falę uderzeniową: do komnaty ołtarzowej wdarł się wiatr. Szyb był tuż-tuż.

Dał nura do środka. Nie było czasu na zastanawianie się, czy droga nie jest zasypana. Jeśli była, na szukanie innego wyjścia i tak nie miał czasu.

Inaczej niż na Atlantydzie, tutaj szyb biegł po skosie, pod kątem co najmniej sześćdziesięciu stopni. Chase zjeżdżał w dół, a Starkman tuż za nim.

Wiatr zmienił się w wichurę...

Piloci helikopterów odebrali zniekształconą szumami wiadomość, żeby przygotowali maszyny do natychmiastowego startu. Teraz Nina i Kari patrzyły z przerażeniem, jak Frost i tylko połowa jego ludzi wypadli z jaskini i biegli do śmigłowców.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Kari, gdy Frost i Schenk znaleźli się w kabinie. Dwaj ochroniarze właściwie wrzucili Philby'ego do drugiego helikoptera. - Co się stało?

- Odlatuj! Odlatuj! - zawołał Frost do pilota. - Qobras wyrwał się i uruchomił zegar! Nie mogliśmy nic zrobić!

- Gdzie Eddie? - krzyknęła Nina.

- Nie żyje! Zastrzelili go! Nagle zabrakło jej tchu.

- Co? Nie! - Kari wyglądała na wstrząśniętą.

- Szybciej! Bomba zaraz...

Olbrzymi kłęb dymu, pyłu i gruzu buchnął z wejścia do groty, a po chwili rozległo się niewiarygodnie niskie dudnienie, jakby ktoś uderzał w bęben o średnicy dwóch kilometrów.

Pilot gwałtownie skręcił, by uciec przed lawiną kamieni i gładów.

Drugi śmigłowiec musiał wykonać ten sam manewr. Kamienie uderzały w jego kadłub jak grad, gdy lawina przetoczyła się pod nim, obrywając kawał skalnej półki, która rozpadła się, wznecając tuman pyłu.

Księżycowy Szlak zniknął na zawsze, droga do ostatniego przyczółka Atlantydwów została zmieciona z powierzchni ziemi.

Nina przycisnęła czoło do okna, wpatrując się w kataklizm na dole. Po zboczach góry toczyły się lawiny, Złoty Szczyt z tybetańskiej legendy zatrząsł się w posadach.

A wszystko w środku... przepadło.

- Eddie... - wyszeptała. Stracić go raz było wystarczająco trudno. Dwa razy - było niemal nie do zniesienia. Do oczu napłynęły jej łzy.

Chase'a obsypał pył, żwir i kawałki skał, wrzasnął, gdy fala uderzeniowa przetoczyła się obok. Hałas był niewiarygodny. Światło w tunelu, rozlewający się blask...

Nie promienie słońca z przodu, tylko ogień z tyłu: kula ognia pędziła prosto na nich.

Przed nim rozbłysło nagle dzienne światło, śnieg zakrywający wyjście został zdmuchnięty. Chase nie miał czasu zastanawiać się nad własnym szczęściem. Zareagował instynktownie, gdy wyleciał z szybu na ośnieżone rumowisko - rzucił się w bok, żeby uciec przed językami płomieni. Śnieg wyparował, gdy ognista kula wytoczyła się za Chase'em z tunelu.

Chase przywarł do skalnej ściany, modląc się, żeby nawis skalny powyżej okazał się dostatecznie duży, by osłonić go przed spadającymi kamieniami, i na tyle mocny, żeby nie zwałił mu się na łeb.

Kamienie, z których najmniejsze były wielkości pięści, pękały nad nim jak wybuchające granaty. Chase osłonił głowę ramionami, gdy posypał się na niego grad skalnych odłamków. Wrzeszczał na całe gardło, lecz ledwo słyszał własny głos.

Wreszcie zrobiło się cicho. Chase rozejrzał się dookoła.

Skalny występ rzeczywiście go uratował. Wokół leżało mnóstwo kamieni i głazów, które rozłupałyby mu czaszkę.

Spojrzał w dół i stwierdził, że stoi na półce skalnej nad szerokim wąwozem. Zbocze było łagodne, można było po nim zejść bez sprzętu do wspinaczki.

Znowu uśmiechnęło się do niego szczęście, bo nie miał żadnego sprzętu. Zgubił nawet latarkę.

Dotarł do niego dziwny zapach: para wodna. Kłębiła się w miejscach, gdzie ogień roztopił śnieg, a wiatr unosił ją coraz dalej. Zerknął za siebie i zobaczył Starkmana częściowo przysypanego kamieniami. Podbiegł do niego.

- Jason! Trzymaj się! - zawołał, odrzucając większe kamienie na bok. - Słyszysz mnie?

- Eddie? - wymamrotał półprzytomnie Starkman. - To ty?

- Tak, ja. Jesteś ranny? Możesz się ruszać?

- Nie wiem... niech no... o kurwa!

- Co? - spytał Chase. - Co się stało? - Gdyby Starkman był poważnie ranny, Chase nie mógłby mu pomóc.

- Klucze w kieszeni wpijają mi się w tyłek...

Chase gapił się na niego przez chwilę szeroko otwartymi oczami, a potem wybuchnął śmiechem.

- Zabawny z ciebie skurczybyk - parsknął wreszcie i Starkman też zaczął się śmiać. - Rusz tę leniwą amerykańską dupę z ziemi.

Starkman usiadł. Opaska na oku zerwała się, ukazując przebarwioną powiekę przykrywającą pusty oczodół.

- W mordę - stęknął. - Ale boli...

Chase podniósł wzrok na Złoty Szczyt. Wokół niego unosił się kurz i dym.

- Cóż, twój szef dostał to, czego chciał - westchnął. - Bomba wszystko rozpirzyła, nikt tam już niczego nie znajdzie.

- Twój szef też dostał to, czego chciał - przypomniał mu Starkman.

- Przestał być moim szefem w momencie, w którym spróbował mnie zabić - powiedział chłodno Chase. - Myślę, że będę musiał z nim o tym poważnie pogadać.

- Nigdy nie tolerowałeś zdrady, co? - zauważył Starkman. Chase przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Raczej nie.

- Wciąż niełatwo przychodzi ci wybaczenie?

- Nie. Ale - dodał - są rzeczy, o których mogę zapomnieć trochę łatwiej niż o innych. Na razie.

- Nigdy jej nie tknąłem, Eddie. Bez względu na to, co żona mogła ci naopowiadać, nigdy nie przyprawilem ci rogów. Nie zrobiłbym czegoś takiego przyjacielowi.

- Wiesz co, Jason - powiedział Chase, wyciągając do niego rękę - nawet ci wierzę.

- Proponujesz rozejm, Eddie?

- Na razie. - Starkman uściśnął mu dłoń, a Chase pomógł mu wstać. - Myślę, że obaj chcemy tego samego: dorwać tego bydlaka Frosta za to, co zrobił. A ja muszę jeszcze uratować Ninę.

- Przestali ci płacić za jej ochronę, gdy Frost przestał być twoim szefem.

- Już od jakiegoś czasu staram się ją chronić nie dla pieniędzy - powiedział Chase, na co Starkman uniósł brew.

Obaj odwrócili głowy, słysząc hałas. Zza góry wyłoniły się helikoptery Frosta i z dudniącym rykiem silników odleciały. Chase wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym spojrzał na Starkmana i jeszcze raz podał mu dłoń.

- Czy mimo śmierci Qobrasa nadal możesz liczyć na wsparcie Bractwa?
 - Znam niektórych członków Bractwa - odparł Starkman. - A co?
 - Wybrałbym się na wycieczkę do Norwegii. Jesteś zainteresowany?
 - Jasne. - Uścisnęli sobie dłonie. - Do ostatniej kropli krwi?
 - Do ostatniej kropli krwi. Starkman rozejrzał się dookoła.
 - Jest tylko jeden mały problem... utknęliśmy w Himalajach. Chase uśmiechnął się półgębkiem i wskazał palcem wąwóz. - Jeśli masz ochotę na spacer, to tam jest wioska. Powinniśmy do niej dotrzeć jeszcze przed zmrokiem. - Uśmiechnął się szerzej. - Znam tam jedną dziewczynę...

27

Norwegia

Gdy gulfstream zniżył lot, za oknem rozpościerał się piękny widok na Ravnsfjord, lecz Nina ledwo zwróciła na to uwagę.

Była myślami daleko stąd, wspominając zdarzenia ostatnich dni. Mimo że Kari próbowała ją pocieszać, wciąż była w rozpacz. Nagły przypływ żalu na widok ciał zamordowanych rodziców, śmierć Chase'a... i zniszczenie samej Atlantydy wraz ze wszystkimi jej śladami. Wszystko zostało pogrzebane na zawsze. Poszukiwania, które nadawały sens jej życiu, gwałtownie się skończyły.

W pewnym sensie skończyło się życie, jakie do tej pory znała. Wszystko w jej świecie się zmieniło.

- Dobrze się czujesz? - spytała Kari.
 - Hm? Tak, a co?
 - Wyglądałaś na trochę... zagubioną.
 - Zamyśliłam się.
 - A o czym myślałaś?
 - O tym, że znalazłam to, czego szukałam od zawsze, znalazłam Atlantyde... ale teraz jej nie ma. Wszystko się zmieniło. I nie wiem... nie wiem, co mam teraz robić.

Kari się uśmiechnęła.

- Teraz, doktor Nino Wilde, zostaniesz z nami. Jesteś jedną z nas, a my zawsze troszczymy się o swoich.

- Nie podziękowałam ci jeszcze za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.
 - Nie musisz mi dziękować. I nie utraciłaś Atlantydy.
 - Jak to?
 - Bo teraz możemy zbudować nową Atlantyde. Nie musimy już oglądać się za siebie, będziemy tworzyć przyszłość.

Nina uniosła brew.

- Tak z ciekawości, kiedy chcecie mi powiedzieć, jak zamierzacie tworzyć tę przyszłość? Wciąż nie pojmuję, jak próbka DNA sprzed jedenastu tysięcy lat może zmienić świat.

- Zmieni, zaufaj mi. - Kari pochyliła się bliżej. - Myślę, że jesteś gotowa.
 - Gotowa? Na co?
 - Pora, żebym pokazała ci, jakie mamy plany. Jak radykalnie zmienimy świat. Samolot zaczął schodzić do lądowania.

Chase popatrzył na Starkmana z niedowierzaniem.

- Skoro mieliście tę operację zaplanowaną od początku, to dlaczego po prostu jej nie przeprowadziliście i nie zaoszczędziliście wszystkim mnóstwa kłopotów?

- Nie mieliśmy pewności, co Frost tak naprawdę robi. A Giovanni nie chciał ryzykować ataku, póki nie byłoby to absolutnie konieczne - wyjaśnił Starkman. - Gdybyśmy zaatakowali, Bractwo musiałoby się ujawnić: naszego istnienia nie można by było trzymać w tajemnicy.

- Myślę, że czas podchodów się skończył. - Chase wyjrzał przez iluminator. Samolot, dwusilnikowy transportowiec C-123 Provider, minął norweskie wybrzeże parę minut wcześniej, a teraz leciał na północ nad ośnieżonym lądem.

Wkrótce jednak gwałtownie obniżą lot.

Chase obejrzał się przez ramię na innych pasażerów. Dwunastu ludzi Qobrasa - a teraz Starkmana - należących do Bractwa, których udało się skrzyknąć w ciągu czterech dni, jakie zajął obu niedobitkom ze Złotego Szczytu powrót do Europy.

Miał tylko nadzieję, że dwunastu wystarczy.

- Far - powiedziała Kari, wchodząc razem z Niną do gabinetu Frosta. - Myślę, że już czas. Nina jest gotowa.

Mina Frosta wydawała się mówić, że ma co do tego wątpliwości, ale nic nie powiedział.

- Co takiego chcecie mi powiedzieć? - spytała Nina. - Co to za wielki sekret? Kari była bardzo tajemnicza.

- Wielki sekret, doktor Wilde... - zaczął Frost. Kari spojrzała na niego z wyrzutem. - To znaczy, Nino. Jeśli mogę tak się do ciebie zwracać.

- Bardzo proszę - powiedziała Nina z uśmiechem. Frost też się uśmiechnął, a potem wstał.

- Wielki sekret, jak mówisz, jest następujący... cóż, dzisiaj zmienimy świat. Na zawsze.

- To spore wyzwanie.

- Rzeczywiście. Ale pracowałem nad tym przedsięwzięciem całe życie, a dzięki tobie mogę je teraz zrealizować. Gdybyś nie odkryła Atlantydy, byłoby to niemożliwe.

- Ale wszystko zostało zniszczone - powiedziała Nina. - Może udałoby się wydobyć trochę zabytków spod dna morskiego, ale wszystkie tak doskonale zachowane budowle, wszystkie przedmioty, które się w nich znajdowały... wszystko to jest bezpowrotnie stracone.

- Nie szkodzi - zapewnił Frost.

- Nie? Ale...

- Próbki DNA, które pobrałem z ciał ostatniego króla i królowej Atlantydy, są warte więcej niż złoto czy *orichalcum*. To one zmienią świat. A nawet go ocala.

- Jak? - zapytała Nina. - Użyjecie ich do produkcji jakiejś szczepionki czy czegoś takiego?

- Czegoś takiego - odrzekł Frost, znów się uśmiechając, tym razem tajemniczo. - Chodź, pokażę ci. - Wyszedł zza biurka i miał właśnie dołączyć do Niny i Kari, gdy zabrzączał interkom. Wyraźnie poirytowany, że ktoś mu przeszkadza, wcisnął guzik. - O co chodzi?

- Panie Frost - odezwał się Schenk - wieża kontroli lotów właśnie poinformowała mnie, że jeden samolot poprosił o zgodę na awaryjne lądowanie. Mają problemy z silnikiem i nie docelą do Bergen.

- Gdzie są w tej chwili?

- Jakies dziesięć minut stąd, lecą z południa. Frost zacisnął wargi.

- Dobrze, pozwól im wylądować. Ale... miej ich na oku.

- Tak jest. - Schenk się rozłączył.

- Przepraszam - powiedział Frost, podchodząc do Niny i Kari.

- Nie szkodzi - zapewniła Nina. - Zresztą skoro zamierzasz ocalić świat, równie dobrze możesz zacząć od jednego samolotu, prawda?

- Rzeczywiście. - Uśmiechnął się Frost. - Chodź ze mną. Pokażę ci, jak to będzie wyglądać.

- Dali nam pozwolenie na lądowanie - poinformował Chase'a Starkman, przekrzykując hałas silników. - Za dziesięć minut.

- Jakież kłopoty? - spytał Chase.

- Norweska kontrola lotów dopytuje się, dlaczego nie mają planu naszego lotu. Pilot gra na zwłokę, ale myślę, że robią się podejrzliwi.

- Póki nie wyślą za nami eskadry myśliwców, to bez znaczenia. - Chase odwrócił się do pozostałych mężczyzn w kabinie. - Dziesięć minut, chłopcy! Przygotujcie się do skoku!

Frost zaprowadził obie kobiety do laboratorium, a potem minęli następną służbę powietrzną, i zeszli jeszcze głębiej pod ziemię.

- To tu - oznajmił. Drzwi na końcu korytarza były całe ze stali. Widniało na nich duże logo z trójzębem. Frost przycisnął kciuk do czytnika biometrycznego obok. Ciężkie drzwi się rozsunęły. - Proszę, ty przodem.

Nina weszła do środka, lecz nie bardzo wiedziała, na co właściwie patrzy. Mgliste kojarzyła parę urządzeń laboratoryjnych, lecz większość lśniących sprzętów stanowiła dla niej tajemnicę. Rząd superkomputerów w głębi obszernej pracowni był najłatwiejszy do identyfikacji: wysokie niebieskie szafy podłączone do systemu chłodzącego. W jednym rogu urządzono coś w rodzaju izolatki. Miała okna, ale były zasłonięte.

- Oto - zaczął z teatralną emfazą Frost - miejsce, gdzie wreszcie spełniła się moja największa ambicja. Wszystkie inne przedsięwzięcia, w które się zaangażowałem, miały tylko wartość pomocniczą wobec tego, co dokonało się w tym pomieszczeniu. Od trzydziestu lat wykorzystuję zasoby fundacji do poszukiwań na całym świecie, aby zidentyfikować pochodzenie wszystkich grup ludzkich na naszej planecie.

- W poszukiwaniu genu atlantydzkiego? - spytała Nina.

- Dokładnie. Tylko około jednego procenta światowej populacji można uznać za nosicieli czystego genomu, a my wszyscy mamy ten genom.

- Jeden procent ludzi na całym świecie... to, ile? Sześćdziesiąt pięć milionów osób?

- Mniej więcej tyle, ile ludności ma Wielka Brytania, owszem. Ale ci z genem atlantydzkim są rozsiani po całym świecie, w każdej grupie etnicznej. A oprócz nich są jeszcze nosiciele nieczystej formy genetycznego markera albo wskutek zbyt dużego wymieszania rasowego, albo przez naturalną mutację. Ci ludzie tworzą piętnaście procent ludzkiej populacji.

- Dziewięćset siedemdziesiąt pięć milionów - powiedziała natychmiast Nina.

Frost się uśmiechnął.

- Stanowczo jesteś jedną z nas. Jedną z cech atlantydzkiego genomu jest wrodzona biegłość w opanowywaniu systemów logicznych i matematycznych.

- Biorąc pod uwagę twoje odkrycia - dodała Kari - uważamy teraz za niemal pewne, że potomkowie starożytnych Atlantydwów w niemal stu procentach odpowiadają za rozwój systemów logiki i matematyki na świecie.

- Nawet po zatonięciu wyspy Atlantydy odgrywali wciąż główną rolę w historii cywilizacji - powiedział Frost. - Byli przywódcami, wynalazcami, odkrywcami. Dzięki ich wynalazkom w zakresie języka, rolnictwa, medycyny ludzkość mogła się rozwijać. Lecz jak na ironię... - jego twarz spochmurniała - czyniąc to, sami nałożyli sobie jarzmo. Zanim cywilizacja osiągnęła pewien poziom rozwoju, gatunek ludzki podlegał selekcji naturalnej. Ci, którzy byli

słabi, ginęli. Jednak poprzez redukcję zagrożeń ze strony natury Atlantydzki umożliwili słabym przetrwanie, a nawet dominację.

- Ja nie ujęłabym tego w ten sposób... - zaczęła Nina.

- A ja owszem - odparł Frost. - Zaś w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat mamy do czynienia z eskalacją problemu. Prognozuje się, że w ciągu czterech lat liczba ludzi na świecie wzrośnie do siedmiu miliardów. Siedem miliardów ludzi! Środowisko naturalne nie jest w stanie tego wytrzymać. A osiemdziesiąt cztery procent tych ludzi nie posiada atlantydzkiego genomu. To oznacza, że ponad cztery piąte całej ludzkiej populacji jest bezużyteczna.

Ninę zdumiała dosadność jego słów.

- Jak to „bezużyteczna”? Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Wszystkie te miliardy ludzi nie wnoszą żadnych wartości do rozwoju kultury. Nie tworzą, nie wzbogacają naszej wiedzy, a nawet nie myślą. Po prostu są: konsumują i się reprodukuja.

- Jak możesz tak mówić? - oburzyła się Nina. - To... to jest po prostu...

- Nino - powiedział Frost - spójrz tylko na własny kraj. Na pewno to dostrzegasz. Ameryka jest zdominowana przez nieporadnych, upartych ignorantów, którzy tylko konsumują. Demokracja utrwała ten stan, ponieważ pozwala masom pogrążyć się w marazmie, unikać pracy, unikać myślenia, unikać wszelkich ambitniejszych celów. A tych, którzy powinni wyrwać lud z marazmu, opanowała żądza zysku: zależy im tylko na tym, by zarabiać pieniądze! - Sprawiał wrażenie, jakby ostatnie słowo napawało go niemal obrzydzeniem. - Nie na tym polega rola przywódcy! Atlantydzki wiedzieli, że aby społeczeństwo się rozwijało, ludzi trzeba prowadzić, a nie pobłażać im, gdy ulegają najniższym instynktom.

- Ale Atlantydzki wpadli w tę samą pułapkę - przypomniała mu Nina. - Pamiętasz *Khítiasal* „Tym, którzy nie potrafią dojrzeć życia naprawdę szczęśliwego, wydawało się właśnie wtedy, że są osobliwie piękni i szczęśliwi, kiedy ich napełniała chciwość niesprawiedliwa i potęga”. I bogowie ukarali ich za to.

- To był błąd, który się już nie powtórzy.

- Ależ on się zawsze powtarza! Czy pochodzimy z Atlantydy, czy nie, wciąż jesteśmy tylko ludźmi. Natura ludzka bierze górę, jak to ujął Platon.

- Znając historię, potrafimy tego uniknąć.

- Jak? - zapytała Nina. - Co zrobicie? Zmienicie świat za pomocą próbki DNA z trupa sprzed jedenastu tysięcy lat?

- Dokładnie to zrobimy! - powiedział Frost. Wskazał na komputery. - Do tej pory te maszyny pracowały tylko nad symulacjami, w wyniku czego dostawaliśmy miliony, miliardy różnych wariantów tego samego wyniku. Ale bez próbki czystego atlantydzkiego DNA, którego można by użyć jako podstawy, nie było sposobu, żeby stwierdzić, który wariant jest tym jedynym. Nawet nasz kod genetyczny zmienił się do pewnego stopnia z upływem czasu, a jesteśmy współcześnie ludźmi najbliższymi genetycznie Atlantydom. Jednak teraz... - Spojrzał na izolatkę z zaciemnionymi oknami. - Teraz wiem dokładnie, jakie te zmiany są. I udało mi się wziąć je w rachubę.

- W rachubę? W jaką rachubę? - zapytała Nina.

- Przy opracowywaniu programu naprawy świata poprzez przywrócenie stanu pierwotnego... stanu idealnego. Atlantydzki zajmą znów należne im miejsce przywódców ludzkości, by poprowadzić ku lepszej przyszłości lud uwolniony od demoralizującego wpływu bezużytecznego, bezproduktywnego motłochu.

Przemierzył laboratorium, a Kari podążyła za nim. Nina poszła za nimi prawie wbrew sobie: nie mogła słuchać tego, co Frost mówi. Czy on zwariował? Plół takie same brednie jak Qobras!

- Tak wygląda - powiedział Frost, wskazując przeszkloną, zamykaną hermetycznie szafkę uszczelnioną gumą - dzieło, którego stworzenie umożliwiło mi odkrycie prawdziwego atlantydzkiego DNA. Był to jeden z wariantów przewidzianych przez symulacje komputerowe, lecz aż do tej pory nie było możliwości, by przekonać się, że to ten właściwy.

Nina spojrzała przez szybkę. W szafeczce stał rząd cylindrycznych pojemników ze szkła i stali wypełnionych bezbarwnym płynem. Była jednak pewna, że to nie jest woda.

- Co to takiego? - spytała z niepokojem.

- To - odparł Frost - jest coś, co nazwałem „Trójzębem”. Najpotężniejszą bronią Posejdon. Każdy z tych pojemników zawiera kultury genetycznie zmodyfikowanego wirusa.

Nina odskoczyła od gąbłoty.

- Co?!

- Jest zupełnie niegroźny - uspokoiła ją Kari. - Przynajmniej dla nas.

- Jak to „dla nas”?

- Jesteśmy na niego uodpornieni - powiedział Frost - czy też raczej to wirus jest dla nas niegroźny, bo został tak zaprojektowany, aby nie mógł atakować unikatowej sekwencji DNA Atlantydwów, nawet jeśli ta sekwencja uległa mutacjom. Ale dla każdego, kto nie posiada tej sekwencji, jest śmiertelny.

Nina nie mogła oddychać.

- O mój Boże - stęknęła. - Zwariowaliście? Nie, nie odpowiadajcie... tak, zwariowaliście!

- Nie, Nino, posłuchaj, proszę - zaczęła przekonywać Kari. - Wiem, że to dla ciebie trudne do przyjęcia, ale w głębi duszy, jeśli odsuniesz na bok przekonania, które żywisz tylko dlatego, że zostałaś tak społecznie zaprogramowana, musisz wiedzieć, że mamy rację. Na świecie panuje chaos, sytuacja robi się coraz gorsza. Jedynym sposobem uniknięcia globalnej katastrofy jest przywrócenie władzy elity Atlantydwów.

- Przekonanie, że ludobójstwo to coś złego, nie jest wynikiem zaprogramowania! - oburzyła się Nina. - Czy poważnie mówicie, że planujecie wymordowanie osiemdziesięciu czterech procent ludzi na świecie? To prawie pięć i pół miliarda osób!

- To konieczność - odrzekł Frost. - Jeśli tego nie zrobimy, ludzkość wyginie, zatrują ją własne odpady. Motłochu jest kilka razy więcej i skonsumuje wszystkie zasoby, aż nic nie zostanie. A tak, ci, którzy są predysponowani do rządzenia, zdołają odbudować świat i uczynić go takim, jakim powinien był być od początku. Fundacja Frosta zjednoczy wszystkich, którzy przeżyją.

Nina zaczęła się powoli cofać do drzwi.

- Z wami na czele, co? Kompletnie wam odbiło. Mówicie o żywych ludziach, a nie o śmieciach! Kiedy zamierzaliście rozpocząć tę waszą małą apokalipsę?

Frost uśmiechnął się ponuro.

- Ja niczego nie planuję, doktor Wilde. Ja już zacząłem działać. Wrażenie braku powietrza wróciło.

- Co?

- Za fiordem, na pasie startowym stoi samolot transportowy, airbus A380. Wystartuje za piętnaście minut i polecą najpierw do Paryża, a potem do Waszyngtonu. Podczas lotu rozpyli wirus „Trójzab” nad Europą, w północnoatlantyckim prądzie powietrznym i wreszcie nad wschodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych. Nasze symulacje wskazują, że w ciągu miesiąca wirus dotrze do wszystkich zamieszkałych miejsc na Ziemi. Wszyscy, którzy nie mają atlantydzkiego genomu, zostaną zakażeni.

- I co potem? - wyszeptała Nina.

- A potem... - Frost podszedł do izolatki i wcisnął coś na panelu sterowania. - Przyciemnione szyby polaryzowanego szkła stały się przezroczyste. - Nastąpi to.

Z trudem zdobywszy się na odwagę, Nina podeszła powoli do okna i zajrzała do środka. Była to aseptyczna biała cela pozbawiona wszelkich sprzętów z wyjątkiem sedesu z nierdzewnej stali oraz niskiej pryczy, na której leżał...

Z przerażenia zakryła rękami usta.

- Jonathan...

Philby niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w sufit, białka jego oczu były czerwone od popękanych naczyń krwionośnych, skóra wilgotna i śmiertelnie blada, klatka piersiowa ledwo się unosiła, gdy z trudem łąpał powietrze.

- Został zakażony wczoraj - oznajmił Frost lodowatym tonem. - Wirus „Trójzab” atakuje wegetatywny układ nerwowy, powodując zamieranie organów. Jeśli choroba przebiegnie zgodnie z prognozami, profesor umrze w ciągu sześciu godzin.

- O mój Boże... - Nina odwróciła się, czując mdłości. - Nie możecie pozwolić mu tak umrzeć. Proszę, dostał już nauczkę... dajcie mu antidotum, szczepionkę... coś, co mu pomoże.

- Nie ma antidotum - powiedział Frost. - To mijałoby się z celem. Jedynym lekiem jest śmierć.

- Nino - powiedziała łagodnie Kari - Philby dostał dokładnie to, na co zasłużył. Zdradził nas... zdradził ciebie. Sprzedał twoich rodziców Qobrasowi. I zamierzał zrobić to samo z tobą. Nie był twoim przyjacielem... Troszczył się o ciebie tylko dlatego, że miał wyrzuty sumienia.

- Nikt nie zasługuje na coś takiego - odparła Nina. Kari położyła rękę na jej ramieniu, lecz Nina wzdrygnęła się gniewnie. - Nie dotykaj mnie!

- Nino...

Odwróciła się do nich z nagłą wściekłością.

- Myśleliście, że na to pójdę... że zgodzę się na to... ludobójstwo? To szaleństwo! To byłby największy akt zła w dziejach ludzkości! Za kogo wy mnie macie?

- Za jedną z nas. Jesteś taka jak my - nie ustępowała Kari.

- Nie! Jestem zupełnie inna! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

- To niedobrze - stwierdził lodowatym tonem Frost. - Bo albo jesteś z nami... albo przeciwko nam.

- Święta racja! Jestem przeciwko wam!

- Więc musisz zginąć. - Frost sięgnął do marynarki.

Czas zwolnił, gdy Nina patrzyła, jak wyciągnął elegancki srebrzysty pistolet. Lśniaca lufa obróciła się i czarny otwór wyłom znalazł się naprzeciwko jej piersi. Chciała uciec, lecz szok zupełnie ją sparaliżował. Zobaczyła palec naciskający spust...

- *Far!* Nie!

Kari pchnęła rękę Frosta. Kula świsnęła nad głową Niny i utkwiała w ścianie za jej plecami. Nina chciała krzyknąć, lecz ze ściśniętego gardła wydobyło się tylko stłumione westchnienie.

Frost z ledwie poskramianą wściekłością słuchał, jak Kari tłumaczyła mu coś rozpaczliwie po norwesku. Potem gniew osłabł. Trochę.

- Moja córka właśnie uratowała pani życie, doktor Wilde - oznajmił. - Na razie.

- Nino, błagam - zaczęła pośpiesznie wyjaśniać Kari - wiem, że jesteś tym wszystkim przytłoczona, ale proszę, posłuchaj mnie. Znam cię, wiem, że jesteś jedną z nas, że myślisz tak jak my. Nie widzisz? Możesz mieć cokolwiek, możesz mieć wszystko. Wystarczy, że się do nas przyłączysz. Proszę, zastanów się nad tym racjonalnie.

- Racjonalnie? - oburzyła się Nina. - Planujecie eksterminację większości ludzi na świecie, a ty mnie prosisz, żebym zastanowiła się nad tym „racjonalnie”?

- To na nic - powiedział Frost. - Domyślałem się, że tak zareaguje, odkąd odmówiła zastrzelenia Qobrasa. Jest za bardzo zindoktrynowana. Nigdy nie zrozumie.

- Zrozumie - nalegała dalej Kari z wzrastającą desperacją w głosie. - Wiem, że zrozumie!

- Więc dobrze - rzekł w końcu. - Ma czas do momentu, gdy zaczniemy rozpylać pierwszą partię wirusa. Jeśli nie zmieni zdania... to sama ją zabijesz.

- Nie, *Far*, nie mogę...

- Owszem, możesz - odparł. - Rozumiesz mnie, Kari? Schyliła głowę.

- Tak, *Far*.

- W takim razie zaprowadź ją do samolotu. Kari podniosła wzrok, zagubiona.

- Do samolotu?

- Pilot może ci odliczyć ostatnie sekundy przed rozpyleniem. Przypuszczam, że każda chwila, którą będziesz mogła wykorzystać do skłonienia doktor Wilde do właściwej decyzji, jest dla ciebie cenna? - Kari kiwnęła głową. - Więc obie będziecie wiedziały dokładnie, ile czasu jej zostało. Jeśli nadal będzie się upierała przy swoim, zabij ją i wyrzuć ciało do morza.

Wciąż mierząc do Niny z pistolem, podszedł do telefonu i wcisnął guzik.

- Ochrona, tu Frost. Niech dwóch ludzi przyjdzie pod laboratorium z Trójzębem i odeskortuje moją córkę oraz doktor Wilde na lotnisko. Doktor Wilde jest aresztowana: macie jej założyć kajdanki. Jeśli spróbuje uciec, macie ją zabić. - Zerknął na Kari. - Nawet jeśli moja córka będzie mówiła, żebyście tego nie robili. To wszystko.

Odłożył słuchawkę.

- Czy mam być panu wdzięczna? - sarknęła Nina.

- Wdzięczność należy się Kari. Tylko dzięki niej jeszcze pani żyje. Stalowe drzwi rozsunęły się i weszło dwóch umundurowanych strażników. Nina nie stawiała oporu, tylko patrzyła na nich nienawistnie, kiedy skuli jej ręce za plecami.

- Wsiądziesz w Paryżu i wrócisz do domu jednym z odrzutowców korporacji - powiedział Frost do Kari, kiedy wychodziły. - Doktor Wilde?

- Co? - syknęła.

- Mam nadzieję, że okaże się pani rozsądna i wróci z Kari.

Chase wyjrzał przez okno w kokpicie i zobaczył zbliżający się Ravnstfjord.

- Jeszcze jedno! - powiedział do Starkmana, gdy podpiął spadochron do linki zwalniającej biegnącej wzdłuż kadłuba pod sufitem. - Niektórzy z tamtych ludzi to cywile. Sam fakt, że pracują dla Frosta, nie znaczy, że automatycznie stają się celem ataku: strzelajcie tylko do tych, którzy strzelają do was!

- Zawsze był z ciebie dobry facet, co, Eddie? - odparł Starkman.

- Po prostu nie lubię zabijać ludzi, którzy na to nie zasłużyli.

- A co, jeśli natrafimy na ekipę prawników firmy?

- Kuszące... ale nie! Okej, przygotować się do skoku!

Chase wcisnął guzik, żeby opuścić rampę na ogonie providera. Samolot schodził do lądowania. Do luku wdarł się lodowaty wiatr i niemal ogłuszający huk silników. W dole mignęły biurowce, wzgórze, na którym stał dom Frostów było coraz bliżej, a za nim budynki laboratorium.

Samolot przeleciał ledwie trzydzieści metrów nad rezydencją, potem grunt gwałtownie opadł. Minimalna wysokość, z jakiej można było bezpiecznie skoczyć ze spadochronem, wynosiła siedemdziesiąt pięć metrów, zaś teren między domem a laboratorium znajdował się właśnie tyle pod samolotem...

- Skacz!

Chase wyskoczył. Czasza spadochronu eksplodowała z plecaka. Trawa, śnieg i kamienie pędziły ku niemu z zawrotną prędkością... Samochód jadący w stronę mostu nad fiordem... Łup!

Było to twarde lądowanie, spadochron ledwo zdążył wyhamować upadek na tyle, by skoczek się nie zabił. Chase strząsnął z siebie spadochron i rozejrzał się dookoła. Inni skoczkowie lądowali w pobliżu, uderzając mocno o ziemię. Chase miał nadzieję, że ludzie Starkmana wiedzą, co robią. Każdy, kto odniósłby poważniejszą kontuzję przy lądowaniu, miał przerąbane: nie mieli ani dość czasu, ani ludzi, by nosić ze sobą rannych.

Po pozbyciu się pasażerów C-123 wykręcił gwałtownie i poderwał się w niebo.

Z brzegu fiordu wystrzelił smukły snop dymu, gdy rakieta przeciwlotnicza Stinger nakierowała się na cel... I wybuchła.

Z oderwanym skrzydłem, w chmurze płonącego paliwa provider wpadł w korkociąg i runął w dół.

- Kurwa mać! - krzyknął Starkman.

- Zdaje się, że wracamy do domu piechotą! - odkrzyknął Chase. Uwolnił się z upręży spadochronu i przygotował broń, pistolet maszynowy Heckler und Koch UMP-45. - Dobra! Chłosta dla Frosta!

28

Nina patrzyła z przerażeniem z mercedesa, jak samolot eksplodował.

- Jezu!

- To muszą być ludzie Qobrasa! - krzyknęła Kari. - Ruszyli do ostatniego boju!

- No to brawo dla nich! - Nina wyjrzała przez tylną szybę. Spadochroniarze byli na ziemi. - Mam nadzieję, że pošlą to całe laboratorium do diabła, a twojego ojca razem z nim!

Prast!

Nina odwróciła się gwałtownie. Kari wymierzyła jej policzek! Piekący ślad był nie tyle bolesny, ile poniżający, lecz przez to czuła się jeszcze gorzej.

Kiedy mercedes zbliżył się do mostu, Kari wydała rozkazy:

- Zawiadom centrum ochrony i ostrzeż, że mamy czternastu intruzów, którzy idą do laboratorium! A ty - dodała, zwracając się do kierowcy - jak najprędzej dowieź nas do samolotu!

- „Chłosta dla Frosta”? - powiedział z niedowierzaniem Starkman, gdy biegli w kierunku laboratorium. - Jak długo nad tym myślałeś?

- Od Tybetu - przyznał Chase.

Ocecił sytuację. Otwarty teren zapewniał nikłą osłonę zarówno dla ludzi Frosta, jak i dla żołnierzy Bractwa. Budynki dadzą przeciwnikowi pewną ochronę, ale łatwo będzie go oskrzydlić.

Stinger został wystrzelony z budynku ochrony w północno-zachodnim narożniku całego kompleksu. Jeśli ludzie Frosta mieli jakąś broń ciężką, to właśnie tam.

- Jason! Sześciu ludzi do osłony! - Kiwnął rękaw tamtym kierunku. Starkman przekazał rozkaz.

Sześciuosobowy zespół oddzielił się od grupy głównej. Chase szybko zbliżył się do laboratorium. Nie licząc frontowych drzwi i wejścia dla ochrony, do budynku można się było dostać tylko schodami przeciwpożarowymi oraz po rampie prowadzącej do podziemnego garażu. Co znaczyło, że najbliższym miejscem, z którego mogli się wyłonić ludzie Frosta, było...

Drzwi z ciemnego szkła otworzyły się i z budynku wybiegli umundurowani strażnicy uzbrojeni w MP-7. Prawdopodobnie z przebijającą płyty pancerne amunicją, jakiej Chase użył w Tybecie.

- Rozwalić ich! - zawołał, padając szczupakiem na ziemię i unosząc swój UMP.

Starkman i jego sześciu towarzyszy uczynili to samo. Z frontowej ściany budynku trysnęły fontanny pyłu, gdy zaczęli prażyć pociskami kaliber 45 milimetrów. Drzwi roztrzaskały się, wśród nich rozbryzgiwała się krew trafionych ochroniarzy.

Z lewej od Chase'a zaterkotały następne MP-7, gdy drugi oddział strażników wybiegł z budynku. Byli przygotowani lepiej niż ich martwi kumple i mieli się gdzie schować: za murem po obu stronach schodów.

Drugi oddział Starkmana był o jakieś trzydzieści metrów od nich na otwartej przestrzeni i miał do przebiegnięcia spory kawałek. Członkowie Bractwa rozdzielili się na dwie trzyosobowe grupy i gdy jedni padli na ziemię i otworzyli ogień, osłaniając towarzyszy, tamci popędzili do najbliższego budynku.

Ochroniarze odpowiedzieli ogniem, starając się ustrzelić atakujących, zanim znajdą osłonę. Jeden ze strażników wystawił głowę za wysoko, pocisk wyrwał mu kawałek czaszki.

Jednak pozostali nadal strzelali.

Jeden z biegnących padł, gdy na jego piersi pojawiły się czerwone plamy. Jego towarzysze nie zwolnili, póki nie dotarli do budynku. Ochroniarze zaczęli ostrzeliwać tych, którzy leżeli. Grudki piachu wylatywały w powietrze, gdy pociski biły o ziemię. Chase zobaczył, jak linia rozpryskującego się piasku zbliża się do jednego z żołnierzy Bractwa jak wąż do ofiary, lecz nie mógł go w żaden sposób ostrzec.

Razem z grudkami piachu w powietrze trysnęła krew.

Strażnicy zmienili kierunek ostrzału, usiłując trafić pozostałych ludzi leżących na ziemi...

Para granatów rzuconych precyzyjnie przez oddział za budynkiem przeleciała łukiem i eksplodowała nad schodami, zasypując ochroniarzy gradem szrapneli. Wszystkie szyby w promieniu dziesięciu metrów wypadły z okien na skutek wybuchu.

- Główne wejście! - krzyknął Chase, pędząc w kierunku drzwi. Starkman i pozostali też ruszyli, osłaniając Chase'a.

Chase dopadł drzwi i przywarł do ściany. Zerknął do środka. Przy biurku w kształcie podkowy nikt nie siedział, strażnicy, którzy pełnili tam wartę, leżeli martwi u stóp Chase'a. W zasięgu wzroku nie było nikogo - ani pracowników ochrony, ani cywili.

Starkman zajął pozycję po drugiej stronie drzwi. Chase wbiegł do holu. Za biurkiem znajdowało się wejście do głównego korytarza ze szklanym dachem, z boku były schody.

Otworzyły się drzwi, Chase wycelował karabin. W drzwiach stanęła młoda blondynka, która znieruchomiała ze strachu, gdy go zobaczyła.

- Hej - powiedział Chase, machając do Starkmana, żeby wstrzymał ogień. - Mówi pani po angielsku?

Kobieta z szeroko otwartymi oczami kiwnęła potakująco głową.

- Proszę opuścić budynek. Niedługo będzie tu pożar. No, właściwie to raczej eksplozja, ale... - Spostrzegł alarm pożarowy na ścianie. - Jest tam ktoś jeszcze?

Kobieta znów pokiwała głową, zbyt przerażona, by się odezwać.

- Powiedz, żeby wyszli z budynku... i wzięli nogi za pas! - Kolbą UMP rozbił szybkę, za którą był alarm. Zabrzączał dzwonek. Chase skrzywił się: przez ten hałas trudniej będzie usłyszeć zbliżających się strażników... ale im szybciej cywile opuszczą budynek, tym lepiej.

Ponieważ za pięć minut w ogóle nie będzie żadnego budynku.

Odsunął się od drzwi z bronią cały czas wymierzoną w wybiegających ludzi, na wypadek gdyby któryś był uzbrojony, i kopniakiem otworzył następne. Kanciapa dla ochroniarzy. Pusta.

Wiedział jednak, że w budynku jest więcej strażników...

Starkman i reszta jego ludzi wbiegli do holu, gdy cywile uciekli.

- Podłóżcie ładunki! - zawołał Chase, przekrzykując dzwonek alarmowy i wskazując na drzwi, zza których wyszli pracownicy Frosta. - Najpierw upewnijcie się, że w środku nie ma już cywilów!

- Może się zrobić niezły bajzel! - poskarżył się Starkman. Po schodach zbiegali ludzie z pierwszego piętra. - Jeśli ochroniarze wmieszają się w tłum...

- To będziecie musieli celować! Wy, Amerykańcy, pamiętacie jeszcze, jak to się robi, prawda? - Chase posłał Starkmanowi sarkastyczny uśmiezek, potem schował się za biurkiem, obserwując schody i centralny korytarz, gdy przez hol przelewał się tłum pracowników laboratorium. Naukowcy, laboranci...

I ochroniarze! Przepychali się między cywilami, z uniesionymi empesiódemkami...

Chase miał nadzieję, że cywile wpadną na to, żeby pochylić głowy. Specjalnie mierząc wysoko, oddał trzy strzały i kucnął za biurkiem. Podniósł się wrzask. Terkot pistoletów MP-7 odbił się echem po sali, kosztowny marmurowy blat biurka rozorały pociski.

Znowu strzały, tym razem z UMP, gdy Starkman i jego ludzie odpowiedzieli ogniem. Znowu krzyki, a po chwili strzały umilkły. Chase wyjrzał zza biurka i z ulgą stwierdził, że tylko strażnicy dostali.

- Miałeś rację! - zawołał Starkman. - To całe celowanie naprawdę przynosi efekty!

Chase uśmiechnął się, a potem skinął na ludzi na schodach, pokazując im ręką drzwi.

- Wszyscy na zewnątrz! Jason, powiedz swoim chłopakom, żeby umieścili kilka ładunków na słupach nośnych w garażu. Niech to wszystko się zawali!

- A co z tobą? - spytał Starkman. Chase wskazał głową środkowy korytarz.

- Frost przechowuje wirus w sektorze bezpieczeństwa biologicznego. Musimy wysadzić w powietrze skarpe, żeby wszystko zasypać!

- Jak dla mnie, bomba! Będę cię ubezpieczał. Aristides i Lime, za mną... pozostali, podłóżyc ładunki w garażu, a potem wiać!

Chase zajrzał do korytarza. Biegła nim kolejna grupa uciekających.

- Chodźmy!

Ruszył truchtem, a Starkman i inni za nim.

Kobiety i mężczyźni, którzy biegli z naprzeciwka, zareagowali tak, jak można się było spodziewać, gdy zobaczyli czterech uzbrojonych facetów w kamizelkach kuloodpornych. Zaczęli uciekać im z drogi, biegnąc jak najbliżej ścian.

- Opuścić budynek! - ryknął Chase. - Szybko!

- Mamy towarzystwo! - zawołał Starkman, pokazując ręką na wprost. Chase zobaczył dwóch umundurowanych mężczyzn, którzy przykucnęli za stanowiskiem wartowniczym na końcu korytarza i składali się do strzału...

Skoczył w bok, jeden z pocisków trafił pracownika, który stał pośrodku korytarza, sparaliżowany strachem.

- Szlag! - syknął Chase.

Cywile wciąż przemykali przez korytarz, zasłaniając mu cel, a strażnicy nie przejmowali się nimi. Nie miał wyboru.

Uniósł UMP i puścił serię w stanowisko wartowników, starając się nie trafić żadnego ze spanikowanych cywili. Ochroniarze uchylili się, gdy wokół nich posypał się grad kul.

- Osłaniajcie mnie! - zawołał Chase. Obok przebiegał jakiś mężczyzna, Chase złapał go za ramię i wskazał ranną kobietę. - Zabierz ją stąd! - Mężczyzna, przerażony, pokiwał głową, a potem podtrzymując kobietę, powlókł się w kierunku holu.

Chase posiał następną serię, żeby nie dać strażnikom wytchnienia, a następnie pobiegł w głąb korytarza, trzymając się blisko ściany. Drzwi pierwszej śluzy powietrznej były już niedaleko.

Ogień za jego plecami osłabł. Podejrzewał, że ludzie Frosta wykorzystają okazję i ostrzelają przeciwników. Jak na komendę, jeden z ochroniarzy wyłonił się zza kontuaru, z MP-7 gotowym do strzału... i poleciał do tyłu, gdy Chase nafaszerował go całą zawartością magazynka.

Chase dał szczupaka, wyrzucając pusty magazynek. Zza kontuaru wyskoczył drugi strażnik. Ładowanie zajęłoby co najmniej trzy sekundy... Strażnik zobaczył go i wycelował MP-7... Starkman przedziurawił ochroniarzowi czoło.

- Ładny strzał - przyznał Chase.

- Owszem, bardzo ładny - odezwał się inny głos. Chase odwrócił się gwałtownie.

Frost!

Strzelił w tym samym momencie co Starkman. UMP obu nastawione były teraz na ogień ciągły, w szybę trafił grad pocisków. Dzyń, dzyń.

Kule pospadały na podłogę. Na przezroczystym aluminium nawet nie było rysy.

- Sukinsyn! - mruknął Starkman.

Frost zbliżył się do drzwi. Jego głos wydobywał się z głośniczka pod czytnikiem linii papilarnych.

- Pan Chase. Muszę przyznać, że pański widok jest dla mnie zaskoczeniem.

- Zalega mi pan z wypłatą - powiedział Chase, szukając sposobu na otwarcie drzwi. Może przy stanowisku wartowników znajdował się odpowiedni guzik...

- Szkoda fatygi - oznajmił Frost. - Ten sektor laboratorium jest teraz zupełnie odcięty od reszty. Nie uda wam się wejść.

- Może nie uda nam się wejść, ale dopilnuję, żebyś ty nigdy stamtąd nie wyszedł - odparł Starkman. Otworzył jedną z kieszeni przy pasie i wyjął CL-20. - Cały kilogram. Spuścimy ci to wszystko na łeb, tak jak ty próbowałeś załatwić nas w Tybecie.

Frost tylko się uśmiechnął.

- Życzę wam szczęścia. - Obrócił się na pięcie i zaczął odchodzić.

- Frost! - krzyknął Chase. - Gdzie Nina? Frost przystanął i obejrzał się przez ramię.

- Doktor Wilde jest z moją córką. Kari przekonała mnie, żebym zachował ją przy życiu: ma nadzieję, że uda jej się przemówić doktor Wilde do rozumu, aby przyłączyła się do nas, zanim rozpylimy wirus.

- A kiedy to będzie?

- Gdy tylko ich samolot osiągnie pułap dziesięciu tysięcy metrów. - Chase i Starkman popatrzyli po sobie w popłochu. - Owszem, już realizuję mój plan. Spóźnił się pan, panie Starkman. Qobrasowi nie udało się mnie powstrzymać i nie uda się panu. Może zechce się pan nad tym zastanowić... zanim pan umrze. Co bez względu na wszystko nastąpi w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. - Znów się uśmiechnął. - Żegnam, panowie. - Odszedł i wkrótce zamknęły się za nim drzwi śluzy.

Starkman ze złości posłał za nim jeszcze jedną serię. Drzwi były nietknięte.

- Skurwysyn!

- Jeśli jest coś, czego nienawidzę - zauważył Chase - to zadowolonych z siebie skurwysynów.

- Myślisz, że kłamał? Z tym wirusem?

- Jeśli samolot jeszcze nie wystartował, to wciąż mamy szansę. W przeciwnym razie mamy przechłapanę. Podobnie jak reszta świata. Tak czy owak... - Wyciągnął własny ładunek CL-20 - Zrobimy to, po co przylecieliśmy, i zrównamy to miejsce z ziemią. Mercedes zatrzymał

się pod ogromnym skrzydłem airbusa A380. Olbrzymi samolot transportowy czekał na płycie przed hangarem, grzejąc silniki. Kari wepchnęła Ninę po schodkach na pokład, dwaj ochroniarze podążyli za nimi.

A380 miał trzy pokłady. W samolocie rejsowym środkowy pokład, na którym się właśnie znalazły, byłby niższym z dwóch pokładów pasażerskich, lecz wszystkie trzy pokłady transportowca zostały przystosowane do przewozu kontenerów towarowych. Weszły do kabiny obsługi. Drzwi w głębi otwierały się na ładownię. Nina zerknęła przez nie na pozbawiony okien pokład, który okazał się wypełniony tylko w jednej trzeciej.

Wiedziała, że gdzieś między kontenerami znajduje się wirus czekający na rozpylenie...

Strome schodki prowadziły na górny pokład. Kari poleciła jej tam wejść. Nina spodziewała się, że zobaczy następny ogromny luk towarowy, i była lekko zaskoczona, gdy znalazła się w luksusowej kabinie pasażerskiej.

- Ojciec zaaranżował tu prywatny gabinet - wyjaśniła Kari. Zdjęła Ninie kajdanki. - Usiądź, proszę.

Nina uczyniła to z pewnym wahaniem i rozejrzała się dookoła. Wzdłuż prawej i lewej burty biegły rzędy iluminatorów, w ścianie w głębi były drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do następnej ładowni. Biurko w kształcie litery „L” miało wbudowany monitor komputerowy i dwa telefony.

Kari usiadła naprzeciwko niej na skórzanej sofie. Dwaj strażnicy nie weszli na górę, tylko zostali w kabinie załogi. Nina zastanawiała się, czy udałoby jej się unieszkodliwić Kari i uciec, zanim samolot wystartuje... ale z miejsca uznała ten pomysł za niewykonalny. W walce wręcz nie miała z Kari żadnych szans.

- Nie wiem, co chcesz przez to wszystko osiągnąć - powiedziała Nina. - Jeśli sądzisz, że radośnie przyklasnę temu, co zamierzacie zrobić...

- Nie oczekuję, że zmienisz zdanie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wiem, że to wszystko jest dla ciebie trudne do zaakceptowania. Ale musisz to zaakceptować... po prostu musisz.

- W głowie ci się pomieszało! Zwariowałaś! Czy serio myślisz, że chciałabym mieć z wami cokolwiek wspólnego?

Kari wyglądała na zranioną.

- Proszę, Nino, nie bądź taka! Nie rozumiesz? Jesteś jedną z nas. Jesteś prawdziwą Atlantyjką, kwiatem ludzkości! Zasługujesz na to, żeby razem z nami rządzić światem! - Wstała i przeszła przez kabinę.

Przez chwilę Nina myślała, że znowu ją uderzy, lecz zamiast tego uklękła przed nią. - Nie chcę cię zabijać, naprawdę! Po prostu powiedz, że zmieniłaś zdanie... nie musisz nawet mówić prawdy! Wiem, że gdy wszystko się zmieni, zaakceptujesz to i uznasz, że postąpiliśmy słusznie. Ale musisz to powiedzieć, jeśli chcesz żyć.

- Zabiłabyś mnie nawet mimo to, że należę do ścisłej elity? - sarknęła Nina.

- Nie mogę okazać nieposłuszeństwa ojcu. Nie uczynię tego. - Kari wyciągnęła do niej rękę, lecz Nina cofnęła swoje. - Jedno słowo, tylko o to proszę. Nawet kłamstwo! Błagam, wszystko mi jedno!

- Nie ma mowy - odparła Nina.

Niski pomruk silników podniósł się o kilka tonów. Zamrugały światła i A380 drgnął, a potem ruszył z miejsca.

- Pierwsza partia wirusa zostanie rozpylona około piętnastu minut po starcie - oznajmiła Kari, wracając na sofę. - Tyle masz czasu, by zmienić zdanie. Proszę, Nino. Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię zabiła.

Nina odwróciła głowę i wyjrzała przez świetlik na fiord. Czuła się zagubiona.

Chase słyszał przerywane serie z broni maszynowej, gdy razem ze Starkmanem i jego ludźmi biegł do wyjścia. Trzymał w dłoniach pistolet, lecz po wydostaniu się z budynku nie miałby czasu, żeby w ogóle wycelować. Teraz liczyło się tylko to, by znaleźć się jak najdalej od laboratorium.

Wybiegli na dwór. Chase zobaczył ostatnie grupki uciekających cywili i dwa białe jeepy grand cherokee zaparkowane w poprzek drogi jakieś siedemdziesiąt metrów dalej. Za samochodami chowali się umundurowani strażnicy, obok leżało kilka ciał. Strzelali do dwóch pozostałych przy życiu członków drużyny Starkmana.

A po drugiej stronie fiordu zobaczył samolot, który toczył się powoli po pasie. Olbrzymi i lśniący A380.

Wirus znajdował się na pokładzie - może wciąż była szansa na pokrzyżowanie Frostowi planów.

Na pokładzie była też Nina.

Strażnicy za dzipami zauważyli ich i zaczęli walić z MP-7 do wszystkich, którzy uciekali z laboratorium. Chase odpowiedział ogniem, trzymając pistolet w jednej ręce, chociaż wiedział, że prawdopodobieństwo, że ich trafi, jest niemal zerowe. Musiał jednak trzymać ich w szachu na tyle długo, by zdążyć oddalić się od budynku. Lime runął na ziemię, gdy kula przeszła mu biodro. Instynkt i wyuczony przez lata szkoleń odruch kazał Chase'owi zawrócić i przenieść ранego, towarzysza w bezpieczne miejsce, ale w tym przypadku nigdzie nie było bezpiecznie.

Ładunki CL-20 mogły wybuchnąć lada moment... Bum!

W jednej chwili Nina wpatrywała się osowiale w kompleks budynków laboratoryjnych w oddali. W następnej podskoczyła na siedzeniu, gdy betonowe konstrukcje rozpadły się od serii eksplozji. Wybuch wyrzucił tony gruzu na wysokość kilkudziesięciu metrów, na boki rozszerzył się pierścień pyłu podobny do fali uderzeniowej bomby atomowej.

- Jezu!

Kari poderwała się z kanapy i podbiegła do okien.

- O mój Boże!

- To się dopiero nazywa ostatni bój! - powiedziała Nina z triumfem. Ludzie Qobrasa odnieśli zwycięstwo!

Lecz wtedy do niej dotarło: „To nie ma żadnego znaczenia”. Wirus był w samolocie, a nie w laboratorium. Za piętnaście minut zostanie rozpylony. Bractwo zaatakowało niewłaściwy cel!

Chase wyprostował się z trudem. Dzwoniło mu w uszach, ręką osłonił oczy przed kawałkami gruzu, które wciąż spadały z nieba, i rozejrzał się dookoła.

Nikt już nie strzelał. Fala uderzeniowa przewróciła na bok oba dzipy, które przygniotły chowających się za nimi ludzi.

Laboratorium zostało prawie zmiecione z powierzchni ziemi. Nieliczne fragmenty murów, które wciąż stały, były popękane. Ze zgliszczy sterczały powyginane kikuty stalowych dźwigarów.

Chase zmrużył powieki i wytężył wzrok, żeby przez niesiony wiatrem pył zobaczyć, jakie są zniszczenia podziemnego sektora laboratorium. Wejście było zasypane gruzem.

Ale gruz można było szybko uprzątnąć... Ku swojej rozpacz, zobaczył, że gabinet Frosta jest prawie nietknięty. Chociaż fasada była podziurawiona i popękana, wszystko

trzymało się wciąż w jednym kawałku - nawet okna, najwyraźniej wykonane z tego samego przezroczystego materiału co drzwi śluzy, przetrwały eksplozję.

To oznaczał, że Frost i jego wirus wciąż żyją.

Wirus...

- Niech to szlag! - Spojrzał na drugi brzeg fiordu. A380 wciąż toczył się na wschodni kraniec pasa. Kiedy tam dojedzie, zawróci i rozpędzi się po długim betonowym pasie, wzbije się w powietrze i poleci wzdłuż wybrzeża, by później rozpylić swój zabójczy ładunek.

Starkman jęknął. Aristides był kilka metrów za nim, z szeroko otwartymi martwymi oczami. Chase podbiegł i podniósł Amerykanina z ziemi.

- Chodź! Wirus jest w tym samolocie... wciąż możemy go zatrzymać!

Starkman otarł brud z twarzy.

- Zaraz wystartuje, Eddie. - Wskazał ręką most nad fiordem. - Za Chiny nie dotrzemy tam w porę.

Chase wskazał rezydencję.

- Wiem, gdzie znaleźć bardzo szybki wóz...

Monitor na biurku rozjaśnił się, oświetlając zmartwioną twarz Kari błękitną poświatą.

- Panno Frost - odezwał się kobiecy głos. - Mam wideopojęcie z pani ojcem.

- Uff, Bogu dzięki! - wykrzyknęła z ulgą Kari. - Myślałam, że nie żyjesz!

Głos Frosta popłynął z głośników w kabinie.

- Nic mi nie jest. Sektor bezpieczeństwa biologicznego prawie nie jest uszkodzony.

- Czy to byli ludzie Qobrasa? Widziałam spadochroniarzy lądujących na naszym terenie.

- To był Starkman... i Edward Chase. Kari osłupiała.

- Co? Ale powiedziałaś, że Qobras go...

- Eddie! - Nina skoczyła na nogi i podbiegła do biurka. - Więc on żyje? Co się stało?

Dobrze się czuje?

- Może zechcesz przypomnieć doktor Wilde, że okazywanie radości z tego powodu nie działa na jej korzyść - powiedział Frost cierpkim tonem. - Chase sprzymierzył się ze Starkmanem przeciwko nam.

Kari zmarszczyła brwi.

- Okłamałeś mnie! Jeśli wiedziałeś, że żyje...

- To w tej chwili bez znaczenia - przerwał jej Frost. - Liczy się tylko to, że im się nie udało. Wciąż mamy kultury wirusa, a Schenk przegrupowuje właśnie oddziały ochrony, żeby uniemożliwić Chase'owi przedarcie się przez most i zaatakowanie samolotu. Myślałem, że Chase i Starkman już nie żyją... ale wkrótce na pewno zginą.

- Niezłe bryki. - Starkman był pod wrażeniem. Stali z Chase'em w podziemnym garażu rezydencji przed kolekcją samochodów i motocykli należącą do Kari. - Która jest najszybsza? Lamborghini? McLaren?

Strzałem z pistolem Chase otworzył szafeczkę, w której wisiały kluczyki.

- Nie, nie. Potrzebujemy kabrioletu, a więc... ferrari. - Skinął na jaskrawoszkarłatne F430 spider, zauważając brak sportowego motocykla, który wcześniej stał obok, a potem zaczął szukać odpowiednich kluczyków. Łatwo było je znaleźć - logo z czarnym koniem na żółtym tle rozpoznał natychmiast.

- Kabriolet? Dlaczego?

- Ponieważ będę musiał strzelać. Po drodze natkniemy się na następnych strażników: nie pozwolą nam ot tak przejechać przez most! - Rzucił kluczyki Starkmanowi. - Chodź! Ty prowadzisz!

- Masz jakiś szatański plan? - zapytał Starkman, gdy Chase wskoczył na fotel dla pasażera.

- Nie. Tylko improwizuję!

- Jak zwykle, artysta, co? - Starkman usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki. Silnik ferrari obudził się do życia z niemal zwierzęcym pomrukiem. - Myślisz, że uda ci się zestrzelić samolot pistoletem maszynowym?

- Wcale nie chcę go zestrzelić: na pokładzie jest Nina! Jazda! Ferrari wyrwało do przodu z piskiem opon, gdy Starkman za mocno przydepnął pedał gazu.

- Rany! Wrażliwa bestia! - Zmniejszył trochę obroty i skręcił w stronę bramy, która zaczęła się automatycznie otwierać, gdy się zbliżyli. - Chcesz ją uratować? Niby jak? Wskoczysz na samolot w momencie, gdy będzie startował?

- Jeśli będę musiał! - Chase popatrzył na sprzęt, który Starkman miał na plecach. - Daj mi swój hak z wyrzutnią.

- Chyba ci odbiło! - zaprotestował Starkman, ale wręczył Anglikowi hak.

Brama uniosła się na tyle, że ferrari mogło się zmieścić. Starkman dodał gazu, silnik zawył. Auto wystrzeliło jak pocisk.

- Ożeży!

- Zawsze chciałem takie mieć! - Chase sprawdził amunicję w magazynku, a potem spojrzął przed siebie. Droga z rezydencji biegła zygzakiem po zboczach, łącząc się z jezdnią prowadzącą na most, gdzie przejazd blokowały dwa następne jeepy grand cherokee. Za nimi, na środku mostu, stało srebrne bmw X5.

Starkman skinął głową, za dżipami czaili się ochroniarze.

- Przykro mi to mówić, ale ferrari nie są kuloodporne!

- Dżipy też nie! Gotowy?

Ferrari F430 wjechało w ostatni wiraż.

- Lepiej już nie będę! - Starkman wziął w lewą rękę UMP, prawą trzymając kierownicę. Ferrari wyszło na prostą, prowizoryczna blokada znalazła się przed nimi...

- Ognia!

Ferrari przyspieszyło, a Chase posiał serię w kierunku jeepa po prawej stronie. Starkman wystawił rękę z samochodu i ostrzelał drugi wóz, zużyte łuski obijały się z brzękiem o przednią szybę.

Dżipy zatrzęsły się, szyby w oknach popękały, a karoserie zaczęły przypominać rzeszoto. Chase zobaczył, jak jeden z ochroniarzy upadł. Nie oczekiwał, że wyeliminuje ich wszystkich, chciał tylko uniemożliwić im ostrzał, póki ferrari nie minie barykady.

- Na chodnik! - krzyknął.

- Co?

- Zjedź na chodnik! - Dżipy zablokowały oba pasy jezdni, lecz po prawej był chodnik dla pieszych.

- Nie zmieścimy się!

- Zmieścimy! - Zresztą i tak nie mieli wielkiego wyboru. Nie było żadnej wątpliwości, jak skończyłoby się zderzenie lekkiego włoskiego samochodu sportowego z dwutonowym amerykańskim SUV-em.

Starkman odbił gwałtownie w prawo, obaj wciąż walili do dżipów. Chase'owi skończyła się amunicja. Pociski zabębniły w bok ferrari, gdy ochroniarze odpowiedzieli ogniem.

- Niech to szlag! - zawołał Starkman. - Nie zmieścimy się!

- Po prostu jedź! - krzyknął Chase, przygotowany na najgorsze, gdy F430 najechało na krawężnik. Przedni spoiler pękł przy uderzeniu, niskoprofilowe koła przywalały w beton.

Lewy bok samochodu szorował z piskiem o barierkę mostu, podczas gdy przedni błotnik od strony Starkmana zawadził o tył dżipa i wgiął się jak cynfolia. Boczne lusterka urwały się, zasypując obu odłamkami szkła.

- Głowa w dół! - krzyknął Chase, gdy Starkman skręcił z powrotem na jezdnię. Z tyłu znów posypał się grad pocisków, gdy obaj skulili się w fotelach. Jedna kula trafiła z brzękiem w pałąk zaledwie kilka centymetrów nad głową Chase'a. Starkman znów dodał gazu. Ferrari pomknęło jak burza. Chase, którego wcisnęło w fotel, wydał mimowolny okrzyk zachwyty.

- Jasny gwint!

- Dobry wybór samochodu! - zawołał Starkman, przekrzykując świst wiatru. - Więc...

Trzasnęła przednia szyba.

Starkman zadrżał spazmatycznie, gdy krew siknęła mu z rany na piersi, przez dziurę w kamizelce. Ferrari jechało teraz na luzie, wytracając prędkość.

- Jezu! - wrzasnął Chase. Chwycił kierownicę, usiłując wyminąć bmw zaparkowane z przodu.

Obok wozu, z lśniącem rewolwerem w dłoniach, stał ktoś, kogo Chase rozpoznał natychmiast. Schenk.

Rozpoznał też pistolet. Szef ochrony Frosta postrzelił Starkmana wildeyem.

Jego własnym wildeyem.

Chase nie zmienił magazynku pistoletu maszynowego. Schenk wycelował w niego długą niklowaną lufę...

Chase puścił kierownicę i wyskoczył z wozu. Usłyszał charakterystyczny huk wildeya, gdy pocisk magnum wyrwał w oparciu jego fotela dziurę wielkości pięści. Chase wylądował na ziemi i się przeturlał.

Znowu huk. Kawałek asfaltu poleciał w powietrze. Chase turlał się dalej, wyrzutnia z hakiem wrzynała mu się w plecy. Toczące się ferrari uderzyło w bok SUV-a i stanęło. Silnik zgasł. Schenk odskoczył do tyłu, chowając się za swoim wozem.

Chase poderwał się na nogi i pobiegł do bmw. Schenk zobaczył go i znowu wystrzelił, lecz Chase dał susa za samochód, sięgając po nowy magazynek.

Kurwa!

Zorientował się, że coś jest nie tak. Magazynek był odkształcony, wypaczony. Musiał przygnieść go własnym ciężarem, kiedy się turlał po asfalcie. Oczywiście teraz nie pasował do pistoletu.

Chase wyrzucił bezużyteczny magazynek i chwycił UMP za lufę i zamachnął się, kiedy Schenk wybiegł zza bmw z wildeyem w garści...

Pocisk poleciał w niebo, gdy Chase podciął Niemcowi nogę kolbą pistolem. Schenk stęknął i zachwiał się, kręcąc ramionami młyńce.

Chase natarł jak obrońca rugby i pchnął Niemca na barierkę, usiłując wrzucić do wody.

Lecz Schenk był zbyt potężnie zbudowany, by Chase'owi udało się go pokonać w walce wręcz. Niemiec ugiął nogi w kolanach, zamachnął się i zdzielił Chase'a kolbą wildeya w kark. Chase nie zdążył się pozbierać, gdy Schenk kopnął go w głowę. Chase przekręcił się na bok. Półprzytomnie popatrzył w górę.

Lufa wildeya była wycelowana prosto w jego twarz. Nad sobą widział gębę Schenka. Niemiec wyszczerzył zęby w uśmiechu...

Piast!

Chase skulił się mimo woli. Ale to nie wildey wypalił.

To Starkman wystrzelił ostami nabój w magazynku swojego UMP i trafił Schenka w prawy bark. Niemiec wypuścił wildeya z dłoni i poleciał do tyłu, objając się plecami o barierkę.

Chase złapał rewolwer w locie i wymierzył lufę w Schenka.

- Myślę, że to moje.

Nacisnął cyngiel. Kula trafiła Schenka w lewe oko i przeszła przez czaszkę na wylot. Niemiec przechylił się przez barierkę i runął do lodowatej wody.

Chase powłókł się do ferrari. Starkman leżał oparty o drzwiczki, z ust płynęła mu spieniona krew. Przez chwilę Chase myślał, że Amerykanin nie żyje, lecz tamten zamrugał i spojrzał na niego.

- Załóżę się, że teraz się cieszysz, że mnie nie zabiłeś, co? - wymamrotał. Wyprostował się i opadł na oparcie fotela. - Wskakuj, musisz zdążyć na samolot...

Chase otworzył drzwiczki, żeby przenieść Starkmana na miejsce pasażera, lecz Amerykanin pokręcił głową.

- Zostaw mnie... Jestem już do chrzanu, a znowu mamy towarzystwo. - Spojrzał do tyłu. Jeden z dziupów z blokady już mszył za nimi w pościg, a od strony biurowców nadjeżdżały posiłki. - Powstrzymam ich...

- Jak?

Starkman uśmiechnął się z wysiłkiem i uniósł ładunek CL-20. Licznik czasowy już był włączony.

- Tylko postaraj się uciec z mostu w ciągu dwudziestu sekund - wykrztusił i ostatkiem sił wygramolił się z samochodu. - Do ostatniej kropli krwi, Eddie...

- Do ostatniej kropli krwi - powtórzył Chase, wskazując do ferrari. Wrzucił wsteczny bieg i wycofał się zza bmw, przestawił bieg na jedynekę i dodał gazu. Jazda na fotelu pasażera w żaden sposób nie mogła się równać z przeżyciem panowania nad mocą czterystu osiemdziesięciu trzech koni. Przyspieszenie było tak gwałtowne, że miało się wrażenie, jakby się leciało odrzutowcem. Nim Chase przypomniał sobie o zmianie biegu, już grzał sto kilometrów na godzinę.

Przy stu trzydziestu, przesuwając lśniący chromem lewarek, wrzucił trójkę...

W lusterku zobaczył, że dziup zbliżył się do Starkmana, a pozostałe samochody właśnie wjeżdżają na most.

Drugi koniec mostu był coraz bliżej, lecz mógł tylko zgadywać, ile czasu mu zostało przed wybuchem. Sekundy.

Pruł teraz sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i przyspieszał, lecz wciąż był na moście...

Widok w lusterku zniknął w błysku światła. Chwilę później rozległ się huk potężny jak grzmot pioruna, a zaraz po nim niższy, bardziej złowroźbny pomruk.

Bomba Starkmana uszkodziła konstrukcję nośną i most zaczął się zapadać. Nawierzchnia pękała. W chwili gdy most runął do fiordu, Chase nacisnął gaz do dechy, ferrari poszybowało nad wodą i z impetem wylądowało na brzegu!

Chase usiłował zapanować nad autem. Wdepnął hamulec. Ferrari zadrżało, kiedy włączył się ABS, lecz wpadło w boczny poślizg, szorując po asfalcie.

Noga z hamulca i gaz do dechy...

Z piskiem udręczonych opon ferrari zatrzymało się przed lotniskiem w chmurze gryzącego dymu palonej gumy. Chase obejrzał się. Mostu nie było. Wody fiordu pochłonęły ochroniarzy Frosta.

I Starkmana.

Dzięki za wszystko, stary, Chase pożegnał się z Jasonem.

Na płycie lotniska kołował A 380.

Chase wrzucił pierwszy bieg i ruszył z piskiem opon.

29

Jeszcze nie wiedział, jak zatrzyma samolot. Zajechanie drogi nic by nie dało. Olbrzymi airbus po prostu zepchnąłby sportowe autko.

Ostrzelanie samolotu też odpadało - ryzyko, że Nina by zginęła, było zbyt duże.

Grzał teraz prawie dwieście trzydzieści kilometrów na godzinę, choć oczy mu łzawiły i ledwo widział prędkościomierz. A380 wyglądał jak biała rozmazana plama, gdy skręcał na pas startowy.

- Panno Frost! - zabrzmiał w interkomie głos pilota. - Na pasie startowym jest samochód!

Kari wyrzała przez okno.

- Co? - zdziwiła się.

Nina wyglądała zza jej ramienia.

Ferrari pędziło w ich stronę z ogromną prędkością. Nina rozpoznała kierowcę.

- O mój Boże! To Eddie! Kari podeszła do interkomu.

- Tu Kari Frost. Musi pan wystartować. Bez względu na to, co będzie się działo. To rozkaz. - Wróciła do okienka. - Co on, do cholery, wyprawia?

- Próbuje was powstrzymać - odparła Nina. Kari zacisnęła zęby.

- Nie uda mu się. - Podeszła do schodków i krzyknęła do strażników na niższym pokładzie:

- Bierzcie broń i otwórzcie właz! Ktoś próbuje nas powstrzymać przed wystartowaniem...

Kari stała tyłem.

Nina zadziałała instynktownie. Popchnęła Kari, która zaskoczona, nawet nie próbowała przytrzymać się czegoś. Spadła ze schodów na dolny pokład.

Nina wlepiła w nią wzrok wstrząśnięta tym, co zrobiła, zanim odezwał się instynkt samozachowawczy. Walczyć albo uciekać... Uciekać!

Popędziła do drzwi, modląc się, żeby nie były zamknięte. Nie były. Znalazła się w górnej ładowni, gdzie stał rząd przymocowanych pasami kontenerów. Rzędy białych diod na suficie rozjaśniały pomieszczenie bladym światłem.

W drzwiach nie było zamka. Nina rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby je zablokować.

Najbliższy kontener stał tylko metr od niej, unieruchomiony grubymi pasami przyczepionymi do klamer w podłodze. Pociągnęła za drążek, który - miała nadzieję - służył do rozpinania pasów. Z głośnym trzaśnięciem pas puścił. Nina przewinęła go przez ucho w ścianie, a następnie obwiązała klamkę, naciągając pas jak najmocniej. Nie uniemożliwi to otwarcia drzwi, lecz bardzo utrudni przecięcie się do ładowni.

Odsunęła się od drzwi, spoglądając w głąb ładowni.

Wirus...

Jeśli miał zostać rozpylony w powietrzu, powinien się znajdować w pojemniku, który musiał mieć jakieś wyjście na zewnątrz. Gdyby go znalazła, może udałoby się jej pokrzyżować Frostom plany.

Głośne kroki z kabiny: ktoś wbiegał po schodach.

Nina popędziła w głąb ładowni.

A380 wychodził właśnie z zakrętu, a Chase dotarł prawie na koniec pasa. Pod kadłubem znajdowało się aż pięć goleni podwozia, jedna pod nosem i cztery pozostałe rozmieszczone jak najszerzej, żeby ciężar samolotu rozłożony był równomiernie.

Kiedy podwozie się wsunie, powinny tam być włazy, przez które będzie się mógł dostać do środka samolotu, o ile oczywiście wcześniej uda mu się dostać na jedną z goleni.

Powinny być włazy, ale to nie znaczy, że są przypomniał sobie.

Musiał jednak spróbować. Teraz albo nigdy. Cztery ogromne silniki A380 zaczęły się rozgrzewać.

Opony ferrari zapiszczały, gdy odbił prawie na krawędź pasa. Nie, żeby zjechać samolotowi z drogi, tylko po to, by wykonać jak najostrzejszy skręt przy jak najmniejszej wytracie prędkości, gdy wjedzie pod kadłub maszyny.

Wyrzutnia z hakiem leżała już przygotowana na fotelu pasażera.

Będzie miał tylko jeden strzał - jeśli spudłuje, to istniało duże prawdopodobieństwo, że zginie, gdy ferrari wjedzie w rozgrzany strumień powietrza z silnika. Gdyby to jednak przeżył, wkrótce i tak byłby martwy - zabity przez ludzi Frosta albo przez jego wirus.

Nawet gdyby mu się powiodło, prawdopodobnie i tak czekała go rychła śmierć. Ale musiał przynajmniej spróbować.

Żar spiekł mu twarz, gdy przejechał pod silnikami na lewym skrzydle. Ferrari o mało nie wpadło w poślizg, więc musiał popuścić trochę pedał gazu - gdyby teraz popełnił błąd, już nigdy nie dogoniłby samolotu.

Otworzyła się kłapa włazu w części dziobowej. Ktoś wychylił się z bronią w dłoni - jeden z ludzi Frosta. Szukał Chase'a.

Przeciążone opony ledwo zachowywały przyczepność...

Teraz, dokładnie za kadłubem, Chase wyrównał tor jazdy, celując między dwie pary goleni pod brzuchem maszyny.

Hałas silników podniósł się do przeszywającego pisku i samolot zaczął przyspieszać.

Jak na swe kolosalne rozmiary airbus miał mocny zryw. Rozżarzone powietrze buchnęło w Chase'a z siłą huraganu, gdy ferrari śmignęło pod ogon samolotu. Masywny kadłub wypełnił Chase'owi pole widzenia, wyglądał niczym gigantyczny młot, gotowy go zmiażdżyć w każdej chwili.

Znalazł się między tylnymi goleniami podwozia, wciąż jechał szybciej niż samolot, lecz nie na długo.

Chwycił wyrzutnię z hakiem.

Teraz zrównał się z przednimi goleniami. Żeby dotrzymać airbusowi tempa, przyciskał gaz do samej dechy. Lekki skręt kierownicą i zbliżył się do lewej goleni i czterech ogromnych kół.

Jeden strzał.

Koła były ćwierć metra od boku ferrari.

Kiedy samolot jeszcze bardziej przyspieszył, Chase wycelował wyrzutnię w luk podwozia. Jedna szansa... Ognia!

Hak wystrzelił, ciągnąc za sobą linkę. Wleciał do luku i wbił się w wewnętrzną ściankę. Gdyby się oderwał, byłoby po wszystkim... Utrzymał się!

Ostro zakończony hak przebił się przez metalową wręgę.

Chase musiał się go ucześcić tylko na kilka sekund. Wcisnął guzik nawijania liny, wetknął wyrzutnię w koło kierownicy. Potem puścił kierownicę i wyprostował się, z trudem stawiając opór strumieniowi pędzącego z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę powietrza. Chwycił linkę, gdy tylko się naprężyła...

Ferrari skrzyknęło gwałtownie, pociągnięte za goleń podwozia.

Chase przeskoczył przez drzwiczki i zaczął się podciągać po linie. Pył i kamyki poderwane z ziemi przez koła samolotu poleciały mu w twarz. Musiał pokonać tylko niecały metr, lecz linka już ledwo wytrzymała.

Poszorował butami o płytę lotniska i o mało nie spadł. Krew pociekła mu spomiędzy palców, gdy linka wryła się w ciało.

Goleń podwozia była już tylko trzydzieści centymetrów dalej - wystarczyło, żeby zamachnął się ramieniem, a byłby w stanie wdrapać się do luku...Linką szarpnęło, gdy ferrari zarzuciło w bok niczym zabawką na sznurku. Chase czuł pod palcami, że hak puszcza...

Rzucił się rozpaczliwie na goleń, zakrwawionymi palcami chwytając metalowy słupek właśnie w momencie, gdy linka puściła.

Zerwane z uwięzi ferrari zakreśliło się jak bąk. Linka śmignęła obok, zabójczy zadziór haka błysnął mu tuż przy twarzy. Chase obejrzał się za nim odruchowo i zobaczył, jak tylne koła airbusa przetoczyły się po sportowym aucie, miażdżąc je w mgnieniu oka. Powyginane kawałki blachy poleciały na wszystkie strony.

Zderzenie zatrzęsło nawet tak masywnym samolotem. Chase wyteżył siły, żeby utrzymać się gołeni, wierzgając nogami i gorączkowo szukając oparcia dla stóp, zanim podzieliłby los F430.

Wreszcie natrafił butem na metalową podporę. Podciągnął się wyżej. Gdyby pomylił się w swoich rachubach - gdyby w luku nie było wjazdu - zostałby zmiażdżony w momencie, gdy podwozie schowałoby się w kadłubie.

Spojrzał w górę. Nie widział niczego poza metalowymi ścianami, płataniną kabli i przewodów hydraulicznych. W mordę...

Kiedy z niemal ogłuszającym wyciem silników airbus opuścił pas startowy, goleń podwozia zaczęła się chować do luku. Chase wygiął się rozpaczliwie, gdy został pchnięty w górę, a metalowe zebra kadłuba groziły, że potną go na kawałki...

Wjazd!

Kłapa była szeroka ledwie na sześćdziesiąt centymetrów, z klamką w kształcie pierścienia umocowaną w zagłębieniu blachy. Złapał ją. Ani drgnęła.

Chase pokręcił mocniej. Kłapa odskoczyła. Rzucił się przez ciasny otwór i wylądował z łoskotem, właśnie gdy podwozie się złożyło. Między gołenią a zadaniem luku było raptem dziesięć centymetrów wolnej przestrzeni.

Kiedy zewnętrzne klapy się zatrzasnęły, zrobiło się znacznie ciemniej, a huk silników przycichł do stłumionego ryku. Chase rozejrzał się dookoła. Znajdował się w wysokim na metr tunelu dla mechaników, oświetlonym małymi, lecz mocnymi lampkami diodowymi. Wzdłuż ścian biegły wiązki kabli.

Chase zamknął kłapę, rozejrzał się w poszukiwaniu wejścia do ładowni.

Nina usłyszała, jak ktoś wali w drzwi.

Nie miała pojęcia, co znajduje się w kontenerach, ale zauważyła, że żaden nie jest połączony z kadłubem. Trzymając się pasów, żeby nie upaść, gdy A380 zaczął się gwałtownie wzbijać w niebo, poszła w kierunku ogona.

Musiała przeszukać jeszcze dwa pokłady...

Chase przeszedł przez następny wjazd i znalazł się w przedniej ładowni dolnego pokładu, który był podzielony na dwie części, bo między nimi umieszczono urządzenia podwozia. Chase już wcześniej postanowił, że skieruje się w stronę dzioba - brał pod uwagę sterroryzowanie pilotów.

Jeśli wirus znajdował się w tyle samolotu, to pokpił sprawę...

Ładownia była zapełniona aluminiowymi kontenerami. Nie było mowy, żeby udało mu się między nimi precyzyjnie. Wspiął się więc na najbliższy kontener i poczołgał się dalej.

Kari precyzyjnie przeszła przez drzwi. Schyliła się i przeszła pod pasem przywiązanym do klamki, a potem rozejrzała się po ładowni. Otarła krew z dolnej wargi. - Och, Nino, naprawdę żałuję, że to zrobiłaś... Potem uniosła pistolet i ruszyła za nią.

Na przedzie ładowni były drzwi. Chase otworzył je i po prawej zobaczył windę towarową, którą wożono wózek cateringowy. Obok była drabina prowadząca na górę.

Wspiął się po drabinie i trafił do ciasnej kabiny obstawionej metalowymi szafeczkami. Zerknął na napisy na naklejkach - sprzęt ratunkowy - a potem wyciągnął wildeya i uchylił drzwi.

Nikogo w zasięgu wzroku. Był teraz blisko dziobu samolotu. Pomieszczenie wyglądało na kabinę dla załogi: rząd siedzeń przy ścianie w głębi, a obok otwarte drzwi, przez które widać było główną ładownię. W ścianie po przeciwnej stronie były drugie drzwi.

Te musiały prowadzić do kabiny pilotów.

Z wildeyem gotowym do strzału Chase wszedł do kabiny załogi. Po lewej zobaczył schody na górny pokład, nikogo na nich nie było.

Co powinien teraz zrobić? Musiał znaleźć Ninę. Ale Frost powiedział, że wirus zostanie rozpylony, gdy samolot osiągnie wysokość przelotową, a sądząc po tym, jak szybko się wznosił, musiało to nastąpić niebawem.

Chase podjął decyzję.

Gdy otworzył drzwi kabiny pilotów, drugi pilot zerknął do tyłu, najwyraźniej spodziewając się ujrzeć kogoś z załogi - a potem krzyknął coś po norwesku do kapitana.

Chase zobaczył pistolet w ręce kapitana i zareagował. W ciasnej kabinie strzał z wildeya zabrzmiał jak salwa armatnia. Kula wybiła dziurę w oparciu fotela i przeszła pilota, by utkwić w ekranie jednego z monitorów. Na instrumenty bryzgnęła krew.

Ręka kapitana zsunęła się z drążka sterowego. Samolot przechylił się gwałtownie na bok. Chase rąbnął o ścianę. Kiedy odzyskał równowagę i podniósł wzrok, zobaczył, że drugi pilot zamiast pilnować sterów sięgnął po pistolet...

Wildey huknął jeszcze raz.

Dwaj ochroniarze, którzy szli na tył głównej ładowni, żeby odciąć Ninie drogę, usłyszeli pierwszy wystrzał, a gwałtowne przechylenie airbusa natychmiast potwierdziło, że coś jest nie tak. Kiedy usłyszeli drugi strzał, biegli już w kierunku kabiny pilotów.

Nina krzyknęła, gdy rzuciło ją o jeden z kontenerów. Złapała się pasa zabezpieczającego i wstała.

Była pewna, że tuż przed szarpnięciem samolotu usłyszała wystrzał.

Bardzo charakterystyczny wystrzał.

- Eddie... - szepnęła, mimo że ledwie śmiała uwierzyć, że to rzeczywiście on.

Samolotem znowu zatrzęsło.

Jeśli był na pokładzie, to robił tyle zamieszania co zwykle.

Chase usiłował wcisnąć się między fotele dwóch martwych pilotów. Ultranowoczesne systemy komputerowe w A380 pozwoliły na zastąpienie tradycyjnego ciężkiego steru czymś w rodzaju joysticka.

- Po kiego diabła to robiłeś, ty głupi ćwoku? - warknął retorycznie do kapitana.

Wreszcie udało mu się pchnąć drążek w bok. Ku jego ogromnej uldze, przechylił maszyny zaczął się zmniejszać.

I wtedy to do niego dotarło: nie miał zielonego pojęcia, co teraz zrobić. Nie umiał pilotować żadnego samolotu, o pięćsettonowym behemocie nie wspominając.

- Jasny gwint! - Rozpaczliwie rozejrzał się po tablicy sterowniczej. Jedynym wskaźnikiem, który potrafił zidentyfikować na pierwszy rzut oka, był sztuczny horyzont. Wskazywał on, że samolot wciąż się wznosi, a przechył jest większy, niż Chase by chciał.

Gdzie jest automatyczny pilot, do cholery?

Tam! „Włączenie automatycznego pilota”, u góry tablicy. Wcisnął odpowiedni guzik i ostrożnie puścił drążek. Kobięcy głos oznajmił, że automatyczny pilot został aktywowany, a samolot łagodnie wyrównał lot. Chase rozejrzał się w poszukiwaniu altymetra. Airbus leciał na wysokości nieco ponad trzech tysięcy sześciuset metrów, znacznie poniżej pułapu przelotowego.

Chase miał tylko nadzieję, że urządzenie zastosowane do rozpylenia wirusa nie ma włącznika czasowego.

Kari podniosła się, gdy A380 wyrównał lot. Dwa huk wystrzałów na dziobie sugerowały, że obaj piloci nie żyją... a zabił ich Chase.

Chase! Jak, do cholery, dostał się na pokład?

Oczywiście było to i tak bez znaczenia. Liczyło się, że jest w samolocie i stanowi zagrożenie.

Większe niż Nina? Kari oceniła skalę zagrożeń. Pojemniki z wirusem znajdowały się w kontenerze na środkowym pokładzie na samym końcu samolotu i były podłączone do rur, którymi zabójczy roztwór zostanie wypompowany na zewnątrz, gdzie rozpyli się w prądzie strumieniowym za ogonem airbusa. Gdyby Ninie udało się otworzyć kontener, to może zdołałaby unieruchomić jakiś mechanizm uwalniający.

Lecz najpierw musiałyby znaleźć sam kontener. A potem jeszcze się do niego włamać.

Chase, z drugiej strony, był w kabinie pilotów. Stanowił więc większe zagrożenie. Kari zawróciła.

Nina dotarła na koniec górnej ładowni. Przy żadnym z kontenerów nie widziała przewodów, które prowadziłyby na zewnątrz samolotu.

Co oznaczało, że wirus znajduje się na którymś z pozostałych pokładów.

Obawiała się, że będzie musiała wrócić na przód samolotu i jakimś sposobem przemknąć obok swoich prześladowców, lecz po chwili zauważyła w tylnej ścianie klapę. Otworzyła ją i wetknęła głowę do niskiego, ciasnego pomieszczenia z grubymi wiązkami przewodów elektrycznych i skrzynkami bezpiecznikowymi. Oraz klapą w podłodze.

Wgramoliła się do środka, otworzyła zatrzaski i uniosła klapę. Poniżej zobaczyła metalowy kontener, a przed nim paletę, na której stał duży, lśniący niebiesko-szary motocykl - ten sam, z którego Kari była tak dumna.

Zeskoczyła do ładowni na drugim pokładzie.

Samolot leciał teraz na automatycznym pilocie, więc Chase mógł odejść od sterów. Miał nadzieję, że w ten sposób zyskał trochę czasu. Jak sprowadzi maszynę na ziemię, to już inna sprawa...

Usłyszał za sobą kroki i rzucił się na lewą ścianę, gdy zaterkotały strzały. Pociski utkwiły w tablicy sterowniczej. Przez otwarte drzwi kabiny zobaczył faceta, który schował się za ścianką, czekając, aż kolega zapewni mu osłonę, żeby mógł się wychylić i oddać następną strzał.

Chase strzelił pierwszy. Pocisk magnum przedziurawił ściankę i trafił w cel. Do kabiny chlapnęła krew, ochroniarz runął twarzą na podłogę.

Jeden wyeliminowany. Ale za drzwiami wciąż był drugi strażnik.

Kabinę znów zasypał grad kul, wszędzie fruwały kawałki plastiku i płyty pilśniowej. Drugi ochroniarz też strzelał przez ściankę. Chase padł plackiem na pokład, gdy pociski uderzyły w ścianę i boczne panele nad jego głową.

Widział na podłodze pistolet martwego ochroniarza: SIG-Sauer P226. Przypuszczalnie drugi strażnik miał taką samą broń, co znaczyło, że w magazynku mieściło mu się piętnaście nabołów, z czego wystrzelił już trzynaście... czternaście...

Piętnaście!

Pomyłka w liczeniu mogła kosztować Chase'a życie. Przeturlał się do drzwi. Zobaczył, jak drugi ochroniarz gorączkowo ładuje magazynek...

Wildey znowu gruchnął. Pocisk zwałił strażnika z nóg i odrzucił w głąb kabiny.

Chase pobiegł na tył samolotu, po drodze kopnął pistolety obu mężczyzn na wypadek, gdyby okazało się, że są tylko ranni. Szybki rzut oka przekonał go, że nie żyją.

Jeśli na pokładzie nie było innych członków załogi, o których nie wiedział, pozostała tylko Kari.

No i Nina.

Nina usłyszała strzały i schowała się za motocyklem. Ostatni rozległ się huk wildeya. Co - miała nadzieję - znaczyło, że Chase wyszedł z potyczki zwycięsko... - Eddie? - zawołała. - Eddie!

Chase usłyszał kobiecy głos z ładowni.

Czy była to Nina... czy Kari? Przy hałasie silników trudno było odróżnić. Zbliżył się do drzwi, lecz zobaczył tylko metalowe kontenery i zimne światło.

- Nino! Czy to ty?

Z tyłu wychynęła głowa. Chase natychmiast rozpoznał kasztanowe włosy.

- Nino!

Wbiegł do ładowni.

Kari usłyszała Chase'a, gdy wróciła do luksusowej kabiny ojca. Przystanąła przed schodami, spoglądała w dół, upewniając się, że nie zaczął się w pobliżu, i zeszła po cichu po metalowych stopniach.

Z pistoletem gotowym do strzału weszła do kabiny załogi. Ani śladu Chase'a, ale dwaj ochroniarze leżeli martwi na podłodze. Drzwi do kabiny pilotów były otwarte. Jedno spojrzenie wystarczyło jej, żeby się przekonać, że obaj piloci też nie żyją.

Powinna zamknąć się w kabinie i odzyskać kontrolę nad lotem. Jednak dziury w ścianie świadczyły, że byłoby to ryzykowne. Chase mógłby ją zastrzelić nawet przez zamknięte drzwi.

A gdyby zasiadła za sterami, Chase i Nina mogliby znaleźć pojemniki z wirusem i uniemożliwić jego rozpylenie...

Mimo to wbiegła do kokpitu, żeby sprawdzić, co się dzieje z samolotem. Kilka wskaźników zostało uszkodzonych od kul, lecz udało jej się znaleźć informacje, których najpilniej potrzebowała. Automatyczny pilot był włączony, A380 leciał trzy tysiące sześćset metrów nad ziemią z prędkością trzystu dwudziestu węzłów. Fakt, że zboczył z kursu i nie osiągnął pułapu przelotowego, prawdopodobnie już zaniepokoił kontrolę lotów. Jeśli airbus nie będzie odpowiadał na zapytania wieży przez więcej niż kilka minut, zostanie przechwycony przez samoloty wojskowe. Niech to diabli!

Trzeba było zawrócić, zanim w całą aferę wda się wojsko. Gdyby wylądowała na prywatnym lotnisku w Ravnsfjord, wydarzenia na pokładzie samolotu można by było zatuszować, zwalić na „błąd człowieka”. Można by podjąć drugą próbę rozpylenia wirusa.

Przyjrzała się kontrolce automatycznego pilota, która na szczęście nie została uszkodzona. Komputery pokładowe A380 były supernowoczesne, a lotnisko Ravnfjord zostało wyposażone w najnowsze urządzenia wspomagania nawigacji: w sytuacji awaryjnej samolot mógł wylądować bezpiecznie dosłownie sam.

I całe szczęście, bo teraz na pokładzie nie było nikogo, kto umiałby pilotować ogromną maszynę.

Pocąc się nagle ze zdenerwowania, Kari uaktywniła sekwencję lądowania.

Chase przeciskał się między kontenerami, aż wreszcie dotarł do Niny, która czekała przy motocyklu Kari. Wziął ją w ramiona.

- Jezu, nic ci nie jest!

- Myślałam, że nie żyjesz! - wykrzyknęła.

- Ja, niemożliwe, kochanie. Jestem niezniszczalny. - Pocałowała go. - O-o! A co to było?

- Po prostu cieszę się, że cię widzę! - Uśmiech zniknął z jej z twarzy. - Eddie, posłuchaj... gdzieś w tym samolocie jest...

- Wirus, wiem. Orientujesz się gdzie?

- Nie, ale musi być w pojemniku z jakimś przewodem wychodzącym na zewnątrz. W górnym luku niczego takiego nie ma.

- Nie było też na tym pokładzie bliżej przodu - powiedział Chase - a w dolnej ładowni również niczego takiego nie widziałem.

- W takim razie do przeszukania zostało nam bardzo niewiele! Chodź! - Pociągnęła go w głąb ładowni. - Ty sprawdź te po lewej, a ja się zajmę tymi po prawej.

Po stronie Chase'a było mniej kontenerów i wszystkie wyglądały normalnie. Doszedł do ogromnych drzwi używanych do przeładunku i przystanął przed tablicą z guzikami. Może gdyby otworzył drzwi - albo wręcz je odrzucił, bo gdy przyjrzał się dokładniej, dostrzegł ostrzeżenie przed wysadzeniem bolców i rygli - zmusiłby samolot do...

- Eddie! - Obejrzał się przez ramię i natychmiast zapomniał o drzwiach, gdy zobaczył, jak Nina macha do niego gorączkowo. - Tutaj, znalazłam!

Ruszył w jej stronę. Stała przy parze stalowych rur prowadzących od kontenera do tylnej ściany samolotu.

- Proszę! - powiedziała. - Masz pomysł, jak nie dopuścić do rozpylenia wirusa?

Pokręcił głową.

- Zwykle gdy mam do czynienia z bronią masowego rażenia, po prostu wysadzam w powietrze cały pieprzony budynek! - Przy drzwiczkach kontenera była kłódka, ale parę uderzeń kolbą wildeya załatwiło sprawę.

- O mój Boże - wykrzyknęła Nina, gdy zajrzała do środka. Biorąc pod uwagę to, co Frost pokazał jej w laboratorium, spodziewała się małych szklanych pojemników. Zamiast tego zobaczyła trzy beczki podobne do tych, w jakich sprzedaje się ropę. - Co teraz robimy?

- Musimy to unieszkodliwić - odparł Chase, wskazując elektryczną pompę przy jednej z beczek. Obok znajdowała się skrzynka z przełącznikami: jeden guzik otwierał zawory, a po wciśnięciu drugiego pompa tłoczyła płyn do rur.

- A jeśli zainstalowali jakąś pułapkę?

- Po co? Nie spodziewali się, że ktokolwiek inny znajdzie się na pokładzie.

Wymierzył pistolet w skrzynkę.

- Hej, czekaj! - zawołała Nina - Nie możesz po prostu strzelać! A co, jak robi się spięcie, które uruchomi całe urządzenie?

Chase popatrzył na nią zniecierpliwiony.

- Mógłbym to rozmontować, ale brakuje nam czasu! - Znów wycelował...

Airbus przechylił się gwałtownie i oboje upadli.

- Kurczę! - powiedział Chase. - Co to było? Nina spojrzała w stronę dziobu.

- Kari. Musi być w kokpicie! Co ona wyprawia?

- Zawraca samolot - powiedział ponuro Chase. - Zabiera nas z powrotem do Ravnsfjord, żeby mogło nas osaczyć pięćdziesięciu chłopów.

- Ale, ale ona nie potrafi pilotować samolotu!

- Nie musi, komputer zrobi to za nią. Proszę. - Wyciągnął szwajcarski scyzoryk i podał go Ninie. - Znajdziesz tam końcówkę śrubokręta i nożyczki. Odkręć górną pokrywę, a potem przecinaj wszystkie kable.

- Jestem archeologiem, a nie elektrykiem! A ty co będziesz robił?

- Zajmę się Kari.

Nina zaczęła się mocować ze scyzorykiem: ostrza nie chciały się otworzyć. Przy pierwszej próbie udało jej się tylko boleśnie ułamać paznokieć.

- Niech to szlag! - Spróbowała jeszcze raz, bez większego powodzenia. - Eddie, zaczekaj!

Nie usłyszał. Sfrustrowana pobiegła za nim.

Chase dotarł do kabiny załogi i ostrożnie zajrzał do środka. Drzwi do kokpitu były wciąż otwarte. I ani śladu Kari.

Unióśł pistolet i wszedł. Dwa trupy leżały tam, gdzie je pozostawił. Gdzie ona jest?

Nie przemknęła obok niego w luku towarowym, więc wciąż była gdzieś w przednim sektorze. A to znaczyło, że schowała się w kokpicie, poszła na górny pokład albo ukryła się w schowku ze sprzętem ratunkowym.

Obserwując wejście do kokpitu, zbliżył się do drzwi schowka i otworzył je gwałtownie. Pusto.

Zamknął drzwi i przywarł do nich plecami, gotowy wychylić się za róg i sprawdzić schody. Już!

Tam też nikogo.

Rozluźnił się... a w tym momencie Kari zeskoczyła z góry, kopiąc go w twarz.

30

Ze złamanym nosem i łzawiącymi od bólu oczami Chase zatoczył się do tyłu. Przy lecącym w przechyle airbusie trudno było zachować równowagę.

Tymczasem otrzymał kolejny cios: Kari kopnęła go z obrotu, obcasem uderzyła w klatkę piersiową tak mocno, że zabrakło mu tchu.

Następny kopniak trafił w dłoń, w której trzymał pistolet. Ostry ból przeszył mały palec, gdy pękła kość. Wildey wypadł mu z ręki.

Chase zaatakował lewym prostym i Kari oberwała pięścią w policzek. Dziewczyna krzyknęła z zaskoczenia i z bólu i cofnęła się o krok.

Chase wiedział, że w pas skórzanych spodni Kari ma wetknięty pistolet. Kari spostrzegła, że zerknął w jego stronę. Kiedy sięgnęła po pistolet, Eddie natarł na nią barkiem i pchnął z impetem na drzwi schowka, pozbawiając ją tchu...

Pistolet wystrzelił.

Pałący ból eksplodował Chase'owi w lewym udzie. Noga natychmiast się pod nim ugięła. Kula przeszła przez mięsień, omijając kość, lecz ubranie miało mokre od krwi.

A380 wyrównał lot, pilot automatyczny trzymał teraz kurs dokładnie na Ravnsfjord.

Kari zaczerpnęła tchu.

- Niech cię diabli, Eddie - wydusiła. Uniosła dymiący pistolet, celując mu w twarz...

Minęła sekunda, potem druga, palec Kari na cynglu...

- Kari!

Nina stała w drzwiach do ładowni, trzymając oburącz wildeya Chase'a. I mierzyła prosto w Kari.

- Rzuć broń - powiedziała Nina.

- Nina? - Kari nie opuściła pistoletu.

- Kari, opuść pistolet. Opuść go!

- Nino, wciąż możesz zmienić zdanie. - Głos Kari przybrał niemal błagalny ton. - Wciąż możesz do nas dołączyć!

Nina zacisnęła zęby.

- Nie pozwolę ci zabić Eddie'ego.

- Nie mogę dopuścić, żeby naraził na niepowodzenie nasz plan. - Kari spojrzała znów na Chase'a. Mrużył z bólu oczy i ścisnął ranną nogę. Odwrócił głowę do Niny, chciał jej dać do zrozumienia, żeby strzelała. Gadają tylko amatorzy, chciał powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć słowa.

- Wasz plan jest absolutnym szaleństwem! - odparła Nina. - Twój ojciec to wariat!

Twarz Kari wykrzywiła się gniewnie.

- Nie mów tak!

- Przecież wiesz, że to prawda, Kari! Wiesz, że to, co robi, jest złe! Na litość boską, całymi latami ciężko pracowałaś, żeby ratować ludzkie życie! Pomyśl o wszystkich ludziach na świecie, którym pomogłaś! Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Muszę to zrobić - powiedziała Kari, choć widać było, że się waha. - Nie mogę okazać ojcu nieposłuszeństwa.

- Już to zrobiłaś! - przypomniała jej Nina. - Kiedy nie pozwoliłaś mu mnie zabić! I widziałam cię tutaj przed chwilą: mogłaś zabić Eddie'ego, ale tego nie zrobiłaś. Ponieważ na nim też ci zależy! Ocalił ci życie!

- Ale nie jest jednym z nas...

- Kari, nie ma żadnych „nas” i „ich” - nie ustępowała Nina. - Wszyscy jesteśmy ludźmi. Więc świat stoi przed wielkimi problemami... no to co? Zawsze były problemy!

Kari popatrzyła na nią niepewnie.

- Ale my możemy je rozwiązać...

- Zabijając miliardy ludzi! Tak się, twoim zdaniem, rozwiązuje problemy? - Wciąż z ciężkim rewolwerem wycelowanym w Kari, Nina zrobiła krok do przodu. - Kari, przecież cię znam. Nie jesteś ani Hitlerem, ani Stalinem, ani nikim takim. I możesz nie dopuścić, by twój ojciec dołączył do tych zbrodniarzy. Odłóż pistolet.

- Ja nie... nie mogę.

- Nie pozwolę ci go zabić. Ani jego, ani nikogo innego. Teraz Kari wycelowała w Ninę.

- Nie chcę cię zabijać - powiedziała Kari. - Proszę, nie zmuszaj mnie do tego.

- Nino, strzelaj - zdołał wystękać Chase.

- Ja też nie chcę cię zabijać, ale zrobię to, jeśli będę musiała - powiedziała Nina.

- Liczę do trzech, Nino. Proszę, rzuć broń. - Kari niemal błagała. - Raz...

- Strzelaj! - wychrypiał Chase.

- Dwa...

- Kari, opuść broń!

- Trzy!

Kari wypaliła.

Z tak małej odległości nie można było spudłować, lecz Kari w ostatniej chwili szarpnęła pistoletem do góry. Kula świsnęła obok Niny i utkwiała w ścianie.

Nina drgnęła.

I wystrzeliła.

Odrzut wildeya był tak mocny, że broń o mało nie wypadła jej z rąk.

Kari uderzyła plecami o drzwi. Pocisk kaliber 45 przeszedł na wylot przez jej ciało. Kari zsunęła się po drzwiach na podłogę obok Chase'a. Przerażona Nina wlepiła w nią wzrok. Wildey upadł na podłogę.

- O mój Boże... - wymamrotała. - Ja nie chciałam...

- Ona właśnie próbowała nas zabić - warknął Chase, znów chwytając się za ranną nogę i usiłując usiąść. - Potrzebuję twojej pomocy. - Oderwała wzrok od Kari i pomogła mu usiąść. - Dzięki.

Przyjrzała się jego nodze, całe spodnie miał we krwi.

- Jezu! Musimy znaleźć jakiś bandaż...

- Nie ma czasu. Pomóż mi się przedostać do kokpitu, muszę wyłączyć automatycznego pilota.

- Ale co potem? - zapytała.

- Musimy nie dopuścić do rozpylenia wirusa, a później skontaktować się z władzami i poinformować o poczynaniach Frosta.

- Ale co z wirusem w laboratorium? - spytała, podpierając go, gdy kuśtykał do kabiny pilotów. - Zanim uda ci się przekonać kogokolwiek, że Frost usiłuje zabić miliardy ludzi, on będzie miał już w powietrzu następny samolot!

Chase zatrzymał się w pół kroku.

- Laboratorium...

- Co?

- Wysadziłem w powietrze jego budynki, ale sektor bezpieczeństwa biologicznego jest wciąż nienaruszony. Musimy go zniszczyć.

- Jak? - Chase odwrócił od niej wzrok, rozglądając się po samolocie. - O nie... - Aż nazbyt wyraźnie przypominała sobie koszmar jedenastego września. Strefa zero znajdowała się niecałe pięć kilometrów od jej domu.

- Pięćset ton latającego żelastwa ze zbiornikami pełnymi paliwa rozwali laboratorium na dobre i spali wszystko w środku - powiedział ponuro Chase.

- Ale umrzemy! Chyba że... na pokładzie są spadochrony? Pokręcił głową.

- Nie ma drogi ucieczki. Chyba że... - Jego twarz rozchmurzyła się, gdy odwrócił się i spojrzął do tyłu. - Zapomnij o kokpicie... pomóż mi zejść do ładowni, szybko!

Frost stał przed oknem w gabinecie, spoglądając na wciąż dymiące ruiny laboratorium w dole. Dalej widać było fiord i kikuty mostu. Chase i jego kompani dokonali ogromnych zniszczeń na jego terenie. Odebrał już kilka telefonów od lokalnych władz z zapytaniem, co się u niego dzieje.

Lecz nie miało to żadnego znaczenia. Najważniejszy sektor laboratorium pozostał nietknięty, a mimo że Chase'owi udało się jakimś sposobem dostać na pokład A380 przy starcie, to nie udało mu się go zniszczyć.

- Panie Frost, wieża kontroli lotów właśnie nas poinformowała, że samolot wraca do Ravnsfjord na automatycznym pilocie - oznajmił jeden z jego podwładnych przez interkom.

- Jakies wieści od mojej córki?

- Jeszcze nie. Ale kontrola lotów dopytuje się, co się dzieje.

- Po prostu powiedz, że airbus ma drobną usterkę i zawróciliśmy go na wszelki wypadek do domu. - Frost spojrzął na lotnisko po drugiej stronie fiordu. - Kiedy wyląduje?

- Za około sześciu minut.

- Informuj mnie na bieżąco. - Rozłączył się i spojrzał w dal, szukając wzrokiem samolotu. Brak komunikacji trochę go martwił, podobnie jak użycie automatycznego pilota przy awaryjnym lądowaniu... lecz fakt, że A380 wraca do domu, podpowiadał mu, że jego ludzie wciąż panują nad sytuacją - Chase starałby się raczej wylądować gdzie indziej i zawiadomić norweskie władze.

Kiedy samolot wylądował, wszelkie zagrożenia będzie można zażegnać. Plan wciąż można zrealizować.

- Te trzy, zdejmij wszystkie pasy, które je podtrzymują - polecił Chase, wskazując trzy kontenery na końcu głównej ładowni przy lewej burcie.

- Ale wtedy będą się przesuwają, kiedy samolot zmieni kurs - powiedziała Nina.

- I nie tylko przesuwają. No, pośpiesz się. - Kiedy Nina pozwaliała dźwignie zaczepów, Chase pokuśtykał do przełączników otwierających i zamykających ogromne drzwi.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wysadzić drzwi. Ninę замуrowało.

- Co takiego?!

- Musimy usunąć te kontenery z drogi. Widzisz ten motor? Nina spojrzała za siebie na motocykl na palecie.

- Tak... - Nagle domyśliła się, co Chase chce zrobić. - Nie! Nie ma mowy, zwariowałaś!

- To jedyny sposób, żeby się stąd wydostać! Jeśli wyskoczymy, nadal będziemy lecieć ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę: nie ma mowy, żebyśmy przeżyli taki upadek!

- W przeciwieństwie do tego, co się stanie, jeśli wyjedziemy z lecącego samolotu na motocyklu?

- Plan nie jest może idealny! Ale to i tak lepsze niż wylądowanie i czekanie aż nas rozstrzelają!

- Mam wrażenie, że krew, którą utraciłeś, odpłynęła ci prosto z mózgu - pożałowała się, lecz dalej odpinała pasy.

Chase przeczytał napis z ostrzeżeniem.

- Okej - krzyknął, gdy Nina odpięła ostatni pas - wracaj do motocykla i trzymaj się mocno! - Kiedy wycofała się pośpiesznie, Chase puścił zranioną nogę, żeby złapać się ręką jednej z poprzecznych rurek konstrukcyjnych kadłuba. Drugą ręką przełączył jedną z dwóch czerwonych wajch, które odpalały ładunki w drzwiach. A potem drugą...

Stłumiony huk detonacji, które rozerwały ciężkie zawiasy drzwi, był niczym w porównaniu z rykiem wiatru i hałasem silników, które wdarły się do luku, gdy ciężka kłapa odpadła. Huraganowy wicher zaświszczał w ładowni. A380 obniżał lot, więc kabina się nie rozhermetyzowała, lecz i tak lecieli z prędkością ponad trzystu węzłów.

Maszyną szarpnęło. Komputery pokładowe już starały się zareagować na niespodziewany ruch, lecz pierwszy kontener drgnął, z metalicznym zgrzytem sunąc do tyłu po rolkach zamocowanych w pokładzie. Rąbnął w kontener z wirusem, po czym runął przez ziejący otwór w kadłubie, porwany przez strumień zaśmigłowy.

Chase obserwował, jak spada. Wciąż byli nad morzem, lecz już za parę minut mieli się znaleźć nad lądem.

Samolotem znowu zabujało, gdy automatyczny pilot zrekompensował przesunięcie punktu ciężkości spowodowane utratą kontenera. Następna metalowa skrzynia zaskrzypiała na rolkach, lecz ześlizgnęła się na bok... lecąc prosto na Chase'a!

A on nie miał jak uciec ani jak się uchylić...

Puścił rurkę i rzucił się do tyłu. Wiatr go przewrócił.

Rąbnął o framugę.

I zwiało go w lewo.

Chwycił się jednego z pasów i uczepił się go ze wszystkich sił, gdy skrzynia przetoczyła się po rołkach i wypadła z samolotu. Trzeci kontener jechał z łoskotem tuż za nią, jak wagon za lokomotywą, lecz odciążony airbus poderwał się nagle w górę i kontener poleciał prosto na Chase'a, trzasnął w metalową skrzynię z wirusem, i zatrzymał się o dwa centymetry przed jego nosem. Wreszcie porwał go wiatr.

Eddie podciągnął się i wgramolił na pokład między ścianą a kontenerem z wirusem. Każdy krok sprawiał mu ból. Przytrzymując się pasów, którymi były związane skrzynie przy prawej burcie, zbliżał się powoli do Niny.

Gdy znalazł się w głębi kadłuba, wiatr nieco zelżał. Dotarł do Niny i zawołał:

- Odepnij motor i zapuść silnik!
- A jeśli nie ma paliwa? - odkrzyknęła.
- To mamy przerąbane! Przygotuj motor... ja muszę wrócić do kokpitu!
- Po co?
- Żeby wyłączyć automatycznego pilota!

Wykorzystując kontenery jako oparcie, Chase pokuśtykał przez ładownię i dotarł do kabiny załogi. Ciała dwóch zabitych ochroniarzy przeturlały się na bok w trakcie manewrów samolotu, a Kari leżała twarzą do dołu u podnóża schodków. Zauważył swojego wildeya i spróbował się schylić, żeby go podnieść, lecz ból, który przeszył mu udo, sprawił, że zmienił zdanie. Wezmę go w drodze powrotnej, postanowił.

Wszedł do kokpitu i spojrzął na ekran automatycznego pilota. Tak jak myślał, Kari włączyła wszystkie zautomatyzowane systemy awaryjne. A380 leciał z powrotem do Ravnfjord, prowadzony jak po sznurku przez sygnały wysyłane z lotniska.

Nawet z odległości ponad pięciu kilometrów widział przez szybę kabiny światła pasa startowego. Airbus leciał wciąż nad Morzem Północnym, lecz brzeg znajdował się zaledwie kilka kilometrów dalej. Sprawdził inne wskaźniki. Sterowany komputerowo samolot wytracał prędkość i obniżał łagodnie lot, wybierając optymalną i najprostszą drogę lądowania.

Chase wyjrzał znowu przez przednią szybę. Dostrzegł fiord, ciemne wycięcie w linii brzegowej. Smuga czarnego dymu wskazywała lokalizację laboratorium...

Jego cel.

Chase musiał skierować samolot kilka stopni w prawo...

Zerknął na altymetr. Na razie airbus obniżył lot na pułap dwóch tysięcy czterystu metrów. Chase musiał jednak polecieć niżej. Znacznie niżej.

Jedną ręką złapał drążek, a drugą wyłączył automatycznego pilota.

Uruchomił się alarm, lecz Chase go zignorował. Delikatnie przesunął drążek w prawo, przechylając samolot. Światła lotniska powoli przemieściły się ku lewemu słupkowi okna. Przytrzymał drążek w tej pozycji aż do momentu, gdy słup dymu znalazł się dokładnie naprzeciwko samolotu, a następnie wyprostował ster. A380 zachybotał się, zanim wyrównał lot.

Na razie idzie jak po maśle. Teraz pora na trudniejszą część zadania...

Pchnął drążek do przodu. Dziób pochylił się, wysokość na altymetrze zaczęła gwałtownie spadać. Chase będzie musiał ocenić wszystko na oko: ustawi samolot za wysoko, to przeleci nad celem - za nisko, to wyrżnie w skalisty brzeg fiordu...

Airbus obniżył lot do tysiąca dwustu metrów. Z przodu zamajaczyło wybrzeże. Czasu było coraz mniej.

Chase pchnął drążek jeszcze bardziej w przód, obniżając lot gwałtowniej. Znowu rozległ się alarm.

- Wiem, wiem - warknął. Dziewięćset metrów. Zerknął na wskaźnik prędkościomierza. Prawie sto węzłów.

Za szybko, ale nie mógł na to nic poradzić. Gdyby za bardzo zwolnił, samolot mógłby stracić sterowność.

Sześćset metrów. Wybrzeże zbliżało się teraz szybko. Dziób airbusa wciąż był wycelowany prosto w dymiące zgliszcza laboratorium. Chase zaczął raz za razem wciskać klawisz „kasuj” na konsoli automatycznego pilota, mając nadzieję, że w ten sposób czyści pamięć ze wszystkich komend, które mogła wprowadzić Kari. Gdyby komputer wrócił do poprzedniego programu i zainicjował awaryjne lądowanie na lotnisku Ravnsfjord, byłoby po wszystkim.

Trzysta metrów. W kokpicie znowu zawył alarm, a kobiecy głos oznajmił: „Uwaga. Samolot zbliża się do ziemi. Alarm. Samolot zbliża się do ziemi...”

- Wiem! - Dwieście metrów, sto pięćdziesiąt...

Wyrównał lot. Sztuczny horyzont powrócił powoli na środek wskaźnika. Sto dwadzieścia, sto dziesięć...

Sto pięć. Równo. Teren na południowym brzegu fiordu wznosił się na około stu metrów nad poziom morza. Chase spojrział w przednią szybę. Jeśli A380 utrzyma obecny kurs i wysokość, powinien przelecieć nad fiordem i tuż nad ruinami laboratorium, żeby roztrzaskać się o skaliste zbocze tuż za nimi.

Jeżeli dobrze ocenił wysokość. Jeśli nie...

Uaktywnił automatycznego pilota, jego ręka zawisła jeszcze na moment nad drążkiem steru, na wypadek gdyby komputery pokładowe usiłowały skierować samolot z powrotem w stronę lotniska. Ale nie. Ponieważ wszystkie inne instrukcje zostały wykasowane, urządzenie utrzymywało po prostu ten sam kurs i prędkość.

Kulejąc, wyszedł z kokpitu do kabiny załogi...

I zatrzymał się, przerażony.

Kari zniknęła!

Znaczony plamami krwi szlak prowadził do drzwi ładowni. Chase podniósł pistolet i pokuśtykał do drzwi.

- Nino!

Sportowe suzuki zostało oswobodzone z pasów zabezpieczających, podtrzymywane teraz tylko na nóżce. Kluczyki były w foliowej torebce przyklejonej taśmą do baku. Nina rozerwała ją. Dołączone dokumenty natychmiast zostały porwane przez wiatr.

Udało jej się uruchomić silnik. Licznik poziomu paliwa wskazywał, że bak został opróżniony przed transportem prawie do zera. Obejrzała się przez ramię...

I zobaczyła Kari, która skoczyła na nią i zepchnęła ją z motoru.

Obie runęły na pokład. Nina usiłowała zepchnąć Kari z siebie... lecz ta zdzieliła ją łokciem w skroń. Oszołomiona, spojrzała w górę.

Dłonie Kari zacisnęły się na jej gardle. Twarz Norweżki była wykrzywiona z bólu i gniewu.

- Ty suko! - wrzasnęła. - Dałam ci wszystko, a ty mnie zdradziłaś! Nina nie mogła oddychać. Palce Kari wpijały się głęboko w tchawicę. Ninie pociemniało w oczach, w uszach szumiało coraz głośniej.

Chase wszedł do ładowni i zobaczył, jak Kari dusi Ninę, ale nie mógł zaryzykować strzału...

Nina widziała teraz tylko wściekłą twarz Kari. Jeszcze raz spróbowała odciągnąć jej rękę ze swojej szyi...

Jej palce dotknęły czegoś zimnego i twardego. I ostrego. Naszyjnik...

Ostatkiem sił chwyciła kawałek *orichalcum* i przejechała ostrą krawędzią po wewnętrznej stronie prawego nadgarstka Norweżki.

Kari wrzasnęła. Cofnęła się gwałtownie i puściła Ninę, spoglądając z niedowierzaniem na swoją rękę i sikającą krew...

Nina uderzyła ją pięścią w twarz. Kari sturlała się z Niny.

- Niezły cios! - krzyknął Chase.

- Pomyślałam, że spróbuję to załatwić po twojemu - wysapała.

- Wsiadaj na motor! - Za lukiem ładowni zobaczył znikającą w oddali linię brzegową. Samolot był teraz niecałe pięć kilometrów od laboratorium, pokonanie tej odległości mogło mu zająć niecałą minutę.

Chase wsiadł na motocykl. Nina wdrapała się na siodelko za nim. To, co zamierzali zrobić, było szalone. Szansa na przeżycie była znikoma...

Ale nawet cień szansy wydawał się lepszy niż jej całkowity brak. Nina objęła Chase'a ramionami.

- Ruszaj!

Kari usiadła i zobaczyła, co zamierzają zrobić.

Chase dodał gazu. Tylne koło zawirowało, potężny silnik zawył przeciągle, gdy motocykl zjechał z palety i popędził na koniec ładowni.

Kari usiłowała pochwycić Ninę, ale za późno.

Zanim suzuki dojechało na krawędź luku, grzało już ponad sto dziesięć kilometrów na godzinę i wciąż przyspieszało.

Chase przekręcił kierownicę, gdy motocykl wyleciał z samolotu.

- Zamknij oczy! - krzyknął do Niny, gdy krawędź północnego brzegu fiordu mignęła tuż pod nimi.

Spadali do fiordu!

Chase spojrział w dół. Lustro wody zbliżało się z przerażającą szybkością...

- Skacz!

Kari ruszyła z powrotem do kokpitu. Gdyby udało jej się ponownie włączyć automatycznego pilota, komputer wciąż zdołałby bezpiecznie posadzić airbusa na lotnisku.

Ale kiedy weszła do kabiny pilotów, zrozumiała, że się spóźniła.

Po prawej mignął jej dom. Poniżej widziała ruiny laboratorium, a dokładnie naprzeciwko - zbcze góry i ogromne tafle okien gabinetu ojca...

Krzyknęła.

Frost osłupiał, widząc, jak potężny airbus przelatuje nad fiordem, kierując się prosto na niego. Teraz obudził się w nim pierwotny instynkt: żeby przeżyć, musiał uciekać! Ale nie miał dokąd, nie miał czasu...

Chase wierzgnął zdrową nogą, odbijając się od spadającego motocykla. Nina zrobiła to samo. Razem spadali do wody...

Airbus rąbnął w górskie zbcze z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Pięćset ton metalu, kompozytów i paliwa lotniczego stanowiło siłę, której nie mogły się oprzeć nawet pancerne ściany laboratorium. Cztery masywne silniki oderwały się, przebijając

mury z betonu i stali jak bomby. Skrzydła za nimi połamały się, a paliwo się zapaliło. Fala płynnego ognia przetoczyła się przez zespół budynków, spalając wszystko na popiół.

Piekielny żar dotarł do każdego zakamarka laboratorium. Pomieszczenie, w którym stworzono i przechowywano próbki wirusa, zostało rozsądzone, do środka wdarły się języki ognia, które spaliły doszczętnie wszystko, skracając agonię Jonathana Philby'ego. Potem zawałiło się wzgórze, grzebiąc wirusa na zawsze pod milionami ton kamieni.

Ciężki motocykl uderzył o wodę, wzbijając olbrzymią fontannę. Ułamek sekundy później spadł Chase razem z Niną.

Mimo wszystko poczuł się, jakby skoczył z balkonu. Niewiarygodny ból przeszył mu nogę. Woda była zimna, wręcz lodowata.

Znowu ból, gdy o coś uderzył. Coś twardego.

Motocykl...

Maszyna wylądowała na boku i nie zanurzyła się dostatecznie szybko. A teraz Chase wylądował na niej!

I znowu ból, tak intensywny, że Chase prawie zemdlał.

Prawie. Był pod wodą. Musiał popłynąć do góry, wynurzyć się, zaczerpnąć tchu.

Spodnie zaplątały się o jakąś część maszyneryi. Wierzgnął, usiłując się wyswobodzić. Nic z tego. Nie miał punktu oparcia, żeby się odepchnąć. Motocykl tonął, jak kotwica ciągnąca go w dół, na dno fiordu.

Zaczął panikować. Miotał się, nie zważając na ból, lecz wciąż nie mógł się wyswobodzić.

Utonie!

Po tym wszystkim, przez co przeszedł, co przeżył, skończy w ten sposób...

Ktoś go złapał. Nina!

Rozdarła mu nogawkę spodni. Motocykl spadł na dno. Nina płynęła ze wszystkich sił, ciągnąc Eddiego ku górze.

Wynurzył się na powierzchnię i wciągnął głęboki oddech.

- O Boże! - stęknął. - Myślałem, że już po mnie!

- Po prostu ci się odwdzięczyłam - powiedziała Nina. - Jezu, nie mogę uwierzyć, że nam się udało!

- Nic ci nie jest?

- Wszystko boli mnie jak diabli, ale chyba kości mam całe. Co się stało z samolotem?

Chase spróbował podnieść rękę, żeby jej pokazać, ale był zbyt słaby. Zamiast tego skinął głową na wschód. W niebo buchał gęsty słup czarnego dymu.

- Miał twarde lądowanie.

- A wirus?

- Upieczony.

Nina spojrzała smutno na ciemną chmurę.

- Kari...

Dopłynęli do brzegu i Nina wyciągnęła Chase'a z wody.

- O mój Boże - wykrzyknęła, gdy zobaczyła jego nogę. Przycisnęła dłoń do rany, usiłując powstrzymać krwotok. - Potrzebujesz lekarza.

- Racja - odparł, szcękając zębami. - Na szczycie tego urwiska jest klinika, w jednym z biurowców. Szkoda, że należy do faceta, któremu właśnie zrzuciliśmy na łeb samolot. Wątpię, żeby przyjęli nas z otwartymi ramionami...

Jakby w odpowiedzi, obok głowy Chase'a nagle odprysnął kawałek skały. Huk karabinowego wystrzału odbił się echem po całym fiordzie.

- Bez żartów! - pisnęła Nina. Zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu strzelca. Na przeciwnym brzegu zauważyła kilku mężczyzn na tle nieba, pokazujących na nich rękoma.

Następna kula wryła się w ziemię w pobliżu, bryzgając im w twarz drobnymi kamyczkami.

- Schowaj się! - rozkazał Chase.

- Nie zostawię cię! - zaprotestowała Nina.

- Nino, nie!

- Nie zostawię cię! - powtórzyła, chwytając go pod ramiona. Kula świsnęła obok, muskając jej włosy. Następny kawałek skały odprysnął.

- Mają nas - jęknął Chase.

Podnieśli wzrok na ludzi stojących na szczycie urwiska i dostrzegli błysk soczewki w celowniku optycznym.

Nina kucnęła, ściskając Chase'a mocniej i przytulając twarz do jego policzka.

- Eddie...

Huk strzałów... ale nie z karabinów na drugim brzegu fiordu.

Ogień broni maszynowej, gdzieś wyżej. Z urwiska na drugim brzegu poleciały kamyki i pył. Jeden z mężczyzn runął w przepaść, krzycząc przez całą drogę w dół, aż z przyprawiającym o mdłości plaśnięciem nadział się na sterczący głaz.

- Co za cholera? - zdziwił się Chase.

Odpowiedź nadeszła sekundę później, gdy trzy helikoptery norweskich sił powietrznych pojawiły się nad urwiskiem. Dwa z nich poleciały dalej, żeby odciąć drogę ucieczki ludziom Frosta, podczas gdy trzeci zawisł nisko nad wodą i obrócił się w stronę Niny i Chase'a.

- A ci skąd się tu wzięli? - szepnęła Nina.

- Ktoś musiał zadzwonić po straż pożarną. Norwegowie prawdopodobnie chcieli się dowiedzieć, dlaczego tyle budynków w posiadłości Kristiana Frosta wyleciało w powietrze.

Czyjś głos huknął przez megafon.

- Znasz norweski? - spytał Chase.

- Ani trochę.

- Ja też nie. - Mimo bólu Chase uniosł ręce tak wysoko, jak mógł. - Lepiej też podnieść ręce. Nie po to przez to wszystko przeszedłeś, żeby teraz zastrzelił cię jakiś nerwowy norweski żołnierz.

- Rzeczywiście. - Uniosła jedną rękę, drugą wciąż podtrzymując Chase'a. Wciąż dotykała policzkiem jego twarzy. Aha... Eddie?

- Co?

Pocałowała go.

- Dzięki za uratowanie mi życia. Znowu. Odwzajemnił pocałunek.

- Dzięki za uratowanie życia mnie. Nawet jeśli... - wyszczerzył zęby w uśmiechu - w tym całym ratowaniu sobie nawzajem życia nie jesteśmy do końca kwita.

Nina się uśmiechnęła.

- To tak w twoim wykonaniu wygląda wdzięczność? Pocałowali się znowu, gdy helikopter zatrzymał się w powietrzu, a z kabiny zaczęli zjeżdżać po linach żołnierze.

Epilog

Nowy Jork

Nina weszła do mieszkania. Wszystko wyglądało w nim dokładnie tak, jak przed wieloma tygodniami.

Rzuciła stos przesyłek pocztowych na kuchenny blat i naląła wody do czajnika. Kawę będzie musiała wypić bez mleka. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić stanu, w jakim była

zawartość jej lodówki po tak długim czasie. Może bezpieczniej byłoby wyrzucić lodówkę i kupić nową. Dzięki temu nie musiałyby do niej zaglądać.

Postawiła czajnik na palniku, klapnęła na kanapę i rozejrzała się. Mieszkanie wydało jej się bliskie i znajome, ale jednocześnie niemal obce, jak zapomniane wspomnienie przywrócone nagle do życia.

Ledwie mogła pogodzić się ze zwyczajnością faktu, że znowu jest w domu. Po wszystkim, co przeżyła, była z powrotem w Nowym Jorku, z powrotem w domu, jakby nic się nie stało.

Tylko że to nieprawda. Odkryła Atlantyde... a potem znowu ją straciła. Poznała nowy rozdział w historii ludzkości, ale nic jej z tego nie przyszło.

Dotknęła naszyjnika. Nie przyszło jej z tego nic... oprócz świadomości i satysfakcji, że historia ludzkości się nie zakończyła. Szalony plan Frosta się nie powiódł, a wszystkie wyniki badań nad śmiertelnym wirusem zostały zniszczone. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć przez okno na światła Manhattanu. Zastanawiała się, czy miliony, a raczej miliardy, ludzi, których Frost zapragnął skazać na śmierć, dowiedzą się kiedykolwiek, jak blisko była eksterminacja.

Pewnie nie. Gdy tylko w sprawę zaangażowały się najpierw władze Norwegii, a potem sojusznicze wojska NATO, bardzo jasno dano jej do zrozumienia, że prawdziwy cel działalności Fundacji Frost powinien pozostać pilnie strzeżoną tajemnicą.

Nina wyciągnęła się na kanapie, a gdy zagotowała się woda, podreptała do kuchni. Wzięła kubek i zaczęła przetrząsać szafeczki w poszukiwaniu słoika z kawą. Gdzie ona go zostawiła?

Coś plasnęło na blat obok kubka. Nina odwróciła się zaskoczona.

W drzwiach stał Chase, ubrany w jeszcze bardziej znoszoną skórzaną kurtkę. Sam też wyglądał jeszcze na pokiereszowanego, ale i tak był na swój sposób przystojny. Uśmiechnął się.

- Spróbuj tego - powiedział i skinął ręką na opakowanie herbaty, którą rzucił na blat. - Lepsze od kawy.

- Eddie! - wykrzyknęła zachwycona, ale jednocześnie zaskoczona. Zerknęła na drzwi wejściowe. Wszystkie zamki były nienaruszone. - Jak się tu dostałeś?

- Ma się swoje sposoby - powiedział, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Chodź tu, doktorko... Nino - poprawił się szybko, gdy zrobiła nadąsaną minę. Objęli się, a potem pocałowali.

- Co tu robisz? - zapytała w końcu. - Myślałam, że wróciłeś do Anglii.

- Wróciłem. Ale zaproponowano mi nową pracę. Właściwie to właśnie dlatego tu jestem.

Nina uniosła brew.

- Czyżby? Więc nie przyjechałeś po prostu dlatego, że chcesz ze mną być? - zbesztła go żartobliwie.

- Nie, ale to cholernie dobry bonus! Żartuję - dodał, znów ją obejmując. - Naprawdę przyjechałem się z tobą zobaczyć. Chodzi o to, że ta nowa praca... to, czy ją podejmę, zależy właściwie od ciebie.

- Co masz na myśli?

- Okazuje się, że teraz, odkąd te wszystkie ważniaki wiedzą, że Atlantyda rzeczywiście istniała, pomyśleli sobie, że może są jeszcze inne starożytne mity, które też mogły być prawdziwe. I wpadli na pomysł, że powinni ich szukać... i bronić przed ludźmi takimi jak Frost. Dlatego przy ONZ powstanie coś w rodzaju międzynarodowej agencji archeologicznej, która się ma tym zająć. A osobą, którą widzą na czele tej agencji... jesteś ty.

- Ja? - wykrzyknęła Nina. - Dlaczego akurat ja?

- Bo wiesz najwięcej o Atlantydzie. Wiesz, czego szukać. Więc - rozłożył szeroko ramiona - piszesz się na to?
 - A na czym polega twoja rola w tym wszystkim?
 - Moja? Cóż, liczę na to, że będę mógł dbać o bezpieczeństwo pewnej ponętnej Amerykanki, która raz ocaliła mi życie...
 - Chcesz być jej ochroniarzem, co? - uśmiechnęła się Nina.
 - Właściwie to liczyłem na coś więcej...
 - Myślę, że da się to jakoś załatwić... Chase wyszczerzył radośnie zęby.
 - To co? Przyjmiesz tę robotę?
- Nina uśmiechnęła się, potem wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni.
- Prześpijmy się z tym pomysłem. Atlantyda czekała jedenaście tysięcy lat... może poczekać jeszcze jeden dzień.